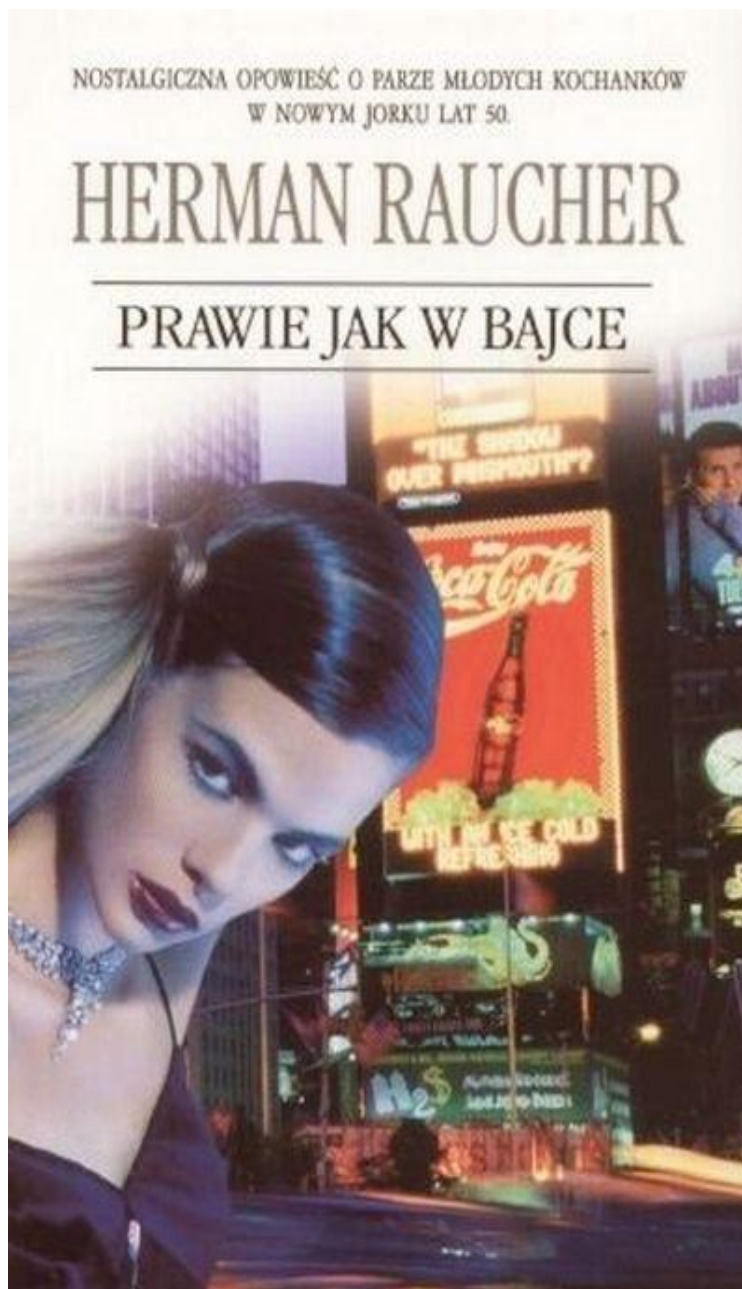




HERMAN RAUCHER

PRAWIE JAK W BAJCE

Z angielskiego przełożyła HANNA SZAJOWSKA



Seria LITERKA

WARSZAWA 2005

TLR

Dla wszystkich córek na całym świecie, szczególnie dla moich:

Jackie i Jenny

Rozdział 1

Ben

1928-1949

Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku; byłem jedynakiem. Stawiali tylko na mnie - najbardziej niepewna inwestycja od czasów admirała Byrda*¹. Moim rodzicom ktoś powinien był poradzić, żeby zdecydowali się raczej na spaniela. Zresztą mieli taki zamiar, jestem pewien, ale okazało się, że matka zaszła w ciążę.

Do czasu kiedy skończyłem dwanaście lat, miałem niewiele złudzeń na temat świata i żadnych na własny. Byłem biały... i brązowy. Brązowy i średni. Brązowe włosy, brązowe oczy... średniego wzrostu, średniej budowy. Brązowo i średnio; gdyby dodać „wysmażony”, wyszedłby typowy hamburger. No i byłem samotnikiem. I to od dnia, w którym się urodziłem. Stale miałem w uszach głos żartującego ojca: „Ben wyslizgnął się ze swojej matki, kiedy nikt nie patrzył. Trzy dni trwało, zanim go znaleźliśmy”.

Prostackie, owszem, ale trafnie oddawało sytuację. Zawsze lubiłem być sam, kartkując magazyny, obserwując ludzi, którzy robili różne rzeczy. Lubiłem bawić się żołnierzami, lubiłem wycinać z kartonu. Wolałem być singlem, bo to był jedyny moment, w którym nie czułem się samotny. I uwielbiałem czytać. Wszystko - od Marka Twaina po sir Waltera Scotta, z odrobiną Szekspira i książką czy dwiema Dickensa.

Nie trzeba dodawać, że podobne dobroduszne żarciki towarzyszyły pięciu pierwszym latom mojego życia, aż w końcu ojciec zasugerował, żeby sprawdzić mi słuch, tak na wszelki wypadek, by się upewnić, że jakieś nieznaczne nadwerężenie tegoż nie skłania mnie do zamykania się w sobie.

Słuch miałem doskonały, podobnie wzrok, a także wszystkie odruchy i podstawowe życiowe funkcje - iloraz inteligencji, na przykład, tak bar-

¹ R. E. Byrd (1888-1957) - amerykański badacz polarny, lotnik, dokonał pierwszego przelotu nad biegunem południowym.

dzo zbliżał się do geniuszu, że przed utrwaleniem wyników czarno na białym przebadano mnie trzykrotnie. Po tym wszystkim krotochwilne uwagi straciły na lekkości, jako że znalazłem się twarzą w twarz z zastępem psychologów dziecięcych, najwyraźniej wyznających pogląd, że albo już byłem dziwaczny, albo na dobrej drodze do zdziwaczenia.

Mój ojciec, mężczyzna silny fizycznie, brygadzysta w fabryce butów, dumny ze swego niemiecko-angielskiego pochodzenia i przekonany o wyższości własnych genów, był bezlitosny wobec matki, która nie potrafiła wywieść swojego pochodzenia poza mury sierocińca. O, jakże często późną nocą słyszałem ojca biorącego matkę w krzyżowy ogień pytań, skąd wzięło się tak dziwne potomstwo. Matka nie znajdowała żadnego wyjaśnienia poza oczywistym - nie miała zatem szans na obronę, żadnej nadziei ani chwili wytchnienia.

Nie z własnej chęci i z pewnością nie dlatego, że czułem po temu palącą potrzebę - lecz wyłącznie z tego powodu, że matka moja doświadczała tak przerażającego i niekończącego się prześladowania - wybrałem się, ażeby dowieść tej mitycznej męskości, której ode mnie oczekiwano. Podszedłem do Eddiego Brady'ego, który miał trzy cale i dwadzieścia funtów więcej niż ja, i, niesprovokowany, wymierzyłem mu fangę w nos. Jego pierwsza reakcja ograniczyła się do niedowierzającego spojrzenia, oczy mało mu nie wyskoczyły z twarzy. Potem zaczął krwawić z obu nozdrzy, maskaron bluzgający cynobrem. W końcu, a była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem z tej potyczki, puścił w ruch olbrzymią pięść. Widziałem, jak rośnie mi w oczach, ale nie ruszyłem się, by jej uniknąć, ponieważ, jak niedługo mieli powiedzieć o Hitlerze, to mi się należało.

Nikt nie widział walki i tego, co z niej wynikło, nikt nie zauważył, jak odkleiliśmy się od chodnika niby zużyty plaster gorczyczny, i nikt też nie mógł zaręczyć, że zdołałem dojść do domu bez pomocy tych legendarnych czternastu aniołów - a jednak do domu dotarłem, choć wyglądałem, jakbym wypełził spod szalonej młockarni. Słyszałem swój własny oddech, bo nos miałem w uchu, a dwa zęby ledwo trzymające się miejsca kiwały się w moich ustach, zdumione faktem brutalnego wysiedlenia.

Mój ojciec podniósł wzrok znad swojego „Kuriera Pittsburskiego” i w błogosławionej grozie wpatrywał się w sponiewierany szczątek swego syna.

- Właśnie spuściłem manto Eddiemu Brady'emu - powiedziałem, w rumowisku moich ust grzebiąc połowę spółgłosek z tego stwierdzenia.

Ojciec był pod takim wrażeniem, że mało nie wydał przyjęcia. A ja się zastanawiałem: „Czy tyle tylko muszę zrobić, żeby zadowolić mego ojca - dać się zabić?”.

Od tamtej chwili, ilekroć czułem, że skupia się na mnie niezadowolenie rodziny, szedłem i dawałem się zmasakrować każdemu, kogo byłem w stanie zmotywować za pomocą magicznych słów: „Pieprzę cię”.

Doświadczenie szybko mnie nauczyło, że mądrzej jest dowodzić swej męskości przy pomocy zabójców zbliżonych do mnie rozmiarem. Sam tylko Eddie Brady był odpowiedzialny za blisko sześć szwów na moim policzku. Chuck Janowicz dodał cztery kolejne. Następne trzy stanowiły radosny datek od Loui Delaneya, Szalonego Żydka, który wykorzystał mnie jako ruchomy cel w najgorszy czwartek mojego życia. Jeśli moja twarz nie miała wyglądać jak oblicze nieudolnego bramkarza hokejowego, musiałem zacząć dobierać przeciwników z większym staraniem. Musiałem też ukrócić tę przyrodzoną klasie średniej potrzebę, by pozwolić moim oponentom na oddanie ciosu, wet za wet, bo chociaż kapitalnie to wyglądało na filmach z Laurelem i Hardym, nie miało zbyt wiele sensu na złomowisku Carmody'ego.

Obawy o mnie zmalowały, gdy podrosłem. Jako czternastolatek prezentowałem muskulaturę dobrego pięściarza wagi lekkiej. I tak, z pomocą ojca, który zapoznał mnie z rozkoszami podnoszenia ciężarów i ekscytującym światem ćwiczeń izometrycznych, rychło zdusiłem w zarodku wszelkie lęki co do moich wątpliwych skłonności seksualnych. Motyl przeszedł metamorfozę w nadpobudliwego szerszenia, co z kolei zmieniło ostrożnego ojca w człowieka idiotycznie szczęśliwego. Dlaczego bycie rodzicem potencjalnego zabójcy uważał za rzecz tak cudowną, przekraczało zdolności mego rozumienia i do dnia dzisiejszego nie mam pojęcia, jaką widział dla mnie przyszłość poza rolą chuligana ze spłaszczonym nosem.

W szkole średniej zaprezentowałem głęboką inteligencję, ale niewiele celowego działania. Stopnie miałem dobre, byłyby jednak lepsze, gdybym znalazł bodziec do tego, by się przyłożyć. Nie miałem jednak skrupułów i podtrzymywałem swoją reputację Wyniosłego Odludka. Czytałem, stale czytałem... najbardziej samotny akt o najbardziej towarzyskich

skutkach, bo jaki mężczyzna może czuć się samotny, gdy ma Fenimore'a Coopera u boku i Conrada na półce? Ponieważ byłem taki dobry na pięści i bez ociągania brałem ciężki, tolerowano moją samotność i z ust prawdziwych szkolnych twardzieli nie usłyszałem ani jednej szyderczej uwagi.

Choć z urodzenia byłem atletycznej budowy, dla sportów grupowych miałem wyłącznie pogardę, a tym, co przelotnie wzbudziło moje zainteresowanie, był jedynie, jak nietrudno zgadnąć, sport samotników - biegi przełajowe. Znużyło mnie to w dniu, w którym trener kazał mi biec w deszczu, na co odparłem: „znajdź sobie kaczkę”, i powiesiłem buty na kołku.

Byłem dobrym bokserem, może nawet - wśród tych, którzy trafili do Boys Clubu od czasów Fritziego Zivica - najbardziej polegającym na instynkcie, ale też miałem problem. Radziłem sobie świetnie na wszystkich zawodach, niezmiennie prowadziłem na punkty, lecz tylko do czasu gdy przeciwnik nie zaczął krwawić. Kiedy zaczynała się łać krew, przyjmowałem postawę zachowawczą i robiłem niewiele poza obroną własną. Przeciwnicy odkryli tę słabość i odrobina mercurochromu między rundami, strategicznie umieszczona w nozdrzach lub na brwi mojego oponenta, praktycznie kończyła pojedynek - wycofywałem się jak szalony aż do finałowego gongu i ostatecznej porażki.

Co do pań, mogłem się bez nich obejść. I chociaż na randki umawiałem się z rzadka, utwierdzałem ojca w przekonaniu, że kwiat licealistek Pittsburga leży u mych stóp pokotem. Cieszyła go myśl, że jest ze mnie nie tylko groźny brytan, ale i pies na baby.

Pierwsza fascynacja przybrała postać Diane Schultz. Trwała trzy tygodnie, po czym zmieniła się w Mary Beth Mikkelson. Dwa tygodnie później bardziej przypominała Janet Dooley. A w kolejnym tygodniu wyjechała z miasta, by wrócić na wiosnę w towarzystwie brobdingnagiańskich² cycków Glorii Brundage. Choć nigdy tego nie zwerbalizowaliśmy, Gloria i ja byliśmy zdania, że dobrze, by świat wierzył, że wieczorami kotłujemy pościel. Potwierdzało to naszą reputację... jej - bogini miłości, moją - kolosa rodyjskiego. Prawda jednak była taka, że nigdy nawet

² Od Brobdingnagu, kraju olbrzymów z *Podróży Guliwera* J. Swifta.

palcem jej nie tknąłem. Ona nie chciała, a mnie nie zależało. Koniec końców nigdy nie dotarłem do bazy i nigdy nie próbowałem jej zaliczyć.

Tak więc gdy miałem szesnaście lat, moje dziewictwo, choć uważano, że przeminęło z wiatrem, pozostawało nietknięte. Nie kłopotalem się tym. Oszczędzałem się - dla kogo czy na jaką okazję, nie widziałem, dopóki nie zobaczyłem Elizabeth Satterly.

Nie mogła mieć więcej niż jedenaście, dwanaście lat. Nie tyle szła, co płynęła, unosząc się nad tą tymczasową przepaścią, która oddzielała bajkę od madame Bovary. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miałem niespełna siedemnaście lat. Wpadła w moje pole widzenia w podskokach, jej stopy - naprawdę w to wierzę - nie dotykały chodnika.

Była ubrana na żółto. Zawsze ubierała się na żółto. Codziennie kiedy ją widziałem, miała na sobie coś żółtego. Jeśli nie sukienkę, to wstążkę albo chusteczkę czy sweter, rękawiczki, bluzkę. Żółty był jej kolorem, jej barwą flagową, znakiem firmowym.

Czarne. Włosy Elizabeth Satterly były czarne, czarne jak tylko czarna może być czerń zestawiona z żółcią. Oczy natomiast miała szare. Nigdy przedtem nie widziałem szarych oczu i chociaż od tej pory widywałem oczy w tym kolorze, nigdy nie widziałem szarości w takim odcieniu jak oczy Elizabeth Satterly. Miały w sobie trochę błękitu, trochę zieleni, cień perły, ślad śniegu.

Uśmiechnęła się, niezupełnie do mnie, ale do całego świata. Uśmiech Vivien Leigh - chochlikowaty, anielski, świadomy, wystudiowany. Żadnej szminki, a usta aksamitnie czerwone. I żadnego aparatu na zębach, bo zęby były idealne jak guma do żucia w pastylkach.

Jej piersi były w stadium embrionalnym, ale już z charakterem; uważalnie, choć delikatnie, odznaczały się pod tym, co trzymało je w niewoli, nadając jej talii osiąsmukłość, czyniąc łabędzim łuk jej szyi i łagodną falą formując kształt jej ramion. Nigdy jeszcze wiosna nie miała tak czarownych zwiastunów jak piersi Elizabeth Satterly. I już wówczas wiedziałem, że jeśli nawet te pąki nie rozkwitną bardziej, róże będą nie mniej rozkoszne.

Nikt zresztą nie wiedział ani nawet nie podejrzewał, że czułem coś takiego do Elizabeth Satterly i że ubierałem to w takie słowa. Albo że jej nogi, lekko stąpające, gdy mijaliśmy się po raz pięćsetny, sprawiały, że moje serce biło w tempie dwukrotnie szybszym niż prędkość światła. Nie,

kryłem to wszystko w głębi duszy niczym szalony naukowiec, który strzeże formuły mogącej odmienić bieg wszechświata. Bo jak pewne jest, że słońce pogania cień, tak byłem pewien, że Elizabeth Satterly i ja połączymy się któregoś dnia, że czas zmniejszy dystans między nami. O tak, zawsze miało to być pięć lat, ale dyferencjał będzie co roku wydawał się mniejszy. Gdy skończę osiemnaście lat, ona będzie miała trzynaście. Gdy osiągnę wiek dwudziestu jeden lat, ona będzie słodką szesnastką. Ja jako dwudziestoczterolatek - kto mógłby pragnąć czegoś więcej? Ona będzie liczyć sobie lat dziewiętnaście, wystarczająco dużo, żeby spełniać wszelkie przepisy. Mój ojciec był dziewięć lat starszy od matki. I nie chodzi o to, że ich małżeństwo stanowiło przykład błogosławionego szczęścia. Dowodziło mi jednak, że czas znosi wszelkie przeszkody i jeśli będę miał szczęście, pewnego dnia Elizabeth Satterly, która od pierwszego wejrzenia miała nade mną przewagę, zrówna się ze mną i razem polecimy do gwiazd, f Tak jak przewidziałem, gdy miałem osiemnaście lat, Elizabeth Satterly skończyła trzynaście. A kiedy dobiegłem dwudziestki, ona była piętnastolatką. Ale gdy ukończyłem dwadzieścia jeden lat, Elizabeth Satterly była w Pittsburghu, ja zaś w Nowym Jorku. Zostawiłem ją za sobą, słaby poblask wciąż lśniący żółcią - stokrotka w niedzielę, uroczą piosenka, którą zawsze będę pamiętał. Ale który mężczyzna śpiewa „Wróć do ciebie”, gdy orkiestra gra „Proszę, proszę, cóż to wpada w rączki nasze”?

Rozdział 2

Ginnie

1933-1948

Ginnie Maitland, czyli ja, najmniej upragnione i najbardziej przedwcześnie dojrzałe dziecko, jakie kiedykolwiek się pojawiło, urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku w rodzinie o pewnych artystycznych i zawodowych inklinacjach; wiedziałam, nie miałam szans na odziedziczenie żadnej z tych skłonności. Nasz dom, walący się budynek w stylu edwardiańskim, ozdobiony tysiąc ośmiuset osiemdziesięcioma kwiecistymi zakrętami, był pełen książek zdradzających ślady intensywnego używania. Na ścianach wisiały różne rzeczy - pergaminy, dyplomy, nagrody - przedmioty, które dawno zmarli przodkowie wygrali albo ukradli, więc długo przedtem zanim nauczyłam się czytać, sam widok tych oprawionych w ramki dokumentów uświadomił mi, że znalazłam się w poważnych tarapatach. I przez całe lata, zanim dowiedziałam się, kim są, byłam narażona na widok starodawnych fotografii rozlicznych Maitlandów w takich pozach, jakby wiedzieli, że naprawdę są na topie. Prawnicy, politycy, inżynierowie - ozdabiali nasze drzewo genealogiczne, niczym nasmarowani przez osiemnastowiecznych powieściopisarzy. A jeden wuj, Gerald T. Maitland, był wówczas i jeszcze przez jakiś czas potem ważnym republikańskim kongresmanem.

Mój ojciec był artystą, malarzem. Chcę przez to powiedzieć, że miał studio, sztalugi i północne światło oraz słaby kontakt z rzeczywistością. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek coś sprzedał. Nie jestem nawet pewna, czy byłby w stanie rozdać swoje obrazy, chociaż założę się, że próbował. Trzymał wszystkie malunki w studiu za domem, starannie skatalogowane i posegregowane według tytułu i tematu. Malował głównie oleje, pejzaże. Były ładne i mnie się podobały, ale nikt nie podzielał mojego zdania.

Matka z pewnością niezbyt je považowała, skoro żaden nie został nigdy wyeksponowany w domu oprócz jednego jej portretu, wcale niezłego.

Nic mi nie wiadomo, by ojciec zarobił dzięki swojemu talentowi choć dolara, lecz nie wyglądało, żeby się tym przejmował. Po prostu dalej robił swoje, jak kura znosząca jajka, nie zadając pytań i nie troszcząc się o omletry.

Bardzo chciałam go kochać. Był wysoki i cichy, i żyłasty jak brzozy, które stale malował. I pilnował, żebym zawsze miała kucyka latem, a sanki zimą. Nigdy, ani razu, nie słyszałam, żeby podniósł głos w złości lub w proteście albo choć z zaciekawienia, jakie to zajęcia zatrzymywały matkę poza domem na tak długie okresy. Od urodzenia bogaty, nie musiał troszczyć się o forszę. I zdaje mi się, że to mu nie wyszło na zdrowie. Może by coś z niego było, gdyby musiał głodować na poddaszu albo zmarnował młodość na lewym brzegu Sekwany. W obecnej sytuacji rzadko opuszczał wiejskie tereny Stamfordu w stanie Connecticut i jego reputacja człowieka utalentowanego nie wyszła poza dwudziestotrzynastokilowy teren naszej posiadłości. A nawet tam ostatnie kilka akrów nigdy o nim nie słyszało.

Nigdy nie ukarał ani mojej siostry, ani mnie. Być może dlatego, że nie wiedział o naszej obecności. Zasadniczo byłyśmy wychowywane przez służące i nianie, polerowane do blasku z okazji świąt i posyłane na rozmaite kulturalne, teatralne i sportowe zajęcia dodatkowe w rodzaju szkoły tańca. (Z powodu kościstych nóg z wystającymi kolanami rodzina skierowała mnie w stronę Terpsychory - i byłam w tym dobra. W dalszym ciągu jestem, a nogi stały się moim największym atutem i ciągle nim są).

W każdym razie ojciec zawsze był na miejscu. W pobliżu.

o matce, Upiorze z Rockrimmon Road, nie dało się tego powiedzieć. Matka, trzeba to chyba zaznaczyć, była piękna.

1 nie szczeniła swojej cudownej twarzy starań, poświęcając jej tyle samo czasu, co ojciec obrazom. Mogłaby podpisywać swoje twarze w prawym dolnym rogu i sprzedawać je do Colliers, tak bardzo przypominały dzieła Johna Singera Sargenta³, królewskie i zalatujące zapaszkiem wyższych sfer.

Dostatecznie szybko stało się dla mnie oczywiste, dlaczego w ogóle się pobrali. Ojciec, starszy o jakieś sto lat, ulegał jej kaprysom. No i mia-

³ Collier's Weekly" (1895-1956), magazyn ilustrowany; J. S. Sargent (1856-1925) - malarz amerykański, autor psychologicznych portretów i akwarelowych pejzaży; tworzył w W. Brytanii i Francji.

ła do dyspozycji wszystkie te farby potrzebne do porannych autoportretów. Wczesnym popołudniem jej pokryta barwnikami twarz zaczynała się rozpląwać, udawała się więc do buduaru, żeby dokonać poprawek. O ósmej znów była najpiękniejszą kobietą świata, chudą, ale w wyrafinowanym, ekskluzywnym stylu. I wiedziała o tym. Podobnie jak my.

Moja siostra Mary Ann zasadniczo stanowiła wrzód na dupie. Miała twarz matki, lecz nie za bardzo wiedziała, co z tym zrobić (nie licząc ust, do czego zaraz dojdę). O cztery lata starsza, była dla mnie miła tylko wtedy, kiedy ktoś patrzył. Jakieś pięć godzin dziennie onanizowała się rączką swojej szpicruty. Resztę dnia spędzała na koniu, potem w wannie, a potem nad swoim pamiętnikiem. W końcu dorwałam się do tego dziennika, i to było coś.

Zgodnie z tym, co napisała w pamiętniku, mając szesnaście lat, Mary Ann obciągała druta wszystkim trzem swoim instruktorom jazdy konnej. Wcześniej zawsze się zastanawiałam, jakim cudem mogła tyle czasu spędzać w stajniach i być takim nędznym jeźdźcem. Od tej pory przestałam się dziwić, zaczęłam podziwiać.

Miałam niesamowite szczęście. Znalazłam i zatrzymałam zapasowy klucz do dziennika Mary Ann; musiała chyba uznać go za zaginiony. W każdym razie co tydzień, kiedy Mary Ann obsługiwała swoich ogierów, ja w domu czytałam o jej wyczynach z poprzedniego tygodnia. Nazwijmy to opóźnionym dojściem. Nie - nazwijmy to rozziwem oralnym.

Mary Ann pisała o fellatio bardzo szczegółowo, prezentując narzędzia swoich kochanków i rozkosze podniebienia, takie jakich jej dostarczali. Derek Miller miał „pulsującą, podobną do banana twardość, która wygina się w lewo, chwyta moje włosy, kiedy szczytuje”. Tony Borelli - „drag ze lśniącej stali, wrzeszczy, gdy dochodzi”. No i wreszcie był Jud Smith, zdaniem Mary Ann Jedwabisty jak awokado, które dotyka tyłu mojego gardła od środka. Klnie, kiedy ma orgazm i smakuje syropem klonowym”. Najwyraźniej Mary Ann poinformowała Juda o tym fenomenie, bo zaproponował, że zrobi numerek na jej naleśniki. Żałuję, że tego nie widziałam. Byłaby z tego niezła reklama dla Ciotki Jemimy*⁴.

Według jej własnych dzienników, Mary Ann nie pieprzyła się aż do strony czwartej, piętnastego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego

⁴ Aunt Jemima, od 1889 firma produkująca ciasto naleśnikowe w proszku.

szóstego roku - i to trwało do połowy strony dwudziestej siódmej. Jeżeli chodzi o minetę, którą jej ktoś robił, zdarzenie takie po raz pierwszy nastąpiło dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Ale kiedy raz się zaczęło, trwało aż do strony czterysta trzydziestej dziewiątej w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, gdy wyszła za Waltera Harrisona; tego też dnia spaliła swój pamiętnik.

Jakie to romantyczne. W dniu własnego ślubu moja napalona siostrzyczka bierze swój mający trzy tysiące stron pornograficzny pamiętnik i rozpala dla niego ognisko za domem. Pięć godzin później ma łzy w oczach i sunie kościelną nawą - jak zachowałyby się każda zdrowa Amerykanka, mająca w perspektywie poślubienie Waltera Harrisona. Walter bowiem nie był typem naleśnikowym, a jeśli w ogóle czymś smakował, to najwyżej Vitalisem **.

Każda inna panna młoda rzuciłaby swojej młodszej siostrze ślubny bukiet... ale nie Mary Ann. Ona rzuciła mi powycieraną szpicrutę. Podziękowałam jej, lecz zaznaczyłam też, że nie tknęłabym jej nawet przysłowiowym kijem. Zrobiła się nerwowa i zapytała dlaczego, wykonałam więc w tym momencie coup de grace, zwracając jej dodatkowy klucz do pamiętnika, z wyjaśnieniem, że nie będzie mi dłużej potrzebny, skoro przezornie spaliła ten tom. Szczęka opadła jej tak nisko, że mogłaby wessać trzech muszkieterów i ich konie - no i się wściekła. Potem zaprzeczyła wszystkiemu, twierdząc, że to było tylko takie tam pisanie dojrzewającej dziewczyny. Bez dwóch zdań, w pewnym stopniu tak właśnie było, ale nie chciałam tak szybko wybawiać jej z opresji, więc uśmiechnęłam się, bardzo dojrzałe, i zapytałam, jak jej przyszły mąż smakował z naleśnikami.

Mary Ann miała dziewiętnaście lat, wychodząc za mąż. Przeprowadzili się z Walterem do Chicago, co uznałam za bardzo trafną decyzję, bo gdzie, jeśli nie w Wietrznym Mieście, było miejsce dla takiej puszczałskiej latawicy.

Nie wspomniałam jej o moich pięciu minutach z Walterem. Przemilczałam to z premedytacją, wiedząc, że gdybym powiedziała, natychmiast odwołałaby ślub, a tego nie chciałam. Chciałam, żeby się pobrali. Zasłużyli na siebie, cholera.

Dwie noce przed ślubem (nie pamiętam, gdzie była Mary Ann, prawdopodobnie polerowała komuś laskę) ojciec siedział w swoim studiu,

matka łajała dostawców, a ja tkwiłam sama w pokoju. Stałam przed lustrem, zastanawiając się, dlaczego, do cholery, zmusza się mnie do składania takiej daniny na rzecz społeczeństwa, podczas gdy moją jedyną zbrodnią są nogi, które zaczynają się przy szyi, i skóra przypominająca plastyczną mapę górzystych rejonów Dakoty. Jako piętnastolatka, trzeba przyznać, byłam do kitu. Przypominałam raczej ojca: wysoka, o regularnych rysach, wodnistoniebieskich oczach - a jednak obiecująca. Jeśli będę się przykładać do makijażu, pewnego dnia stanę się śliczna. Blond włosy o mysim odcieniu mogą któregoś dnia spłynąć mi na ramiona gęstą falą, jako że zapewniam im co wieczór sto jakże przydatnych pociągnięć szczotką. Miałam wąskie biodra i zgrabny tyłek, a nogi, dzięki tańcowi i gimnastyce, prezentowały się całkiem nieźle. Problem polegał na tym, że nic do siebie nie pasowało. Nogi osiemnastolatki i pierś dziewczynki dwunastoipółletniej. Reszta mieściła się gdzieś pomiędzy - w nieregularnych odstępach.

Chłopcy, owszem, interesowali się mną, ale szybko odkryłam dlaczego. Z powodu niezrównanej reputacji mojej siostry jako ciągutki. Gdy tylko jakiś chłopak odprowadzał mnie z randki do domu, już miał w garści swój sprzęt i sugerował, że przydałoby mu się dziesięciminutowe polerowanie. Pewien miły młody człowiek, Douglas Pennington, nawet nie czekał do chwili, gdy odprowadzi mnie do domu. Spotkał mnie z nim na wierzchu w progu, i zapytał, czy znajduje moją aprobatę. Zatrzasnęłam mu na tym drzwi i nigdy więcej go nie widziałam - przynajmniej nie w pozycji stojącej. Co do drzwi, od tego wieczoru już nigdy nie domykały się gładko. Przypuszczam, że ten stary dom zachował w sobie niewielką część Douglasa Penningtona.

W każdym razie, wracając do Waltera Harrisona, księgowego z bożej łaski i mojego, w niedługim czasie, szwagra. No więc stoję sobie nagiśienka, jak mnie Pan Bóg stworzył, i oglądam się w lustrze, a ten sukinsyn z klasą nawet nie zapuka. Po prostu wchodzi, patrzy na mnie i mówi:

- Szukam Mary Ann.
- Tu jej nie ma - odpowiadam błyskotliwie.
- Och - on na to.

No, teraz uświadomcie sobie, że stoję goła przed lustrem, mam piętnaście lat, a narzeczony mojej siostry (ciemnowłosy, lepki typek koło trzydziestki, ze skórą przypominającą kostropatą jaworową korę... który

ma perspektywę przeniesienia do Chicago, więc nigdy już mnie nie zobaczy, zatem co ma do stracenia) gapi się na mnie i stoi tak, że widzę, iż ma w spodniach jakieś brudne myśli. No i jest pijany trochę bardziej niż trochę, co zresztą wydaje się całkiem zrozumiałe, gdy ktoś ma się ożenić z suczą królową wszystkich czasów.

W każdym razie sięgam po szlafrok - tylko że mam go w szafie i muszę się zadowolić serwetką z toaletki, zrzucając z niej najpierw kilkanaście butelek z moją najlepszą tanią wodą kolońską. Pokój natychmiast zaczyna cuchnąć, jak musi cuchnąć burdel, tak przynajmniej przypuszczam, bo Walter natychmiast się podnieca.

- Nie zakrywaj się, Ginnie - uśmiecha się. - Jesteś bardzo ładna. Tam, do diabła, jesteśmy przecież rodziną. Wyglądasz tak samo jak parę lat temu musiała wyglądać Mary Ann.

- Chyba lepiej, żebyś się stąd wyniósł.

- Daj spokój, Ginnie. Taki śliczny dzieciak jak ty? Nie powiesz mi, że się nie zabawiasz.

- Walter, mam dopiero piętnaście lat!

- Taa? Kiedy ja miałem piętnaście...

- Mam okres. - Co, do licha, kiedy się stoi pod ścianą, trzeba próbować.

Roześmiał się i podszedł do mnie, starając się wyglądać niegroźnie, ale wydawał się mniej więcej tak łagodny jak Godzilla.

- Ginnie...

- Naprawdę, Walter. To pierwszy dzień i zawsze bardzo obficie krwawię.

- Cóż - mrugnął - są inne rzeczy, które możemy zrobić.

Chryste, myślę, czyżby reputacja mojej siostry sięgała aż tak daleko?

- Nie wiem, o czym mówisz. - Nie wiedziałam, cholera. Ale jeśli nie wiedziałam, odgłos rozpinanego zamka błyskawicznego mógł podsunąć mi bardzo wyraźną wskazówkę.

- Słuchaj, dziecko, żyjemy w nowoczesnym świecie. I nikomu nie dzieje się nic złego, kiedy ludzie się lubią. To znaczy, przecież my się lubimy, prawda?

- Nie. Ja wcale cię nie lubię.

- Tak? Ale to lubisz, prawda?

- Nie, nie lubię. - Symulując ignorancję: - A co to jest?

- Dziewięć cali do twojej buzi, maleńka.

- Nie, dzięki. Mam dwie luźne plomby. - Zawsze byłam znana z dziwnego poczucia humoru, lecz Walter się nie śmiał. Toczył się w moją stronę jak jakiś dumny farmer, który próbuje wykryć wodę za pomocą różdżki z czerwoną główką. - Lepiej się stąd wynoś, Walter, zanim zawołam ojca.

- Nie paraduje się nago, jeśli się nie czeka, żeby mężczyzna zareagował, ty mała podpuszczalska.

Zaczęło to wyglądać paskudnie, był zniecierpliwiony, coraz większy i coraz bliżej.

- Rany, po prostu nie wierzę. Masz się ożenić z moją siostrą!

- To nie ma nic do rzeczy. To sprawa między tobą a mną. Tu i teraz. Nie powiesz mi, że nie jesteś podniecona, ty mała dziwko.

- Rany, Walter, niezły z ciebie numer. - Starłam się dotrzeć do łazienki. Gdybym tylko zdołała dojść do łazienki, mogłabym zamknąć drzwi na klucz i....

Nabrał podejrzeń i przesunął się, żeby odciąć mi drogę odwrotu.

- Dokąd to, Ginnie?

- Do łazienki. Mam też biegunkę.

Zatrzymał się - na ułamek sekundy. Ale to wystarczyło, żebym zdążyła wykonać swój ruch, więc rzuciłam się do łazienki, zamknęłam za sobą drzwi... i roześmiałam się.

- Niech cię cholera, smarkulo! To nie jest śmieszne!

Śmieszne czy nie, nagle olśniła mnie wielka prawda na temat kobiecej samoobrony. Śmiech. Facet za bardzo się przystawia - wyśmiej go. To chyba najbardziej destrukcyjne działanie, jakie może podjąć dziewczyna.

Odezwał się trochę spokojniej.

- Ginnie, przepraszam. To dlatego, że tak świetnie wyglądałaś. Zaskoczyłaś mnie. Strasznie bym nie chciał, żebyś powiedziała Mary Ann.

- Nie powiem. Jestem tak samo winna jak ty. - Nie miałam pojęcia, co to znaczy.

- I nikomu nie powiesz?

- Żywej duszy.

- Okej. Teraz wychodzę, Ginnie.

- Zostań albo idź, Walterze. Mnie to nie obchodzi. - Odkręciłam kran.

- I... przepraszam. Naprawdę. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Ginnie?

Nie odpowiedziałam, puściłam wodę na pełen regulator i weszłam do wanny, przepelniona zdumieniem na temat rodzaju ludzkiego, ze szczególnym uwzględnieniem mojej rodziny. Ale nad wspomnieniem tej dziwacznej komedii przeważało przekonanie, że gdzieś tam są faceci, którzy wycelowali we mnie swoje penisy i niech to diabli, jeżeli nie próbują dostać mnie w swoje łapy, oczywiście niedosłownie. W innych okolicznościach może i zrobiłabym Walterowi tę grzeczność. A co, do cholery, nie był aż taki zły. Nie był potworem. I jeśli nawet nie miał dziewięciu cali, i tak był przynajmniej o osiem dłuższy niż to, co byłam wówczas gotowa przyjąć.

Zresztą Douglas Pennington (moje pierwsze walenie) też wcale nie był taki obrzydliwy. To tylko sytuacja była obrzydliwa. Właściwie, kiedy o tym pomyślę, mały Douglasa wyglądał raczej milutko i z najwyższą przykrością trzasnęłam go drzwiami. Czulałam się, jakbym utopiła szczeniaka. Zrobiłam to tylko dlatego, że zachował się tak prostacko. Gdyby mnie ładnie poprosił albo zabrał na tańce, albo recytował miłosny wierszyk - może udałoby się nam jakoś dojść do porozumienia.

Kiedy to wszystko podsumować, wychodziło, że Mary Ann mogła bawić się w ujeżdżanie na chybcika, ale ja najwyraźniej miałam zapotrzebowanie na coś więcej niż miętolenie kawałka mięcha ciśniętego mi w twarz, bez stworzenia okazji do powiedzenia w tej kwestii czegokolwiek oprócz „gulp”.

Leżałam w ciepłej wannie i badałam swoje słodkości. Miałam skończone piętnaście lat i cały sprzęt gotowy do akcji. Zabawnie będzie sprawdzić, jak długo wytrzymam.

Rozdział 3

Ben

1949

W pięciopiętrowym budynku bez windy na East Eighties samotnie czytałem poezję, nie tyle po to, żeby czegoś się z niej nauczyć, ile po to, żeby wprowadzić się w depresyjny nastrój. Czyż może być lepszy sposób na borykanie się z tym, co przynosi ubóstwo, niż czytać, jak inni poeci byli przez nie udęczeni? Nie żebym uważał się za poetę, wcale nie. Nie uważałem się nawet za pisarza. Po prostu identyfikowałem się z poetami i pisarzami, ponieważ dysponowali tym, co potrzebne do utrwalenia swoich doświadczeń na papierze, tak by inni mogli je poznać, czerpać z nich i w jakiś sposób obrócić na swoją korzyść. I nie żebym sam odnosił jakąś korzyść, wcale nie. Ledwie mogłem to znieść.

Były to moje dwudzieste pierwsze urodziny i uczciłem je winem za dziewięćdziesiąt dziewięć centów; dostałem je z pięćdziesięciocentową zniżką, bo nikt nie kupiłby takiego taniego wina, chyba że byłoby naprawdę tanie - na przykład za czterdzieści dziewięć centów. Na półce z alkoholami stały trzy butelki tego wina, czekały w sklepie tak długo, że kiedy tam dotarłem, miały siedem lat. Nigdy wcześniej żaden człowiek nie nabył trzech butelek villa cosenza za dolara i czterdzieści siedem centów. I nigdy wcześniej żaden właściciel sklepu z alkoholami nie pozbył się ich z większą radością.

Uczciłem moją samotność, wznosząc pierwszy kieliszek za urodę Elizabeth Satterly, tej o żółtej aurze i nierealnym obliczu. Wszczepiłem jej obraz w swoją świadomość tak mocno, że po raz pierwszy od przybycia do Nowego Jorku zdałem sobie sprawę z faktu, że nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Ani razu przez te wszystkie lata nie powiedzieliśmy do siebie nawet „Dzień dobry” - „Jaka śliczna żółta sukienka” - „Czy Piraci zdobędą proporzec?”. A jednak miałem wrażenie, że znam dźwięk jej głosu, jego liryczny tembr- słodki i dźwięczny jak głosik wróżki, bez śladu nosowej pittsburskiej wymowy czy charakterystycznego dla zachodniej Pensylwanii zlewania głosek. Zdumiewające, jak marzenie znieczula

na rzeczywistość. Oczywiście znieczulenie musi z czasem osłabnąć. I dwudzieste pierwsze urodziny były na to równie dobrym momentem jak każdy inny.

- A więc żegnaj Elizabeth Satterly - powiedziałem, a głos mój odbijał się od ścian mieszkania tak brutalnie poetycką nutą, że wydobyłem z siebie skargę. - Żegnaj lekki kroku, wdzięczna postawo. Adieu szare oczy, słodkie wargi, figlarne piersi, których nigdy nie posiadę, na zawsze skryte w mrocznych zakamarkach okrutnej wyobraźni, twój głos cudowny nie zadźwięczy już w moim uchu... bo, szczerze mówiąc, nigdy w nim nie zadźwięczał.

Publicznie nigdy tak nie mówiłem, zresztą pokażcie mi poetę, który by to robił? Czy Szekspir, wstawszy o poranku, kiedykolwiek ozdabiał swą wymowę sonetem? Czy raczej przeciągał się, puszczał bąka i wrzeszczał na dziewczynę: „Nuże, dziewczko - dawaj tu, a żywo, placka i ruszże dupsko”?

Mój rym pasował do wina w takim stopniu, że z obu rzeczy lepiej było zrezygnować - z Elizabeth Satterly i villa cosenza; pierwszą usunąć w odległy zakątek magazynu wspomnień, drugie wylać do zlewu, pryskające jak kwas, który to dźwięk przekonał mnie o tym, co podejrzewałem od początku, że mógłbym dostać każdą z tych butelek za trzynaście centów, bo tyle wynosiła aktualna cena octu.

Mniejsza z tym, pomyślałem, zaznaczyłem w ten sposób nowy początek, przykry smak pomógł mi pogrzebać okres dojrzewania i Pittsburgh, dwa składniki mojego (do poprzedniego wieczoru) pozbawionego znaczenia życia, składniki, o których najchętniej bym zapomniał.

Po średniej szkole obijałem się bez celu. Dorywcza praca tu, jeszcze bardziej dorywcza tam. Pracowałem w piekarni, warsz tacie, fabryce pudelek i A&P⁵. Na złomowisku Carmody'ego płacono mi, żebym obdzierał padlinę martwych samochodów ze wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość. A w sklepie tytoniowym Pattersona zadurzyłem się w dobrych cygarach.

Cygara, światło mojego życia, wyidealizowane przez Somerse- ta Maughama za pomocą ody, którą Ivan Patterson oprawił w ramki i umieścił na jednej ze ścian swego sklepu. Zaczynała się tak: „Niewiele jest

⁵ A&P, sieć sklepów kolonialnych

rzeczy lepszych niż dobre cygaro", a kończyła: „Bo ludzie ci długie lata prażyli się w tropikalnym słońcu, a statki przetrząsnęły Siedem Mórz". Zrobiła na mnie takie wrażenie, że zapamiętałem ją i do tej pory nie zapominałem, gdyż jak w tej samej odzie zauważył sam Maugham: „To jedyna ambicja, której spełnienie nigdy nie nappełniło mnie goryczą utraty złudzeń".

Ukradłem Ivanowi Pattersonowi jakieś trzy tysiące cygar, i to nie taniochy. Hawany, jamajki, upmannsy, monte cristosy, tempie hallsy i reina isabele. Do czasu gdy skończyłem dziewiętnaście lat, paliłem dziesięć cygar dziennie i zadawałem niezłego szyku, pykałem don diego za dolara od sztuki, przechadzając się w butach za osiem dolców.

Moja matka uznała to za znak, że zarabiam masę pieniędzy. Ojciec wyciągnął prawidłowy wniosek, że notorycznie dopuszczam się drobnych kradzieży. Nie był zły, zasugerował jedynie, żebym poszerzył horyzonty i postarał się o pracę u Tiffany'ego. Tą uwagą zdobył moje serce i od tamtej pory lepiej się nam układało. A kiedy mu powiedziałem, że chcę się wynieść z Pittsburgha, dał mi pieniądze na bilet autobusowy, żebym mógł wyjechać. Nigdy nie należał do czułościowych, do tych, którzy ujawniają uczucia, ale gdzieś w głębi, pod twardą skórą, dorastał sukinsyn do wielkiego cienia, jaki rzucał. I nagle się domyśliłem, jak matka mogła go kochać mimo bijącej w oczy niewrażliwości.

Powiedzieli mi do widzenia, jakbym wyjeżdżał na weekend. Albo mieli klasę, albo byli zadowoleni, że się mnie pozbywają. Tak się składa, że stawiałem na to pierwsze. Przez lata odkryłem, jak często ludzie, którym najslabiej się powiodło, mają największą klasę.

Przybyłem do Nowego Jorku na pokładzie greyhouna, który powinien zostać poddany eutanazji, taszcząc walizę, którą Willy Loman⁶ na zawsze pozostawiłby w schowku na stacji metra. Miałem też spory zapas cygar - dokładnie mówiąc, setkę, ostrożnie wykradzionych z utrzymujących stały poziom wilgotności skrzynek Ivana Pattersona - i związany z nimi plan działania. Zamierzałem palić jedno codziennie, po każdym obiedzie, i w chwili kiedy rozprawię się z całą setką, mieć za sobą znaczną część drogi do sukcesu. To był niezły plan, zasięgiem i pozio-

⁶ Willy Loman - bohater *Śmierci komiwojażera* A. Millera.

mem szaleństwa dorównujący planowi Napoleona w kwestii zdobycia Moskwy.

Wprowadziłem się na Czterdziestą Siódmą Ulicę Y, gdzie człowiek mógł przeżyć za pół dolca dziennie. Za tę kwotę mógł też umrzeć, więc gra toczyła się o to, żeby utrzymać się gdzieś pośrodku, dopóki skądś nie nadejdzie pomoc. Podjąłem pracę jako sprzedawca kartek, głównie dlatego, że światło tam było dobre i mogłem zobaczyć, co pisali poeci roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego:

Róże czerwone są i fioletowe bzy, Cukier ma słodki smak, Lecz słodsza jesteś Ty.

albo

Kochanemu siostrzeńcowi W dniu urodzin życzę zdrowia - Bzy fioletowe i róże czerwone Wskażą Ci życia szczęśliwą stronę.

Zwykle koło południa czułem się niedobrze, a w porze wyjścia z pracy prawie zbierało mi się na wymioty. Ale dostawałem czterdzieści pięć dolarów na tydzień, co oznaczało, że gdybym nie jadł ani nie kupował nawet koszuli, mógłbym wieść życie z Kafkowską swobodą.

Na duchu podnosiły mnie moje cygara, każde kolejne pojawiające się po dniu pustki czy mdłości. Zapalałem i dym niebiesko kłębił się nade mną, wiotkie wspomnienie, które nadawało ślad sensu nudzie i otwierało drzwi do nowego dnia.

Po trzydziestu siedmiu cygarach z rzędu poszedłem na kilka ustępstw w związku z brakiem postępów w realizacji planu. Ominę po cygarze tu i tam. I tak po pięćdziesięciu dniach miałem na swoim koncie wypalonych dopiero czterdzieści, a po dziewięćdziesięciu zaledwie sześćdziesiąt. Zostało mi dwadzieścia siedem cygar, kiedy w moje życie wkroczył Don Cook, by zaczepić mnie i zapytać:

- Co palisz, flor de a. allones czy ramon cifiientes partages?

Wystarczyłoby chuchnąć na mnie dymem z schimmelpennincka⁷, żebym siadł na tyłku, taki byłem zaskoczony. Ten facet, niewiele starszy ode mnie, choć wyraźnie lepiej ubrany i na pierwszy rzut oka widać, że znacznie bardziej światowy, namierza nazwę cygara, które palę.

⁷ Schimmelpenninck, marka cygar prod. holenderskiej.

- Zgadnij - zaproponowałem.
- Ale to któreś z tych dwóch?
- Tak.
- Flor de a. allones.
- Źle. Spróbuj jeszcze raz.
- Flor de a. allones.
- Zgadza się.
- Próbowaleś mnie zmylić. Czemu?
- Żeby sprawdzić, czy nie zmienisz zdania.
- To cygaro za sześćdziesiąt centów.
- Owszem.
- Ktoś, kto nosi sukienną kurtkę, nie pali cygara za sześćdziesiąt centów, chyba że kradnie.
- Nie kradnę kurtek.

Ta wymiana zdań zdarzyła się na rogu Szóstej Alei i Zachodniej Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Staliśmy tam, przerzucając się ripostami, próbując dowieść własnego sprytu. Uzyskaliśmy remis, więc uczciliśmy to filiżanką kawy, każdy z przekonaniem, że to tamten płaci.

Stanowiliśmy dziwną parę, ja w sukiennej kurtce i stroju według pittsburskiej mody - on w będących synonimem sukcesu Braciach Brooks i fedorze od Thomasa Begga, z tyrolskim piórkiem. A jednak ja miałem kieszenie pełne cygar za sześćdziesiąt centów, podczas gdy on pykał z fajki nabitej sir Walterem raleighiem za grosze. Także wyglądające z jego rękawów mankiety koszuli były przetarte, a nieskazitelnie zawiązany, wąski krawat z prążkowanej tkaniny najwyraźniej dożywał swoich dni.

Don Cook był najbardziej imponującym dwudziestotrzyletnim mężczyzną, jakiego w życiu widziałem, chociaż wytwornym wytwornością powierzchowną i podniszczoną. Wyglądał jak reklama wystawnego życia dla kaprysu zamieszczona w „Młodym techniku”. Co więcej, wiedział, że ja o tym wiedziałem.

Mierzył mnie wzrokiem snajpera, który nigdy nie chybia.

- Pozwól, że zgadnę. Jesteś z New Haven. Nie... z Nowego Brunszwiku.
- Z New Delhi. Drugie pokolenie pariasów.

Wymknął mu się uśmiech, chociaż starał się go powstrzymać, i nawet uśmiech miał imponujący, w jego chudej twarzy błyszczało dzieło ortodoncji warte tysiące dolarów, chociaż górne siekacze były jak u królika.

- Nazywam się Don Cook.

- Ben Webber.

- Zasadniczo pochodzę z Hartfordu, jestem synem ludzi, którzy wielokrotnie się rozwodzili, a mnie ubrali w brzoskwiniowe lniane garnitury i zażądali, żebym sobie poszedł.

- A ja z Pittsburgha i nigdy w życiu nie miałem lnianego garnituru.

Don Cook publicznie mówił tak jak ja, gdy dałem się unieść poezji. Nie cały czas, ale ja nigdy tego nie robiłem. Doszedłem do wniosku, że to wszystko brawura, odrobina W. C. Fielda, szczypta Johna Barrymore'a, jak dziecko, które dyryguje niewidzialną orkiestrą symfoniczną przekonane, że to *Aida*, a jednak podejrzewa, że chodzi o popularną piosenkę.

- Chcę, żeby od początku było dla pana jasne, że jestem stuprocentowo i beznadziejnie heteroseksualny i nie robię żadnych planów dotyczących ciała, które kryje pan pod tą końską derką w kolorze gówna, jakiegokolwiek by było.

- Ja jestem lesbijką.

- Benjaminie, zmagam się z niefortunnym losem i nie jestem w stanie zapłacić za tę kawę. Ufam, że nie zrobisz z tego powodu sceny.

- Sceny nie będzie, lecz zrezygnuj z donata.

- Jadam raz dziennie w klubie Yale. Napycham się tam za dolara i często daję radę wytrzymać bez repety przez dwa dni. To jedyny powód moich wizyt w Yale. Jeśli nie możesz mi pomóc, przed godziną zjadłem swój ostatni posiłek.

- Poczęstuj się cygarem. - Podąłem mu jedno z moich flor de a. allos i zapalił je z idealną precyzją, trzymając zapałkę pół cala od końca i z królewską gracją regulując wysokość płomienia, powoli obracając cygarem, żeby żar nie skupił się w jednym miejscu. I nagle usłyszałem, jak Somerset Maugham mówi: „Nieźle zapalone”.

Don Cook miał klasę od czubka nosa po chudy tyłek. Mniejsza o to, czy umarłby w przytułku, czy pod kołami ciężarówki rozwożącej piwo, ten, kto zbierałby jego doczesne szczątki, wiedziałby, że ma do czynienia z prawdziwą klasą. W miejscu, gdzie nos Dona zaczynał lekko tracić linię, widniał garbek, ale już podbródek był zgrabnie wykrojony, a oczy,

przejrzyście niebieskie, patrzyły wyzywająco; wrażenie potęgowało to, że rzadko mrugał. Każdy brązowy włoszek posłusznie leżał na miejscu, szcześnie z czoła wieńczyły szlachetną brew. I choć był wąski w ramionach, szyja zdradzała „siłę na żądanie”.

- Ben - powiedział. — Patrolowałem ulice w poszukiwaniu współlokatora. Czynnysz mam opłacony do końca miesiąca, ale spiżarnia świeci pustką. Zapełnij ją puszkowaną żywnością i krakersami Ritz, daj mi od czasu do czasu cygaro, a z dumą będę dzielił z tobą własnego pecha aż do końca dni. Jestem znakomitym kucharzem, gosposią i złodziejem żarówek, błyskotliwym partnerem do rozmowy i niezrównanym tancerzem. Nie wiem, czego więcej oczekujesz od mężczyzny. Przemyśl to, bo drugiej takiej propozycji dziś na tej ulicy nie dostaniesz. - Strzepnął popiół i od tamtej pory tak go wspominam... Dickensowski anachronizm, człowiek, który urodził się wiele lat za późno, mijając się z przeznaczonym mu czasem.

Poszedłem do jego mieszkania, czując się jak David Copperfield w towarzystwie dwudziestowiecznego Steerfortha. A wlokąc się za nim przez pięć pięter, nie mogłem nie zauważyć, że cholewki opadają mu na gumowe obcasy. Kilka kolejnych przechadzek i będzie po obcasach. Krótko mówiąc, cały strój Dona Cooka zbliżał się do etapu ostatecznego zużycia - a jednak nic w jego zachowaniu nie wskazywało, by umysł i duch znalazły się w stanie podobnego rozkładu. Tyrolskie piórko przy fedorze grało na nosie wszelkim przeciwnościom. Znalazłem się w towarzystwie nieugiętego ducha i rozjaśniało to moje życie.

Mieszkanie było z rodzaju kolejowych, korytarz leciał prosto jak strzełił, a pokoje rykoszetowały z lewa na prawo. Kuchnia, łazienka, kącik jadalny, coś w rodzaju salonu, sypialnie - dwie lub trzy, właściwie nie dało się stwierdzić - z których jedna należała do niego, a druga mieściła jakąś dziewczynę.

Gdy minęliśmy pokój z dziewczyną, Don zdawkowo zasygnalizował jej obecność; w ten sposób przewodnik mógłby wskazać lokalną atrakcję.

- To Alice... a tu jest kuchnia. Lodówka, choć stara, wciąż zasługuje na zaufanie, chociaż zamrażalnik wysiadł i mamy tam pewną ilość resztek. Szczególnie ryba niesie ze sobą ryzyko spożywcze i...

- Kim jest Alice?

- To dziewczyna, którą kiedyś znałem.

- Rozumiem. A teraz jej nie znasz.

- Ledwo co. - Spojrzał na mnie, rozumiejąc, że moje milczenie nie może pozostać bez komentarza. - Ben, Alice to światło, które zgasło. Świeciła przez pewien czas, a potem się przepaliła. Kiedyś ją kochałem, ale teraz zostaliśmy tylko kumplami.

- Czemu wciąż tu jest?

Don wyraził zdumienie moim pytaniem.

- Benjaminie, to jej mieszkanie. To ona mnie utrzymuje. Uważam, że to miło z jej strony, że nie każe mi się wyprowadzać, nie sądzisz? - Próbował zakończyć dyskusję.

- Owszem.

- Nie mówmy o tym więcej. - Ruszył dalej. - Kran przy zlewie, jak widzisz, nieustannie cieknie, lecz jeśli zamknie się na noc drzwi do kuchni, nie stanowi to problemu. Także ciśnienie wody aż nazbyt często pozostawia co nieco do życzenia, i kiedy stoisz pod prysznicem, woda będzie lecieć ci na głowę strumieniem od silnego po skąpy, jak dziecięce siuski.

- Przepraszam...

- O co chodzi? - chciał mnie onieśmielić, zirytowany ciągłym przerywaniem, nie bojąc się wyrazić dezaprobaty wysunięciem podbródka.

- Alice cię utrzymuje?

- Tak.

- A kto będzie mnie utrzymywał?

- Alice.

- Czy ona o tym wie?

- A widziała, że przechodziłeś?

- Tak.

- W takim razie wie.

-Panie Cook, albo dostanę proste odpowiedzi, albo wygnę pański nos w przeciwną stronę. - Nie mógłbym być bardziej bezpośredni.

- Siadaj, Pittsburgh.

- Pieprzę cię, Hartford. Wychodzę.

- Pozwolisz, żeby poróżniła nas dziewczyna?

-Skąd mam wiedzieć, że to dziewczyna? Widziałem tylko twarz na prześcieradle.

-To dziewczyna. Czy w innej sytuacji mogłaby mieć na imię „Alice”? Ben, usiądź. Proszę.

Usiadłem na krześle, z którego sprężyny wyskoczyły mi na spotkanie.

- Co to jest, do cholery? Wesoły domek?

Don wyznał wszystko.

-Alice jest stewardesą. Słyszałeś o TWA? To jej mieszkanie. Często jej nie ma, wyjeżdża i wraca. Lubi mieć na miejscu kogoś, kto, że tak powiem, dopilnuje całości. Dozorcę, jeśli wolisz. I tyle.

- Nie, to nie wszystko. Jest coś jeszcze.

-Cóż... lubi też jakby... mieć mężczyznę pod ręką. Rozumiesz... dla obrony przed brakiem uczucia.

-Zaraz, nie wiem, czy dobrze rozumiem. Zostałem tu sprowadzony jako... jako twój zastępca?

- Mój następca.

- A co z tobą?

- Życie idzie naprzód.

-Alice płaci czynsz. Ja zapewniam krakersy i siłę roboczą, a ty co robisz? Nic?

-Jesteś nieuprzejmy. W chwili obecnej nie mam zatrudnienia, ale gdy już znajdę odpowiednią pracę, oboje będziecie zadowoleni, że pozwoliliście mi zostać. - Rozpogodził się, kreśląc fantastyczne wizje. - Ja będę przygotowywał pieczeń, nalewał beaujolais i czytał wam głośno... podczas gdy ty i Alice będziecie biesiadować na perkalu, celebrując młodość. Jednakowoż - głos Dona spadł o oktawę - jest pewien kruczek.

- Aha!

- Musisz pomyślnie przejść próbę. Alice, oczywiście, nie ma czasu na poszukiwania i mnie pozostawiła dokonanie właściwego wyboru. Ale nie mogę wepchnąć jej pierwszego z brzegu. Ostateczna decyzja musi należeć do niej. - Zerknął na zegarek. - Zgłoszenia należy zakończyć przed północą; liczą się schludność i oryginalność, decyzja Alice ma charakter ostateczny.

- Jasna odpowiedź. A czemu ty wypadasz?

- Bardzo pragmatyczny z ciebie facet, cecha niezwykle deprymująca w tym będącym ostoją złego gustu świecie, w którym żyjemy.

- Masz dziesięć sekund na odpowiedź albo już mnie nie ma.

- Za tobą nie będę tęsknił, lecz twoich cygar będzie mi brakowało. A więc pozostań.

- Pozostaję, ale tylko przez najbliższe pięć sekund.

Westchnął i przekazał pożądane informacje.

- Nie denerwuj się, chodzi nie tylko o Alice. Jest Susan.
- Susan.
- I Jessica.

- Wyjeżdżają i wracają. Zwykle przez kilka nocy w tygodniu żadnej nie ma. Lecz na tej samej zasadzie często bywają noce, kiedy są dwie. Nigdy trzy. Nigdy nie zdarzyła się noc, żeby były wszystkie trzy. Przysięgam, mój dobry człowieku. Nie wciskałbym ci kitu.

- Jezu Chryste! Co to za dziewczyny?

- Są kochane.

- Ale., żeby tak żyć?

- Benny, Benny, Benny... to stewardesy. Są ze śmiercią za pan brat.

W każdym dowolnym momencie, podczas dowolnego lotu, wszystko może się skończyć. Ciach i już. Więc kiedy wracają do siebie do domu, lubią pokosztować trochę z tego, co w życiu dobre... trochę pieprzenia, trochę lizania... to zrozumiałe. Gdybyś był stewardesą, zrozumiałbyś. Dobry Boże, wystarczy, że tak mało im płacą.

- Taki z ciebie światowy człowiek, jak to możliwe, że sam sobie z tym nie radzisz?

W jego głosie zabrzmiała nutka desperacji.

- Radzę sobie... do pewnego stopnia. Ale czasem nie wstaję z łóżka przed czwartą po południu. I często, kiedy już wstanę, jestem zmęczony. Zbyt zmęczony, żeby pójść na spotkanie w sprawie pracy. A gdy już zdołam zebrać dosyć siły, żeby poszukać pracy, wyglądam jak gówno. - Z lekka oklapł. - Mówię ci, Ben, to naprawdę problem. Znalazłem się w sytuacji wymarzonej przez każdego młodego człowieka, każda moja fantazja seksualna jest zaspokajana, i to przez ekspertów, ale to mi daje w dupę. I żyję w strachu, że kiedy wreszcie dostanę porządną pracę, będę na rencie albo w agonalnym stanie.

Musiałem się roześmiać. To była najbardziej pokręcona historia, jaką w życiu słyszałem. Na dźwięk mego śmiechu Don nabrał otuchy, interpretując go jako zwycięstwo swojej logicznej argumentacji nad moją krótkowzroczną głupotą. Porzucił styl sceniczny i zwrócił się do mnie jak do kumpla.

- Ben, będę z tobą szczery. Panienki są trochę napalone. Zdaje mi się, że ten układ tak je nakręca. Zdaje mi się, że w innej sytuacji byłyby nor-

malne albo prawie... ale tutaj? Pomogę ci, kiedy tylko dam radę, lecz sam już sobie nie poradzę. Zaproponowałem, że będę sprowadzał facetów dorywczo, one jednak tego nie kupią... to by zrobiło z nich kurwy, a ze mnie alfonsa. W tej kwestii są bardzo staroświeckie, w pewnym sensie uroczą monogamiczne, co uważam za bardzo sympatyczne, ale nie jestem Brighamem Youngiem⁸. Nie mam też trzech fiutów, a ostatnimi czasy ten jeden, którego mam, wyraźnie się ukrywa. Zwróciło to uwagę dziewcząt przy niejednej okazji i dostrzegły, że mądrze jest mieć w wigwamie więcej niż jednego samca, zakładając, oczywiście, że potrafi stać prosto. Ben, będą tobą zachwycone. Jesteś bystry i masz dobrą postawę, nosisz stosowne buty. Jeżeli urządzimy pogrzeb twojej kurtce i wydamy parę dolców na krawat z Wembley, Ben, jeżeli obaj włożymy kutasy w ten interes, damy radę. Alice nie jest zła. Trochę bezbarwna, ale zgrabna. Susan? Pokochasz Susan. Jeden orgazm i zasypia. Czasami śpi nawet przed orgazmem i wtedy można zachować siły na kolejny dzień. I uwielbia przygotowywać śniadania. Świeży sok pomarańczowy, Ben.

- Żadnego mrożonego gówna. I odcedza wszystkie pestki i miąższ. Ben, przysięgam, czasem mi się zdaje, że gdyby ssać jej cycki odpowiednio długo, dawałaby mleko.

- Wygląda na miłą, przyjacielską osobę.

- W takim razie umowa stoi.

- A co z Jessicą?

- Nie ma sprawy. Rzadko przyjeżdża.

- Nie o to pytałem.

- Wiem.

- A co z Jessicą?

- Cóż... jest duża.

- Jak duża?

- No... jakieś sześć stóp wzrostu.

- A waga?

- Mniej więcej taka, jak przeciętnego DC-trzy. Ale Ben... ma piękne oczy!

- A ile śmigieł? Na razie, Don. - Ruszyłem do wyjścia.

Zatrzymał mnie.

⁸ B. Young (1801-1877) - przywódca wspólnoty religijnej mormonów; mormoniizm dopuszcza wielożeństwo.

-Właściwie nie rozumiem, co masz do stracenia. Spróbuj przez tydzień. Spróbuj przez jedną noc. W tym mieście za sześćdziesięcioprocentowe cygaro nie dostaniesz nawet kiepskiej dziwki. Opracujemy jakiś plan. No i są wakacje. Dziewczyny mają wakacje, Ben. Na wakacje latają w egzotyczne miejsca. Tybet, Samoa, Saturn... Będziesz miał wolne. Możesz chodzić do kina, palić cygara, rzeźbić w mydle. Ben, jesteś w dobrej formie fizycznej. Ja nie, ale ty owszem. Do czasu pierwszego zawału będziesz świetnie się bawił...

-Czemu nie znajdują sobie facetów w liniach lotniczych? Czemu potrzebują ciebie i mnie?

-Polityka firmy. Linie krzywią się na zbytnią zażyłość. Zwłaszcza TWA. Alice i Susan są w TWA. Jessica pracuje w Allegheny, oni nie są tacy zasadniczy, lecz muszę ci coś wyznać. Jessica raz przyprowadziła do domu pilota, ale wszyscy zaczęli gadać, bo podczas następnego lotu facet się rozbił. Facet był wrakiem, kiedy rano stąd wychodził. Powinienem go zatrzymać, myślałem jednak, że się weźmie w garść. Powinienem przynajmniej zadzwonić na lotnisko i anonimowo ich zawiadomić, że tego dnia jeden z pilotów nie da rady poderwać swojego ptaszka, ale tego nie zrobiłem. Nie chciałem go stracić. Byłem... samolubny.

W tym momencie dosłownie kulałem się po podłodze ze śmiechu. Nie miałem pojęcia, ile z tego, co mówił Don, było prawdą, a ile fikcją. Wiedziałem jedynie, że w ciągu dziesięciu minut Don poszedł wyprowadzić psa (którego nie miał), a ja, z opuszczonymi do kostek spodniami, stałem w parnym pokoju Alice. Światło było przyćmione, lecz zauważyłem, że obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem. Potem usiadła i przejechała dłonią po moim brzuchu, zważyła w rękę jądra, jakby mieszała kostki do gry przed rzutem, chwyciła penisa, jakby chciała napompować nim wody - by w końcu wprowadzić mnie w siebie, jak wprowadza się kucyka do stajni. I przez cały czas nie odezwała się słowem. Żadnego gadania „kawy, herbaty czy mleka” ani „przepraszam, ma pan rozpięty rozporek”.

Ani Alice, ani Don nie wiedzieli, że mają do czynienia z prawiczkim. I tak się złożyło, że przy moim pierwszym razie nie widziałem dziewczyny, nie zamieniłem z nią ani słowa, nawet jej nie pocałowałem. Po prostu opuściłem spodnie i pieprzyłem, dochodząc w niej bez namiętności, wstydu czy chwalebnej wprawy - tryumf ruchów frykcyjnych, poemat bez słów, muzyka bez muzyki... sama perkusja, rytm i bębny.

Choć po zastanowieniu muszę przyznać, że było to stosunkowo podniecające, pomijając fakt, że nazywała mnie „Murray”, bez czego mógłbym się obejść. Tej samej nocy Alice wyjechała. Poranny lot do Dallas.

Następnego popołudnia (jak już wcześniej wspominałem) siedziałem sam w mieszkaniu, przeniósłszy swoje rzeczy z Y. Po wzniesieniu toastu za pamięć Elizabeth Satterly moimi trzema butelkami villa cosenza, właśnie wylałem je do zlewu i zapalałem jedno z najlepszych jamajskich cygar, gdy weszła Jessica. Myślałem, że to zeppelin, ale były tam piękne oczy, zrozumiałem więc, że to Jessica. To wszystko, co pamiętam.

Gdzieś tak około ósmej rano usłyszałem, że do domu na paluszkach wkrada się Don. Czułem się jak Maggie czekająca na Jiggsa*⁹, siedząc tak w ciemnościach, kiedy Don usiłował przemknąć się do swojego pokoju. Włączyłem lampę i zastygł w miejscu niby postać z kreskówki *Tom i Jerry* (cały mój świat zmienił się w komiks). W ręku trzymał torbę, z której pachniało hamburgerem.

- Zgubiłeś psa? - zapytałem.
- Aaaaa, Ben.
- A spodziewałeś się może Brigham Younga?

Patrzył w stronę sypialni.

- Jessica?
- Albo ona, albo cała drużyna futbolowa.
- Nie. To Jessica. Nic ci nie jest?
- Doktor mówi, że ani się obejrzę, jak znów będę chodził.

-Cóż, początki zawsze są najtrudniejsze. Z czasem nauczysz się zabawnych sposobików.

- Wiedziałeś, że ma wrócić.
- Ja?
- Znałeś jej rozkład lotów.
- Powiedzmy, że miałem przeczucie.

-Alice i Jessica w odstępie niespełna dwunastu godzin. Chyba zostanę czempionem, trenerze.

-Wiedziałem, że dasz radę. No, jazda, wyznaj mi to. Było wspaniale, co? Czyż to nie zniewalające doświadczenie?

⁹ Maggie i Jiggs - bohaterowie popularnego komiksu G. McMansa, publikowanego w latach 1919-2000.

Uśmiechnąłem się. Miał rację. Samotne wzniesienie toastu za Elizabeth Satterly między pieprzeniem Alice i przetrwaniem ataku Jessiki miało swój urok.

- Nie było tak źle.

- Niech żyje Ameryka, co mały?

-Zechcesz mi podpowiedzieć, kiedy Susan zgłosi się po swoją należność?

-W środę. Masz dwa dni. Wróc do Y, trochę wodnego masażu, trochę sauny i będziesz jak nowy.

Roześmialiśmy się, wypaliliśmy po cygarze i zapomniałem o irytacji wywołanej zachowaniem mojego nieprawdopodobnego współlokatora. No i zostałem.

Don Cook to największy intrygant i najbardziej podstępny facet, na jakiego się w życiu natknąłem, ale żaden z jego postępów nie był naprawdę złośliwy. Taki wieczny uczeń. Życie było tylko fantem w grze, szkołą, do której się uczęszcza, a on żeglował po wzburzonych wodach i ponad nimi, strasząc piórka, o włos unikając katastrofy, ale nigdy nikogo nie raniąc i, na swój własny sposób, zawsze dając znacznie więcej, niż sam oczekiwał.

Po pewnym czasie z pokoju wychyłała Jessica ubrana w pomarańczowe kimono, dość duża, by przesłonić wschodzące słońce. Zjedliśmy hamburgery przyniesione przez Dona, za które zapłacił pieniędzmi podprowadzonymi wcześniej z mojej nieświadomej kieszeni. Oczywiście Don jako honorowy facet dał mi wekselek na te siedemdziesiąt pięć centów. W kolejnych latach miałem dostać cały szereg wekselków Dona Cooka. Wtedy były bezwartościowe, lecz później stały się bezcenne. Mam je gdzieś upchnięte, nie pamiętam gdzie, ale mam.

Jessica musiała lecieć do Rochester czy Binghamton i wkrótce była ubrana w swój uroczy strój stewardesy, w rozmiarze dla mamuta. Ucałowała każdego w policzek i, zapowiadając, że niedługo wróci, zrobiła w tył zwrot i poszła. Mieszkanie drżało lekko, kiedy schodziła po schodach. Don stwierdził, że to wyłącznie moja wyobraźnia, ale zauważyłem, że gdy wychodziła, trzymał się kaloryfera. Jako dżentelmen nie chciałem mu jednak tego wytykać.

Don wyraźnie odetchnął, kiedy zdał sobie sprawę, że na dobre czy na złe zostaje w tipi. I zapewnił, że to zarówno odważnie, jak i mądrze z mo-

jej strony, bo jeśli już nie co innego - to znaczy, jeżeli nie wyjdzie z tego nic dobrego czy pozytywnego - i tak pozostanie w moim życiu okres przejściowy, w którym przeleciałem TWA i Allegheny, i to pierwszą klasą.

Poszliśmy na Broadstreet, gdzie z Donem w charakterze doradcy na byłem sportową marynarkę i spodnie. U Wembleya zaopatrzyłem się w wielobarwny krawat, który jego zdaniem miał pasować do wszystkiego oprócz pieprzonej kurtki. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Don wpakował gdzieś moją pieprzoną kurtkę, mówiąc, że zawsze będziemy mieli ją pod ręką na wypadek, gdyby zapowiedział się z wizytą Jack London. Potem omówiliśmy kwestie finansowe.

Ja naturalnie byłem wypłacalny, mogłem liczyć na pracę w sklepie Kartki z Pozdrowieniami Rockwell przynajmniej do Bożego Narodzenia, czyli jeszcze kilka miesięcy. U Dona sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Nie miał pracy, wykorzystał opcje dostępne dla bezrobotnych, a jego ojciec (jeden z ojców) obciął mu wypłatę kieszonkowego. Był winien dwadzieścia dolarów Susan, trzydzieści pięć Alice i prawie sto Jessice, ale to w porządku, ponieważ także Jessica przyjmowała wekselki.

Pieniądze, które był winien dziewczętom, powinienem to zaznaczyć, nie zostały mu wypłacone jako ekwiwalent za świadczone usługi. Chodziło o żywą gotówkę pożyczoną w dobrej wierze, by przełamać pecha, i pewnego dnia miała zostać zwrócona, powiększona o osiem procent za każdy rok. Szanse dziewcząt na odzyskanie tych pieniędzy były mniej więcej takie jak szanse Anglii na odzyskanie Indii, więc albo panie należały do szczególnie szlachetnych, albo - interesująca myśl - Don wypadał w łóżku lepiej, niż chciał, żebym wierzył.

Don dostał pracę u Bloomingdale'a^{*10} jako kierownik pięt. Utrzymał ją przez tydzień, ponieważ dokładnie tyle trwało, zanim jego przełożeni odkryli, że nikim nie kieruje, zjada tylko porcje przeznaczone do degustacji w dziale delikatesów, oszczędzając w ten sposób pieniądze, które normalnie musiałby wydać w klubie Yale.

Podczas tego tygodnia miałem w mieszkaniu interesujące doświadczenie. Wróciłem po kolejnym dniu mojej pracy dla analfabetów w fabryce pocztówek i odkryłem, że zjawiała się Susan, trzecia z pań domu.

¹⁰ Bloomingdale's, od 1872 sieć eleganckich domów towarowych.

Przedstawiłem się jej, a ona przyjrzała mi się z ciekawością, bardziej rozbawiona niż zainteresowana. Następnie, mając za sobą formalności, kochaliśmy się. Po wszystkim zapytała mnie, czy jest lepszą dupą niż Alice i Jessica. Odpowiedziałem, że była znakomita pod każdym względem i w każdej kategorii. To z kolei sprowokowało Susan do szczerego śmiechu z tego mianowicie powodu, że wcale nie była Susan, lecz Alice. Kiedy pierwszy raz się kochaliśmy, w pokoju panowały takie ciemności, że właściwie nie widziałem jej twarzy. A potem wyszła tak wcześnie, że dopiero po ocknięciu się z transu zauważyłem jej nieobecność. Na szczęście Alice była z natury przyjacielska i obiecała nigdy więcej nie dokuczać mi z tego powodu, pod warunkiem że zmienię wodę po goleniu, której używałem, na coś odrobinę bardziej inspirującego niż olejek pimentowy. Pozwoliłem jej wybrać zapach i optowała za czymś francuskim - o ile sobie przypominam, za marką Guerlain. Wydała mi też jednoznaczny rozkaz, żebym używał jej wyłącznie, kiedy będę z nią, nigdy przy żadnej z pozostałych dziewcząt.

Wkrótce potem Don dostał pracę w 20th Century Fox, w dziale pocztowym. Jako goniec za trzydzieści osiem dolarów tygodniowo. Skromna pensja go nie martwiła, cieszył się, że trafił do show-biznesu, dziedziny, którą zawsze uważał za pociągającą. Czuł się szczerze zaskoczony, kiedy dostał tę posadę, ponieważ wszyscy pozostali zatrudnieni młodzi ludzie byli żydami - skutek swego rodzaju odwrotnej bigoterii, bo w tamtych czasach duże agencje reklamowe, mające siedziby w Nowym Jorku, w swoich działach pocztowych zatrudniały wyłącznie prezbiteriańskich członków Ivy League - żadnej hołoty. Tak więc wytwórnice filmowe, a wszystkie utrzymywały w Nowym Jorku personel odpowiedzialny za reklamę, jakby w odwecie wobec agencji reklamowych zatrudniały wyłącznie żydów, paru katolików, kapkę czarnych, szczyptę Portorykańczyków i okazjonalnie jakiegoś wyrzutka. Don doszedł do wniosku, że prześlizgnął się pod szyldem „wyrzutek”.

- Jestem tam u nich jako symboliczny biały protestant pochodzenia anglosaskiego - stwierdził. - Ale przepelnia mnie taka wdzięczność, że codziennie będę jadł bajgla i część pensji przeznaczę na UJA*¹¹.

¹¹ UJA - żydowska organizacja dobroczynna.

I tak Don znalazł pracę. Robił jeszcze mniej niż ja, lecz miał bez porównania szersze perspektywy. Czytał scenariusze - ja czytałem kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Poprosiłem go, żeby przyniósł jakiś scenariusz do domu, bo ciekawiło mnie, jak wygląda filmowy skrypt. Stwierdził, że nie może, że to zabronione. Wszystko było ściśle tajne i mogliby go wylać. No i oczywiście przyniósł jeden do domu. *Wszystko o Ewie Josepha Mankiewicza**¹². Coś tak błyskotliwego, jednocześnie tak lekkiego i trwałego, że przeczytałem go kilkanaście razy... i więcej po niego nie sięgnąłem, ponieważ nie było to konieczne. Nauczyłem się całości na pamięć. Zachowałem ten scenariusz. Czerwona okładka, numer sto pięćdziesiąt sześć. Sto osiemdziesiąt stron najlepszego scenariusza filmowego, jaki kiedykolwiek czytałem.

Podczas gdy ja w znacznej mierze pracowałem sam, detaliczny sprzedawca kartek w kartkolubnym społeczeństwie, Don prosperował na zapleczu świata tak olśniewającego, że świadomość nienależenia do niego prawie doprowadzała mnie do płaczu. Opowiadał mi o innych młodych ludziach, z którymi pracował, opisując ich tak żywo, jakby byli w mieszkaniu, dzieląc ze mną ostatnie cygara.

Pragnąłem stać się częścią ich rzeczywistości i zapytałem Dona, jakie mam szanse na uchodzenie za Żyda, zwłaszcza że zostałem obrzezany, a zatem pod każdym względem byłem porządnym facetem. Don stwierdził, że pewnie mógłby nauczyć mnie kilku żydowskich manieryzmów, żeby pasowały do obrzezania, ale brak świadectwa ukończenia college'u przekreśla perspektywę otrzymania pracy. Poza tym mieli już obsadę kliki „Ludzi Jutra” (tak brzmiała ich oficjalna nazwa) na maksymalnym poziomie, czyli dwunastu pracowników. Nie warto było też liczyć na to, że któryś z nich umrze i tym sposobem zwolni miejsce dla mnie. Co do faktu obrzezania, Don miał wrażenie, że mógłby przemówić na moją korzyść wyłącznie w sytuacji, gdybym wpadł na W. Charlesa Grubera w męskiej toalecie i chciał obnażyć przed nim swoje listy uwierzytelniające. A ponieważ W. Charles Gruber, wiceprezes całości, miał swoją własną, prywatną toaletę, widoki na taki obrót sprawy równały się zeru i powinienem przestać żyć marzeniami.

¹² J. L. Mankiewicz (1909-1993) - reżyser.

W końcu także Susan przyleciała do miasta, a uszczerbek, jaki poniósł mój obrzezany, zabliźnił się po tygodniu. Napięcie trochę zelżało, kiedy Alice oznajmiła, że rzuca TWA, by poślubić dentystę z Cincinnati. Tęskniłem za Alice, ponieważ była moją pierwszą, jeśli nawet w tamtym momencie nie mogłem dojrzeć, kim była. Przeleciała mnie na pożegnanie i oznajmiła, że jeśli chcę, mogę wrócić do olejku pimentowego. Powiedziałem, że zostanę przy Guerlainie, ponieważ Guerlain zawsze będzie mi ją przypominał, więc przeleciała mnie jeszcze raz i zrobiła kilka innych rzeczy, w których była taka dobra.

Jessica nadciągała i odchodziła jak migracja słoni, a Susan rzeczywiście przygotowywała świeży sok pomarańczowy, choć nigdy nie dała mleka. A jednak to Alice kochałem naprawdę i wspomnienie o niej nie chciało zblednąć.

TLR

Rozdział 4

Ginnie

1948

Mary Ann Maitland i Walter Harrison pobrali się podczas aseptycznej ceremonii, w trakcie której najlepsza przyjaciółka panny młodej, Francine Lazenby, zaśpiewała „Ponieważ”, choć nie słyszałam, żeby ktoś pytał: „Dlaczego?”. Wszyscy okazali się tacy zadowoleni ze ślubu tej pary, jakby oboje byli w ciąży.

Wszystko poszło gładko jak cięcie gilotyną, przybyła masa ważnych ludzi - przynajmniej poubierali się jak ważniacy - a wuj Gerald, kongresman, był najważniejszy ze wszystkich, bo dopiero co został mianowany przewodniczącym mniejszości w Komitecie Stosunków Międzynarodowych Kongresu i brano go pod uwagę jako kandydata na wiceprezydenta w czasie prezydenckiej kampanii Eisenhowera w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku.

Z przeprowadzki Mary Ann do Chicago natychmiast wynikły dwie pozytywne rzeczy. Po pierwsze znikła z mojego życia, i chwała Bogu, a już szczególnie z powodu Pana Dziewięcio-calowego. A po drugie zostałam jedynym dzieckiem w rodzinie, i to na miejscu. Myślałam, że w tej sytuacji nastąpią jakieś zmiany, ale nic się nie zmieniło. Ojciec dalej malował, matka podróżowała. Ponieważ nie miałam już starszej siostry, która mogłaby prowadzić mnie po ścieżkach cnoty, zostałam - szczęściara - natychmiast, w ekspresowym tempie, wysłana do kolejnej prywatnej szkoły.

Trwało to zaledwie parę miesięcy. Przyłapałam Beverly MacNamare w łóżku z Louisa Demeter, co samo w sobie nie jest takie złe, wyjąwszy fakt, że Beverly MacNamara była uczennicą, a Louisa Demeter nauczycielką. Nauczycielką czego, brzydzę się powiedzieć. Poprzestańmy na tym, że nie były to prace ręczne.

Chytrze usiłowałam wykorzystać swoją przewagę - trochę niewinnego wymuszenia, tyle tylko, żeby podgrzać nieco atmosferę kampusu. Bever-

ly miała mi dawać dziesięć dolców tygodniowo (żadna sprawa, jej ojciec miał tryliony), a panna Demeter przepuścić mnie z historii (mój najbardziej zniechęcony przedmiot, i to ona wykładała).

Wszystko poszło na opak, kiedy nagle zostałam zaciągnięta przed oblicze panny Calhoun (wielkiej damy całej Szkoły Whittiera dla Nadpobudliwych Seksualnie Dziewcząt) i skonfrontowana z Jamesem Griffinem (przytępym konserwatorem), który najwyraźniej oskarżał mnie o robienie mu nieprzystojnych propozycji. Musiały zapłacić sukinsynowi majątek, bo ryzykował, że podpadnie żonie. Przypuszczam, że później, kiedy pokazał jej kasę, przemyślała sprawę i może nawet zachęciła go, żeby spróbował z innymi dziewczynami od Whittiera, skoro możliwość zrobienia majątku na takich pieprzonych kłamstwach, bez żdźbła prawdy, jest w zasięgu ręki.

No i proszę, piętnastolatka z przeszłością: miałam apetyt na majstra i zaoferowałam się zapłacić, żeby coś ze mną zmajstrował. Facet oczywiście pospieszył z wyjaśnieniem, że odrzucił ofertę i do niczego nie doszło, ale i tak zostałam napiętnowana i odesłana do domu jak ktoś z Olivera Twista.

Ojciec, który został w porę powiadomiony o mającym nastąpić powrocie (matka, oj, co za zaskoczenie, była nieobecna), odłożył paletę na wystarczająco długo, żeby odbyć ze mną rozmówkę od serca.

Nie mogłam się doczekać rozmowy, bo chociaż niewiele mnie obchodziło, co myśli reszta świata, było dla mnie ważne, żeby mój własny ojciec znał prawdę. Tak więc w jego męskiej, oddalonej od domu kryjówce, stojąc nad nierozpakowanymi torbami, opowiedziałam o tym, co dokładnie zaszło. Wysłuchał, po czym ze spokojem ojca Andy'ego Hardy'ego*¹³ przemówił do mnie z wyżyn swej mądrości.

- Ginnie, prawie wszystko, co młoda dziewczyna robi w okresie dojrzewania, da się wyjaśnić i zrozumieć.

- Ale tato, ja niczego nie zrobiłam, ja tylko spróbowałam trochę niewinnego szantażu. I to w dodatku dla żartu.

¹³ Rodzina Hardy'ego - bohaterowie 16 filmów wyprodukowanych w latach 1937-1958 przez wytwórnię MGM.

- Cśśśś, daj mi skończyć. Proszę. Ważne jest, by rodzice pamiętali, że w okresie dojrzewania umysł i ciało młodej dziewczyny pozostają w stanie wrzenia. Pojawiają się pragnienia. Pojawia się „żądza”, przypuśćmy, że to właściwe słowo. Należy z nią walczyć i ją „pokonać”... jeśli tak można powiedzieć.

Do tamtej pory nie miałam bladego pojęcia, jakim nadętym dupkiem był mój ojciec. Właściwie nigdy z nim nie rozmawiałam. Ledwie zauważałam, że kręcił się w pobliżu, odgrywając rolę pana na włościach, właściciela dóbr. Czy to możliwe, że w całym tym bogactwie, jakie odziedziczył, nie trafił mu się ani kawałek mózgu?

- Tato, źle to wszystko rozumiałeś. Naprawdę. Wiem, że pewnie tak ci to przekazali, że zabrzmiało paskudnie, ale kiedy usłyszysz moją wersję...

On już mnie nie słuchał. Słuchał samego siebie i podobał mu się dźwięk własnego głosu oraz błyskotliwość tego ojcowskiego gówna.

- Uważam, Ginnie, że ważne jest, byś wiedziała, że bez względu na wszystko zawsze jestem gotów z tobą porozmawiać. Istnieje jednak pewna zasada: żadnych kłamstw. Nie może być między nami żadnych kłamstw, jeżeli mam ci służyć jakakolwiek pomocą. Czy rozumiesz, Ginnie? Słuchasz mnie?

- Tak jest.

Tę scenę potępienia celebrował mój własny ojciec i w błysku zrozumienia pojęłam, jak musiała się czuć matka wciąż uzyskująca wybaczenie za różne wykroczenia, podczas gdy być może żadnych wykroczeń nie było. A może, jeśli nawet coś się zdarzyło, może potrzeba przebaczenia była u ojca tak wielka, że chcąc go zadowolić, stale robiła rzeczy, które mógł jej wybaczać. Albo przynajmniej udawała, że je robi. Nagle wszystko to nabrało cech groteski. Mój ukochany ojciec okazał się jednocześnie traktującym mnie protekcyjnie gburem i gamoniem rodem z farsy i wręcz usłyszałam łoskot spadającego z piedestału w mojej głowie fałszywego bożka.

- Szczerłość, Ginnie, szczerłość stanowi sekret dobrego związku, każdego związku. Szczerłość. Jeżeli ty i ja potrafimy wypracować taki związek, wtedy być może będę mógł być ci pomocny w każdej kryzysowej sytuacji, jaka się zdarzy. A zdarzy się, zawsze się zdarza. Szczególnie w

życiu nastolatki. I chcę, żebyś wiedziała, że zawsze tu będę, moje drzwi zawsze będą otwarte. I jedyne, na co będę nalegał, to...

- Szczerość.

- Właśnie. A teraz, jeśli rozumiemy się w tej kwestii, może zechciałabyś mi opowiedzieć, co się rzeczywiście stało, ponieważ tylko wówczas to, co powiem, może mieć jakąkolwiek wartość. Czy rozumiesz?

- Tak jest.

- Bo jeśli prosi się mnie o radę, mówiąc kłamstwa, każda konkluzja, do jakiej dojdę, i wszystko, co powiem, pozostanie bez związku ze sprawą, będzie... bezwartościowe, jeśli to właściwe słowo.

- To właściwe słowo.

- Doskonale. A teraz opowiedz mi, co się stało, co się dokładnie stało.

- Rozsiadł się na wielkim fotelu, cały nadęty, bo tak świetnie sobie radzi z czymś, co łatwo mogło się zmienić w śmierdzącą sprawę.

Poszłam po linii najmniejszego oporu, bo naprawdę nie zależało mi na tym, żeby dłużej tam tkwić i patrzeć, jak własny ojciec zmienia się w pudding śliwkowy.

- No więc, tato... co do Beverly MacNamary i panny Demeter... miałeś rację. Nic takiego w ogóle się nie zdarzyło.

- Aaaaa. - Taki był zadowolony, że wyciągnął ze mnie prawdę, jakby Luwr nabył któryś z jego obrazów.

- Zmyśliłam to, żeby się jakoś wytłumaczyć.

- Rozumiem.

- Bo prawda jest taka, tato... to znaczy, naprawdę chcesz, żebym była szczerą, prawda?

- Naprawdę.

- Prawda jest taka, że... zaproponowałam panu Griffinowi, Jamesowi Griffinowi, dziesięć dolarów, jeżeli, jeżeli...

- Jeżeli co?

- Jeżeli pozwoli mi zerknąć na swojego penisa.

Nawet nie mrugnął okiem. Jego niewinna córka obnaża głębię swojego upodlenia, a stary nawet nie westchnie.

- A czemu to zrobiłaś?

- Bo dziesięć dolarów to było wszystko, co miałam. - Miałam też nadzieję, że się roześmieje i zorientuje, jakiego robi z siebie durnia, ale nie.

Dalej odgrywał rolę Judge'a Hardy'ego*¹⁴ ze sceny, w której jego własny dzieciak prosił o podwyżkę kieszonkowego. Byłam taka załamana, że mało nie wybiegłam z pokoju. Po chwili jednak wciągnęła mnie gra w to, na co mogę sobie pozwolić, dopóki tata nie zsika się w spodnie. Ale on ani się nie zsikał, ani nie zaśmiał. On tylko zadawał pytania jak podczas rozgrywki brydżowej, na przykład „Czemu zagrałem tą kartą?”.

- Czemu chciałaś zobaczyć jego penisa, Ginnie?

- O rany, tato...

-Szczerść. Ginnie, tu chodzi o szczerść. Czemu chciałaś zobaczyć jego penisa?

Wyprostowałam się jak giermek ślubujący posłuszeństwo.

-Chciałam zobaczyć jego penisa, ponieważ słyszałam, od niektórych dziewczyn, że jest ogromny i atrakcyjny.

-Rozumiem. Inne dziewczęta zapłaciły panu Griffinowi za prezentację penisa?

- Pół szkoły. Nie mam pojęcia, jak w ogóle pracował.

- I pokazał ci go?

- Tak.

- Rozumiem. I co czułaś, kiedy go zobaczyłaś?

- Mam być szczerą?

- Tak.

- Poczułam się oszukana.

- Dlaczego?

- Nie był taki duży, jak słyszałam.

- A miałaś go z czym porównać?

-Nie. Tylko że słyszałam, że jest olbrzymi, a wcale mi się taki nie wydawał.

- Czy zwerbalizowałaś swoje rozczarowanie?

- W pewnym sensie.

-W jakim?

-Poprosiłam o zwrot pięciu dolarów. - Dawałam ojcu szanse wykazania się albo poczuciem humoru, albo śladem inteligencji. A skoro zabrakło jednego i drugiego, miałam zamiar zapewnić mu coś naprawdę fantastycznego, co mógłby mi przebaczyć.

¹⁴ Judge Hardy - głowa rodziny Hardy'ch

- I oddał ci te pięć dolarów?
- Nie. Powiedział, że najdrobniejsze, co ma, to dwudziestka.
- I jak to załatwiłaś?

-No nie, rany, tato, to zaczyna być trochę krepujące, wiesz? Omawiać to tak klinicznie? To znaczy, rany!

- Ginnie, jak to załatwiłaś?

-Włożył mi penisa do ręki i niedługo miałam dziesięć dolarów do przodu. - Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam, ale głos był mój, więc to musiałam być ja.

Na chwilę zamilkł. To mnie usatysfakcjonowało. Przynajmniej zaczął się dziwić. Potem poważnie wziął się w garść i...

- I co się stało potem?
- Tato!
- Co się stało?
- No... ściszałam go... tego penisa. O rany, tato!

- Jak długo?

-Aż zgodził się oddać mi z powrotem moje dziesięć dolarów. - Czekałam, żeby się roześmiał. Zaśmiej się, myślałam. No zaśmiej się, ty imbecyłu!

Opadły mu kąciki ust, ale wciąż się trzymał.

- I oddał ci te dziesięć dolarów?
- Dał mi dwadzieścia.

Przekładał jakieś rzeczy na biurku.

-Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, do której szkoły się zwrócić. Z pewnością skontaktują się z Whittierem i wszystkiego dowiedzą. Ginnie, szczerze mówiąc, dałaś mi sporo do myślenia.

Odwrociłam się, chwyciłam swoją torbę i wyniosłam się stamtąd w cholerę. Kiedy doszłam do holu, śmiałam się, ale gdy dotarłam do swojego pokoju, płakałam. Chciałam do mamy. Gdzie była moja mama?

Moja matka, jak się okazało, przebywała w San Francisco na otwarciu jakiejś kliniki czy szpitala. Stawiam, że wparowała głównym wejściem, z basenem pełnym szampana, a zaraz za nią w łózkach na kółkach wtoczyli pacjentów. Ojciec najwyraźniej skontaktował się z nią, bo wróciła do domu przed końcem tygodnia i wszyscy pacjenci musieli chorować bez widoku jej wspaniałej twarzy, która dałaby im powód do życia.

Podczas tego tygodnia ojcu, z moją pomocą bardzo zgrabnie udało się mnie unikać. Malował jakiś pejzaż - chyba Iowa - i kazał przynosić sobie posiłki do pracowni. Wszystko to było strasznie dramatyczne, artysta przy pracy, odcinający się od świata i zagrzebany w Iowa, podczas gdy jego córka snuła się po wielkim domu, słuchając płyt Buddy'ego Clarka i czytając E. E. Cummingsa.

Nie mam pojęcia, czy ojciec był zawstydzony, czy zaskoczony. Nie wiem, w jakim stopniu zdawał sobie sprawę, jakiego zrobił z siebie durnia, może naprawdę widział we mnie kogoś w rodzaju współczesnej pani duBarry, ciągnącej do łóżka na równi arystokratów i wieśniaków, w nadziei, że unikniemy wojny z Anglią. Wiedziałam tylko, że podczas pierwszej naprawdę traumatycznej sytuacji w moim życiu (Waltera nie liczę, bo tanto było tylko głupie) mój ojciec zdecydował się przedłożyć słowo szkolnej lesby i jej bandy nad moje, i od tej pory, jak dla mnie, mógł wcale nie wychodzić ze swojego pokoju. Mógł tam siedzieć i malować Iowa, Wyoming, Alabamę i Grecję, a potem wytapetować całe to miejsce Rosją; po prostu nie chciałam go więcej widzieć.

Wróciła matka i po godzinnym nanoszeniu poprawek na twarz pojawiła się w drzwiach mojego pokoju. Czemu ja nie mogłam tak wyglądać?

Dała mi buziaczka i jej perfumy delikatnie owinęły się wokół mojego mózgu. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka była młoda, wiele lat młodsza od ojca, który, wiedziałam, miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Zapytała, czy mogłabym, bardzo prosi, powiedzieć jej, co się stało, więc, żeby ją wypróbować, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma mózgu w zaniku jak ojciec, oznajmiłam, że pieprzę się, odkąd skończyłam dwanaście lat, ze wszystkim, co nosi spodnie, od Harolda, naszego lokaja, poczynając, pana Jamiesona, przyjacielskiego aptekarza, po Waltera Harrisona, mojego obecnego szwagra.

Matka wysłuchiwała tego wszystkiego, nic nie mówiąc. Ale kiedy wyliczyłam wśród swoich podbojów Waltera, zaczęła się śmiać tak gwałtownie, że wypadł jej kolczyk. Pewnie wskazanie Waltera jako jednego z moich kochanków okazało się za trudne do przełknięcia.

Jej śmiech był rozkoszny i pamiętam, jak żałowałam, że tak rzadko słychać go w tym domu. W końcu wzięła się w garść i ponownie zapytała, co się stało u Whittiera, i opowiedziałam jej i uwierzyła mi i pokochałam ją za to. A potem obie się odprężyłyśmy i wypuściłyśmy trochę pary.

Powiedziała mi, że jest całkowicie spokojna o moją umiejętność pokierowania własnym życiem, że wbrew temu, co sugeruje obecny wygląd mojej twarzy, pewnego dnia będę śliczna i że mam szczęście, bo nie odziedziczyłam po niej piersi (a raczej ich braku). Była fantastyczna. Kiedy tak siedziała ze mną w pokoju, stała się nagle siostrą, której nigdy nie miałam. Była bystra i zabawna, i pomysłowa, i, skoro miała na imię „Maggie”, czy mogłabym, bardzo prosi, mówić do niej Maggie.

Paplałyśmy - musiało to trwać godzinami - i dowiedziałam się, jakim sposobem pobrali się z ojcem. Historia zupełnie jak z filmu Joan Crawford. Jej ojciec był biednym, ale uczciwym hydraulikiem, z akcentem na „biednym”. Pochodziła z Camden w New Jersey. Mając szesnaście lat, pracowała w snobistycznej knajpie w Filadelfii, gdzie często bywali różni artyści, i wszedł tam mój wysoki i przystojny ojciec i zamówił jakieś strasznie romantyczne żeberka. Zorientowała się, że był bogaty i atrakcyjny i że to szansa dla niej na wydostanie się z nory, w jakiej żyła jej rodzina. No więc celowo upuściła lepkie od sosu żeberka na kolana ojca i tak wspaniale wyglądała, płacząc, że ostatecznie mój ojciec, ewidentnie już wtedy durny, pocieszał ją nad homarem podczas kolacji w jednej z najlepszych filadelfijskich restauracji z owocami morza.

Pozowała mu w jego pracowni, ale wiedziała o życiu dostatecznie dużo, żeby nie zdejmować ubrania, bo to właśnie robiły wszystkie modelki, kiedy tylko było trzeba (i to właśnie ten jej portret wisiał nad obramowaniem kominka w naszym salonie). On zaproponował, że zapłaci za jej czas, lecz się nie zgodziła, mówiąc coś w rodzaju: „Chcę tylko pobyc w twoim towarzystwie, popatrzeć, jak pracujesz. Uważam, że jesteś wspaniały”.

On znakomicie reagował na jej kłamliwą otwartość i fizyczną wstrzemięźliwość. Podobała mu się niewinność Maggie i był oczarowany jej cnotliwością. Ale najbardziej ze wszystkiego podobało mu się to, że w zepsutej, grzesznej Filadelfii zdołała zachować urocze dziewictwo.

Matka okazała się sprytna, ponieważ rzeczywiście była dziewicą, czego chętnie dowiodła, zalewając mu krwią całe mieszkanie, kiedy ostatecznie dobrał się do niej na werandzie. Biedny ojciec, cały zadowolony, że doprowadził do upadku nieskalaną *Mirandę*¹⁵, nie miał nic przeciw

¹⁵ Miranda - córka maga Prospera w *Burzy* Szekspira.

temu, że jego pracownię ozdabiało krwawe jezioro jak z czasów rewolucji francuskiej. Ona płakała i płakała. Och, jak bardzo ją skrzywdził. Gorzej, ukradł jej skarb. Nie chciała go więcej widzieć, nigdy w życiu - jak mogłaby na niego spojrzeć? I czy mógłby, bardzo prosi, natychmiast odwiedzić ją do domu!

Zadzwoił następnego dnia, ale nie chciała z nim rozmawiać. Odnalazł ją później, w czasie kolacji, ponownie w roli kelnerki (niespodzianka!). Usiadł przy jej stoliku i romantycznie zamówił żeberka. Nie w ciemną bita, znów upuściła mu je na kolana i po dwóch tygodniach z sosem sojowym byli już po ślubie.

Od tamtej chwili wszystko zmierzało ku upadkowi. Ona wolałaby, żeby ułożyło się inaczej, lecz nie zaskoczyło jej, że był nudziarzem, bo od początku wiało od niego nudą. Próbowwała, naprawdę się starała, mając nadzieję, że on zmieni się w faceta, którego łatwiej dałoby się zaakceptować. Była obowiązkowa, uważająca i kochająca, ale po pięciu latach i dwóch córkach nie mogła dłużej znosić nudy przebywania z nim, nudy tym nudniejszej, że nie potrafił rozwijać się jako artysta. Stawał się coraz nudniejszy i nudniejszy, a w końcu przestał się nią interesować w łóżku. Więc zaczęła bawić się sama.

Mieli z ojcem pewien układ (Aha!). Tak naprawdę to nigdy nie usiedli i niczego nie uzgodnili, po prostu tak wyszło. Mogła odchodzić i wracać, jak chciała, dopóki nosiło to pozory szacunku. On był zadowolony, siedząc w domu i malując Utah.

Maggie nie wdawała się w szczegółowe wyjaśnienia, jak spędza czas poza domem. Stwierdziła tylko, że chodzi o „dobroczynność”. A jedynym powodem, dla którego opowiedziała mi tyle, ile opowiedziała, był fakt, że odchodziła od mojego ojca i nie wiedziała, kiedy znów się zobaczymy.

Płakałam, bo czułam, że dopiero ją poznałam, i ona też płakała. Postara się utrzymywać ze mną bliski kontakt, ale przez pewien czas to niemożliwe, bo planuje zamieszkać w Europie z mężczyzną, którego nazwiska mi nie zdradziła.

Miała nadzieję, że zrozumie. Ja też miałam taką nadzieję. Lecz w tamtym momencie bolało mnie to za bardzo, żeby składać jakiegokolwiek obietnice poza tym, że spróbuję ze wszystkich sił, przynajmniej do czasu

gdy uporządkuje swoje życie, dostanie rozwód i być może po mnie przyśle.

Obdarzyła mnie łzawym uściskiem i znikła z mojego pokoju jak sen jaki złoty. Byłam kompletnie skołowana. Tydzień wcześniej nienawidziłam jej i kochałam ojca. Nagle wszystko stanęło na głowie i podczas tego stawania straciłam ich oboje. Miałam matkę i ojca, ale niech mnie cholera, jeżeli nie byłam sierotą.

TLR

Rozdział 5

Ben

1949

W dniu ostatniego dobrego cygara rzuciłem pracę w sklepie z kartkami okolicznościowymi Rockwell. Nie wiem, czemu to zrobiłem. Z pewnością nie dlatego, że miałem inną pracę. Po prostu jakoś mi się wydawało, że tak należy postąpić, więc to zrobiłem, dodając temu całkowicie bezsensownemu gestowi znakomitego symbolizmu.

Aby wyraźniej zaznaczyć koniec pewnej epoki, poszedłem do sklepu tytoniowego i kupiłem paczkę white owls, sześć za ćwierć dolara. Zapalając je, z całą mocą czułem łoskot, z jakim Somerset Maugham przewracał się w grobie, mimo że wówczas jeszcze żył i, o ile wiedziałem, cieszył się znakomitym zdrowiem.

Wałęsałem się po Nowym Jorku, przewłóczyłem się przez główną salę u Abercrombiego*¹⁶, gdzie wszystko było skórzane, kryształowe i, jak nietrudno się domyślić, przygnębiające. Postanowiłem otóż popaść w depresję; zasłużyłem sobie na to. Przez lata nauczyłem się, że najlepszym sposobem na uporanie się z niepowodzeniami i porażkami jest pozwolić sobie na depresję, które one wywołują, zamiast uśmiechać się, mówić „phi” i udawać, że życie to likier Maraschino. Bo zawsze po dniu lub dwóch bezdennej depresji tak jej miałem dosyć, że cały świat nagle zaczynał wyglądać dobrze. Oto była teoria względności Bena Webbera, i w dodatku się sprawdzała.

DEPRESJA x SAMOPOBŁAŻANIE= DOŚĆ WYMAGANA LICZBA DNI

Tak więc po trzech dniach przygnębienia, w które sam się wpędziłem, ponownie udałem się do Abercrombiego i wystąpiłem o otwarcie rachunku kredytowego, podając dochód za ubiegły rok w wysokości dwudziestu

¹⁶ Abercrombie & Fitch, od 1892 dom towarowy z ekskluzywnym sprzętem sportowym i odzieżą.

pięciu tysięcy dolarów i powołując się na osobiste referencje Dany la F. Zanucka oraz Spyrosa Skourasa*¹⁷, facetów tak wysoko postawionych w 20th Century Fox, że trzeba było być orłem, żeby umówić się z nimi na spotkanie.

Nie dlatego, żebym choć przez chwilę myślał, że Abercrombie & Fitch przyznają mi kredyt, chciałem tylko, żeby znali moje nazwisko, żeby byli gotowi, kiedy nadejdzie mój czas, i żeby ta władcza suka w okienku „Zakładanie rachunków” musiała się któregoś dnia wytłumaczyć przed swoimi przełożonymi, czemu odmówiła wydania karty Abercrombie & Fitch, uprawniającej do zakupów z odroczoną płatnością, Benjaminowi Rexowi Webberowi, znanemu specjaliście od chirurgii oka i pierwszemu tenorowi Metropolitan Opera. Czy nie potrafiła dostrzec, że ów młody człowiek idzie w górę - na przykład w górę Piątej Alei, do Saks*¹⁸, gdzie złożył podobne podanie i gdzie podobnie mu odmówiono? Czy jej rozum odebrało?

Żwawym krokiem poszedłem do Thomasa Begga i za jedenaście dolarów kupiłem fedorę należącą do tej samej rodziny co kapelusz Dona Cooka. Nie podobało mi się piórko i powiedziałem to sprzedawcy; palił się do tego, żeby mnie zadowolić, i wyciągnął całe pudło piór, na których widok indyczka miałaby orgazm. Po półgodzinie porównywania koloru i faktury dokonałem wyboru i gdy tylko znalazłem się na ulicy, zdałem sobie sprawę, że zdecydowałem się na pióro bliźniaczo podobne do piórka Dona Cooka. Nie poczułem się zaskoczony.

Kupiłem torebkę gorących kasztanów, ponieważ mieliśmy październik i kasztany wywoływały obrazy blondynek w płaszczach z wielbłądziej wełny, dopingujących graczy na meczach futbolowych. Puściłem oko do ładnej dziewczyny i pogapiłem się na inną, jeszcze ładniejszą. A w Muzeum Sztuki Współczesnej zorientowałem się, że bardziej niż Brancusi zajmują mnie dziewczęta, które sporządzały notatki na temat jego prac.

Zawsze mi się wydawało, że w październiku dziewczęta w Muzeum Sztuki Współczesnej są skandalicznie fascynujące. Dziewczęta u Bloomingdale'a są starsze i bardziej wyrafinowane. A dziewczyny w Bon-

¹⁷ S. Skouras - założyciel i prezes 20th Century Fox; D. F. Zanuck - producent filmowy.

¹⁸ Saks Fifth Avenue, od 1924 elegancki dom towarowy.

wit*¹⁹ słodkie jak zapach środka do dezynfekcji. Lecz dziewczęta w Muzeum Sztuki Współczesnej należą do potomków F. Scotta Fitzgeralda, szczupłe, delikatne, zabłąkane, zamożne cuda owinięte szalami, które trzykrotnie otaczały ich szyje, zanim odbiły się od ud. W październiku dziewczęta w Muzeum Sztuki Współczesnej są dziewicze, ale i doświadczone, nieskażone goryczą cynicznych romansów i pełne nadziei, że magia czeka tuż za rogiem. I może magia to ja. Ergo...

Czułem się doskonale i przeszedłem całą drogę do domu piechotą, trzy white owlsy wciąż miałem w zanadrzu. Spożyłem szklaneczkę sherry i nadałem swojemu nowemu kapeluszu kształt bardziej odpowiedni do obecnego nastroju. Wygięcie w lewo, wgniecenie na główce, muśnięcie piórka na szczęście.

Nasze stewardesy były poza domem. Alice w Cincinnati, dziurkowana co noc przez męża dentystę, Susan, wyciskaczka pomarańczy, na statku w Miami, dziurawiona przez emerytowanego brokera, co do którego żywiła nadzieję, że poślubi ją, jeśli właściwie odczyta tendencje rynkowe. Jessica natomiast wzięła wolne, z silnym postanowieniem, że straci na wadze.

Podczas nieobecności naszych stewardes mogliśmy z Donem swobodnie sprowadzać do domu każdego i wszystko, na co nam przyszła fantazja. Fakt, że tego nie chcieliśmy czy nie mogliśmy robić, dowodził tęsknoty za naszymi trzema Pierwszoklasnymi Latającymi Panienkami.

Odmówiono mi przyznania zasiłku dla bezrobotnych, ponieważ sam się zwolniłem, zamiast tak kombinować, żeby mnie wyrzucili. Ale tym się nie przejąłem. Miałem jeszcze parę dolców w starym słoju na ciasteczka i jeśli nawet nie wiedziałem, dokąd zmierzam, wiedziałem przynajmniej, gdzie byłem, a wszystkie moje podjęte po drodze decyzje cechowały się uczciwością, moralnością i głupotą - kombinacja o medycznie sprawdzonej skuteczności, która gwarantowała pewną śmierć, jeśli nikt by mnie w porę nie powstrzymał.

Większość czasu spędzałem, nurzając się w nowojorskim klimacie. Ten rodzaj odurzenia szybko szedł do głowy i muszę oddać sobie sprawiedliwość, że nigdy nie zazdrościłem ludziom, którzy mieli więcej ode

¹⁹ Bonwit Teller, nieistniejący już dom towarowy.

mnie szczęścia, a kroczyli tym samym co ja chodnikiem. Większość wieczorów spędzałem przed telewizorem, bo ciągnęło mnie do tego pudła jak muchę do miodu. Oglądałem zwłaszcza sztuki telewizyjne, wszystkie na żywo i większość napisana przez „kolejnego obiecującego autora”. Sam mógłbym być obiecującym autorem. Obiecałbym im wszystko, gdyby tylko pozwolili mi zostać autorem.

Don zadbał o poszerzenie moich perspektyw towarzyskich. I tak w piątkowe wieczory często kończyliśmy w Village, udając, że rozumiemy rwane dixie, które wylewało się z każdej speluny, od Phila Napoleona po Eddiego Condon^{*20}. W tym czasie miałem okazję powłóczyć się z facetami z 20th, chłopakami, z którymi Don pracował w wielkim ceglany budynku na Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej między ulicami Dziewiątą i Dziesiątą. I lubiłem ich, wszystkich, co do jednego. Duży Al Epstein był skazany na sukces, miał to wypisane na twarzy. Arnie Felsen, który marzył, żeby zostać autorem sztuk teatralnych, wszędzie gdzie się znalazł, robił notatki, nic nie umykało jego wytrzeszczonym oczom. Dla Arniego wszystko miało znaczenie i kiedyś nawet natknąłem się na niego w męskiej toalecie w klubie 181, gdzie sikał, używając jednej ręki, podczas gdy drugą balansował ołówkiem i notatnikiem opartym o wykaflowaną ścianę, utrwalając jakieś nieokreślone obserwacje, i nie uronił ani kropli. Nieugięty Arnie. Nawet wtedy był obszczy-murem. Bob Steinman, eksnawigator z czasów drugiej wojny światowej, nieustannie namierzał prowokujące przedstawicielki niewieściego rodu, i to z niezwykłym powodzeniem. Tak trafiając w cel, powinien wałnąć w Berlin i zakończyć wojnę przynajmniej o rok wcześniej, niż w końcu udało się to reszcie aliantów. W jednej chwili siedział obok mnie, w następnej wykonywał lot bojowy w stronę jakiejś dziewczyny, stojącej dwadzieścia jardów dalej. Nie pamiętam ani jednego wieczoru, który Bob Steinman zakończyłby samotnie. W jego dwupokojowym mieszkaniu musiało się odbyć więcej akcji niż kiedykolwiek w całej Europie. A najlepsze, że nigdy nie wciskał nam żadnego gówna typu: „jestem weteranem wojennym i oficerem”. Nigdy nie pozował na wielkiego pana i nigdy nie traktował nas inaczej jak równych sobie. I chociaż był już po trzydziestce, nigdy nie opłakiwał lat straconych w służbie. Chciał tylko jednego - znaleźć sobie kogoś do

²⁰ P. Napoleon (1901-1990), E. Condon (1905-1973) - muzycy jazzowi.

łóżka i, muszę to powiedzieć, chyba było mu wszystko jedno kogo. I tak jak zestrzeli! na naszych oczach z tuzin messerschmittów, zaliczył też parę dwupłatowców, garść sterowców zwiadowczych i sporadycznie indyka.

Facetem, do którego czułem wyjątkową sympatię, był Roland Jessup. Ten wychowanek sierocińca z New Jersey był czarny - ledwie. Rozumiem przez to, że mógłby uchodzić za białego, ale po prostu nie wybrał takiej opcji. Słyszałem plotki, że był homoseksualistą, ale żaden z nas nie wiedział tego na pewno, a i Roland nie starał się oświecić nas w tej kwestii (choć wiedzieliśmy, że mieszkał sam w Greenwich Village w apartamencie urządzonej w stylu arabskiego namiotu - draperie w pasy, purpurowe poduszki, zasłony z koralików, tureckie fajki). Tak czy owak, Roland był porządnym gościem i niestrudzonym pracownikiem - a to o wiele więcej, niż dało się powiedzieć o całej masie ludzi, którzy wówczas chodzili po ziemi.

Pewnego dnia - cudownego dnia - Don wrócił do domu z pracy powiedzieć mi, że związek Korporacja Autorów Reklamowych dobił targu z zarządem i w efekcie stworzono w szeregach „Ludzi Jutra” dwa nowe miejsca pracy i że powinienem zadzwonić do W. Charlesa Grubera w sprawie jednego z nich.

- Ale - stwierdziłem - nie jestem absolwentem college'u.
 - Jesteś. Uniwersytet Pittsburski. Spodobało im się. Marshall Goldberg*²¹ był tam najlepszym graczem wśród amatorów.
 - A co, jeżeli zechcą obejrzeć mój dyplom?
 - Mojego nie chcieli oglądać.
 - Chcesz powiedzieć... nigdy nie chodziłeś do college'u?
- Wzruszył ramionami w pseudożydowskim stylu.
- Nie pytaj.

Zadzwoniłem do W. Charlesa Grubera, wiceprezesa tego interesu, ale do rozmowy z nim nie doszło. Jego sekretarka jednak spodziewała się mojego telefonu i kazała mi zadzwonić do sekretarki Stirlinga Silliphanta*²², który już niedługo miał zostać najbardziej wziętym pisarzem-producentem, a wówczas zawiadował w 20th Century Fox działem pro-

²¹ M. Goldberg (ur. 1917) - w latach 40. gracz futbolowy Chicago Cardinals

²² S. Silliphant (1918-1996) - autor scenariuszy.

mojoci. Spotkałem się z nim tego samego popołudnia i oznajmiłem, że bez obrazu, ale moim zdaniem lepiej bym się sprawdził w dziale anonsów, a to z powodu „wrodzonej umiejętności pisania” (kartki okolicznościowe). Stirling Silliphant wyjaśnił, że szefem anonsów jest Josh Meyerberg, lecz ma pełną obsadę, i czy nie miałbym nic przeciw temu, żeby pracować dla Dana Steiera w reklamie, na co odpowiedziałem, że nie. Tak więc zostałem zatrudniony i od następnego ranka miałem posadę.

Wszystko stało się bardzo szybko. Zadzwoiłem do Grubera, spotkałem się z Silliphantem, powiedziano mi, że powinienem pracować dla Meyerberga i skończyłem jako pracownik Steiera, który nie miał pojęcia o moim istnieniu, dopóki nie wszedłem i go o nim nie zawiadomiłem.

Wiedziałem, że spodoba mi się w branży filmowej, bo, jak zdążyłem się zorientować, zajęcie było rozkosznie debilne, żaden z pracowników nie skończył college'u i na moją korzyść przemawiał fakt, że byłem Żydem. Nigdy wcześniej nie byłem Żydem, ale uznałem to za niezłą zabawę.

Rozdział 6

Ginnie

1949

No i proszę, skończyło się na Szkole Stokely dla dziewcząt w Marylandzie, a szło mi tam kiepsko we wszystkim oprócz tańca jazzowego, i zostałam zawezwana na prywatną rozmowę z panną Marjorie Stokely we własnej królewskiej osobie. Założyłam, że chodzi o moje niefrasobliwe zachowanie i ogólnie paskudny charakter. Myliłam się.

W nietypowy dla siebie sposób była pianą jakieś dziesięć minut, mówiąc o życiu, doświadczeniu, hokeju na trawie, kapuście i królach - o wszystkim oprócz tego, jak uwolnić Malezję od chorób wenerycznych. Pozwoliłam jej gadać, zdając sobie sprawę, że prędzej czy później przejdzie do rzeczy, bo miała dobrze po siedemdziesiątce i nie zostało jej aż tyle czasu, żeby swobodnie folgować gadulstwu.

Oblicze Marjorie Stokely było gładkie jak marmur, ponieważ wszystkie zmarszczki i fałdy wypełniła czymś, co musiało być mieszanką pudru do twarzy i plastikowej masy. Gdyby nagle powiał silny wiatr, zdmuchnęłoby tę warstwę aż do Paducah, odsłaniając twarz taką, jaka była w rzeczywistości - blada śliwka, spustoszona suszą pustynia, na której nic, co żyje, nie zdoła zapaść korzeni, może oprócz bladych warg szerokości gumki do majtek i jeszcze kilkunastu beżowych zębów, których nie chciałby nawet George Washington. Głowa na szyi z marszczoną bibułą obracała się jak na zawiasach od okna do drzwi, od sufitu do podłogi, lecz nigdy w moją stronę. W końcu przestała paplać i, patrząc mi prosto w twarz, powiedziała:

- Virginio, życie jest co najmniej kruche i aż nazbyt często to, co kochamy, zostaje nam przedwcześnie odebrane.

Wyobraziłam sobie, że teraz zawiadomi mnie o śmierci swojego żółwia. Słyszałam, że chorował już od jakiegoś czasu i było mu pisane zmienić się w popielniczkę w ciągu dwóch tygodni. Ale nie mówiła o żółwiu, bo siedział sobie spokojnie i patrzył na mnie przez ścianę szkla-

nego zamknięcia, a jego własna głowa na własnej szyi z marszczoną bi-
buły obracała się jak na zawiasach. Jaka matka, taki żółw.

- Virginio, zdarzył się wypadek. Pożar.
- Znów w Chicago? - zapytałam, zawsze mądrała.
- W Stamfordzie.

Jezu, pomyślałam. Tata.

- Twój ojciec. - Przyłożyła do oczu coś z batystu. Zbyt ozdobne jak
na chusteczkę, musiało zostać wycięte z nieużywanej sukni ślubnej albo
niedokończonego całunu. - Właściwie nie znam szczegółów, Virginio.
Otrzymaliśmy telefon. Pożar ograniczył się do jego pracowni. Główny
budynek jest nietknięty. Musisz jechać do domu. Przykro mi. - Powie-
działa jeszcze kilka innych rzeczy, żeby zappełnić pustkę, bo ja nie miałam
nastroju do pogaduszek. Najwyraźniej byłam tak milcząca, że kiedy wy-
chodziłam, wyglądała na zaskoczoną. - Wydaje się, że świetnie to przyję-
łaś, Virginio.

- Cóż... nie był moim prawdziwym ojcem. - Nie mam pojęcia, czemu
to powiedziałam. Zawsze wiedziałam, że można na mnie liczyć i powiem
coś dziwnego w delikatnej sytuacji, ale to nawet mnie zaskoczyło.
Może starałam się zagłuszyć ból. A może naprawdę tak czułam. Nie dla-
tego żebym kiedykolwiek wątpiła, że to sperma tatusia wstrzeliła mnie w
istnienie. Chodziło raczej o to, że z wiekiem zdałam sobie sprawę, że
trzeba czegoś więcej niż strzału w ciemnościach, by zostać ojcem. To
znaczy prawdziwym ojcem.

Opuszczając Stokely, wiedziałam, że nigdy nie wrócę. Jedy-
nym powodem mojego tam pobytu był fakt, że zostałam wysłana przez ojca. A
kiedy go zabrakło, kogo będzie obchodziło, gdzie, do cholery, trafię? Mo-
ją matkę? Od chwili naszej pierwszej i ostatniej rozmowy przy kominku
nie dostałam od niej nawet kartki. Zastanawiałam się, czy ktoś zawiadomi
matkę, że staruszek wyciągnął nogi. Ale jak by to mieli zrobić? Zor-
ganizowała sobie najlepsze zniknięcie od czasu sędziego Cratera*²³. Nie,
gdziekolwiek była, uroczą Maggie Maitland nie będzie wiedziała o ni-
czym.

²³ J. F. Crater, sędzia Nowojorskiego Sądu Najwyższego, zniknął 6.08.1930 w niewyjaśnionych okolicz-
nościach.

A zatem do widzenia Stokely, witaj Stamford, ponieważ pękaty stary pociąg zawiózł mnie z powrotem do wiekowego domostwa. Miałam trudności z zebraniem myśli. Tak, czułam się śmiertelna i bezbronna. W końcu życie stracił ktoś, z kim łączyły mnie więzy krwi. Ale z drugiej strony nie chodziło o jakąś straszliwą chorobę, która zabrała tatę i pewnego dnia mogła zabrać mnie. To był pożar. A pożar mógł się przytrafić każdemu. Więc nie czułam się aż tak zagrożona. Nie czułam też, żeby zabrakło mi ojcowskiego ramienia, na którym mogłabym się wesprzeć, bo tata sam ledwie potrafił utrzymać się w pionie, i to nie podtrzymując oszołomionej córki.

A jednak czułam przygniatający smutek. Nie nad sobą, nad nim. Bo jeśli nawet nie udało mu się niczego w życiu osiągnąć, nigdy też nikogo nie skrzywdził. Ta śmierć przypominała śmierć małego zwierzątka, o którego obecności w pobliżu nikt nie wie, dopóki nie znajdzie jego martwego ciała - jak koliber, miś koala, małpka - słodkie, łagodne drobinki życia, dostrzegane wyłącznie jako echa i cienie ich minionego, maleńkiego istnienia. Na cmentarzyku w Stamfordzie w stanie Connecticut, w półkolu wiecznie zielonych krzewów, mieliśmy pochować echo i cień. Kto przyjedzie na pogrzeb Howarda Maitlanda? Lepiej się nastawić, że prawie nikogo nie będzie. (Założę się, nawet nie wiedzieli, jak miał na imię).

Moja siostra Mary Ann (błeee) i szwagier Walter (fu) wyszli po mnie na stację i pocieszali całą drogę, aleja nie potrzebowałam pocieszenia, bo już sam ich widok sprawił, że serce mi śpiewało z radości. Mary Ann, ledwie po dwudziestce, wyglądała na czterdziestolatkę. A Walter, cuchnący alkoholem, jakby miał dziewięćdziesiątkę. Najwyraźniej ich małżeństwo układało się znakomicie (z mojego punktu widzenia), więc kiedy podczas jazdy do domu ręka Waltera opadła na moje kolana, pozwoliłam jej tam zostać (obejdź się pan smakiem, panie Dziewięćciołowy, bo na nic więcej z mojej strony nie możesz liczyć).

No cóż, pogrzeby są chyba dosyć podobne. Zgromadzenie w kościele, głupawa ceremonia, dogmatyczna litania, limuzyny na cmentarz - i opuszczamy! Nie wzięłam jednak pod uwagę mojej konkretnej reakcji na to wszystko. Trzymałam się, dopóki nie zaczęli opuszczać trumny do grobu. I byłoby w porządku, gdybym nic nie powiedziała. Ale w ostatniej chwili, ku własnemu zaskoczeniu, odezwałam się. „Do widzenia, Tatusiu”, powiedziałam i to wystarczyło. Prawie zemdlałam, wydobywały się

ze mnie potężne jęki, wstrząsały mną niekontrolowane spazmy i musieli mnie odprowadzić.

Sam dźwięk słów „Do widzenia, Tatusiu”, i już się rozkleiłam. Teraz wiem, że zrobiłabym to samo na pogrzebie obcego człowieka, gdyby jego córka powiedziała: „Do widzenia, Tatusiu”. Teraz wiem, że tamten płacz stanowił warunkową reakcję na słowa, a nie na rzeczywistą sytuację, na znajome wydarzenie, a nie na ból. No i jakże mogłabym zrobić cokolwiek innego? W iluż to filmach widziałam, że Bette Davis robiła to samo? A Jennifer Jones i Olivia de Havilland i całe zastępy niepokalanie poczętych bohaterek, które kochały swoich rodziców po grób i jeszcze dłużej? Ile to lat solidnego, uczciwego oglądania filmów przygotowało mnie na moment, w którym ja miałam odegrać wielką scenę na cmentarzu w moim własnym melodramacie Warner Brothers?

Fakty dotyczące śmierci taty wyglądały następująco: zabrał wszystkie swoje obrazy, flaszkę bourbona, butelkę tabletek, galon benzyny... i jedną suchą zapałkę. I złożył je razem do kupy, i w magiczny sposób połączyły się w słowo „Matka”, wypisane wielkimi, płonącymi, żółtymi literami. Cała pracownia poszła z dymem w ciągu kilku minut, wszystkie obrazy taty razem z nią. Mogę tylko przypuszczać (albo mieć nadzieję), że kiedy zapalał zapałkę, zdążył już odpłynąć jak należy. Ale nie mogliśmy być pewni, bo nie znaleziono żadnego listu, a to, co zostało, ograniczało się do popiołu i resztek szczęki. Coś niesamowitego. Dokonał autokremacji, a potem go pochowaliśmy. Jak bardzo można być martwym?

Nie trzeba specjalnie wyteżonej pracy umysłowej, żeby stwierdzić, czemu to zrobił. Zrobił to, bo wreszcie spojrzął w twarz faktom - był nikim i nie miał nic... ani żony, ani córek, ani talentu. Moja matka „Maggie widmo”, nie pokazała się ani nie potwierdziła, że wie o jego odejściu.

Prawnicy zjawili się bezzwłocznie. Majątek taty - dom, ziemia, akcje, obligacje itd. - wyceniono na jakieś osiemset tysięcy dolarów, plus minus to, co zostawił służbie, organizacjom dobroczynnym, co poszło na prawników i podatek spadkowy. Na tydzień przez wielkim fajerwerkiem wykreślił Maggie ze swojej ostatniej woli. Nawet gdyby się pokazała, miałyby marne szanse na podważenie testamentu, bo nikt nie mógłby z czystym sumieniem potwierdzić, że kiedykolwiek zrobiła coś, jak przystało na żonę - nie licząc odejścia.

No więc miałyśmy czterysta tysięcy dla mnie i czterysta dla Mary Ann (do podziału z Naleśnikowym Królem), a jedyny kruczek polegał na tym, że byłam nieletnia, co oznaczało, że moja część pójdzie pod zarząd powierniczy... zgadnijcie z kim w roli powiernika? Co gorsza, była też moją opiekunką prawną. Ile szesnastolatek mogłoby powiedzieć, że ich opiekunka to dziwka, i wiedzieć, że stwierdzają fakt?

Nie minęły dwa dni, a już pośrednicy w handlu nieruchomościami biegali po domu, jakby padli ofiarą gorączki złota. A handlarze antykami, z tymi ołówczkami o zwilżanych językiem czubkach, drobili dookoła, umieszczając metki na wszystkim oprócz papieru toaletowego. Zjawił się tylko jeden handlarz obrazami - żeby się upewnić, czy żaden z obrazów taty nie przetrwał pożaru - staruszek nazwiskiem Peebles. Przez lata oglądał wszystkie obrazy taty i niczego się w nich nie dopatrywał, nie licząc portretu Maggie. Zapytał o niego, czy też spłonął. Kiedy uzyskał odpowiedź twierdzącą, zrobił „tsk-tsk” i skierował się w stronę drzwi, a ja deptałam mu po piętach, niesiona słusznym gniewem.

- Gdzie, do cholery, się pan podziewał, kiedy on żył? - krzyczałam, zaskoczona własną złością i piskliwym dźwiękiem swojego głosu.

Spojrzał na mnie, jednocześnie starając się unikać mojego wzroku.

- Przykro mi, młoda damo, pani ojciec był drugorzędnym malarzem.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, stary durniu?

- Na tym polega moja praca. - Posuwał się do drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść, ale nie był w stanie przyspieszyć.

- Czemu nie kupił pan czegoś, kiedy jeszcze żył? Może wtedy dalej by żył!

- Proponowałem zakup. Portretu pani matki. Nie chciał go sprzedać.

- Może gdyby zaoferował pan więcej niż osiem dolarów, toby ze-chciał!

- Zaproponowałem znacznie większą sumę. Proszę wybaczyć. Prze-praszam za fatygę.

- W tym pieprzonym domu każdy za coś przeprasza!

Pan Peebles wyszedł. Irlandczyk, bez dwóch zdań, bo tylko

Irlandczycy mówią: „Przepraszam za fatygę”. Cały czas to powtarzają. Mówią to, kiedy ktoś umrze, kichnie, kiedy komuś ukradną płaszcz. Powiedzieli to do Otella, Hitlera, Kserksesa i Attyli. „Przepraszam za fatygę”. Przetłumaczone na angielski znaczy to: „Cholerna szkoda, że twój

stary kopnął w kalendarz, ale co, do diabła, ja mam z tym wspólnego?". Czemu ludzie nie mówią tego, co myślą? Trzasnęłam za nim drzwiami i ze stolika zleciał wazon, który roztrzaskał się na podłodze. Metka głosiła: „356 - \$148.00". Z punktu byłam winna Mary Ann siedemdziesiąt cztery dolce. Pieprzyć ją, pomyślałam. Nie przyznam się. Powiem, że to wiatr. Powiem, że to lokaj.

Poszłam do swojego pokoju popłakać. Nie nad sobą. Nie nad tatą. Nie nad głodującymi tłumami w Indiach. Tak po prostu. I może trochę nad wszystkimi malarzami, którzy nie mogli sprzedać nawet kawałka płotu, mimo że obcięli sobie ucho.

Przestałam płakać, bo się tym znudziłam, i rozejrzałam się po moim przypominającym bombonierkę pokoju, który urządziłam sama, bez niczyjej pomocy. Nie dlatego, że zdradzałam jakieś wielkie uzdolnienia w tym kierunku i pozwolono mi się sprawdzić. Chodziło o to, że tak naprawdę wszyscy mieli to gdzieś i dali mi wolną rękę. Wątpię, czy ktokolwiek kiedykolwiek pofatygował się do niego, by zobaczyć, co mi wyszło, oprócz Sary, naszej pokojówki. Wszystko zrobiłam sama, dzwoniłam do sklepów, wertowałam katalogi z próbkami, wyklócałam się o ceny. Wspaniałe doświadczenie. Szkoda tylko, że rezultat przypominał wybuch w sklepie z cukierkami.

Myliłam się jednak co do tego, że nikt nie zachodził do mojego pokoju oprócz Sary. Był tam ktoś jeszcze, i to niedawno: mój ojciec. Znalazłam w szafie obraz, przyciśnięty frontem do tylnej ściany - portret Maggie. I z tyłu coś na nim było, jakiś napis:

Ginnie - to twoja matka. Kochałem ją.

Tata

Więc znów płakałam, nowe łzy, całe potoki łez. Z jakiegoś powodu, i to w przededniu samobójstwa, tata postanowił, że ja i tylko ja powinnam zatrzymać portret Maggie. Skądś wiedział, że nie należy go palić, że ma wartość, niekoniecznie wyrażoną w dolarach, ale ludzką i uczuciową. Była to jedyna rzecz, jaką mi zostawił, niewymieniona w testamencie. Dziwne. Wszystko, co mi zostało po ojcu, to matka.

Podniosłam obraz do światła. Mój Boże, był dobry i, mój Boże, to była Maggie. Ta twarz, te oczy, włosy, wszystko czule przeniesione na płótno tak perfekcyjnie. Z dziwnym drgnieniem zdałam sobie sprawę, że

zmieszany z olejem i pigmentem był jeszcze jeden składnik, którego zabrakło we wszystkich pozostałych pracach artysty - miłość. Jezu Chryste, Maggie, czy ty w ogóle coś zrobiłaś, żeby na to zasłużyć?

Nie wahałam się ani przez chwilę, zatrzymam obraz dla siebie w charakterze obietnicy złożonej ojcu na łożu śmierci. Za cholere nie zamierzałam zawiadamiać Mary Ann o jego istnieniu; za cholere nie zamierzałam się kłócić o kwestię własności ani pozwolić komuś z tych chciwych rzeczoznawców nakleić na nim numer albo metkę z ceną. A co do pokazania go panu Peeblesowi, to pieprzyć go, i przepraszam za fatygę.

Pograżyłam się w marzeniach. Obraz był wart majątek. Należycie zbadany i wyceniony mógłby stać w jednym szeregu z Moną Lisą. Ale jak mogłabym sprzedać swoją matkę? Bez trudu. To ojca nie mogłam zdradzić. A poza tym miałam czterysta tysięcy, jeżeli nawet nie mogłam ich dostać do ręki przez najbliższe pięć lat. Poszłam na następujący kompromis: jeżeli znajdę się w kłopotach, zanim dostanę spadek, albo jeżeli Mary Ann roztrwoni moją działkę na wibrującego fallusa wielkości Alp, wtedy i tylko wtedy, to sprzedam swoją matkę białym handlarzom niewolników - za dwieście pięćdziesiąt tysięcy. To najmniejsza kwota, na jaką mogłabym się zgodzić. Za piękność taką jak Maggie Maitland? Do diabła, który stary kolekcjoner-impotent nie chciałby zapłacić tak skromnej kwoty, żeby mieć tę twarz na ścianie swojej pracowni, gdzie mógłby sobie folgować bez wystawiania na próbę biednego ciała.

Właśnie zdążyłam postanowić, że znikam, spadam, spin-kalam, wyrywam, kiedy do drzwi zapukała Mary Ann, Królowa OUS (Oralnego Uzyskiwania Spermy). Pozwolenie na wejście uzyskała dopiero, gdy ponownie upchnęłam Maggie w szafie.

Mary Ann tak ociekała siostrzaną czułością, że przelotnie zastanowiłam się, czy nie została zakonnica, kiedy nikt nie patrzył. Walter by się nie zmartwił; ten ciemnolicy ogier uznałby pewnie, że to genialna koncepcja. Nie ma to jak przedziurkować poślubioną Chrystusowi, żeby ożywić nudną Niedzielę Palmową.

- Ginnie, uważam, że powinnyśmy porozmawiać.
- Okej.
- W końcu - ciągnęła z rękoma splecionymi na podołku, jakby hodo-
wała tam lilie - jesteśmy siostrami, a teraz, kiedy taty nie ma...

- Nie żałujesz, że nie byliśmy dla niego trochę miłsi? Wszyscy traktowaliśmy go jak powietrze. Wszyscy.

Mary Ann gnała naprzód, szkoda czasu na sentymenty.

- Nie wiemy, gdzie jest matka, nawet czy jest w kraju. Tata nam zostawił wszystko. Jest tego sporo.

- Świetnie.

- Za miesiąc skończę dwadzieścia jeden lat i, ponieważ jesteś nieletnia, zostanę twoją prawną opiekunką. - I wtedy porzuciła słodkie gadki. - Spójrz na mnie, ty mała cipo. Nie przyszłam tu dla własnej przyjemności. Przeglądałam twoją kartotekę u Whittiera. Szantaż i obciążanie. Nie mam pojęcia, co z tobą zrobić.

- A kto cię prosi?

- Masz szesnaście lat i żadnych rodziców, panno Obciążalska.

- Mam matkę.

- Masz wspomnienie matki... i tyle. Jako twoja prawna opiekunka mam obowiązek dopilnować twojego wykształcenia i czuwać nad inwestycjami.

- I co wymyśliłaś?

- Szkoła Hollyridge. Wystarczająco blisko Chicago, żebyś mogła spędzać weekendy w domu ze mną i Walterem. Specjalizują się w nieprzystosowanych sukach z niewyparzoną gębą. Będiesz tam pasować.

- Świetnie. Powiem, że jestem twoją siostrą, i zostanę kapitanem drużyny mineciarzy. - Patrzyłam, jak otwiera i zamyka usta... istna rybka.

Spojrzała na mnie ukradkiem, jakby chciała się upewnić, że wciąż tam jestem.

- Nie umiem wyrazić, z jakim wstrętem na ciebie patrzę.

- Na mnie? To ty wylizowałaś trzech muszkieterów, a zakładam, że pewnie także ich konie.

- Jesteś moją jedyną krewną. Niech to cholera, zasługuję na coś lepszego.

- Pokręć się w pobliżu. Może załapiesz pryszczycę.

Na moich oczach zmieniała się w podłą przyrodną siostrę.

- Zrobisz wszystko, co ci każę. Pojedziesz, dokąd cię pošlę... i będziesz mnie traktować z należyтым szacunkiem. A jak ci się to nie podoba, to całuj się w dupę.

- No to może syfa. Jeśli o mnie chodzi, możesz rzucić się pod samochód i zdechnąć.

- Pierdol się - powiedziała i wyszła. Królowna.

Walnęłam za nią drzwiami, wrzeszcząc:

- Przepraszam za fatygę!

Przez kilka następnych dni pielęgnowałam myśli o ucieczce. Ale miałam przy sobie dwadzieścia sześć dolarów i może jakieś dwadzieścia trzy centy. Jezu, myślałam, czy od tej pory Mary Ann będzie mi wydzielać kieszonkowe? Jak miałam to przeżyć? Rozważałam przeszmugłowanie portretu Maggie do pana Peeblesa i sprzedaż na pniu, z ręki do ręki, nieważne za ile. Tylko że to by oznaczało wypicie ostatniej manierki z wodą przed wejściem na pustynię. Śtanowiło to pewien problem.

Bez trudu udało mi się unikać Mary Ann i Waltera. Dom był duży, a oni oboje zaangażowani w sprzedaż wyposażenia. Któregoś popołudnia odwiedziłam stajnie i pojeździłam godzinę na starym Snowballu, który zaczynał kuleć i nie sprawił mi żadnych kłopotów. Zastałam Juda Smitha (tego z płomiennego pamiętnika mojej siostry), który złożył mi kondolencje, prosząc, żebym przekazała je także Mary Ann. Odpowiedziałam, że dzięki, i jeśli pokłusuje do domu, Mary Ann obciągnie i jemu, i jego koniowi. Skamieniał. A najlepsze było, że stoi tak z głupią miną, a tu stary Snowball spuszcza mu porcję gnoju na buty. Nie wiem czemu, ale jakoś mi to pasowało do sytuacji.

Mary Ann najwyraźniej tak samo zależało na mojej ucieczce jak mnie. No bo położyłam się tego wieczoru do łóżka i kiedy wsunęłam ręce pod poduszkę, moje zdumione paluszki znalazły nie co innego jak tysiąc dolarów w nieoznakowanych banknotach - piątki, dziesiątki, dwudziestki i pięćdziesiątki. Żadnej kartki, same pieniądze w kopercie. Cóż, niech nikt się nie waży powiedzieć, że Ginnie Maitland nie da się przekupić. Więc następnego ranka o wschodzie słońca (jakoś to pasowało) wzięłam dwie walizki najpotrzebniejszych rzeczy, zamówiłam taksówkę i pojechałam na dworzec w Stamfordzie z zawiniętym w powłoczkę od poduszki portretem Maggie pod pachą (miał zaledwie dwadzieścia cztery na trzydzieści sześć cali). Zdażyłam przed tłumem dojeżdżających do pracy, więc miałam miejsce siedzące.

Old Greenwich, Riverside, Cos Cob, Greenwich - wszystkie migaly za oknem, machając mi na pożegnanie, kiedy odbywałam swoją pięćdziesię-

ciopięciominutową podróż do Grand Central. To był ostatni przystanek. I jednocześnie pierwszy, bo znalazłam się w Nowym Jorku, był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty i prysnęłam z San Quentin.

TLR

Rozdział 7

Ben

1949

20th Century Fox w mieście Nowy Jork tworzyło świat w świetle. Miało własne granice, własne prawa, własnych bohaterów i własne czarne charaktery. Ja należałem do warstwy społecznej nieco wyższej niż tragarze, dozorczy i pucybuty i nieco niższej niż chłopcy na posyłki, portierzy oraz operatorzy wind. Byłem gońcem w reklamie, co oznaczało, że musiałem znosić swego rodzaju „wzięcie do terminu”, które niewiele różniło się od niewolnictwa.

Mimo dość dobrej sytuacji związku dzień pracy był długi, a wynagrodzenie, które dostawaliśmy na rękę, lepiej by wyglądało wydawane w postaci ryżu. Praca nudna, wyczerpująca i często upokarzająca. Szanse na awans znikome. I chociaż mieliśmy w ferajnie samych porządnych chłopaków, konkurencja o lepsze miejsce trwała zawzięta, bo gra toczyła się o to, żeby szybko wyrwać się z działu reklamy albo zmarnieć tam i zostać zapomnianym.

Okrakiem nad całym kompleksem filmowym stał Spyros Skouras, prezes 20th na cały świat i resztę. Białoogrzywy i nieuchwytny należał do trio braci, którzy dorobili się własnymi siłami, a z powodu braków językowych nie mówili dobrze ani po grecku, ani po angielsku. Ale i tak Skouras był imponującym facetem, wydawało się, że ma osiem stóp wzrostu i skrzydła przy kostkach - taki długi rzucał cień. Gońcy i pomniejszych ciała niebieskie rzadko go widywali, ale wiedzieli, kiedy jest w budynku, bo wówczas cały trząsał się w posadach. Także mosiężne klamki lśniły wtedy trochę jaśniej, a windziarze bardziej prostowali plecy, szczególnie w okolicy Bożego Narodzenia i greckich świąt, kiedy to Skouras rozdawał dziesięcio- dolarowe banknoty jak próbki baklavy w czasie degustacji.

Stawiam, że tyle samo czasu co w Nowym Jorku spędzał w Kalifornii, ale Kalifornią i całą produkcją filmową zarządzał groźny Darryl F. Za-

nuck, który potrafił zrobić pięćdziesiąt pompek na jednej ręce podczas przesłuchiwania niezliczonych gwiazdek do głównych ról w mających powstać filmach (tak przynajmniej głosiła legenda). A poza tym był natchnionym szefem studia z dobrą historią finansową, i to się liczyło (nie dla nas, tylko dla udziałowców).

Wracając do Nowego Jorku - wiceprezesem odpowiedzialnym za anonse, reklamę i promocję był W. Charles Gruber, facet zupełnie innego pokroju. Kiedy nie sprawdził się jako niezależny producent, Gruber wykorzystał wcześniej zdobyte doświadczenie w zakresie marketingu w filmowej branży. Ten to nigdy nikomu nie ułatwiał życia i cichaczem nazywano go „żydowskim Himmlerem”. Pod Gruberem byli Silliphant (promocja), Steier (reklama) i Meyerberg (anonse), ale od razu na początku mojej pracy Steier zniknął, Silliphanta przeniesiono do reklamy, promocję przejął Rodney Bush, tylko Meyerberg mocno się trzymał w anonsach. Nie ma drugich takich komórek do wynajęcia jak filmowe komórki do wynajęcia.

No więc byłem w reklamie, cały szczęśliwy, ale już zacząłem walke, żeby się stamtąd wydostać. Don oświecił mnie w tej kwestii, zwracając uwagę na los tych, którzy za długo tkwili w miejscu. Lecz wszyscy byliśmy młodzi, przeraźliwie liberalni i bulgotała w nas nadzieja. Tak wyposażeni przez los nie potrafiliśmy zaangażować się w dążenie po trupach do jakiegoś mitycznego awansu. Zamiast tego połączyliśmy nasze rozproszone energie w jedną siłę uderzeniową i bez rozgłosu zwróciliśmy ją przeciw temu, co wszyscy zgodnie ocenialiśmy jako wrogie i prymitywne - kierownictwu. Wykonywaliśmy naszą pracę, ale trzymaliśmy się razem, dawaliśmy świadectwo młodości naszego pokolenia. Lata później rozebralibyśmy to inaczej.

Byliśmy zjadliwi, krytyczni wobec scenariuszy filmowych, które oglądaliśmy, szyderczo nastawieni wobec całej branży, a mówiliśmy o sobie jako o „Ludziach Ostatniego Tygodnia”. I przypisywaliśmy sobie lepsze rozeznanie w sytuacji na rynku, niż mieli ludzie, dla których pracowaliśmy.

Telewizja zaczynała wówczas wysuwać macki swoich kabli, ale studia filmowe dalekie były od uznania jej za sprzymierzeńca. Przeciwnie, zwalczali ją, oczerniali, widzieli w niej swego rodzaju „kolorowe radio”. I mimo że wytwórnie proponowały najbardziej ponure menu wszystkich

czasów (twierdzą, że nikt nie byłby w stanie wskazać ery filmu bardziej miernego niż wczesne lata pięćdziesiąte), bez przerwy ktoś wyskakiwał z hasłem FILMY SĄ LEPSZE NIŻ KIEDYKOLWIEK. Stało się to sloganem całej branży, podejściem Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", podczas gdy pięć lat wcześniej dewizą każdego studia było raczej „jeśli to nie nasze, mamy ich w dupie”.

Straszna głupota z tym uporem, że filmy były lepsze niż kiedykolwiek. Zupełnie jakby tonący pytał: „Jak się państwu podoba mój styl grzbietowy?” albo Ikar mówił: „A teraz wykręcę beczkę na wiwat, asie”. Ale wciąż się tego trzymali, bonzowie i fałszywe bożki, dodając nam otuchy śmiałymi słowami i szarmanckim szaleństwem, pełną parą pchając się prosto w Dolinę Śmierci, bo nikt nie wiedział, jak wyegzekwować odwrót.

Mniejsza z tym. My wieszaliśmy plakaty, stemplowaliśmy nasze koperty i zalewaliśmy media FILMAMI LEPSZYMI NIŻ KIEDYKOLWIEK, jak bigoci z czcią wierzący, że „Jezus zbawia” (przemysł filmowy?). I w końcu nadszedł kryzys finansowy, podczas którego skłóceniu akcjonariusze połączyli siły, żeby usunąć rządzące władze, zaczęły się też „ekonomiczne redukcje”, dzięki którym zwolniono dwadzieścia osób, żeby jeden ważniak mógł zachować uprzywilejowane stanowisko, dające możliwość pogrzebienia 20th pod zwałami anachronizmów, banałów i niemożności.

Ucierpiał także Korpus Gońców. Nie będę sobie zawracał głowy wymienianiem nazwisk ofiar, bo lista byłaby za długa. Roland Jessup, szczęśliwie i zasłużenie, został przeniesiony do działu anonsów, gdzie Josh Meyerberg chronił go przed przyszłymi pogromami ekonomicznymi jako chłopca na posyłki.

Reszta nas, obdartych gońców, zapierała się w miejscu z całą siłą, ale pensje mieliśmy tak bliskie minimum socjalnego, że bardziej perspektywiczną pracą byłaby budowa piramid w starożytnym Egipcie - i w tym był haczyk. Zarząd nie mógł nas zwolnić, ale gdybyśmy odeszli dobrowolnie, nie musieliby utrzymywać naszych stanowisk. Ustawiło to naszą piątkę na fascynującej pozycji siły. Mogliśmy być bezczelni wobec zarządu, niechlujnie ubrani i powolni, lecz dopóki pozostawaliśmy członkami związku, musieli nas znosić. Z tego samego powodu mogliśmy być oporni i zbuntowani wobec naszego związku, swarliwi, krytyczni i spóź-

nieni z wpłatą składek, a i tak nikt nas nie wyrzucał. Członkowie mogli nazywać nas „pięcioma małymi gównozj adami” (któregoś wieczoru usłyszałem to z końca sali), ale byliśmy im potrzebni dla ich własnego bezpieczeństwa. Dodatkowo, nie zapominajmy, senator McCarthy i jego „łowcy czerwonych” tylko czekali i ostrzyli swoje listy; a związek, choć wolny od skazy komunizmu, cierpiał na powtarzające się koszmary, w których jeden z nas lub wręcz cała piątka zeznaje przed samym J. Edgarrem Hooverem.

W wolne wieczory wciąż udawało się nam pohulać w dawnym stylu, co oznaczało, że Duży Al wracał do domu, do żony, i na nowo podejmował wysiłki, żeby zrobić jej dziecko, ponieważ zanosilo się na wojnę w Korei, a on desperacko pragnął potomka i odroczenia służby, Arnie Felsen zaś wracał do domu na Bronksie, gdzie matka hodowała mu cukrzycę za pomocą żydowskiej kuchni tak ciężkiej, że wyjęcie dania z piecyka groziło wypadnięciem dysku. Co oznaczało, że do hulanków zostawaliśmy: Don, Bob Steinman i ja. Albo, jak sami się nazwaliśmy, „Król Fiut i klejnoty”. Bob, o czym już wspominałem, był porządnym gościem. I niegłupim. Wiedział, że 20th prędzej zwolniłoby Skourasa niż jego, autentycznego bohatera wojennego i do tego Żyda. A w filmowym biznesie oznaczało to mniej więcej coś takiego jak darmowe wejście na doroczny zjazd nimfomanek, zorganizowany w odludnej okolicy. Nie dlatego żeby Bob potrzebował w tym zakresie pomocy, zupełnie nie. Cierpiał na taki nadmiar chętnych kobiet, że Don i ja, szakale idące śladem lwa, mieliśmy dość ochłapów, żeby się pożywić, jeśli tylko przyszła nam chęć.

Odkryłem niestety, że między „mięsem” a „padliną” istnieje niezgłębiona przepaść, i chociaż Don niespecjalnie zwracał uwagę, w jakim zadzie zatopi zęby, ja się zorientowałem, że nabywam upodobań dalekich od zasad epikureizmu. Ponieważ tak się sprawy miały, znaczącą większość czasu napawałem się tylko widokiem, ciesząc oczy łupem dla mnie nieosiągalnym, a wieczory spędzałem samotnie, cierpiąc głód abstynencji w towarzystwie twórczości Twaina.

Lunch jadaliliśmy w piekarni Killermana na Dziesiątej Alei, wybierając któreś z kilkunastu ogromnych prostokątnych ciastek po dziesięć centów za cztery cale kwadratowe. Porcja kawy, podobnie herbaty, kosztowała kolejne dziesięć centów, mleko piętnaście. Siedzieliśmy przy dwóch małych stolikach, bo u Killermana nie podawali lunchu. Ustawili te stoliki,

żeby nam dogodzić, bo wiedzieli, że jesteśmy Żydami, a oni byli Niemcami - i może któregoś dnia rodzaj ludzki mógłby przewyciężyć podziały... nad strudlem i czarną kawą za dwa centy.

Przy wyjątkowych okazjach wpadaliśmy do Stage Delicatessen, specjalnie, żeby popatrzeć na popisy kelnerów. Napuszeni, bystrzy, zapalczywi i weseli klócili się z nami, doradzali, co mamy zamówić, dolewali musztardy do zupy i nabijali się z naszych krawatów. Wszystko to było oczywiście na pokaz, do tego najlepsza koszerna kuchnia w mieście. A stary Max Asnas, właściciel, szczyił się tym, że zna każdego z gości po imieniu. I cóż takiego, że do mnie mówił „Hymie”, a do Dona zwracał się „Sol”?

Przy okazjach jeszcze bardziej wyjątkowych chodziliśmy do Lindy'ego, gdzie lepiej było mieć rezerwację i trzy dolce do przepuszczenia. Każdy, kto był kimś, jadał u Lindy'ego. To był teren Damona Runyona*²⁴, jego ulubiony lokal, z nieśmiertelnym sernikiem z truskawkami, gdzie widywano ludzi gotowych zabić za peklowaną wołowinę na żytnim chlebie.

Każda wizyta u Lindy'ego była magiczna. To tam gromadził swój dwór Ed Sullivan, tam, z wyżyny niebios, wpadał na kiszkę Danny Kaye. Sid Caesar, u szczytu sławy, zjawiał się tam z orszakiem swoich młodych pisarzy, wśród nich Mel Brooks i Neil Simon*²⁵, tylko wówczas jeszcze wszyscy mieli ich gdzieś.

Ludzie z rozrywki, tancerki uczesane w koński ogon, z różowym i niebieskim makijażem, w strojach do ćwiczeń, aktorzy ze scenariuszami, agenci z umowami - wszyscy walili do Lindy'ego. Knajpa żyła teatrem, filmami i telewizją i wizyty w niej wzmagały mój apetyt na większy udział w tym wszystkim niż ten, który Arnie tak poetycznie określał „rolą szmondaka i tłumoka”.

²⁴ D. Runyon - autor opowiadań o półświatku Broadwayu; na podstawie jego tekstów powstał musical *Guys and Dolls* (1950).

²⁵ E. Sullivan - dziennikarz, gospodarz popularnego talk show; D. Kaye - aktor; S. Caesar - aktor komediowy; M. Brooks — aktor, scenarzysta; N. Simon - scenarzysta.

Sprawy przybrały inny obrót dokładnie wtedy, gdy pomyślałem, że nigdy nic się nie ruszy. Nie wspominając mi o tym, Roland Jessup szepnął za mną słówko u Josha Meyerberga. Co więcej, Roland namówił mnie, żebym zabrał do domu kilka scenariuszy filmów 20th Century Fox, przeznaczonych do realizacji. Kazał mi je przeczytać i napisać parę reklamowych zdań, które miał później pokazać Meyerbergowi. Nie miałem pojęcia, czy robiłem to dobrze, czy źle. Nigdy wcześniej nie próbowałem niczego pisać na poważnie, nie licząc lewych usprawiedliwień, które miały mnie wybawić od zajęć w liceum (z podrobionym podpisem mojej matki). No więc czytałem scenariusze, wymyślałem jakieś chwytliwe teksty i koncepcję reklamy do tego, i co rano, po drodze do działu reklamy, wstępowałem do anonsów, żeby oddać je Rolandowi. Zajmowałem się tym przez trzy tygodnie, mając wrażenie, że drobnymi kwotami wypłacam okup porywaczom, którzy i tak już zabili moje dziecko. I wtedy zadzwoniła do mnie sekretarka Josha Meyerberga. Czy znalazłbym czas, żeby wpaść do jego biura? Tak. Może o trzeciej? Przyjdę.

Willa Nichols, sekretarka Josha Meyerberga, przyglądała mi się, zadzierając swój perfekcyjny nos jakieś pięć sekund. Gdyby miała jeszcze swój poprzedni nos, trwałoby to z pół godziny.

- Tak? - zapytała wreszcie. Około trzydziestki, przysadzista; przyszło mi na myśl, że skoro już zdecydowała się na przeróbkę nosa, powinna była podjąć decyzję o zgnieceniu w kulę i ponownym uformowaniu całego ciała. Nawet gdyby wyszła z tego jako William Bendix*²⁶, mielibyśmy pewien postęp. Nadęcie bez powodu; cecha, której nie znoszę u kobiet, kotów i w kruchym cieście. - Z kim chciałby się pan widzieć?

- Z prezydentem Trumanem, ale zadowolę się Joshem Meyerbergiem.

- Czy oczekuje pana? - Wyłącznie zadawała pytania. Masa ludzi tak robi. Nawet ich zdania twierdzące wznoszą się w górę i mają zawieszony na końcu znak zapytania.

- Tak. Oczekuje.

- A nazywa się pan...?

- Spotty Ginsburg.

²⁶ W. Bendix - aktor charakterystyczny

Zakłopotana niezgodnością między nazwiskiem a notatnikiem przebiegła palcem w górę i w dół strony z umówionymi spotkaniami, jakby popychała biegnącego żuczka.

- Czy mam tu pańskie nazwisko?
- Nie wiem. A ma pani?
- Ginsburg?
- Tak. Spotty.
- Spotty?
- Od „Spofford”.
- Spofford Ginsburg?
- Używam też nazwiska Webber.
- Ben Webber?
- Tak. Może to pani ma.

Wyglądało na to, że jest na mnie zła, i głos jej opadł. I chociaż wypowiedź pozostała pytaniem, stanowiła jednocześnie zaproszenie do przerwania tego gówna.

- Czy nazywa się pan Ben Webber?
- Mój Boże, tak! A pani jest sekretarką Josha Meyerberga?
- Jestem?
- Więc czy mogłaby pani przekazać prezydentowi Trumanowi, że przyszedłem i nie mam ochoty czekać?
- Prezydentowi Trumanowi?
- Jezu Chryste! - Osunąłem się na krzesło.

Wstając, głęboko wciągnęła powietrze, dość mocno, by obie dziurki złączyły się jak spięte klamerką do bielizny. Zniknęła w biurze z tyłu - i wróciła w postaci Josha Meyerberga.

- Ben? - Strzelił we mnie tym słowem, jakby chciał krzyknąć „padnij!”.

Pospiesznie wstałem.

- Tak, proszę pana.
- Wchodź. - Odwrócił się i ruszył, więc poszedłem za nim. Kiedy wchodziłem, Willa Nichols wychodziła. Z kąta nachylenia jej nosa wywnioskowałem, że straciłem przyjaciela. Albo to, albo nos jeszcze się nie wygoił i nie mogła go opuścić.

- Siadaj. - Meyerberg był zasadniczy. Żadnego marnowania czasu. Chodził szybko, mówił szybko i, sądząc po alka-seltzer na biurku, jadł

szybko. Ale był też przyjemnym, przystojnym facetem o czarnych włosach, na oko trzydziestoosmioletnim, który pracował z poluzowanym krawatem i podwiniętymi rękawami koszuli. Miał na biurku moje propozycje reklamowe, cały stos. Nie miałem pojęcia, że tyle ich naprodukowałem. - Kto ci powiedział, że umiesz pisać reklamowe teksty?

- Nikt.

- I słusznie. Większość jest okropna, lecz takie są też anonse, które sami zamieszczamy.

- Przykro mi. - Za cholere nie miałem pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

- Co oznacza, że mógłbyś się tu wpasować bez trudu. Choć muszę przyznać, że kilka masz prawie dobrych. Co oznacza tylko tyle, że jeśli nie będziesz uważał, możesz nam popsuć szyki.

- Postaram się zachować ostrożność.

- To, co napisałeś o Fireball... - Przeczytał mój kawałek na głos. W filmie miał zagrać Mickey Rooney, rzecz była o wyścigach rolkarzy. - Rooney rozkręca rozruchy rolkarzy... takie złe, że aż dobre.

- Dziękuję.

- Ta kwestia dialogowa, którą włożyłeś mu w usta... „Nikt nie rzuca płatków róż na drogę do sukcesu"... czy on to mówi w filmie?

- Nie.

- Więc czemu kazałeś mu to powiedzieć w reklamie?

- Bo w filmie cały czas tak się zachowuje.

- Nie ma filmu. Jeszcze nie. Tylko scenariusz.

- No to w scenariuszu cały czas się tak zachowuje.

- Mamy jeszcze czas. Uważasz, że powinniśmy zadzwonić do Darryla i kazać mu umieścić tę kwestię w scenariuszu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to nie dialog. To znaczy, jako dialog byłaby do niczego.

- Czemu?

- Bo postać, którą gra, nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

- Więc czemu miałby mówić coś takiego w reklamie?

- Bo w reklamie my to mówimy i to jest w porządku, a do niczego, jeśli on to powie. - Bawiła mnie ta wymiana zdań i każdą komórką ciała czułem, że jego też bawi. Oceniał mnie i czułem, że daję sobie radę.

- Roland Jessup jest dobrym copywriterem.

- Z pewnością.
 - Parszywa z niego pomoc biurowa, ale dobry copywriter. I dlatego dostaje awans. Potrzebna mi teraz dobra pomoc biurowa.
 - Tak, proszę pana.
 - Ale nie ktoś, kto zostanie parszywym copywriterem.
 - Nie, proszę pana.
 - Wolę już kolejnego parszywego pomocnika do biura, który zostanie dobrym copywriterem niż odwrotnie. Co uważasz?
 - Że mogę być parszywym pomocnikiem biurowym.
- Nacisnął guzik swojego interkomu.

- Willa, sprawdź, czy Charlie jest w biurze.

W. Charles Gruber był w łaźni parowej, więc czekałem do piątej trzydzięci, żeby się z nim zobaczyć. Podczas gdy biuro Josha Meyerberga było spartańskie i otwarte, Grubera wygodne i zagracone, strzeżone przez sekretarkę nieco bardziej atrakcyjną niż Willa Nichols - Particię Jarvas, chudego rudzielca z zielonkawymi piegami i nosem tak zadartym, że mało nie wyskoczył z twarzy. Miała nos, za który Willa Nichols dałaby się zabić, i im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej mi się podobała. Kości- sta, blada, spięta i poirytowana, ale miała coś w sobie. W tej płaskiej piersi coś się kryło, jakaś niewykorzystana zmysłowość, żyła złota czeka- jąca na kilof poszukiwacza.

- Na co się gapisz? - zapytała z akcentem tak otwarcie brooklyńskim, że w pierwszej chwili wziąłem to za żart.

- Przepraszam?
- Gapisz się na mnie. Nic nie poradzę. Muszę tu siedzieć. Czy ja się na ciebie gapię?
- Nie.

No to przestań, dobra?

- Jasne. Przepraszam.
- On niedługo wróci. Musisz być cierpliwy. A ja przeżyję bez pożą- dliwych spojrzeń, w porządku? - Wzięła do ręki czasopismo, bo jakieś tam czytała, odebrała parę telefonów i dalej czuła się skępowana moją obecnością.

Nie mogłem przestać się zastanawiać, czemu Gruber miałby trzymać sekretarkę w rodzaju Pat Jarvas. Albo znakomicie sprawdzała się w pra- cy, albo ją bzykał. Ale czemu ktoś pokroju W. Charlesa Grubera miałby

chcieć bzykać kogoś takiego jak Pat Jarvas? Może jej nie bzykał. Może po prostu ktoś zostawił mu jąna wycieraczkę, z liścikiem, że proszę się nią zaopiekować i ukryć, kiedy przyjedzie rakarz. A jednak, na Boga, było w tej dziewczynie coś na wskroś zmysłowego. Pewnie łokiec.

W. Charles Gruber przemknął tak szybko, że nawet go nie zobaczyłem. Ale poczułem. Używał Guerlaina, tej samej wody kolońskiej, którą wybrała dla mnie Alice. Czy to możliwe, Alice i W. Charles Gruber? Nigdy. Wierzyłem w zbiegi okoliczności, lecz nie w zjawiska nadprzyrodzone.

- Weź notatnik. - Najwyraźniej mówił do swojej sekretarki, co się dobrze składało, bo ja nie miałem notatnika. Zabrała ten notatnik i poszła, zamykając drzwi cicho jak śmierć.

Czekałem. Kolejne pół godziny. Patrzyłem na opatrzone autografami zdjęcia na ścianach. Linda Danieli. Susan Hayward. Betty Gracie. Wszystkie z dedykacją: „Charliemu” z miłością, przywiązaniem albo z niesłabnącym uczuciem. Kilka razy zadzwonił telefon, ale został odebrany w środku. Jeszcze trochę poczekałem. Kazał mi czekać. Dokładnie tego się spodziewałem i natychmiast poczułem się w tej sytuacji swobodnie jak aktor znający scenariusz w chwili, kiedy pierwszy raz bierze go do ręki. Uderzyło mnie, że wszyscy, których spotkałem, odkąd pracowałem w 20th, zachowywali się tak, jakby grali w filmie. Nie przywiązywałem do tego znaczenia, bo w końcu każda duża firma i jej ludzie tworzyli wobec reszty świata mikrokosmos i stała nade mną Pat Jarvas, przyglądając mi się, jakbym zwariował.

- Hej? - odezwała się.
- He?
- Powiedziała, że możesz wejść.
- O. Dzięki.
- I uważaj. Jest w parszywym humorze.

- Ja też. - To jej dało do myślenia. Zdobyłem sobie szacunek tej dziewczyny. Co się z tym dalej stanie, pozostawało sprawą otwartą. Wszedłem do biura Grubera, mając wrażenie, że powinienem wjeżdżać na wózku podwożącym skazańców pod gilotynę. Ale się nie bałem. Jeśli już, to czułem coś wręcz przeciwnego. Po prostu jeszcze jeden byczek, z którym stoczę walkę na złomowisku Carmody'ego. I, do cholery, po tym

kiedy tak długo czekałem, żeby się z sukinsynem spotkać, pierdziele to wszystko, nie poddam się ani nie ustąpię.

W. Charles Gruber był okrągły. Okrągłe ciało, okrągła głowa, okrągło zaczesane włosy (to, co z nich zostało). I zezowate oczka, z którymi wyglądał jak kluska z dziurką. Więc oto bicz boży 20th Century Fox, pomyślałem. To był potwór, przed którym wszyscy drżeli. Mam wiele wspomnień tego faceta, ale najsilniejsze, przebijające wszystko, jest to, że nie można było poczuć do niego sympatii od pierwszego wejrzenia.

- O co chodzi? - zapytał tonem, który sugerował, że wolałby nie wiedzieć, jakby miał milion spraw do załatwienia, lecz spotykał się ze mną, ponieważ jako Król musiał znaleźć trzydzieści sekund dziennie na wysłuchanie problemów swoich poddanych.

- Pan Meyerberg prosił, żebym się z panem spotkał.

- Wiem. - Odchylił się do tyłu na krześle, a jego brzuch podjechał tak wysoko, że prawie zasłonił podbródek. - Chcesz zostać przeniesiony do anonsów.

- Tak, proszę pana. - Nie poprosił, żebym usiadł. Trzymał mnie tam na stojąco; jakaś perwersyjna psychologiczna intryga obliczona na to, żeby mnie złamać.

- Więc czemu ja muszę cię widzieć?

- Nie wiem.

No to mi powiedział.

- Muszę cię widzieć, ponieważ jestem odpowiedzialny za cały personel tego biura. Nikt nie zostaje przeniesiony, zwolniony ani nie idzie do sracza bez mojego zezwolenia.

Kiwnąłem głową, że pojmuję zakres jego władzy. Potem usiadłem, założyłem nogę na nogę i umościłem się wygodnie, bo pieprzyć to.

- Nie prosiłem, żebyś usiadł.

No to wstałem.

- Siadaj.

No to usiadłem. I miałem dziwne wrażenie, że sukinsynowi spodobał się mój styl. Pomyłka w tej kwestii nie miałaby dla mnie znaczenia, bo mnie się mój styl podobał.

- Mogę unieważnić twoje przeniesienie, zdajesz sobie sprawę.

- Tak, proszę pana.

-Zwykle trzymamy gońców w reklamie tak długo, aż sami odejdą albo zemrą. Czemu ty miałbyś zostać przeniesiony? Czemu nie kto inny?

- A żebym to ja wiedział.

- Josh twierdzi, że napisałeś parę teksów, że część z tego jest dobra i że przesuwa swojego pomocnika biurowego na stanowisko praktykanta copywritera i chce, żebyś ty zajął się kałamarzami, ołówkami, koszami na papiery i całym tym gównem.

- Tak, proszę pana.

-Nie może cię zatrudnić, dopóki ja tego nie zaaprobuje. Czemu miałbym to zaaprobować?

- Bo szanuje pan Josha, a on uważa, że się nadaje.

- A co naprawdę myślisz?

- Że jest z pana worek gówna.

Pochylił się w przód z gasnącym uśmiechem i poświęcił parę sekund na próbę zmiążdżenia mnie płonącym zezikiem. Kiedy to zawiodło, wygłosił obowiązkową kwestię:

- Jesteś zwolniony. Wynocha.

- Pieprzę cię. Nie może mnie pan zwolnić.

- Czemu nie mogę cię zwolnić?

- Bo nie ma pan powodu.

- Właśnie nazwałeś mnie workiem gówna.

- Bo jest pan workiem gówna. Ale nikt nie uwierzy, że facet, który czeka na awans, powiedziałby panu coś takiego prosto w oczy.

- I co z tego?

- To z tego, że związek zorganizuje strajk. Wszyscy wiedzą, że i tak któregoś dnia do tego dojdzie. Będą szczęśliwi, że mogą zacząć otwartą wojnę.

- W waszym związku roi się od komuchów.

- Podobnie jak w Rosji, ale tamci też nie mogą mnie zwolnić.

- Jakim cudem jesteś taki odważny? Masz kupę forsy?

- Jasne. Mam hotel przy plaży. - Poszedłem na całość. Otworzyłem swoją niewyparzoną gębę i przeżyłem. Lepiej, zaczynałem umacniać pozycję, zdobywać punkty w tej kretyńskiej grze, w którą graliśmy.

- Gdzie chodziłeś do szkoły?

- Nigdzie.

- Tu napisano, że na Uniwersytet Pittsburski.

- Zaprzeczam.
- Napisano, że grałeś w futbol.
- Jasne. Pod nazwiskiem Marshall Goldberg.
- Jesteś Żydem?
- A pan?

Śmiał się tak gwałtownie, że krzesło maksymalnie odchyliło się do tyłu i walił głową o ścianę. Nie przeszkadzało mu to, rechotał ze stopami prawie pionowo wycelowanymi w sufit, jak bezmyślna dziwka, która usiłuje pozbyć się majtek.

Pojęcia nie mam, skąd mi się wzięła ta odwaga ani czy w ogóle w grę wchodziła odwaga, czy rodzaj szaleństwa. Z pewnością trudno to było uznać za sprytne posunięcie. Lecz tamtego dnia czegoś się o sobie dowiedziałem. Miałem termostat, regulator, nazwijcie go „gównometrem”. Potrafię znieść wszystko po tej stronie gównolinii, ale wystarczy ją przekroczyć, a jaja mi zaczynają dzwonić i biję jak zegar z wahadłem. Źdaje się, że mam to po ojcu. Tylko on nigdy nie wykorzystał tego właściwie. Tak czy owak, dostałem tę pracę.

Chociaż trudno byłoby tu mówić o pracy twórczej, znalazłem się przynajmniej ze cztery kasty ponad pariasami, którzy trudzili się w reklamie. Zachęcano mnie do pisania; nie dlatego, że zamierzali z czegoś skorzystać. Znalazłem się w sytuacji rozgrywającego, który rozgrzewa się na wypadek, gdyby został wezwany, ale wie, że jeśli go wezwą, mecz już jest stracony.

Było trzech prawdziwych copywriterów. Roland, ze świeżą podwyżką do czterdziestu pięciu dolarów tygodniowo. Mickey Green, człowiek chudy i obłąkany, ze słabym kontaktem z rzeczywistością. No i Dora Leindorf, drobna kobietka, jej mąż należał do młodszych wspólników jakiejś firmy prawniczej z siedemnastoma nazwiskami na szyldzie i faktu tego Dora używała jako wymówki, by nie brać udziału w związkowych zebraniach, chociaż nikt nie rozumiał, na czym polega ta zależność. Dora płaciła składki, pisała porządne teksty, miała maniery damy, ale z premedytacją trzymała się na uboczu, przychodziła i znikwała jak nieskazitelna dziewczyna z towarzystwa, mimo że cała trójka copywriterów i nowy pomocnik biurowy pracowali w zielonym akwarium o szklanych ścianach, gdzie nie dało się podłubać w nosie, żeby ktoś nie zawołał: „Ha! Mam cię!”.

Dora Leindorf nigdy nie dłużyła w nosie. Ona go wycierała. Z głośnym trąbieniem, które zagłuszało pobliskie kościelne dzwony. Rozlegało się znieczeka jak ostry ryk łosia, sprawiając, że podskakiwaliśmy na krzesłach, bo niebo waliło się nam na głowy. Podnosiliśmy wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak macha kleenexem niby pijany marynarz-sygnalista. Potem wszystko się uspokajało, sejsmograf na Mount McKinley miał zanotowane 5,2 i ludzie wracali do domów, przepelnieni wdzięcznością, że przeżyli coś, co mogło być tylko gniewem Zeusa.

Roland, chociaż nasze biurka ze sobą sąsiadowały, był równie powściągliwy i obcy jak zawsze, przynosząc lunch do pokoju, rozmawiając przez telefon z dziwnymi ludźmi o dziwnych interesach w show-biznesie, ale wykonując przy tym godną podziwu robotę, a wszystko w starannie podtrzymywanej atmosferze izolacjonizmu, którą śmiało można było porównać do otaczającej Dore. Ta para jak koła zębate dotykała się tylko w celu wypełnienia obowiązków, pozostałe trzysta pięćdziesiąt dziewięć stopni angażując w odwracanie się od siebie. Roland palił papierosa za papierosem, a Dora wydmuchiwała nos. Razem tworzyli wspaniałą zespół komediowy - „Dechy” - „W-” oraz „Wy-”.

To Mickey Green wziął mnie pod swoje kościste skrzydła. Mickey, trzydzieści cztery chude lata, fioletowe usta, cera koloru i faktury wysuszonej szmatki do pióra, był, według jego własnej oceny, najlepszym copywriterem filmowym wszech czasów. Robił to od lat i znał wszystkie sztuczki, na przykład potrafił wkładać papier do maszyny pod takim kątem, żeby tekst zawiadacko uciekał ze strony. Wiedział, jak używać wielokropków, wykrzykników, podkreśleń i wielkich liter, jak pisać wariacje na temat tradycyjnych krzykliwych reklam filmowych w rodzaju:

Pamiętna historia - Niezapomniana opowieść...

FILM TAK WIELKI I ROZLEGŁY

JAK WSZYSTKIE PRZESTRZENIE ŚWIATA...

Znów razem po raz pierwszy...

TERAZ - 20th Century Fox - wytwórnia, która stworzyła...

Mickey pisał też wspaniałe teksty „ZOBACZ”, na przykład:

ZOBACZ Pałac tysiąca smutków!

ZOBACZ Świat pod dwunastomilową rafą!

ZOBACZ Dwie wielkie gwiazdy ponownie razem
po raz pierwszy
w niezapomnianym
filmie wielkim i rozległym
jak wszystkie przestrzenie świata.

Mickey potrafił robić to wszystko i to właśnie robił. Kiedy nikt nie potrafił podjąć decyzji, czy „Cinema” i „Scope” powinny być jednym słowem, czy dwoma, to Mickey poszedł na kompromis i zadziwił świat „CinemaScopem”. I to Mickey zmusił biuro na Zachodnim Wybrzeżu, żeby sfotografowało nieznaną aktorkę, która oddała się od kamery, zalotnie spoglądając przez ramię. Aktorką tą była Marilyn Monroe.

Jestem całkowicie przekonany, że Mickey Green wiedział o reklamie filmowej najwięcej ze wszystkich ludzi, których poznałem, ale był tak nieżyciowy pod każdym innym względem, że jawił mi się jako swego rodzaju nawiedzony dziwak, z trudem funkcjonujący w odległości od biurka większej niż dziesięć stóp. Miał żonę, syna, nowy samochód, którym nie jeździł, bo nigdy nie poszedł na kurs jazdy, i zegarek na każdej ręce, bo jeden się spieszył, a drugi spóźniał, więc żeby sprawdzić godzinę, wyciągał średnią. Zawsze nosił skarpetki nie do pary („Mam w domu drugi dokładnie taki sam komplet”), garnitury pięć numerów za duże („Lubię, żeby było wygodnie”), miał włosy, z którymi nie mógł sobie poradzić („Trzy grzebienie połamałem”) i etnocentryczne spojrzenie na politykę („Głosuję na Alfa Landona albo Davy'ego Crocketta*²⁷ - który jest lepszy dla Żydów”).

We wszystkim kryła się wówczas pewna doza szaleństwa. Sytuacja w branży zaczęła się zmieniać, ale my byliśmy jak pałacowa gwardia, lojalna wobec cara, chociaż nikt nie wiedział dlaczego. Dochodziły do nas ożywcze podmuchy, którymi mogliśmy napełnić płuca, lecz, zafascynowani tym, czym kiedyś był przemysł filmowy, zajęliśmy swoje miejsca w okopach wśród ludzi, którzy rzuciliby nas na pożarcie łowcom czerwonych, gdyby tylko mogli w ten sposób uchronić własne tyłki.

Spyros Skouras zdobył prawa do sfilmowania „Największej historii, jaką kiedykolwiek opowiedziano” i zebrał ludzi z anonsów i reklamy

²⁷ A. Landon (1887-1987) - polityk; D. Crockett (1786-1836) - pionier, polityk, bohater wojenny spod Alamo.

w zakutej w pancierz z brązu sali projekcyjnej (zaprojektowanej w 1930 roku przez panią Williamową Fox, którą powinni tego dnia zamknąć u czubków), oznajmił nam, jak ciężko będziemy pracować „na tym pięknym firnie”. Okraszając swoją przemowę archaicznymi angielskimi słowami

o zwrotami, przeszedł do odmalowywania ostatecznego sukcesu tego przedsięwzięcia. „Wyraście sobie, jak wizowie będą czarowni panoramą Chrystusa i jego uczniu na Ostatecznej Kolacji...”

TLR

Przy tym prawie pospadaliśmy z siedzeń. Przy następnym pospadaliśmy. „Panowie i pnie, oferuję wam przysięgę. Ten fim będzie wienkszy niż dwanaście przykazań!”.

I tak to wyglądało. Starzy bonzowie, wyczuwając, że nadchodzi koniec ich dynastii, usiłowali odegnąć los, batożąc sługi, by przeciągnęli jeszcze jedną galereę, podnieśli jeszcze jedną belę. Także sądy nie ułatwiały im życia, ponieważ nie wolno było dłużej jednocześnie produkować filmów i mieć własnych kin. Tu rozwód był nieunikniony, pozostawali w jawnej sprzeczności z ustawą antytrustową Shermana, i to od początku.

Krążyły plotki. Wywalili Zanucka. Wywalili Zanucka i Skou- rasa. 20th zbankrutowała. 20th została kupiona przez Zjednoczoną Korporację Producentów Cygar („Wszystko idzie z dymem” - Duży Al Epstein). I w szczytowym punkcie, w samym środku tej rozkosznej niepewności, kiedy to ludzie szukali innej pracy w innych branżach w innych miastach, dostałem powołanie.

Na badania przed komisją lekarską poszedłem jakieś sześć tygodni wcześniej, nie z własnej woli, ale z powodu uporczywych nalegań kraju, w którym żyłem. I tam zostało przesądzone, że choć daleko mi do ideału, jestem dostatecznie zdrowy, by odbyć służbę. Byłem przygłuchy na jedno ucho i przyślepy na jedno oko (te walki w Pittsburghu), miałem dwie luźne chrząstki w kolanach, kłopoty z kręgosłupem lędźwiowym i niezrośnięte żebra, przez które bez trudu mogłoby mi wyskoczyć serce, gdybym szybko biegł i krótko odpoczywał, ale i tak chcieli mnie powołać, bo taki był ze mnie wysportowany facet.

Ostemplowali moje papiery „ograniczona przydatność do służby”, po czym kazali iść do domu i się nie martwić, bo jeśli Chiny nie wkroczą do Korei zza rzeki Yalu, Stany Zjednoczone sobie poradzą, i to bez poboru.

Pudło. Chińczycy wkroczyli i jeśli nawet Stany Zjednoczone mogły sobie poradzić, nie potrafiły poradzić sobie całkiem bez mojej pomocy. Taki byłem ostry. Za młody na drugą wojnę światową, na którą tak bardzo chciałem się załapać, proszę, oto jako jeden z pierwszych zostałem powołany z powodu czegoś, czego nawet nie uważano za „wojnę”. Nazywano to „akcją policyjną” („To czemu nie wyślą gliniarzy?” - Arnie Felsen).

W dzień przed wyjazdem wydali dla mnie pożegnalny obiad u Howarda Johnsona na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Zjawili się wszyscy oprócz Grubera, który był w łaźni parowej, Skourasa, który był w Europie, i Zanucka, który był na safari. Josh Meyerberg przyszedł, wygłosił miłą mowę, po której wszyscy bili brawo, i dał mi ładny zegarek. Naprawdę piękna rzecz, ale nie warto było iść na wojnę, żeby go dostać. Ja też wygłosiłem mowę, głupią, bo czułem się skrępowany. Podziękowałem trenerowi, moim stoperom i obrońcom i, wiercie lub nie, Patricia Jarvas się rozplakała i musieli ją wyprowadzić. Kiedy wróciła, dostała większe brawa niż ja.

Po zakończeniu imprezy wszyscy kolejno pompowali moją rękę i życzyli wszystkiego dobrego. Dora Leindorf wydmuchała nos, trzy szybkie wybuchy oznaczające raczej wzruszenie niż przeziębienie (nauczyłem się rozróżniać i interpretować jej podstawowe zawołania nosowe). Roland tylko wzruszył ramionami i poszedł z poczuciem winy, bo jako gorliwy homoseksualista nie stanowił dla armii pożytku. Mickey Green, który w czasie drugiej wojny służył na Pacyfiku jako mięso armatnie trzeciej kategorii, zaproponował zakład o dziesięć dolców, że po moim powrocie będzie w stanie wypić pięć butelek taniego szampana w ciągu pół godziny. Przyjąłem zakład i Mickey wyniósł się chyłkiem, chudziutkie ramiona w zbyt wielkiej marynarce. Duży Al i Arnie Felsen poprosili, żebym napisał do nich parę słów, gdyby się trafiła okazja, i obiecałem, że tak zrobię. Don powiedział, że zobaczymy się później w mieszkaniu, bo od tego pożegnalnego klepania po plecach ma już siniaki.

To Bob Steinman chwycił mnie pod rękę i pokierował do baru na Ósmej Alei. Podtrzymywał mnie na duchu, twierdząc, że obejdzie się bez problemów i że przy odrobinie szczęścia szybko będzie po wszystkim. Zdaniem Boba „ograniczona przydatność do służby” stanowiła też gwarancję, że nigdy nawet się nie zbliżę do frontu.

Opowiedział mi jeszcze, że został ranny i że zestrzelili go nad Niemcami, że obudził się w szpitalu, gdzie przez dwa dni bał się spojrzeć w dół i sprawdzić, czy ma nogi. Po powrocie do zdrowia przeniesiono go do obozu jenieckiego, gdzie pozostał do końca wojny. Najgorsze w tym obozie było to, że co noc nadlatywały amerykańskie bombowce i kiedy nie potrafiły odróżnić jednego celu od drugiego, waliły po wszystkim. Za każdym razem, gdy amerykańscy jeńcy wojenni słyszeli ostrzegawcze

syreny, musieli się kryć, gdzie się dało - z dala od okien, pod stołami, w jakiś dziurach - i w wyniku amerykańskich bombardowań mieli dwudziestopięcioprocentowe straty.

Historia nie należała do rozweselających i zastanawiałem się, czemu, do diabła, Bob mi ją opowiada. Ale i tak byłem wdzięczny, że dopuścił mnie do tajemnicy, którą najwyraźniej zdradził bardzo niewielu osobom. Wypiliśmy kilka drinków i biorąc rachunek, Bob uśmiechnął się do mnie swoim zwycięskim uśmiechem.

- Poradzisz sobie, Ben. Nic ci nie będzie. - Podrzucił mnie taksówką do mieszkania i pojechał dalej, do siebie, gdzie na pewno czekała jakaś dziewczyna.

Kiedy wszedłem na schody, zobaczyłem Dona.

- Jak ci leci, mały?
- Świetnie.
- Bob cię upił?
- Troszkę.
- Nie chcesz chyba zameldować się na służbę z kacem.
- Czemu nie?
- Bo za karę zrobią cię oficerem.
- To znaczy, że nie jestem oficerem? Widzisz, co się dzieje, kiedy nie czyta się tego, co piszą drobnym drukiem?

- Jak to możliwe, że nigdy nie zapytałeś, jaką ja mam kategorię? Wiesz, że też stawałem na komisji.

- Nie byłem zainteresowany.
- Cztery F.
- Nikt nie ma cztery F. Trzeba być trupem.
- Reumatyzm serca.
- Dobrze, że nie reumatyzm fiuta.
- Nie ma żadnego reumatyzmu fiuta.
- Miło mi to słyszeć.
- Mam to od dziecka. Reumatyzm serca. Wstydzę się. To znaczy wolę, żeby nawet mój lekarz o tym nie wiedział. Wolę, żeby świat uznał, że mam hemoroidy.

- Powiem Heddzie Hopper*²⁸.

-W każdym razie chciałem, żebyś wiedział. Nie żebym był rozczarowany, że nie dostanę powołania. Wolałbym tylko, żeby to schorzenie było bardziej widowiskowe, jakaś kontuzja futbolowa, rana od szabli, oparzenia trzeciego stopnia, doznane, kiedy wyciągałem sześcioro dzieciaków z płonącego sierocińca. No i nie wiem, jak mam bez ciebie zapłacić ten pieprzony czynsz.

- Weź nowego współlokatora.

-Jasne. Ale nie tak zaraz. Mam nadzieję, że zdezerterujesz. Może zdezerterujesz.

- Może nawet nie pojedę.

- A skoro mowa o lokatorach. Jest ktoś w twoim pokoju.

- Naprawdę?

-Taa. To niespodzianka. W każdym razie ja byłem cholernie zaskoczony.

- Nie Roland.

- Nie. Był zajęty.

- Kto?

-Ktoś, kto najwyraźniej żywi wobec ciebie silne uczucie, kto chce zrobić coś dla twojej męskości.

- Pan Geppetto?

- Benjaminie, idź do swojego pokoju.

W moim pokoju zastałem Patricję Jarvas. Nie była pijana. Nie płakała. Tylko mówiła.

-Przykro mi. To znaczy naprawdę mi przykro. To znaczy, jeżeli masz coś przeciw albo czujesz się obrażony, to pójdę, ale... wybrałam ten moment z powodu sytuacji, bo to takie dramatyczne i kto wie, czy w ogóle wrócisz. - Brooklyński głos w wysokich rejestrach. Wreszcie opadł i powrócił w towarzystwie uśmiechu. - Wypiłam parę drinków, no wiesz.

- Don cię namówił, żebyś tu przyszła?

-Och, nie. To był mój własny pomysł. Zupełnie własny. To ja się zwróciłam do niego. Powiedziałam mu, że... o Jezu... powiedziałam mu,

²⁸ Hedda Hopper, aktorka i dziennikarka, w latach 1938—1966 prowadziła rubryki plotkarskie dla wielu pism.

że mam dla ciebie to głębokie uczucie i jeżeli nie jesteś dziś wieczorem zajęty, ja też jestem wolna.

Zacząłem się przyzwyczajać do przyćmionego światła. Siedziała na moim łóżku naga, trzymając prześcieradło pod brodą, jakby została zaskoczona w motelu przez prywatnego detektywa. Była tam. Ładna. I gotowa.

Zacząłem zdejmować ubranie, nie umiałem powiedzieć niczego stosownego, zresztą nie zależało mi na tym.

- Jesteś dobrze zbudowany - stwierdziła.
- Dziękuję.
- Bardzo po męsku.
- Tak.

-Miło, że się nie złościysz. Widzisz... za każdym razem, kiedy cię widziałam, na korytarzu, na spotkaniach, na projekcjach... nie wiedziałam, jak wyrazić to, co czuję. Staralam się dotrzeć do ciebie telepatycznie.

- Taa, cóż, wiadomości rzadko do mnie docierają.

-W każdym razie uważam... w dzisiejszych czasach... uważam, że dziewczyna może powiedzieć facetowi, co jej chodzi po głowie i... to właśnie robię, Ben. Boję się, że już nigdy cię nie zobaczę, więc... rozumiesz, o co mi chodzi?

-O tak. - Wślizgnąłem się do łóżka obok niej, leniwie całując jej szyję, przesuwając dłoń ponad biodrami, do wystających jak tarcza do prania żeber, za którymi serce waliło w rytmie odbijanej non stop piłki tenisowej.

-Ben... - oplótła mnie ramionami, potem nogami, nie podejrzewałbym jej nigdy o taką siłę. - Musisz mnie pieprzyć, Ben, albo... - Sięgała już po mojego penisa, a jako mądra dziewczynka wiedziała, gdzie go znaleźć. - Musisz to zrobić, Ben.

- W porządku.

-Taak... Och! - Przynaglająco ciągnęła, tak że mało nie wyrwała go z korzeniami, wywołując lekki ból i rozczarowanie.

- Spokojnie. Spokojnie, mała. Jest tam przyrośnięty, rozumiesz.

-O Jezu... - Była już na mnie, kręciła się, sadowiła, manipulowała mną jak swoją własnością, jakby przygotowywała rurociąg, bo wiertło trafiło na ropę. - Ben!...

- Tak?
- Ben! Ooooo!

Przeżywała ciężkie chwile, próbując mnie wprowadzić do środka, a ponieważ się w tym połapałem, pomyślałem, że zapytam.

- Słuchaj... Pat?

-

Co? Ooooo!

- Jesteś dziewczicą?

- Nie. Ooooo! Mężatką. Achhhhhhh!

Szczęśliwie, kiedy podała mi tę drobną informację, wejście miałem już za sobą, bo w przeciwnym razie nic by z tego nie wyszło.

- Mężatką?

- Rozwiedziona. Zamknij się! Pieprz mnie!

- Aleja...

- Tylko mnie pieprz! Możesz po prostu mnie pieprzyć? Ooooo! Aaaaa!

Po tej sugestii pieprzyliśmy się. Pieprzyliśmy się przez dłuższy czas. Do chwili gdy szczytowałem i chuda dziewczyna zwioteczała, zsuwając się ze mnie jak schwytna na łąso z drugiej strony pokoju.

Chwilę później, dysząc jak zapadnięte płuco, wycierała się z potu prześcieradłem.

- Słuchaj, muszę lecieć, okej? To znaczy chętnie bym została, ale nie mogę. Rozumiesz?

- Obawiam się, że nie.

- Boże, jesteś taki słodki!

- Dziękuję.

- To znaczy twój kutas pasuje do mnie, jakbym była rękawiczką.

- Powiedziałbym raczej rękawicą bejsbolową.

Roześmiała się.

- Boże, jesteś taki słodki! - Wyglądała prześcieradło. - Masz tu mokrą plamkę. Ty ją zrobiłeś, więc sam posprzątaj. Słuchaj, muszę lecieć. Mój samochód czeka.

- Twój samochód? Masz szofera?

Roześmiała się.

- Taa. Tak jakby. Może to powtórzymy, kiedy przyjedziesz do domu na urlop czy coś. Tak po cichu, co?

- Po cichu? Czemu po cichu?

- O cholera. Nie powiedziałam ci, nie?

- Nie, nie powiedziałaś.

- Należę do Charliego. Charlie? No wiesz, Gruber?

- Achhh, Charlie.

-Taa. Przysłał mnie jako coś w rodzaju pożegnalnego prezentu. Nawet swoją limuzyną. Wszystko oprócz kokardki. - Już prawie ubrana pochyliła się nade mną, żeby pocałować mojego zdechłego węża. - Mmmmmmm. Może następnym razem zabawimy się po francusku, co?

- Oo-la-la.

-Charliemu też obciążam. Parszywie stenografuję, ale świetnie obciążam. - Zafundowała mi kilkusekundową próbkę zapowiadającą przyszłe atrakcje, a potem oderwała się od niego.

- Uuups - stwierdziłem.

-Ben, naprawdę chciałabym zostać, ale Charlie powiedział, że nie dłużej niż do ósmej. Gdzie ty, kurwa, byłeś? Czekałam tu parę godzin.

- Gdybym wiedział... słuchaj, naprawdę musisz spadać?

-Och, muszę lecieć. Ale pewnego dnia... kiedy wrócisz... to znaczy mogłabym ci opowiedzieć takie historie, że dałoby się napisać książkę. - Jej ręka przesuwiała się w górę i w dół po mojej bardzo zdezorientowanej włóczni. - Utrzymuj równe tempo, co? co?

- Jasne.

Wstała i podeszła do drzwi.

-Nie daj się zabić, Ben. Pomyśl o mnie, że tu na ciebie czekam.

- Okej.

Uniosła niewidzialny kieliszek w toaście.

- Za idealne pieprzenie.

- Amen.

- To chyba z Hemingwaya.

- Na pewno nie z Louisy May Alcott.

Wyszła. Słyszałem, że w pokoju obok mówi do widzenia Donowi, a potem schodzi po schodach. Po czym do pokoju wszedł Don i zmierzył mnie wzrokiem, kiedy tak leżałem jak z krzyża zdjęty.

- Jezu Chryste - stwierdził.

- Dokładnie.

- Była dobra?

- Była bardzo dobra.

Usiadł na brzegu łóżka i zadumał się.

- Nigdy tak o niej nie myślałem. ..

- Ja też nie.

- Myślisz, że Charlie wie?
- Wątpię. Nawet gdyby wiedział, stary pierd pewnie nie dałby rady.
- Człowiek zaczyna się zastanawiać nad tymi sekretarkami.
- Taa.

Następnego ranka o czwartej budzik wwiercił mi się w mózg i straciłem wątek we śnie, w którym chude dziewczyny z całego świata ustawiły się w kolejce do mojego łóżka, gotowe zdziałać cuda. Wstałem po omacku, ale przytomny. Don spał i nie chciałem go budzić, szczególnie że pożegnaliśmy się poprzedniego wieczoru. Gdybym wiedział, jak wiele czasu minie, zanim ponownie go zobaczę, może obalilibyśmy kilka piw więcej przed pójściem do łóżka. Spakowałem niewielką torbę, przybory toaletowe i takie tam, i porzuciłem stare śmieci z mocnym zapachem Patricii Jarvas wciąż ciasno przylegającym do mojego ciała i duszy.

Kiedy zszedłem ze schodów, przyszły mi na myśl dwie rzeczy. Po pierwsze, z jakiegoś powodu miałem w W. Charlesie Gruberze przyjaciela. Po drugie, pierwszy raz odkąd się poznaliśmy, nie zwierzyłem się Donowi Cookowi.

Dokonałem zmiany na lepsze czy na gorsze? Byłem przekupny czy pragmatyczny? Byłem księciem czy kutasem? W stanie wewnętrznej dychotomii dostarczyłem swoje stare kości Armii Stanów Zjednoczonych, gdzie inne osoby miały mi pomóc rozstrzygnąć tę kwestię.

Rozdział 8

Ginnie

1949

To nie było jakieś specjalne mieszkanie, ale też nie chciałam, żeby było specjalne. Do tej pory nigdy nie zetknęłam się z czymś choćby zbliżonym do nędzy i jakoś czułam, że jeśli mam do czegoś dojść, lepiej będzie najpierw zapoznać się trochę z bardziej mroczną stroną życia. No i ostatnia rzecz, jakiej chciałam, to wyrzucić wszystkie pieniądze na falbanki i wymyślne duperele. Bo chociaż muszę przyznać, że byłam wówczas nieco narwana, miałam dość oleju w głowie, by wiedzieć, że w wielkim mieście szesnastoletnia dziewczyna, która za długo szasta forszą u Bergdorfa i rozrzutnie mieszka w Ritzu, natychmiast zmienia się w przynętę dla rekinów. Oraz, jeśli już musimy grzebać się w tej kwestii, perspektywa telefonu do domu po więcej pieniędzy zajmowała na mojej liście „czynności, które należy wykonać w podbramkowej sytuacji” wyjątkowo odległą pozycję, zaraz po samobójstwie i tuż przed pójściem do łóżka z Walterem Odrażającym.

Nędzne było to moje mieszkanie. I postne moje menu. Ale wiedziałam, że z czynszem i zakupami mogłabym się zmieścić w jakichś dwudziestu pięciu dolarach tygodniowo. Co oznaczało, że mój tysiąc dolarów odprawy (minus cena biletu do Nowego Jorku i cena taksówki do Greenwich Village) wystarczyłby na prawie rok, nawet gdybym nie znalazła żadnej pracy. A jeśli po roku nie uda mi się w Nowym Jorku, pokornie pogodzę się z faktem, że nie byłam dość dobra, i oddam się w ręce mojej „opiekunki” i będę siedzieć w jakiejś kolejnej szkole dla dziewcząt, masturbując się i immatrykulując, aż przyjdzie czas wypłaty moich czterystu kawałków, po czym zostanę alkoholiczką, kupię zespół baletowy, wyjdę za Vincenta Price'a*²⁹, napiszę pamiętniki i umrę na puchlinę wodną w

²⁹ V. Price (1911-1994) - aktor.

Domu Spokojnej Starości w Darien. Więc, jak widzicie, nie działałam kompletnie bez planu.

Podczas mojego pierwszego dnia w Nowym Jorku nikt nie zadawał żadnych pytań, więc i ja nie pchałam się z żadnymi informacjami, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko mnie. Wyglądałam na więcej niż szesnaście lat, mój bagaż prezentował się jak należy i miałam pod pachą obraz, co znaczyło, że albo go namalowałam, albo kupiłam (albo ukradłam) - więc gospodarz przyjął czynsz za pierwszy miesiąc w gotówce, po czym dostałam trzy rzeczy: kwitek, klucz i obślizgłe spojrzenie.

Jak wspominałam, nie było tak źle - stosunkowo. Chcę przez to powiedzieć, że nie była to podmiejska posiadłość w Stamfordzie, ale i nie zarzygana dziura w Pekinie. Wszystko zależało od tego, jak na to spojrzeć, a ja wybrałam podejście optymistyczne. Pokój z łazienką i kuchenką, ale mój, cały mój. Lodówka działała, w kiblu spływała woda, grzejnik syczał, łóżko się nie zapadało, drzwi zamykały - Stary McMaitland chatę miał, ija, ija, o.

Płakałam przez godzinę. Nie wiedziałam, że coś takiego się szykuje. Nigdy nie wiem. Nie wiedziałam też, dlaczego płakałam. Ale tak to wyglądało, w jednej chwili z tryumfalnym uśmiechem moje gobelinowe torby ożywiają nowe królestwo nad rzeką Hudson, w następnej ryczałam jak dzieciak, któremu słoń stratował ulubionego pudelka.

Złożyłam to na karb buzującego okresu dojrzewania i rozpakowałam się. Następne, co zrobiłam, to wybiegłam kupić radio, bo nie umiałam żyć bez Guya Mitchella, Frankiego Laine'a i Patti Page³⁰. Po jakimś czasie znów wyszłam i zaopatrzyłam się w rzeczy do sprzątania - mydła, gąbki, środki do dezynfekcji i detergenty - i zabrałam się do roboty.

Mieszkanie wynajęłam umeblowane - teoretycznie. Była tam miotła, na której ostrzył sobie zęby Wilkołak z Londynu, i mop przeżuty i wypluty przez Potwornego Wieloryba. Oraz garnki, rondle i patelnie kupione przez Czerwony Krzyż w Afryce Południowej po wojnie burskiej. Ale żadnych prześcieradeł, ręczników, szmatek do kurzu, papieru toaletowego, a talerze tak tłuste, że nie dało się ich chwycić - więc znowu wyszłam, puszczając wodze rozrzutności i trzydzieści pięć dolarów u Woolwortha, a kiedy wróciłam, miałam wszystko - cały ten kram. Od pepso-

³⁰ G. Mitchell, F. Laine, P. Page - piosenkarze popularni w latach 50.

dentu po drano*³¹, moje mieszkanie było gotowe, funkcjonalne, higieniczne, z pełną obsadą i wyposażeniem. Powiesiłam portret Maggie tak, żeby padało na niego światło z mojego jedyne go okna, i byłam w domu.

Budynek należał do sporych, jakieś trzy piętra i dziesięciu najemców. Oprócz mojego, w suterenie mieściło się jeszcze jedno mieszkanie. Zajmowała je czarnoskóra dama imieniem Mona, która o każdej porze dnia i nocy miała pod drzwiami kolejkę złożoną z mężczyzn i kobiet. Ja oczywiście myślałam o najgorszym, ale myliłam się. Mona zajmowała się gotowaniem kurczaków. Od świtu gotowała ludziom kurczaki. Głównie muzykom. I dziwkom, jestem pewna. Za półtora dolca Mona zapewniała im doskonale przyrządzonego kurczaka. I o każdej porze dnia i nocy przed drzwiami Mony stała kolejka, jakby puszcza li jakiś świetny film.

W Village było coś depresyjnego. To miejsce chyba się skończyło, tylko mieszkańcy nie do końca o tym wiedzieli. W brudnych ciuchach szurali sandałami i żłopali cappuccino w kawiarniach, żyjąc w zgodzie z orientalnymi lesbijkami i przyodzianymi w cekiny pedałami, jakby nic więcej nie musieli robić, żeby zasłużyć sobie na ludzki szacunek. Och, przypuszczam, że niektórzy mieli talent. Niek tórzy potrafili malować i rzeźbić, i robić na drutach - ale wszyscy? Wątpię. I czemu nie potrafili tego dostrzec? Ja potrafiłam, a byłam ledwie początkującym głu ptasem.

Trochę trwało, zanim zdałam sobie sprawę, że wielu z nich to rozumiało, ale wypierali tę myśl, tłocząc się w Village, bo po prostu nie umieli albo nie chcieli spróbować życia w świecie poza - woleli zamiast tego nadawać Village atmosferę Paryża z czasów po pierwszej wojnie światowej. Cóż, Paryż to nie był.

Ani nawet Poughkeepsie. Najwyżej wielka, wypasiona kryjówka dla weteranów i uciekinierów, dziwek-neofitek i poetów, do których nikt nie odnosił się z rewerencją. Ogromny kubeł na śmieci, do którego wskakiwali, z brzękiem obijali się o ściany i od środka zamykali pokrywę.

Tak, rozkoszowałam się tym, co oferowało Greenwich Village: opuszczeniem, buntem i niedbalstwem. Ale jednocześnie trzymałam Village na dystans, bo było o tę p iające, zagmatwane i toksyczne.

Pierwszego deszczowego dnia rozjaśniłam sobie włosy. Nie po prostu na blond, skarbie, ale Harlow blond, wściekły blond, tak platynowy, że aż

³¹ Drano, środek do czyszczenia rur.

biały. Rozpalił mnie do białości. Rozjarzył pożądaniem. Moja krew miała kolor blond, ścięgną i palce u nóg. Zmiana, choć gwałtowna, okazała się korzystna przy mojej jasnej skórze, latem ozdobionej jakimiś dwudziestoma trzema piegami. Oczy, niebiesciutkie, nagle nabrały wyrazu i wreszcie wydawały się na miejscu w tej poprzednio nieistniejącej twarzy.

Także ciało, dawniej obce, stało się w Nowym Jorku całością i kiedy szłam w body i obcisłych džinsach z szykownym końskim ogonem wyceLOWANYM prosto w najlepszą część ciała (tyłek), na MacDougal Street nie było obywatela, który nie wziąłby mnie za baletnicę i nie zamarzył o szybkim numerku.

Aby zmienić marzenia w rzeczywistość, zapisałam się na kurs tańca nowoczesnego. U madame Gertrude na Jane Street. Zajmowałam się tym wieczorami, w dzień pracując w sklepie skórzanym, który specjalizował się w paskach. Zaczęłam pracę, bo zmęczyło mnie siedzenie w mieszkaniu i patrzeć na kwiatki, które nie chciały rosnać. Ależ ja uwielbiałam ten sklep. Pachniał butami do jazdy konnej i siodłami, przypominając mi o domu i trzech instruktorach jazdy konnej mojej siostry, o tych ogierach z jej pamiątkowych rozkoszy, tych dobrze zbudowanych kochasiach w wybrzuszących się bryczesach do jazdy konnej, stale rozpalonych. Wystarczyło, żebym weszła do sklepu i dotknęła pasków, a już miałam kisiel w majtkach. Można powiedzieć, że praca w skórze wyciskała ze mnie soki.

Nie miałam przyjaciół, ale nie starałam się ich zdobyć. Przebywanie wśród tych wszystkich ludzi, w tym strumieniu życia, i milczenie miało w sobie coś nieodparcie cudownego. I nie chciałam zniszczyć tej wspaniałej izolacji pogaduszkami i pustym gadaniem. Zasznurowane usta najwyraźniej wyostrzyły mi wzrok, zmieniając oczy w coś na kształt soczewek Christophera Isherwooda^{*32}; robiły milion zdjęć na minutę, potem mogłam je zmniejszyć do rozmiaru mikrofilmu i przechowywać w części mózgu opatrzonej etykietą: „Nowy Jork - 1949. Rok, w którym bohaterka osiedla się w grzesznym Greenwich Village, rozjaśnia włosy i próbuje odkryć swoje prawdziwe ja”.

³² C. Isherwood - pisarz angielski, autor opowiadań adaptowanych na sztukę *I am a Camera* (1951, film 1955) i powieści *Pożegnanie z Berlinem*-, na jej podstawie powstał film *Kabaret* (1973).

I żyłam tak, w sklepie skórzanym za dnia, sama z książką w nocy, jak postać z O. Henry'ego*³³, jedyna drobna różnica w tym, że miałam w słoiku po ciasteczkach ponad dziewięćset dolarów, podczas gdy O. Henry nie miał tyle forsy przez całe życie.

Postanowiłam poszerzyć swoje horyzonty. W podjęciu tej decyzji dopomogło mi przyjęcie do wiadomości finansowych faktów z mojego życia - mój bilans handlowy wyrażał się liczbą ujemną. Wydawałam więcej, niż wynosiła pensja w sklepie skórzanym. Siegałam do oszczędności i jeśli chciałam odwrócić ten trend i żywić się czymś oprócz ciemnego chleba i V-8*³⁴, powinnam w krótkim czasie zorganizować napad na stację benzynową albo zostać dziwką. Albo jedno i drugie.

Przedyskutowałam tę kwestię z moją pracodawczynią, Patsy D'Amico, sugerując, że mogłabym pracować na procent, powiedzmy dziesięć od wszystkiego, co sprzedam jako dodatek do moich trzydziestu siedmiu dolarów za tydzień. Biedna dziewczyna pokazała mi wówczas swoje księgi, ze łzami w oczach wyjaśniając, jak to traci, płacąc mi cokolwiek ponad dwadzieścia pięć dolarów. Udałam, że rozumiem jej punkt widzenia, proponując, że zgodzę się na obcięcie pensji o dwanaście dolarów, żeby za długi nie zabrali jej prawa własności do tej tandetnej garbarni. A potem, kiedy otarła oczy z łez wdzięczności, kazałam jej się pieprzyć, tyle że nie zaczekałam, żeby sprawdzić, czy to zrobiła.

Bez pracy, bez zasiłku (z powodu mojego wieku i dlatego że nigdy się nie zarejestrowałam), mała Ginnie Maitland szukała nowego zajęcia i, choć Village stwarzała wiele możliwości, zaczęła myśleć, że nie chce dłużej pracować za nędzną pensję, ale zostać przedsiębiorcą z własnym biznesem. (Cholera, gdzieś hen, hen ktoś ze strony mojego ojca się dorobił, bo skąd by się wzięły te wszystkie pieniądze?).

Przeczytałam dział ogłoszeń w „New York Timesie”, szukając „okazji inwestycyjnych”. Masa ludzi z pomysłami, albo rozrastające się firmy, potrzebowała kapitału, a ja miałam ponad dziewięćset dolarów. Tak,

³³ O. Henry - pseud. literacki amerykańskiego pisarza W. S. Portera, autora przesyconych humorem i ironią nowel z życia Nowego Jorku.

³⁴ V-8 - sok warzywny w puszcze.

chciałam zainwestować, zakładając, że to, w co je włożę, będzie wyraźnie zapowiadać sukces, chociaż nie byłam ekspertem w tej dziedzinie.

Już myślałam, że trafiłam ze sklepem odzieżowym, który handlował tylko zamszem. Zakochałam się w ich nazwie - „Gładko jak po zamszu” - i poszłam pogadać z właścicielami. Ale jeśli to coś to był zamsz, to ja byłam królową Jugosławii, więc wyszłam, zanim na dobre weszłam, z zapachem włochatej papy, który kręcił mnie w nosie, i ruszyłam dalej w dół ulicy, gdzie naprawdę czekało na mnie przeznaczenie. Bo miałam się natknąć nie na co innego jak na nowiutką witrynę, lśniącą i kuszącą, wszędzie szkło i chrom, z nazwą wypisaną pewnymi sobie wersalikami:

KOSZERNA KUCHNIA JAPOŃSKA

SAYONARA LICENCJA: SY FEIN & IRA TANAKA

Weszłam, mimo że napis na drzwiach krzyczał fosforyzującym różem o Wielkim Otwarcu dopiero za dwa dni. Wszędzie czysto i plastikowo, małe łóże w czerwonym winylu, świece w pękających, ażurowych szklanych pojemnikach, regulowane żyrandole, wiszące na pojedynczych żyłkach, które dało się podnosić lub opuszczać jednym ruchem ręki. A na ścianach: po jednej stronie oprawione w ramki plakaty turystyczne z Japonii, po drugiej podobnie oprawione plakaty z Izraela (który miał wówczas niespełna dwa lata, więc wszystkie zdjęcia przedstawiały wielbłądy na tle gwiazdy Dawida).

W narożnej łoży w trupim bezruchu, jak nowe eksponaty czekające na zabranie przez madame Tussaud podczas najbliższej podróży w interesach do Greenwich Village, siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden około pięćdziesiątki, rasy kaukaskiej. Drugi około trzydziestki, rasy żółtej.

Kaukaski typ spojrzał na mnie. Dziwaczny, tęgi i niski, w swetrze z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi ogromne przedramiona jak u Popeye'a. Okrągła, rumiana twarz i gęsta czupryna rdzawych włosów, zaczynających się na samym czubku głowy, co nadawało mu wygląd łysego, któremu głowa utknęła w zardzewiałym bulaju.

- Napis mówi o dwóch dniach - stwierdził. - Wróc za dwa dni i dalej będziemy siedzieć w tej łoży... martwi. - I machnął ręką, jakby chciał się mnie pozbyć jednym magicznym ruchem. To był Sy... Sy chyba od „Seymour”... Sy Fein, człowiek, który zawsze potrafił dostrzec ciemną stronę życia.

Ten drugi, żółty, to był Iri. Iri Tanaka. Mniejszy od Sy w każdym rozmiarze i kierunku. Próbował się do mnie uśmiechnąć, ponieważ to właśnie robią żółci, jeśli ktoś się na nich gapi i nic nie mówi.

- Ten facet próbuje powiedzieć - odezwał się Iri - czy nie byłabyś taka dobra i nie zostawiła nas samych?

- Ale dlaczego? - zapytałam trochę agresywnie, bo wyczułam okazję inwestycyjną i wiedziałam, że trzeba ją wykorzystać. - To bardzo miłe miejsce.

- To złóż nam ofertę kupna - zaproponował Sy, z miejsca zaczynając się śmiać, klepiąc Iri po ramieniu i komentując sarkastycznie: - wisielczy humor, e? E?

- Taa, histeryczny. - Iri wstał i poszedł do kuchni, mrucząc coś po japońsku, podrzucając przed sobą serwetkę i zaraz kopiąc ją dalej.

Sy podniósł się i powiedział: „Oj”. Mówił „oj” za każdym razem, kiedy zmieniał pozycję. To było coś jak dźwięk wydawany przez jego ciało. Blaszyński Drwał skrzypiał, a Sy Fein ojezał. Oprócz tego łączyło ich jeszcze jedno podobieństwo, każdy z nich chciał dostać mózg.

- Dałbym sobie zbadać głowę, gdyby mnie było na to stać.

Ale kiedy człowiek wkłada oszczędności całego życia w nowe, głupie, ryzykowne przedsięwzięcie, nie ma już nic do wyrzucenia na psychiatrę. Tak to wygląda. Koniec kropka.

- Chyba nie rozumiem - stwierdziłam, lecz zdaje się, zaczynałam rozumieć.

- Okej, blondyneczko, wytłumaczę ci to. - Chciał się wygadać w obliczu nieszczęścia, i wybór padł na mnie. - Widzisz to miejsce? Piękne, zgadza się?

- Zgadza się.

- Piękna amerykańska historia. Żydowski chłopak i Japoniec. Koszerna japońska kuchnia. Trudna sprawa. Stawiam, że to nawet nie jest legalne. Lecz jeśli on nie powie cesarzowi Hirohicie, ja nie doniosę Ben-Gurionowi. No więc jesteśmy tutaj... ładne miejsce, tak?

- Tak.

- Nie! - Rozłożył ramiona, jakby miały odlecieć. Potem przyciągnął do siebie jeden z żyrandoli, obniżył do poziomu ust i zaczął do niego mówić, jak gdyby miał przed sobą mikrofon i zapowiadał walkę dwóch

przeciwników wagi ciężkiej. - Panie i panowie. Siedzimy w długach po uszy! - Potem spojrział na mnie z ciekawością. - Czemu ja z tobą rozmawiam? Kim ty jesteś? - I znów szarpnął żyrandol, tak że podskoczył na poprzednią wysokość.

- Cóż, ja...

Wskazał w stronę kuchni, gdzie zniknął Iri.

- Sprzedałbym jego, ale nie ma żadnej wartości i wyprodukowano go w Japonii. - Przeszedł się dookoła, dotykając stolików, jakby były z marmuru, i krzeseł, jakby to były trony. - Skrócę tę opowieść tylko dlatego, że mnie nudzi. Każdy dolar, który mieliśmy, każdy jen został wpakowany w to miejsce. Wybraliśmy wszystko, co najlepsze. Kuchenki, lodówki, naczynia z takiego chromu, że pasowałyby do chryslera. System zraszaczy przeciwpożarowych, które ugasiłyby Chicago. Pomocniczy generator, który oświetliłby Wenezuelę. A czystość? Nawet pieprzone karaluchy są czyste. Zmuszam je, żeby codziennie brały prysznic w DDT. Czekasz, żeby usłyszeć, w czym tkwi haczyk, zgadza się?

- Zgadza się.

- No to masz haczyk. Gotowa?

- Gotowa.

- Haczyk tkwi w tym, że... - Szarpnął żyrandol w dół i wrzasnął do niego. - Dziękujemy, Panie Cholerny Związku! Po wszystkich naszych wydatkach zmuszasz nas pan do wpłaty depozytu dla naszych kelnerek i pomywaczek... za dwa tygodnie! Dwutygodniowa zaliczka dla siedmiu panieś, które nie zrobią nic ponad to, że ubrudzą sobie śliczne rączki! - Puścił żyrandol, który podjechał w górę, i wskazał w stronę kuchni. - Gotowaniem on się zajmuje. Zakupami, strapieniami i obsługą ja. - Próbował się uspokoić. - No więc dobra, mówimy, żeby rozkręcić interes, żeby ruszyć sprawę, my będziemy pracować za darmo. Ciach! ja i Japoniec... bez forsy, bez miłości, bez niczego.

- Przepraszam, ale nigdy nie słyszałam o koszernej kuchni japońskiej.

- Nie słyszałaś o koszernej kuchni japońskiej, ponieważ czegoś takiego nie ma. To tylko pomysł. Marzenie, wizja, która staje przede mną nocą i mówi „Sy, zacznijmy od tego, że połowa Nowego Jorku to Żydzi. Poza tym od wojny minęło już tyle lat, że japoński kucharz może być bardzo szykowny. Więc, Sy, załóż spółkę”.

- Dalej nie łapię.

- Nie łapiesz z dwóch powodów. Po pierwsze, nie jesteś biznesmenem. A po drugie, z takim kucykiem i girami to ciebie każdy chętnie by łapsnął, więc czym masz się przejmować? - Popatrzył na mnie badawczo.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć.

- Dziękuję. Jak się pośmieję, zaraz mi lepiej. - Wrócił do oczyszczających wyznań. - Więc mój przyjaciel, ten tam, który pracował jako kucharz w domu bogatego producenta żydowskich ubrań i zdołał liznąć trochę koszernej kuchni... nadażasz?

- Chyba tak.

- Bomba. No więc spotyka mnie, ja spotykam jego i opracowujemy plan, ponieważ rozmawiasz właśnie ze starym zawodowcem, jeśli chodzi o biznes restauracyjny. - Wrzasnął do innego błyskawicznie ściągniętego w dół żyrandola. - Mam za sobą bankructwo pięciu kolejnych restauracji i mógłbym pograć się w smutku, ale szóstka to moja szczęśliwa liczba i, na Jezusa, tym razem mi się uda! - Prawie rzucił tym żyrandolem w sufit, po czym spojrział mi w oczy. - Nadażasz, blondyneczko?

- Tak.

- Znakomicie. No więc mamy ten pomysł, ja i Iri, zaczynam od tego, że nazywam go Ira zamiast Iri, bo co znaczy imię? I startujemy z „Sayonara”, co po japońsku znaczy „Na razie, stary. Do zobaczenia, kiedy będziesz miał mniej krzywe nogi”. Nie do rymu, ale i tak zręczna fraza. I bierzemy pożyczkę, dostajemy licencję na sprzedaż tych sików, które uchodzą za japońskie piwo, i interes rusza, zgadza się?

- Zgadza się.

- Pudło. Siedemdziesiąt pięć setek dolarów natychmiast spuszczaamy w kiblu, bo z pełną obsadą i gotowi zaczynać pierwszy bal, jak myślisz, co?

- Co?

- Gotowa?

- Gotowa.

- Nie mamy pieniędzy, żeby kupić żywność! Co z tego, że zapłaciłem zadatek elektrowni i wodociągom i wziąłem kredyt hipoteczny, żeby dostarczyć kaucję pieprzonemu związkowi... wybacz moje pieprzenie... kiedy nie ma za co kupić ciasteczka szczęścia! Nie mogę nawet kupić gorą-

cych ręczników, żeby człowiek nie musiał wycierać gęby rękawem, kiedy skończy porcję pastrami-teriyaki. Nadażasz?

- Tak.

- Cudownie. Więc kiedy tu rozmawiamy, mój wspólnik siedzi w kuchni z Dinah i jeśli szczęście mi dopisze, właśnie popełnia harakiri i wskazuje mnie jako spadkobiercę. A ja siedzę tu, rozmawiając z milutką szikszą, podczas gdy mój woreczek żółciowy wyraźnie się buntuje. Jeżeli masz ołówkę, napiszę kilka słów. „Wybacz, że się zabiłem, i proszę, opiekuj się moim kotem”.

- Ile potrzebujesz?

- Znaczek za trzy centy, list powinien dotrzeć do mojej żony, nie chcę, żeby go zwrócili z powodu niepełnej opłaty.

- Ile potrzebujesz na swoją żywność?

- Masz kapitał inwestycyjny?

- Może.

- Masz... przepraszam za to wyrażenie... pieniądze?

- Trochę.

- A ile to jest „trochę”, mów, błagam.

-Pięćset dolarów. - Wykombinowałam, że lepiej zatrzymam pozostałe czterysta na wypadek, gdyby się okazało, że szczęśliwa liczba Sy to jednak nie szóstka.

- Masz pięćset dolarów?

- Tak.

Ruszył w stronę kuchni.

-Idź do domu. Jesteś złudzeniem. - Odwrócił się i znów podszedł. - Blondyneczko, słodka blondyneczko, masz pięć setek George'ów Washingtonów?

- Tak.

-Które zainwestowałabyś w bzdurny pomysł z kosztowną japońską restauracją?

- Mogłabym.

- Kim ty jesteś... szalonym Vanderbiltem?

- Nie, ja...

-...żeby inwestować pięć setek za udział w zyskach, których zasadę podziału wypracujemy później?

- Możliwe.

- I ta forsa nie jest w niemieckich markach?

- Nie.

-Iri! - zawołał. - Jeżeli jeszcze się nie zabiłeś, wyjdź z tej kuchni! Jak się zabiłeś, trudno, sam w to wchodzę!

I tak trafiłam do biznesu restauracyjnego, wręczając pięćset dolarów gotówką Sy Feinowi, który nawrzeszczał na mnie, że nie postarałam się o czek bankierski, bo skąd mogłam wiedzieć, że on i Iri nie są naciągaczami, czy rozum mi odebrało?

Chociaż pomysł wydawał się wariacki, restauracja zaskoczyła, wtapiając się w krajobraz skrzyżowania Christopher Street i Zachodniej Czwartej, i stała się popularnym miejscem spotkań. Zwariowany Sy Fein, kiedy dostał do ręki moje pięćset dolarów na żywność, rozkręcił interes. Iri opiekował się kuchnią, Sy brzęczał kasą, a ja zajmowałam się kelnerowaniem, ale tylko do czasu, gdy zza chmur zaczęło wyglądać słońce. A kiedy zrezygnowałam, potrzeba było dwóch dziewczyn, żeby mnie zastąpić. Ha!

W niedzielne ranki dzieliliśmy wpływy. Na mnie nie przypadało tak wiele, ale jak mogłoby być inaczej? Oni włożyli siedem i pół tysiąca dolarów. Ja tylko pięćset. Zresztą i tak był to cud Dow Jonesa. Moje pieniądze zarabiały - z każdym tygodniem więcej. Sayonara zaczęła być głośna, jej sława przekroczyła granice Village i rozprzestrzeniała się w stronę centrum, jak moc umysłu w *Donovan 's Brain*^{*35}, przyciągając ludzi z odległych miejsc: Flatbush, Staten Island, East New York, Nassau. Wymagane były marynarki, krawaty i rezerwacje, zwłaszcza w piątkowe i sobotnie wieczory. Iri przyjął jeszcze jednego kucharza, Lenny'ego Abelsona, którego specjalnością były lotkes tempura (placki ziemniaczane w sosie sojowym). Sy dodał od frontu maitre d', Oshiru Matsuoka, eksperta od tanich win, bo, tak jest, mieliśmy prawdziwą licencję na sprzedaż alkoholu i w niepotrzebnym kiblu urządziliśmy piwnicę na wino.

Dla mnie oznaczało to emancypację. Nie musiałam pracować. Kiedy już odzyskałam pięćset włożonych dolarów, mój udział w codziennych zyskach, po odjęciu wydatków, dochodził do prawie trzydziestu dolarów tygodniowo; kwota więcej niż wystarczająca na życie. Sy zarządził, że bym wszystkie nadwyżki składała w „prawdziwym banku”, z nim jako

³⁵ *Donovan 's Brain* - wyd. w 1942 klasyczna powieść s.f. Curta Siodmaka.

powiernikiem z powodu mojego wieku. Był zaszokowany informacją, ile mam lat, ale obiecał zachować to w tajemnicy przed białymi edukatorami. W tamtych czasach fakt, że do Village ciągnęli nieletni i uciekinierzy, nie był aż tak niezwykły. Cała sztuczka polegała na tym, żeby nie wpaść w kłopoty. Nie pchaj palców między drzwi, a policja uda, że jest ślepa i głucha. Nie trzeba chyba mówić, że byłam najgrzeczniejszą dziewczynką w mieście.

Co robiłam z całym tym czasem? Żyłam. Cieszyłam się życiem. Jako dziecko nie powiedziałam słowa, dopóki nie skończyłam pięciu lat. I teraz znowu pochłaniałam wszystko tak łapczywie, że nie miałam ochoty mówić - do nikogo, na żaden temat. Podstępem wparowałam do gmachu Narodów Zjednoczonych, opowiadając urzędnikom, że wuj jest moim ojcem: „Jestem córką kongresmana Maitlanda” (Był wtedy na miejscu, ale nigdy się z nim nie skontaktowałam ze strachu, że zostanę odesłana do Chicago). A kiedy już weszłam, słuchałam tłumaczeń, przekręcając gałki przy krzesłach, zakładając słuchawki i nastawiając każdy z sześciu języków. Nauczyłam się rosyjskiego, troszkę. I chińskiego, troszkę mniej. W każdym razie były zabawniejsze niż francuski i hiszpański. A poza tym, jeżeli naprawdę mieliby nas dorwać (Rosjanie i Chińczycy), to jestem całkiem pewna, cholera, że chciałabym wiedzieć, o czym będą gadać, kiedy zameldują się w Białym Domu.

Fritz Kreisler. Uwielbiałam Fritza Kreislera. Koneserów kręcił Jascha Heifetz*³⁶, ale ja kochałam Fritza Kreislera. Jego skrzypce śpiewały. Heifetz potrafił je zmusić, żeby czarowały i robiły sztuczki, ale Kreisler to było zniesienie przyciągania i muzyczna poezja. Kiedy Fritz Kreisler grał w Carnegie Hall, chodziłam na każdy koncert. Wystawałam przed gmachem i szłam za nim przez całą drogę. Siadałam w lobby jego hotelu, czekając, żeby go zobaczyć. Zawarłam znajomość z bileterami w Carnegie Hall i wpuszczali mnie za kulisy, żebym pooglądała próby. Byłam uzależniona od Kreislera, pewnie myślał, że cień mu się rozdziwił.

Do Teatru Czterdziestej Szóstej Ulicy chodziłam w kółko na *Guys and Dolls*. Przedstawienie było niesamowite, bo ani obsadzie, ani publiczności nie pozwalano nawet na chwilę oddechu. Chodziłam tam dwa, trzy, cztery razy w tygodniu. I na każdym przedstawieniu obserwowałam coś in-

³⁶ F. Kreisler - skrzypek i kompozytor; J. Heifetz - skrzypek.

nego. Przyglądałam się tancerzom, bo uważałam, że sama też tak potrafię. Patrzyłam na Sama Levene'a i Vivian Blaine, i Isabel Bigley, i Stubby'ego Kaye'a*³⁷ - jak się poruszali, jak rozumieli się bez słów, jacy byli zgrani. Oglądałam dyrygenta, jak wskazuje w kanale dla orkiestry, zmuszając różne instrumenty, żeby robiły swoje. Przez całe przedstawienie obserwowałam oboistę. Potem bębniarza, potem rożek francuski. Zbierałam to wszystko razem, ustawiałam w snopki, młóciłam i pakowałam do stodoły - techniki i emocje teatru muzycznego. Poznałam je z tysiąca różnych perspektyw... z miliona. Nikt nigdy nie będzie znał *Guys and Dolls* tak jak ja, bo nikt poza Damonem Runyonem i Frankiem Loesserem, i Abe'em Burrowsem, i George'em S. Kaufmanem, i Jo Swerlingiem*³⁸ nie byłby w stanie przeznaczyć tyle czasu, wytrzymać takich rygorów i dodać tyle miłości, żeby wydestylować to, co tworzyło magię, poznać, jak zrobiona jest muzyka, dlaczego śmiech, skąd wesołość.

A kiedy skończyłam przeżuwać *Guys and Dolls*, urządziłam sobie podobną ucztę z *South Pacific*, a potem zabrałam się do *Wish You Were Here*. Zapchałam się musicalami z Broadwayu aż do przesytu, z entuzjastki zmieniając się w nałogowca. Przyssało mnie do nich i do Nowego Jorku, bo Nowy Jork nie tylko na to pozwalał, lecz wręcz się tego domagał.

Zaczęłam pławić się w nowojorskiej atmosferze. W jej zapachu i światłach. Nabierałam ją garściami i wcierałam w skórę, jakby chodziło o butelkowany produkt Revlonu. Kilka tygodni wcześniej - może ze sześć - trzymałam Nowy Jork na dystans, niepewna, krytyczna. Ale teraz byłam jego częścią. Widziałam to i czułam, przebiegając uliczki i muskając stopą chodniki. Potrafiłam o czwartej rano otworzyć moje jedyne, umieszczone na poziomie chodnika okno, żeby wyjrzeć, jak świat sobie radzi. Tak, byli bezdomni i narkomani, i wariaci, niektórzy odlewali się na ulicach - ale, Chryste, tam trwało życie, życie toczyło się naprzód. I co z tego, że stary pijak sikał dokładnie na moje okno, a mocz z bryzgiem odbijał się od ściany, przyprawiając o cholerny zawał moje geranium; ja trwałam w środku słonecznej eksplozji, muzyczna fantazja na Broadwayu i całujcie mnie w dupę. Zajmij wygodne miejsce i dobrze się napatrz, Maggie, gdziekolwiek jesteś, cholera.

³⁷ S. Levene, V. Blaine, I. Bigley, S. Kaye - aktorzy musicalowi

³⁸ D. Runyon, F. Loessner, A. Burrows, G. S. Kaufman, J. Swerling - autorzy musicalu.

Chłopcy. Tak, byli chłopcy. Wszelkich kształtów i rozmiarów. Dziwni, mili, uroczy, geje - ze szczególnym uwzględnieniem tych ostatnich - jak Glenville. Glenville miał około trzydziestki. Rozjaśnione włosy, wykubane brwi i prześwitujące koszule - chodził za mną wszędzie ze swoim szylkretowym grzebieniem. Gdziekolwiek mnie zobaczył, wyciągał ten grzebień i zaczynał czesać mi włosy. Kiedy tylko dostrzegł mnie po przeciwnej stronie ulicy albo w bramie, zaczynał biec za mną w podskokach jak kot albo pies. I czesał moje włosy przez całą drogę, obojętnie dokąd szłam. Czasami nawet się do niego nie odzywałam, żeby sprawdzić, czy to go powstrzyma. Innym razem zachowywałam się tak, jakby go wcale nie było, przemykając, obojętna jak ryba. Glenwillowi nigdy to nie przeszkadzało. I tak za mną chodził. Pewnego dnia po prostu zniknął; nigdy się nie dowiedziałam, co się z nim stało.

Aldo, uzależniony od trawki. Włosy miał lśniące jak Cab Calloway, a oczy szeroko otwarte jak Jerry Colonna*³⁹. Świeżo po dwudziestce i musiał wiedzieć, że jestem znacznie młodsza, niż pozwala prawo. Zawsze śpiewał, zawsze błyskał zębami tak białymi, że ile razy się uśmiechnął, wyglądało to tak, jakby obracał w ustach kostki do gry. Aldo nigdy mnie nie dotknął i nie miałam pojęcia, że mógł tego chcieć, do chwili gdy pewnego wieczoru powiedział do mnie: „Doprowadzasz mnie do szaleństwa, więc nie mogę cię więcej widywać”. I zniknął.

Aldo potrzebował dwóch miesięcy, żeby doprowadzić się do szaleństwa. Gdybym wiedziała, co się szykuje, mogłabym spróbować się tym bawić. To znaczy, cholera, rzucił mi naprawdę gorącym tekstem. Pojęcia nie mam, czemu nazywano go nałogowym palaczem trawki. Nigdy nie widziałam, żeby zrobił cokolwiek choć trochę dziwnego, nie licząc, jak już wspomniałam, ostatniego wieczoru, kiedy go widziałam. Powinnam chyba powiedzieć, że płakał, kiedy odchodził. Uśmiechał się, szczerzył białe zęby, ale płakał. Pojęcia nie mam, co się stało z Aldem. Nie jestem pewna, czy on sam wie. Lecz był pierwszym chłopakiem, który powiedział, że mnie kocha, i to się powinno liczyć.

Maxwell Bodenheimer*⁴⁰ postawił mi kawę. Był wówczas kończącym się poetą nadwornym Village, mimo że mieszkał ze swoją paskudną żo-

³⁹ C. Calloway - muzyk jazzowy; J. Colonna - aktor komediowy.

⁴⁰ M. Bodenheimer - poeta, autor cynicznych, groteskowych wierszy i realistycznych nowel.

ną-Meduzą na Brooklynie. Ostre rysy, kościsty, wyniszczony, zdziwione oczy, opadające włosy z wplątanymi w nie różnymi rzeczami (niektóre z nich żywe) i długi nos, który mógłby służyć jako szpikulec do lodu. Idealnie nadawałby się do roli Raskolnikowa. I zawsze miał ze sobą obszarpaną teczkę z imitacji skóry, z bezsensownymi rymami, zbitkami słów, które czytał głośno i z uczuciem każdemu, kto zaryzykował przejście obok jego ławki w parku na Washington Square. Jak pająk siedzący w swojej sieci, czekający na nieświadomą ofiarę, nagle - łup - znikąd spada na ciebie wiersz, ogłusza, przykuwa do miejsca, w którym stanąłeś. I jeśli pozostałbyś w bezruchu albo chociaż zwolnił, byłby następny wiersz i kolejny, wystrzelone w tył twojej szyi - prask — aż popadłbyś w bliskie śmierci otępienie i zmienił się w osnutą kokonem poczwarkę, na której on ucztowałby przez resztę popołudnia, po czym kupiłby ci kawę, za którą musiałbyś sam zapłacić.

Zarośnięty, brzydko pachnący i w dziewięćdziesięciu procentach szalony; poezja z oślimi uszami, która wylewała się z jego teczki, była, litościwie oceniając, niezrozumiała. A jednak, ponieważ byłam młoda i szukałam jakiegoś dowodu, że kiedyś istniała Atlantyda, słuchałam tej skamieliny, udając, że relikwiarz dawnych czasów jest bogiem, a jego majaki kluczami do zrozumienia wszechświata.

Maxwell Bodenheim przeczytał mi, nad jakimiś dziesięcioma filiżankami kawy, trzydzieści czy czterdzieści wierszy, a ludzie zaczęli mnie zauważać tylko dlatego, że z nim siedziałam. Spodobało mi się. Może nie rozumiałam jego poezji, ale po pewnym czasie zrozumiałam jego. Starał się nie umrzeć. Zakopywali go, waląc z wierzchu łopatami, ale kiedy go spotkałam, wciąż jeszcze unikał ciosów. Jedną nogą w grobie, żaloszny, biedny, odważny poeta-wyrzutek starał się nie umrzeć - godny podziwu cel, i na pewno podtrzymywał go przy życiu do czasu, kiedy go znaleziono zamordowanego w suterenie, w piwnicy, w trzewiach Brooklynu. Kto mógłby zamordować Maxwella Bodenheima? Informacja prowadząca do aresztowania i skazania tej osoby byłaby nieco, kurwa, spóźniona, nie uważacie?

Kolejny przypadek przelotnego zainteresowania zdarzył się tej nocy, w której rozległo się pukanie do moich drzwi, gdzieś tak koło północy. Przygotowana na poinformowanie tego, kto pukał, że Mona, Kurczakowa Dama, mieszka o jedno drzwi bliżej, otworzyłam tylko po to, by się prze-

konać, że nikogo tam nie ma - przynajmniej na wysokości wzroku. Kiedy jednak opuściłam oczy, niezwłocznie ukazała mi się naga męska dupa. Patrzyła na mnie jak coś z obrazu Breughla i mrugała. A tuż poniżej, wyglądająca spomiędzy włochatych ud, znajdowała się odwrócona do góry nogami twarz właściciela dupy.

- Cześć - powiedziała głowa uprzejmie, przynależne do niej ręce przytrzymywały spodnie i majtki na wysokości kolan.

- Cześć - odparłam, próbując dojść do siebie i jednocześnie zastanawiając się, kiedy to przeszłam na drugą stronę lustra i czemu tego nie zauważyłam.

Odwrócona głowa szybko się zorientowała, że zaparkowała przed niewłaściwymi drzwiami, i powiedziała: „O, proszę wybaczyć”. Po czym jej właściciel się wyprostował, podciągnął ubranie, odwrócił do mnie i uśmiechnął jak Marlon Brando, ponieważ, Boże błogosław wszystkie elfy i leśne ludki, to był właśnie Marlon Brando.

Nigdy wcześniej nie widziałam gwiazdy, więc zapytałam:

- Ale czy pan nie...?

- Nie - odparł, szcękając klamrą paska i junackim krokiem odchodząc w dół korytarza. - Jestem Fred MacMurray.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o spotkanie z Marlonem MacMurrayem, zdarzenie samo w sobie ważne, ale znacznie ważniejsze z tego względu, że sprowokowało u mnie dość niepokojące myśli. Zachowanie tego faceta należało do tego typu zachowań, z którymi nie zetknęłam się przed przyjazdem do Village, a których doświadczałam każdego dnia coraz więcej i więcej; na przykład ludzie, którzy strasznie się wysilali, żeby nie wydusić z siebie „Cześć, możesz mi pomóc?”. To było bardzo „na czasie”. Bardzo „fajowe”. Powiedzenie „cześć” z wypiętą dupą najwyraźniej należało do rzeczy bardzo zabawnych i modnych. Pewnie mogłabym zamknąć drzwi i zapomnieć o całej sprawie, gdyby nie fakt, że Marlon Brando był moim geniuszem, moim Stanleyem Kowalskim^{*41}. I jeżeli on potrafi zniżyć się do poziomu dziury w dupie wycelowanej w każdego, kto otworzy drzwi, to co się stanie ze mną?

⁴¹ Stanley Kowalski, bohater sztuki Tennessee Williamsa *Tramwaj zwany pożądaniem*. Brando grał tę rolę w wersji teatralnej i filmowej

Zabrałam to pytanie ze sobą do środka i pociągnęło za sobą inne pytania, na przykład: Jakie są ludzkie motywacje? Skąd te dziwaczne, anormalne wygłupy? Mówienie komuś „Jezu, ty sukinsynu” - czy to ma znaczyć „kocham cię”? Bo nie znaczy. Znaczy „Jezu, ty sukinsynu”. Czy dojdę do punktu, w którym sama to zrobię i będzie mi się podobało? Kiedy objawi mi się miłość i co z nią pocznę? Aha - miłość. Cały czas o to chodziło, co? Wreszcie padło właściwe słowo.

Nigdy nie zakosztowałam miłości, zaczęłam więc myśleć, że skoro może być tuż za rogiem albo w każdej parze spodni, lepiej zrobię, jeżeli się na nią przygotuję. Mówię o miłości fizycznej, jasne? A ten drugi rodzaj? Dość się napatrzyłam, żeby wiedzieć, że najlepiej zostawić to w spokoju. Zaczęłam podchodzić do tej kwestii dość klinicznie. Przy więcej niż jednej okazji budziłam się w środku nocy i nie mogłam zasnąć, dopóki nie powierzyłam swojemu paluszkowi zadania „ośmiu godzin spokoju po seksualnym podboju”. Nie martwiłam się tym. Masturbowałam się już wcześniej, chociaż głównie po to, by się przekonać, czy moje ciało naprawdę działa, czy naprawdę potrafię wcisnąć guzik i się nakręcić. Ale teraz moje ciało mówiło mi: „Hej, ważniaro, masz szesnastkę i jesteś gotowa. To się stanie już niedługo, więc czemu by nie wybrać faceta, kierując się własnym gustem, i nie mieć tego z głowy, zanim ktoś cię zgwałci w ciemnej uliczce?”.

To był jeden ze sposobów widzenia tej sprawy. Inne podejście polegało na przyznaniu się, że idea seksu, z zaangażowaniem emocjonalnym czy bez niego, przerażała mnie jak cholera, bo musiałam jeszcze znaleźć człowieka, który, nie licząc poetów i kłamców, nie czułby się żalostliwie z powodu włożenia penisa do pochwy - albo, w przypadku Mary Ann, do ust, ucha czy innego miejsca, w którym aktualnie go przyjmowała.

No dobra, powiedziałam sobie, nazywając rzeczy po imieniu, seks jest przerażający, ale nie można go dłużej ignorować, chowając się za łatwymi do zdjęcia nylonowymi majtkami. A skoro do tanga trzeba dwojga - są jacyś ochotnicy?

W tamtym momencie nikogo w moim pokoju nie było, żaden dziarski ochotnik nie wystąpił z szeregu i wiedziałam, że do mnie będzie należało dokonanie wyboru. Wiedziałam też, że jeżeli to ma zadziałać, będę musiała wybrać mężczyznę, który, kochając się ze mną, nie może niczego zyskać ani stracić. Dokonałam wyboru: Alan Braden, trzydziestoletni i

bezbłędny, nie przystojny, lecz atrakcyjny. Zadzwoiłam do niego nie po to, żeby przekazać dobrą nowinę (jak bardzo można być bezpośrednim?), ale z pytaniem, czy będzie na zajęciach z tańca u madame Gertrude tego popołudnia. Bo Alan, jak wielu aktorów, chodził na lekcje tańca, żeby mieć ciało równie giętkie jak umysł, żeby na scenie móc zaufać swojemu ciału i poruszać nim i wymagać od niego rzeczy, jakich poza sceną raczej nikt by nie oczekiwał.

W każdym razie tak, miał być u madame Gertrude na zajęciach o trzeciej, i tak, z rozkoszą pójdzie potem ze mną na colę i spacer, i seminarium o teatrze. Przy innych okazjach zachowywaliśmy się z Alanem jak Jaś i Małgosia, trzymając się za ręce i biegając po Times Square, pukając do drzwi z okrzykiem „Powódź!”, jeżdżąc metrem na Coney Island na hot dogi u Nathana i generalnie ośmielając się nawzajem do zachowań właściwych ośmiolatkom. Poznaliśmy się u madame Gertrude jakiś miesiąc wcześniej i lubiliśmy. Byłam prawie pewna, że Alan był żonaty, nie szczęśliwie, i miał jakieś dzieciaki, ale to lepiej, myślałam, facet będzie doświadczony.

Powinam zaznaczyć, że nigdy nie opuściłam lekcji tańca. Ani razu. A w dni, kiedy u madame Gertrude było zamknięte, chodziłam na zajęcia z Mae O'Donnell albo Frankiem Wagnerem, albo Pladową, albo z nieśmiertelnym Luigim^{*42}, być może najlepszym z nich wszystkich. Studiował z Jackiem Cole'em i uczył tańca jazzowego w studiu, które zawsze miało muzykę na żywo, pianino i perkusję, coś. Zapytajcie dowolnego nowojorskiego tancerza. Luigi to było to.

Kochałam tańczyć. Szybko się uczyłam. Potrafiłam załapać wszystko błyskawicznie, szybciej niż ci, którzy dłużej się tańcem zajmowali, i przychodziło mi to łatwiej niż bardziej doświadczonym. Potrafiłam tańczyć, nie myśląc, nie miałam z tym żadnych problemów i taniec zawsze zapewniał mi zastępcze orgazmy. Bo jeżeli człowiek tańczy dobrze i się nie oszczędza, nie potrzebuje seksu (przynajmniej tak mi powiedziano).

W każdym razie Alan Braden i ja regularnie chodziliśmy na lekcje u madame Gertrude, do studia, które szybko zaczęło zyskiwać pozycję najmłodniejszego w mieście. Madame Gertrude, żydowski wróbelek, wi-

⁴² M. O'Donnell, F. Wagner, I. Pladowa, Luigi - tancerze i nauczyciele tańca, popularni w latach 50.; J. Cole (1911-1974) — „ojciec” tańca jazzowego, tancerz, choreograf.

działała tak źle, że często mijiała swoje własne studio o dwie przecznice, i nigdy nie upominała się o zapłatę. Najwyraźniej miała solidne zaplecze finansowe i nie traktowała studia jako źródła dochodów. Już ten fakt gwarantował, że frekwencja na jej zajęciach wahała się od „stuprocentowej” do „uwaga, pękamy w szwach”. Ostatnio jednak weszła w „taniec wyspiarski” - taniec karaibski, styl pierwotnie wprowadzony przez Catherine Dunham*⁴³ w latach czterdziestych. U madame Gertrude został odkurzony i ponownie wprowadzony w obieg przez dawną tancerkę Dunham, Annice Chatterton, czarną olbrzymkę, sześć stóp kuszącego ciała, absolutnie fantastyczną. Nietrudno sobie wyobrazić, że poza zwykłym tłumem przychodziła wtedy masa czarnych tancerzy, nie zawsze zawodowców, ale, rany, wszyscy byli stworzeni do tych afrohaitańskich, bon-go-ptasich rytmów.

Wszyscy nastroiliśmy się na muzykę Martyniki i Jamajki i zafascynowani patrzyliśmy, jak bosonoga Annice w falbankach i zakładkach białej spódnicy, ukoronowana fantazyjnym turbanem i lśniąca kroplami szklanych paciorków, wydeptywała rytm, jakby do niej należały całe Karaiby. Muzyka płynęła z fonografu gorąca i wudu, kompletnie bezwstydną w swej zmysłowości. Każdego z nas poproszono, żeby też spróbował, i z Alana był ubaw po pachy, wyglądał, jakby próbował zgasić papierosa bosymi stopami. Czarni oczywiście wypadli najlepiej, ale się tym nie przejęłam. Kiedy przyszła moja kolej, wskoczyłam na środek i zrobiłam swoje, jakbym miała sześć par bioder i trzy pępki. Nie wiedziałam, czy byłam dobra, ale, rany, cała w to weszłam, dałam z siebie wszystko. Żyłam tym. I to jedyne, co pamiętam - poza tym że dostałam szalone brawa. Tego rodzaju taniec obnaża, emanuje taką naturalną mocą, ma w sobie grację dżungli, że do dziś, kiedy tylko usłyszę taką muzykę, nie można mnie winić, jeżeli odgryzę głowę jakiemuś kurczakowi i zanurkuję do wnętrza dymiącego wulkanu.

Zjedliśmy z Alanem nasze hamburgery (za swojego zapłaciłam sama, zawsze tak robiłam). A potem poszliśmy do mnie, żeby posłuchać nagrań Fritza Kreislera i uruchomić mój plan uwiedzenia. Byłam zdenerwowana, ale rezolutna, niepewna, jak to przeprowadzę, lecz przekonana, że sprawa zostanie załatwiona.

⁴³ C. Dunham (ur. 1910) - tancerka, choreograf, antropolog.

Nawet niedługo to trwało. Alan był gotowy, pobudzony karaibskim przedstawieniem, które dałam wcześniej tego popołudnia.

- Jezu, niezła byłaś, Ginnie.

- Serio?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałaś?

-No, dobrze się bawiłam, lecz nie mam pojęcia, czy to było czegoś warte.

-Byłaś dobra. - Siedział obok mnie na podłodze, nasze ramiona się stykały, a plecami opieraliśmy się o sofę.

-Przynieść ci coś? - zapytałam, nagle czując chęć, żeby zerwać się i pognać do narożnej pizzerii... w Dubuque, w stanie Iowa.

Przytrzymał moją rękę.

-Nie. Siedź spokojnie. Dziś po południu dosyć się już naskakałaś. - Rozejrzał się po pokoju, najwyraźniej niespokojny. - Nie ma innej muzyki? Tylko ta skrzypcowa?

- To Fritz Kreisler.

- Trochę mnie już męczy.

- A czego byś chciał posłuchać?

- Masz coś karaibskiego?

- Nie, ale mogę skoczyć do miasta i....

-Co ty wyprawiasz? - Trzymał mnie za nadgarstek, powstrzymując przed wstaniem. - Czemu chciałaś się dzisiaj ze mną zobaczyć? Zachowujesz się jak popieprzona. Co się dzieje?

- No... nic.

Wstał.

-Pierwsze, co zrobimy, to damy panu Kreislerowi odpocząć. - Zdjął płytę. - Następne, co zrobimy, to zaoszczędzimy trochę na rachunku za prąd. - Wyłączył kilka lamp, a potem odwrócił się w stronę, gdzie ja siedziałam... i się trzęsłam. - Co się dzieje? Ty drżysz.

-Chyba mam rzut starej malarii. Złapałam to na Guadal- canal.

Roześmiał się.

- Boisz się mnie.

- Boję? A-ha-ha-ha.

- Boisz.

- Nie.

- Tak.

- Nie.

Jak najdelikatniej wziął mnie pod ramię i ułożył na plecach, na podłodze, z głową niewygodnie, pod kątem, opartą o sofę. Jego twarz unosiła się nade mną, jakby powiększona, a głos, chociaż szeptał, docierał do mnie jak przez tubę.

- Posłuchaj, Ginnie. Słuchasz?

-Tak. Jest. - Bałam się. Sprowokowałam śpiącego tygrysa i teraz, kurwa, klatka stała otworem, a bestia wyłaziła cała spięta i gotowa... i nie chodzi mi o gotowość do skoku.

Przetoczył się na mnie, jego ręce wykonywały przewidywalne, nieskoordynowane ruchy.

- Ginnie, wiesz, co do ciebie czuję.

- Nie, nie wiem. Powiedz mi.

- Co?

-Powiedz, co do mnie czujesz. Ale najpierw... hej... mogę trochę przesunąć głowę? Szyja mi się złamie.

Poruszyłam się, a on mnie pocałował. Z zabójczą precyzją. Dokładnie w usta. Jednocześnie mówił i całował.

- Ginnie... Ginnie, ja... Ginnie? Ja... Ginnie...

- Tak? Co? Alan? Hmmm?

Odsunął się i napiął.

- Co się z tobą dzieje, do cholery?

-Próbowałam ci powiedzieć. Mam głowę w śmiesznej pozycji.

- To ją przesuń! Przesuń tę pierdoloną głowę!

- Tak. Dziękuję. Już przesuwam. Już.

Próbował przyjąć wcześniejszą pozycję.

- Teraz ci wygodnie?

- Mnie?

I się wściekł.

- A kto jeszcze jest w pokoju?

- No, nigdy nie wiadomo.

Ostygł.

-Nie będę się z tobą szarpał, mała. Nie będę się bawił w gierki i nie pozwolę ci grać cnotki.

- Cnotki? Mnie? A-ha-ha-ha-ha.

- Wiesz, co do ciebie czuję.

- No...
- Więc pora skończyć z tym gównem.
- Pora? A na co?
- Nie zamierzam zaszczycić cię odpowiedzią na to pytanie.

Rozpinał sobie pasek i robił tyle hałasu, że musiałam powiedzieć:

- Cśśśś.
- Co?
- Nic.

- Słuchaj, chcę być delikatny. Naprawdę chcę, ale dziwacznie się zachowujesz. Robimy to czy nie?

- Nie wiem. - I nie wiedziałam.
- Dla mnie to znaczy tak.

- Taa? Dla mnie to znaczy „nie wiem”. - Oparłam się na przedramionach, jak plażowiczka, która ogląda palce u nóg.

Znów popchnął mnie na ziemię, wspiął się na pokład i wił się na mnie.

- Ginnie, nie chcę tego robić w ten sposób...
- Alan... ja się boję. To znaczy, jestem cholernie przerażona.
- Wiem. Wiem. Będę delikatny. - Walczył z moim ubraniem.
- Alan... mam dopiero szesnaście lat.
- Dla mnie mogłabyś mieć nawet dziewięć.
- Drzesz mi sweter!
- Pierdolić twój sweter!
- Alan... jest coś, co muszę ci powiedzieć.
- Powiesz mi później. Jezu.
- Nigdy wcześniej tego nie robiłam.
- Wiem.
- Wiesz?
- Taa.
- I to się nie liczy?

- Liczyło. Jakies dziesięć minut temu. Teraz nie. - Jego dłonie tańczyły pod moim swetrem.

Cały czas próbował utrzymać się na mnie, a ja starałam się go zepchnąć. Mogłam myśleć jedynie o żółwiu panny Marjorie Stokely, próbującym utrzymać się na szczycie śliskiego kamienia. Lewa ręka Alana po-

wędrowała pod mój sweter, akcja dywersyjna, która miała zająć moją uwagę. Prawa ręka natarła na mój pasek.

- Alan, proszę!

-Więc jesteś dziewicą! Pieprzyć to! - Dyszący, zdeterminowany i nieopanowany.

- Alan, ja... - W walce o władzę nad paskiem moja ręka sięgnęła w dół i natrafiła na jego penisa.

- Och, Ginie...

-O, wybacz. - I puściłam. Ale to coś szybko znalazło drogę do mojej dłoni, najwyraźniej mając jakieś zdolności samonaprowadzania. Próbo-
wałam pozbyć się tego z ręki, lecz jego dłoń była na mojej, ściskając jak imadło. - Alan, chyba nie rozumiesz...

- Rozumiem, rozumiem! Jezu Chryste, Ginnie!

- Musisz mi pozwolić wyjaśnić...

-Nie! Muszę cię zerznąć! To jedyne, co muszę! Więc, na litość boską, skończ z tym fałszywym oporem!

- Tak, na pewno, ale... Alan? Ja się nie mogę pieprzyć.

To go powstrzymało.

- Co?

-Próbuję ci wyjaśnić. - Mówiąc to, zastanawiałam się, co powiem, z jakim dziwacznym wymysłem wyskoczę, żeby uratować sytuację i swoje dziewictwo.

Miał penisa w mojej ręce, ten dumny kawałek twardości, rzucający się jak wyciągnięty na brzeg dziesięciofuntowy pstrąg. Aleja nie poruszałam nawet jednym palcem. Więcej by osiągnął, wtykając swojego głupiego fiuta w odpływ wanny.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał.

I wtedy to mi się wyrwało, sama byłam zaskoczona.

-Urodziłam się w Chinach. Mój ojciec był misjonarzem. Kiedy wojna się skończyła, musieliśmy wyjść z Chin, dosłownie. Wszyscy. Mój ojciec, matka, moja siostra i ja. Nie miałam jeszcze dwunastu lat. Alan, oni mnie zgwałcili.

- Co?

-Chińczycy, Japończycy, dokądkolwiek szliśmy, po prostu wędrowaliśmy na wschód, na wschód do oceanu. - Byłam cudowna. Łzy napłynęły mi do oczu i bardzo się starałam, żeby kilka z nich wylądowało na jego

penisie, czyn, który przywiódł mnie niebezpiecznie blisko wroga, ale wart tego ryzyka. - Alan, ja nigdy nie byłam dziewicą. Ojciec musiał mnie zszywać. Sześć, siedem, osiem razy... może dziesięć... Jestem jedną bliźną, Alan. Mam bardzo niewielkie rozwarcie. Nie da się nic wprowadzić. - I odwróciłam się, na poły oczekując aplauzu.

Pocieszał mnie.

- Biedactwo.

-Nie, jest w porządku. Przywykłam do tego. Są pewne rzeczy... takie ćwiczenia, które robię, żeby się rozciągnąć, lecz jeszcze nie jestem gotowa. Nie mam tam na dole żadnej elastyczności. Mój pierwszy tampax? Praktycznie musiałam go wbić młotkiem.

- Och, Ginnie... - Tulił mnie, kołysał. A ja pocieszałam, tuliłam i kołysałam jego.

- Już dobrze - powiedziała. - Pogodziłam się z tym. Za rok czy dwa... może szybciej... będę w stanie... przyjąć mężczyznę.

- Biedactwo. A co z twoją matką?

- A co takiego?

- Ją też zgwałcili?

- O nie. Była za stara. Nie byli nią zainteresowani, tylko... młodym towarem.

- Twoja siostra?

- Moja siostra? O, to inna historia.

- Co?

- No... była tym zachwycona. - Nie ma nic lepszego niż przypiąć łątkę Cudownej Mary Ann. - Miała piętnaście lat i uwielbiała to. Gdyby to zależało od Mary Ann, bo ja wiem, pewnie jeszcze byśmy tam byli. W klatce w jakimś chińskim burdelu.

- Jezu, co za historia. - Sturlał się ze mnie i leżał obok na plecach, penisa zabrał ze sobą, bo, cóż, aż tak daleko nim nie sięgał. - Nic dziwnego, że tańczysz, jak tańczysz. Czysta sublimacja. Przedstawiasz swoim tańcem seks.

- Tak, Alan. Chociaż może to zabrzmie bezwstydnie, tak. Tańczę tak, jak chciałabym się pieprzyć... gdybym mogła. - Doskonale się bawiłam swoim melodramatem. Przesunęłam się, żeby go pocałować. - Przynajmniej jest na co czekać, nie?

Westchnął.

- Taa. Pewnie tak.

Zdałam sobie sprawę, że cierpi, i zrobiło mi się przykro. Wcale o nim nie pomyślałam, a przecież go lubiłam.

-Powinnam była ci powiedzieć. Nie powinnam była pozwolić ci aż na tyle.

- Daj spokój.

-Tak sobie myślę... jeżeli byś chciał... powinieneś się sobą zająć. - Sama się zastanawiałam, co chcę przez to powiedzieć.

-Zajmę się. Kiedy wrócę do domu. Tylko że to potrwa z rok, zanim dotrę na miejsce, bo będę szedł na czworakach.

- Boli cię?

- Nie. Zawsze zaplatam pindola w warkoczyk.

-A możesz zająć się sobą tutaj? - W razie czego jako dama wyszłabym z pokoju, oczywiście.

- Z tobą?

- No, ja...

- Ustami?

- Nie, niezupełnie to miałam na myśli.

Zrobił się paskudny.

-Z ustami też masz coś nie tak? Co ci zrobili? Otworzyli buzię na siłę i zaaplikowali leczenie kanałowe?

Instynktownie sięgnęłam po jego penisa. Trzymać mężczyznę za penisa to jak głaskać psa po brzuchu. Uspokaja i czasowo rozbraja. Z miejsca rozbrojony moim czynem, Alan przestał mendzić.

-Alan, nie chcę, żebyś wracał do domu zły i spięty. - Mówiłam jak w reklamie anacinu.

- Aaaaa, cholera.

Leżał tam, cały sztywny, jakby to, co robiłam z penisem, miało niedługo spotkać jego samego. W pięć sekund osiągnął rozmiary słupa telefonicznego.

- Czy po tym ci lepiej?

- Ginnie, to dobre dla dzieci. Sam mogę to zrobić.

- Okej.

- Ale zrób to i tak.

-Dobrze, Alan. - Dokładnie pamiętam, że nie czułam śladu podniecenia. Trzymanie w dłoni jego męskości było mniej więcej tak podniecają-

ce, jak trzymanie rosyjskiego salami, bo nie miałam najmniejszego zamiaru zjadać żadnej z tych rzeczy.

Ale lubiłam Alana i przynajmniej tyle byłam mu winna. A co tam, do cholery, cóż to wielkiego? Jeżeli tego chciał...

- Och, Ginnie.

- Tak, kochanie. Tylko się odpręż. - Ginnie, specjalistka.

- Ginnie, kocham cię. Ginnie...

- Wiem. Wiem. - Kochał mnie jak cholera. Kochał po prostu moją rękę. Zupełnie jak w starym powiedzeniu: „Ręka, która dzierży penisa, rządzi światem”. No więc trzymałam. Jak ster. Kiedy skręcałam w lewo, unosiła się mu prawa noga. Kiedy pchałam naprzód, głowa przechylała się na bok. A jeżeli pociągałam w dół, całe jego ciało drżało, jakby przekraczał barierę dźwięku. Byłam pilotem u steru. Przy właściwym poziomie nacisku mogłabym wprowadzić go w śmiertelny korkociąg, przerażający ciąg ku ziemi. Silny chwyt i praktyczna znajomość aerodynamiki i Alan Braden zostanie zaliczony jako kolejny celny strzał Czerwonej Baronowej*⁴⁴.

- Ginnie...

- Ćśśśś.

- Ginnie...?

- Ćśśśś.

- Ginnie????

- No co jest, Alan!

Ano było to, że eksplodował na mój sweter i dzinsy, i mój ładny dywan. Musiał się przeze mnie poczuć cholernie głupio, bo natychmiast wstał, zapiął rozporek i wyszedł, mówiąc:

- Cholerne, kurwa, upokorzenie, Ginnie. Piękne dzięki.

Ja to się zawsze dam nabrać. A miałam nieodparte wrażenie, że mu się podoba. Kiedy sprzątnęłam cały ten bałagan, zaczęłam rozumieć, że seks i ja nie do końca do siebie pasujemy. Sama jego idea była wspaniała i wzbudzała mój zachwyt, ale wprowadzenie jej w życie to całkiem co innego. Lubiłam Alana mniej więcej tak samo jak każdego innego chłopca czy mężczyznę, ale po prostu nie chciałam się z nim kochać. Mogłam po-

⁴⁴ Czerwony Baron, A. von Richthofen - najslawniejszy niemiecki pilot bojowy z czasów pierwszej wojny światowej.

trzymać go w dłoni. Mogłam uwolnić go od napięcia. Mogłam zafundować mu te dziecinne prace ręczne. Lecz wszystko na zimno i z premedytacją. Nie przeniosło mnie to do krainy rozkoszy. Nie rzuciłam się potem do swojego dzienniczka, żeby z radosnym podnieceniem utrwalić swoje pierwsze obciążenie. Miałam po prostu świadomość, że zachowałam się głupio i niezręcznie wobec mężczyzny, którego raczej lubiłam, i przy okazji cofnęłam stosunki amerykańsko-chińskie o jakieś trzysta lat.

W tym czasie cichutko skończyłam siedemnaście lat; u madame Gertrude Annice Chatterton powoli tworzyła grupę wystrzałowych tancerzy i tancerek, do których należałam (jedyna biała). To znaczy, proszę bardzo, blondynka, niebieskie oczy i skandynawska uroda, a skacze wśród plemienia Murzynów i Murzynek tak czarnych, że wpadających w błękit, tancerzy, którzy ruszają się w rytmie podłapanym wśród pluskania wód płodowych w macicach ich matek. Jak długo mogło trwać, zanim Annice stwierdzi: „Te, białaska, wypadasz z ekipy”?

A, w cholerę z tym. Miałam to gdzieś. I tyle. Byłam tylko zdecydowana występować, pocić się z nimi, rozumowo podchodząc do tego, co im przychodziło antropologicznie. Poza tym, psiakrew, nie tylko sprawiało mi to przyjemność, byłam też dobra. Gdyby wywalili mnie ze sceny, to wyłącznie w wyniku czystej, stuprocentowej bigoterii, i świetnie o tym wiedzieli. A jeżeli tego nie robili, ja ich namawiać nie będę.

Pewnej niedzieli jeden z chłopaków (nie tancerz zawodowy; właściwie wcale nie tańczył, tylko siedział i robił notatki) wziął mnie na bok i zapytał, czy pójdę z nim na colę. Nazywał się Roland Jessup i niedługo trwało, zanim zdałam sobie sprawę, że nie był tylko kolejnym głupim tancerzem. Przeciwnie, błyskotliwy, wymowny i dojrzały, pracował w dziale anonsów 20th Century Fox gdzieś w centrum - tak bardzo w centrum, że równie dobrze mogłaby to być Kanada.

Roland powiedział mi to, co już sama zaczęłam podejrzewać. Annice Chatterton zbierała grupę tancerzy do rewii, która miałyby powstać w jakimś modnym klubie w centrum. Catherine Dunham zrobiła coś takiego w Cafe Society i już czas, żeby ktoś to powtórzył.

Dalej Roland stwierdził, że chociaż pracuje na etacie, często zabawia się prywatnymi przedsięwzięciami i jest mocno zaangażowany w organizację i koordynację Tancerzy Annice Chatterton. Wybór tancerzy należał

oczywiście do Annice, ale za negocjacje i kontrakty - całą logistykę - był odpowiedzialny wyłącznie on.

W każdym razie, żeby przejść do sedna, Annice chciała mnie do zespołu, lecz nie była tego pewna, bo czarne dzieciaki mogły się tym poczuć dotknięte jak cholera. No i czy widownia, która zapłaci za bilety, nie uzna, że to destrukcyjnie zbędne? Czy nie lepiej poprzestać na gorszym tancerzu i mieć rewię w jednolitej czarnej kolorze?

Najwyraźniej Annice była gotowa pójść na jednolitość barwy, ale Roland nie miał pewności, że to właściwy ruch. W końcu chyba chodziło o to, żeby mieć najlepszych tancerzy, a nie najlepszych czarnych tancerzy? Annice dała Rolandowi wolną rękę. Jeżeli chce mnie przesłuchać na tę okoliczność i jeżeli mi taka koncepcja pasuje, świetnie. Ale w takim razie do Rolanda będzie należało zapoznanie mnie z możliwymi skutkami ubocznymi przyłączenia się do grupy.

- W rodzaju? - zapytałam.
- W rodzaju dwunastu czarnych dziewczyn, które się do ciebie nie odzywają.
- Teraz też się do mnie nie odzywają.
- W rodzaju zatruwania ci życia, dawania odczuć, że jeśli padniesz trupem, będą skakać z radości.
- Nie obchodzi mnie, co kto zrobi, kiedy umrę.
- Musisz to poważnie przemyśleć. - Mówił głębokim głosem, głosem Paula Robesona*⁴⁵, ale z pewną dozą impertynencji, zawsze akcentując słowa, podkreślając ich znaczenie jak znie- wieściałby nauczyciel.
- Okej. Przemyślałam. Chcę to zrobić.
- Nie proszę cię o decyzję w jednej chwili, Virginio.
- Wiem. Ale już ją podjęłam.
- Musisz zrozumieć. Jeżeli grupie dobrze pójdzie w Błękitnym Aniele, możemy chcieć pojechać na tournée. Mieszkałabyś z czarnymi dziewczynami.
- Nie myję okien i nie wykonuję żadnych ciężkich prac.

Śmiał się tak gwałtownie, że papierosowa lufka wypadła mu spomiędzy zębów.

⁴⁵ P. Robeson (1898-1976) - amerykański śpiewak i aktor filmowy, zawzięty wróg rasizmu.

- Jesteś fantastyczną tancerką, ale będziesz wyglądać na dziwadło, jakbyśmy cię dodali, żeby zrobić zamieszanie. I żeby przeżyć, będziesz musiała tańczyć dziesięć razy lepiej niż pozostali. Inaczej krytycy i widzowie cię ukrzyżują. Będziesz musiała być lepsza niż Jackie Robinson*⁴⁶.

- Też jestem praworeczna.

Uśmiechnął się.

- Ile masz lat?

- O cholera.

- Będziemy musieli załatwić ci legitymację związkową. AGVA*⁴⁷. Jeżeli jesteś nieletnia, musi być któreś z rodziców.

- A jeżeli nie mam rodziców?

- Opiekun.

- Nic z tego.

- Coś wymyślimy. Płatne sześćdziesiąt dolarów tygodniowo.

- Biorę.

- ...na które będziesz musiała pracować tak ciężko...

- W porządku.

- Będziesz miała próby przez cały dzień. Dwa występy każdego wieczoru.

- Okej.

- I jeżeli rewia ruszy w trasę, kochanie, będziesz mieszkać z czarnymi.

- To ich problem.

- Kiedy wyjedziesz z Nowego Jorku, nie będę w stanie ci pomóc.

- A kto cię prosi?

Oparł się wygodnie, pociągając swojego dziwnie pachnącego papierosa.

- No, Joanna d'Arc miała szesnaście lat.

- Była czarna?

- W końcu, kotku, jak węgiel.

Dostałam legitymację związkową, ale nie pytajcie jak. Roland i jedna czarna dziewczyna poszli ze mną i powiedzieli facetowi za biurkiem, że

⁴⁶ J. Robinson - pierwszy czarny bejsbolista w drużynie zawodowej.

⁴⁷ AGVA, American Guild of Variety Artists (stowarzyszenie artystów estradowych).

jestem czarna, a on nie protestował. Miałam swoją legitymację, miałam kontrakt. I udział w bardzo dobrej restauracji. Szło dobrze. Alan dzwonił parę razy, ale był w takim wojowniczym nastroju, że musiałam odkładać słuchawkę.

Pracowałam bardzo ciężko. Skończyła się zabawa i gierki. Annice na próbach dawała mi popalić, lecz nie miałam jej tego za złe. Chciała po prostu, żeby żadna z dziewczyn nie mogła powiedzieć, że zostałam zatrudniona, bo jestem biała. Trzymałam się - schudłam, ale się trzymałam. Po próbach wracałam do swojego mieszkania i znów zaczynałam trenować. Nawet na ulicy ćwiczyłam swój węzowy układ, za którymś razem moje wyjście ze sklepu na Stuyvesant Street stało się nawet przyczyną niezłego zbiegowiska.

Wszystko naprawdę szło świetnie, kiedy to się stało. Szybko zasnęłam. Spałam w swoim mieszkaniu jak trup. Byłam tak fizycznie zmęczona tańcem, że zapadłam w coś przypominającego śpiączkę. Niczego nie słyszałam. Ani syren, ani krzyków, nic. Ale poczułam - kurczaki, spaleniżnę.

Zapach przedostał się pod moimi drzwiami i od razu wiedziałam, co się dzieje. Otworzyłam i płomienie prawie zwały mnie z nóg. Tą drogą w życiu bym nie wyszła. Nie wpadłam w panikę. Panika nie była w moim stylu. Miałam jeszcze okno, moje jedyne okno, ale czy można się przez nie przecisnąć?

Przysunęłam krzesło i weszłam na nie. Chociaż okno miało wielkość stopy na dwie, po prostu nie dawało się otworzyć dość szeroko, żebym mogła się przedostać. Sześć cali - nic więcej. Zamknęłam oba skrzydła i wytlukłam szybę lampą. Potem wywaliłam wszystkie ostre kawałki szkła, które zostały. Gdybym tego nie zrobiła, przeciskanie się przez ramę przypominałoby pakowanie się w paszczę rekina.

Płomienie lizały dół drzwi, wpełzały przez dziurkę od klucza, dym kłębił się na podłodze jak mgła gromadząca się na wysokości kostek. Niezbyt wiele mogłam ze sobą zabrać i raczej zupełnie nie miałam czasu na dokonywanie wyboru. No to wzięłam rzeczy, które wydawały mi się najcenniejsze - ciuchy do ćwiczeń i portret Maggie.

Jakieś ręce pomogły mi się przecisnąć przez moje byłe okno. Policja, strażacy, woda, światła - zupełnie jak na premierze w Vegas. I stałam tak,

w całym tym hałasie i kolorach, mokra od wody ze strażackich węży, z nogami trzęsącymi się pod dziewczęcą nocną koszulką, w jednej ręce trzymając kostium, w drugiej moją mamusię. Wiedziałam, że wyglądam beznadziejnie, więc się rozplakałam.

Do widzenia, mieszkanie. Do widzenia moje małe niebo, moje pierwsze własne, słodkie miejsce. Pieprzyć ciebie i twoje kurczaki, Mona. Mam nadzieję, że będziesz się smażyć w oleju.

TLR

Rozdział 9

Ben

1950

Powiedzmy to od razu, oczyszczając atmosferę ze wszelkich możliwych nieporozumień: armia i ja jako zespół, jako małżeństwo i wydarzenie artystyczne zeszedliśmy z afisza po długim czasie, podczas którego wszyscy krytycy zgodzili się, że Stany lepiej by zrobiły, rezygnując, niż podejmując próbę przerobienia Bena Webbera na maszynę bojową, oczywiście jeśli celem tej próby nie była całkowita i kompletna demolka samych Stanów Zjednoczonych jako armii, narodu i idei.

To po prostu nie zadziało, ludziska, co więcej mogę dodać? Nie działo od samego początku. Począwszy do przejażdżki autobusem do Fort Devens w stanie Massachusetts, podczas której dwóch facetów zwymiotowało, a klimatyzacja zepsuła się, kiedy przystanęliśmy na lunch w Springfield, gdzie trzech ludzi, zaprzysiężonych tego samego ranka, dało nogę, ciągnąc za sobą sześciu chłopaków z żandarmerii w charakterze pościgu.

Retrospekcja. W jasny, rześki poranek o piątej młody Benjamin Webber składa przysięgę, w której obiecuje bronić swojego kraju, zdejmując mu odciski palców i zostaje wpakowany do autobusu z czterdziestoma podobnie ukontentowanymi młodymi ludźmi i wysłany - poprzez rzygowiny i dezercję - do obozu koncentracyjnego w Fort Devens. Jest minus dziesięć i pada śnieg. Pięciu nowych rekrutów płacze i młody Benjamin zaczyna się zastanawiać. „Czy zostaniemy rozstrzelani? Co to za miejsce? Gdzie orkiestra grająca Souse? Gdzie uśmiechnięte dziewczęta z paczkami i kawą? Gdzie masy wdzięcznych cywilów, hałaśliwie wyrażających wdzięczność, obsypujących nas pocałunkami, proponujących nam swoje kobiety, częstujących winem?”.

Oszustwo. Oszustwo, fałsz, przestępstwo, zbrodnia, przymus i bzdura. Nie ma kobiet, nie ma paczków, nie ma muzyki, nie ma wina. Jest tylko dziesięć stopni poniżej zera, śnieg i tłusty sierżant-południowiec, wrzesz-

czący na nas w czymś zbliżonym do angielskiego, ale bardziej przypominającym świńskie pier-dzenie.

Wyfasowałem ubranie i dostałem przydział do 42. grupy kwatermistrzowskiej w dowództwie kompanii. Zasadniczo była to grupa pensylwańskiej Gwardii Narodowej, którą zmobilizowano cichcem, kiedy nikt nie patrzył, wygarniając wszystkich zdolnych do służby z sal gimnastycznych, warsztatów, tartaków i kościołów. Dowodzący pułkownik miał pralnię chemiczną. Podpułkownik, drugi co do rangi, był urzędnikiem bankowym. A żaden z podoficerów nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. Sami pensylwańscy Holendrzy, co znaczy, że myli się regularnie, mówili „mam ciebie w dupie” i mieli się bardzo zdziwić.

Z Gwardią Narodową (GN) wymieszano szczyptę zawodowych żołnierzy (Z), samych podoficerów, i garstkę rezerwistów z drugiej wojny światowej (REZ), którzy podjęli głupią decyzję

- o przejściu do rezerwy pod koniec wojny, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, żeby zachować stopnie. Zasadniczo rezerwiści byli w porządku, trzydziestoletni, ale nadymali się z powodu sytuacji, która wpakowała ich w drugą wojnę na przestrzeni pięciu lat.

Zrozumcie, proszę, tę kompozycję: czterdziestu pięciu narodowych gwardzistów, piętnastu zawodowców, sześciu rezerwistów, a do tego dodano trzydziestu pięciu poborowych (US). Nieznośny amalgamat. Gwardziści byli rozpaczliwie młodzi

- 1 jeżeli zdążyli coś zaliczyć, to najwyżej własną rękę. Zawodowcy, stare opoje, czuli się w armii jak w domu. Rezerwiści, wojskowe mędrki, wkurzeni, woleliby widzieć przegraną Ameryki, niż służyć tydzień dłużej. A wśród poborowych przeważali spryciarze z miasta, niegłupi i nie-dający się wpasować w wojskowe rygory.

Spośród gwardzistów tylko kapitan Francis Grace był kimś.

Mimo podwójnie damskiego nazwiska podczas działań na Pacyfiku służył w marines i po drugiej wojnie światowej, chociaż jak należy zwolniono go ze służby, czuł się zobowiązany wstąpić do Gwardii. Kiedy Gwardia została zmobilizowana, kapitan Grace okazał się jedynym w oddziale oficerem z doświadczeniem bojowym. Nie mógł mu się podobać przydział do tych wieśniaków.

Stawiam, że dwaj pułkownicy byli w porządku, ale pozostawali odlegli. Pułkownik Cranston, jak wspominałem, miał ten interes z pralnią

chemiczną i był świetny w przeglądach. Orkiestra grała *Cruising Down The River*, a on stał w swoim jeepie, salutował, a potem odjeżdżał. Jaki byłby na wojnie, wszyscy mogli się tylko domyślać. „Czysty” byłoby dobrym słowem, „odprasowany” chyba nawet lepszym.

Podpułkownik Beakins, nasz urzędnik bankowy, zawsze wyglądał, jakby miał zaraz zapytać: „Jak to panu wydać? Wszystko w piątkach?”. Co do reszty oficerów i żołnierzy z Gwardii, wahali się między „znośni”, „tacy sobie” i „Boże uchronaj”, chociaż starszy sierżant Luther Holdoffer był z pewnością najbardziej niewybaczalnie głupią istotą ludzką, do której manierki miałem przyjemność się odlać.

Zawodowcami i rezerwistami zajmę się w miarę rozwoju wypadków, ale chciałbym naszkicować dwóch poborowych, którzy po dziś dzień budzą mój podziw, szacunek i ciepłe uczucia. Radykalni indywidualiści, nie potrafili ugiąć się przed władzą podobnie jak ja. W efekcie pomogli uczynić moje wojskowe życie znośnym, a niekiedy nawet przyjemnym.

Johnny Munez był pół Hiszpanem, pół Włochem, całkiem śniadym. Pochodził z Brooklynu, w cywilu jeździł osiemnasto-kołową ciężarówką, miał pięć stóp siedem cali wzrostu i budową przypominał pień sekwoi. Zaradny, inteligentny i zakłopotany swoim brakiem wykształcenia, Johnny ustalił, że prawdziwym wrogiem była Gwardia Narodowa. I razem prowadziliśmy przeciw gwardzistom partyzancką wojnę o takiej intensywności, że dopiero teraz, lata od chwili gdy wydarzenia te miały miejsce, ośmielałem się ujawnić pewne fakty.

Moim drugim przyjacielem był roześmiany facet o rzadkich włosach koloru tak bardzo blond, że wydawały się albo białe, albo nieistniejące. Bolesnie polski, o zapadłych policzkach i niebieskich oczach, Tony Wesso śmiał się z powodów, które pozostały dla mnie tajemnicą, bo spośród wszystkich poborowych on miał najwięcej do stracenia. Był najlepszym rzucającym w (obecnie rozwiązanej) drużynie Jersey City Giants, ale to należało do przeszłości. Został zdjęty z boiska, ubrany w nowy strój i zostawiony bez zajęcia. Z natury radosny, Tony śmiał się, bo wszystko wydawało mu się autentycznie śmieszne. Nigdy nie narzekał. Był tak pokładany, że nic w naszym podstawowym szkoleniu nie stanowiło dla niego problemu. Ale miał też w sobie coś z chochlika, karnawałową stronę osobowości, duszę urodzonego żartownisia.

Tony Wesso, Johnny Munez, Ben Webber - i jeszcze kilku starannie wybranych poborowych - stanowili dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych problem większy niż komunistyczne Chiny.

Przydział do dowództwa kompanii może oznaczać, i zwykle oznacza, bardzo wygodną sytuację. A o przydziale do kwatermistrzostwa dowództwa kompanii poborowi nie mają śmiałości nawet marzyć. Łatwa praca. Częste przepustki. Ciuchy, które pasują. Wszystko wskazuje na osiemnastomiesięczne wakacje na koszt naszego bogatego Wuja Sama.

Kruczek polegał na tym, jak wkrótce się przekonaliśmy, że wszystkie dobre stanowiska, wszystkie dobre fuchy były przeznaczone dla gwardzistów albo już nimi obsadzone. To oznaczało dwie rzeczy: żadnych wido-ków na awans, a wszystkie gówniane obowiązki automatycznie spadały na nas. Zupełnie jakbym znalazł się z powrotem w dziale pocztowym 20th Century Fox.

Nasze szkolenie podstawowe było śmiechu warte. Większość z nas, poborowych, dopuszczono do służby warunkowo i przede wszystkim dlatego właśnie przydzielono nas do kwatermistrzostwa. Chodzi mi o to, że moje ciało było ciałem wybrakowanym, nieróżniącym się niczym od garniturów, jakie nosili komicy w starych burleskach (pociągnij za rękaw i całość się rozleci). Mogłem naciągnąć sobie ścięgno albo mięśnie pleców czy wybić kolano, przechodząc z cwału w kłus. W stresowej sytuacji moje ciało nie było godne zaufania. A wszystko to pogarszał fakt, że z powodu frustracji przez trzydzieści sześć godzin dziennie zaciskałem pięści.

Johnny'emu Munezowi ograniczoną przydatność do służby przyznano dlatego, że był ślepy na jedno oko. Na które, nie wiedział nawet on sam. A Tony'emu z powodu, wierzcie lub nie, przewlekłej grzybicy stóp, której pozwolił rozwijać się przez lata, bo kiedy się drapał, było tak przyjemnie. Niektórym poborowym przyznano jednak 1-A, bo mieli dobre ciała, słabe głowy i idealnie nadawali się do tego, by ktoś odstrzelił im bohaterskie tyłki.

Stojąc w obliczu tej całkowitej straty czasu, Johnny, Tony i ja mogliśmy zrobić tylko jedno, zachowywać się jak nieznośne dzieciaki. Dokąd mogliby nas przenieść? Wszystkie tak zwane gówno-brygady były kompletne, obsadzone Murzynami (w armii obowiązywała segregacja rasowa i czarnych rzadko powoływano do robienia czegoś, co nie mieściłoby się w definicji niewolnictwa).

No więc zrobiliśmy tak. Stworzyliśmy instytucję „Poborowego Tygodnia”. Pomysł wyszedł od Tony'ego i to on trzymał w garści wykresy, oczywiście w ukryciu. Dwunastu spośród najbardziej zaufanych poborowych spotykało się w każdy czwartek, przed tym co danego dnia udawało kolację, i głosowaliśmy na Poborowego Tygodnia, tego, który zrobił najwięcej, żeby wkurzyć gwardzistów do białości. Jeżeli wybrany nie był członkiem wewnętrznego kręgu dwunastu, zostawał poinformowany o nagrodzie i proponowano mu członkostwo.

A jaka była nagroda za zostanie Poborowym Tygodnia? Proste. Przez tydzień po wyborze Poborowy Tygodnia odbierał honory od wszystkich innych uczestników programu. Może nie brzmi to zbyt imponująco, ale gdybyście tam byli i widzieli miny oficerów i podoficerów z Gwardii Narodowej, zawodowych i rezerwy, kiedy patrzyli na mnie idącego po terenie obozu w najbrudniejszym stroju polowym i wszystkich tych poborowych preżących się jak struna i salutujących mi, jakbym był MacArthurem, niektórzy nawet po trzy czy cztery razy w czasie pięciu minut, cóż, wtedy zrozumielibyście znaczenie takiego programu dla naszego morale.

W porządku, możecie zapytać, jak się zostaje Poborowym Tygodnia? No dobra, jeśli o mnie chodzi, oto dwa moje osiągnięcia (opis zaczerpnięty wprost z tekstu pochwalnego autorstwa szeregowego Marty'ego Ransona, byłej gwiazdy zawodu reporterskiego ze Staten Island Herald, a później wziętego pracownika reklamy).

W dniu krótkiej dwudziestomilowej wycieczki widziano starszego sierżanta Luthera Holdoffera napelniającego gorącą herbatą manierkę, którą następnie ostentacyjnie zamocował przy pasie z nabojami, podczas gdy żołnierzom z grupy 42. nakazano ukończyć tę wycieczkę bez fasowania manierek z wodą. Szeregowy Benjamin Webber, narażając się na wielkie ryzyko, zdołał w jakiś sposób zamienić herbatę na mocz. Sierż. Holdoffer, jak należało się spodziewać, nie zdołał wyczuć różnicy. Dzięki odwadze i pomysłowości szeregowego Webbera wycieczka stała się przyjemnością dla wszystkich uczestników, zwłaszcza że sierżant Holdoffer wymiotował przez całą noc.

Przed pobudką, rankiem 2.03.1951, szeregowy Benjamin Webber, poborowy, zauważywszy, że drzwi świetlicy dla kadry są otwarte na oścież, wślizgnął się tam niezauważony i złożył w wyglansowanych na

błysk oficerkach starszego sierżanta Luthera Holdoffera solidną porcję dojrzałego gówna. Pomocą podczas akcji i przy zaopatrzeniu w ekskrementy służyli mu szeregowi Stovall oraz Morelli, którzy poprzedniego wieczoru jedli meksykańskie chili i którzy poczuli zew przygody. Na dźwięk pobudki sierż. Holdoffer, jak to ma w zwyczaju, wskoczył w oficerki i bezzwłocznie odebrał pozostawioną mu wiadomość. Szeregowy Webber, przyjmijcie hold, który żołnierze 42. oddają wam za twórcze myślenie i odwagę. Kuchnia meksykańska nigdy nie została lepiej wykorzystana.

Moja złośliwość, jak mogliście zauważyć, w znacznym stopniu skierowana była przeciw starszemu sierżantowi Lutherowi Holdofferowi. Nieprzypadkowo. Holdoffer uosabiał wszystko, co najgorsze w gwardii. **Z** ciężkim pomyślunkiem, bez poczucia humoru, podły i o inteligencji warzywa. Miał zielone zęby i cuchnący oddech. Do tego czerwony łupież, ciało wydzielające odór jak krab na plaży. Ustawicznie drapał się w kroku, miał tępą siłę pary wołów i stanowił kwintesencję zwykłego sadyzmu. Ale najbardziej denerwujące było to, że miał paski starszego

sierżanta. Był grubą rybą, sierżantem sierżantów, fiutem nad fiutami, wielką szycią, kutasem nad kutasami. Miał władzę. I ponieważ ją miał, nie można było kwestionować jego decyzji ani go powstrzymać. Nie dało się też przewidzieć jego poczynań, bo nie potrafił zebrać więcej niż trzech myśli naraz. Krótko mówiąc, był sadystycznym goliatem, który lubił nam ucierać nosa celnym kopem. W dwóch niezależnych wypadkach sprowokował poborowych do wyzwania go na walkę w oficjalnym ringu, z bezstronnym sędzią. Obaj poborowi dostali taki wpierdziel, że jednemu dojście do siebie zajęło pięć tygodni, a drugi, z powodu niewykrywalnych obrażeń wewnętrznych, których armia nie potrafiła wyleczyć, został honorowo zwolniony do cywila z dwudziestopięcioprocentową „utrata zdrowia na służbie”.

Danie temu bezwzględnemu potworowi do wiwatu za jego zbrodnie przeciw ludzkości stało się moim jedynym, obsesyjnym, celem wojskowym. Korea Północna, Chiny, Rosja były zbyt dalekie, żeby cokolwiek dla mnie znaczyć. Holdoffer rzucał się w oczy, był na miejscu i działał. Skończony drań, uniwersalny kat - i jedyny powód mojego istnienia. Musiałem mu się dobrać do skóry.

A on chciał się dobrać do mojej, bo jakimś sposobem dotarło do niego, że to ja jestem gzem, który gryzie go w dupę (nic zaskakującego, skoro mógł mu to powiedzieć z tuzin gwardzistów). I pewnej nocy, jednej ze swoich „pijackich nocy”, zaskoczył mnie wychodzącego z kantyny. Z niewiadomych przyczyn Holdoffer zawsze upijał się we wtorki, czwartki i soboty. Kiedy był tak pijany, nigdy się go nie bałem. Zaprawiony na sztywno, działał na mnie tonująco, potrafiłem się opanować, a jeśli to zawiodło, przynajmniej zdystansować. W ciemnościach jego zabójczy oddech dotarł do mnie szybciej niż słowa.

- Webber, ty skurwysynu...
- A, sierżant Holdoffer. Poznaję ten zapach.
- Ty skurwysyński skurwysynu.
- Niepotrzebne powtórzenie.
- Wiem, że to ty, ty pierdolony żydku.
- Tak się składa, że jestem pierdolonym prezbiterianinem. - Nie zatrzymywałem się.
- Jak mówię, że jesteś żydek, to jesteś żydek.

- Ta jess. Słuchajcie, no, sierzancie, jestem po służbie. Wszystko, co chce mi pan powiedzieć, będzie musiało poczekać do jutra. - Próbowałem go obejść, ale zastawił mi drogę.

-Pierdolony spryrciula z Hollywood. Ta, zjrzałem do twoich akt. Jesteś z Twentieth Żydko-Fox w Żydko -wood, w Żydko-forni.

Udało mi się go obejść.

- Jak pan chce, sierzancie. - I poszedłem dalej.

Ale on kroczył obok, wyższy o stopę, i napierał na mnie, jakby chciał mnie zepchnąć z drogi.

- Nasrałeś mi do butów, taa?

- Żartuje pan? Nawet bym się do nich nie zbliżył.

- I naszczałeś mi do manierki.

- To była herbata. Nie szczam herbatą, wie pan?

-O coś wam, synom, chodzi z tym całym salutowaniem. Nie myśl, że nie widzę.

Zobaczyłem Johnny'ego i Tony'ego. Byli tuż za nami, wychodzili z kantyny, więc zatrzymałem się i stanąłem twarzą w twarz z Holdofferem, zdając sobie sprawę, że zaraz nas dogonią.

-Słuchaj, imbecyłu, tknij mnie jednym palcem, a postawią cię w stan oskarżenia w takim tempie, że syfy wywieje ci z gęby.

Też zobaczył Johnny'ego i Tony'ego i włączył ich do swojego komentarza, kiedy podeszli, żeby mnie osłaniać.

-Wy trzy pierdolone żydki, zmuszę was, żebyście żarli gównu. Ugotujecie je, pokroicie i zeżrecie.

Tony uśmiechnął się do Johnny'ego.

- Znaczy, że to, co dajecie do żarcia, to nie jest gównu?

A Johnny uśmiechnął się do Tony'ego.

- Nie wiedziałem, że jesteś żydek, Wesso. Kiedy to się stało?

-A żebym to ja wiedział. Nie pamiętam, żebym miał bar micwę. - Pomacał sobie czubek głowy. - Jezu, zgubiłem myckę.

Ponownie spojrzałem na Tony'ego i zdałem sobie sprawę, że chociaż nie tak wysoki czy ciężki jak Holdoffer, mógłby okazać się równie silny albo nawet silniejszy. Z pewnością był w lepszej formie, bardziej atletyczny. No i parę lat starszy, a różnica między dziewiętnastolatkiem a dwudziestotrzylatkiem mogła też oznaczać różnicę między chłopcem a mężczyzną.

Holdoffer nie poczuł się speszony.

- Wesso, jesteś pierdolonym Polaczkiem. I gdybyś chciał kiedyś stanąć ze mną na ringu...

Tony wykrzywił się w uśmiechu.

- Sierzancie, zanim armia nas rozdzieli, szykuję dla pana podkręcaną piłkę, z prędkością dwóch tysięcy mil na godzinę, prosto w dupę.

- Spróbuj, Polaczku - stwierdził Holdoffer. - Na ringu.

- Nie wytrzymałbym z tobą na ringu nawet minuty, ty świńskie gówno. Smród by mnie zwałił z nóg.

- Pierdolone żydowskie gównozjady. - Holdoffer wyniósł się chyłkiem, otoczony chmurą swoich smrodów jak rojem owocówek.

Kilka dni później wezwał mnie kapitan Grace. Dał mi spocznij, zamykając drzwi i prosząc, żebym usiadł, jakbyśmy byli kumplami. Zaczął mówić, w tonie nieformalnym, zapalając papierosa i stukając stopą w biurko.

- Wyjaśnijcie mi coś, Webber.

- Tak jest. Postaram się.

- Dlaczego jesteście tacy wściekli? Nie wy jedni zostaliście powołani do służby. Wszyscy są niezadowoleni jak należy. Ale wy jesteście wściekli.

- Nie jestem wściekły, proszę pana.

Kapitan Grace nie należał do tych, przy których można kombinować. Miał twarz hollywoodzkiego marines, szczupłą, pociętą zmarszczkami i suchą. Przypominał mi Sammy'ego Baugha, który grał dla Washington Redskins na pozycji quarterbacka - nie przystojny, ale przykuwający uwagę. A kiedy rzucał piłkę w twoją stronę, albo ją łapałeś, albo przebijała cię na wylot.

- Proste odpowiedzi, Webber. Nie mam czasu na wykręty.

- Tak jest. Może „wściekły” nie jest właściwym słowem, proszę pana.

- W takim razie proszę, powiedzcie, jakie jest właściwe słowo.

- Myślę, że „sfrustrowany”.

Trzymał w ręku moją teczkę z danymi.

- Tak. Mieliście dobrą pracę. Okej, dostaniecie ją z powrotem. Będzie na was czekać, kiedy wrócicie, bo takie jest prawo.

-Tak jest. Skoro pan tak mówi.

-Powiem wam coś, Webber. Przydział tutaj nie podoba mi się tak samo jak wam, okej? Obraża mnie. Złości i irytuje. Ale nic z tym nie mogę zrobić, tylko ponawiać prośby o przeniesienie, składane właściwą drogą. A tymczasem nie siedzę i nie joczę i nie prowokuję kłopotów. Wykonuję swoją pracę.

-Ja nie prowokuję...

-Gówno prawda. Podzieliliście całą kompanię jak w *Buncie na Bounty*. I bez tego dość trudno utrzymać w kupie cztery tak zróżnicowane grupy. Mam dwóch pułkowników w wieżach z kości słoniowej i porucznika błędzącego w wiecznej mgle i muszę funkcjonować w tym cholernym układzie na co dzień. Przydałaby mi się jakaś pomoc. - Mocno zaciągnął się papierosem. - Chciałbym, żebyście przestali szczuć Holdoffera.

-Tak jest.

-Bo jak nie, zapoznacie się z końcem bardzo długiego kija bez marchewki. Czemu to robicie?

-No cóż...

-Proste odpowiedzi.

-To sadysta, proszę pana.

-Tak myślicie?

-Tak jest. Sadysta i bigot i, najprawdopodobniej, kretyn.

-Jest starszym sierżantem.

-Na jedno wychodzi.

Próbował ukryć uśmiech, a potem pochylił się w moją stronę.

-A także siostrzeńcem pułkownika Cranstona.

-O Chryste.

-Cały oddział, Webber, wszyscy oni pochodzą z tych samych stron.

Wszyscy są w ten czy inny sposób spokrewnieni.

-Siostrzeniec pułkownika Cranstona?

-Tak. Próbuję ci przekazać, Webber, że jeśli będziesz pracował nad tym kretynem dostatecznie długo... bo to jest kretyn... pójdzie do wujka i to ciebie spuszcza w latrynie.

-Tak jest.

-No więc chcę, żebyście przestali. Jeżeli sponiewiera was albo kogoś innego, armia się nim zajmie.

-Jak, proszę pana? Skoro jest siostrzeńcem pułkownika Cranstona, to jak?

-Nie wiem jak, ale to zrobi. A także, na wypadek gdybyście o tym nie wiedzieli, wy też możecie prosić o przeniesienie. Z waszym zapleczem może siły specjalne byłyby wami zainteresowane.

- Tak jest.

-Muszę wam tylko powiedzieć, że inni prosili o przeniesienie, ale pułkownik Cranston zawsze odrzucał podania.

- Dlaczego?

- Najwyraźniej uważa, że to go stawia w złym świetle.

-Więc nie mogę wydostać się z czterdziestej drugiej, zgadza się?

-Możecie. Możecie złożyć podanie do szkoły oficerskiej. Jeżeli zostanie przyjęci, nie uważa się tego za przeniesienie. Uznaje się to za podnoszenie kwalifikacji i armia do tego zachęca. A w konsekwencji żaden dowódca grupy ani nikt inny nie może was zatrzymać.

- Mam „ograniczoną przydatność do służby”.

-Chińczycy wystrzelali nam masę podporuczników. Wymagania co do stanu zdrowia nie są już tak surowe.

- Chce pan powiedzieć, że wezmą każdego, kto się zgłosi.

-Każdego, kto zdoła wejść, stanąć prosto i przeliterować swoje nazwisko, owszem. Ale to dodaje trzy lata do czasu służby.

- Jaki podporucznik przeżyje w Korei trzy lata?

Uśmiechnął się.

- Jest to pewien problem.

- Taa. Proszę pana.

- Przemyślcie to. A w tym czasie pozwólcie, że się powtórzę. Trzymajcie się z daleka od Holdoffera albo wpakujecie się w większe kłopoty, niż wasz sprawny umysł jest w stanie ogarnąć. I, zaczynając od jutra, jestem po stronie Holdoffera. Rozumiecie, prawda?

- Tak jest. - Zasalutowałem. I wyszedłem.

Wyjaśniłem sytuację Johnny'emu i Tony'emu, tłumacząc, że musimy sobie odpuścić Holdoffera. Zareagowali w dziwny sposób. Uznali, że kiedy Holdoffer przestanie spełniać funkcję wentyla, przez który uchodzi ich niezadowolenie, zabraknie im w życiu czegoś cudownego. Przejęli się jednak możliwością mojego zapisania się do szkoły oficerskiej. Bezwzględnie rozwiązałem ich obawy.

- Panowie, wolę dwa lata z głównianogłowym Holdofferem niż trzy z Charliem Chanem *⁴⁸.

Nagrodzili mój komentarz aplauzem, a potem poszliśmy zaprawić się prawie na sztywno.

Od czasu do czasu dostawałem listy od Dona. Pełne informacji i zabawne, stanowiły mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. A kiedy przychodziły, znajdowałem sobie ustronne miejsce, gdzie nikt mi nie przeszkadzał, gdzie Manhattan mógł w cudowny sposób pojawić się i wziąć mnie w ramiona - choćby tylko na parę minut.

Drogi okryty chwałą bohaterze wojenny i półbogu

Chcę Ci zameldować co nieco w różnych kwestiach, z których wszystkie, jak miemam, uznasz za interesujące, bo jeśli nie, to po co, kurwa, tracę czas? 20th Century Fox wciąż prosperuje, wciąż wypuszcza śmieci, ale też płaci pensje. Ar- niego widuję bardzo rzadko, a Dużego Ala jeszcze rzadziej, bo co wieczór pędzi do domu pieprzyć żonę, ponieważ niedługo będą powoływać żonatych, którzy nie są ojcami. Biedna Laura, z dziewczинства trafiła prosto do haremu, w rekordowym czasie.

Co do Boba Steinmana, wydaje się bardziej zainteresowany pieprzeniem niż wspinaniem się po drabinie sukcesu. Można powiedzieć, że wałkoni się cały dzień i pierdoli po nocach, jutro zaś obchodzi go mniej więcej tyle, co miniony tydzień.

A, nowy goniec w reklamie. Dosyć potworny. Pięć stóp sześć cali, waży chyba z tonę i ręce wiszą mu do kostek. Nazywa się Sam Gaylor i jego ojciec najwyraźniej był kimś w rodzaju piosenkarza w latach dwudziestych, uwielbianym przez świat, dopóki nie roztył się tak, że głos nie mógł się przecisnąć. Sam nie pozwala nam zapomnieć, kim jest jego ojciec, co w jest w porządku, bo to pozwala nam zapomnieć, kim jest Sam. Nie przestaje gadać, mówi tylko o sobie i o tym, jaki jest utalentowany i jacy wszyscy w 20th są głupi. Zamierza zostać reżyserem, ale, w chwili obecnej, ma na oku twoje miejsce w anonsach. Mickey, Dora i Roland powiedzieli Meyerbergowi, że się

⁴⁸ Charlie Chan - policjant z Honolulu, bohater kryminałów E. D. Biggerey i filmów 20th Century Fox.

zwolnią, jeżeli „Wielka Gęba” zostanie przyjęty jako Twój tymczasowy zastępca, więc status jest quo. Facet ma 4-F - „biegunka słowna”. A skoro mowa o Rolandzie - wiesz, jakie mam kłopoty z opłatą czynszu za tę budę i jak szukałem współlokatora, żeby podzielić płatności. No i stary Roland przychodzi któregoś dnia z fantastyczną dziewczyną i mówi, że ona potrzebuje mieszkania, bo jej właśnie się spaliło, i że szuka czegoś w śródmieściu, bo tam będzie pracować. Nazywa się Ginnie Maitland, tancerka z takimi nogami, że wymiękasz. Niebieskie oczy, blondynka, ale upiera się, że jest Murzynką. Uważam ją za nieco dziwną, ale co, do licha, pojawiła się w samą porę z forszą na wynajem.

Patricia Jarvas przesyła Ci ukłony i chciałaby dostać od Ciebie słówko. No i czy mógłbyś zadzwonić do niej, kiedy tylko będziesz na przepustce, ponieważ - tu zacytuję - „grzeje dla Ciebie miejsce w swoim łóżku”.

Ucałowania z frontu domowego

Don

Kapitan Grace dostał swoje przeniesienie. Cieszyłem się ze względu na niego, wszyscy się cieszyliśmy. Zasługiwał na coś lepszego niż 42. i jakoś przekonał pułkownika Cranstona, żeby zatwierdził to przeniesienie. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że pułkownik Cranston mógł być szczerze zadowolony, że pozbywa się oficera, którego obecność podkopywała jego pozycję. No i dzięki przeniesieniu o stopień w górę awansował porucznik Rankin. Kapitan Grace został zastąpiony przez człowieka, który w cywilu pracował w firmie pralniczej pułkownika Cranstona. Żeby dodać słówko o ślepej lojalności, w Rankinie pułkownik Cranston miał, praktycznie rzecz biorąc, psa łańcuchowego i aż nazbyt szybko zaczęliśmy wszyscy doceniać, jak dobrym, sprawiedliwym i inteligentnym dowódcą kompanii był kapitan Grace.

Porucznik Rankin liczył sobie jakieś dwadzieścia osiem lat. Trochę dziwnie zbudowany - chuda tyczka z brzucholem - kościsty, ale nie pośrodku. Rzednące włosy ostrzyżone po wojskowemu, słaby podbródek i do tego przydziałowe okulary (okrągłe metalowe oprawki). Zdecydowanie damskie ręce, a kiedy szedł, poruszał się jak po linie, oczy wbijał w

ziemię, jakby wierzył, że jeden fałszywy krok i spadnie. Palił fajkę wypełnioną czekoladowym ciastem, a ponieważ ciągle gasła, zaczęliśmy się domyślać, że nie był doświadczonym palaczem, że jego fajka to proteza wykorzystywana do tworzenia obrazu tweedowej męskości głównie po to, jak podejrzewam, by dodać sobie pewności.

No i tak się złożyło, że pewnego niesamowicie zimnego dnia porucznik Rankin postanowił raz na zawsze dowieść zarówno swojej męskości, jak i faktu sprawowania władzy, bo zdawał się podejrzewać, że wątpimy w jedno i w drugie. Nakazał wszystkim oprócz kilkunastu gwardzistów, którzy mieli zostać, żeby zająć się łącznością i podlewaniem kwiatków pułkownika, dwunastomilowy wypad na nocny biwak. Nawiasem mówiąc, nie towarzyszył nam żaden z naszych pułkowników.

Nie mogliśmy w to uwierzyć. Byliśmy w wojsku niecałe trzy miesiące i wysyłano nas na ćwiczenia, jakimi rzadko obciążano nawet wytrawnych weteranów. Gwardziści, tryskający energią i przytępi, odnieśli się do tego pomysłu tak, jakby chodziło o pójście na tańce. Byli w dobrej formie i chociaż nie w samym środku zimy, ale bywali już na biwakach, z pełnym wyposażeniem bojowym, zanim ich oddział został ostatecznie zmobilizowany.

Poborowi jednak - większość z nas - mieli „ograniczoną przydatność do służby” i teoretycznie nie byli zobowiązani do znoszenia takich bzdur. Rezerwiści natomiast, wszyscy z doświadczeniem bojowym, uznali za afront włączanie ich w tego rodzaju fanaberie. Co do naszych zawodowych żołnierzy, a wszyscy pozostawali w stanie upojenia alkoholowego codziennie, przez dwadzieścia cztery godziny, byli w formie wołającej o pomstę do nieba i należało poważnie wątpić, czy którykolwiek z nich przejdzie połowę wymaganej odległości, nie wypadając z gry, jakby chodziło o Marsz Śmierci na Bataan*⁴⁹.

No i padał śnieg. Jezu, ależ ten śnieg padał, jakby bogowie postanowili wspomóc Rankina w przetestowaniu naszego ducha. Wyraźnie widziałem, że albo damy radę, albo zamarzniemy, utoniemy lub zardzewiejemy.

Wyruszyliśmy natychmiast po śniadaniu, od którego żołądek się wywracał. Pełne wyposażenie: karabiny, narzędzia do okopywania się, koce,

⁴⁹ Marsz śmierci na Bataan, po klęsce na półwyspie Bataan (9.04.1942) marsz pokonanych oddziałów amerykańskich do japońskich obozów jenieckich; zginęło wówczas 5-10 tys. żołnierzy.

suchy prowiant, manierki. Nie mieliśmy bladego pojęcia, po co te manierki; woda w nich zamarzlaby po przejściu mili. Poza tym nie potrzebowaliśmy wody. W razie potrzeby wystarczyłoby zgarnąć pełen hełm śniegu. Przed opuszczeniem baraków Tony, Johnny i ja opróżniliśmy nasze manierki z wody, napełniając je czymś, co miało uchodzić za bourbona. Ledwo dawało się przełknąć, ale miało dostateczną liczbę procentów, żeby mieć gwarancję, że nie zamarznie. Co do pozostałych, byli zdani na siebie. Niektórzy mieli bourbona, inni nie. Część zabrała wódkę, rum, whisky, piwo i cydr. Wszyscy coś mieli, była to tylko kwestia rodzaju (albo procentów).

Wyszliśmy na zewnątrz, nasze zimowe buty niezdarnie miesiły śniegową kaszę i nigdy nie widziałem, żeby Holdoffer miał z czegoś większą satysfakcję. Zimno, śnieg, lód pod śniegiem - nic nie spowalniało jego marszu. Wydawało się, że unosi się nad ziemią jak nisko latający ptak. Szedł na szpicy i narzucał tak parszywie pospieszne tempo, że w prawie regularnych odstępach dało się go zauważyć sto jardów przed nami, wrzeszczącego jak nadzorca galerników, kiwającego, żebyśmy go dogonili, z taką pewnością, z jaką kiwał John Wayne w całej masie lepszych filmów.

Porucznik Rankin, twardy zawodnik, szedł z nami dwie pierwsze mile. Potem pojawiał się wyłącznie podczas przerw, wydawało się, że materializuje się z powietrza, świeży i pachnący ciastem. Nas nie oszukał, sukinsyn, bo słyszeliśmy go - jeepa - zawsze jakieś ćwierć mili za nami. Robił to tak, że zostawał w tyle, czekał na jeepa, a następnie podjeżdżał prawie do miejsca, gdzie był postój. Potem przechodził przez nasze szeregi jak po odbiór Oscara za efekty specjalne, udając, że przemaszerował z nami cały odcinek. A przecież musiał się orientować, że świetnie wszystko wiemy. Dziwny człowiek, ten Rankin. Dopóki ktoś nie powiedział cesarzowi, że nie ma na sobie ubrania, nie był nagi.

W końcu, potykając się, dotarliśmy na teren biwaku, kilka metalowych markerów wskazywało, że osiągnęliśmy cel. Holdoffer łaził między nami, wrzeszcząc, żebyśmy stawiali nasze namioty z pałatek. Musiało być minus dwadzieścia. Odkąd zaczęliśmy, spadło sześć cali śniegu i, kiedy go odgarnęliśmy, wbicie masztu w twardą ziemię pod nim okazało się prawie niemożliwe. Niektórzy z nas zdołali tego dokonać, po czym pomogliśmy tym, którzy nie dali rady. Ale nawet wtedy nie potrafiliśmy

ustawić masztów dość sztywno, żeby namioty nie łopotały jak pranie na sznurku. Zaczynało się ściemniać i wzrastał wiatr, śnieg pędził pełną parą, układając się spiralnie, jakby odwijany z maszyny do waty cukrowej.

Holdoffer chodził tam i z powrotem, taki zapalony, taki rozradowany rolą, którą odgrywał, że prawie godny podziwu. Miał latarkę, którą wymachiwał niczym kadzielnicą, i wrzeszczał do nas, że do rana jesteśmy zdani na siebie. Mogliśmy zjeść suchy prowiant, kiedy nam się spodoba, i mogliśmy się wysrać, gdzie nam się spodoba, pod warunkiem że dokonamy zrzutu w promieniu ponad stu jardów poza terenem biwaku. Wszyscy zgodnie postanowiliśmy nadwerężyć nieco jelita ze strachu przed odmrożeniem naszych klejnotów. Lepiej umrzeć napełniony gównem, ale jak żołnierz, niż żyć jak eunuch.

Johnny, Tony i ja ustawiliśmy nasze namioty tak, żeby się o siebie opierały. Johnny zmusił nas jeszcze do nałamania gałęzi z rosnących w pobliżu jodeł i sosen. Rozłożyliśmy je bezpośrednio na ziemi, żeby uzyskać dodatkową warstwę izolacji. Nie było tego w regulaminie, ale i tak to zrobiliśmy, a kiedy już się ściemniło, powiedzieliśmy innym, żeby postąpili podobnie, i większość nas posłuchała.

Kiedy zrobiło się naprawdę ciemno, kiedy noc, śnieg i wiatr zawarły triumwirat, żeby kompletnie ukryć nasze wysiłki, odkręciliśmy manierki, dobrze się nałoiiliśmy i zasnęliśmy. W nocy usłyszałem Holdoffera. Albo stał tuż obok, albo z wiatrem, bo jego głos rozlegał się niepokojąco blisko. Prawie mogłem go dotknąć. Johnny i Tony też to słyszeli, bo żaden z nas nie był tak głupi, żeby uchlać się na sztywno w tak niedogodnych warunkach. Spożyliśmy dokładnie tyle bourbona, ile potrzeba, żeby podtrzymać płomyk. Resztę paliwa zaoszczędziliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co przyniesie kolejny dzień.

W każdym razie słyszałem Holdoffera, jak rugał należącego do zawodowców sierżanta Deya, który protestował swoim charakterystycznym, piskliwym, hermafrodytycznym głosem. To było coś więcej niż protest. On błagał.

- Nie rób tego. Słuchaj, jest mi potrzebna. Mam kiepskie krążenie. Proszę posłuchać, sierżancie... Luther...

Luther jednak tego nie kupował. Niezbyt długo trwało, zanim zrozumiałem, o co chodzi. Przed rozpoczęciem marszu Deyo najwyraźniej na-

pełnił swoją manierkę alkoholem jak my. Jego błąd polegał na tym, że wypił za dużo i jak należy odlał się we własnym namiocie, śpiewał i śmiał się, i zwrócił na siebie uwagę. Holdoffer, zaalarmowany, zjawił się i przywłaszczył sobie manierkę Deya.

- Skąd to przekonanie, że masz przywileje, jakich nie mają inni, ty stary pedale?

- Luther, proszę....

- I nie nazywaj mnie, kurwa, Luther. Masz mi mówić sierzancie, kapujesz?

- Luther, sierzancie... ja też jestem sierżantem. O Jezu. Jestem w wojsku od dwudziestu lat. Mógłbym być twoim ojcem.

- Nie jesteś niczym ojcem, ty pijany mięśniaku, ty pedalski gównozjadzie. Nie myśl, że nie wiem, że ty i ta ciota Kuyper obciągacie sobie fiuty i pieprzycie w dupę.

- Sierzancie, proszę! Niech mi pan jej nie zabiera! Przysięgam, może i trochę za dużo wypilem, ale...

- Wracaj do swojej pierdolonej nory, Deyo! Rusz się! Do dziury! Włóż, taki synu! Weź ze sobą Kuypera, ale nie pozwól, żebym cię złapał, ty, ty...

Więcej nie słyszeliśmy. Holdoffer, doprowadzony do szału i prawdopodobnie z pianą na gębie, zaczął ze stanowczym tupotem łązić po terenie, tam i z powrotem, i między rzędami namiotów. Słyszeliśmy chrzęst jego butów i ton głosu. Zmienił się w urzędnika skarbowki, szukającego bimbru na wzgórzach Tennessee, na wyrywki sięgał do niczego się nie spodziewających namiotów z pałatek, niuchał oddechy, wyciągał każdą manierkę, która miała choć cień zapachu alkoholu i cały czas wrzeszczał, przekrzykując wiatr:

- Wy takie syny! Wy pierdolone fiutki! Każdemu z wódą nogi z dupy powyrywam! Jak coś macie, to się tego pozbadźcie! Wyrzućcie! Nie dajcie mi się złapać albo każdemu wepchnę nos w jego własny tyłek!

Tony, Johnny i ja wiedzieliśmy, że to nas szuka. Co prawda był głupi, ale wiedział, że jeżeli część oddziału miała alkohol, to Munez, Wesso i Webber na pewno go mieli. Wszystkie swoje siły poświęcił misji znaleźć-i-zniszczyć. Tym, co ocaliło nas przed odkryciem, był nasz namiot, który w przeciwieństwie do innych nie wystawał stożkowato ze śniegu, dość płaski, żeby po godzinie czy dwóch śnieżycy wyglądał jak niegroźna zaspą. Holdoffer nas nie znalazł i kiedy zaczęliśmy sobie uświadamiać, że nie znajdzie, od nowa chichotaliśmy i wznosiliśmy toasty za nas i za wszystkich wrogów Stanów Zjednoczonych Ameryki, od złego króla Jerzego po Mao Ze-donga, wszystkich uznając za sprzymierzeńców.

Rano sierżant Walker J. Deyo był martwy, zmarł w nocy. Śnieg przestał padać. Wychodziło słońce, blada brzoskwiowa smuga. A wiatr ucichł, przemknąwszy nad śniegiem niby upiorne widmo. Nigdzie na ziemi nie mogło być tak nieruchomo jak tam. Żołnierze stali dookoła, opierając się o drzewa albo zabijając ręce i przytupując dla rozgrzewki, ich oddechy unosiły się jak dym z tipi. A sierżant Deyo leżał na kocu na plecach, z piwnym mięśniem sterczącym o stopę wyżej niż nos.

Nie wiem, kto zaczął, być może Johnny, ale w krótkim czasie wszyscy, poborowi, gwardziści, zawodowcy i rezerwiści, powoli uderzali widelcami w menażki. Jak więźniowie walący metalowymi kubkami w żelazne kraty, które ich zatrzymują rytmicznie wyrażaliśmy swój protest. Nic głośniego, nic wściekłego — stałe, powolne uderzenia podobne do indiańskich tam- tamów, co trzy sekundy, tak grobowe, że przejmowały znacznie mocniejszym dreszczem niż arktyczne powietrze, jakim traktowało nas Massachusetts.

Holdoffer nie zdradzał ani śladu skruchy, kiedy objaśniał sytuację porucznikowi Rankinowi.

- Stary pedał miał wódę. Był pijany. Skopał z siebie koc i zmarł. Znakomita, kurwa, nauczka dla pozostałych, proszę pana.

Rankina nie obchodziło dawanie nauczek. Obchodziła go własna dupa. Głuchy łoskot, który wszczęliśmy, wyjaśnił mu, że potępiamy tę sytuację i nie ma mowy, żebyśmy lekką ręką pozwolili duchowi sierżanta Deya rozplynać się w świetle poranka. Spojrzał nam w twarze i odwrócił wzrok, całkowicie opanowany i kompletnie wstrząśnięty. To on był oficerem dowodzącym. Jako taki odpowiadałby nawet wtedy, gdyby zdołał

zrzucić odpowiedzialność na Holdoffera. To wciąż miała być jego dupa. Ponownie spojrział na nas, a przynajmniej próbował, znów wyczuwając nasze milczące potępienie, znów niezdolny stawić nam czoła dłużej niż przez mgnienie oka.

Tony, Johnny i ja nawet nie drgnęliśmy. Staliśmy nad Deyem, patrząc w dół, na jego cielsko. Nie można powiedzieć, że był idealnym żołnierzem. Jak wielu zawodowców wybrał armię, żeby nie stawiać czoła życiu w cywilu. Teraz nie żył. A tym, co go od nas dzieliło, była manierka z wodą, której mu odmówiono.

Holdoffer stał za nami.

- Okej, trojaczki, skoro już się napatrzyliście na sztywniaka, to złóżcie jego namiot i zbierzcie do kupy sprzęt, bo wygląda na to, że sam tego nie da rady zrobić. - Roześmiał się, jego cuchnący oddech zdawał się ogarniać nas wszystkich.

Tony odwrócił się w jego stronę, mówiąc przez zaciśnięte zęby:

- Ty żalosne gównu.
- Uważaj, co mówisz, Wesso - stwierdził Holdoffer, nieświadomie cofając się o krok.
- Czemu nie mogłeś mu pozwolić, żeby zatrzymał tę cholerną wodę?
- Nie należą ci się żadne pierdolone wyjaśnienia, Polaczku. To było niezgodne z regulaminem. Prawdę mówiąc, chciałbym zobaczyć twoją manierkę.
- Jest przy pasie. Weź ją sobie. - Tony przyjął zdecydowaną postawę i był gotów zabić Holdoffera, gdyby facet choć kiwnął palcem, żeby zabrać mu manierkę.

Holdoffer przez chwilę rozważał wyzwanie, a potem się uśmiechnął.

- Pozwolę ci zadać pierwszy cios, Polaczku. Wiesz, jaka jest kara za uderzenie podoficera?

- W tym wypadku medal za odwagę.
- Więc zrób to, Polaczku. - Holdoffer wysunął podbródek w stronę Tony'ego. Cel doprawdy kuszący. - No dalej, Polaczku. Uderz pierdolonego sierżanta. - Mówił dość głośno, żeby zwrócić uwagę wszystkich. Chciał świadków i ich miał. - No dalej, ty polska szmato, daj buziaczka.

Johnny i ja ruszyliśmy jednocześnie, prawie jak jeden człowiek, obaj wiedzieliśmy, że Tony miał już zamiar skorzystać z uprzejmej propozycji Holdoffera. Chwyciłem za jedno ramię, Johnny za drugie i razem odcią-

gnęliśmy Tony'ego, ale przypominało to wieszanie się na oszalałym byku, i przydałoby się pięciu dodatkowych ludzi i trochę liny.

Holdoffer zaśmiał się.

- Tak jest, pierdolce! Wycofać się! Wycofać się, wy polskie wypierdki!

Tony prawie wyrwał się z naszego uścisku i dwóch dodatkowych ludzi musiało podskoczyć, żeby pomóc nam go powstrzymać. Wrzeszczał na Holdoffera, z żyłami tak wyraźnie pulsującymi na głowie, że wyglądały na gotowe do wybuchu.

- Zabiję cię, Holdoffer! Ty nazisto! Zabiję cię! Zaczekaj tylko! Wiesz, że to zrobię!

- Ta, ta, ta - Holdoffer śmiał się, odchodząc, nie chciał jednak spuścić Tony'ego z oka. - Zaczekam. Kiedy tylko będziesz gotowy. - A potem skierował swoją wynikającą z zakłopotania wściekłość na innych, krzyżąc, odpychając ich i uderzając powietrze, gdy rozstępowali się na boki, żeby go przepuścić.

Tony uspokoił się w naszych objęciach, czuliśmy, że opuszczają go siły.

- Już w porządku. Nic mi nie jest.

- Na pewno? - zapytałem.

- Taa. Już w porządku. Dzięki.

Puściliśmy go i odszedł. Nic mu nie było. Ponownie spojrzeliśmy na Deya. Prawie człowieka nie znaleźliśmy, tak naprawdę nigdy z nim nie rozmawialiśmy. Ale to był pierwszy martwy człowiek, którego i Johnny, i ja widzieliśmy w życiu. Wiedziałem, że zapamiętam tę nalaną twarz z czerwonym nosem do końca życia.

- Co z nim robimy?

- Nic - powiedział Johnny. - Zostaje tu.

Wszyscy zmierzaliśmy z powrotem do jednostki, kiedy pojawił się ambulans, który wyjechał nam na spotkanie. Przeszliśmy zaledwie cztery mile, ale najwyraźniej ktoś miał dość rozumu w głowie, żeby zdać sobie sprawę, że 42. grupa z dowództwa kompanii była gdzieś tam na dworze przy zabójczej pogodzie i bez kontaktu radiowego. Podpisał się pod tym pułkownik Cranston, ale później słyszeliśmy, że pomysł podsunął Cranstonowi jakiś kapitan z 317. Batalionu Artylerii Polowej.

Porucznika Rankina przeniesiono prawie natychmiast po powrocie do jednostki. To też nie był pomysł Cranstona. Wyszedł od inspektora generalnego obozu, który, gdy dowiedział się o wypadku, dopilnował, żeby Rankin znalazł się w najbliższym pociągu na zachód, w ramach uzupełnień dołączony do dywizji piechoty jako oficer. Plotka głosiła, że został zabity po dwóch tygodniach od przybycia do Korei. Ale to była jedynie plotka.

Napisałem do Dona o śmierci Deya - tylko skrótową notkę bez wszystkich tych przerażających szczegółów. Jakoś pomagała mi świadomość, że Don wiedział.

Czterech ludzi miało poważne odmrożenia. Jeden z nich, kapral Lightman (gwardia), stracił pod nożem chirurga ucho. Sierżant Deyo został pochowany w jednostce, z pełnymi honorami. Wszyscy wzięliśmy udział w wystawnej ceremonii i mieliśmy wrażenie, że chowają MacArthura. Został pośmiertnie odznaczony Purpurowym Sercem. Ładnie się komponowało z jego purpurowym fiutem, purpurowym nosem i purpurowymi ustami. Chłopak Deya, sierżant Kuyper, nie płakał. Tylko salutował jak żołnierz-zabawka.

Holdoffer wciąż tryumfował jak zły duch w drugim akcie moralitetu. Tony uspokoił się, ale zapytany wciąż cicho potwierdzał, że zabije Holdoffera; po prostu szukał sposobu, żeby to zrobić, nie obciążając samego siebie. W mojej głowie nie powstała najlżejsza wątpliwość, że Tony Wesso pewnego dnia to zrobi.

Johnny Munez prezentował stoicki spokój, w nic się nie włączając, pozwalając po prostu, żeby dni nadchodziły i mijały, niemal się nimi rozkoszując, ponieważ jego życie w cywilu było takie przewidywalne i pozabawione znaczących wydarzeń, że wszystko wydawało się od tego lepsze.

Co do mnie, byłem tylko spięty. Sfrustrowany. Odczuwałem stratę czasu i energii. Zacząłem wyławiać podteksty we wszystkim, co mówiłem. Moim hasłem stały się cynizm i sarkazm, przyprawiałem nimi wypowiedzi, przesadnie obciążałem nimi swoje zachowanie. Jeśli Stany wygrywały jakieś wojny, to mogło znaczyć tylko tyle, że mamy głupowatych wrogów. I jeśli zostałem zabity, mój duch odszukałby ducha George'a Washingtona i wykopał jego dupę z powrotem do Valley Forge.

Chciałem być W. Charlesem Gruberem z limuzyną i dziewczyną, którą mógłbym posłać przyjaciołom. Chciałem być Zanuckiem i Skourasem, królami wszelkiego stworzenia. Chciałem być Stirlingiem Silliphantem i Joshem Meyerbergiem, i Tyronem Powerem, i Victorem Mature'em⁵⁰. Chciałem się wydostać z pierdolonej armii i wrócić do 20th Century Fox bronić swojej posady przed tym nowym. Tęskniłem za Alice, Susan, Jessicą i Patricią Jarvas oraz wszystkimi bezimiennymi dziewczynami z Muzeum Sztuki Współczesnej. Chciałem do domu. Do Nowego Jorku i Dona Cooka. Do Pittsburgha i Elizabeth Satterly w jej żółtej sukience. Do złomowiska Carmody'ego i sklepu tytoniowego Pattersona. Do mojej matki i ojca, na których absolutnie nie zasługiwałem.

W tym czasie piłem wieczorami masę piwa i toczyłem się pijany, podczas gdy Johnny i Tony, obaj ulepieni z lepszej niż ja gliny, uspokajali mnie, kładli spać, stawiali na nogi następnego ranka i kierowali z powrotem do przydzielonej mi do pełnienia warty, do salutowania, czytania instrukcji, odbierania telefonu, duszenia w sobie krzyku. List od Dona Cooka:

Mój drogi

Złe wieści. Potworne wieści. Bob Steinman. Był z dziewczyną w swoim mieszkaniu, pewnie ją pieprzył - przynajmniej tyle policja wywnioskowała z historii, której ona nie opowiedziała w całości. Na ulicy był wielki pożar i naraz zjawily się wszystkie wozy strażackie i radiowozy - wszędzie wyły syreny. Bob musiał pomyśleć, że znalazł się pod ostrzałem czy coś takiego, bo, jak powiedziała dziewczyna, krzyknął „kryj się!” i wyskoczył przez okno. Sześć pięter. Zmarł w chwili upadku. Szalona historia, dziwny facet. Ale wszyscy go lubiliśmy. Pogrzeb był wczoraj, wielka wojskowa pompa w tej świątyni na West Side. Masa instrumentów dętych, bardzo poruszające.

Dali jego matce flagę. W każdym razie pomyślałem, że powinienś wiedzieć. Niedługo znowu napiszę list, mam nadzieję, że z lepszymi nowinami.

Najlepszego

⁵⁰ V. Mature, T. Power - aktorzy.

Don

Przeczytałem list trzy razy, a potem zacząłem wrzeszczeć. Gdyby Tony nie był w stanie mnie ujarzmić, dalej bym uciekał z jednostki, z wojska, z powrotem tam, gdzie istniała szansa na resztkę jakiejś normalności. Tony mnie zatrzymał, zatargał z powrotem do baraków i nie kontaktowałem, jak mi powiedziano, przez prawie godzinę. Lepszym określeniem byłoby „zaskoczyłem”, bo właśnie wtedy zacząłem się bać, że śmierć Deya była wstępem do śmierci Boba, a śmierć Boba tylko prologiem dla mojej.

TLR

Rozdział 10

Ginnie

1950

Stojąc tam, na MacDougal Street, boso i w środku cholernej nocy, ścisnąc portret Maggie i patrząc, jak moje wymuskane, wspaniałe mieszkanie w suterenie zmienia się w rozżarzoną kupkę popiołu, naprawdę nie miałam w głowie ani jednej sensownej myśli, co zrobić, dokąd iść, jak nie zmarznąć na kość w swojej głupiej, krótkiej nocnej koszulce.

Policjant odciągnął mnie na bok, trochę zbyt szorstko, jak uznałam, i zapytał, czy mieszkałam w tym budynku.

- Nie - odpowiedziałam. - Zawsze chodzę po okolicy na wpół goła, sprzedając obrazy.

Wtedy odwrócił się do kolegi oficera i stwierdził:

- Jest w szoku. Zajmijcie się nią. - Ja jednak zniknęłam, zanim przedstawiciel prawa zdążył zrobić ruch w moją stronę.

Oczywiście postąpiłam absurdalnie. Na ulicach było zimno i skaleczyłam się jakieś dziewięć milionów razy, ale po prostu szłam dalej. Dokąd, nie miałam pojęcia. Wiedziałam tylko jedno: na MacDougal Street wszystko się skończyło i nie ma sensu się tam kręcić i pozwolić, żeby moje nazwisko czy zdjęcie dostało się do prasy, ponieważ byłam nieletnia i nie chciałam narażać swojej przykrywki.

Właściwie to nie zawarłam w Village żadnych przyjaźni oprócz Sy i Iriego, a obaj mieszkali gdzieś na północy miasta. No więc nie miałam do kogo pójść, wpaść czy choćby zadzwonić.

I wtedy przypomniałam sobie, że Roland Jessup mieszkał tylko kawałek ode mnie, za rogiem, na Sullivan Street, i tam poszłam. Z powodu chaotycznej marszruty, którą wybrałam, zajęło mi to prawie godzinę. Po godzinnym spacerze boso po ulicach Nowego Jorku miałam szczęście, że dotarłam na miejsce z kompletem palców i kostek.

Żadnego dzwonka, więc zastukałam mosiężną kołatką (lwim językiem) i Roland pojawił się jak wywołany dzin. Miał na sobie fioletowy welurowy szlafrok z karmazynowym szalowym kołnierzem i złote kapcie

z tureckimi zawiniętymi czubami. Spojrzałam na niego przez łyzy, które wypełniały moje oczy pięciolatki.

- Stopy mam całe pocięte i okropnie się czuję.

- Zachwycający strój - powiedział, starając się złagodzić moje zmieszanie. Kiedy zamknął drzwi, odkryłam, że trafiłam do Szeherezady. Falujące zasłony i draperie jak żagle zaczarowanych kliprów, spływające paciorki, puchate poduszki i różne kolory wspinające się na różne ściany pod różnymi kątami, i portret powalającej czarnej kobiety w srebrnych cekinach i lśniących piórach na całą ścianę... Roland zauważył moje osłupienie. - To tylko drobiazgi, które przywiozłem z podróży z Sindbadem.

- A kim jest ta czekoladka?

- Josephine Baker. A twoja różowa dama?

Oczywiście zrobił aluzję do portretu Maggie, który wciąż kurczowo ściszałam.

- To moja matka.

- Nie mogłaś wziąć czegoś w rozmiarze kieszonkowym?

- To jest rozmiar kieszonkowy.

Roześmiał się i ustawił obraz twarzą do ściany, jakby nie chciał pozwolić, żeby moja matka widziała, gdzie jej córka włóczy się o trzeciej trzydzieści w nocy. Wskazał, żebym klapnęła na którąś z jego poduszek.

- Zdaje mi się, że fiołkowy róż będzie pasował do twojego chitonu.

Usiadłam i zapadłam się w to gąbczaste coś. Kiedy wygrzebałam się, żeby zaczerpnąć powietrza, coś łaskotało mnie w stopy. Roland badał ich podeszwy.

- Jest źle? - zapytałam.

- Tak. Paskudnie. Stopy masz czarniejsze niż ja.

Pośmialiśmy się i pogadaliśmy, przedstawiłam mu wydarzenia mojego poranka na Manhattanie. Posmarował mi stopy mercurochromem i poprosił, żebym chodziła tylko po czerwonych kwadratach na jego czerwono-fioletowym dywanie.

Roland zrobił herbatę i gadaliśmy, dopóki w oknie nie pojawiło się słońce. Miał pewien pomysł, gdzie mogłabym znaleźć miejsce do zamieszkania, i sprawił, że poczułam się bardzo bezpiecznie, z tego, co pamiętałam, bezpieczniej niż kiedykolwiek czułam się z którymkolwiek z moich rodziców. Zasnęliśmy wśród tych wszystkich poduszek. Ja tuliłam

go, jakby był Kubusiem Puchatkiem, on tulił mnie, jakbym była murzyńskim brzemieniem. Pierwszy i ostatni raz obejmowałam mężczyznę, nie czując się ani zagrożona, ani nagabywana.

Kilka godzin później, ze słońcem, które naprawdę wzięło się już do roboty, pozwolił mi włożyć swoją kamizelę i parę za dużych sandałów. W tym wytwornym stroju poszłam do banku, zdołałam potwierdzić swoją tożsamość i wybrać dość forsy, żeby starczyło na džinsy, tenisówki i zakiet bez wyrazu i zostało trochę na drobne wydatki. Zgodnie z instrukcją czekałam na telefon w mieszkaniu Rolanda. Zadzwoił o wpół do dwunastej.

O wpół do siódmej tego samego wieczoru byłam w przepastnym mieszkaniu Dona Cooka. Roland znalazł miejsce, gdzie mogłam się zatrzymać.

Polubiłam Dona Cooka. Taki był światowy i dobrze ubrany, i mówił, jakby starał się o rolę Dona Cooka. Wyraził nieznaczne zaskoczenie, kiedy zjawiłam się jedynie w tym, co miałam na sobie, i z portretem Maggie. Ale kiedy wyjaśniłam mu kwestię pożaru, zażartował:

- Proszę tylko, żeby twoja krowa nie kopała mojej trójkloszowej lampy z General Electrics*⁵¹.

Mieszkanie było zwariowane, w stylu wagonu kolejowego z oddzielnymi pokojami jak w hotelu. Sypialnie miało trzy. Jedna jego. Jedna moja. I jedna Bena.

- Kim jest Ben?

- Mój współlokator. Jest w wojsku.

-A.

-Nie pokazał się od dnia wyjazdu. Roland mówi, że jesteś tancerką.

- Tak.

- Ładne nogi.

- Tak, Roland rzeczywiście ma ładne nogi.

- Jadłaś kolację?

- Nie.

- Podzielię się z tobą tuńczykiem i smażonym serem. Chyba już gotowy.

⁵¹ Wg legendy wielki pożar Chicago (9.10.1871) zaczął się od kopnięcia lampy naftowej przez krowę pani O'Leary.

- Nie, dzięki. Muszę załatwić jakieś ciuchy i iść do pracy, więc nie mam czasu na kontynentalną kuchnię...
- Jesteś w rewii.
- Tak. Tancerze Annice Chatterton.
- Są czarni.
- Tak.
- A ty kim jesteś? Albinoską?
- Jestem czarna. Nie daj się nabrać na blond włosy.
- I niebieskie oczy?
- Skaza w pochodzeniu.
- Ile masz lat?
- Jedenaście.
- Chcesz powiedzieć, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka?
- Cóż, Roland twierdził, że nie będzie z tym problemów.
- Bez obaw, Neli*⁵². Skoro masz jedenaście lat, nie będzie problemu.

Wybuchnęliśmy śmiechem i podzieliliśmy się colą bez gazu, nasze terytoria zostały oznakowane, utwierdziliśmy się też zdecydowanie we wzajemnym szacunku. On nie miał zgłaszać wobec mnie żadnych roszczeń poza udziałem w czynszu i wydatkach. Stwierdziłam, że pewnie wszystkie zakupy spadną na niego, bo będę pracować nocami i sypiać w dzień. Nie widział problemu.

Powiesiłam portret Maggie w swoim nowym pokoju i pognałam do Capezio, gdzie wciąż mieli otwarte, wybrałam jakieś dodatkowe ciuchy do ćwiczeń i wróciłam do miasta, do Błękitnego Anioła, w samą porę na wieczorną próbę o wpół do dziewiątej. Roland był na miejscu i podziękowałam mu, że spiknął mnie z Donem. Zakłopotany podziękowaniami, zdołał tylko wzruszyć ramionami.

Annice wycisnęła z nas siódme poty. Na małej scenie nie za bardzo mieliśmy miejsce, żeby się rozwinąć. Chcąc się dopasować, musieliśmy skrócić krok. Jak to ujęła Annice, nie mieliśmy całych Karaibów, żeby się rozbijać, więc lepiej, żebyśmy do tego przywykli. Poza tym była nas dwunastka - osiem dziewcząt i czterech facetów. Ale najgorsze okazało się oświadczenie Annice, że będziemy musieli zmniejszyć grupę, żeby

⁵² Neli Gwyn - aktorka i kochanka Karola II z dynastii Stuartów.

zmieścić się na scenie. Bardzo jej przykro, lecz to jedyne wyjście. Miała nadzieję, że kiedy rewia ruszy w trasę, wrócimy do pierwotnej dwunastki, więc po próbie następnego dnia ogłosi, kogo obcina. I to na tyle, poza tym że musimy wrócić na miejsce przed pierwszą.

Roland kupił mi lody z wodą sodową i przedyskutowaliśmy problem. Ja po prostu nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Annice mogłaby zrezygnować z czarnej dziewczyny i zatrzymać mnie. Roland nie był pewien, mimo że uważał Annice za absolutnie zdolną do podjęcia bezstronnej decyzji. Jeżeli byłam dobrą tancerką, nie miałam się czym martwić.

Przeszłam piechotą dwadzieścia osiem przecznic do mojego nowego domu, próbując wymyślić, co takiego powinnam zrobić ze swoim życiem poza łażeniem po mieście, tańcem i wypróbowywaniem nowych miejsc do spania. Dowlokłam się do domu gdzieś około wpół do dwunastej, bliśka śmierci z wyczerpania. Pięć pięter nie polepszyło sytuacji. Don jeszcze był na nogach, przeglądał jakieś papiery i rzeczy. I, dureń jeden, siedział w szlafroku. O-o, pomyślałam, zaczyna się.

Uśmiechnął się do mnie po mężowsku.

- Cześć.
- Nie dziś, kochanie. Głowa mnie boli.

Roześmiał się, wstał i poszedł do kuchni, po czym wrócił ze szklanką zimnego czegoś.

- Mrożona herbata. Pomyślałem, że kawa nie da ci zasnąć.
- Oj, to mi się przyda. Dzięki. - Wzięłam herbatę i padłam na krzesło.
- Chyba muszę wziąć prysznic.
- Nie przejmuj się... Ja wchodzę pod prysznic nie wcześniej niż po otrzymaniu czternastu anonimowych listów od ludzi z sąsiedztwa.
- Nad czym pracujesz o takiej porze?
- Tylko przeglądam korespondencję. Ben odpisuje *mi* na każdy list i z jednym zalegam. Mam tu zdjęcie, które przysłał. On jest...
- Nie. Nie mów. Daj mi zgadnąć.
- Dobra.

Przestudiowałam zdjęcie. Było bardzo małe. Kilkunastu żołnierzy, stali w grupie i wykrzywiali się do obiektywu. Nie wszyscy z nich robili miny. Niektórzy wydawali się poważni. Ale Ben był tam tylko jeden. Nie pytajcie, skąd wiedziałam - ale wiedziałam. Dokładnie wiedziałam, który to Ben; ten w ostatnim rzędzie, najbardziej na prawo, w grupie, lecz nie

do końca, starał się wyglądać jak jeden z chłopaków, ja jednak nie dałam się nabrać ani przez chwilę. O, ten smutek jego regularnych rysów. O, ten gniew wyzierający z oczu, ściągnięcie ust, które mówiło: „Zdjęcie możecie zrobić, nie radzę jednak ze mną zadzierać”.

- Ten - stwierdziłam. Przykryłam palcem jego twarz i odwróciłam zdjęcie w stronę Dona.

- O psiakrew. Jak to zrobiłaś?

- Nie wiem.

- Taa, to Ben. Jest zły, nawet kiedy jest szczęśliwy. Za cholerę nie mam pojęcia, co on robi w wojsku. Zaczyna być spięty, gdy w pokoju są więcej niż trzy osoby. I proszę, jest ze stoma tysiącami idiotów w zielonych ciuchach, wszyscy krótko ostrzyżeni, wszyscy ze zniszczoną osobowością.

- Jego nie zniszczyli.

Don ponownie przyjrzał się zdjęciu.

- Chyba nie.

- Jak się poznaliście?

- Na ulicy. Był ubrany w jakieś łachy, ale palił cygaro za sześćdziesiąt centów, jak monarcha na wygnaniu. Dumny... kurewsko dumny. Z pozoru nic go nie rusza, ale, Jezu, co ukrywał w środku.

- Więc zostaliście współlokatorami.

- Tak. Ponieważ, jak podejrzewałem, król w łachmanach miał kilka drachm i, myśląc o zbliżającym się momencie zapłaty czynszu, zasugerowałem połączenie naszych dwóch narodów. Wnosząc udział do mojego opustoszałego skarbcza, miał w zamian otrzymać bazę morską w łazience, sypialnię dla podbudowania nadwątlonych sił i prawo lądowania w innych sypialniach.

- Prawo lądowania?

- Tak. - Nie bardzo spieszył się z odpowiedzią. - Byli też inni współlokatorzy, przelotni. Ale za długo by opowiadać. Poza tym - wstał i ziewnął - mam dosyć i idę spać. Czy chcesz spać ze mną, Ginnie?

- Dziękuję, ale nie.

- Doskonale. Wiesz, że zapytam cię o to ponownie. Kwestia gościnności. Nigdy jednak nie będę się narzucał, bo, sądząc po nogach, mógłbym doznać obrażeń. Dobrej nocy, Ginnie. Jutro zajmę się zaopatrzeniem kuchni.

- Potrzebujesz pieniędzy? Trochę mam.
- Nie. Jutro mam wypłatę. Potem się rozliczymy.
- Okej. Dobranoc.
- Dobranoc.

Don poszedł do swojego pokoju, a ja siedziałam tam sama, tylko ja i mrożona herbata, którą odstawiłam, i zdjęcie Bena, które trzymałam w ręce. Byłam taka zmęczona, taka bardzo, bardzo zmęczona. Naprawdę chciałam wstać i wziąć ten prysznic, ale wiedziałam, że w życiu nie dam rady. Doszłam do wniosku, że stać mnie najwyżej na to, żeby zebrać dość siły na sięgnięcie do wyłącznika lampy. Spróbowałam, lecz ręka okazała się za krótka i wylądowała na kupce listów, które Don zostawił na stole. Stole Bena. Byłam w pokoju Bena. Pomyliłam drogę i byłam w pokoju Bena. Wariactwo.

Niepoprawna podsłuchiwiaczka, niepoprawna czytelniczka cudzych pamiętników, paskudna Ginnie Maitland przysunęła sobie listy do miejsca, w którym leżała, nagle ożywiona ciekawością. Nigdy wcześniej nie czytałam męskiego listu. Wolałabym, żeby chodziło o listy miłosne do jakiejś bezimiennej kobiety, z przysięgami o wiecznym oddaniu i wypełnione wymownymi szczegółami seksualnymi prosto z *Kamasutry*, *Fanny Hill* i de Sade'a. Ale w tych okolicznościach mogłam zadowolić się listami Bena do Dona, zwłaszcza że Ben mógł zdawać relację z cudownie świńskich rzeczy, które robił w czasie wolnym od armii. Usiadłam i przeczytałam je kolejno, po jednym.

Cześć Don

Jestem w wojsku. W związku z czym ze wszystkich stron otacza mnie rozdzierający brak inteligencji. Jestem wyspą na morzu ignorancji i fale biją o mój brzeg. Modłę się, żeby jedyną tego przyczyną okazał się fakt, że przybyłem tu w czasie przyływu i że wody w końcu opadną, pozostawiając moje zmysły nienaruszone.

Dwóch facetów rzygało w autobusie bez okien i z zepsutą klimatyzacją. W Springfield trzech innych wybrało wolność, ale zostali schwytani, wybatożeni i pociągnięci za kilem (przez autobus?). W obozie padał śnieg i był mróz. (Zupełnie nie przypomina to obozów letnich. Nie lubię opiekunów, a chłopak z łóżka po prawej całą noc walił konia i płakał, że tęskni do swojej mamy. Jakiejś mamy. Na

szczęście spuszczał się bardziej na prawo, więc udało mi się uniknąć niepożądanego ciężaru). Cały dzisiejszy dzień trwało fasowanie ciuchów z rodzaju tych, które moja matka wyrzucała do śmieci. Jedzenie jest niejadalne, ale dają go mnóstwo, więc biorę wielkie porcje, których nie jem. W ciągu jednego dnia straciłem 45 funtów. (Czy jesteś pewien, że Mahatma Gandhi zaczynał w ten właśnie sposób?).

Nie mam przyjaciół ani nadziei na ucieczkę. Jeżeli prześlę Ci czarodziejski pierścień, proszę, skorzystaj z niego, żeby uzyskać dostęp do tego pierdolonego miejsca i wyratować stąd moją dupę. Kocham mój kraj, ale najwyraźniej kocham go za słabo.

Szczerze oddany

szeregowy zasraniec Webber (tak nazywa mnie sierżant)

PS - spal to albo zjedz. Albo i to, i to.

Cześć Don

Dostałem Twój list i noszę go ze sobą na sercu, ponieważ to bardzo dla mnie ważne, że znam pogodę w Nowym Jorku, czystą, z temperaturą mniej więcej minus jeden i bez zapowiadane go śniegu. Jesteś najgorszym, kurwa, korespondentem od czasów hrabiego Monte Christo... i wzywam Was, panie, do wystąpienia z czymś bardziej twórczym lub do zaprzestania pisania w ogóle.

Tu nic nowego poza tym, że wojsko z całym szacunkiem odpuściło sobie Jackiego Koniowala z powodu jego spustów. Kiedy rozniosła się wieść, że Jackie wychodzi, wszyscy zaczęli bezustannie męczyć własne konie. Nikt nie śpi, hałas panuje nieznośny, a ściany baraku zostały zaizolowane taką warstwą schnącej spermy, że sierżant przykręcił termostat o pięć stopni.

W Fort Devens w Massachusetts jest minus piętnaście. Niebo czyste i od Alabamy zbliża się ciepły front. A jak niedługo nie napiszesz do mnie porządnego listu, dołączę do koniochlastów i skończę jak inwalida z ramieniem jak u Popeye'a.

Szczerze oddany

zapracowany wujek Pogodynek

PS - W prognozie pogody na środę i czwartek nie zapowiadają deszczu, a gwiazdy nocą są wielkie i jasne, głęboko w samym sercu Teksasu, ty fiucie.

Cześć Don

Przykro mi słyszeć, że nie bardzo jesteś zadowolony z tego, jak ci się układa w 20th. Zgadzam się, że powinieneś już mieć dział gońców za sobą i zajmować się czymś ważniejszym, ale zdaje mi się, że jeszcze nie czas na panikę. Stanowczo jestem też zdania, że pójdziem do Grubera i zasugerowaniem mu, żeby wsadził sobie to wszystko w dupę, niczego nie da się osiągnąć. Po pierwsze, to nie po dżentelmeńsku. A po drugie, gdyby Gruber naprawdę wsadzał sobie w dupę to wszystko, co ludzie sugerują, że powinien sobie wsadzić - cóż - gdzie miałby zmieścić Twoje sugestie? Wytrzymaj. Daj sobie trochę czasu. Może coś drgnie w radiowo-telewizyjnej świadomości, teraz, gdy zarząd zaczyna dostrzegać fakt, że telewizję można wykorzystać do sprzedaży filmów, a nie do walki z nimi.

Ci z Gwardii Narodowej to idioci. Graliśmy z nimi w futbol i wygraliśmy 42-6. Pozwoliliśmy im na te sześć punktów, bo zagrozili, że dosrajanam po meczu. Jeżeli jeszcze kiedyś z nimi zagramy, będziemy bardzo się starać przegrać, ale nie oczekuj cudów.

W dodatku jest tu sierżant w typie Frankensteina, nazwiskiem Luther Holdoffer, nie do opisania wręcz debilny i okrutny, ale dzięki temu życie nabiera sensu, bo to na nim się wyładowujemy. Po prostu modelowy parszywy sierżant. Wczoraj w nocy umieściliśmy w jego oficerkach małą niespodziankę i miałem wrażenie, że spełniły się moje marzenia.

Wprowadziliśmy program pod nazwą Poborowy Tygodnia. Zbyt skomplikowany, żeby wdawać się w szczegóły. Wystarczy stwierdzić, że jest bardzo niebezpieczny, cudowny, zabawny i niezbędny.

Napisz niedługo i nie rzucaj pracy.

Pozdrowienia dla każdego, kto mnie jeszcze pamięta.

Benedict Arnold*⁵³

Cześć Don

Dzięki za list. Żałuję, ale na odległość nie mogę Ci radzić. Jeżeli naprawdę nie zniesiesz tego dłużej, owszem, musisz się zwolnić. Wolałbym po prostu, żebyś miał na oku coś na zamianę. Nie wiem też, jak, do cholery, poradzisz sobie z czynszem. Gdybyśmy byli małżeństwem, mógłbym Ci przesyłać część żołdu, ale chodzenie z kimś na stałe dla armii się nie liczy, więc może lepiej odeślij mi pierścionek. Mam kilka dolców w banku, które przy najbliższej okazji wyślę Ci przekazem. Nie, to nie dobroczynność. To tylko na wypadek, gdyby mnie rozstrzelali za zabicie Holdoffera. Chciałbym, żebyś miał te pieniądze na wzniesienie mi pomnika za służbę dla kraju. A na razie szukaj współlokatora, kogoś, kto pomoże Ci zebrać pieniądze na czynsz. Wiem, że nikt nigdy nie zastąpi mnie w Twoim sercu... ale dolec do dolca wspomóżę golca.

Pisz, ty głupku.

Ben

Cześć Don

Dwie rzeczy, które moim zdaniem musisz teraz zrobić: 1) powiedzieć Gruberowi, żeby wsadził sobie to wszystko w dupę. 2) znaleźć współlokatora, zanim stracisz mieszkanie z powodu niepłacenia czynszu. Przede wszystkim nie strać mieszkania. Drugiego takiego nigdy nie znajdziemy. Popytaj o lokatora. Rozwieś w biurze plakaty. Ktoś musi kogoś znać.

Znów zostałem nagrodzony tytułem Poborowego Tygodnia i napełnia mnie to wielką dumą. Johnny, Tony i ja nieźle rozrabiamy; to nawet zabawne. Na razie żadnych urlopów, ale od czasu do czasu udaje się nam załatwić wolne niedziele i wtedy jeździmy autobusem do Bostonu, idziemy do klubu wojskowego i... zanudzamy się na śmierć.

⁵³ B. Arnold - generał z czasów rewolucji amerykańskiej, zdrajca, który za pieniądze chciał poddać West Point Brytyjczykom.

Chciałbym być zakochany. Gdzie ona jest? Potrzebuję jej. Kogoś, do kogo mógłbym pisać. Kogoś, czyje zdjęcie mógłbym nosić za wyściółką helmu jak w *Guadalcanal Diary*. W tej dziedzinie jestem w wielkiej potrzebie. Napisz do mnie list, jakbyś był dziewczyną. Po namyśle - daj sobie spokój. Przyślij mi tylko fotki 8x10 Debry Paget, Helen Westcott i Mitzi Gaynor*⁵⁴ ... i podpisz każdą innym charakterem pisma.

Zaginiony w akcji -

Ben

To był ostatni list i z jakiegoś powodu wzruszył mnie do łez. Ginnie „Fontanna” Maitland znów we łzach. Położyłam listy z powrotem na stole i zawlokłam swoje żalose szczątki do własnego pokoju. A może to był pokój Bena? Już nie wiedziałam, gdzie jestem, i maszerowałam pomiędzy pokojami, dopóki nie byłam pewna, że jestem we właściwym miejscu. Zwaliałam się na swoje łóżko jak kłoda. Tylko że to nie było moje łóżko, bo to nie był mój pokój. Do cholery, znowu pokój Bena, światło z korytarza padające pod innym kątem, oświetlające inny stół, inną komodę. I czułam się inaczej i zapach był inny. I inny czas, jakieś inne „tutaj”. Miłe miejsce, bezpieczne miejsce. Przytuliłam się do poduszki i zwinęłam w leżące koce - mysz szukająca na noc schronienia w norze. I wiedziałam, nawet kiedy pograżyłam się prosto w najgłębszym ze snów, że Annice mnie zatrzyma. Ben Webber miał przynieść mi szczęście.

Obudziłam się. Prawie południe. Cholera. Rok trwało, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie byłam, i kolejny, zanim doszłam do tego, kim byłam. Poszłam pod prysznic jak zombi, a wyszłam jak mumia. Spojrzałam na zegarek. Dwunasta czterdzieści. Próba była o pierwszej. Miałam dwadzieścia minut.

Nie do końca mi się udało, zjawiłam się o pierwszej dziesiąt, próba trwała w najlepsze. Nikt na mnie nie spojrzał ani nie wykonał ruchu, który mógłby potwierdzać, że w ogóle przyszłam. Żeby sprawdzić, czy jestem, czy mnie nie ma, zdołałam wcisnąć się na scenę między Weesę i Vanessę i wejść w trwający numer.

⁵⁴ D. Paget, H. Westcott, M. Gaynor - aktorki.

Pianino i bębny robiły swoje, naprawdę podkreślały - bum, bam, zoka-zoka-czang! Jak przy składaniu żywej ofiary. A cała nasza dwunastka, wszyscy tancerze, skakała i podrygiwała, jakby trwało przesłuchanie do ostatniego show wszech czasów Eda Sullivana. Dałam z siebie wszystko, tańcząc na palcach i potrząsając biodrami, wypychając miednicę w stronę, którą wskazałby tylko oszalały kompas, kręcąc tyłkiem na osi północ-południe, obracając cyckami i ramionami w kierunku wschód- -zachód, jednym kolaniem potrząsając w stronę Haiti, drugim wymachując ku Minneapolis.

- Ginnie, jeżeli już skończyłaś... - To była Jej Wysokość Annice.

- Cóż - wydyszałam, wciąż tańcząc, niezdolna się zatrzymać, kula armatnia lecąca z góry. - Spóźniłam się dziesięć minut, więc...

- Usiądź, proszę - powiedziała i uruchomiłam hamulce, żeby, mokra i zawstydzona, znaleźć krzesło i tam przeżyć gorycz upokorzenia.

Wszyscy inni już siedzieli, śmiali się albo usiłowali powstrzymać śmiech. Jak długo przyglądali się moim wygibasom połamanej lalki? No cóż, pomyślałam, przynajmniej moja karaibska karioka rozładowała napięcie; ktokolwiek by dostał kopa, przynajmniej wszyscy zdrowo się pośmialiśmy.

Annice była wspaniała, prawdziwa dama.

- Dobra, dzieciaki. Będzie tak. Nie mogę obciąć żadnego z chłopców, bo mam tylko czterech. Co do dziewczyn, osiem to po prostu za dużo. Muszę tę liczbę ograniczyć do maksymalnie sześciu. Już wczoraj wiedziałam, kogo obetnę, ale chciałam się upewnić. I nie ma to nic wspólnego z występem, bo wszystkie jesteście tak świetne, że nie da się wybrać... chyba że kierując się wzrostem. Rezygnuję z dwóch najniższych dziewczyn. Ściśnięte na scenie te najmniejsze wyglądają, jakby nie pasowały do grupy. Wyglądają, jakby kucaly, a ja muszę uzyskać efekt wydłużenia. Wiecie, o kim mówię... Diane i Betsy.

ALE chcę was obie jako rezerwowe, w razie gdyby coś poszło nie tak; gdyby ktoś miał wypadek albo zachorował. A TAKŻE obie dostaniecie pełną gażę, więc na co to narzekanie?

Rozległ się spontaniczny aplauz, a po nim nastąpiły uściski i płacze, wszyscy tacy mokrzy, że wyślizgiwaliśmy się ze swoich objęć jak piskorze. Jeszcze dwa dni prób przed premierą. Annice miała rację z tymi cięciami. Zyskując więcej miejsca, żeby się ruszać, wszyscy byliśmy dzie-

sięć razy lepsi. Tworzyliśmy naprawdę zgraną grupę. Czarni tancerze niezbyt często pracowali i wiedziałam, że dzieciaki potrzebują forsy. W każdym razie poszliśmy wszyscy przez miasto do Konfucjusza na popołudniowe chińskie bachanalia, wszyscy oprócz Annice, która zawsze trzymała dystans wobec reszty, no i musiała też ćwiczyć własne numery. Kiedy napchałam się toną moo goo guy kibee, dotoczyłam się do mieszkania, żeby przekazać Benowi dobre wieści. Przepraszam... Donowi.

Było z nim dwóch facetów, więc mi ich przedstawił. Duży Al Epstein, wielki jak góra z uśmiechem; Arnie Felsen, mały facecik, miał oczy wielkości reflektorów w rolls-roycie. Wszyscy pracowali w 20th, ale żaden z nich nie wydawał się tym specjalnie uszczęśliwiony.

W każdym razie, ponieważ rozmowa niezbyt mnie zainteresowała, przeprosiłam i klapnęłam do wanny z gorącą wodą, gdzie godzinę później chińskie żarcie podeszło mi tak wysoko do gardła, że pomyślałam o tonięciu w Jangcy. Ściany były tak cienkie, że nic nie mogłam poradzić i słyszałam, o czym mówią chłopcy. To oraz moje wrodzone i starannie pielęgnowane zdolności do podsłuchiwania sprawiły, że kąpiel okazała się nie tylko odprężająca, ale i pouczająca.

Don twierdził, że zmierzają donikąd i lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Poza tym nowy facet, Sam Gaynor, powszechnie nie lubiany, zagiął parol na posadę Bena. Nie licząc kogoś nazwiskiem Bob Steinman, w całym 20th (poza nimi trzema) nie było nikogo, komu warto by podać rękę.

Rozmowa trwała i trwała i następne, co usłyszałam, to pukanie do drzwi łazienki.

- Ginnie? Hej, nic ci nie jest?

Zasnęłam w wannie i Don się niepokoił.

- Co? O. Wszystko w porządku. Musiałam zasnąć.

- W wannie?

- Nie bądź głupi. Na kiblu.

Wytarłam się i wyszłam, oczywiście w szlafroku. Duży Al i Arnie już sobie poszli, zostawiając Dona w towarzystwie butelki szkockiej, z której robił dobry użytek. Był najwyraźniej nieszczęśliwy i uznałam, że opowiedzenie mu, jak świetnie ułożyły się moje sprawy, nie jest kwestią najwyższej wagi.

Gadaliśmy i gadaliśmy i szczegółowo opisał mi wszystkich w 20th oraz ich politykę. Miotał się, widziałam to wyraźnie. Lada chwila mógł

pęknać. Cała ta cudowna fasada, cała ta poza i pewność siebie odpadały płatami, w miarę upływu nocy, odłupywały się, łuszczyły i ciężko było mu trzymać się jednego tematu. W trakcie sporo dowiedziałam się o Benie, o jego pracy w sklepie z pocztówkami, o tym, jakim był świetnym copywriterem, jaki był naturalny i skazany na sukces.

Sprytnie usiłowałam wybadać, co z życiem uczuciowym Bena, z kim chodził, jakie dziewczyny lubił. Niewiele brakowało, żebym przesadziła, kiedy zadzwonił telefon. Bob Steinman nie żył. Samobójstwo albo wypadek - na razie nie dało się stwierdzić. Pogrzeb miał być następnego dnia, Żydzi nie lubili, żeby nieboszczyk za długo czekał.

Tej nocy Don nie powiedział już ani słowa. Po prostu siedział na swoim krześle, a ja siedziałam obok, wypełniając ciszę całą niepotrzebną mądrością, na jaką mogła się zdobyć siedemnastoletnia uciekiniarka z domu. W końcu nakłoniłam go, żeby poszedł spać, pomagając mu dojść do pokoju, układając na łóżku i zdejmując buty. Gadał głupoty.

- Polubisz Boba Steinmana. To prawdziwy bohater wojenny.

Przestraszyłam się i nie położyłam się spać, trochę tylko podzemałam w jego pokoju, podczas gdy on leżał w łóżku, w ciemnościach, aż do rana. Oczy miał cały czas otwarte.

Kiedy zaczęło się rozjaśniać, zjrzałam do kuchni, żeby sprawdzić, czy Don naprawdę zrobił jakieś zakupy. Kupił całą masę bezwartościowych śmieci, dokładnie to, co sama bym kupiła, gdyby mnie wpuścić do A&P. Ale znalazły się jakaś kawa i sok, więc kiedy Don wyszedł ze swojego pokoju, śniadanie było już w trakcie.

Wystroił się w niebieski garnitur, białą koszulę i kasztanowy krawat.

- Nie masz przypadkiem kapelusza, co, mała?

- Niestety.

- Cóż, dadzą mi coś w świątyni.

Zjedliśmy w spokoju, ciężar pogawędki wzięłam na siebie. Byłam zmęczona i słabo mi to szło. Potem Don stał się niepokojąco rozmowny, oczy miał czerwone i lśniące od łez, na które nie chciał sobie pozwolić.

- Bob był moim ostatnim przyjacielem. Na Ala i Arniego nie mogę liczyć. Oni idą własną drogą... Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Nigdy nie miałem. Wszystkich odstraszałem swoją niewyparzoną gębą. Virginia, dziecko, patrzysz na kawałek, który nie pasuje do tej układanki. Ja tu nie pasuję.

- Uważam, że się mylisz.

- Pójdiesz ze mną?

- Na pogrzeb?

-

Masz coś lepszego do roboty?

- Będę musiała zdobyć jakieś ciuchy.

- Masz parę godzin. Chodź ze mną. Wszyscy tam będą. Może ktoś cię odkryje.

- Jasne. Szkolny kurator.

Poszliśmy na pogrzeb. Nie było specjalnie zabawnie. Część odbyła się po angielsku, część po hebrajsku, ale wszystko razem nie miało żadnego sensu. To znaczy całe to wsadzanie człowieka do skrzyni i chodzenie w procesji, wzywianie Boga i gadanie, że Bóg wie najlepiej. Jak zwykle płakałam, podobnie cała reszta. Na trumnie leżała amerykańska flaga i przyszła masa wojskowych. A po wszystkim bardzo uroczyście zwinęli flagę i dali niedużej kobiecie, która, jak przypuszczałam, była matką Boba. Przyjęła ją z takim uczuciem, jakby wiedziała, że jeśli będzie flagę codziennie podlewać, może z niej wyrosnąć jej syn. Pojęcia nie miałam, co właściwie mogłaby z nią zrobić. Co się robi z flagą, którą ci dają, kiedy umiera twój syn? Wywiesza się ją Czwartego Lipca? Wiesz w oknie w dniu jego urodzin? Rzuca na pianino jako dekorację? Albo odkłada na strych? A jak się nie ma strychu? Może do szuflady? Tak, wkłada się flagę do szuflady. To samo można by zrobić z synem, gdyby pozwolili go zatrzymać. Można by go włożyć do szuflady. „Witajcie, miło was widzieć. Chcecie zobaczyć mojego syna? E, Morris? - w której szufladzie trzymamy Bobbiego?”.

Nie pojechaliśmy na cmentarz, który najwyraźniej znajdował się tak daleko na Long Island, że potrzebowalibyśmy paszportów, żeby się tam dostać. Duży Al wyprowadził mnie ze świątyni. Arnie Felsen wyprowadził Dona. Żydzi zdecydowanie wiedzieli, jak się zachować na pogrzebach. Czułam się bardzo samotna, bardzo apatyczna. Nie żył ktoś, kogo prawie znałam. A ktoś, kogo rozpaczliwie pragnęłam poznać, prawie tam był. Wszystko wydawało się takie zagmatwane. Wsadzili Dona i mnie do taksówki i odesłali do domu, jakbyśmy byli głuchoniemymi w Afganistanie. Don się śmiał.

- Co cię tak bawi? - zapytałam.

- Arnie dostał powołanie. Dziś rano.
- To takie zabawne?
- Nie. To śmieszne. Wykańczamy Boba i posyłamy Arniego, żeby za-
jął jego miejsce. Co jeszcze mogłoby się stać, żeby dopełnić ten grote-
skowy dzień?

To, co jeszcze mogło się stać, czekało w skrzynce pocztowej. List od Bena.

Cześć Don

Pochowaliśmy dziś sierżanta Walkera Deya. W jednostce. Ze wszystkimi honorami. Właściwie to nie był nikim specjalnym. Tłuszcioszek, który tyle pił, że sikał stuprocentowym alkoholem. Dołączył do nas na biwaczkę w zimnie i do rana zamarzał. Odpowiedzialny za to był Luther Holdoffer, ale to armia stwarza takich Lutherów Holdofferów. Tony zabije Holdoffera. To tylko kwestia czasu. A jak nie on, to Johnny i ja. A jak nie my, to Bóg. Jak powiedziałem, sierż. Deyo nie był nikim wyjątkowym. Ale wczoraj żył, a dziś nie... i jak napisał Arthur Miller „Trzeba na to zwrócić uwagę”.

Pozdrawiam wszystkich. Proszę, przekaż specjalne pozdrowienia Bobowi. Świadomość, że siły zbrojne mogą wyprodukować takich ludzi, pozwala mi zaakceptować wydarzenia tego zimnego dnia bez podjęcia próby dezercji na księżyc.

O, być znów w Wiedniu –

Don przeczytał mi ten list na głos. A kiedy go odłożył, stwierdził:

- Ginnie, dziecko, świat się kończy. Nie przetrzyma następnego roku.
- Powiedział to bez hysterii, jako proste stwierdzenie faktu. Nie spierałam się, bo podejrzewałam, że może mieć rację. Coś potwornego. Nie mogłam pomóc Donowi. Nie mogłam pomóc Benowi. Sama z trudem sobie radziłam.

Następnego dnia, zaraz rano, Don rzucił pracę w 20th. Powiedział mi to, kiedy tylko wróciłam z wyprawy po zakupy.

- Cóż - zapytałam - masz inną pracę?

- Nic.
- Czy to mądre?
- Nie. Ale konieczne. Nigdy tam nie wrócę. To wyjątkowo słuszne posunięcie.

Zgodnie z obietnicą, Don nigdy tam nie wrócił.

Wystartowaliśmy w Błękitnym Aniele. Furora! Dwa występy co wieczór i wszystkie miejsca wyprzedane. Mieliśmy prawdziwą siedmioosobową orkiestrę i światła wirujące na pomarańczowo i żółto z taką mocą, że pierwsze stoliki mogły się opalać. Bo tak, byli tam prawdziwi ludzie, niektórzy, owszem, niegrzeczni, ale większość pełna uznania. I brawa. Dostawaliśmy brawa. Nigdy wcześniej tego nie słyszałam - i cóż za rozkosz mi sprawiały. Tylko kilku naszych wcześniej tańczyło zawodowo i kiedy wyszliśmy się ukłonić po pierwszym numerze, byliśmy tacy nakręceni, że dla obserwatora z boku musieliśmy wyglądać jak świry. W każdym razie połknęłam haczyk. To znaczy po prostu to uwielbiałam. Bum, bam, zoka-łoka-czang!

Recenzje? Wspaniałe. Prawie wszystkie wspominały o „wysokiej blondynce w grupie samych czarnych”. Kilka razy udzielałam wywiadów, ale trzymałam się swojej wersji, twierdząc, że jestem Murzynką i napawa mnie to dumą. Reporterzy nie wiedzieli, co z tym począć, więc po prostu mnie cytowali i na tym poprzestawali. Roland okazał się bardzo pomocny, odsuwając parszywych i kontaktując mnie wyłącznie z porządnymi facetami.

Wszyscy świetnie się bawiliśmy. Ciężko pracowaliśmy, owszem, ale na klapę też się ciężko pracuje, tylko bez pochwał, pieniędzy i braw. Moja pierwsza praca zawodowa i od razu sukces. Recenzja w „Variety” chwaliła Annice, oczywiście, bo była co najmniej genialna. To znaczy brała scenę w posiadanie - wysoka, rozluźniona, brązowy wąż tak ponętnie seksowny, że każdy facet na widowni siedział z językiem wywalonym tak daleko, że wyglądał jak krawat. Ale znalazł się również ten miły fragment o mnie:

...należy też wspomnieć o jedynej, jak się zdaje, białej w grupie. Nazywa się Ginnie Maitland i choć utrzymuje, że pochodzi ze środkowej części Dominikany, wygląda bardziej na mieszkankę wybrzeża Szwecji. Długonoga blondynka o niebieskich oczach tańczy w tak

przekonywająco murzyńskim stylu, że po pięciu minutach bujnej choreograficznej dżungli na Haiti jej opowieść o tym, że jest albino-ską, córką czarnego pracownika plantacji kawowej i czarnej robotnicy zbierającej bawełnę, wydaje się prawie do przyjęcia. W każdym razie jej obecność wśród tancerzy Annice Chatterton nie jest prostym ukłonem w stronę publiczności - dziewczyna jest dobra, bardzo dobra. Sprawdźcie sami... ta dziewczyna jest cudowna.

Występowaliśmy przez sześć tygodni i moglibyśmy występować na tej scenie przez wieki, gdyby nie zalew zaproszeń spoza miasta, gdzie kluby były większe, a pieniądze lepsze. No więc przygotowaliśmy się do tournée - Chicago z Dannym Thomasem, Cincinnati z Polly Bergen, Saint Louis z Martinem i Lewisem*⁵⁵, Pittsburgh, Denver, Los Angeles, San Francisco - mieliśmy poprzedzać swoimi występami największe nazwiska w tym interesie, a w niektórych okolicznościach sami być główną atrakcją. My, Tancerze Annice Chatterton, i ja, Ginnie z dżungli.

Trzymałam życie w garści jak mocne karty w pokerze, te, które nie wymagają dobierania. I miałam pełne kieszenie forsy. Kupiłam fantastyczne ciuchy w trzech sklepach na B (Bloomingdale's, Bergdorf i Bonwit) i naprawdę mnie poznawano, kiedy włóczyłam się po Piątej Alei, jakbym miała ją na własność, tylko co tu robili ci wszyscy ludzie? Nie skończyłam jeszcze osiemnastu lat, lecz wyglądałam bardziej dorośle. Mężczyźni przesyłali mi kwiaty, a Roland trzymał ich ode mnie z daleka, twierdząc, że chcieli mnie tylko z powodu dreszczyku, jaki daje zerżnięcie czarnej dziewczyny.

Lubiłam Dona. Bardzo. Szanowałam jego umysł, był taki inteligentny. Ale przyciągała mnie do niego także atmosfera smutku, którą wokół siebie tworzył. Szukał pracy, a wracał z niczym. Nie mogłam go winić, że odrzucał tak zwane wspaniałe okazje. Wcale nie były wspaniałe. Stały się ślepe uliczki, żalodne nadzieje na miękkie lądowanie w podbramkowej sytuacji. Czemu świat nie potrafił dostrzec, co Don miał mu do zaoferowania?

⁵⁵ Gwiazdy estrady i TV w latach 50. i 60.: D. Thomas - showman; P. Bergen - aktorka, piosenkarka; D. Martin i J. Lewis - para komików.

Don nie spał, kiedy wracałam do domu i, choć zmęczony, miło gawędził ze mną do świtu. Zawsze z czymś na mnie czekał - kawą, herbatą, czekoladą, ciastkami, krakersami i serem - czymś, czymkolwiek. Oczywiście wszystko to było bez sensu i oboje o tym wiedzieliśmy, ale składało się to na nasz platoniczny świątek i cieszyliśmy się nim w całej rozciągłości, a już zwłaszcza wiedząc, że stopniowo znika, zbliżając się do naturalnego końca.

Nie spałam więcej w pokoju Bena, ale pozwalałam sobie na hodowanie tej fantazji, bo naprawdę chciałam mieć kochanka, a Ben był idealny, skoro nie mógł powiedzieć nie. Przemawiałam do jego zdjęcia, spałam z tą fotografią pod poduszką i modliłam się, żeby wrócił z wojska cały i wkrótce. Trochę to było chore, muszę przyznać, i strasznie dziecinne, ale tak było. A jego listy, dojrzałe niż na początku, wspierały moje złudzenie, że naprawdę ze mną był, w mieszkaniu, w moim pokoju, w moim łóżku. I mnóstwo razy zasypiałam, tuląc poduszkę z całych sił, wyciągając się obok niej, przyciskając ją do brzucha, oplatając nogami. Chore, chore, chore, ale nie wiedział o tym nikt poza mną i Bogiem, a jeśli chodzi o Boga, miał jedną zaletę - trzymał gębę na kłódkę.

List od Bena:

Cześć Don

Nie mam dla Ciebie mądrej rady. Masz rację, musisz się przemęczyć. Owszem, biznes turystyczny brzmi nieźle, owszem, powinieneś iść tym tropem. Tylko się za bardzo nie spiesz. Nie pakuj się w to z rozbiegu.

Wygląda na to, że zima zaczyna się wycofywać, za co jestem szczerze wdzięczny. Wszyscy mieliśmy ciężki okres. Holdoffer wciąż się nadyma, ale trochę się uspokoił. Odnoszę wrażenie, że go denerwujemy (ja, Johnny i Tony), więc stara się mijać nas szerokim łukiem. Tony wciąż się zaprzysięga, że go zabije, i mamy niezłą zabawę, obmyślając różne zbrodnie doskonale.

W Bostonie poznałem niezłą kobietę, serwowała kawę w klubie oficerskim. Bardzo ładna, bardzo czarująca, bardzo wykształcona. Z wyższych sfer, jak stawiam, ale, jak na razie, były tylko powierz-

chowane rozmowy. Czuję wyraźnie, że mnie do niej ciągnie, więc staram się tam jeździć, kiedy tylko zdołam się wyrwać z jednostki.

Nowy Jork jest zbyt odległy, żeby pojechać i wrócić jednego dnia, a ponieważ nowy dowódca kompanii, porucznik Collings, ma hopla na punkcie unikania wypadków samochodowych spowodowanych przez facetów, którzy gnają do obozu, żeby zdążyć przed poniedziałkowym apelem, po prostu nie wolno się nam oddalać poza obszar o promieniu pięćdziesięciu mil. Ale i tak niektórzy to robią i, jeżeli mnie przyciśnie, mogę do Ciebie wpaść.

Zima z wolna traci siły, więc wiosna zaczyna wkradać się w pole widzenia. To dziwne, jak wiosna i jesień są podobne i zarazem przeciwstawne. Można obudzić się w kwietniu lub październiku - powietrze, temperatura, wszystko może być identyczne, a jednak poznasz różnicę. Wiosna, jak sądzę, stanowi obietnicę, podczas gdy jesień groźbę. Jedna wskazuje w stronę życia, druga w stronę śmierci. Cieszę się, że to kwiecień, a nie październik, i mam nadzieję, że pewnego dnia i Ty to docenisz.

Serdeczne pozdrowienia dla Ginnie i podziękuj Jej w moim imieniu, że tak dobrze opiekuje się Tobą i naszym domem.

Daj mi znać, kiedy tylko coś się wydarzy.

Ben

Moja reakcja na ten list była złożona. Po pierwsze, wracaj do domu, Ben! Przyjedź do Nowego Jorku! Przekrocz tę pięćdziesięciomilową granicę i, proszę, zrób to szybko, zanim wyjadę z miasta! A po drugie, Ben, ty draniu! Jak możesz się zabawiać z dziewczyną w Bostonie, wiedząc, jak bardzo cię kocham tu, w Nowym Jorku?

Sy Fein zadzwonił i zapytał, czy może przyjść się ze mną zobaczyć. Uznałam to za zły znak. Do tej pory moje czeki z restauracji przychodziły regularnie - trzydzieści dolarów, czterdzieści, trzydzieści pięć, trzydzieści siedem. Dodatkowe pieniądze co tydzień, odkładałam je w moim nowym banku. Don poszedł dokądś na rozmowę w sprawie pracy, więc kiedy zjawił się Sy, byłam w mieszkaniu sama. Nie widziałam go od miesiący. Po pożarze i mojej przeprowadzce do centrum prowadziliśmy nasze interesy przez telefon i listownie. Kiedy wkroczył do mieszkania, ojcząc po wspinaczce, nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo się za nim stęskniłam, więc uściskałam go z całej siły, mówiąc:

- Oj, moja żydowska mame!
- Cześć, blondyneczko. - Cofnął się o krok, trzymając moje ręce w swoich wielkich łapskach i przypatrując mi się. - To ty, nie?
- Tak, ty pacanie!
- Chciałem się upewnić. Po tym, co czytałem, mogłem się spodziewać kolorowej dziewczyny.
- Jestem kolorowa.
- Dziękuję. A ja jestem kardynał Spellman*⁵⁶. - Rozejrzał się. - Ładne miejsce. Duże. Mieszkasz tu sama?
- Naprawdę jesteś moją żydowską matką.
- Tylko pytam. Oczywiście, co ja tam wiem o nowoczesnym życiu? Może w jednym pokoju śpisz w poniedziałek, środę i piątek, a w drugim we wtorek, czwartek i sobotę. I proszę... pokój na niedzielę. Niezły interes. Tsk-tsk-tsk.
- Sy, nie mieszkam tu sama.
- Chłopak czy dziewczyna? Nie mów mi.
- Chłopak.
- Powiedziałem, żebyś mi nie mówiła.
- Na imię ma Don.
- Chyba nie wujek Don.
- Jest bardzo miły. I bardzo platoniczny. Dzielimy się wydatkami.
- Czemu mi to mówisz? To nie moja sprawa.
- Sy, wszystko w porządku. Przysięgam. Obiecuję.

⁵⁶ F. J. Spellman - kardynał, metropolita Nowego Jorku od 1946.

Uśmiechnął się.

-Dobrze. Mogę usiąść? - Usiadł. - Trochę było tych schodów. Trzeba by być człowiekiem-muchą.

- Miło cię znowu widzieć.

- Nie będzie tak miło, kiedy usłyszysz, co ci powiem.

- Co się stało?

-Najpierw porozmawiajmy o tobie. Słyszę wspaniałe rzeczy. Jesteś gwiazdą, tak?

- Cóż...

- A teraz przejdźmy do interesów. Restauracja dogorywa.

- Dlaczego? Co się stało?

-Kto wie? Ludzie przestali przychodzić. Jakość jedzenia nigdy nie była lepsza, ale nagle wyszliśmy z mody. I dwa domy dalej otworzyli tę absurdalną restaurację. Absolutnie absurdalną. Jesteś gotowa, żeby to usłyszeć?

- Gotowa.

- Zgadnij, jak się nazywa.

- Schrafft's*⁵⁷.

-Blisko. Nazywa się „Zewnątrz”. A zaraz obok, trzy domy dalej, zgadnij, jak też się nazywa jej restauracja partnerska?

- No...

-Zgadłaś. „Wewnątrz”. Daję im trzy tygodnie. Tymczasem, żeby przeżyć te trzy tygodnie, Sayonara potrzebuje więcej pieniędzy... żeby przetrzymać ten przekręt, jak mówi Iri, cokolwiek by to miało znaczyć. Kiedy się wchodzi w interes z Japoń- cem, trzeba być przygotowanym, że dziwne rzeczy dzieją się z twoim ojczystym językiem.

- Ile potrzebujesz?

- Kolejne pięćset dolarów, lecz nie mogę ich przyjąć.

- Co?

-Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła. Zapomnij, że prosiłem.

- Ale jednak prosiłeś.

- Udawaj, że nie. Idę. Do widzenia i powodzenia.

- Sy, ja mogę ci dać te pieniądze.

⁵⁷ Schrafft's, sieć restauracji popularnych w latach 40. i 50.

- Chyba rozum postradałaś.
- Nigdy go nie miałam. Wypiszę ci czek.
- Nie mogę go przyjąć.
- Ale wszedłeś cały ten kawał na górę.

Uśmiechnął się.

- Żeby oficjalnie pożegnać się z moją współpracowniczką o włosach blond. A także dać ci ostatni czek z ostatnim zyskiem sprzed prawie dwóch tygodni.

- Och, Sy...

- Nie „ochsajuj” mi tu. To nic wielkiego. Proszę. Trzy dolary i czterdzieści sześć centów. Rozsądnie je zainwestuj. Mówi się, że Coca-Cola to dobra rzecz.

- Masz zamiar pozwolić na zamknięcie restauracji?

- Już na to pozwoliłem. W zeszłym tygodniu. - Machnął ręką, jakby chciał wypchnąć ten ostatni tydzień za okno. - Ale nie jest aż tak ponuro. Iri i ja odzyskaliśmy trochę swoich pieniędzy. Iri wraca na służbę w kuchni pani Samuelowej Pincus w Scarsdale, gdzie się przyczai i robi wielki comeback przy okazji następnego Pearl Harbor. A jeśli o mnie chodzi, wiesz co? Stawiam na numer siedem, moją nową szczęśliwą liczbę. Sklep ze słodyczami na rogu Trzeciej Alei i Wschodniej Trzydziestej Drugiej. Lokalizacja wprost stworzona do bankructwa. Jeżeli będziesz kiedyś w okolicy i zechcesz rodzynek w czekoladzie albo orzeszków, wpadnij, jak dla ciebie zawyżę cenę tylko trochę. A na razie, blondyneczko... ałfiderzejn.

Stał w drzwiach, uśmiechnięty, a jego potężne ramiona wyciągały się w moją stronę w zapraszającym geście. Pobiegłam i schroniłam się w uścisku.

Poklepał mnie po plecach, jakby chciał, żeby mi się odbiło.

- Jesteś niesamowita, blondyneczko. Gotowa bez namysłu dać mi następne pięćset dolarów. Gdybym był trzydzieści lat młodszy... nawet by cię nie było na świecie. - Odsunął się i zszedł ze schodów. - Bądźmy w kontakcie. I nie zapomnij, Trzecia Aleja, róg Wschodniej Trzydziestej Drugiej. Żgadnij, jak się nazywa?

- Jak?

- Słodycze u Sy. Dobrze brzmi, co?

- Aha.

- Do widzenia, blondyneczko. Zjedzmy kiedyś lunch. -1 już go nie było, ojczał po drodze na dół, przez pięć pięter, czubek jego czerwonej głowy zniknął jak zachodzące żydowskie słońce.

TLR

No więc, koniec z biznesem restauracyjnym. Czułam się kiepsko, nie ze względu na siebie, bo mnie się powiodło, ale ze względu na Sy. Był niezmordowany. Wiedziałam, że nigdy się nie załamie. Gdybym mogła skrzyżować Sy Feina z Donem Cookiem, otrzymałabym niezłego hybryda - błyskotliwą, niestrudzoną, wymowną postać, twardego zawodnika, który potrafiłby cytować Spensera*⁵⁸, punktując metrum dramatycznie porzrzuconymi ojnięciami.

Pociągając nosem, dotarłam do Błękitnego Anioła, gdzie tego wieczoru mieliśmy dać dwa ostatnie występy. Annice chciała, żebyśmy po ich zakończeniu wszyscy się spotkali, zamierzała wręczyć nam wtedy plan podróży, bilety i wyjaśnić, jak będziemy żyć w trasie.

Występ o dziewiątej był świetny. Ale ten o północy - jedyny w swoim rodzaju. To znaczy, paciorki fruwały, spódnice falowały, a bębny szaleńczo waliły. Mowa tam-tamów. Sięgnęliśmy szczytu. Annice, nieposkromiona, kręciła biodrami w swojej czarnej chwale, a reszta godnie dotrzymywała jej kroku. Doliczyłam się dwunastu wyjść przed kurtynę, aż wreszcie opiekun sceny stwierdził, że co za dużo, to niezdrowo, i zostawił kurtynę opuszczoną.

Wciąż w kostiumach, spotniali jak wyścigowe konie, zebraliśmy się za kulisami, gdzie Annice nagrodziła brawami nas, a my ją i siebie, po czym padliśmy na podłogę, śmiejąc się i płacząc, za cholerę nie wiedząc, co właściwie wyprawiamy.

Annice swoją precyzyjną angielszczyzną, w której pobrzmiwała jamajska melodia, wygłosiła uroczą mowę, bardzo wytworną. Nasyconą wdzięcznością i nadzieją, przepelnioną wizjami, jak to daleko zajdziemy, jak zobaczy nas i pokocha cała Ameryka. Roland rozdał bilety i instrukcje w rodzaju, gdzie się mamy spotkać następnego dnia - o której, jakim pociągiem - takie tam. A potem pożegnaliśmy się gorąco i rozstaliśmy, jakbyśmy już nigdy nie mieli się zobaczyć, ale zawsze będziemy pamiętać naszą ukochaną szkołę.

Obejrzałam swój bilet i wypisaną na maszynie instrukcję oraz notateczkę, którą prawie przeoczyłam, bo została tak głęboko wsunięta do koperty. Od Annice; czy mogłabym wstąpić do jej garderoby?

⁵⁸ Edmund Spenser (1552-1599) - angielski poeta.

Podczas gdy wszystkie dzieciaki dzieliły jedno przypominające sto-
dołę pomieszczenie za sceną, Annice, stosownie do jej pozycji, miała
własną garderobę. Poszłam tam ze strachem, zastanawiając się, czy nie
nastąpiła zmiana planów, czy może pozwoliłam sobie na zbyt wiele z mo-
im „czarnym” wizerunkiem i Annice uznała, że podszywam się pod jej
sławę. Zapukałam do drzwi tak delikatnie, że nawet ja sama nie usłysza-
łam pukania.

- Otwarte - zawołała Annice.

Weszłam i usiadłam. Annice była pod prysznicem. Miała bardzo afro-
kubańską garderobę. Drewniane rzeźby, heban, dziwne, egzotyczne dra-
perie. Prawie tak ładnie jak u Rolanda.

- Ginnie?

- Tak.

- Odpręż się. Zaraz wyjdę. Usiądź.

Próbowałam się odprężyć na jednym z wielkich krzeseł, samotnie wy-
pchniętym na środek pokoju, jak do przesłuchania trzeciego stopnia. Co
za dziwne miejsce na ustawienie krzesła.

W ciągu kilku minut wyszła spod prysznic, księżniczka w kolorze
kawy, sześć stóp posagowego majestatu, poruszając się lekkim, wężo-
wym ruchem - jak we śnie, prawie w zwolnionym tempie. Oj. Naga po-
płynęła do swojego czerwonego szlafroka, który wisiał na wielkim mo-
sieżnym wieszaku na kapelusze. Nigdy wcześniej nie widziałam jej na-
giej. Nikt z nas nie widział. Otuliła się szlafrokiem, ciasno owinęła i za-
wiązała luźny węzeł na pasku, żeby go przytrzymać.

- No i co, Ginnie, co myślisz?

- Co myślę? - Byłam oszołomiona. Jej perfumy były wszędzie, coś w
rodzaju Jungle Gardenia.

- O naszym występie. Naszej przyszłości. Zabawie, która nas czeka.

- O! Cóż... uważam, że to fantastyczne.

- W trasie musimy trochę pooszczędzać, więc będziemy mieszkać w
dwójkach, wszyscy. - Nalała trochę rumu do dwóch szklaneczek i wrę-
czyła mi jedną. - Ty będziesz ze mną. Mam nadzieję, że nie masz nic
przeciw. - Stała tam, sącząc rum.

-Przeciw? Jestem zaszczyczona. - Pociągnęłam łyk i rum popłynął pro-
sto do palców moich nóg. Spojrzałam w dół, żeby sprawdzić, czy rozja-
śniły się jak choinkowe lampki.

-Ja też jestem zaszczyczona. Jesteś doprawdy uroczą dziewczyną. Skóra.

- Przepraszam?

-Skóra jest tym, o co chodzi. Struktura skóry. Masz piękną skórę, Ginnie.

- Ta, cóż, trzyma moje kości w kupie.

Roześmiała się, ale do mnie zaczęła docierać bardzo niedobra wiadomość, której się ani nie spodziewałam, ani nie chciałam. Podeszła bliżej jak lwica, z taką gracją, że musiałam stale się przyglądać, czy jej stopy naprawdę dotykają podłogi. Nawet włosy miała wyjątkowe, krótkie, lecz gęste i jedwabiste. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na jej włosy, bo zawsze nosiła turban.

Okrażała pokój, jakby się do mnie podkradała, dwa razy, trzy, za każdym razem podchodząc bliżej, i wreszcie stanęła dokładnie na wprost mnie. Sięgnęła tymi długimi palcami i uniosła do góry moją twarz, tak że patrzyłam jej w oczy. Uśmiechnęła się do mnie z góry.

- Ginnie?

- Tak?

- Co ty o mnie wiesz?

- No, wiem, że jesteś wspaniałą tancerką i...

- To znaczy, co słyszałaś?

- Słyszałam?

- Tak.

- Nic.

-Naprawdę? - Rozwiązywała szlafrok i odsuwała go niby kurtynę i nagle patrzyłam na jej cudownie wyrzeźbiony brzuch... płaski, muskularny, a jednak klasycznie kobiecy. Kawowy i rozkoszny. - Daj mi rękę, Ginnie.

Tylko że ja nie byłam zainteresowana.

- Słuchaj...

- Daj mi rękę.

Wywinęłam się i wstałam, przewracając krzesło.

-Przepraszam, ale chyba trafiłaś na niewłaściwą dziewczynę.

- Naprawdę? - Wciąż się uśmiechała, niezrażona.

- Tak. Słuchaj, nie znam się na tych sprawach i...

-Nie ma się na czym znać.

-Cóż, wydaje mi się, że jest parę książek, które powinnam przeczytać i chyba też pójść do domu odświeżyć sobie Safonę.

- Jesteś przestraszona.
- Cóż... nieco zaskoczona.
- To dlatego, że jestem czarna?
- Nie. To dlatego, że ja jestem zielona.

Roześmiała się.

-Och, Ginnie, jesteś taka rozkoszna, naprawdę. - I znów zaczęła sunąć w moją stronę.

- Dziękuję, bardzo, ale... mam wizytę u dentysty, i to za pół godziny i...
- Zdażysz.

- ...to w Phoenix. W Arizonie?

-Ginnie, wszyscy mamy swoje małe zboczenia, wiesz przecież.

- O, wiem.
- Moim jest skóra.
- A moim nie spóźniać się do dentysty.

Jej uśmiech zniknął.

- Nie mam zamiaru gonić cię po pokoju, Ginnie.

-Bardzo mi przykro, Annice. Żałuję... ale ja po prostu... to nie dla mnie.

- Pojmuję.

-No więc, ee, strasznie mi pochlebiasz i w ogóle... że podoba ci się moja skóra... powinnaś ją zobaczyć latem, kiedy złazi. Okropnie to wygląda, jak u oskórowanego szczura.

- Rozumiem. - Wiedziała, że już po romansie.
- I jeszcze... mam okres i... kiedy byłam dzieckiem, w Chinach...
- Możesz już iść, Ginnie.
- Naprawdę bardzo mi przykro, Annice.
- I proszę, nie wracaj.
- Chyba nie.

Wyszłam stamtąd i usłyszałam zatraskujące się za mną drzwi. Potem wpadłam na Rolanda, niezupełnie przypadkiem, ponieważ czekał na mnie. I wiedziałam, że wiedział. Przeszłam obok niego do wielkiej garderoby. Pusto.

Usiadłam przed lustrem i zaczęłam zmywać ten okropny sceniczny makijaż, który do tej pory zdażył się zmienić w tęczową paćkę. W lustrze

widziałam wchodzącego Rolanda. Stał za mną i całą scenę odegraliśmy z użyciem lustra, bardzo dramatycznie.

- Miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć.
- Dzięki, że mnie ostrzegłeś, stary.
- Kochanie, gdybym ci powiedział z wyprzedzeniem, nie byłabyś w stanie tańczyć.
- Nie, ale byłabym w stanie uciec.
- Miałem nadzieję, że Annice nie da sobie na luz.
- Co?
- Że sobie nie pozwoli.
- Co to ma być, jakiś żydowski slang? Czemu wy, ludzie, nie mówicie po angielsku?
- Pozwoliła sobie, prawda?
- Taa. Pozwoliła sobie do woli. Ona sobie pozwoliła, a ja sobie nie pozwoliłam. Więc wszystko załatwione.

-Postąpiłaś słusznie, Virginio. Ty mieszkająca z Annice w trasie? Z taką „skórą”? Zmusiłaby cię do robienia rzeczy, jakich do tej pory nawet nie wymyślono.

- To po prostu takie cholernie niesprawiedliwe. Nigdy nie zmieniłabym rasy, gdybym wiedziała, że to się łączy ze zmianą orientacji. No cóż... Uważam, że gwiazdy powinny odchodzić u szczytu sławy.

Wróciłam do mieszkania pogrążona w filozoficznych rozważaniach. W czasie niespełna ośmiu godzin wypadłam z biznesu restauracyjnego i show-biznesu. Don nie spał, czekał na mnie, i to w dobrym nastroju - nie żeby spotkało go w ciągu dnia coś szczególnie wspaniałego, ale miał świadomość, jaki się z niego zrobił ponurak. Opowiedziałam mu, co się stało i że się zwalniam, i że moja restauracja się zwinęła, i że nie chcę już dłużej żyć, i że oboje jesteśmy przegrani, i że powinniśmy zawrzeć pakt samobójczy, i wspiąć się na szczyt hotelu Mark Hopkins w San Francisco, i rzucić się do Hudsonu, nie zostawiając listu, tylko bąbelki.

Byłam zmęczona, skołowana. Don pomógł mi się rozebrać i zaprowadził pod prysznic, przepłakałam cały spędzony tam czas. Wyciągnął mnie z wody, zanim pomarszczyłam się jak śliwka, i owinał w duży ręcznik. Zaprowadził mnie do pokoju, pomógł się położyć, podciągnął kołdrę pod

nos, obdarzył ojcowskim pocałunkiem i powiedział, że mnie kocha. Ja też powiedziałam, że go kocham, tylko nazwałam go „Benem”.

Biedny Don, jak to musiało go zranić. Biedny Sy Fein, którego szczęśliwą liczbą było pięćset siedemdziesiąt siedem, tyle że on o tym nie wiedział. Biedny Bob Steinman, została z niego tylko porządnie złożona flaga na komodzie w salonie. Biedny sierżant Deyo, bardziej nieaktualny niż zeszytygodniowe wiadomości. Biedna bogata dziewczynka, którą własny płacz ukołysał do snu.

TLR

Rozdział 11

Ben

1951

Śmierć Boba Steinmana i sierżanta Deya, wydarzenia tak nieznacznie od siebie oddalone, w czasie gdy mój kontakt z rzeczywistością nie był zbyt ścisły, autodestrukcyjnie zwróciły mnie ku własnemu wnętrzu. Wykonywałem swoje zadania, robiłem to, co konieczne, żeby zarobić na utrzymanie w wojsku, ale miałem bardzo słaby kontakt ze wszystkimi poza Johnnym i Tonym. Dodatkowo wyprowadzało mnie z równowagi to, że Don miał tyle samo kłopotów z utrzymaniem się przy życiu w świecie zewnętrznym co ja w armii.

Fakty wymykały się zrozumieniu, stały się niegodne zaufania. Jeżeli ktoś stwierdzał, że jest czwartek, musiałem pomyśleć dzień lub dwa, zanim mogłem się z tym pogodzić. Jeżeli ktoś mówił „dzień dobry”, łapałem się na zastanawianiu: „Co chciał przez to powiedzieć?”. Tony, dobry katolik, zasugerował, że powinienem uciąć sobie pogawędkę z kapłanem. Johnny, zły katolik, oświadczył, że lepiej bym pogadał z Charliem McCarthym*⁵⁹.

Nerwy miałem napięte jak postronki i wiedziałem o tym. Całe swoje życie byłem zawziętym samotnikiem i tam, w samym środku najbardziej bezsensownej grupy ludzkiej, w jakiej kiedykolwiek musiałem rozpychać się łokciami, zmieniłem się w fiolkę z nitrogliceryną o odporności na wstrząsy niczym wysoki na milę suflet.

Przed spontanicznym samozapłonem ratowały mnie jedynie weekendowe wieczory i niedzielne popołudnia, kiedy udawało mi się wyrwać z jednostki. Przeważnie jeździłem wtedy do Bostonu, bez Tony'ego i Johnny'ego. Nie mieli z tym problemu, nigdy nie czuli się dotknięci ani niezadowoleni. Od tamtej pory moja definicja przyjaciela zawsze opisuje kogoś, kto w ciemno, z miłości lub lojalności, postanawia rozumieć zachowanie drugiej istoty ludzkiej, mimo że jest niezrozumiałe, niewybaczalne

⁵⁹ Charlie McCarthy - marionetka partnerująca brzuchomówcy E. Bergenowi (1903-1978).

i wkurzające. Ci dwaj mi pomogli, po prostu. Nawet samotnie spacerując po Bostonie, dowolnie wybraną trasą, czułem obok siebie Tony'ego i Johnny'ego. Kiedy skończy się moja wojna z armią, wybiję medal dla każdego z nich - odznaczenie Bena Webbera za niezachwianą przyjaźń w ogniu walki. Ostatnim, któremu je przyznano, był Don Cook.

Boston znałem tylko jako miejsce, do którego łapie się autobus w Shirley, w stanie Massachusetts, po wcześniejszej przesiadce z wojskowego autobusu w Ayer. Cała podróż trwała tak boleśnie długo, że niewiele cennego czasu pozostawało na cokolwiek poza niepewnym wejściem do USO*⁶⁰, usadowieniem się w kącie i rozmyślaniami, po co właściwie tu przyszedłem.

Były tam kobiety (niezbyt wiele) zajmujące się głupstwami, z jednakowym brakiem zainteresowania serwujące kawę i rozmowę. Słyszałem, że podczas drugiej wojny światowej w USO naprawdę wrzało. Ale druga wojna światowa się skończyła, a otaczający ją romantyzm i dramatyzm odeszły do ksiązek historycznych. Tej „koreańskiej sprawie” brakowało blasku poprzedniczki. Nie miała dynamizmu i nie stanowiła tak inspirującego bodźca jak jej nieodżałowana siostra. I ci z nas, biedaków, ubranych w khaki tępaków, którzy brali w niej udział, byli bardziej ofiarami niż bohaterami. Nie należało się spodziewać niczego więcej niż tylko hostess przy pracy. Żadnych dziedziczek, żadnych braminek z najwyższych sfer ani grających w tenisa celtyckich księżniczek o wystających kościach policzkowych, same objazdowe gospodynie domowe, dzieciaki z liceum, przerażające matrony i trochę praktykujących alkoholiczek - z jednym wyjątkiem.

Podczas pierwszych dwóch wizyt nie poznałem jej imienia, bo nigdy nie byłem z nią naprawdę sam. Pałętali się tam także inni bystroocy członkowie sił zbrojnych, potrafiący odróżnić perły od ostryg. A poza tym, chociaż inne hostessy nosiły plakietki, z których krzyczały ich imiona, ona postanowiła być bezimienna; decyzja, którą szanowałem, ponieważ współgrała z moimi własnymi odczuciami dotyczącymi armii: „W ogrodzie, gdzie wszystko, co rośnie, jest chwastem, nie pysznij się swoim

⁶⁰ USO, organizacja charytatywna wspierająca wojsko.

imieniem, lecz raczej pozostań bezimienny - w nadziei, że ktoś, ktokolwiek, może zobaczyć w tobie kwiat".

W każdym razie czy to dlatego, że było to zwykłe zapomnienie i ktoś zwrócił jej uwagę na brak plakietki, czy dlatego, że chodziło o jakąś zasadę, której przestrzegania wymagali urzędnicy USO, kiedy uśmiechnęła się do mnie tej dżdżystej niedzieli, plakietka znajdowała się na miejscu i widniało na niej nazwisko „pani Barringer”.

Nie wiem, ile miała lat. Do dziś dnia jestem kiepski w ocenie kobiecego wieku. Deanna Durbin^{*61} nawet w dniach swojej chwały wyglądała dla mnie na korpulentne pięćdziesiąt pięć, podczas gdy Ingrid Bergman, choćby dożyła lat stu dziewięciu, w moim sercu na zawsze pozostanie dwudziestotrzylatką. Tak naprawdę niepokoił mnie jej stan cywilny. Z pewnością zgodzicie się, że było sporym zarozumiałstwem z mojej strony myśleć, iż „pani” na plakietce jest jedynym, co miałyby ją powstrzymać od zakochania się we mnie. Ale tak wyglądała moja pierwsza reakcja i najwyraźniej zdradził mnie wyraz twarzy.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała, figlarnie przechylając głowę, tak że widoczne było tylko jedno zielone oko.

- Więc tak się pani nazywa. Pani Barringer.

- Tak. A ty?

- Ben Webber.

- Kawy, Ben?

- Nie. Chciałbym tylko tu stać i patrzeć na panią.

- W takim razie lepiej napij się kawy. - I wyjęła filiżankę z szafki, która w poprzednim życiu pełniła fiinkcję hełmu głębinowego nurka. - Proszę.

- Wie pani, rozmawialiśmy już parę razy.

- Wiem. Stacjonujesz w Fort Devens.

- Jak większość tutaj.

-To prawda - powiedziała, kiwając głową w stronę naszywki z literą A na moim ramieniu. - Pierwsza Armia.

- Tak. I mam nadzieję, że ostatnia.

- Zawsze jesteś sam. Widzisz? Naprawdę pamiętam.

- Dziękuję. Czasami czuję się niewidzialny.

⁶¹ D. Durbin - aktorka musicalowa.

- Aż za bardzo rzucasz się w oczy.

- Co to ma znaczyć?

Wycofała się.

-To znaczy, że prowadzimy rozmowę w sposób niestosowny, biorąc pod uwagę, kim i gdzie jesteśmy.

- Cóż, ja wiem, kim jestem, ale kim pani jest?

W jej uśmiechu zalśnił podziw.

- Tyle uroku... i tylko szeregowiec?

- W cywilu jestem generałem.

Przyszło dwóch wieśniaczek, którzy chcieli kawy, więc przeszkodzone nam na parę chwil. Przyjrzałem się jej sylwetce, kiedy odwróciła się do mnie tyłem - takiej wymuskaney w kwiecistej bluzce i granatowej spódnicy. I jak świetnie się poruszała, zmieniając wydawanie pączków w pasowanie giermków na rycerzy.

-Kończę za piętnaście minut. - Ponownie stała przodem do mnie i uśmiechała się.

-Gdzie mogę panią spotkać? - Wiedziałem, że zachowuję się skandalicznie, ale nie przejmowałem się tym. Przypominało to grę, w którą oboje świadomie graliśmy, młody żołnierz i piękna dama. Scenariusz trudno uznać za oryginalny, ale był wypróbowany i prawdziwy, a ona właściwie mnie nie zniechęcała.

- Jest boczne wyjście — powiedziała. - Wiesz gdzie?

- Tak, widziałem je.

- Tam się spotkamy, ale... naprawdę muszę wracać do domu.

- Za piętnaście minut.

-Piętnaście minut. - I znów się odwróciła, zajęta trzema marynarzami. Tak zwyczajnie odwróciła wzrok i się nie obejrzała, że przyszło mi na myśl, że nigdy się nie zjawi, bo nie będzie pamiętać, gdyż po prostu nie byłam wart zapamiętania.

A jednak uznałem to za najbardziej podniecające wydarzenie od czasu, gdy ostatni raz widziałem na ulicy wyśnioną Elizabeth Satterly, mijającą mnie w Pittsburghu. Poszedłem dookoła do bocznego wyjścia. Wychodziło na bardzo spokojną ulicę. Po piętnastu minutach w bocznych drzwiach stanęła ona. W tej samej chwili pojawiła się nieskończenie długa, opływowa, czarna limuzyna, zatrzymała się, a szofer w liberii wyskoczył jak na zawołanie i przytrzymał dla niej drzwiczki.

W przelocie wzięła mnie pod ramię.

-Chodź, Ben, podrzucę cię na dworzec autobusowy. - I siedziałem obok niej w jadącej limuzynie. Uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Podoba ci się moja bryka?

- Taa. Słodka.

Przednią i tylną część wozu oddzielała szyba, więc zwróciła się do szofera przez interkom.

-Fletcher, czy możemy podrzucić szeregowego Webbera na dworzec autobusowy?

- Tak, proszę pani.

-Ale ja nie chcę wracać do domu - powiedziałem, udając, że się dąsam. - Chcę pojechać z tobą.

- Panu Barringerowi mogłoby się to nie spodobać.

- Czy on nie gra w golfa albo coś?

- Nie gra w golfa albo coś.

- Autobus mam za trzy godziny.

- Ostatni. Przed nim są jeszcze cztery.

- Powiedz Fletcherowi, żeby zawiózł nas do Kansas City.

-Jesteś zdecydowanie przedwcześnie dojrzałym młodym człowiekiem.

- W takim razie każ mu jechać do Chicago.

Nie odpowiedziała, tylko wsunęła ramię pod moje i przysiadła się bardzo blisko. Niezaprzeczalny wyraz przyływu uczucia, spontaniczny, szczerzy i wyraźnie wskazujący na przyszły rozwój wypadków. Potem odskoczyła na poprzednie miejsce, jakby przeprasząc, że pozwoliła sobie na tak swobodne zachowanie.

- Możesz to powtórzyć, jeżeli masz ochotę - stwierdziłem.

- Innym razem.

- Kiedy?

-Innym razem, nie wiem. - Odsunęła się jeszcze dalej, wysuwając ramię spod mojej ręki. - Przepraszam. Nie powinnam była tego robić. Nie chcę zostać źle zrozumiana. - Ponownie odezwała się do interkomu. - Czy możemy jechać szybciej, Fletcher? Szeregowy Webber nie może się spóźnić na ten autobus.

Fletcher, ewidentnie dawny kierowca rajdowy, przemykał przez ruch uliczny w takim tempie, jakby w części pasażerskiej szalał pożar, a on chciał wyprzedzić płomienie.

- Próbujesz się mnie pozbyć - stwierdziłem. - Nie tak się traktuje członka sił zbrojnych.

Była skruszona.

- Proszę, czy możemy skończyć z tymi docinkami?

Nie potrafiłem wymyślić żadnej repliki. Jechaliśmy dalej w milczeniu, nieubłaganie w stronę dworca. Wytrąciła mi broń z ręki do tego stopnia, że zacząłem się bać, czy nie wypadłem z gry. Wymyśliłem kilka zdań, które mógłbym wygłosić, ale odpłynęły, zanim zdążyłem je wyartykułować.

Przemówiła z oczyma utkwionymi w tylnym lusterku Fletcherera, udając, że mnie nie zauważa.

- Jeżeli powiem ci, gdzie mnie możesz zastać, jeżeli podam ci numer telefonu... czy potrafisz go zapamiętać bez zapisywania?

- Tak.

I wyglądając przez okno od swojej strony, powiedziała:

- To prywatny numer w Wellesley Hills. Pięćset trzydzieści cztery, dziewięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć. Pamiętasz?

- Pięćset trzydzieści cztery, dziewięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć.

- Jeżeli mnie nie zastaniesz, powiedz, że jesteś z kwaciarni Greenway i zapytaj, kiedy masz oddzwonić.

- W porządku.

Fletcher podwoził nas do dworca.

- Jeżeli nie zadzwonisz - dodała - to nic nie szkodzi.

- Jeżeli nie zadzwonię, to znaczy, że jestem martwy.

Głos Fletcherera w interkomie:

- Jesteśmy na dworcu, proszę pani.

- Dziękuję, Fletcher. - Odwróciła się z uśmiechem i przećwiczyła mnie jak tajnego agenta. - Powtórz ten numer.

- Pięćset trzydzieści cztery, dziewięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt sześć.

- W takim razie - oznajmiła, a jej uśmiech wyraźnie nabrał szerokości - jesteśmy na miejscu.

Samochód stanął i Fletcher przytrzymał dla mnie drzwi. Uśmiechnąłem się do niej i podjąłem grę.

- Dziękuję za podwiezienie, proszę pani. Inaczej na pewno bym nie zdążył.

- Cała przyjemność po mojej stronie, szeregowy.

Przyglądałem się odjeżdżającej limuzynie. Przypominała

*Queen Mary*⁶². Potem podszedłem do autobusu, który miał ruszyć dopiero za czterdzieści minut. Mimo wszystko wsiadłem. Przenosiny z limuzyny do autobusu przypominały przerzucenie się z kawioru na budyń i musiałem powtarzać sobie, że cała ta historia naprawdę się wydarzyła. Zapisałem jej numer na dwóch oddzielnych skrawkach papieru, jeden włożyłem do kieszeni koszuli - którą następnie zapiąłem na guzik - a drugi do tylnej kieszeni spodni. Tę również zapiąłem. Jeżeli nie stracę koszuli i tyłka, na zawsze zachowam ów numer w Wellesley Hills.

Myśl o pani Barringer podtrzymywała mnie przy życiu. Atakowała mnie rano i siedziała na plecach przez wszystkie kolejne godziny dnia. Leżała obok mnie w nocy na mojej boleśnie wąskiej pryczy - kwiaty z bluzki spadały jeden za drugim, aż w końcu leżeliśmy oboje nadzy, spleceni ze sobą w miłosnym gniazdku, i któregoś razu Johnny obudził mnie brutalnym szarpnięciem, żeby powiedzieć: „Nie ma nic złego w tym, że ktoś dyma swój materac, Benny, ale to pierdolone łóżko skrzypi. Może byś poszedł trzepać kapucyna do latryny i dał nam, mnichom, pospać?”.

Nadeszły listy z Pittsburgha - od moich rodziców, miewali się dobrze - listy, na które odpowiadałem natychmiast, żeby się nie gromadziły, bo wiedziałem, że jeżeli narobię sobie zaległości w korespondencji, nigdy tego nie nadgonię, a rodzicom coś się ode mnie należało. Zabawne, że miałem z nimi bliższy kontakt w wojsku niż w Nowym Jorku - oni bardziej się przejmowali, a ja byłem bardziej obowiązkowy.

Luther Holdoffer, w dalszym ciągu postać z piekła rodem, w tym tygodniu puszył się w sposób mniej denerwujący, bo wiedziałem, że kiedy nadejdzie niedziela, wybiorę ten numer w Wellesley Hills i porozmawiam z uroczą damą i zaaranżujemy rendez-vous i kiedy będą to robił, parszywy sierżant rozplynie się jak pierd na wietrze. A ziemia, sparszywiła w miejscach, gdzie na nią stąpnął, rozkwitnie zielenią w cudownej reafirmacji życia i miłości. I uderzyło mnie, że czas, jaki armia wykrawa z ży-

⁶² RMS *Queen Mary* - amerykański liniowiec

cia poborowego, może być zdumiewająco łatwy do zniesienia, zakładając, że człowiek ma jakieś marzenie, w którym może się schronić - twarz, uśmiech, niejasną obietnicę, fałszywą nadzieję, nawet zwykłe kłamstwo. Potrzeba do tego tylko żywego stworzenia i realnej tożsamości, którą można je uzupełnić. Wystarczy plakietka w klapie - i „pani Barringer” natychmiast przyszła mi na myśl.

W tym tygodniu w czwartek otrzymałem list od Ginnie Maitland.

Cześć, Ben

Nie znasz mnie, ale ja Cię znam, bo przeglądałam ukradkiem twoje listy do Dona i, muszę to stwierdzić, naprawdę używasz paskudnych słów. Chyba wiesz, że mieszkam w Twoim mieszkaniu i że dokładam się do czynszu - dlatego też piszę.

Don był w kiepskiej formie, bo paskudnie mu się układa, i dziś rano, kiedy wstałam, zorientowałam się, że go nie ma. Zostawił ten liścik, który, jak sędzę, powinienes przeczytać, zanim dokończysz mój list.

Zabrałem się do listu Dona, który Ginnie przypięła do swojego.

Kochana tancerczko

Wyjeżdżam do Los Angeles, ale nie pytaj dlaczego. Obudziłem się o trzeciej i wówczas wydawało się to dobrym pomysłem, wyczerpałem swoje możliwości w Nowym Jorku i muszę stawić temu czoło. Nie mam tu nic do roboty nawet jako bezrobotny, więc czemu nie spróbować z LA?

Wiem, że jestem Ci winien pieniądze na czynsz, ale może jeżeli napiszesz do Bena, obrabuje kantynę i wyśle trochę kasy.

Proszę, przeproś w moim imieniu Bena i siebie, lecz duszę się tu, więc ruszam na zachód. Będę Ci wysyłał kartki i, mam nadzieję, trochę forsy, żeby nie wyrzucili nas na ulicę, ale na razie, proszę, zrób, co się da, żeby zatrzymać chatę. Właściciel zjawia się pierwszego każdego miesiąca i jeżeli dostaje gotówkę, nie zadaje pytań.

Cześć i żegnaj -

Całuję. Don

Wróciłem do czytania listu Ginnie.

Więc jak widzisz, Dona ni ma doma, co samo w sobie jest już dość kiepskie. No i jestem bez pracy (długa historia). Mam trochę pieniędzy, ale korzystam z nich już parę tygodni i chodzę na przesłuchania do różnych rewii. Wygląda na to, że nic się nie kroi, a jeżeli nawet, to zawsze dla dziewczyn z doświadczeniem w musicalowych komediach.

W każdym razie piszę, żeby Cię uprzedzić na wypadek, gdyby wyszły mi pieniądze. Na razie nie przysyłaj mi żadnych pieniędzy, dopóki nie poproszę, bo kto wie, może dostanę pracę i kryzys minie. Moje nazwisko jest na maleńkiej skrzynce na listy na dole, więc mogę odbierać pocztę - tylko nikt nie pisze, bo nie znam nikogo, kto umie pisać, oprócz Ciebie. Czy zostaniesz moim korespondencyjnym przyjacielem?

Pozostaję z szacunkiem,

Ginnie Maitland

Złożyłem oba listy i umieściłem w swojej szafce. Na świecie, który zostawiłem za sobą, zmieniała się sytuacja. W starym mieszkaniu nastąpiła potrójna zmiana - Jessica na Dona, Don na Ginnie - i jeśli nadzorujący nasz mecz sędzia nie był ślepy, zostałem bezdomny. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Ginnie coś wymyśli. A na razie dziecinne poczucie honoru nakazało mi wysłać dziewczynie trochę pieniędzy - przekaz na sto pięćdziesiąt dolarów i pokrzepiający list: „Tak, będę Twoim korespondencyjnym przyjacielem, jeżeli zostaniesz i pozwolisz się wspomóc. Buziaki z Niby-Niby-Landii - Piotruś Pan”.

Nadeszła niedziela i pojechałem autobusem do Bostonu. Natychmiast po opuszczeniu pojazdu wybrałem zaczarowany numer: 534-9766. Odebrała kobieta, pokojówka. Pani Barringer wyjechała i nie wróci przed połową tygodnia, czy chciałbym zostawić wiadomość? Tak. Proszę przekazać, że dzwoniła kwiaciarnia Greenway i że za jakiś czas zadzwonimy ponownie.

Co za idiota! Co za smarkaty dureń, który nie zatelefonował przed wyjazdem z jednostki. Cóż to za krańcowy brak logiki, żeby przejechać

taki kawał drogi do Bostonu ze szczeniackim założeniem, że moja ukochana leży i czeka na mnie tam, gdzie rosną lilie.

Żywiąc niewielką nadzieję, że może być w USO, poszedłem sprawdzić. Nie miałem szczęścia. Uznając, że nie dam rady wypić przypominającej żyrafie gówno kawy, zagrać w ping-ponga czy prowadzić dialogu z wypucowanymi samochodowym woskiem paniami na posterunku, poszedłem z powrotem na dworzec i złapałem następny autobus; kolejna przygnębiająca trój zamiana - Boston na Shirley, Shirley na Ayer. Właściwie nie zostałem „bezdomny”, raczej „bejjednostkowy”.

Baraki zastałem puste. Tylko dureń siedziałby tam w niedzielę i właśnie na takiego patrzyłem - w lustrze nad umywalką, gdzie ochlapywałem wodą swoją głupią gębę. Kiedy ponownie podniosłem wzrok, w lustrze były dwie durne gęby - moja i Holdoffera.

- Cześć, Hollywood - powiedział, szczerząc do mnie te brązowe zęby w małych sweterkach. Jego oddech uderzył mnie prosto w twarz, skłaniając do ponownego jej splukania — dwie umywalki dalej. Poszedł za mną.
- Nie masz nic do roboty w niedzielę?

- Już to zrobiłem. Kiedy nie patrzyłeś, wsunąłem ci w dupę bombę. Nie zbliżaj się do mnie o piątej piętnaście.

Roześmiał się, parkując swoje wielkie łapsko na moim ramieniu.

- Masz styl, Hollywood. Uważam, że powinniśmy zostać przyjaciółmi.

- Omówmy to o piątej szesnaście. - Straciłem jego rękę i wyszedłem z łazienki, z powrotem do baraku. Szedł za mną jak cień.

Uśmiechnął się i usiadł na łóżku Johnny'ego.

-Hollywood, będą awanse na starszego szeregowca, niedługo... może za parę tygodni. Będzie się liczyć moja rekomendacja. Chcesz zostać starszym szeregowym?

- Ta. W ruskiej armii. Możesz mnie zostawić w spokoju, Holdoffer? A skoro już o tym mowa, weź prysznic. Cuchniesz jak worek starych gaci. I wymyj zęby. Na zębach nie powinien rosnąć mech.

Nie dał się zirytować.

-Masz zadatki na dobrego żołnierza, Webber. Niedługo pojedziemy za granicę. Do czasu kiedy zaokrętuujemy, możesz być kapralem. Lepsza płaca. Żadnych gównianych obowiązków.

Odłożyłem magazyn i spojrzałem na niego.

- Okej. Co mam za to zrobić?
- Być moim szpiegiem.
-Dobra. Możesz mnie uważać za swojego szpiega. Mów mi X dzie-
więć. - Ponownie wziąłem magazyn. - Awansu oczekuję w przyszłym ty-
godniu.

- Wesso chce mnie dorwać. Jest stuknięty i robię się nerwowy. Chodzi
oto, że... - Dłubał w nosie kciukiem. - ...przydałoby mi się wiedzieć z
niewielkim wyprzedzeniem, czy planuje coś, co mnie dotyczy, okej?
Oczywiście zostałyby to poufne jak cholera. Znaczy, nie miałbym z cie-
bie żadnego pożytku, gdybym wygadał ludziom, skąd dostaję informacje.

- Za duże ryzyko.

- Tak myślisz?

-Taa. Gdybym miał szpiegować Wessa, musiałbyś mnie zrobić co
najmniej kapitanem. Chyba że...

- Co?

- Chyba że wspomóżesz ten układ odrobiną gotówki.

- Zapomnij.

- To z umowy nici.

Przemyślał sprawę.

- Ile gotówki?

- Dziesięć dolców za każdą informację, którą przekażę.

- No, nie wiem.

- W takim razie skończmy z tą sprawą.

- Nie. Zróbmy to.

- Dziesięć dolców zaliczki. Jako dowód twojej dobrej woli.

- Pięć.

- Siedem pięćdziesiąt.

- Pięć, Webber. Bierz albo się wypchaj.

-
A co, jeżeli nie uda mi się zebrać żad-
nych informacji?

-
To nie dostaniesz forsy.

- No, nie wiem.

- Co jest, myślisz, że jestem głupi, Webber? Daj spokój. - Zoriento-
wał się, że przemyślałem sprawę i mój opór słabnie. - Tak albo nie, Hol-
lywood. Nie mam całego dnia.

Rozegrałem to jak należy.

- Ale szepniesz za mną słówko? W sprawie awansu?
- Przecież powiedziałem, że to zrobię.
- No dobra - stwierdziłem. - Umowa stoi.

Niektórzy ludzie są głupi, lecz o tym wiedzą i potrafią z tym żyć. To niegłupi głupi ludzie. Głupi głupi ludzie to ci, którzy są tak głupi, że uważają się za niegłupich. Holdoffer nie tylko podpadał pod tę kategorię, zajmował w niej pierwsze miejsce.

Oczywiście powiedziałem o tym Johnny'emu i Tony'emu i kulaliśmy się po podłodze ze śmiechu. I za każdym razem, kiedy mijiałem Holdoffera, ten szeptał do mnie: „Masz coś?“, a ja kręciłem głową, więc odchodził, wzruszając ramionami, jakby chciał mnie ukarać: „Nie ma informacji, nie ma forsy“.

W końcu, żeby pokazać, że naprawdę staram się wygrzebać jakieś informacje, powiedziałem mu o zaniechanym przez Tony'ego planie.

- Luther, trzymaj się dziś wieczorem z daleka od świetlicy. Wesso i dwóch innych chcą cię zaskoczyć, zawinąć w koc i wrzucić do dołu z pomyjami.

Holdoffer uśmiechnął się, wyjął ze zwitka banknot pięcio- dolarowy i kiwnął głową w uznaniu dla tego zdradzieckiego układu. Aby podnieść wiarygodność mojej informacji, dopilnowałem, żeby Holdoffer zobaczył Tony'ego, Johnny'ego i Morgana, wracających tej nocy do baraku z kocem i liną. Holdoffer mrugnął do mnie, jakby chciał powiedzieć „Tak trzymać, dobra robota“.

Nadszedł weekend i z jednostki zadzwoniłem pod 534-9766. Znow służąca i znow ta sama historia - pani Barringer wyjechała. I znow zostawiłem wiadomość, że dzwoniła kwiaciarnia Greenway. Tego dnia nie pojechałem do Bostonu. Wybrałem Leominster, jakieś jedenaście mil od bazy. Nie miałem na myśli nic szczególnego. Chciałem tylko się wyrwać i pobyć sam. Powłóczyłem się dość bezcelowo, bo całe miasto zamarło na niedzielę. Wreszcie po trzech godzinach siedzenia i straszenia gołębi wróciłem do jednostki, gnębiony niepokojącą hipotezą, że urocza pani Barringer tylko się ze mną drażniła i nigdy nie miała zamiaru dotrzymać niewypowiedzianej obietnicy dzikiego i rozpasanego seksu. Ale jednak dała mi właściwy numer. Jeśli jej celem byłoby tylko postawienie mnie na baczność, czemu nie miałyby podać fałszywego numeru? Po co ryzykować, że zadzwonię i powiem coś niewłaściwego temu, kto odbierze te-

lefon? Wszystko to było nieco mylące i doskonale mógłbym się obejść bez tych domysłów.

List od Ginnie Maitland.

Cześć, Ben

Dziękuję za te sto pięćdziesiąt dolarów. Włożyłam je do słoika, który kupiłam za trzy dolary z przesłanej kwoty. Więc teraz w słoiku jest tylko sto czterdzieści siedem dolarów plus parę ćwiartek, które naprawdę muszę zaoszczędzić na pralnię. W każdym razie ciśnienia już nie ma. Po pracy jako kelnerka w pizzerii wreszcie coś znalazłam! *Guys and Dolls*! Mój ulubiony musical! Nie mogę w to uwierzyć! Byłam jedną z czterech wybranych dziewczyn! Zaczynam za dwa dni. Życz mi szczęścia, bo JA SIĘ BOJĘ! No i będę miała parę linijek do powiedzenia! I co Ty na to? Jestem gwiazdą!

Od Dona jeszcze ani słówka, ale muszę powiedzieć Ci o czymś, bo może Ty potrafisz choć trochę wyjaśnić mi sprawę.

Wróciłam do domu z rynku i w mieszkaniu była dziewczyna. Zapytałam, co tu robi, a ona zapytała mnie o to samo. Powiedziałam jej, że tu mieszkam, na co stwierdziła, że ona też, i pokazała mi swój klucz. Ma na imię Jessica i zdaje się, że wie wszystko o Tobie i Donie, i mówi też, że umowa najmu jest na jej nazwisko i na dwie inne dziewczyny, Susan i Alice, i że trzymały ją w szufladzie - i rzeczywiście tam była.

Czy mógłbyś mi to wyjaśnić? Jest stewardesą, ale chyba dopiero bombowiec byłby w stanie oderwać ją od ziemi. No i przyprowadziła ze sobą faceta, kapitana Stykesa, który lata w innych liniach, ale sypia z Jessicą. Umieściłam ich w pokoju Dona i wyjaśniłam Jessice, że jesteś w wojsku, więc przesłała Ci pozdrowienia i zniknęła na noc.

Pytanie brzmi, czy mam z niej ściągnąć część czynszu? A z kapitana Stykesa? Czy powinni płacić za jedzenie, prąd, pościel i tak dalej? I co mam zrobić z kapitanem O'Neillem, który śpi w Twoim pokoju i strasznie się do mnie przystawia? Co wy tu uskuteczniacie i czy mogę mieć kłopoty, bo jestem nieletnia?

Proszę, zadzwoń, bo to szybsze niż list i możesz mnie obciążyć rachunkiem, skoro i tak płacimy za telefon po połowie.

Skonfundowana

Ginnie Maitland

Zadzwoeniłem do Ginnie późnym wieczorem tego samego dnia.

- Ginnie? Tu Ben.
- Ben?
- Tak. Dostałem twój list.
- Ben? To naprawdę ty?
- Tak.
- Bardzo dziwne uczucie.
- To ja.
- To znaczy wydaje mi się, że cię znam. No i siedzę tu, myślę, co zrobić, dzwoni telefon i to ty.
- To ja.
- Łał.
- Gratulacje z powodu *Guys and Dolls*.
- Dziękuję, ale co mam zrobić z Jessicą?
- Nic. Jest twoim gościem.
- Cóż... właściwie jest w porządku. Tylko zachowuje się, jakby była u siebie.
- Bo jest.
- Taa. Wiedziałam, że to powiesz.
- Czy kapitan O'Neill sprawia ci kłopoty?
- Wyjechał.
- Aaaa.
- Jego miejsce zajął kapitan Hennon. Ten to mi sprawia kłopoty.
- Dasz sobie radę?
- Tak sądzę. Tak. Chciałam tylko... potwierdzenia. Od ciebie. Że tak to wygląda.
- Tak to wygląda.
- Czy ja cię kiedyś poznam? Czy dostaniesz kiedyś urlop? To znaczy, chyba za tobą tęsknię. Czy to ma jakiś sens?
- Jakiś.
- To znaczy jest tak, jakbym cię bardzo dobrze znała.

- Naprawdę?
- Jak ci leci z twoją dziewczyną z USO?
- Przepraszam?
- Czytałam wszystkie twoje listy. Mówiłam ci.
- O. Cóż, wyjechała.
- A Holdoffer? Wciąż daje ci popalić?
- Z nim sobie radzę.
- No to nie wiem, co jeszcze powiedzieć oprócz tego, że cieszę się, że zadzwoniłeś i wyjaśniłeś sprawy. Bardzo miło się z tobą rozmawiało. Pozdrów ode mnie Johnny'ego i Tony'ego.
- Tak. Pozdrowię.
- Zadzwoń jeszcze? To miłsze niż listy i możesz zadzwonić na mój koszt.
- Cóż... postaram się. Przy okazji.
- Pa, Ben. Uważaj na siebie, okej?
- Będę. Cześć, Ginnie.

I odłożyliśmy słuchawki. Najdziwniejsza rozmowa świata. Nigdy się nie spotkaliśmy, a jednak wszystko o mnie wiedziała. To było... prowokujące. Żyła tam sobie, mieszkała w moim mieszkaniu, kontaktowała się z moimi przyjaciółmi, przejmowała moim samopoczuciem, a nawet nie wiedziałem, jak wygląda. Wiedziałem tylko, że była tancerką z długimi nogami, i to dość dobrą, żeby dostać się do show na Broadwayu. Kropka.

Kilka dni później - ja piernicę, czarno na białym było na tablicy ogłoszeń. Dostałem starszego szeregowca. Bez względu na to, czy Holdoffer miał z tym coś wspólnego, nie odmówił sobie odcignięcia mnie na bok i przypisania sobie całej zasługi, przypominając mi przy okazji, że ręka efektywnie umyła rękę, na co zasugerowałem, żeby obiema rękoma efektywnie sam się umył, bo jeszcze będzie przechodził w pobliżu jakiś krótkowzroczny grabarz z wrażliwym zmysłem powonienia i, myśląc, że ma do czynienia z trupem, raz dwa go zakopie. Holdoffer uznał, że to bardzo zabawne, i się pośmiał, a jego oddech otulał mnie jak woń hieny.

Tony i Johnny pogratulowali mi, salutując cały czas, i gdyby nie fakt, że pięciu innych szeregowych otrzymało taki sam awans, z pewnością wyleciałbym z programu Poborowy Tygodnia. W rzeczywistości, jeżeli gwardziści chcieli zniszczyć nasz wywrotowy ruch, nie mogli wybrać

lepszego sposobu, niż dać nam awans. W jakiś dziwny sposób z tym dodatkowym paskiem na rękawie byliśmy mniej skłonni do kaprysów. W każdym razie, choć przetrwał, wraz z promocją sześciu najbardziej mściwych członków do przyprawiającej o zawrót głowy rangi starszego szeregowca, program Poborowy Tygodnia otrzymał dobrze wymierzony, jeśli nie ostateczny cios.

Pławiąc się w chwale i chcąc się komuś pochwalić, zadzwoniłem do Ginnie, żeby przekazać nowinę. Dzieciak był na wpół śpiący i z uporem gratulował mi awansu na porucznika. Rozłączyłem się z uczuciem, że los mnie zawiódł.

Potem wybrałem magiczny numer w Wellesley Hills, a co, do cholery. Znów pokojówka i znów upadłem na duchu. Ale zaraz! Co to ma znaczyć? Pani Barringer była w domu? O, niedowierzające serce człowieka małej wiary! Czekałem, starając się wymyślić, co mógłbym jej powiedzieć. Chwalenie się, że dostałem awans na starszego szeregowca miało nagle tyle samo wdzięku, co oznajmienie mojej starej cioci Friedzie, że nauczyłem się jeździć na rowerze. Powiedzenie jej, że ciągle o niej myślałem, mogło się skończyć tylko złożeniem przeze mnie propozycji umówienia się na energetyzujące spotkanie. Poinformowanie jej, że ma piersi jak granaty i że...

- Halo?
- Pani Barringer?
- Tak.
- Kwaciarnia Greenway.
- Kto?
- Kwaciarnia Greenway. No, wiesz.
- Lepiej proszę odświeżyć mi pamięć.
- Ben Webber. Mówiłaś, żebym zadzwonił.
- O... Ben! Jak się masz?
- Świetnie. Nie było cię.
- Tak. Pojechałam na wyspy. Było uroczo.
- Jak miło.
- Co ci chodzi po głowie, Ben?
- Co mi chodzi po głowie?

- Tak.
- Ty mi chodzisz po głowie. Dzwoniłem parę razy.
- Tak. Przepraszam.
- Zostawiałem wiadomości. Jak kazałaś.
- Tak.
- Chciałbym cię zobaczyć.
- Tak., cóż. Ja też bym chciała cię zobaczyć.
- Jestem wolny w niedzielę. Czy mam przyjść do USO?
- Nie.
- Nie?
- Spotkaj się ze mną w hotelu Ritz-Carlton. Wiesz, gdzie to jest?
- Znajdę.
- Mam tam pokój. Numer pięćset trzy.
- Pięćset trzy.
- Pięćset trzy. Kiedy tam będziesz?
- Rano. Między jedenastą trzydzieści a dwunastą.
- W porządku. Nie pytaj o mnie w recepcji. Zaczekaj w holu. Tylko... nie zwracaj na mnie uwagi. Daj mi pięć minut na dotarcie do pokoju, potem wejdź na górę. Przepraszam, ale...
- Rozumiem.
- Pokój pięćset trzy, niedziela. W porządku?
- Tak.
- Ben?
- Tak?
- Pragnę cię... w niedzielę... Do widzenia.
- Do widzenia...
...kochanie. - Powiedziałem „kochanie”, kiedy już odłożyłem słuchawkę. Chciałem rzucić to do telefonu, ale bałem się okazać zbyt śmiały. Co za dzień! Zaliczyłem awans i miałem zaliczyć panią Barringer! Co

za układ! To jak zdobyć dwa złote medale jednocześnie. Jak to się stało, że przeoczyłem moment, w którym wybrano mnie na szczęściarza roku?

Był wtorek. Jeżeli nadejdzie środa, to czy niedziela może być daleko za środą? Czy coś mogło zatrzymać niedzielę? Nic oprócz niestrawności. Wiedziałem, że muszę być zdrowy, masa snu, właściwa dieta. Uważać przy przechodzeniu przez ulicę, ograniczyć słodczy (000-000). Nie pchać palca między drzwi, trzymać się po właściwej stronie Holdoffera. Przejść inspekcję. Sprawdzić rozpisę dyżurów — czy byłem w weekend przydzielony do kuchni? Zajrzałem tam. Nie byłem. Niedziela, jedenasta trzydzieści, Ritz-Carlton, pokój pięćset trzy. W poniedziałek cała ta pierdolona ziemia może sobie wylecieć w powietrze, to bez znaczenia, jeżeli będę miał swoją niedzielę z panią Barringer.

Wtorek przeszedł do historii bez żadnych niefortunnych incydentów, które skalałyby jego pamięć. Tego wieczoru zwałem się do wyra wcześnie, odrzucając propozycję Tony'ego i Johnny'ego dotyczącą kilku piwek i kolejnego filmu z Doris Day w obozowym kinie numer cztery. Byli ciekawi, skąd ta nagła introwersja, ale nie naciskali, bo zaczęli już rozumieć, że mnie się nie da zrozumieć. Wtorkowej nocy nie spałem ani godziny, lecz to była słodka bezsenność, pani Barringer zajmowała mi głowę, serce i inne żywotnie ważne organy.

Środa okazała się pomnikowo jednostajna, nie mogło być lepiej. Kilka kropli deszczu, ale lepszy deszcz w środku tygodnia niż w weekend. W czwartek nadeszły deszcze, oberwały się nad nami gęste, czarne chmury. W czwartek rozpętał się taki potop, że przez trzydzieści następnych niedziel nie powinno padać. Dwadzieścia godzin ulewy zmieniło obozowe uliczki w nieprzebyte bagno. Nawet nieposkromiony jeep, żeby przejechać jard, musiał się cofać o stopę. Byłem zachwycony zapachem świeżo zmoczonej ziemi, tak wilgotnej i czystej. Czwartek był inspirujący i nurzałem się w nim, brnąłem przez niego mozolnie jak ubłocony kretyn, taplając się w nim jak Tomek Sawyer, pożądając go jak John Silver skarbu.

Piątek? Piątek nie był dobrym dniem. W piątek skończyło się moje szczęście. W piątek błoto zmieniło się w gówno, a gwiazdy w żółć.

Jakiś durny generał (czas litościwie zatarł w mojej pamięci jego nazwisko), nie mając nic szczególnie ważnego do roboty, wybrał piątek, by odkryć, że ludzie z 42. grupy kwatermis-trzowskiej nigdy jeszcze nie

odbywali ćwiczeń bojowych. Uradowany tą wieścią, bo do tej pory dzień był taki nudny, generał zadzwonił do pułkownika Cranstona i wytknął mu przeoczenie. Pułkownik Cranston, heroiczny lizidupek, z szybkością błyskawicy oznajmił, że czekał tylko na równie surową pogodę, żeby zaplanować te manewry o podstawowym znaczeniu, i bezzwłocznie do nich przystępuje, co też zrobił, gdy tylko skończył zapewniać generała, że kiedy ten zadzwonił, właśnie wypisywał na maszynie stosowy rozkaz.

Dostaliśmy wszyscy nędzne piętnaście minut na zakończenie wykonywanych zajęć (w moim wypadku chodziło o podlewanie miniaturowej sosny w doniczce, należącej do pułkownika Beakinsa). Naprawdę wszyscy - gwardziści, zawodowcy, poborowi i rezerwiści, a ci ostatni klęli przez całą drogę do miejsca, gdzie ta niegodziwość miała się odbyć. I to naprawdę klęli, ponieważ robili to już w warunkach bojowych lata temu i oto znowu, u kresu swej wojskowej kariery, musieli, obciążeni pełnym wyposażeniem, pokonać odległość trzech mil od jednostki, bo wybrane do tego zadania wozy transportowe utonęły w błocie po osie, gdy tylko zaryzykowały opuszczenie parku maszynowego.

Tak więc w dyrdy przez błocko, z breją wlewającą się górą przez cholewki butów bez względu na to, jak starannie podwijaliśmy i zabezpieczaliśmy mankiety spodni polowych mundurów. Pięć kroków poza teren obozowy i równie dobrze mogliśmy iść boso. Jedyna różnica między bagnem na zewnątrz i bagnem w naszych butach polegała na tym, że bagno w butach było cieplejsze - i związane na sznurowadła.

Słońce świeciło niestosownie jasno, podgrzewając szaleństwo tego, co robiliśmy, obnażając nasz niepokój. Od pasa w górę błoto wyschło i stwardniało jak krowie gównu, zostawiając nam swobodę ruchów, porównywalną do swobody gipsu w formie modelarskiej. Od pasa w dół błoto płynęło i ciekło jak pudding, który się nie ściał. Ślizgaliśmy się, potykaliśmy, padaliśmy, klęliśmy i zaczynaliśmy od nowa - i dobrnęliśmy na miejsce bez śladu satysfakcji z naszego dokonania.

Jedynym pojazdem, który dotarł na teren poligonu, był ambulans. Bez sanitarki nie mogło być ćwiczeń. Takie przepisy. Zaparkowała z boku, obsadzona przez trzech ludzi - łysego kapitana i dwóch znudzonych sanitariuszy.

Tego dnia nie zjawił się żaden z naszych oficerów, ponieważ nagle mieli tysiące spraw do załatwienia; w tej sytuacji sierżant Luther Hol-

doffer poprowadził nas do boju. Człowiek mniejszego formatu nie byłby w stanie tego zrobić. Człowiek większego formatu wcale by nie próbował. Tylko Holdoffer potrafił się tym cieszyć, wygłaszając do nas mowy, przeklinając nas, biegając wzdłuż szeregu jak diabeł wcielony, tłamsząc nas siłą swojej woli, nawet nasz sukces wykorzystując przeciw nam.

Zapadanie się z bulgotem w całym tym odwiecznym szlamie było tak poniżające, tak upokarzające, że przestaliśmy nawet narzekać. Staliśmy w zabłoconych grupkach po trzech czy czterech, jakbyśmy czekali na natchmiastowe rozstrzelanie, i wszystko pasowało do sytuacji, bo jako głupcy zasłużyliśmy na śmierć już choćby z tego powodu, że ulegliśmy i daliśmy się tu przyprowadzić.

Przed nami znajdował się poligon bojowy. Jakies czterdzieści jardów szerokości i sto długości, jak boisko do futbolu. Tylko żaden Bronko Nagurski* ⁶³ nie dałby rady go przebiec. Wszędzie był drut kolczasty, rozpięty w sposób przypadkowy, całkowicie bez planu, bez żadnej koncepcji, po prostu drut kolczasty, groźne skrzyżowania stali zaprojektowanej po to, by zaatakowana głową, rozdzierała ciało.

No i były tam kamienie. I dziury. I zagłębienia z wodą, i rowy - wszystko wypełnione kleistym błotem. To nieludzkie pole wyglądało tak, jakby pięciokrotnie odbyła się na nim bitwa pod Verdun, jakby Francuzi i Niemcy posiekali się na nim na plasterki, posłuszni rozkazom jakiegoś głupiego oficera z gwizdkiem i pistoletem, przeskakując z okopów na pieńki drzew. Miałem wrażenie, że cofnąłem się do roku tysiąc dziewięćset siedemnastego i że tysiąc dziewięćset osiemnasty nigdy nie nadejdzie.

Przodem do tego wszystkiego, dokładnie na środku linii końcowej, stał karabin maszynowy kaliber trzydzieści, z polem rażenia wyraźnie okrojonym przez prostokątne drewniane ograniczniki, pomiędzy których wystawał. Na boki mógł się poruszać dość swobodnie. Był w stanie ostrzeliwać większą część poligonu, przesuwał się poziomo, ale dwie pionowe podpory, jedna po lewej, druga po prawej, nie pozwalały mu poruszać się dalej na boki i w ten sposób wyjść poza teren ćwiczeń. W pionie karabin nie mógł się poruszać. Dwa pionowe szczeble, jeden nad lufą, a drugi pod, oba biegnące równolegle do wyobrażonej linii celu, nie po-

⁶³ B. Nagurski, zawodowy futbolista, w latach 30. grał dla Chicago Bears.

zwały na odchylenie w pionie ani o cal. Pociski miały zasypywać teren dokładnie na poziomie lufy, trzydzieści sześć cali nad ziemią. Wszystko poniżej trzydziestu sześciu cali nie mogło zostać trafione; wszystko powyżej musiało się liczyć z odstrzeleniem dupy.

Obsługę stanowił doświadczony (sądząc po naszywkach na rękawie) facet, który miał paski kaprała i problemy skórne. Siedział za bronią i stapał się z nią w jedną całość, był pomalowany na czarno i nie dało się stwierdzić, gdzie kończy się karabin, a zaczyna człowiek. Nie nosił stroju maskującego, ale nieodpowiedni na tę okazję mundur w kolorze khaki, najwyraźniej równie nagle jak my odwołany od swoich prac biurowych. I wydawał się bardziej zainteresowany tym, żeby nie zabłócić sobie munduru, niż przygotowaniem broni do zaplanowanego zadania.

Oficer nadzorujący poligon, kapitan, też sprawiał wrażenie lekko wkurzonego, że musi tu być tego dnia. On też miał na sobie wyjściowy mundur i poczułem zaniepokojenie, że tak bezwstydnie okazuje brak zainteresowania tym, po co się tutaj znalazł, ponieważ to od jego umiejętności udzielania instrukcji zależało nasze życie. Żaden oficer nigdy nie miał takiego posłuchu. Żaden oddział nigdy nie był tak nerwowy.

Sierżant Luther Holdoffer, który sam nigdy nie przechodził szkolenia bojowego, kazał nam się skupić.

- Okej, ludzie, spójrzcie na mnie. To oficer zarządzający, kapitan Mackie. On wam wszystko wyjaśni, więc uważajcie, żeby mógł wam wszystko wyjaśnić. Kapitanie Mackie...

Kilku idiotów z tyłu zaczęło klaskać. W żaden sposób nie przyczyniło się to do uszczęśliwienia kapitana. Flegmatyczny, niewzruszony i brzuchaty oparł ręce na biodrach i zwrócił się do nas dialektem tak „pudniowym”, że usłyszeliśmy coś jakby klekot odziarniarki do bawełny.

- Może nie uznacie, że to take zabawne, kedy ten dzień się zkończy.

- Uspokoić się - kwiknął Holdoffer. - To dla waszego własnego dobra, więc uważajcie, wy sksyny.

Mackie mówił jednostajnie, nudno i oficjalnym językiem, jakby czytał protokoły z zeszłego roku. Musieliśmy nieźle się wysilać, żeby go słyszeć, i, plus minus trochę angielszczyzny, brzmiało to mniej więcej tak:

- Te tu manewry odbendo sie we dwu rzuda. Napierw przeńzicie poligon bez oszczału. Taky bjek na sucho, żeby zapoznaż waz z przeszkodamy po drodze. W drugjim rzudzicie to pod oszczałem, we wa-

rungach bojowy. Genranie konzebza jez taka, żeby robić to szybko, dlatego za drugim razem zrobicie to jeszcze szybciej.

Odwrócił się do nas plecami, stając twarzą do poligonu, więc jego głos był kompletnie zniekształcony.

- Ten tu to karabij masznowy załadowany jez pociskami, mienzy którymi som podzizgi zmurowe, zostano wyszczelone co kika serii. Zobaży-
cie je nad głowamy. Trzymacie tyki przy ziemji i niz wam nie benzie. Co
do drutu koczastego - jedn żonierz leży na pleza i trzyma drut koczasty,
poczaz gdy drugji przeźlizguje sie pod nim i ta dali. Wyzokoż wynozi
trzjści szeż cali, poniżej niz wam nie benzie, ale powyżej dostaniezie w
dupe tak, że tyki wam poleco na ksienżyz i wyżej. Trzymacie broj tak,
żeby nie zabruziż jej błotem. Jak zapchazie broj błotem, benziezie muzie-
li powtarzaż trasę. Wejżzie na poligon jez z okopu w prawym rogu. Pó-
ziezie w grupach po dziesięjziu luzi, dokłanie w przeciwno stronę niż tera
patrzę. Mazie sie rozproszyć, śrenio trzy - cztery jardy odległozie mienzy
luźmi. Kedy usyszczie gwizek, przechozicie przez okop i posuwazie sie
w te stronę. Dokłanie na wproz karabinu jez naztepnny okop. Dotrzezie
tam i mazie zpokój. Po prostu wskakujezie i wypeł-
zazie. Wtedy rusza
naztenpna grupa.

Niczym ceszar, który przemówił na rzymskim forum, kapitan Mackie ostrożnie ruszył przez błoto do miejsca, gdzie stał jego jeep z kierowcą. Wspiął się do środka, wytarł błoto z mankietów spodni, dał Holdofferowi jakiś sekretny znak, a potem usiadł na tylnym siedzeniu, jakby go wcale nie było.

- Okej! - wrzasnął Holdoffer. - Słyszeliście, co powiedział. Pojedyn-
czym rzędem do okopu po prawej i potem do końca naprzeciwko. Ruszać
się. Ruszać!

Podporządkowaliśmy się jak niewolnicy ciągnący galery po Nilu, idąc w głębokiej po kolana bagiennej mazi przez boczny okop do tylnego.

- Świeże gównno. Dokładnie w to się pakujemy. - Nieszczęśliwy Tony
szedł przede mną. - Pograżamy się w świeżym gównnie. -1 krzyknął do
pozostałych: - Nie jedzcie tego gównna, ludzie.

Johnny starał się zostać w tyle i przytrzymał także mnie.

- Idziemy ostatni.

- Zwariowałeś - stwierdziłem. - Ostatni zapadną się w to gównno wy-
żej głowy. Wszystko rozmięknie. Utopimy się.

- Nie - zaprzeczył Johnny, odciągając w tył także Tony'ego. - Przy tym biegu na sucho chcę zobaczyć, pod którymi drutami najłatwiej się przepchnąć, a pod którymi się utknie. A przy drugim rzucie chcę zobaczyć, gdzie eksplodują ładunki.

- Jakie ładunki? - zapytałem.

- Są wszędzie poumieszczane - stwierdził Johnny. - Upchnięte między skałami, rzędami ułożone pod drutem. Nie można ich dotknąć i nikt nie zrania, ale jeżeli wybuchną, kiedy znajdziesz się w pobliżu, zęby ci będą latać luzem i przez tydzień będziesz głuchy.

- Gdzie one są? - dociekałem. - Nic nie widzę.

- Powinny być oznaczone wapnem, ale dziś to tu nie ma żadnego wapna - wyjaśnił Johnny.

- Johnny, jeżeli wstaniesz i będziesz się rozglądał, kiedy wybuchną...

- Nie. Pociski smugowe pokażą, w którą stronę przesuwa się karabin maszynowy. Kiedy będą lecieć w drugą stronę, mogę wystawić głowę i się rozejrzeć. Słuchaj, tępaku, rób, co ci mówię.

Jedno trzeba Johnny'emu przyznać, że kiedy mówił, że coś wie, to wiedział i żaden śmiertelnik nie powinien tego kwestionować. Tony i ja zostaliśmy z nim z tyłu. Mieliśmy pójść jako ostatni, co pozostałym zupełnie odpowiadało, bo jak ja uznali, że najlepiej iść na początku.

Pierwszych dziesięciu ludzi skrzyło w lewo do tylnego okopu i zajęło zalecane pozycje. Johnny oparł się wówczas o ścianę okopu i wytknął głowę, żeby przeprowadzić rozpoznanie. Rozległ się gwizdek i pierwsza dziesiątka ruszyła w górę i przed siebie. Też chciałem zobaczyć, więc wystawiłem głowę obok Johnny'ego, a głowa Tony'ego pojawiła się obok mojej.

- Pierdzielone karabiny całe w błocku - stwierdził Tony, starając się wytrzeć lufę do czysta.

- Wszystkie są zapchane błotem - powiedział Johnny. - Daruj sobie.

- Będziemy musieli to zrobić jeszcze raz - przypomniał Tony.

- Wszyscy będą musieli zrobić to jeszcze raz. Nie przejmuj się karabinem, ale swoją dupą. I zamknij się. Tylko patrz.

Obserwowaliśmy, jak pierwsza dziesiątka zaczyna swoją drogę przez poligonową mękę, niektórzy z kuprami tak wysoko, że gdyby walił karabin maszynowy, odstrzeliliby im co najmniej manierki. Słyszeliśmy ich mruczenie, słyszeliśmy, że gadają, informują się, któredy iść, kto ma

trzymać drut, czy ktoś widział karabin luzem? Niektórzy z tych idiotów nawet chichotali.

- Kiedy my pójdziemy - stwierdził Johnny - żadnego gadania. Tylko gesty i sygnały ręką.

- Dlaczego? - Tony zadał to pytanie, zanim ja zdążyłem to zrobić.

- Bo przy drugim rzucie karabin będzie w ruchu i niczego nie da się usłyszeć. Zobaczcie, gdzie jest Pollar. Tam drut jest najluźniejszy. Patrzcie tylko, nawet gruby Morgan przeszedł. - Johnny komentował na bieżąco, wskazując to, co miało się przydać, gdy nadejdzie nasza kolej. Jedy-
nym hałasem, jaki nam przeszkadzał, były głosy nawołujących się, klnących w błocie żołnierzy, i oczywiście Holdoffer na drugim końcu, wywrzaskujący swoje własne fachowe spostrzeżenia.

- Stovall, Morelli, Kirkpatrick... macie dupy w górze! Niżej z nimi! Ranson, ty kretynie, przytrzymaj drut dla następnego! Ruszać się! Ruszać! To gównem tężeje, w życiu stąd nie wyjdziecie!

- Najlepsze miejsce dla nas jest na końcu, jakieś dziesięć jardów za środkiem. Tam jest niżej. Łatwiej nam będzie przejść pod drutem. - Znowu Johnny.

Holdoffer się nakręcał.

- Kto to? To ty, Fusco? Nie jesteś taki stary! Ruszaj się! Newland, Aronson, Lightman, to nie kąpiel upiększająca! Przestańcie w tym leżeć! Wyłazić stamtąd! Ruszać się! Ruszać!

- Okej - powiedział Johnny. - Poskładałem wszystko do kupy. Trzymajmy się tylko razem, w trójkę. Tak jest lepiej niż we dwóch.

Pierwsza grupa szlamiarzy ukończyła przejście. Zajęło im to cztery minuty. Z pluskiem wpadli do okopu z przodu, poniżej stoicko spokojnego karabinu maszynowego, niektórzy głowami do przodu, inni tak wysoko machając nogami w powietrzu, że gdyby znaleźli się w ogniu, mieliby nogi odstrzelone na wysokości kolan.

- Nie róbcie tego w ten sposób - odezwał się Johnny. - Kiedy dotrzecie do przedniego okopu, przetoczcicie się do niego bokiem. Zsuńcie się do środka, nie skaczcie.

Wyjrzałem, żeby sprawdzić, co się dzieje z tyłu, w jeepie kapitana Mackiego. Nic się nie działo. Facet zdjął czapkę i wystawił twarz do słońca. Opalał się. W ambulansie łysy kapitan i jego dwóch podwładnych przeżywali trudne chwile, starając się opanować śmiech. Czułem się tak,

jakbym trafił do rzymskiego Koloseum. Obywatelom podobał się spektakl, ale chrześcijanie nie byli specjalnie zachwyceni.

Holdoffer dmuchnął w swój gwizdek i następna dziesiątka przeszła górą na poligon. Do tego czasu trasa stała się znacznie bardziej błotnista i w mgnieniu oka twarze umazały się tak samo jak mundury. Wszyscy przypominali wijące się ranne aligatory. Nawet Holdoffer nie potrafił ich rozróżnić i kiedy kogoś rugał, nie mógł tego robić po nazwisku. Zostawało mu tylko „Ty tam! Opuść tę pierdoloną głowę! Ten po lewej - gratulacje! Właśnie straciłeś dupę! Ruszać się, czarnuchy! Ruszać się, pierdoleni czarni bambo!”.

Johnny miał kolejny szereg uwag, których Tony i ja wysłuchaliśmy z uwagą, podobnie kilku innych ludzi w pobliżu. Nie było już więcej śmiechów. Komedia dobiegła końca. Dotarła do nas świadomość, że możemy zostać zabici. Druga grupa przeprawiła się w pięć czy sześć minut. Zasadniczo popełnili te same błędy co pierwsi, błoto wydłużyło czas przejścia. Szkoda, że nie znalazł się oficer, który wskazałby im te błędy.

Rozległ się gwizdek i następna grupa zniknęła za okopem i, cholera, prawie utonęła w brei, która była bardziej płynna niż stała i świetnie zalewała płuca.

Przyszła kolej na naszą grupę. Prześlizgnęliśmy się wierzchem i rozejrzeliśmy się po sięgającym nam do wysokości ust bloku.

- Nie krzyczcie, bo porobicie fale - zagulgotał Tony, cytując puentę bardzo starego dowcipu. Ledwie byliśmy w stanie rozpoznać drut kolczasty. Ciągnięty, szarpany, pokryty błotem tak idealnie wtopił się w brązową mokrość, że właściwie nie można było zobaczyć zwojów, dopóki się człowiek na niego nie wpakował. Johnny jednak dobrze wbił nam do głowy trasę. Szedł pierwszy, potem ja, potem Tony. I byliśmy niezli. Płasko rozciągnięci i szybcy, zgodnie współpracujący, prześlizgiwaliśmy się pod drutem, po błocie, porozumiewając się bez słów. Dotarliśmy do frontowego okopu i przeturlaliśmy się do środka. Nie patrzyłem na zegarek, ale poszło szybko, wyraźnie szybciej niż reszcie grupy. Nawet Holdoffer był pod wrażeniem, kiedy przyglądał się naszej trójce wyłaniającej się niczym wytrawni bojowcy.

- Kto to taki? - zapytał Holdoffer. - A, Polaczek, meksyk i żydek. (Mrugnął do mnie, jakby chciał powiedzieć „Nazywam cię żydkiem, żeby stworzyć pozory”). - Całkiem niezłe, całkiem niezłe. - Wrzasnął do

reszty grupy, która wciąż mozoliła się w błocie: - Wy dupki! Pozwoliliście, żeby te trzy worki gówna wzięły was na mecie! Do czego, kurwa, zmierza ten świat?

Wstaliśmy i zeskrobaliśmy z siebie błoto, posługując się rękoma jak samochodowymi wycieraczkami. Zauważyłem, że Johnny na coś patrzy, więc Tony i ja też spojrzeliśmy. Jedna z podpórek wspierających ograniczniki karabinu maszynowego lekko osiadła w rozmięklej ziemi - dość głęboko, żeby w czasie ostrzału lewej strony (strony, z której my mieliśmy się znaleźć) pociski leciały na wysokości nieco mniejszej niż przepisowe trzydzieści sześć cali. Na tej samej zasadzie przy ostrzale po prawej prześwit byłby trochę większy niż trzydzieści sześć cali. Zakładając, że podpórki nie zapadną się w błoto jeszcze bardziej, różnica po każdej stronie wynosiłaby nie więcej niż cal. Ale to mógł być ważny cal. Johnny trącił mnie łokciem.

- Zmiana planów. Idziemy na wyższą stronę. - Kiwnęliśmy z Tonym głowami.

Przejście na sucho (choć sucha to ono nie było) zostało ukończone i kapitan Mackie raczył zejść ze swojej grzędy. Wybierając drogę do nas, zgromadzonych w kupie szlamiarzy, szedł na paluszkach, jak przez tulipany, żeby niepotrzebnie się nie ubłocić, i ponownie przemówił:

- Byo w przonku. Ale nie wijerze, że jez tu choź jen suchy karabij, wienz chyba beziezie muzsieli zrobiź to jesze raz.

I zrobiliśmy. Od początku. Kolejną trasę „na sucho”. Było nam już wszystko, kurwa, jedno. Słońce zachodziło i mokradła zaczęły się wychładzać. Gdyby człowiek mógł dostać artretyzmu i lumbago po jednorazowym przebywaniu w takich warunkach, do wschodu księżycy bylibyśmy zgięci w obwarzanek.

Kiedy wygrzebaliśmy się z błota po drugim przejściu, Johnny, Tony i ja przyjrzeliliśmy się podpórkom karabinu maszynowego. Wyglądało na to, że dalej się nie osunęły.

- Wydaje się, że jest okej - powiedziałem do Johnny'ego.
- Zaczekaj, aż ten pierdolony karabin zacznie strzelać - odparł.
- Nie powinniśmy im zwrócić na to uwagi?
- Pewnie tak.
- Chcesz, żebym ja to zrobił?
- Holdoffer jest twoim przyjacielem, nie moim.

- Okej.

Kapitan Mackie, który przesiedział w jeepie drugi rzut na sucho tak samo jak pierwszy, znów szedł do nas na paluszkach, gdy odciągałem Holdoffera na bok.

-Słuchaj, Luther - powiedziałem - ten karabin maszynowy przechyli się na lewo, kiedy zaczniesz strzelać. Może powinieneś pokazać to Mackiemu.

- Wymyśliłeś to sobie, Hollywood.

- Popatrz na podpórkę. Już się zapadła o cal.

- Tchórzysz, Hollywood?

- Nie, nie tchórzę, cuchnąca gębo, jestem po prostu spostrzegawczy. - Skurczysyn wkurzał mnie swoją konkursową głupotą i w całym tym zimnie i żalonym położeniu po prostu się wściekłem. Stary wybuchowy temperament Webbera.

Holdoffer popatrzył na mnie, mrugając ze zdenerwowania.

- Coś ty powiedział, Webber?

- Powiedziałem, że jesteś gównozjadem i pierdzielcem i dla poparcia tego stwierdzenia rano otrzymasz ode mnie pismo.

Pchnął mnie.

- Parkuj dupę z innymi, żydku. - I znów mnie pchnął.

- Co jest? - zapytał kapitan Mackie, który zdążył już do nas dojść.

Holdoffer nie tracił czasu.

- Ten człowiek nie chce więcej tego robić, kapitanie. To tchórzliwy mały żydek i...

- No, no, sieżanie - powiedział Mackie, nagle wcielona tolerancja. - Nie trzeć nam raziztoskiego ubliżania. - A potem spojrzał na mnie i nie był już taki tolerancyjny. - Zrobicie to, żonierz, bo jak nie, to zarobicie dwa i pół roku w pudle, jak sonze.

-Podpórki karabinu maszynowego zapadają się w błoto, panie kapitanie...

Holdoffer mi przerwał.

- Nie zapadają, proszę pana. Próbowałem tego ze mną. Porównałem je i się nie zapadają. On po prostu nie chce tego zrobić.

Mackie znów był tolerancyjny... ledwie.

-Wiem, że sie boisz, chopcze. Ale zaczyna sie ziemniaż i nie mamy czasu na tchórzoswo. Skoro sieżant mówi, że spraził karabin i jez w przonku, mnie to wystazy, wienz...

- Panie kapitanie - nalegałem jak uparte dziecko - gdyby pan sam go sprawdził, z pewnością...

I Mackie wybuchnął.

- Niczego nie bendem sprazał, chopcze! Możesz wrazaż do szeregu, do reszty, abo trawiz przed sond wońskowy i nawet góny rabin Jerozolimy nie uratuje twojej żwińzkej dupy. - Po prostu musiał się uśmiechnąć z własnego dowcipu.

Sens, żebym dalej naciskał, szybko się ulatniał, zwłaszcza że stojący parę stóp ode mnie Johnny miną i gestykulacją wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że powinienem porzucić temat i żyć dalej.

-Tak jest - powiedziałem kapitanowi Mackiemu. - Ale jeżeli rzeczywiście się ześlizgnie, doprowadzę do tego, żeby inspektor generalny jednostki rozważył tę kwestię i...

- Do szeregu, żydku! - rozkazał Holdoffer, popychając mnie tak mocno na Johnny'ego, że obaj prawie się przewróciliśmy. Tony nas złapał i uchronił przed jazdą na brzuchu w bagnie.

- Głupie gnoje - zamruczałem.

Tony pomagał mi stanąć prosto.

- Daj spokój, Ben. Niczego nie wywalczysz.

- Pierdolona głupota, jak choroba! - Byłem taki zły, że się trząsałem, moje ręce zaciskały się i prostowały, jakby chciały kogoś uderzyć. Niezupełnie nad nimi panowałem.

Kapitan Mackie zainauguował kolejną część dnia.

- Bazo dobrze, żonierze. Te dwa przeżcia na sucho dziaują na waszo korzyż. A tera czaz, żebyżie to zrobili z ostro amunicjo. To niz wielkego, róbzie to samo, co poczaz dwó poprzenich razów, i pamientazie, żeby cay czaz leżeż puazko na ziemi, bo karabin maszynowy zmiecie wszystko, co za bardzo wyztaje. Musze was uprzezić, że co jakiz czaz, w niergulany odstempa, bendo odpalane ładuki, ale... jeżeli beziezie uważaż, co robi-zie... nie powinny zpowodoważ żanych obrażej. Prósż kontunuoważ, sieżanie.

I Mackie zaczął na paluszkach wycofywać się do swojego jeepa. Ale wieczór zaczął się oziębiać, a jeep był odkryty, więc rzucił okiem na am-

bulans i, widząc, że dwaj sanitariusze i łysy kapitan bezpiecznie schronili się wewnątrz pojazdu, wykonał zwrot (na paluszkach) i dołączył do uprzywilejowanego trio w ciepłej i suchej sanitarce. Tym samym kapitan Mackie zniknął nam z oczu i z posterunku.

Wszyscy zeszliśmy do bocznego okopu, trzeci raz. I znów Tony, Johnny i ja, powstrzymywani przez Johnny'ego, zostaliśmy z tyłu, patrząc na innych, z trudem podążających na czoło kolejki.

- Nie powinniśmy pójść pierwsi i mieć w cholere z głowy? - zapytał Tony.

Johnny pokręcił przecząco głową.

- Pierdolony karabin może się zapaść, kiedy zacznie ostrzał.

- Ale jak nie - stwierdziłem - może się zapaść przy ostatniej rundzie.

- Możliwe - przyznał Johnny. - Nie wiem. Może się zapaść w każdej chwili albo wcale. Zależy, jak się uda.

- Nie powinniśmy powiedzieć wszystkim, żeby trzymali się lewej? - zapytał Tony.

- Do jasnej cholery, Tony! Każdy dureń pilnuje własnego tyłka! - Pierwszy raz widziałem, że Johnny się rozzłościł, i trochę mnie to zderwowało, poczułem się tak, jakbym patrzył na drżące skały Gibraltaru.

- Nie możemy mieć wszystkich po jednej stronie! - ciągnął Johnny. - Pełzalibyśmy jeden po drugim! - Złagodniał, udał, że się uśmiecha. - Słuchaj, spokojnie. Może nic się nie stanie. Po prostu trzymajmy się tej strony i przejdźmy przez to gówno, najszybciej jak się da. W ten sposób...

Rozległ się gwizdek i ludzie z pierwszej grupy przeszli górą na poligon, nie jak zintegrowana grupa żołnierzy, ale jak motłoch, dziwne robaki, które mało co rozumieją. I rozpętało się piekło. Przede wszystkim usłyszeliśmy karabin maszynowy, warczący niczym wielki świder przy mikrofonie, rozdzierający powietrze i wprawiający w dygot drzewa. Potem zobaczyliśmy zapowiadane pociski smugowe, które wyciągały się niczym fosforyzujące palce i wskazywały kierunek ostrzału w dziesięciojardowych interwałach, świecąc purpurowym światłem tak nisko, że wydawały się lecieć na poziomie gruntu. Rozpryskiwały się nad poligonem jak krople wody z ogrodowego zraszacza, przenosząc się z lewej strony na prawą i z powrotem. Facet obsługujący karabin znał się na swojej robocie, podpórki najwyraźniej trzymały. Kiedy pociski smugowe za-

wisły nad dalszą częścią trasy, wytknęliśmy głowy jak świstaki, żeby zobaczyć, co dało się zobaczyć

Ludzie leżeli w błocie tak głęboko, namiętnie przeciskając się do Chin, że w żaden sposób nie mogli zostać trafieni. Miałem też pewne podejrzenia, że nasz strzelec jakoś uniósł karabin, bo pociski bardzo szybko zaczęły sprawiać wrażenie idących kursem o zauważalnie wznoszącej się linii, na końcu pola ostrzału znikwały mniej więcej na wysokości pięciu stóp powyżej poziomu gruntu. Spodobało mi się, że ktoś tam ma trochę rozumu i nasi kumple, niezdający sobie sprawy z tego, że jeśli tylko nie podskoczą i nie zaczną śpiewać *Apple Blossom Time*, nie mają się czego obawiać, mimo wszystko odbywają manewry w podziwu godny sposób. Pociski smugowe zawróciły i zaczęły zbliżać się do nas, więc się schowaliśmy.

Wybuchło kilka ładunków, nie tak głośno jak by mogły, gdyby nie były zagrzebane w błocie, a mimo to wystarczająco donośnie; kiedy purpurowe błyski rozpostarły się nad odległą częścią terenu, znów wystawiliśmy głowy, żeby zobaczyć, jak nasi chłopcy radzą sobie z tym wszystkim.

Radzili sobie nieźle, pchali się przez ten błotnisty interes, czołgali w błocku, przytrzymywali druty jeden dla drugiego, pomagając sobie nawzajem, i w jednym krótkim momencie zrozumiałem, dlaczego Ameryka dobrze się sprawiła w czasie swoich wojen. Otóż dlatego, że przeciętny szeregowy, człowiek najniżej postawiony w hierarchii wojskowej, czy to dzięki instynktowi, czy odruchowi warunkowemu, nawet dowodzony przez gnojków i głupków, potrafił zatroszczyć się o siebie w parszywej sytuacji. Złapałem się na tym, że zagrzewam ich dość głośno, żeby pomiędzy odgłosami strzelaniny i własnymi okrzykami nie słyszeć drażniących ryków Holdoffera.

Pierwsza grupa przeszła bez incydentów, jakimś cudem wiedząc, że nie należy skakać do okopu, tylko się do niego zsunąć; instynkt zatryumfował nad paniką, coś wspaniałego. Karabin maszynowy odpuścił i obserwowaliśmy, jak strzelec zakłada następną taśmę z amunicją. Wybuchy też ustały. Pamiętam, że odpalono tylko cztery, najwyżej pięć sztuk.

- Sześć - powiedział Johnny i zrozumiałem, że wiedział.

Rozległ się gwizdek i kolejnych dziesięciu ludzi przeszło górą. Znów zagrzechotał karabin. Poleciały pociski smugowe, wybuchły trzy ładunki,

wszyscy dopingowali - i wszyscy przeszli. To była gra i dobrzy faceci wygrywali.

Trwało to do chwili, gdy zostały dwie grupy. Tony, Johnny i ja należeliśmy do ostatnich, którzy mieli iść. Przenieśliśmy się do tylnego okopu, zajmując miejsce ludzi, którzy przeleźli na górę, kiedy odezwał się gwizdek. Pociski smugowe wciąż świstały nad poligonem i przelatowały nad naszymi głowami na tej jakże wygodnej wysokości pięciu stóp. Było zupełnie oczywiste, że nikomu nie stanie się krzywda, więc wstaliśmy i wyjrzeliliśmy znad brzegu okopu niby widzowie z łoży. To był błąd.

W chwili gdy Johnny powiedział: „Trzymajcie się lewej”, bo Tony i ja byliśmy za daleko na prawo, podpórka karabinu maszynowego zapadła się w błoto, jakby wbita młotkiem. Zauważyłem pociski smugowe nagle przecinające ciemność pod zbyt ostrym kątem i głowa Tony'ego odfrunęła, jego hełm dzwonił jak gong na strzelnicy.

Nie mogłem w to uwierzyć. Wciąż stał obok mnie, wciąż trzymał swój zabłocony karabin, ale nie miał głowy i krew tryskała z żył w jego szyi. Pieniła się i spływała po polowym mundurze pokrytym błotem, po spodniach, mieszając się ze szlamem na dole - cała ta drogocenna krew. Chwyciłem tę szyję obiema rękami, próbując ją zakryć, powstrzymać krew przed wypływaniem, lecz nie zatrzymała się, sikała mi przez palce, bluzgała, tętniła, popychana przez wściekle serce. Szalałem, krzychałem do bezgłowego ciała „Przestań, Tony! To nie jest zabawne! Przestań!”.

Johnny odciągał mnie na bok. Spojrzałem mu w twarz, była nieruchoma. Wrzeszczałem, przyciągając ciało Tony'ego do siebie, starając się je naprawić, ukołysać, jakby to było moje dziecko.

Ostrzał ustał. Rozejrzałem się po ludziach stojących ze mną w okopie, po ich twarzach. Wszyscy wyglądali jak śmierć z zapadniętymi oczami, zgromadzeni w jednym miejscu niby czaszki w chacie kanibala. Niektórzy odwrócili się, jęczeli i padali. Niektórzy wymiotowali.

Spojrzałem na Johnny'ego - Johnny'ego Muneza - pełnego chłodnego spokoju.

- Puść, Ben. - Głos miał tak opanowany, że stłumił moją histerię. I wypuściłem Tony'ego z uścisku, a Johnny wziął go ode mnie, delikatnie pozwalając Tony'emu opaść do pozycji siedzącej... bezgłowy żołnierz odpoczywał. Spocznij żołnierzu. Spoczywaj.

Potem zaczęły się przebijać dźwięki. Płacz. Jęki. I nie wszystkie dochodziły z naszego okopu. Niektóre dobiegały z góry. Johnny mnie uspokajał.

- Nic ci nie jest, Ben. Nic. Ben?

- Nic mi nie jest.

- Wiesz, co się stało?

- Podpórka puściła.

- Zgadza się. - Wyrzwał na górę i zrobiłem to samo. Ludzie po naszej lewej pełzali na wszystkie strony, niektórzy ku linii końcowej, inni do bocznego okopu, niektórzy z powrotem do nas. Ludzie po prawej, czterej, dostali. Jeden z nich się ruszał. Leżąc na plecach, unosił w powietrze rękę z wyciągniętym palcem wskazującym, jakby chciał zatrzymać taksówkę. Nie mogłem rozpoznać kto to.

Daleko, na odległym końcu, jak w koszmarze wściekał się Holdoffer, wrzeszcząc na obsługującego karabin maszynowy.

- Strzelaj- strzelaj- strzelaj! Kto ci pozwolił przestać! Strzelaj-strzelaj-strzelaj !

Ale strzelec nie miał zamiaru wystrzelić kolejnej salwy. Po prostu siedział przy swoim karabinie, starając się go zabezpieczyć, żeby nie mógł tego powtórzyć.

Holdoffer krzyczał strzelcowi w twarz całym swoim cuchnącym oddechem

- Oni muszą się uczyć! To jest w programie! Zaczniście strzelać, kapralu! Zaczniście strzelać! Kapralu!

W ambulansie zaczął się ruch. Sanitariusze w biegu przygotowywali sprzęt, w którego użycie nigdy by nie uwierzyli. Szaleli z noszami, dwukrotnie upuszczając je w błoto. Łysy kapitan niezdarnie brnął w stronę rannych, ślizgając się, wstając, machając ramionami jak wiatrak, żeby utrzymać równowagę w błocie. Zapomniał hełmu i jego głowa przypominała białą dupę.

Tylko kapitan Mackie trwał bez ruchu, najwyraźniej nie chcąc zabrudzić munduru. Po prostu stał, obserwując scenę spod ambulansu, jakby oglądał nudny mecz w polo.

Johnny patrzył na mnie, wpijał się we mnie oczyma, głos miał przerażająco spokojny.

- To jest wróg, Ben. Słyszysz mnie, Ben? - W oczach miał krew. Prawdziwą krew. Jego oczy krwawiły. Coś mu pękło w głowie, jakaś żyłka, coś gdzieś puściło i białka jego oczu były czerwone. - A teraz, Ben... teraz się do nich bierzemy. - I zwyczajnie wspiał się na górę, na poligon, a ja poszedłem za nim, podchodząc w stronę Holdoffera, do miejsca, gdzie wrzeszczał na strzelca, który po prostu go olewał i zamiast słuchać, spokojnie demontował swój sprzęt, jakby odgwiżdżano przerwę na lunch.

Nikt więcej nie poszedł z nami, tylko Johnny i ja, i to było nierealne. I było też znajome - podpis pod scenką z kroniki filmowej: „Żołnierze ruszają na Chateau Thierry”. „Szeregowi wchodzą na most w Remagen”⁶⁴.

Łysy kapitan i jego dwaj podwładni byli w ruchu, ich białe bandażę fruwały jak surrealistyczne sztandary, w jednym momencie pokrywające się błotem. Nie spojrzałem, kto dostał. To nie miało znaczenia. Gwardziści, zawodowiec, poborowy, rezerwista - po prostu nie miało znaczenia. Każda twarz, którą bym rozpoznał, byłaby twarzą przyjaciela. Johnny miał rację. Wróg stał przed nami.

Szliśmy dalej, nie zwracając sobie głowy przełożeniem pod drutem kolczastym, lecz przechodząc nad nim, z karabinami przed sobą w przepisowej pozycji, jakbyśmy mieli osadzone bagnety, jakby nasza zapchana błotem broń mogła wypalić.

Holdoffer zobaczył, że nadchodzimy, i jeżeli przedtem nie był szalony, zwariował właśnie wtedy. Kilka razy walnął kaprała skrzynką z amunicją, unosząc ją wysoko i opuszczając na głowę tego człowieka z taką siłą, że tamten po prostu zwinął się i leżał nieruchomo. Holdoffer podniósł karabin maszynowy, już zdjęty z trójnogu i, kołysząc nim w ramionach, jakby był zrobiony z drewna balsy, ruszył w stronę Johnny'ego i moją, przeskakując okop, który miał przed sobą, z łatwością pantery. Zbliżał się do nas w takim samym tempie, w jakim my szliśmy do niego.

To się nie działo. Bo niby jak? Jakim cudem moglibyśmy odgrywać każdy film wojenny, jaki widziałem? Co, do cholery, Johnny i ja robiliśmy, włączając prosto w paszczę karabinu maszynowego? Wszystko to tak

⁶⁴ Chateau Thierry, Francja, pierwsza wojna światowa, bitwa w 1918; most w Remagen, most na Renie, który podczas działań wojennych w 1945 zawalił się z powodu przeciążenia, gdy przechodziły przez niego oddziały amerykańskie.

dalece przekraczało moją zdolność rozumowania, że po prostu szedłem dalej, nie myśląc. Munez i Webber mieli nienabite karabiny. Holdoffer trzymał karabin maszynowy kaliber trzydzieści. Gdzie, do diabła, podziwiał się Randolph Scott?⁶⁵

Dzieliło nas nie więcej niż trzydzieści jardów, kiedy palec Holdoffera zgiął się na spuście karabinu maszynowego. Widziałem, że to robi. Widziałem, że naciska. Ale nie usłyszałem wystrzału, bo do broni nie doczepiono taśmy z nabojami.

Holdoffer wcale się tym nie przejął. Nie przejął się i nie odwiódło go to od zamiaru. Dalej szedł w naszą stronę przez błoto, mijając medyków, którzy nawet nie podnieśli wzroku, mijając łysego kapitana, który nie mógł nic zrobić dla pierwszego żołnierza, więc brnął w błotnej mazi do drugiego. Holdoffer wykrzywił się w uśmiechu, pociągając za spust, i wydawał dźwięki jak karabin maszynowy - „E-e-e-e-e-e-e-e!” - zasypując teren pociskami, które strzelały tylko w jego umyśle. Ani razu nie zmylił tempa, ani razu nie zwolnił kroku. Coś mu przeskoczyło w głowie. I coś przeskoczyło w naszych głowach. Mieliśmy zamiar go zabić. Mieliśmy zamiar wywalić mu w czaszce dziurę kolbami karabinów. Nie omawialiśmy tego, Johnny i ja, ale obaj wiedzieliśmy, że to właśnie zamierzamy. Mieliśmy zamiar zakończyć egzystencję sierżanta Luthera Holdoffera, nie przejmując się świadkami, bo byli wszędzie dookoła, milczący jak śmierć i uważni jak sępy. Chciałem, żeby ktoś nas powstrzymał. Wystarczyłoby słowo, dźwięk, ślad rozsądku. Śmiech, bluzgnięcie przekleństwami, piosenka - Bing Crosby, Kate Smith, ktoś z normalnego świata. Ale niczego nie było. Z żadnej strony, bo wszyscy chcieli, żebyśmy to zrobili. Dramat zbliżał się do rozwiązania, w ostatnich pięciu minutach przedstawienia nikt nie zamierzał siedzieć.

Obie frakcje dzieliło nie więcej niż piętnaście jardów i odległość się zmniejszała, kiedy jakaś biegnąca postać pojawiła się za plecami Holdoffera. Holdoffer nawet nie zauważył tego, ktoś szybko pokonywał dystans mimo niepewnego oparcia dla stóp, poczuł jednak ostrze, które pograżyło się w jego nerce tak głęboko, że natychmiast opadł na kolana. Sierżant Kuyper, kochanek Deya, dokonał zemsty najdłuższym ostrzem, jakie zdołał znaleźć w swoim wiernym szwajcarskim scyzoryku.

⁶⁵ Randolph Scott - aktor filmowy

Holdoffer spojrział w górę na Kuypera i go rozpoznał, a Kuyperowi właśnie o to chodziło. Potem Holdoffer runął w błoto, z chlupnięciem legł na boku i leżał tam, żywy, ale ledwie żywy, z nożem sterczącym z nerki, czerwona rączka i biały krzyż stanowiły jedyny czysty kawałek metalu na całym poligonie.

Kuyper spojrział na nas tępo, a potem zawrócił i odszedł z powrotem do reszty, jakby nagle sobie przypomniał, że musi wyłączyć światła w samochodzie. Johnny i ja dotarliśmy do Holdoffera i spojrzeliśmy w dół, w jego drgającą twarz. Chcieliśmy, żeby i nas zobaczył. Zobaczył. Jego usta poruszyły się w jakimś bezgłośnym przekleństwie, zęby miał tak brunatne, że na tle brunatnego błota sprawiał wrażenie bezzębego. Potem jego głowa odwróciła się na bok, a szlam, w którym leżał, zaczął mu się przesączać do ust, grawitacja i ssanie dokonywały tego, co mógłby zrobić człowiek, zamykały gębę obscenicznemu bydlakowi, tłumiąc jego zwierzęce odgłosy.

Do tego czasu sanitariusze ustalili, że trzech pierwszych ludzi nie żyją, i przeszli do czwartego, tego z palcem wskazującym wycelowanym w niebo. Żył, więc się nim zajmowali, ucieszeni, że są w stanie kogoś tego dnia uratować, bo chodziło o ich dumę. Tamten człowiek miał przeżyć, a w czasie, jaki zajęło im ratowanie go, cicho umarł Holdoffer. Nie od rany, ale z powodu utonięcia. A my staliśmy tam i patrzyliśmy, Johnny i ja, na jego głowę przewracającą się jak statek idący pod wodę stępką w górę i na ostatnie bąbelki, które przedostały się przez błoto.

Pięciu ludzi zginęło w ten najgorszy piątek mojego życia: szeregowy Dickie Stovall, poborowy; starszy szeregowy Junior Lightman, gwardzista; kapral Alan Kirkpatrick, gwardzista; szeregowy Anthony Wesso, poborowy; i starszy sierżant Luther Holdoffer. Szeregowy Paul Morgan, poborowy, został ranny, ale przeżył. Kapral William Simmons, zawodowiec (obsługa karabinu maszynowego) doznał wstrząsu mózgu, ale przeżył. Kto był winny? Kogo należało obciążyć odpowiedzialnością?

Sierżant Frank Kuyper, zawodowiec, został oskarżony o zabójstwo. Aresztowano go i osadzono w więzieniu. Kapitana Alberta Mackiego, oficera zarządzającego, zatrzymano w areszcie domowym do czasu ukończenia śledztwa. Lecz pułkownik Herbert Cranston z 42. grupy i jego zastępca podpułkownik Terence Beakins oraz porucznik Wyatt Col-

lings, dowódca kompanii - zaden z nich nie pokazał się tamtego dnia - dostali po głowie. Dosyć mocno.

Martwi zostali odesłani, każdy w swoją stronę: Dickie Stovall na Brooklyn w Nowym Jorku; Junior Lightman, Alan Kirkpatrick i Luther Holdoffer do małych miasteczek w Pensylwanii, wszystkie położone w pobliżu Lancaster; a Anthony Wesso do Norwalk w stanie Connecticut, gdzie pochowano to, co z niego zostało, wrzucając mu do trumny rękawicę bejsbolową, żeby sprawdzić, czy sportowa forma na coś mu się w tym wypadku przyda.

Nikt nie został pochowany w jednostce. Sytuacja za bardzo nabrzmiała i armii zależało, żeby ciała się rozproszyły, rozwiały jak dym, rozdzielone i pokonane, i zapomniane.

Inspektor Generalny Fort Devens, generał porucznik Kenneth McArdle, bohater spod Anzio, Salerno i Monte Cassino, całą resztę piątku i to, co zostało z soboty, spędził na gromadzeniu faktów i formułowaniu wniosków. Jedne z pierwszych miejsc na jego liście rozmówców zajmowali szeregowy John Munez i starszy szeregowy Benjamin Webber.

Johnny poszedł pierwszy i wyszedł dziesięć minut później, dla mnie jednak miał tylko puste spojrzenie. Wszedłem jako następny.

Generał McArdle był dużym mężczyzną, miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu i ważył dwieście pięćdziesiąt funtów. Czterdziestolatek, absolwent West Point, zawodowy żołnierz i bardzo zirytowany człowiek. Zasalutowałem, a on ruchem ręki nakazał mi siadać.

- Darujemy sobie formalności, jako że znacząco wykracza to poza wojskową ostentację. Jeżeli chcecie palić, to palcie. Jeżeli chcecie zdjąć buty, to zdejmijcie. Jeżeli chcecie pierdnać, to pierdnijcie. Ale, na litość boską, Webber, pomóżcie mi wyjaśnić sytuację.

- Tak jest. - Usiadłem i spojrzałem na generała. Miałem mu całkiem sporo do powiedzenia i za diabła nie zamierzałem się hamować.

- Munez nic mi nie dał. Nie mam pojęcia, co chce udowodnić, zachowując wszystko dla siebie.

- On już taki jest, panie generale.

- Kapral Simmons, obsługiwał karabin maszynowy, rozmawiałem z nim tylko przelotnie ze względu na jego stan. Powiedział, że karabin się zapadł i że przestał strzelać od razu, kiedy to się stało. Powiedział, że sierżant Holdoffer polecił mu kontynuować ostrzał, on jednak odmówił.

Powiedział, że sierżant Holdoffer był rozstrojony. Wszystko, co Simmons wydusił z siebie, zostało potwierdzone przez kilku ludzi, z którymi do tej pory zdążyłem rozmawiać. Czy takie jest też wasze wytłumaczenie?

- Tak jest.

- Możecie mi powiedzieć coś więcej?

- Tak jest. Holdoffer był kutasem i sadystą.

McArdle to zignorował, nawet nie uniósł brwi.

-Nie mogę rozmawiać z sierżantem Kuyperem, dopóki nie przydzielili mu się obrońcy. Jak wiecie, jest oskarżony o zabójstwo.

- Powinien dostać medal.

- Czemu zabił Holdoffera?

- Zapytajcie Holdoffera.

-Chcę, żebyście zachowywali się swobodnie, lecz nieobrażajcie.

- No to spytajcie Kuypera.

- Mam taki zamiar. Ale teraz pytam was.

-Miał swoje powody. Prędzej czy później ktoś i tak by zabił Holdoffera. Johnny i ja szliśmy to zrobić. Kuyper dotarł tam pierwszy.

- Macie szczęście.

- Nie, panie generale. To byłby dla nas zaszczyt.

-Kuyper ma poważne kłopoty. Jest jedynym człowiekiem, którego los został przypieczętowany. Teraz próbuję się dowiedzieć, kto jeszcze jest winny.

-Winne są następujące osoby: pułkownik Cranston, podpułkownik Beakins, porucznik Collings, kapitan Mackie, sierżant Holdoffer... wykopcie go i rozstrzelajcie. Pan jest winny. Armia jest winna. I ja jestem winny.

- Zajmijmy się każdym po kolei, dobrze?

- Tak jest.

- Dlaczego winny jest pułkownik Cranston?

- Bo posłał nas tam bez oficera.

- Porucznik Collings powinien tam być.

-Ale go nie było. A do obowiązków Cranstona należało dopilnowanie, żeby był. Cranston jest wujem Holdoffera i...

McArdle mi przerwał. W to nie chciał się zagłębiać.

- Dlaczego winny jest podpułkownik Beakins?

- Bo jest dupkiem i nie powinien rozkazywać ludziom.

- A kapitan Mackie?

-Bo nie chciał sobie pobrudzić spodni, nie umie mówić po angielsku i nie słuchał, kiedy mu powiedziałem, że lewa podpórka ogranicznika karabinu maszynowego zapada się w błocie.

- A zapadała?
- Tak. Powiedziałem to Holdofferowi i powiedziałem Mackiemu.
- I nic z tym nie zrobili?
- Nic.

- Kto jeszcze wiedział o podpórcie?

- Johnny Munez, ja i Tony Wesso.

- Nie wiedział nikt inny?

- Nikt.

- Mackie temu zaprzeczy.

- Wiem.

-Okej. Następnie wymieniliście Holdoffera. Jego możemy pominąć.

- Dlaczego?

- No cóż, nie żyje.

- Hitler też nie żyje. Jego też mamy pominąć?

Westchnął.

- Nie wchodźmy tu w nauki polityczne.

-Holdoffer miał pogrzeb bohatera. Jego nazwisko znajduje się na tablicy pamiątkowej z nazwiskami ludzi, którzy zasłużyli na lepsze towarzystwo.

- Webber, niczego się nie osiągnie...

-W takim razie czemu nie pozwolimy wystawić tablicy pamiątkowej Hitlerowi?

-Rozumiem wasze uczucia. Mogę je nawet podzielać, ale chcę ruszyć z miejsca dochodzenie w tej sprawie, a nie w sprawie Hitlera, okej?

- Tak jest.

- Powiedzieliście, że ja jestem winny.

- Tak jest.

- Dlaczego?

- Z powodu sposobu, w jaki pan to załatwia.

- Możecie rozwinąć tę kwestię?

-Tak jest. Przejmuje się pan procedurami, zgodnością z prawem i szczegółami. Nie obchodzi pana moralność. Patrzy pan na sprawę przez wojskowe okulary. Pięciu ludzi nie żyje, a pan nie usiłuje dojść dlaczego, lecz chce stwierdzić kto. Do cholery, możecie wymyślić kto za każdym razem, kiedy coś takiego się stanie. Ale gdybyście spróbowali się zastanowić dlaczego... tylko raz... coś takiego mogłoby się więcej nie powtórzyć.

- Powiedzieliście też, że wy jesteście winni. Dlaczego jesteście winni?

- Bo się na to zgodziłem.

- Na co się zgodziliście?

- Na wszystko. Zgodziłem się na pobór. Zgodziłem się na poniżenie związane z przyjmowaniem rozkazów od ludzi, którzy nie potrafiliby należycie dowodzić kurczakami. Zgodziłem się na obecność sadystów i tępaków na dowódczych stanowiskach. Zgodziłem się na nepotyzm, który pozwolił człowiekowi takiemu jak Holdoffer zostać starszym sierżantem. Zgodziłem się znosić bez narzekań traktowanie, jakiego poza wojskiem nie ścieriałbym nawet przez pięć minut.

- Na przykład?

- Na przykład zamrażania ludzi na śmierć bez powodu.

- Sierżant Deyo?

-Sierżant Deyo i każdy, kto został tu zamrożony na śmierć i pochowany i nad kim odegrano capstrzyk, po czym wszyscy poszli na piwo.

- W porządku, Webber, powiedzcie mi, gdybyście byli na moim miejscu, co byście zrobili, żeby zmazać tę hańbę? Jak byście postąpili? Co byście zrobili, będąc mną?

- Strzeliłbym sobie w łeb.

- Takie rozwiązanie nigdy nie przyszło mi do głowy.

- Proszę zdjąć okulary, to przyjdzie.

Biorąc pod uwagę okoliczności, był dla mnie bardziej wyrozumiały, niż miałem prawo oczekiwać.

- Jesteście bardzo bystrym młodym człowiekiem. Mówicie bardzo dobrze. Macie wiele racji.

- Tak jest.

-Od tej pory nie ma potrzeby, żebyście przerywali mi, kiedy mówię. Chcę, żebyście tylko słuchali. Nie chcę słyszeć waszego głosu, dopóki nie zadam wam konkretnego pytania. Zrozumiano?

Skinąłem głową, że rozumiem.

- Jesteście bardzo osobliwym człowiekiem. Wspaniale jest być wyjątkowym. To wspaniała cecha... w świecie zewnętrznym. Ale w wojsku to katastrofa. Gdyby każdy człowiek w wojsku był taki jak wy, nie mielibyśmy kraju, bo w czasie wojny nie mielibyśmy armii, żadnych ludzi gotowych wykonywać rozkazy... ślepo, w razie potrzeby. Mielibyśmy tylko masę indywidualistów, którzy w stresowej sytuacji rozeszliby się w milionach różnych kierunków, ponieważ tak dyktowałoby im ich „sumienie”. Bylibyśmy tacy jak dawniej Chiny: miliony milionów ludzi idących własną drogą, niczego niedających narodowi, niczego niezyskujących dla siebie. Możecie mi wierzyć, teraz, kiedy nadeszła chwila, gdy Chińczycy wypełniają rozkazy władzy centralnej, Chiny są siłą, z którą należy się liczyć. Zgadza się?

- Nie wiem, panie generale. To nauki polityczne.

- Podaruj sobie ten sarkazm, koleżko. Zaczynam mieć tego dosyć.

- Tak jest. Przepraszam, panie generale.

- Tak jak niezbyt wysoko sobie cenię wasz program Poborowy Tygodnia.

- Nie byłem autorem tego pomysłu, panie generale.

- Nie, ale doprowadziliście go do perfekcji.

- Tak jest.

- Gdybym wezwał wszystkich poborowych z jednostki do tego biura, pojedynczo, gdybym każdemu z nich powiedział w zaufaniu, że jeśli chce, może iść do domu i nigdy nie będzie musiał wracać, jak myślicie, ilu by z tego skorzystało?

- Wszyscy.

- Zgadza się. A teraz, gdybym zgromadził ich wszystkich na palcu defiladowym, ramię w ramię, w mundurach, z powiewającymi flagami dywizji i grającą orkiestrą, i złożył tę samą propozycję przez głośniki, ilu, jak myślicie, by z niej skorzystało?

- Nie wiem, panie generale.

- Nikt. Możecie mi wierzyć, Webber. Nikt by nie skorzystał. Albo by się wstydziło, że wyjdą na tchórzy, albo obawiali, że to jakaś sztuczka...

ale po prostu by tego nie zrobili. Dalej trzymaliby szyk, nikt nie odważyłby się być tym pierwszym, który stamtąd spieprzy. I o to właśnie chodzi w wojsku. Chcemy zniszczyć waszą indywidualność. Musimy ogolić wam głowy, ubrać w oliwkowe mundury i zbiorowo ucierać wam nosa, ponieważ to jedyny sposób, żeby utrzymać armię. Wy nazywacie to dehumanizacją, my mobilizacją. Prowadzimy wojnę... kiepską wojnę, formalnie niewypowiedzianą, wojnę, która tak naprawdę nikogo nie obchodzi. Nie mielibyśmy w niej żadnej szansy, gdybyśmy nie mogli wziąć miliona wolnomyślicielskich indywidualistów i przerobić ich na posłuszną masę ślepo podległych. Tak, popełnimy błędy. Tak, od czasu do czasu powierzmy dowództwo niewłaściwym ludziom. Tak, tak się stanie. Ale na dłuższą metę sformujemy armię, w której doceni się najlepszych i dzięki której nasz kraj będzie należycie reprezentowany w czasie walki. Czy cokolwiek z tego do was dociera, Webber?

- Tak jest. Cała filozofia. Rozumiem, czemu pan to robi. Tylko tak się składa, że nic mnie to nie obchodzi.

- Wiem.

- Przepraszam.

Wziął z biurka teczkę. Rozpoznałem ją. Znów moja teczka. Teczka 201.

- Wiecie, co to jest, prawda?

- Tak jest.

- Uzupełniona na bieżąco. Masa niepoehlebnych rzeczy, a jednak ostatnio dostaliście awans na starszego szeregowego. Jak do tego doszło?

- Nabrałem Holdoffera.

Nie chciał się w to plątać, więc zmierzał do konkluzji, jakakolwiek miała być.

- Jest tu list. Został napisany przez kapitana Grace'a, waszego byłego dowódcę kompanii. Mogę go wam przeczytać?

- Tak jest.

McArdle przeczytał list:

Szeregowy Benjamin Webber jest bardzo inteligentnym młodym człowiekiem o niewątpliwych zdolnościach przywódczych. Niestety, nie ma szans na wykorzystanie tych zdolności w armii - nie z braku okazji, ale z powodu ograniczeń w strukturze psychicznej. Nie można mu zaufać, że faktycznie wyda rozkaz, ponieważ nie potrafi należycie

rozkazu wypełnić. Byłby znakomity pod rozkazami George'a Armstronga Custera, lecz w dzisiejszej armii nigdy. Ma rozwiniętą intuicję i jest szczery, ale często ze szkodą dla siebie. Dołączam tę notatkę do jego akt, bo omawialiśmy możliwość jego zgłoszenia się do szkoły oficerskiej. Mam wrażenie, choć bardzo lubię tego młodego człowieka, że poproszony, nie poparłbym jego kandydatury na oficera. Jest za wielkim indywidualistą i słabo współdziała w zespole. Jako oficer, moim zdaniem, byłby beznadziejny.

- Podpisano „Francis Grace, kapitan armii amerykańskiej”.

McArdle włożył list z powrotem do mojej teczki.

- Czy zgadzacie się z taką oceną?

- Całkowicie.

- Uważacie, że byłby z was wszawy oficer?

- Najgorszy.

- Gorszy niż jest z was żołnierz?

- Dziesięć razy gorszy.

Nie uśmiechał się... Nie był już zwykłym inkwizytorem. Stał się kryptoopiniotwórcą.

-Webber, incydent podczas ćwiczeń bojowych zostanie załatwiony z waszą pomocą czy aprobatą lub bez nich. Zostanie ustalona odpowiedzialność, zostaną wymierzone kary. Jeszcze zanim tu weszliście, słyszałem to i owo, jak do tego wszystkiego doszło i co należy zrobić, żeby mieć pewność, że to się nigdy nie powtórzy. - Położył akcent na tę ostatnią frazę, na mój użytek.

- Tak jest.

-Nie oczekiwałem, że będziecie bardzo pomocni, bo uważam, że to nie w waszym stylu. Nie oczekiwałem też, że będziecie zdawać sobie sprawę, w jakim stopniu mogliście przyczynić się do tej tragedii. I miałem rację. Nie zdajecie sobie sprawy.

- Tak jest. Nie zdaję.

- Nie ma dla was miejsca w armii, Webber. Jesteście kwadratowym kołkiem, a my mamy wyłącznie okrągłe otwory. Gdziekolwiek was we tkniemy, sprawicie kłopoty. A najgorsze, że zupełnie bez świadomości, że je sprawiacie. Pułkownik Cranston poinformował mnie, jak nieustannie dręczyliście Holdoffera. Podpułkownik Beakins wiedział wszystko o

waszym programie Poborowy Tygodnia. Szczanie do manierki, Webber? Sranie do butów?

- Szczałem, ale nie srałem, panie generale.
- Zamknąć się.
- Tak jest.

- Być może nie spełniają waszych wyobrażeń o dobrych dowódcach, ale wiedzieli, co się dzieje w kompanii kwatermis- trzowskiej. I wciągnęli was na listę do zmiany przydziału - strzelec dziewięćset czterdzieści cztery, odkomenderowany na Daleki Wschód jako uzupełnienie. Chcecie to zobaczyć?

- Nie, panie generale. Wierzę.
- Zatwierdziłbym to, lecz po przestudiowaniu waszych akt doszedłem do wniosku, że macie spore szanse na to, żeby stanąć na czele buntu na polu walki w dziesięć minut po dotarciu do Korei.

- Tak jest, ale nie sądzę, żebym...
- Zamknąć się. - I mówił dalej, zły, panując jednak nad sobą, choć wściekłość w jego słowach była nawet bardziej wymowna z powodu spokojnego tonu. - Gdybyście dotarli do Holdoffera, zanim zrobił to Kuyper, skończyłyby się nasze kłopoty. To byłaby wasza dupa, a nie Kuypera. Ale nie, nie mieliśmy tyle szczęścia. Kuyper jest w areszcie, a wy stoicie tutaj i... żebyście tylko mieli świadomość, co sądzę o was dwóch... uważam, że Kuyper jest dziesięć razy lepszym żołnierzem niż wy. I co z tego, że to pedał. Nie obchodziłoby mnie, gdyby pierdolił drzewa. To cholernie dobry człowiek, czego dowodzi fakt, że kiedy przyszedł właściwy moment, to on zabił Holdoffera, nie wy. Wy nigdy byście tego nie zrobili.

- Uważam, że się pan myli.
- Zamknąć się.
- Tak jest.

Gładko przeszedł do tego, do czego zmierzał, do tej pory tylko krążąc wokół tematu.

- Dysponujemy teraz w armii czymś, czego nie mieliśmy w czasie drugiej wojny. Nazywa się to „dyspozycja rządu”. Ten termin jest wam znany?

- Nie, panie generale.
- Bardzo prosta sprawa. To zwolnienie do cywila, zwolnienie, w którym armia w istocie przeprasza, że zostaliście powołani. W którym armia

stwierdza, że chociaż nie radzicie sobie w wojsku, nie ma podstaw, by wątpić, że nie poradzicie sobie w cywilu. Masa ludzi pięknie funkcjonuje w cywilu, ale zawodzi jako żołnierze i trzeba ich zwalniać: symulanci, urodzeni dezercerzy, złodzieje, głupcy, tchórze, malkontenci.

W czasie drugiej wojny zwalniano ich z adnotacją „sekcja ósma”, co oznaczało, że są psychicznie nieprzystosowani. W zbyt wielu przypadkach taka klasyfikacja prowadziła do niepotrzebnej i niesprawiedliwej generalizacji i ludzie ci byli poszkodowani po powrocie do cywila, ponieważ wszystkie papiery, które chcieli obejrzeć przyszli pracodawcy, mieli osteplowane „sekcja ósma”. W każdym razie już tego nie robimy. Teraz mamy „dyspozycję rządu”, która zgrabnie się wpisuje między „sekcją ósmą” a „honorowe przejście w stan spoczynku”. I, Webber, dyspozycja rządu jest taka, że wracacie do domu. Niełatwo mi było podjąć tę decyzję. Gdyby to zależało ode mnie, wysłałbym wasze jaja prosto do Chin. Armia mówi mi jednak, że nie mogę tego zrobić; że jako oficer jestem odpowiedzialny za wszystkich swoich ludzi, również za was, i jeśli uznaję was za niezdolnych do funkcjonowania jako żołnierze, ale jestem szczerze przekonany, że możecie funkcjonować jako cywil, muszę odesłać was do domu... dla dobra waszego i innych żołnierzy, których życie w kryzysowej sytuacji moglibyście narazić. - Przez szerokość biurka pchnął w moją stronę jakiś papier. - Przeczytajcie to. Jedyne, co musicie zrobić, to zrzec się wszelkich roszczeń z tytułu uszczerbku na zdrowiu, poniesionego podczas służby, a potem możecie pomachać na do widzenia. Nie podobałoby się to wam, Webber?

- Nie wiem, panie generale.

Na twarzy miał uśmieшек pełen zadowolenia.

- Hej, człowieku, mówię, że możesz wracać do domu. Nie chcesz wrócić do domu? A może myślicie, że wstyd wam będzie powiedzieć kumplom, że wy i tylko wy jesteście w kompanii jedynym facetem, który nie nadaje się do wojska? Nie ma się czego wstydzic. Będziecie w doborowym towarzystwie. Ci, którzy moczą się w nocy, mają koszmary, nałogowi onaniści, ci, którzy mdleją, kichają, mają czkawkę, jedno jądro, dwa fiuty, trzy dziury w dupie... jest cała masa rzeczy, które ludzie robią i powiedzą, żeby wydostać się z wojska. Już z tym nie walczymy. Uważamy, że jeśli człowiek posuwa się do czegoś takiego, jeśli chce się tak

upodlić i wywołać taki konflikt, nie chcemy go zatrzymywać. Nie nadaje się dla nas. Po prostu nie ma czasu, żeby go zmieniać, nie ma czasu. W armii potrzebni są jedynie ludzie, którzy wydają rozkazy, i ci, którzy je wykonują. Ten, kto nie mieści się w jednej z tych kategorii, musi wracać do domu, z naszymi przeprosinami. Wszystkim dziwolągom, degeneratom, oszustom, specjalistom od kruczków prawnych, agitatorom, zwolennikom, namiętnym dyskutantom, poborowym tygodnia... wszystkim mówimy przepraszam i celnym kopem odsyłamy do domu. Masz „ograniczoną przydatność do służby”, mały, kolana, plecy, uszy. Po prostu powiedz swoim koleżkom, że nawaliły ci wszystkie naraz i że armia pakuje cię w worek, uznaje za zmarłego i odsyła do domu.

- Nie sądzę, żebym mógł to zrobić, panie generale.
- Podpiszcie to, Webber. Bo jak nie, wsadzimy was na oddział psychiatryczny na parę dni, tylko na obserwację... i potem odeślemy do domu, ale wtedy to już będzie „sekcja ósma”.
- Tak jest, ale...
- Zachowaliście się dokładnie tak, jak wiedziałem, że się zachowacie, Webber. Dokładnie jak na to wskazują wasze akta. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, żeby poprawić morale czterdziestej drugiej kompanii kwatremistrzowskiej i skłonić ją do działania, to wyczyścić tę sprawę z manewrami bojowymi, pozbywając się wszystkich odpowiedzialnych... bezpośrednio, pośrednio, z powodu głupoty czy inteligencji. A wy jesteście jednym z nich. Nie przydasz się nam na nic, synu. Podpisz ten papier, przyjmij nasze przeprosiny i wypierdalaj.

Stał do mnie plecami, kiedy przeglądałem formularz. Trudno go było odczytać - cały ten drobny druk i zamieszanie w mojej głowie, bo oto miałem w ręku bilet do domu. Ale wszystko działało się za szybko i McArdle o tym wiedział. I nie odwracając się do mnie, oznajmił:

- Weźcie go ze sobą. Przeczytajcie. I nie salutujcie mi, wychodząc, bo nie odsalutuję.

Przedyskutowałem tę sprawę z Johnnym, który uważał, że mi odbiło, skoro tego nie podpisałem, zanim armia zmieni zdanie. Nie byłem pewien. Podpisując, przyznałbym, że wszystko, co powiedział o mnie McArdle, było prawdą, a ja nie chciałem w to uwierzyć. Johnny oczywiście, jak zawsze realista, stwierdził, że cały dowcip polega na tym, żeby

nie wierzyć i mimo to podpisać. W ten sposób mógłbym zjeść ciasteczko, zachować ciasteczko i mieć dość resztek, żeby kazać armii włożyć je w dupę. Nieodparta logika. A jednak nie potrafiłem się zmusić do podpisania tego formularza, w jakiś sposób czując, że od chwili podpisania będę mniejszym człowiekiem.

Tego wieczoru dostaliśmy przepustki, McArdle dał całej grupie kwatremistrzowskiej kompanii wolny sobotni wieczór i niedzielę. Miał rację, że to zrobił, bo w ten sposób przełamał napięcie i rozproszył grupę, dzieląc nas na duety, tercety i kwartety, z których każdy ruszył w inną stronę. I w barakach nie został nikt, kto mógłby czuć smutek, złość, bezsens - albo świrować.

Johnny i ja pojechaliśmy do Leominster i baru Tiny, gdzie wciągnęliśmy kilkanaście piw dla uczczenia pamięci tego stylowego mańkuta Tony'ego Wessa. Płakaliśmy w swoich objęciach, wspominaliśmy, żartowaliśmy i rzygaliśmy. I wtoczyliśmy się na teren jednostki o porze tak nieludzkiej, że żaden zegar nie byłby w stanie podać nam właściwego czasu. Tuż przed zapadnięciem w sen, który bardziej przypominał trans, podpisałem formularz „dyspozycji rządu”, pogratulowałem sobie pragmatyzmu, skłamałem za brak charakteru i zaakceptowałem siebie takiego, jaki byłem: niepełnego, zagubionego, zepsutego młodego człowieka, który świeżo pochował kumpla, a jednak kutas aż go świerzbiał na myśl o następnym dniu z panią Barringer.

Siedziałem w holu hotelu Ritz-Carlton i obserwowałem przepływających obok ludzi, tak dalekich od tego, przez co właśnie przeszedłem, tak pogrążonych w przyjemnościach cywilnego życia, że autentycznie mną wstrząsnęło, kiedy usłyszałem, jak mówią po angielsku. Angielski zdążył stać się dla mnie wulgarnym językiem, w którym co trzecie słowo stanowiło przekleństwo, i obserwacja, że ludzie naprawdę sobie radzą bez „kurwa” i „gówno”, mających przeprowadzić ich przez rafy konwersacji, okazała się zdumiewającym odkryciem.

O jedenastej czterdzieści pojawiła się w holu - tak nonszalancko piękna, gdy szybko rozejrzała się po sali, żeby sprawdzić, czy jestem. Z obawy, że mogłaby mnie nie zauważyć (siedziało tam jeszcze kilku innych żołnierzy), uniosłem rękę. Poszła do windy i nie potrafiłem ocenić, czy widziała mnie, czy nie. Zresztą było to bez znaczenia, bo otrzymałem już swoje rozkazy.

Odczekałem pięć minut, a potem podążyłem do windy. Wsiadłem na piątym piętrze i poszedłem do pokoju 503. Zapukałem, delikatnie. Zbyt delikatnie. Żadnej odpowiedzi. Zapukałem ponownie. Mocniej. Nic. Poruszyłem klamką. Drzwi były otwarte i wszedłem, walące serce czując aż w głowie.

Pokój był dość ciemny, zasunięte wszystkie zasłony, światła zgaszone. A jednak widziałem wystarczająco dobrze, by dostrzec, że to więcej niż pokój, to apartament. Pojawiła się w drzwiach sypialni, wyglądając jak marzenie, miała na sobie coś jedwabnego i wymyślnego, żadnych pantofli, paznokcie pomalowane, lśniące, palce giętkie, oparte o tę grubą wykładzinę dywanową.

Zacząłem mówić, ale przyłożyła rękę do ust, jakby chciała prosić o ciszę. Potem ruszyła w moją stronę, biorąc mnie za rękę, jak dziecko w parku, prowadząc do sypialni. Odwróciła się, spojrzała mi w twarz i uśmiechnęła, jakby знаła jakąś wielką tajemnicę i już, już miała się nią ze mną podzielić, powoli sięgnęła i rozluźniła mi krawat. Poddał się i już rozpinęła mi koszulę. Koszula została zdjęta, podkoszulek również. I po chwili stałem pośrodku tego najelegantszego pokoju, rozebrany do pasa, zdumiony, z głupawym uśmiechem zadowolenia na mojej twarzy Dyzia Marzyciela.

Delikatnie dotykała moich ramion, przesuwała po nich dłońmi, potem po ramionach, piersi, brzuchu, cały czas patrząc mi w oczy i nie mówiąc ani słowa, usta miała rozchylone, oddech powolny i kuszący, perfumy obezwładniające. Była tak natarczywie obecna, wszystko w niej dawało tak wyraźną obietnicę, że sięgnąłem, chcąc jej dotknąć. A ona odtrąciła moją rękę. Nie miałem dotykać. Jej palce znów pofrunęły do warg. Zrozumiałem.

Lekko osunęła się przede mną na kolana, jej twarz i włosy ześlizgnęły się poniżej poziomu mojego paska, ręce zatrzepotały przy rozporku, właściwie nie dotykały, ale śledziły mój kształt jak ręce ślepeca budującego wyobrażenie.

Rozwiązywała mi sznurowadła i uniosłem kolejno stopy, żeby mogła zdjąć mi buty i skarpetki. Przechodziłem regres, z każdą minutą stawałem się młodszy. Miałem dwanaście lat, zbliżałem się do dziesięciu. Wciąż klęcząc, spojrzała na mnie i znów nie potrafiłem się oprzeć, sięgnąłem w dół, żeby wziąć w dłonie tę niewiarygodną twarz. Ponownie mnie odsu-

nęła, z nieco większym zniecierpliwieniem niż przedtem. Miałem dziesięć lat, zbliżałem się do dziewięciu.

Ręce znalazły sprzączkę u paska, jej ruchy przypominały teraz działania specjalisty od prucia sejfów, fachowo rozpiniała mi spodnie, jakby od dawna znała kombinację szyfru. Spodnie posłusznie opadły i, spryciarz, wiedziałem, że muszę z nich wyjść. Z kieszeni wysypało mi się trochę drobnych, ale wiedziałem, że nie mam o tym wspominać. Miałem siedem lat.

Wstała i przeszła za mnie, została tam, jej ręce przekradły się do przodu, tak że mogłem je widzieć i patrzeć, jak badają teren, poszukują tasiemki przytrzymującej szorty, jak je zsuwają. Opadły mi do kostek, uniosłem nogi, żeby z nich wyjść, i kopnąłem je na bok. Poleciały na lampę i tam zawisły. Zostałem rozebrany do blaszki identyfikacyjnej i zegarka i, żeby pokazać jej, że umiem się zachować, zdjąłem te rzeczy. Miałem sześć lat.

I byłem nagi. A ona stała za mną, gdzie nie mogłem jej zobaczyć. I dotykała mnie całego, wszędzie - ale nie dotarła jeszcze do penisa, tego głupiego dodatku, tak zmieszanego całą sytuacją, że mocno przylegał mi do brzucha jak bazooka wycelowana w nos. Jej ręce znów igrały z moimi ramionami, bokami, a usta, bez pocałunków, z szelestem przesuwwały się po barkach, po tyle szyi. Potem - słabe ugryzienia i gorący oddech, ręce już nie pieściły, lez dotykały, ugniatały, głaskały.

Stałem kompletnie obezwładniony, plecami do niej, jak mokra glina poddana kształtowaniu, jak rozbierany manekin. Jej lewa ręka bezwstydnie sięgnęła między moje nogi, od tyłu, znalazła mosznę i otoczyła ją palcami. W tym też była fachowa, ścisła mnie na granicy krzyku, chociaż chyba jednak powiedziałem „Yk”. Prawa ręka wykonała z boku manewr oskrzydający i znalazła penisa i te palce nie były zbyt delikatne, chwyciły i trzymały, jakby chciały zacząć dusić. Nie mogłem się ruszyć i nie śmiałem się ruszyć. Głowę miałem kompletnie pustą, bez śladu myśli, co powiedzieć czy zrobić... Nie widziałem jej, tylko ręce, jedna pieściła, druga ścisła. Obrabiało mnie dziesięć palców - lewa ręka jak kotek, prawa jak imadło. Dychotomiczne dymanie. Miałem trzy lata.

Wtedy obie ręce zwolniły i znów pojawiła się przed mną, na stojąco. Ale nie patrzyła mi w oczy, patrzyła na mojego penisa. Więc ja też na niego spojrzałem, żeby zobaczyć, skąd się wzięła jej widoczna w szeroko

otwartych oczach fascynacja. No i był tam, gdzie go zostawiłem, lecz obrzmiały do pornograficznych rozmiarów. Skała, czerwono fioletowa z zaskoczenia, wciąż patrząca na mnie tym jednym okiem z kilkoma łzami stanowiącymi zapowiedź wytrysku.

Pochyliła się, dotykając go samym językiem, i kropelki jak jaszczurki przemknęły do jej ust. Gdyby znów go dotknęła - czymkolwiek, łokciem, piętą - popłynąłbym niczym woda z przerwanej tamy. Ale była zbyt doświadczona, żeby do tego dopuścić.

Biorąc mnie za rękę, poprowadziła do łóżka, położyła na plecach i ponownie jej umiejętnie dłonie zajęły się moimi genitaliami, tak że penis wydawał się dziewięć razy większy niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem, że to możliwe. I nie należał już do mnie. Należał do niej. Ja należałem do niej, ponieważ stałem się już tylko pulsującym fallusem z dołączonym do niego żołnierzykiem. Nigdy, a właściwie nigdy do tej pory, nie znalazłem się tak całkowicie we władzy kobiety. Nie powiedzieliśmy też ani słowa. Wszystko odbyło się w milczeniu. Niema para pierdołająca się w oleju. Dwie żyrafy z watą w uszach pieprzące się w dźwiękoszczelnym pokoju. Każdy nasz ruch był przez nią zaplanowany i nadzorowany. Cokolwiek robiła ze mną za pomocą rąk, pozostawiała mnie niezdolnego do ejakulacji. Tak opóźniła mój orgazm, że palce u nóg i rąk drgały mi w pełnym oszołomienia porażeniu. Z gigantyczną erekcją i stale na skraju wytrysku nie byłem w stanie wyciągnąć zawlecзки z tego granatu.

W tym czasie, osłupiały ze zdumienia, że zawieszenie w takim bolesnym stanie może być przyjemne, przyglądałem się, jak wyslizguje się ze szlafrocza, pewna zwycięstwa mistrzyni, otwarta na wyzwanie. Rozległ się gong i natychmiast zostałem znokautowany, a ona zabawiała się ze mną, wykorzystywała jak cyrkowe zwierzę - tresowanego niedźwiedzia, królika na smyczy, lwa zmuszanego do skoku przez płonącą obręcz, za każdym razem pod innym kątem.

Wchodziłem w nią z góry, z dołu, z tyłu, z przodu, z drugiego pokoju, z żyrandola, z Altoona. Wchodziłem w nią w pozycjach, o których wcześniej myślałem, że są niemożliwe z powodu ograniczeń anatomicznych. I każde wsunięcie i towarzyszące mu zanurzenie wywoływało u niej orgazm tak totalny w swej gwałtowności, że następowało zdumiewające odwrócenie sytuacji, czułem się tak, jakby chciała mnie katapultować ze środka, odbić od sąsiedniej ściany. Ale coś mnie w niej trzymało i za-

trzymała. Nie jej nogi, bo choć często owinięte wokół mnie, jeszcze częściej trzepotały jak prześcieradła na silnym wietrze. To ja sam z determinacją przełamywałem opór kurczących się pierścieni i obracających łożysk kulkowych, walcząc o to, by w niej pozostać, bo tam właśnie chciałem być.

Wszystko to odbyło się bez słowa, więc zacząłem się zastanawiać, czy nie straciłem słuchu, czy wszystkie młodociane akty masturbacji nie zaowocowały głuchotą zamiast obiecanej ślepoty - o ile ślepotą nie była następna w kolejności.

Moja pani chciała seksu oralnego i seks oralny dostała, przyciągając moją głowę w dół i naciągając mnie na siebie, tak że nosiłem ją na twarzy niby maskę. Niespecjalnie w tej dziedzinie doświadczony, uczyłem się szybko, jej ciało mówiło mi bez słów, kiedy radzę sobie dzielnie, a kiedy tracę grunt pod nogami. Zostałbym tam na dole na zawsze, chętny i szczęśliwy, zagrzebany w jej falbankach i fałdkach, skąpany w sokach, ale nie widziała potrzeby aż takiego przeciągania tej zabawy. I w którymś momencie - niepostrzeżenie - uwolniła się ode mnie i, zmysłowo przechylając się na bok, rozłożyła na poduszce jak naga piękność z olejnego obrazu nad barem, przyodziana wyłącznie w figlarny uśmiech i spojrzenie „chodź mnie przerznąć”.

Pogładziła mnie po twarzy z leniwą czułością, pod którą wrzała jej wcześniejsza namiętność. I odezwała się. Hurra, nie byłem głuchy, ale zaledwie wyłomotany!

- Biedactwo. Wykończyłam cię.
- Ależ skąd. Nic mi nie jest.

Roześmiała się.

- A... dżentelmen. Byłeś bardzo dobry, wiesz?
- O, myślałem, że tylko w porządku.

Znów się roześmiała.

- Nigdy czegoś takiego nie robiłeś, prawda?
- O...
- Byłeś zaledwie narzędziem. - Bawiła się moim penisem. Tak twarzym, że zacząłem się obawiać, czy jakimś sposobem nie pokryła go brązem, kiedy nie patrzyłem. - Biedactwo, taki kawał drogi z Fort Devens i pani nie dała ci się spuścić. Biedny mały Peter, był dla mnie taki miły.

- Mam tylko nadzieję, że to cholerstwo opadnie. Byłoby krępujące w autobusie.

- Mężczyźni niezmiennie są tak samolubni, że odwróciłam kolejność. Panie przodem. Zajął się sobą, po czym... - Jej twarz znalazła się na moim brzuchu, włosy przemknęły przez moją nagość jak jedwabny szal. - ...zajmę się słodkim żołnierzem. - I zaczęła się ze mną zabawiać ustami, wargami, językiem, mówiąc w trakcie. - To właśnie kocham najbardziej. Kocham... mężczyznę w swoich ustach. Gdybyś wiedział, drogi Benie. Mmmmmm. Uwielbiam to bardziej niż masło orzechowe. Niedługo będziesz gotowy. Odpręż się. Czuję... szykujesz się. Nie wstrzymuj się. Kiedy to nadejdzie, pozwól sobie. Daj mi to.

Posłuszny instrukcjom, wstrzeliłem jej prosto w głowę. Zebrałem się w sobie, ściągnąłem pośladki i dałem temu upust, a owa mężna kobieta nie cofnęła się ani o krok, nie zwolniła chwytu, nie zmiękła, spełniła oczekiwania. A kiedy było po wszystkim, kiedy piekielne działo wypaliło, nastąpił odrzut i trwało chłodzenie, trzymała biedne szczątki w jednej ręce, głaszcząc je drugą, jak damy głaszczą kocięta.

- Grzeczny chłopiec.

- Lepsze niż masło orzechowe?

- Lepsze niż krem wiśniowy. Wiedziałeś, że mężczyźni różnie smakują? Niektórzy gorzko, inni słodko.

- Aja?

- Słodko. Oj, słodko. -I znów się do mnie zabrała, liżąc jak lizaka.

- Słuchaj, jeżeli nie sprawi ci różnicy...

Roześmiała się i prawie zakrztusiła.

- Tak. Wiem. Jesteś zmęczony. Ale ten tu twój przyjaciel ma inne pomysły.

- Nie słuchaj go. Tylko się chłopak popisuje.

- Nie. Dochodzi do siebie. Spójrz na jego wielkość.

Mój penis ponownie wypełnił jej dłoń i pociągnęła tak mocno, żebym mógł zobaczyć, i trzymała go, jak trzyma się rekordowego pstrąga złowionego na jednofuntową wędkę.

Zachwyciłem się.

- Patrzcie tylko.

- Następne jest dla ciebie.

- Co następne?

- Pieprzenie, kochanie. Cokolwiek zechcesz. Zrobię, cokolwiek za-
pragniesz.

- Taa? Cóż...

- Ben, jesteś gotowy. Co cię ucieszy?

- Cóż...

- Nie trać takiej okazji, żołnierzu. Pani ma chętną cipę, szeroko rozło-
żone nogi i tylko czeka. Pozbądźmy się medalu za dobre prowadzenie i
daj mi tego znakomitego kutasa.

Mój rekord stanowiło do tamtej pory siedem orgazmów w czasie
dwóch godzin, partnerowała mi w tym osiągnięciu obowiązkowa Alice.
Ale po to są rekordy, żeby je bić, podobnie konie, gdy zbyt leniwe. I jeśli
zaangażowana kobieta nie rozerwie się na kawałki, jeśli mężczyzna na
posterunku bojowym potrafi podnieść się po każdym upadku, jeśli
wszystkie ruchome części pracują zgodnie i zamierzony bezwład przeple-
cie się z okresem walki i jeśli nie wpadną gliny, nie ma ograniczeń w
liczbie orgazmów, które może osiągnąć zdeterminowany młody czło-
wiek. Według moich obliczeń nowy rekord wyniósł dziesięć.

Nie miałem pojęcia, jak długo się tym zajmowaliśmy ani czy jeszcze
żyłem. Moje ciało zmieniło się w gąbkę, mój magiczny penis jak teleskop
wsunął się w głąb swojego pokrowca, tak daleko, że na straży zostało tyl-
ko zwieńczenie. Pani zajmowała się mną niby pielęgniarzka na polu bitwy
- Molly Pitcher*⁶⁶ z myjką - myła moje pozbawione kości ciało, słowem
przywracając mnie do życia.

- Ben? Nie śpisz?

- Nie. Umarłem. Ale nie przestawaj.

-Byłeś naprawdę nadzwyczajny, wiesz? - Wycierała mnie do sucha i
posypywała talkiem.

- Najlepszy, jakiego miałaś?

-Nie. Tarzan był lepszy. Lecz on kołysał się na pędzie winorośli.
Proszę. No i jak? Naprawdę można by cię przewinać.

- Chcesz usłyszeć coś absurdalnego?

- Zawsze chcę usłyszeć coś absurdalnego.

- Znam tylko twoje nazwisko. Jak masz na imię?

⁶⁶ M. Pitcher, właśc. Mary McCauley (1754-1832) - bohaterka rewolucji amerykańskiej, przynosiła wodę
żołnierzom podczas bitwy o Monmouth

- Maggie.

Maggie Barringer. Ładnie.

- Nie nazywam się Barringer.

- Nie?

-Nie. Ja tylko z nim mieszkam. Och, Ben, bądźmy szczerzy na każdy temat, dobrze? Udawanie jest takie męczące. Czy możemy być szczerzy i czy możemy nie dać się ponieść współczesnej rzece kłamstwa?

- Chyba warto spróbować.

-Nie jestem żoną Kevina Barringera. Po prostu z nim mieszkam. Jest bogaty, hojny, czarujący... lubi się pierdolić, kiedy może. I pozwala mi być tym, kim jestem.

- Czyli kim?

-Nie wiem. Chyba darmozjadem. Rozpuszczoną kobietą. Nimfą. Może nimfomanką... tylko słyszałam, że nimfomanki nie mają orgazmów. A ja mam.

- Tak. To mogę potwierdzić.

Leżała obok mnie, mówiła, a ja wiedziałem, że seks się skończył, przynajmniej na ten dzień.

-W każdym razie mieszkam z Kevinem w jego pałacu i czasami z nim podróżuję, kiedy chce się mną popisać. Siedzi w interesach z ropą, kartele i te rzeczy. Ciągłe wyjeżdża. Teraz też oboje wróciliśmy z Europy może na miesiąc.

- Czy on wie, że ty...

-Pieprzę się z kim popadnie? Myślę, że wie. Ale dopóki się z tym nie afiszuję, wszystko jest w porządku. Podoba mu się, że poświęcam trochę czasu USO. Więc to robię. Dwukrotnie mi się tam poszczęściło.

- Z kim jeszcze?

- Z młodym marynarzem. Pierdolił się, jakby spędził pięć lat na morzu. On wy okrętował... ty zaokrętowałaś.

- I Kevin niczego nie podejrzewa?

- Może. Lecz mnie tym nie zadręcza. Nie wie, że mam ten apartament. Właściwie sędzę, że wie, ale jest zadowolony, że dostaję trochę seksu na boku, bo sam zbliża się do sześćdziesiątki. Męczę go. Za każdym razem, kiedy ktoś mi wpadnie w oko, funduję Kevinowi pierdolenie, które wystarcza mu na miesiąc.

- Brzmi honorowo.

- Mam apartamenty także w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie. I, Ben, mam dwie córki. Jedna to nastolatka. Druga ma dwadzieścia dwa lata i jest mężatką.

- Trudno uwierzyć.

- Opuściłam je. Po prostu odeszłam. To niewybaczalne, oczywiście, było jednak konieczne, żebym mogła pozostać przy zdrowych zmysłach. Po prostu nie jestem macierzyńskim typem. Płodna, ale nie macierzyńska... klątwa Inków.

- Wiesz, gdzie one są?

- Jedna w Chicago. W każdym razie tam była, kiedy ostatnio sprawdzałam. Jest zamężna. Druga w jakiejś szkole dla dziewcząt. Mój mąż mieszka w Stamfordzie, w Connecticut. Maluje. Po latach prób odgrywania matki i szalonego pierdolenia się na boku po prostu zebrałam się i odeszłam. Mówię ci to, żebyś wszystko o mnie wiedział, i to same złe rzeczy. Obawiam się, że nie mam zalet rekompensujących wady, chyba że w łóżku, bo tam, jak słyszałam, rehabilituję się z nawiązką. Krążę... od mężczyzny do mężczyzny. Przypuszczam, że któregoś dnia przeje mi się to wszystko. Chyba już zaczyna. Kiedy tak się stanie, może wrócę do domu. Oni tam są skłonni wybaczać. Będę nosić koronki, usatkuje się, od czasu do czasu przelecę mleczarza i z wdziękiem się zestarzeję. No i wiem, że jestem już babcią. Nie masz nic przeciw pierdoleniu babci?

- Słyszałem, że Marlena Dietrich jest babcią.

- Wrócisz w następną niedzielę i znów mnie przelecisz?

- Muszę sprawdzić w terminarzu, ale chyba uda mi się gdzieś cię wcisnąć.

- Możesz się wystraszyć. To znaczy, po przemyśleniu tego wszystkiego może przestać ci się podobać myśl o byciu zabawką starszej pani.

-Nie. Nigdy. Problem tylko w tym, że nie wiem, jak długo będę w okolicy. Zwalniają mnie. Wszystko bardzo honorowo. Armia po prostu uważa, że do niczego się nie nadaję.

-Gdyby mnie posłuchali, zrobiliby cię pierdolonym generałem.

-Taa, cóż, lepiej im nie mów. Mam ich dosyć tak samo jak oni mnie.

-Buntownik. Uwielbiam to. Będę za tobą tęsknić... A właśnie zaczęliśmy się poznawać. - Posypała mnie kolejną porcją talku. - Do widzenia, stary, to była jedna z tych właściwych rzeczy.

-Może mimo wszystko trochę tu zostanę. Oni tak od razu nie wypuszczają. Lubią trochę ściągać cugle.

- Gdzie masz dom?

- W Nowym Jorku.

-Mogę się tam z tobą spotkać... Mam apartament w Saint Regis.

- Świetnie.

- Co robisz? Masz pracę?

-Jestem potentatem filmowym. Piszę reklamy dla Twentieth Century Fox.

- Żartujesz?

- Nie.

-Znam tam masę ludzi. Skourasa, Winnermana. Clarka. Nie chodzę z nimi do łóżka, po prostu widuję ich podczas podróży.

- Pracuję dla W. Charlesa Grubera. Znasz go?

- Tak. Uważaj na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, żebyś na niego uważał. To gej.

- Gruber? Daj spokój.

- Załatwił ci już dziewczynę?

- A czemu miałby to robić?

-Bo kiedy tak na ciebie patrzę, jesteś dokładnie takim młodym ogierem, za jakim by szalał.

- Znasz go?

- No cóż... tak, znam go. To znaczy, drogi Benie, znam życie. Po prostu nie chcę się bawić w „pierdol-zgadulę”, okej? Już i tak za dużo ci powiedziałam.

- Po prostu powiedz mi, czemu Gruber miałby mi załatwiać dziewczynę.

- Ponieważ to taka jego gra. Umawia cię, uszczęśliwia, zaczyna być twoim przyjacielem, a następnie bierze się do twojej dupy.

- Jezus, niezłych rzeczy można się dowiedzieć w Bostonie.

- Muszę już iść. Kevin zaprosił jakichś ludzi. Zdaje się, że będą szukać ropy za domem. Jeżeli chcesz, możesz tu zostać. Zamów sobie coś do pokoju. Co zechcesz. Dopiszą mi to do rachunku.

- Która godzina?

- Koło piątej.

- Może wypiję piwo przed powrotem.
- Ja stawiam. I zobaczymy się w następną niedzielę, okej? O tej samej porze, w tym samym miejscu.
- Może wcześniej?
- Dzielny chłopak.

Obserwowałem Maggie, kiedy się ubierała. Była wspaniała. Wszystko w niej było w sam raz. Takie naturalne. Żadnych zahamowań. Kompletna wariatka, gdyby zapytać jakiegoś psychiatrę, ale dla mnie w tamtym momencie idealna. Zanim wyszła, pocałowała mnie w policzek jak ciotka. A potem zostałem sam w apartamencie w Ritzu.

Złożyłem zamówienie. Piwo. Zapiekany homar. Ciasto francuskie. I dzbanek kawy. Podpisałem nazwiskiem Maggie i dołączyłem wielki napiwek dla kelnera, bo nie zadawał żadnych pytań. I zastanawiałem się, czy też zaliczył numerki z Maggie. Czy to możliwe, żebym był zazdrośny? Będę musiał uważać na takie sprawy.

Wróciłem do jednostki i padłem. Zaraz następnego dnia rano przekazałem formularz „dyspozycji rządu”. Dwa dni później zostałem przeniesiony do Wydzielonej Jednostki Medycznej na obserwację. Generał McArdle nie tracił czasu.

Rozdział 12

Ginnie

1951

Kiedy Don opuścił dom, mało nie zwariowałam. Zerwałam z Annice i jej grupą, Sayonara się zwinęła, nie miałam żadnych perspektyw, a Don zwiął do LA - co w sumie oznaczało, że zostałam z kilkoma setkami dolarów i mieszkaniem wielkości hangaru, za które sama miałam zapłacić czynsz.

Pogadałam o tym z Rolandem i zasugerował, żebym poinformowała Bena o sytuacji i jeśli Ben nie będzie w stanie pomóc w opłaceniu czynszu, zrezygnowała z apartamentu i poszukała czegoś mniejszego, a do czasu znalezienia jakiegoś sensownego miejsca mogłabym mieszkać u niego, Rolanda.

Nie chciałam się z powrotem przeprowadzać do Village. Wyglądałoby to na krok wstecz. No i nie chciałam stracić Bena; pragnienie, trzeba przyznać, dość ekscentryczne, bo jeszcze nie zdążyłam go poznać i, jak mi się wydawało, raczej nigdy nie miało to nastąpić.

W każdym razie zależało mi na tym, żeby wszystko szło jak należy, więc napisałam do Bena i zawiadomiłam go o nowych okolicznościach. Przesłał mi sto pięćdziesiąt dolarów i podpisał list „Piotruś Pan”. Tak bardzo go za to pokochałam, że z pewnością nigdy nie potrafiłabym dopuścić do tego, żeby stracił swoje mieszkanie.

No więc, biorąc udział w przesłuchaniach do całego stada musicali i jakoś nie trafiając do grona wybranych, znów zajęłam się kelnerowaniem w restauracji na Lincoln Square pod nazwą Chips. Centrum Lincolna nie zostało jeszcze wtedy zbudowane, ale wszyscy mówili o zachowaniu na coś tego terenu, wówczas trochę obskurnego. Ze znajdujących się tam knajp tylko ta jedna restauracja nie była przytulnym barem dla upadłych

pijaków, a ABC*⁶⁷ mieściło się tuż za rogiem. No i dzięki ABC wpadała tam masa ludzi i wykonawców, bo Chips nie tylko stanowił alternatywę, ale też serwował całkiem niezłe włoskie żarcie.

Tylko że praca kelnerki strasznie mnie nudziła i wpędzała w depresję, jak kiedyś moją matkę, więc żeby zapomnieć o zapachu pomidorowego sosu, pracowałam nad różnymi akcentami. Jednego wieczoru udawałam Francuzkę, a następnego Angielkę i obserwowałam, ile osób udało mi się nabrać.

Co do płacy - to najgorsza sprawa. Była dobra, tak dobra, że nie śmiałam rzucić tej roboty. Chips, maleńka knajpka, większość interesów robiła po jedenastej wieczorem i poza mną nikt właściwie nie chciał pracować tak późno i tak długo. Dla mnie nie miało znaczenia, która godzina. Do dzisiaj rzadko kiedy wiem, która jest.

Tylko że omijało mnie życie. Nie to chciałam robić. Nie w takiej się widziałam roli. No i dlatego, że było tak ciemno, późno i alkoholowo, moja dupa zaliczała masę szczypasów, bez których świetnie mogła się obejść. Na tyłku zaczęły mi zakwitać niebieskie kropki, niezbyt ładny widok do oglądania po wyjściu spod prysznic.

W każdym razie wszystko skończyło się pewnego deszczowego ranka o drugiej, gdy jeden z klientów, zahipnotyzowany krótką spódnicą, wsunął mi rękę między nogi tak szybko, że nawet nie zauważyłam, kiedy to się stało. Tylko poczułam. Myślałam, że to nietoperz próbuje we mnie wejść i, do cholery, jeżeli już miałam stracić dziewictwo, to na pewno nie z cuchnącym parmezanem wampirem, którego ledwie znałam. W tym momencie miałam na tacy, zupełnym zbiegiem okoliczności, pizzę z grzybami i cebulą, dużą, ciężką od mozzarelli i lepłą od pomidorów. Przy niewielkim ruchu nadgarstka podskoczyła i poleciała w górę, prawie uderzając w niski sufit, by potem odwrócić się i podejść do lądowania na głowie właściciela tego nietoperza. Sukinsyn wyglądał, jakby płynął pod wodą i wynurzył się dokładnie w miejscu, w którym unosiła się Bogu ducha winna pizza. W mgnieniu oka miał ją na głowie jak zegarek z obrazów Salvadora Dali i zastanawiałam się, czemu oprócz mnie nikt się nie śmieje. Cóż, nikt się nie śmiał z tego prostego powodu, że dżentelmen

⁶⁷ ABC — amerykańska konglomeracja nadawcza i wydawnicza, obejmuje sieci radiowe i telewizyjne, sieć kin, przemysł wideo- i fonograficzny

spod pizzy był szefem detektywów z dwudziestego trzeciego posterunku i od jego życzliwości sporo zależało, jako że to on pilnował zgarniania pi-jaków, gdy tylko dotarli do frontowych drzwi Chipsa, i dzięki niemu dwie dziwki, które co wieczór zajmowały stolik w rogu, mogły spokojnie załatwiać interesy, co miało swoje znaczenie, zwłaszcza że knajpa dosta-wała od nich działkę.

Nie stanowiło to dla mnie jakiejś istotnej różnicy; nietoperz w kroczu to nietoperz w kroczu bez względu na to, kto go hoduje. Zareagowałam czysto instynktownie. Gdyby to burmistrz Wagner znalazł się pod moją spódnicą, doczekałby się latającej pizzy równie szybko jak detektyw O'-Hare. Gubernator Harriman też mógłby na nią liczyć, podobnie prezydent Truman, choć chciałabym wierzyć, że w wypadku Clarka Gable'a oka-załabym więcej cierpliwości - jakieś pół godziny.

W każdym razie wywiązała się niewielka dyskusja, której głównym tematem było stwierdzenie, że jestem niezdarna, irytująca i zwolniona. Odbyło się „do widzenia, panie Chips” i w deszczu pomaszerowałam na utrudzonych nóżkach przez Central Park do swojego mieszkania, bez pracy, bez nadziei, bez dogmatu, bez żalu spuszczone w kiblu.

Zjadłam puszkę sardynek i rozważyłam swoje opcje. Mogłam pójść do pracy jako recepcjonistka, może w ABC, bo byłam milutka i znałam tam trochę ludzi, którzy często jadalі w Chipsie. Albo mogłam ubiegać się o posadę w szpitalu Roosevelta, w roli zwłok przeznaczonych do ba-dań, co miało przynajmniej tę zaletę, że byłoby bardziej satysfakcjonują-ce niż posada recepcjonistki w ABC. Albo mogłam żebrać, ponieważ by-łam milutka, a niezbyt często spotyka się milutkich żebraków. Albo mo-głam zasnąć splakana, ponieważ byłam w tym dobra, i rozważyć te wszystkie opcje następnego dnia. Wybrałam to ostatnie, bo zawsze tak robiłam.

Kiedy się obudziłam, sięgnęłam po egzemplarz „Variety”. Zawsze czytałam „Variety”, bo nekrologi poprawiały mi humor. Nie tylko chwy-tały za serce i były twórcze, ale oznaczały też, że umarł ktoś z show-biznesu, co w rezultacie zwalniało jakąś posadę, na przykład linoskoczka, biletera w Roxy i tresowanego psa. Znalazła się tam też niewielka notatka o rozpoczęciu przesłuchań dla tancerek rewiiowych do *Guys and Dolls*. Nie traciłam czasu ani atłasu.

W teatrze przy Czterdziestej Szóstej Ulicy było więcej tancerek niż plam z sosu pomidorowego na ścianach w Chipsie. I to w większości ślicznych, jeśli nie wręcz pięknych. To znaczy, pokażcie mi faceta, który nie reaguje na długonogą dziewczynę w stroju do ćwiczeń, a pokażę wam faceta, który tego dnia prowadził przesłuchanie.

Nie dosłyszałam jego nazwiska, wiedziałam tylko, że był znudzony, nieuprzejmy i do tego gej. Byli jeszcze: pianista, bębniarz i oświetleniowiec, i tyle. Dziewczyny wychodziły na scenę w grupach po sześć, po obejrzeniu krótkiej prezentacji kawałka *Korzec i garniec* w wykonaniu naszego znudzonego, nieuprzejmego gejowskiego choreografa (Michael Kidd^{*68} to z niego nie był) - tak krótkiej, że dobiegła końca, zanim zdążyłyśmy podciągnąć sobie majtki. Absolutnie nie było mowy, żeby tancerka mogła wyjść i bez rozgrzewki zrobić to, co on, nie wyglądając jak marionetka na poplątanych sznurkach. Ale ja znałam *Guys and Dolls* od podszewki. Widziałam to pewnie ze czterdzieści razy. Mogłam powtórzyć układ z *Korca i garnca* z zawiązanymi oczyma. I prawie, cholera, to zrobiłam.

W trakcie zdałam sobie sprawę, że inne dziewczyny się wykruszają, schodzą ze sceny, przeskakują nad kanałem dla orkiestry i kłapią na siedzenia (dokładnie jak wtedy, gdy tańczyłam jak szalona dla Annice, żeby uniknąć skreślenia). A kiedy skończyłam, sarkastycznie mi zaklaskały.

Pedalski choreograf przyjrzał mi się.

- Tańczyłaś kiedyś w tym musicalu? Zawodowo?
- Nie.
- Tak dobrze go znasz.
- Widziałam przedstawienie.
- Ile razy?
- Dwa albo trzy. - Usłyszałam, że dziewczyny się śmieją. - Może cztery.
- Zdradź nam swoje nazwisko, proszę.
- Ginnie Maitland.
- Tańczyłaś zawodowo?
- Tak. Tancerze Annice Chatterton.
- To murzyńska grupa.

⁶⁸ M. Kidd - tancerz American Ballet Theatre.

- Tak, jestem... tańczyłam z nimi.
- A, tak. Byłaś tą białą.
- W dalszym ciągu jestem. - Uważałam, że to zabawne. Ale tylko ja.
- Kto jest twoim agentem, złotowłosa?
- Nie mam agenta.
- Nie szkodzi. Będziesz pracować na umowę?
- Tak, proszę pana.
- Okej. Przyjdź we wtorek po południu. Dwunasta trzydzieści. A reszcie bardzo dziękuję. Wypełnijcie proszę karty i zostawcie je Clancy'emu. Będziemy w kontakcie. Następna szóstka, proszę. Szybko, szybko.

Dostałam się! Miałam pracę! *Guys and Dolls*\ Opłaciło się to włóczenie po teatrach! Przerazające! Gdybym włóczyła się przy Alfredzie Luńcie*⁶⁹, mogłabym zostać Lynn Fontannę! Taka podniecona, taka dumna, natychmiast zadzwoniłam do Rolanda do biura i tak dobrze było usłyszeć jego grzmiący śmiech. Potem, przed powrotem do mieszkania, poszłam do A&P zaopatrzyć się w prowiant potrzebny do orgii spożywczej. Cztery torby śmieciowego żarcia - musiałam wziąć taksówkę, żeby się dostać do domu i dwa razy przelecieć się po schodach na piąte piętro. A kiedy wreszcie otworzyłam drzwi i weszłam, była tam dziewczyna. Ogromna dziewczyna w stroju stewardesy, która uśmiechnęła się i powiedziała, że ma na imię Jessica.

Też się uśmiechnęłam i powiedziałam, że jestem Ginnie i czy mogłaby wynieść się stąd w cholerę i że dotyczy to także faceta, z którym była, albo pilota, albo portiera.

Żeby skrócić całą opowieść, znała Dona i Bena i twierdziła, że to ona jest najemcą, z dwiema innymi dziewczynami, i wyglądało na to, że nie zmyśla. Umieściłam ją i kapitana Stykesa (tak się nazywał) w pokoju Dona i objaśniłabym, jak korzystać z lodówki, zlewu i prysznic, ale wszystko wiedziała.

Kolejny pilot, kapitan O'Neill, znalazł się na kanapie, wylądował tam awaryjnie, kiedy poszłam na przesłuchanie. Był albo z innych linii lotniczych, albo z innego hotelu, chociaż mógł też okazać się listonoszem albo

⁶⁹ A. Lunt, L. Fontannę - występujący w parze aktorzy wodewilowi.

tamburmajorem. Pomogłam mu dojść do pokoju Bena, bo wypił za dużo, żeby dotrzeć tam o własnych siłach. Wszystko to zaczęło być trochę uciążliwe, więc przysięgając podróżować wyłącznie pociągami i autobusami, napisałam do Bena z prośbą o radę, jak rozwiązać tę sytuację.

Następnego dnia Jessica wytoczyła się ze swojego pokoju, ale tylko po coś do jedzenia. Co do kapitana Stykesa, chyba jadł Jessicę, bo nie widziałam go przez całe dwa dni. Prawdę mówiąc, było tyle Jessiki do zjedzenia, że cudem chyba nie siedział tam do Wielkiego Postu.

Poszłam do teatru na przymiarke kostiumu i do Capezio po baletki i tenisówki. Kiedy wróciłam do mieszkania, Jessica i kapitan Stykes niezmiennie trwali w sypialni Dona, ale kapitan O'Neill odleciał, a jego miejsce w pokoju Bena zostało zajęte przez kapitana Hennona z linii lotniczych Barnum & Bailey*⁷⁰, albo przynajmniej tak mi się zdawało, bo rzucił się na mnie jak tygrys.

Przez kilka następnych dni w mieszkaniu trwał wzmożony ruch lotniczy. Ben zadzwonił, mówiąc, że dostał mój list. Potwierdził wersję Jessiki i zapytał, czy dam sobie z tym radę. Zapewniłam go, że tak, i trochę pogadaliśmy. A kiedy odłożyłam słuchawkę, lepiej się z tym wszystkim poczułam i spałam doskonale. Rano kapitan Hennon zniknął. Zostałam sama. Dzięki Bogu.

Przez cały czas trwały próby do rewii, gdzie miałam pojawić się jako jedna z tancerek, i zostałam rozpisana do występu za kilka dni, więc ćwiczyłam swoją jednozdaniową kwestię, którą rozpaczliwie chciałam wygłosić poprawnie, z uczuciem i profesjonalnie.

W każdym razie jestem z powrotem w mieszkaniu, sama, pracuję nad swoją kwestią, wyciągam z niej wszystkie subtelności, jakie mi przyjdą do głowy, pracuję do tak późnej nocy, że nie śpię prawie do rana. A potem, pogrążona w głębokim śnie, słyszę dzwoniący telefon i po omacku go odbieram, i to Ben, tyle że jestem taka ścięta, że nie wiem, o czym on, do cholery, mówi. Coś o awansie, który, jak zrozumiałam, podniósł go do rangi porucznika czy coś, tylko nie chciałam za bardzo z niego wyciągać, jak można tak po prostu awansować z szeregowca na oficera. No więc tylko mu pogratulowałam, odłożyłam słuchawkę i ponownie zasnęłam, a

⁷⁰ Barnum & Bailey - od 1881 cyrk objazdowy.

kiedy wstałam, nie byłam nawet pewna, czy rzeczywiście z nim rozmawiałam.

Kilka dni później, przekonana, że Ben jednak dzwonił, i czując całkowitą pewność, że wszystkie drzwi stoją przede mną otworem i bez względu na to, które wybiorę, mam zagwarantowane dojście do sławy, bogactwa i szczęścia, poszłam do Saksa na Piątej Alei rzucić okiem, co rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy miał do zaoferowania - pieniądze nie grały roli, ale tylko do kwoty trzydziestu dolarów, bo kto wie, jaką katastrofą mógł mnie uraczyć kolejny dzień.

Znalazłam świetną bluzkę, dwadzieścia trzy dolary dziewięćdziesiąt centów, niebieską w białe kropki, zestaw kolorów dokładnie odwrotny niż na moim tyłku, kiedy pracowałam w Chipsie, i pewnie dlatego ją kupiłam. Gdy wróciłam do domu, dzwonił telefon. Fort Devens, Massachusetts, starszy szeregowy Ben Webber na linii. Nic ważnego, tylko tyle, że wychodzi z wojska i wraca do domu.

Mój słodki Ben. Wracał do domu. Mój kochany, piękny, powracający Ben wracał do domu.

Zmieniłam zamek w drzwiach. W cholerę z tym, chociaż umowa najmu nie była na moje nazwisko, nabyłam praw przez zasiedzenie, a mając w perspektywie powrót Bena, bardzo chciałam zniechęcić ludzi do wpadania tu kompletnie bez zapowiedzi. Gdyby wcześniej zadzwonili, w porządku - postarałabym się dać im nocleg. Ale nie mogli tak po prostu walić mi się na głowę, jakbym prowadziła punkt „Pomoc dla podróżnych”. Te czasy się skończyły.

Po próbach do *Guys and Dolls* przyszedł czas na debiut. Mój pierwszy występ na Broadwayu, więc zrozumiałe, że byłam nieprzytomna ze strachu. Wszystkie pozostałe dziewczyny, które przyjęto na zastępstwo, już wcześniej grały na Broadwayu, więc zachowywały spokój. No i rewia szła już jakiś czas, więc nikt nie miał ciśnienia, żeby umierać za drogiego starego Runyona. Vivian Blaine, Sam Levene i Isabel Bigley już nie grali, ale, na szczęście dla nas, spektakl podobał się ludziom, jeszcze zanim zdążyli usiąść na widowni, klaskali od wejścia, a kiedy grano uverturę, śpiewali razem z orkiestrą, znając słowa chyba lepiej niż sam kompozytor.

Ale nie ja. Ja podczas uwertury tkwiłam w kiblu i wymiotowałam. Proszę bardzo, miałam seksowny kostium, stanik wesołej wdówki, który

zaczynał się powyżej bioder i kończył poniżej cycków. Wszystko do tego stopnia usztywnione, że gdybym zbyt gwałtownie uniosła ramiona, moje cycki poleciałyby na drugi balkon. Sprawy tak się miały, że gdyby nawet nie poleciały, zostały wypchnięte dość wysoko, żebym wyglądała jak wiewiórka z podwójnym podbródkiem, chora na świnkę. To znaczy, byłam taka napompowana, że mało nie pękłam.

W każdym razie już mam napisać list pożegnalny i się zabić, kiedy tancerka Florrie, która zaprzyjaźniła się ze mną, bo miała pięć kotów i jeden więcej nie robił jej różnicy, wchodzi i wyciąga mnie z kibla, pociesza i mówi, że każdemu to się zdarza i że nie powinnam dać się pognębić, że kurtyna idzie w górę i że jak nie wyjdę, to spieprzę całe przedstawienie, więc lepiej żebym zabrała swoje wywindowane cycki na scenę, gdyby nawet miały polecieć do Hawany.

- Ale Florrie, nie pamiętam tekstu!
- Przypomnisz sobie.
- Jeżeli się pomylę, to całe przedstawienie stanie!
- Ta kwestia nie trwa dwudziestu minut. Twoje cycki są potrzebne teraz. Chodź!

No i poszłam. I było w porządku. To znaczy wszystko, co słyszałam o tremie za kulisami, to, że jedynym lekarstwem jest wyjść na scenę, a kiedy się to zrobi, cały strach znika, wszystko to była prawda.

No więc, Adelaide i jej Hot Box Girl wykonują swój numer i wszystkie schodzimy ze sceny, żeby Adelaide mogła zostać sama z Nathanem Detroit, s woim chłopakiem. I teraz jest pora na moją kwestię i jestem gotowa. Wracam z kulis, bo mam szukać kolczyka i powiedzieć do Nathana: „Już byłam umówiona z Towarzyskim Maxem, a on przychodzi i wszystko odwołuje, bo znowu z tobą gra w kości”. To ważna kwestia, bo popycha akcję, Adelaide dostaje dzięki niej cynk, że Nathan znów gra w kości, chociaż jej obiecał, że nie będzie. Bez tej kwestii widownia nie zrozumiałaby, czemu Adelaide wścieka się na Nathana, i - ponieważ to trzecia scena - nie mogłaby się połapać w reszcie przedstawienia, okej?

No i proszę, teraz ja. Adelaide jest sama z Nathanem, i wychodzę, stąpam dumnie, śliczniutka i głupiutka, i mówię do Nathana:

- Już byłam umówiona z Towarzyskim Maxem, a on przychodzi i wszystko odwołuje, bo znowu z tobą sra w gości!

Teraz trzeba zrozumieć, że przez dwa tygodnie żmudnie harowałam nad tą kwestią i nie mam pojęcia, że wyszła mi gra półsłówki, że powiedziałam „sra w gości” zamiast „gra w kości”. To znaczy dla mnie wszystko brzmiało jak należy, tylko orientuję się, że coś jest nie tak, bo Nathan parska i widzę, jak ślina strzela z jego ust, podświetlona przez reflektory z dołu sceny, tak że przypomina strugę z hydrantu.

Potem pęka Adelaide, też pryska śliną, a potem widownia i nic nie rozumiem, bo Nathan i Adelaide nie robią tego, co powinni. No więc stoję jak przymurowana i przychodzi mi do głowy: „O cholera - cycki mi wypadły!”. I boję się spojrzeć w dół i sprawdzić, tylko że widownia śmieje się histerycznie, a kierownik sceny wywraca się na podłogę i Florrie stara się nie posikać, więc patrzę i widzę, że cycki mam na miejscu, upchnięte pod brodą jak grejpfruty w windzie. No więc myślę, że może coś mi się podarło? To znaczy, jestem w kabaretkach, nie mam majtek, cycki na miejscu - co się takiego dzieje, czego nie widzę? Na pewno chodzi o to, że pończochy się podarły i cały tyłek wystaje mi jak przez okno. A teraz mam przejść z dupą wycelowaną w publiczność i schylić się, żeby podnieść ten kolczyk.

Cóż, myślę sobie, Ethel Merman by to zrobiła. Mary Martin* ⁷¹ by to zrobiła. Przedstawienie musi trwać. No i przechodzę, znajduję kolczyk i mówię: „O, tu jest”. I muszę się strasznie naciągnąć, bo nie powinnam zginać kolan. Widownia aż się zanosi, więc teraz jestem pewna, że pękły mi te rajstopy i pokazuję wszystko w całej okazałości.

Cóż, mówię sobie, co się stało, to się nie odstanie. Skoro cały świat widział moje krocze, niech tak zostanie, wszystkie dziewczyny mają krocze i moje jest równie dobre jak każde inne, więc o co całe to wielkie halo? No i schodzę ze sceny, jakby nic się nie stało, i dostaję oklaski, jakich Lynn Fontanne, nawet naga, nigdy nie dostała.

Na scenie Adelaide ratuje sytuację, mówiąc: „Miała powiedzieć »gra w kości«, a nie »sra w gości«”, co prowokuje kolejne pięciominutowe oklaski i wyjaśnia mi również, co się stało.

Z jednej strony zadowolona, że nie zaprezentowałam wszystkim pochwę, byłam też zdruzgotana, że położyłam swojajedyną kwestię. Ale je-

⁷¹ E. Merman, M. Martin - aktorki musicalowe.

śli na scenie moja głupia pomyłka wywołała aplauz, za kulisami doczekała się owacji. Obsada, ekipa, nawet nasz edzio-pedzio choreograf przyszedł dołączyć się do gratulacji. Co takiego zrobiłam? Dwie rzeczy. Rozruszałam przedstawienie, ratując je przed popadnięciem w nudną rutynę, co grozi każdemu długo granemu musicalowi, i pokazałam ducha - nie pochwę ani dupę, lecz ducha. Nie przerwałam przedstawienia. Kiedy wszyscy prócz mnie potracili głowy, ja się trzymałam i w dodatku wyszłam z tego z podniesionym czołem.

No i zostałam nagrodzona Suknią Girlaski, zgodnie z tradycją, która narodziła się kilka lat wcześniej przy okazji przedstawienia *Mężczyźni wolą blondynki*, kiedy to jedna z tancerek, odchodząc z grupy, przekazała swoją suknię następczyni. Suknia wędrowała od przedstawienia do przedstawienia, od girlaski do girlaski (girlaska to czułe określenie tancerki) i teraz ja ją miałam. Kiedyś śliczna, zaczynała karierę jako biała satyna z dekoltem obszytym białymi piórami marabuta, ale dodawano do niej elementy związane z musicalami, w których się pojawiła: skórkę banana z *Top Banana*, trochę koralików z *King and I*, wstążkę z *Most Happy Fella*. Zrobiła się już trochę tandetna, kiedy ją dostałam, lecz liczyła się sama myśl, a ktoś pomyślał, żeby właśnie mnie obdarzyć Suknią Girlaski.

Byłam gwiazdą - swego rodzaju. Pierdoloną gwiazdą. Moje słownictwo, od początku niezbyt wytworne, zaczęło w szybkim tempie nabierać cech czegoś, co określa się zwrotem „kłać jak szewc”, ale to samo robiła Tallulah Bankhead*⁷², więc nad czym tu, kurwa, wydziwiać?

Wiść o moim tryumfie szybko się rozeszła i zachęcono mnie, żebym trzymała się tej przekreślonej kwestii. Ożywiła przedstawienie i służyła rodzącej się legendzie o mnie jako najgłupszej pierdolonej dziewczynie w pieprzonym mieście. Tylko że nikogo nie pierdoliłam. Oszczędzałam się dla Bena. Tak, pojawili się wielbiciele. I tak, z niektórymi z nich poszłam na kolację. Ale zabawa kończyła się przed drzwiami do mojego mieszkania, bo tam wstęp był wzbroniony wszystkim. Oprócz Bena.

⁷² Tallulah Bankhead - aktora teatralna i filmowa, znana z ciętego języka.

Rozdział 13

Ben

1951

Zostałem przeniesiony do baraków Wydzielonej Jednostki Medycznej, co oznaczało zakwaterowanie z psycholami, świrusami i kapusiami. Wszyscy szaleńcy i nieprzystający do wojska, którzy czekali na wypuszczenie, zostali zgromadzeni i przytrzymani w jednej zagrodzie.

Obfitość ekscentryków, których spotkałem podczas mojej jedynej nocy na oddziale dla świrów, wzięła się stąd, że zgodnie ze standardową procedurą każdy, kto wychodził z wojska z powodu innego niż odesłanie do cywila z honorami, był zmuszony przejść ten etap. Wydawało się to doprawdy niewielką ceną za odzyskanie wolności, więc nawet ci z nas, którzy uważali się za normalnych, nie protestowali przeciw tej jednej nocy w raju.

Okna na oddziale psychiatrycznym od środka chroniły kraty, i bardzo dobrze, bo niejeden pomyleniec usiłował rzucić się przez okno i tylko odbijał się od nich zdumionym rykoszetem. Trzech ludzi siedziało na tych kratkach całą noc, jak kury na grzędzie albo zamyślane małpy. Nie ruszali się - nie licząc ruchów robaczkowych - więc rozsądek nakazywał nie zbliżać się do strefy zrzutu.

Nie wolno było mieć przy sobie żadnych ostrych przedmiotów, jedynym przyborem stołowym była płaska łyżka drewniana. Nie trzeba chyba dodawać, że jedliśmy coś mazistego. Każdy, kto chciał się ogolić, mógł to zrobić wyłącznie pod nadzorem dwóch muskularnych strażników. Co do dostarczonych ostrzy, okazały się tak tępe, że golenie przypominało raczej skrobanie.

Żadnych pasków i sznurowadeł, a tasiemki z piżam zostały usunięte ze starannością, jaką okazuje urolog usuwający kanciasty kamień nerkowy ze spiralnego penisa. Złapanie odrobiny snu na oddziale dla świrów było raczej dość trudnym zadaniem, ale zupełnie beznadziejną uczynił tę próbę O'Connel, Szalony Króliczek, nazwany tak dlatego, że chodził od człowieka do człowieka, przez całą noc, pytając, czy może zabrać spod

naszych łóżek wielkanocne jajka. Powiedziałem mu, że może wziąć wszystkie jajka, jakie znajdzie, i tak go ucieszyła moja hojność, że obiecał mi rano czekoladowe jajko. Miałem dość rozumu, żeby go nie pytać, skąd weźmie czekoladową polewę. Niemniej jednak następnego ranka, kiedy przyniósł mi to wyobrażone czekoladowe jajko, zjadłem je z wdzięcznością, ze skorupką i tak dalej, bo twierdził, że to najlepsza część.

Tego samego ranka major Howard Hochman, dyżurny psychiatra, wpadł zobaczyć, jak spędziłem noc. Zasugerowałem mu, że jeśli zatrzyma mnie tu na jeszcze jedną, może nie wracać. Uśmiechnął się, wypisał mnie z oddziału i poszedłem z nim do gabinetu na konsultację.

Major Hochman był pogodnym człowiekiem, około pięćdziesiątki, łysiejącym, ale cudownie wnikliwym. Służył w armii podczas drugiej wojny światowej i został ponownie powołany do służby, by leczyć czubków w czasie konfliktu koreańskiego. Żeby to zrobić, musiał porzucić udaną praktykę w Nowym Jorku, ale nie wydawał się tym poruszony, jako że należał do typu naukowców, którzy stale się uczą, z każdej przeciwności zawsze wyciągają coś wartościowego. Polubiłem go, bo nie miał czasu na bzdury. Nie obchodziło go, czy robi na mnie wrażenie. Chciał tylko mi pomóc. I zaczął od razu.

Omówiliśmy mój przypadek, z teczką 201 rozłożoną na jego biurku. Znow się zaczęło, mój Jauvert zawsze na tropie swego Jeana Valjeana*⁷³, a przeprowadzona przez dobrego doktora ocena mojej osoby nie była obliczona na zapewnienie mi spokoju ducha. Stwierdził, że byłem zły - gdzie to się zaczęło i jak do tego doszło, nie miało już znaczenia - że, nie zdając sobie z tego sprawy, podszedłem do wszystkich swoich problemów z nieświadomym pragnieniem niszczenia, a nie przezwycięzania, i że nosiłem w sobie całą kupę wrogości, która, pozostawiona bez dozoru, może mnie ostatecznie doprowadzić do zguby.

Ta charakterystyka nie wydała mi się ani pochlebna, ani satysfakcjonująca, i jak Scrooge ślubowałem, że się zmienię, zanim będzie za późno. Chciałem to zrobić dla Tony'ego i dla Deya, dwóch ludzi, do których śmierci się przyczyniłem, jeśli nawet nie w inny sposób, to stałym szczu-

⁷³ Jauvert - inspektor policji, Jean Valjean - były galernik; antagoniści, bohaterowie powieści V. Hugo

ciem Holdoffera. Miałem też swój udział w śmierci Holdoffera, chociaż był kutasem, i śmierci Dickiego Stovalla, Juniora Lightmana oraz Alana Kirkpatricka. Z powodu całego tego podskórnego gniewu zainicjowałem łańcuch destrukcyjnych wydarzeń, łańcuch, z którego się wywinałem, ale inni padli jego ofiarą. Kapitan Grace właściwie mnie ocenił. Generał McArdle przejrzał na wylot. Major Hochman zaś ukrzyżował. Mimo wszystko niedługo miałem zostać zwolniony z wojska i sposób, w jaki wykorzystam czas, który mi tam pozostał, by odpokutować za swoje uczynki i ratować to, co zostało z mojego sumienia, stał się nagle sprawą najwyższej wagi. Tydzień, dziesięć dni - kto wie? A ja chciałem wykorzystać to należycie. Więc zadzwoniłem do Maggie i zastałem ją. I pozbyłem się tego swojego obrazu, jakbym darł niekorzystne zdjęcie, bo niech mnie cholera, jeśli zamierzałem pozwolić, żeby umieszczono je w mojej szkolnej księdze pamiątkowej.

Przemaszerowałem przez hol hotelu Ritz-Carlton niczym Patton. Przyjemne uczucie. Miałem przepustkę na cały dzień, pełne dwadzieścia cztery godziny, a Maggie Cudowna czekała tuż za rogiem z nowymi sztuczkami do wypróbowania i starymi do powtórzenia.

Kiedy wsiadałem do wina, opuszczała ją kobieta. Powiedziałbym, że około trzydziestki, trochę tandetny wygląd. Cytrynowe włosy, dziobata, szerokie ramiona, płaska. W pierwszej chwili wziąłem ją za mężczyznę. Uśmiechnęła się do mnie.

- Ben?
- Tak?
- Innym razem.

I zniknęła.

Pojechałem do pokoju 503 i Maggie otworzyła drzwi.

- Widziałeś Betty?
- Taa. Tak mi się zdaje. Kim jest Betty?

Uśmiechnęła się.

- Kimś, na kogo moim zdaniem nie byłeś jeszcze gotowy.
- Mogę nigdy nie być na nią gotowy. Myślałem, że jest mężczyzną.
- Ona też tak myśli. Wejdz. Odpreż się. - Maggie miała na sobie szlafrok, wyglądała dobrze, ale najwyraźniej nieco zmęczyła ją sesja z Betty.
- Cóż, teraz znasz głębię mojego upodlenia. - Zapaliła papierosa. - Przyz-

nasz, że dziewczyna nie może znaleźć kochanka bardziej załosnego niż Betty.

- Nie wiem. Tak w ogóle wyglądała na miłego gościa.

- Zdejmij ubranie. Można by oczekiwać, że mając do dyspozycji takie pieniądze i obracając się w takich kręgach... znajdę sobie lesbijkę z klasą, a nie ciepłą siostrę z muskułami.

- Och? To ciepła siostra?

Maggie się roześmiała. W ogóle dużo się śmiała i często zbyt wczesnie, czasami nawet wtedy, kiedy właściwie nie było powodu do śmiechu.

- Cóż, powiem ci, że ilekroć czuję, że nie jestem aż taka zła, dzwonię do Betty, a ona się zjawia i przynosi ze sobą prawdę.

- Nie uważam, żebyś była aż taka zła.

- Nie powinienes w ogóle myśleć o mnie. Powinienes się częstować, póki danie gorące. To element twojej edukacji. Są kobiety i jest kobieta. Wielka ryba zjada małą. Jedz albo zostaniesz zjedzony. Chodź tu. - Nagi podszedłem do niej i wzięła mnie w usta, jakbym był lodem, o którego zjedzeniu zapomniała. - No i jak?

- Nieźle ci idzie.

Wysunęła się ze szlafroka.

- Pan pozwoli ze mną. - Weszła do sypialni, a ja za nią. Łóżko było rozbebeszone, wspomnienie po Betty. Nie powstrzymało nas to. Rozbebeszyliśmy je jeszcze bardziej. Była niesamowita. Czułem się jak zabawka. Wyjęła mnie z rzeczywistości, z miejsca, w którym byłem, i uwolniła od tego, co chodziło mi po głowie. Po wszystkim czułem się kompletnie odnowiony. Nawet niezmeńczony. - Drogi Benie, wszystko dzieje się tak szybko, prawda? Kiedy znów to zrobimy?

- Za jakieś pięć minut?

Roześmiała się.

- Wiesz, co mam na myśli.

-Nie wiem. Moje rozkazy mogą przyjść dosłownie w każdej chwili.

- I pojedziesz do domu.

- Chyba tak.

-Cóż, jeżeli będziesz w okolicy, zadzwoń do mnie w tygodniu. Tylko że sama nic nie wiem. Być może jedziemy z Kevinem do Londynu. Myślisz, że sięgniesz kutasem tak daleko?

- Jasne. Ale jak wróćę?

Ponownie się roześmiała się, a potem nagle spoważniała.

- Jakoś bardzo mi smutno. Być może widzimy się ostatni raz.

- Powinniśmy do siebie pisywać?

- Chryste, nie! Żadnych listów! Jeżeli będziesz, dzwoń. Lecz żadnych listów, okej?

- Okej.

Ubrałem się, a ona nie. Po prostu odprowadziła mnie do drzwi.

- Nie chcę cię popędzać, muszę jednak wracać. Jakiś maharadża skądś przychodzi na kolację.

- Masz zamiar go zjeść?

- Nie sądzę. Nie lubię hinduskiej kuchni. Za dużo curry.

Staliśmy przy drzwiach i otworzyła, stojąc nago w progu.

Nie przeszkadzało jej to. Pomyślałem, że właściwie spodobałoby się jej, gdyby ktoś przechodził.

- Cóż, Maggie...

- Żadnych długich pożegnań. - Uśmiechała się, ale w oczach miała łzy.

- Do widzenia, Ben. - Przysunęła twarz do mojej i nasze usta spotkały się w najśłodszym z pocałunków. I pamiętam, myślałem wtedy, że mimo lubieżnego seksu, który z sobą uprawialiśmy, po raz pierwszy mnie poruszyła i że ten jedyny raz naprawdę coś do niej czułem.

Po powrocie do Fort Devens zastałem już swoje rozkazy. Zwolnili mnie. Skończyliśmy ze sobą, ja i armia. Kaput, fini i idźże sobie z panem Bogiem. Wiedziałem, że będę tęsknić za Johnnym; będę tęsknić za Maggie. Ale reszta? Cześć, pa, i żadnego oglądania się za siebie.

Major Hochman uraczył mnie kolejną porcją informacji.

Dotyczyły śledztwa w sprawie ćwiczeń bojowych. Generał McArdle wyciągnął wnioski z zebranych danych. Oczywiście jego decyzje musiały zostać zaaprobowane przez wojskowego radcę prawnego, ale zachowują moc ostatecznego rozwiązania, ponieważ radca bez wątpienia podzielał poglądy generała.

Sierżantowi Frankowi Kuyperowi miał zostać przedstawiony zarzut morderstwa. Biorąc pod uwagę przebieg jego służby i dziwne okoliczności, mało prawdopodobne, żeby groził mu pluton egzekucyjny. A jednak

najlepsze zakończenie, na jakie mógł mieć nadzieję, to dwadzieścia lat do dożywania.

Kapitan Albert Mackie, oficer odpowiedzialny, został wezwany do stawienia się przed sądem pod zarzutem zaniedbania obowiązków, zdegradowany do stopnia starszego porucznika i zatrzymany w areszcie domowym celem dalszych przesłuchań. Prawdopodobnie zachęci się go do wystąpienia z armii bez zbędnych pytań, i byłby dupkiem, gdyby skwapliwie nie skorzystał z tej propozycji.

Pułkownik Herbert Cranston z 42. grupy został przeniesiony do Fort Riley w Kansas i mianowany dowódcą kompanii pralniczej; jego doświadczenie bojowe w tej dziedzinie mogło tam zostać właściwie wykorzystane, a nieudolność w kwestii dowodzenia już nigdy nie miała się ujawnić.

Podpułkownik Terence Beakins pozostał zastępcą dowódcy 42. grupy, ale tylko do czasu gdy dowódca zechce go trzymać na tym stanowisku - co raczej nie miało długo potrwać. Podpułkownik Beakins miałby wówczas doskonałą okazję do zniknięcia w szeregach jakiejś wszawej brygady, gdzie jego talent do bycia głupcem mógł zostać należycie spożytkowany.

Porucznik Wayatt Collings, nasz dowódca kompanii, który zapomniał się pokazać na ćwiczeniach, został zdegradowany do stopnia sierżanta i wysłany prosto do Korei, gdzie, zgodnie z powszechnym przeświadczeniem, miał zostać zabity, najprawdopodobniej przez Amerykanina.

Kaprała Williama Simmonsa, operatora broni maszynowej, oczyszczono z wszelkich zarzutów, gdyż uznano, że tylko wypełniał obowiązki, a ponieważ dzięki jego gorliwości zostało zabitych czterech ludzi, istniała możliwość, że to powtórzy i awansuje do stopnia sierżanta.

Johnny Munez i Ben Webber upili się razem po raz ostatni.

Zrobili to w kantynie PX5 i zrobili to jak należy, obaj wyryli swoje inicjały na ścianie tak głęboko, że przetrwają milenium. Następnego dnia siedziałem w autobusie Trailways gnającym w stronę Nowego Jorku. Napisałem już do Josha Meyerberga, żeby uprzedzić go o bliskim zwolnieniu ze służby i zaznaczyć, że nie mogę się doczekać, kiedy odzyskam swoją starą robotę. Pomyślałem po prostu, że zawiadomię go z wyprze-

dzeniem, żeby wytrącić broń z ręki tego zdradzieckiego węża, Sama Gaynora.

Niepokojąca notatka. W autobusie znalazłem bostońską gazetę, a w niej artykuł o katastrofie pociągu w pobliżu Pittsburga. Co oczywiste, przeczytałem relację, żeby sprawdzić, czy ktoś, kogo znałem, znalazł się w tym nieszczęsnym pociągu. Znalazł. Elizabeth Jane Satterly, osiemnaście lat; zginęła. Żegnaj, Elizabeth Satterly, której kolorem był żółty i której włosy były czarne, a oczy szare, w odcieniu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. I zastanawiałem się, czy opuściła Pittsburgh, żeby ruszyć w drogę do Nowego Jorku, gdzie w końcu miała mnie odnaleźć?

Co do mojej współlokatorki Ginnie, powiedziałem jej, że niedługo wracam do domu, zdecydowanie jednak nie zamierzałem zdradzać kiedy. Chciałem ją zaskoczyć.

Rozdział 14

Ginnie

1951

Guys and Dolls grano i grano, i grano, aż nawet ja zaczęłam być tym znudzona. Owszem, chodziło o moje pierwsze przedstawienie na Broadwayu, i owszem, wszystko to bardzo podniecające, ale była to także ciężka praca i stawała się coraz cięższa, granicząca z harówką, przy tych godzinach bardziej odpowiednich dla goblinów i Karloffów*⁷⁴ niż dla ludzi. Co wieczór kończyliśmy o wpół do dwunastej i wtedy szliśmy na kolację, mała armia płaskich jak deska tancerek rewiiowych i krzykliwych pedałów, wszyscy zdecydowani zademonstrować swoją młodość i dobry humor, hałasując na ulicach, wariując do trzeciej czy czwartej i waląc się do łóżka dopiero wtedy, gdy słońce z niego wstało.

Na jakiś czas takie życie było zupełnie w porządku, ale kiedy do sześciu normalnych przedstawień w tygodniu doda się dwa poranki, zabawa przestaje nagle być taka przyjemna. Garderoba cuchnęła i wiało w niej chłodem. Dziewczyny bez przerwy paskudnie narzekały, chłopcy byli parszywi. Bolało mnie całe ciało. Paliłam za dużo i piłam za dużo, spałam za mało. Płaca - sto piętnaście dolarów tygodniowo - była wszawa, a system kastowy w poszczególnych grupach - nieznośny. Byliśmy tylko na zastępstwie. Stanowiliśmy obsadę dla czterechsetnego przedstawienia *Guys and Dolls*. Nawet dzieciaki w przedstawieniu, które zrobiło klapę zaraz po premierze, były oceniane wyżej niż my. Oni stanowili pierwszą obsadę. My - „ogony”, i snobizm dusił nas w gardle jak smród starych baletek. No więc po odrobieniu pańszczyzny w *Guys and Dolls* - najlepszym musicalu, jaki w życiu widziałam, moim najbardziej ulubionym, musicalu, za udział w którym dałabym się zabić - kiedy Florrie przyszła do mnie z tym szalonym pomysłem, wysłuchałam jej uważnie.

- Ginnie - stwierdziła - moim zdaniem to się uda. - Moja przyjaciółka Florrie, chudzielec, pochodziła z Brooklynu. Jej ojciec parkował samo-

⁷⁴ Boris Karloff (1887-1969) - aktor, odtwórca roli potwora dra Frankensteina.

chody, a matka pracowała dla firmy telefonicznej. Mieszkali wszyscy razem w suterenie, z pięcioma kotami i trzema setkami dużych karaluchów, które co wieczór wylaziły spod podłogi, a były tak wielkie, że wyglądały jak myszy... dlatego te koty. Florrie miała ogromne niebieskie oczy i zęby jak perły (stąd wiedziałam, że będzie gwiazdą). A nogi... cóż, to było najbardziej niewiarygodne podbicie w mieście, po wyciągnięciu palców tworzyło linię prostą, biegnącą aż do kolana. I zachowywała się w uroczy sposób, sprawiając wrażenie Małej Miss Niewinności, i to mimo słownictwa tak plugawego, że gdyby wyszło z ust dziewczyny o przeciętnej urodzie, mogłaby oberwać po buzi. Ale w wypadku Florrie wszyscy to ignorowali, bo ludzie po prostu byli przekonani, że musieli się przestyszeć. W każdym razie, kiedy zaczęła przeklinać tym swoim cieniutkim głosikiem, często miałam wrażenie, że farba odpadnie od ścian. - Richie to pierdolony geniusz tańca i gdybyśmy stworzyli cholerne trio... dwie dziewczyny i chłopak... moglibyśmy olać ten pierdolony balecik, umawiać się na występy w klubach i może trochę w telewizji, i żyć jak ludzie.

- Czemu Richie chce mnie? - zapytałam. - Mógłby spróbować z Annie, Ethel albo Shellie.

- Powiedzieć ci prawdę?

- Tak.

- Wszystkie go spławiły.

- Bosko.

- Ale to głupie dupy.

- Może wiedzą coś, czego my nie wiemy.

- Nie wiedzą... Wszystkie gonią trzydziestkę... a ta nie ucieka. Są zmęczone i szukają mężów, tylko że w baleciku w życiu ich nie znajdują. Mówię ci, Ginnie, ty masz osiemnaście, a ja dwadzieścia jeden i bierzemy je wszystkie w cuglach. Richie przełknie twój brak doświadczenia, bo wie, że się nauczysz. Reszta zaś nauczy się teraz tylko tego, jak się zestarzeć. A trzeba ci wiedzieć, moja słodka mordko, że nie ma mniej chodliwego towaru niż stara tancerka rewiowa. No i co powiesz?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Taka szansa może się więcej nie trafić!

- Rozumiem.

- To czego nie wiesz?

- No, może wyjdę za mąż.

- Co?

- To nic pewnego, ale...

-Kto? Tylko nie dentysta! Jezu Chryste, nie Murray ją-k- k-k-ała!

- Nie.

- Ten facet z centrum odzieżowego?

- Nie.

- Phillie-ciota?

- Nie.

- Kto?

-Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Sytuacja jeszcze się nie rozwiązała.

On niedługo wychodzi z wojska i...

- Z wojska? Jest w wojsku? Kto to taki, rewolwerowiec?

- To bardzo niezwykła i wyjątkowa osoba.

- Opiszysz trójnożnego elfa.

- Przestań, Florrie. Jest bardzo miły i... ja go kocham.

-Cholera, wyjdź teraz za mąż, daj sobie zrobić brzuch i to będzie koniec. Pierdolony koniec.

- Może.

-Słuchaj, Ginnie, sypiaj z tym facetem, ale zostaw sobie szansę. O co chodzi? A, jest żonaty, zgadza się?

- Florrie, naprawdę nie mogę o tym mówić.

-I co ja mam z tobą zrobić? Richie Pickering ma swoje pięć minut. Ma talent, ma motywację... moglibyśmy niedługo tańczyć w Rivierze Billa Millera*⁷⁵. Monty może nas wepchnąć do *Joey Magnuson Show*. Już o tym rozmawiał z Noahem Sobelem. Nazywalibyśmy się „Trio Pickeringa”. Cholera, masz gdzieś zadekowanego faceta, świetnie! Ale to nie znaczy, że musisz pozwolić spuścić w kiblu swoją karierę. Wiesz, że Richie jest dobry.

- Wiem.

⁷⁵ Bill Miller's Riviera - w latach 1945-1952 popularny nocny klub w Nowym Jorku.

- Wiesz, że nie bije piany.
- Wiem.
- W takim razie przynajmniej z nim pogadaj.
- Okej.

Pogadałam z Richiem Pickeringiem. Był fantastycznym tancerzem i wszyscy o tym wiedzieli. Około trzydziestki, miał role charakterystyczne w *Brigadoon* i *Finnian 's Rainbow* i chociaż podejrzewałam, że może być gejem, nie dało się tego wyczuć w jego tańcu. Tańczył bardzo po męsku, bardzo siłowo. Krążyła plotka, że zajmował się choreografią w różnych musicalach, ale nigdy się nie doczekał, żeby wymieniono jego nazwisko. Nie próbował mnie naciskać. Chciał mnie, bo byłam jasna, a Florrie ciemna, i uzupełnialiśmy się nawzajem. Miał zamiar płacić nam podczas prób i, jeśli chciałam, mogłam zacząć te próby, nie rezygnując z *Guys and Dolls*. Oznaczałoby to zaledwie dwadzieścia minut snu co noc, ale gdyby nic nie wyszło, byłabym w *Guys and Dolls* i, poza odrobiną snu, niczego bym nie straciła.

Nie mogłam się dopatrzeć niczego złego w tym, co powiedział, więc zgodziłam się spróbować. Przez kilka godzin dziennie ćwiczyliśmy dwa różne układy: szalony jazzowy numer do *Sing, sing, sing* i wymyślną karaibską interpretację *Sweet Georgia Brown*. I jeżeli była jakaś muzyka, w której się sprawdzałam, to kara-ib-ska, bej-bi.

Jak zwykle, załapałam wszystko błyskawicznie. Lucas Harrison zaaranżował dla nas muzykę, gratis. Charles Strouse grał nam podczas prób na pianinie, a jego partner, Lee Adams*⁷⁶, opierał się o baniak z wodą do picia i mówił, jacy jesteście świetni. (Kilka lat później szturmem wzięli Broadway dzięki *Bye-Bye, Birdie*). Wszyscy bardzo nas wspierali i występ zaczynał nabierać kształtów. Był tres chic - głównie taniec jazzowy, nowoczesny, ale doprawiony odpowiednią dawką baletu, żeby nadać całości ekstrawagancko wyróżniający się styl.

⁷⁶ L. Harrison - kompozytor, C. Strouse - kompozytor, L. Adams - tekściarz, autorzy piosenek; musical *Bye-Bye, Birdie* z 1960 był ich pierwszym sukcesem

Po dwóch tygodniach zajrzeli jacyś agenci od Williama Morrisa*⁷⁷, żeby zobaczyć występ. Jeden nazywał się Lenny, a drugi Bernie albo odwrotnie. Kiedy się siedzi w show-biznesie dostatecznie długo, człowiek się uczy, że wszyscy agenci mają na imię Lenny i Bernie, mówią do ciebie „mała” i opowiadają, jak to „macie prawdziwą bombę”, i żeby tego dowieść, organizują przesłuchania dla ważniaków, którzy nie mają nic lepszego do roboty i chcą poczuć, że naprawdę są świetni, więc przychodzą. Dla nas umówili przesłuchanie z Noahem Sobelem, producentem *Joey Magnuson Show*, cotygodniowego sobotniego programu, w którym główną rolę grał (zgadliście) Joey Magnuson. Zawsze miał tak wysoką oglądalność, że inne sieci rzadko dawały coś, co mogłoby z nim konkurować, raczej przedstawienia kukielkowe, wrestling i obraz kontrolny.

Wystąpiliśmy, oniemiałi z przerażenia, w sali prób niedaleko City Center, bo tam właśnie Sobel miał swoją kwaterę główną i tam wówczas był, bo tam był zawsze.

Joey Magnuson się nie pokazał, co powitaliśmy z ulgą, ponieważ słyszeliśmy, że to perfekcjonista, a nam daleko było do perfekcji. Z wielkimi kanapkami, bo zrobiła się pora lunchu, zjawili się za to wszyscy pisarze, między innymi chłopak Florrie, Monty Rivers. Hałaśliwi, weseli i pomocni, tak nam ułatwili sprawę, że bez trudu byliśmy dobrzy i kiedy, spływając potem, skończyliśmy dwa oddzielne czterominutowe numery, rzuciliśmy się obściskiwac wszystkich dookoła, jakbyśmy już dostali angaż - podobnie bokserzy próbują przekonać sędziów, że są pewni wygranej. Uściskaliśmy Charlesa przy pianinie i Lee przy butli z wodą. Uściskaliśmy nawet Lenny'ego i Berniego, mocząc im nieskazitelnie białe koszule.

Noaha Sobela nie uściskaliśmy, bo to by zakrawało na lekką przesadę. Odkąd zaczęliśmy, ani razu na niego nie spojrzałam i dopiero po wszystkim odważyłam się zerknąć, czy w ogóle tam jest. Był, równie milczący i niewzruszony jak przed występem, jakby niczego nie obejrzał i czekał, aż zaczniemy. Poczułam się skołowana i zaczęło mnie kręcić w brzuchu. Czyżby przesłuchanie jeszcze się nie odbyło?

I wtedy Monty, odkładając na bok kanapkę z tatarem, o którym mawiał, że usiekali go w boju, wskoczył na krzesło, gwizdząc, bijąc brawo i

⁷⁷ William Morris Agency - agencja artystyczna, literacka i reklamowa.

wrzeszcząc coś w stylu „Velez i Yolande, uwaga!” i „Porządni żydowscy tancerze jeszcze nie wymarli!”. Potem wsadził sobie w usta wielkie cygaro, przysunął się do Noaha Sobela i powiedział głośno, tak że wszyscy słyszeli:

- Noah, bojczik, te dzieciaki trafiają na sam szczyt. Akron, Duluth, Ekwador. Nic ich nie powstrzyma. Jeżeli ich nie zaangażujesz, zrobi to Ziegfeld, bo, jak wiesz, nikt nie potrafi lepiej wypatrzeć młodego talentu niż Sid Ziegfeld. Nie bądź głupi, Noah. Nie przegap ich, jak przegapiłeś Hitlera. Hitler świetnie stepował. Gdybyś podpisał z nim kontrakt, jak sugerowałem, dałoby się uratować miliony istnień. Ale nie, stwierdziłeś, że nie ma talentu, że powinien zapuścić wąsik i zabawnie zaczesywać włosy, a ten... dziwak... wypowiada wojnę. Noah, jeżeli nie chcesz być odpowiedzialny za trzecią wojnę światową podpisz z nimi umowę. Zatrudnij Trio Richiego Hitlera. A kiedy już to zrobisz, dla rozładowania napięcia dorzucę Grubcia Góringa i Pancernych.

Noah Sobel pozwolił, by w uśmiechu uniosły mu się uszy, po czym wstał, kiwając na Lenny'ego i Berniego, żeby ruszyli za nim. Wyglądali, jakby nieśli za Noahem tren. Czuliśmy, że zdarzy się coś dobrego.

I rzeczywiście. Dostaliśmy miejsce w *Joey Magnuson Show*. Oczywiście fakt, że Florrie chodziła z Montym, wcale nam nie zaszkodził. Monty zapewnił ją, że jeśli Richie potrafi złożyć do kupy naprawdę dobry numer, to on, Monty, gwarantuje, że Noah Sobel go kupi, ponieważ (Monty twierdził, że to święta prawda) właśnie szantażuje Noaha, gdyż ma informacje i zdjęcia (i chwytliwe melodyjki), które wskazywały na związki Sobela z przemytnikami rodzynek w czekoladzie z gór Catskills i niesławnej pamięci ekscentrycznym tancerzem rewolucji francuskiej, George'em „Tup” Richelieu, znanym też jako Lanny Ross^{*78}. Czyste wariactwo - tak to było z Montym Riversem. I tak jest.

Ćwiczyliśmy i ćwiczyliśmy, a układ stawał się coraz lepszy i lepszy, Lenny i Bernie nalegali, żebyśmy podpisali umowę z Williamem Morrisem, ale Richie nie chciał się jeszcze z nikim wiązać, co wkurzyło wszystkich dżentelmenów. Trochę się tym przejmowałam, bo Lenny i Bernie zadali sobie tyle trudu i mieli pełne prawo przypuszczać, że podpiszemy ten kontrakt, lecz nie znałam Richiego dość dobrze, żeby kwe-

⁷⁸ L. Ross - piosenkarz, zm. w 1988

stionować jego decyzję. Agencja Morrisa dostała prowizję za pośrednictwo przy załatwieniu tego występu, więc nie chcąc zrażać do siebie Richiego, w razie gdyby trio odniosło wielki sukces, postanowili kręcić się w pobliżu z propozycjami pomocy - darmowej - kiedy się dało. Richie zapowiadał się na pewniaka.

Monty pożyczył nam pieniądze na przygotowanie portfolio, zdjęć i pochlebnych biogramów, które sam napisał. Byłam pod wielkim wrażeniem, kiedy przeczytałam o sobie:

GINNIE MAITLAND - wysoka, wystrzałowa i wspaniała, jest absolwentką Akademii Baletowej Orsen Sather w Seattle. Pochodząca z Krainy Sekwoi giętka piękność przybyła na wschód dzięki naleganiom uznanej choreografki Annice Chatterton. Znalazłszy się w Nowym Jorku, blond gracia przykuła uwagę wpływowego producenta Noaha Sobela i zafascynowała takich choreografów, jak George Balanchine⁷⁹ i Richie Pickering. Ten ostatni przekonał niebieskooką balerinę, by zrezygnowała z roli charakterystycznej w *Guys and Dolls* i jako jedna trzecia zespołu dołączyła do jego nowego, prowokacyjnego Trio Pickeringa. Po występach tanecznych z triem Ginnie być może zdecyduje się wyjechać do Związku Radzieckiego, na zaproszenie tamtejszego rządu, by pracować w Teatrze Wielkim w nadziei zaprezentowania rosyjskiej publiczności swojego wyjątkowego, amerykańskiego stylu.

Tuż ponad wszystkimi tymi kłamstwami umieszczono dramatyczne zdjęcie, przedstawiające mnie stojącą na pointach w takiej pozycji, jakbym właśnie wykonała dwudziestodwuciostopowy skok i wylądowała na wielkim palcu prawej stopy, utrzymując tę pozycję, podczas gdy Bostońska Orkiestra Symfoniczna gra całą uwerturę do *Jeziora łabędziego*. Prawda jest taka, że nigdy nie potrafiłam ustać na pointach dłużej niż przez mgnienie oka, i zdjęcie przedstawiało Marię Tallchief⁸⁰ z wklejoną moją głową i końskim ogonem. Mimo to wszystko razem robiło tak wielkie wrażenie, że sama wręcz nie mogłam się doczekać wyjazdu do Rosji i uwielbienia tamtejszej znającej się na tańcu publiczności.

⁷⁹ G. Ballanchine (1904-1983) - choreograf, tancerz baletowy.

⁸⁰ M. Tallchief (ur. 1925) - amerykańska balerina.

Biografia Florrie była równie niewiarygodna, tylko ona była Francuzką, przyrodnią siostrą Zizi Jeanmarie*⁸¹ i bohaterką francuskiego ruchu oporu, która tańczyła dla Charles'a de Gaulle'a w najbardziej rozpaczliwych chwilach niemieckiej okupacji. W każdym razie mieliśmy wystąpić w *Joey Magnuson Show* i jeśli nie był to sam kawior, na pewno też nie barszcz.

Ćwiczyliśmy jak szaleni, bo tym razem rzecz działa się naprawdę. A kiedy mieliśmy wszystko w małym palcu do tego stopnia, że mogliśmy tańczyć z zamkniętymi oczyma, przenieśliśmy się do studia NBC, gdzie niedługo mieliśmy zacząć próby z całą orkiestrą. W tamtych czasach wszystko szło na żywo. Żadnego filmu, żadnej taśmy. Wychodziłeś i robiłeś swoje. Miałeś jedną szansę i jeżeli klapnąłeś na dupę, widział to cały świat. A jednak poważny występ z towarzyszeniem wielkiej orkiestry wart był ryzyka. Poza tym niedługo miała mnie oglądać cała Rosja i musiałam nabrać doświadczenia.

Florrie i ja jak należy zawiadomiłyśmy kierownictwo *Guys and Dolls*, a ci skitowali nowinę ziewaniem. Zastąpili nas dwiema innymi bezimiennymi dziewczynami, które świetnie nadawały się na przyjęcie pożegnalne po spektaklu i miały płakać i czuć się częścią wspaniałej teatralnej tradycji.

Richie Pickering spróbował się do mnie podwalać, ale, jak sędzę, wyłącznie po to, żeby zaakcentować swoją pozycję szefa; w jakiś sposób utożsamiał heteroseksualizm z władzą. Podczas tej skromnej, zasmucająco nieprzekonywującej próby wyszeptał mi do ucha, że chciałby to ze mną zrobić. Dyplomatycznie zaznaczyłam, że bardzo mi się podoba, lecz niedługo wychodzę za mąż i co by sobie pomyśleli sąsiedzi.

Porzucił temat - tylko po to, żeby dwa dni później nacisnąć mnie mocniej. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Jak się odmawia facetowi, który najwyraźniej mówi: „przeleć mnie albo jesteś zwolniona”? Same słowa jeszcze nie padły, ale to zdanie już wisiało w powietrzu. No to zapytałam o zdanie Florrie.

- On jest hetero - stwierdziła, nerwowo obgryzając paznokcie.
- Właśnie tego się obawiałam - odparłam, też obgryzając.

⁸¹ Renee „Zizi” Jeanmarie (ur. 1924) - balerina i aktorka.

-To kiepski interes. Jeżeli się z nim bzykniesz i znudzi się tobą, wylatujesz. Ale jeżeli się z nim nie bzykniesz, wkurzy się, bo pomyśli, że masz go za pedzia. I wylatujesz tak samo, jakbyś się z nim bzyknęła. Więc... - rozważała całą sprawę - skoro i tak wszystko pachnie strykiem, na twoim miejscu bym sobie nie żałowała.

- Co?

- Bzyknęłabym się z nim.

- Ale...

- Nie. Zaraz. Chwila. Mam trzecie wyjście. Powiedz mu, że jesteś lesbą i że twoja dziewczyna stłukłaby cię na kwaśne jabłko i, skoro już przy tym jesteśmy, powiedz mu, że to ja jestem twoją dziewczyną, bo do mnie też się przystawia, a kompletnie mi nie zależy, żeby Monty maczetą ucinał Bob- by'emu jaja.

- To co mam robić?

- Powiedz mu, że masz trypra.

- Myślisz, że to go powstrzyma?

- Powiedzmy raczej, że przyhamuje.

- Rany, nie wiem.

- Powiedz mu, że masz syfilis. Jeżeli to go nie powstrzyma, nic go nie powstrzyma i równie dobrze możesz się wtedy z nim bzyknąć... Nie wiem, co ci jeszcze poradzić, mała. Wygląda na to, że jego kutas uparł się na jedną z nas i to nie będę ja. No więc coś mi się zdaje, że od tej pory każdy troszczy się o siebie.

- Czemu nie może być pedałem jak cała reszta?

Florrie wzruszyła ramionami.

- Nie można mieć wszystkiego.

- A może powiem mu, że jako dziecko zostałam zgwałcona przez chińskich partyzantów i w związku z tym w ogóle nie mogę się pierdolić?

- Monty'ego by to powstrzymało.

- Tak?

- Taa. Umarłby ze śmiechu.

- To co mam robić?

- Wyhoduj sobie fiuta.

- Tak. Świetny pomysł. Dzięki.

- Proszę bardzo.

Nasz występ w *Joey Magnuson Show* nie był przewidziany w najbliższych tygodniach. Noah Sobel znał się na rzeczy i wiedział, że to nasz pierwszy raz, więc nie chciał naciskać. Powtarzaliśmy próby, stawialiśmy się coraz lepsi i lepsi, skróciliśmy pierwszy numer o piętnaście sekund, drugi o dwadzieścia trzy. To znaczy bez wyrzucania kroków, tylko przyspieszając. Z szybkością błyskawicy wykonywaliśmy skomplikowane układy, przez co wyglądały znacznie lepiej, szły sprawniej. Byłam zdania, że cała ta prędkość jest ryzykowna, bo zwiększa szansę wpadki. Richie jednak nie zgodził się ze mną, przekonany, że im szybciej się człowiek porusza, tym mniej używa głowy i wtedy myśli ciałem. Chciał, żeby nasz taniec stał się równie mimowolny jak oddychanie. Chciał, żebyśmy wyszli na scenę i wykonali nasz numer odruchowo, bo tak postępują wszyscy dobrzy tancerze.

Wróciłam do domu po próbie i zakupach w A&P, a kiedy skończyłam wspinaczkę na piąte piętro, zobaczyłam żołnierza siedzącego pod moimi drzwiami. Spojrzał na mnie z dołu, a ja popatrzyłam na niego z góry i wszystkie pakunki po prostu wyslizgnęły mi się z ramion, jak nasmarowane oliwą - jajka, mleko, sok, chlup, bęc.

- Jezus! - powiedziałam.
- Nie. Ben. Ginnie?
- Jezus!
- Naprawdę? Wyglądasz zupełnie inaczej niż na tych wszystkich podobiznach. - Wstał.

A ja rzuciłam mu się w ramiona.

- Och, Ben! - I odsunęłam się nieco. - Och, Ben... nie wierzę! Nie wierzę! To naprawdę ty?

- Jestem prawie pewien, że tak. Zaraz, sprawdzę blaszkę.

Nie miałam jednak zamiaru zdejmować ramion z jego szyi.

Po prostu ścisnęłam go i ścisnęłam, jedyne, co miałam w głowie, to uściski. W ramionach Bena. Oczywiście płakałam.

Usilnie starał się mnie pocieszyć. .

- Nie płacz. Zrobię nowe zakupy.

- Jesteś w domu. Jezu, jesteś w domu.

-Taa. Przepraszam, że zmartwychwstanie zajęło mi tyle czasu, ale to był mój pierwszy raz i....

-Jesteś w domu. Och, Ben, myślałam, że nigdy się tu nie zjawisz.

- Sam miałem pewne wątpliwości.

Cofnęłam się o krok, żeby na niego spojrzeć, i był piękny. Nawet przez łyzy widziałam, jaki był piękny. Wyższy ode mnie przynajmniej o pięć cali (dzięki Bogu) i silny, i prosty, i Ben. Wzięłam się w garść, zanim zdążył uznać mnie za kompletną wariatkę i zwać.

-Długo czekasz? - zapytałam, przekopując swoją gigantyczną torbę z rzeczami na próbę w poszukiwaniu klucza i wycierając nos rękawem.

- Godzinę. Ktoś zmienił zamek.

- Żartujesz.

- Nie. Mój stary klucz nie pasuje.

- W środku mam dla ciebie nowy. Zrobiłam dwa. - Znalazłam klucz, otworzyłam drzwi i weszliśmy.

- Jest tu kto? - zawołał, a potem odwrócił się do mnie z uśmiechem. - Po twoim liście i telefonach spodziewałem się zastać tu parę koczujących osób.

- Właśnie dlatego zmieniłam zamek. Wciąż jesteś w wojsku?

- Nie. Wyszedłem.

- Ale masz mundur.

- Żadne cywilne ciuchy na mnie nie pasują.

- Oj, co za szkoda. Masz takie ładne rzeczy. Kiedy powiedziałaś, że wracasz, dałam wszystkie twoje ubrania do czyszczenia. Marynarki, spodnie, koszule, skarpetki. Twój ulubiony kolor to niebieski. Wygląda na to, że masz masę niebieskich ciuchów.

- Ale nie bieliznę.

- Trochę gatek w kartkę.

- Ile par?

- Trzy. Trzy w kratkę. Cztery w paski. Dwie podarte. A reszta biała.

- Ile białych?

- Dziewięć par.

- Ile... par skarpet?

- Dwanaście. Wszystkie niebieskie. - Zasalutowałam.

- Buty?

-Cztery pary. I jeszcze jakieś tenisówki, kapcie i coś, co wygląda jak mokasyne i co zaniósłam do podzelowania. - Salutowałam przez całą tę przemowę.

-Wiem! - wykrzyknął, strzelając palcami. - Jesteś z agencji celnej!

- Chodź, pokażę ci twój pokój.
- Ile mam pokoi? No, szybko! Szybko!
- Och, zamknij się.

Zaprowadziłam go do jego pokoju i spodobał mu się stan, w jakim go utrzymywałam.

-Rany - stwierdził - dokładnie jak w dniu mojej śmierci. - Rzucił na łóżko swój worek podróżny, a ten podskoczył. Zdjął kurtkę mundurową i wyjaśniło się, że pięknie mu w brązowym. Brązowy okazał się wcale niezłym kolorem dla Bena. Każdy kolor był niezły dla Bena.

-Chcesz zobaczyć mój pokój? - zapytałam jak dziecko, które pragnie się pochwalić najnowszą zabawką.

- Chcesz powiedzieć, że...? Mamy tu pokój dziecienny?

Oprowadziłam go i nie żałował komplementów. Zawczasu pomyślałam o tym, żeby zdjąć portret Maggie ze ściany i wepchnąć go do szafy. Tak mi się zdawało, że dziewczyna, która trzyma portret swojej matki nad łóżkiem, nie robi na nim dobrego wrażenia - szczególnie kiedy dojdzie do seksu.

-Naprawdę ładnie to wszystko urządziłaś. Całe mieszkanie wygląda dużo lepiej niż wówczas, gdy mieszkaliśmy tu tylko z Donem.

- Tylko z Donem? - zapytałam żartobliwie.

-I Alice oraz Susan i Jessicą, które, jak mniemam, w pewnym stopniu poznałaś.

- Owszem.

- Gdzie Don? Miałaś od niego wiadomości?

- Nie. A ty?

- Nie. - Wyglądał na zmartwionego.

- Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku. Był dość przygnębiony. Nic mu się nie układało.

- Musiał się czuć naprawdę wszawo, żeby tak po prostu opuścić miasto.

- Co będzie teraz? To znaczy z tobą?

- Cóż, dziś mamy wtorek. Wracam do pracy po weekendzie.

- Do Twentieth?

- Taajest.

- Pięć dni.

- Co?

- Masz pełne pięć dni, zanim stawisz się na posterunku.
- Chyba tak.
- Jakieś plany?
- Nie. Chciałem tylko dotrzeć do domu. Nie myślałem o niczym innym.
- Odzyskałam płynność finansową.
- *Guys and Dolls?*

-Lepiej. Opowiem ci przy kolacji. To znaczy, chyba że masz jakieś plany co do kolacji?

- Myślałem, że coś zjem.
- Mogę cię zabrać na kolację?
- To znaczy zapłacić za mnie?
- No, chyba mam więcej pieniędzy niż ty.
- Nie wątpię. Chodźmy do Le Pavillon.
- Myślałam raczej o czymś w rodzaju Horna i Hardarta.
- Muszę wziąć prysznic.
- A ja kąpiel.
- Rzucamy monetą, kto idzie pierwszy.
- Idź ty, ja się za długo grzebię.

Wzięłam prysznic i zobaczyłam go wychodzącego z łazienki, z owiniętym wokół pasa ręcznikiem, którego poły poruszały się, kiedy szedł, z tym zwartym ciałem, z mową trzystu jedwabistych mięśni grających wokół pępka - tak klasycznego, tak posagowego, tak gorąco przeze mnie upragnionego, że tylko cudem przygryzałam swój długi jęzor, żeby nie powiedzieć „Hej, Ben, chodź no! Masz tu dziesiątaka i daj mi tego posmakować, chłopcze”.

W zamian wzięłam kąpiel, leżałam w wannie i całe moje życie przesuwano się na tle kafli, kiepski film na popękany ekranie. Mama, tatuś, Mary Ann, Walter, ich twarze wydobyte z zakurzonych archiwów, rzucane na tło z kąpielowej pary i płaszące przed moimi oczyma w charakterze ławy przysięgłych - wiedziałam, dlaczego tam byli. Znaleźli się tam, żeby poruszyć moje sumienie, postawić je na baczność - że tak powiem - bo w głowie i w planie miałam kutaszenie, formę czasownikową męskiej anatomii. Pieprzenie, ostateczne i nieodwołalne, pierdolenie przez kutasa wybranego według własnego uznania; długo wyczekiwany moment konfrontacji, żeby sprawdzić wytrzymałość stropów i sprężyn w łóżku. Za-

praszamy wszystkich chętnych - młócka na górze Olimp, która skojarzy długo wyczekiwaną parę, dwójkę ulubieńców publiczności: Bena Webbera, Dzieciaka z Fort Devens, dzieciaka, który staje przeciw obiecującej dziewicy z prowincji w Connecticut, Ginnie Maitland, aktualnej właścicielki wysadzanego brylantami nowojorskiego pasa cnoty. Piętnaście rund do zwycięstwa, nikt na tym nie traci poza konformizmem, hipokryzją i Szkołą dla Dziewcząt Stokely.

Czas ruszać i sprostać wyzwaniu. Dziewczyna jest w formie, najlepsze nogi w mieście, najbardziej płaski brzuch, najzgrabniejsza dupka. Trochę perfum tu, nieco oliwki tam. Jakaś suknia - Suknia Girlaski - efektowna parada z łazienki do jego sypialni. Co? Nie ma go tam? W takim razie do salonu... gdzie? - a, tu jest. Nieświadomy mojej obecności. Więc upozuję się w drzwiach, o tak. Jedno ramię na futrynie, jedna ręka na biodrze i jedno kolanko wystające spod sukienki. Prowokująca. Nieodparta. Wyczuwa mnie. Odwraca się. I z szeroko otwartymi oczyma mówi:

- Co to, do diabła, jest?
- Co?
- Co ty, do cholery, masz na sobie? Co to jest?
- A, ta starość. Suknia Girlaski. Zapomniałam ją komuś przekazać.
- Ma naszyte banany...
- No tak, bo to...
- I pióra!
- Tak. Jest jedyna w swoim rodzaju. Nie ma drugiej takiej sukni.
- Chyba nie zamierzasz w tym iść na kolację, prawda?
- Nie bądź niemądry. Włożyłam ją tylko po to, żebyś się pośmiał.
- No to się pośmiałem. A teraz ubieramy się i idziemy na kolację.

Umieram z głodu.

Tyle jeśli chodzi o romantyzm.

Zjedliśmy we francuskiej restauracyjce na Zachodniej Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Le Champlain. Bardzo klimatyczna, znośne żarcie, pięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów za zestaw, wino wliczone w cenę. Ubrałam się na tę kolację w bardzo zabudowany sweter z golfem pod samą brodę, workowaty żakiet z rodzaju takich, w jakich tłukli się Abbott i Costello, oraz marszczoną spódnicę, w której nawet Dalila wyglądałaby

jak Edna May Oliver*⁸². Przesadziłam oczywiście, tak mi było głupio po tym, jak zostałam zgaszona śmiechem i zdaniem: „Co to, do diabła, jest?”, że wykonałam desperacki zwrot w przeciwną stronę, ubierając się tak niepociągająco, że jeśli w ogóle przypominałam kobietę, to starą prukwę zakonnice, która wybiera się na maskaradę, przebrana za okienną markizę.

Miałam potworne przeczucie, że Ben nie zdążył mi się jeszcze przyrzec. To znaczy, kiedy się spotkaliśmy, byłam w stroju do ćwiczeń (kształty najlepszego ciała półkuli zachodniej na wyciągnięcie ręki). Gdy wyszłam z łazienki (pominiemy tę suknię, zgoda?), miałam włosy spiętrzone na czubku głowy i oblałam się taką ilością perfum, że zemdliłoby nosorożca. I dopiero tam, w restauracji, ubrana, praktycznie rzecz biorąc, we wdowie szaty, będę musiała wysłuchać komentarza na temat wszystkich moich przebrań. Przez to wszystko upadłam na duchu - delikatnie mówiąc - więc zjadłam za dużo.

- Niezły apetycik - stwierdził on.
- I co z tego? Ja płacę.
- To nie powód, żeby jeść jak brontozaur.
- Będę jadła, ile zechcę. Tak się składa, że jestem bardzo głodna.
- Nie możesz już być głodna.
- Jestem. Zamów mi jeszcze trochę ślimaków. I postaraj się o więcej chleba. Dopiero zobaczysz.

Stwierdził, że nie zamówi już dla mnie niczego do jedzenia, ale mniejsza o to, udało mu się sprawić, że poczułam się nieszczęśliwa. A jednak ciężko mi było tak się na niego złościć, bo musiał być bardzo zmęczony po podróży i skąd miał wiedzieć, że siedzi przy jednym stole z dziewczyną-nim-fomanką.

Niedługo rozmowa przybrała lepszy obrót, wtedy kiedy powiedziałam mu o Trio Pickeringa i zbliżającym się występie w telewizji (Rosję sobie darowałam, co zresztą powinien też zrobić ONZ). On opowiedział mi o wypadku podczas ćwiczeń bojowych i śmierci Tony'ego oraz Holdoffera i innych, a ja się przestraszyłam, że to kiepski moment, żeby pytać o tę damę z towarzystwa, którą poznał w USO.

⁸² Abbott i Costello - para aktorów komicznych, specjalizująca się w burlesce; E. M. Oliver (1883-1942) - aktorka charakterystyczna, grywająca stare ciotki w filmach kostiumowych.

Przeszliśmy milion mil z powrotem do mieszkania i trzymał mnie za rękę, co było bardzo miłe, ale bez znaczenia, bo chciał tylko, żebym nie wpadła w jakąś dziurę, do rynsztoka czy gdzieś tam.

Weszliśmy po schodach i zrobiło się idiotycznie.

- No - stwierdził, odwracając się do mnie w drzwiach - dziękuję za uroczy wieczór. - I otworzył swoim kluczem.

- Ależ proszę.

-I za miłą kolację. Była naprawdę pyszna i mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy i... - Obdarzył mnie szybkim pocałunkiem w policzek. - Dobranoc. - Po czym wszedł i zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie skamieniałą na klatce.

- Hej! - zawołałam, stukając do drzwi.

Trochę je uchylił.

- Tak?

-Co ty wyprawiasz? - Byłam beznadziejnie wytrącona z równowagi.

- No, wiesz, zaprosiłbym cię, ale to nasza pierwsza randka i...

- Ja też tu mieszkam, pamiętasz?

Przez chwilę myślał, bardzo zatroskany.

- A poza tym nie masz się gdzie zatrzymać?

- Nie.

- Hmmmmmm, to naprawdę dziwne.

- Co?

-Chyba lepiej wejdz.

-Chyba tak - odparłam, wchodząc i zastanawiając się, gdzie się podziało moje legendarne poczucie humoru.

- Możesz spać na kanapie, jeżeli chcesz.

- Mam swój własny pokój, pamiętasz?

-Rzeczywiście, masz. No to w takim razie... bardzo proszę... idź do swojego pokoju.

- Co?

- Idę spać. To był długi dzień.

- No to co cię powstrzymuje? Chcesz iść spać, to idź spać!

- Nie rozumiem, czemu jesteś taka zła.

- Kto jest zły?!

- Ty. -

- Nie jestem zła! Jestem wkurwiona!

- Dlaczego?

-Bo... - poczucie humoru wracało, ale wciąż udawałam rozzłoszczoną
- ...kiedy jedna osoba zabiera drugą osobę na miłą kolację, to ta osoba oczekuje czegoś więcej niż buziaczka w policzek!

- Co takiego miałaś na myśli?

- Na przykład małe pieprzonko?

Zaczął się śmiać tak gwałtownie, że autentycznie klapnął na podłogę. A ja śmiałam się tak mocno, że klapnęłam tuż obok. No i proszę, leżeliśmy w uścisku na podłodze, para rycząca ze śmiechu jak pijane świrusy. I w tej pozycji, w tej ciemności, na tej podłodze, śmiejąc się aż do bólu, straciłam swoje drogocenne, bezcenne, niezastąpione dziewictwo. I było zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam - a miało być do utraty tchu, obiecująco i z westchnieniami. Kompletnie inaczej. Po prostu, kurwa, ubaw po pachy.

Rozdział 15

Ben

1952

Cholernie dużo czasu minęło, odkąd byłem w Nowym Jorku, prawie półtora roku. Wiedziałem, że będę tęsknił za wariackim towarzystwem Dona, ale mimo wszystko w tym autobusie, który z jękiem podjeżdżał do terminalu przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, czułem się równie królewsko jak powracający władca. Żadnej orkiestry dętej, żadnego komitetu powitalnego z burmistrzem i członkami rady miejskiej, nic z tych rzeczy, ale zapachy uniosły się i powiedziały „cześć”, wszystkie w uciążliwy sposób znajome, walące w nos jak popchnięte wielką, moką dłonią. Orzeszki ziemne, popcorn i frankfurterki, benzyna, mocz, piwo, psie gówno, wymioty - skrzepły gulasz odorów, wilgotna mgiełka, kłębammi wydobywająca się z aromatycznych otchłani metra. Sylwetka Manhattanu jest dla turystów i obcokrajowców. Nie ona mówi nowojorkowowi, że trafił do domu. To zapachy mówią o domu. Najpierw zapachy, reszta potem. Tak to działa. Z workiem podróżnym na ramieniu ruszyłem w stronę centrum, idąc wolno w ostatnich podrygach przejmującego styczniowego deszczu.

Na wysokości Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy miałem dość huraoptymizmu z pięćdziesięciofuntowym workiem podróżnym na ramieniu, więc na resztę drogi wziąłem taksówkę. Poczułem się dzięki temu bardzo zamożny i dałem przesadnie wysoki napiwek Marvinowi Wittenbergowi, który uśmiechnął się i powiedział:

-Prawdziwy z pana oficer i dżentelmen.

- Pudło. Jestem cywilem i osłem.

- Jak my wszyscy. - I odjechał, bogatszy dzięki zawarciu ze mną znajomości.

Te pięć pięter nie było łatwym zadaniem, nie z bagażem, jaki niosłem. Dałem jednak sobie radę, ale tylko po to, by stwierdzić, że stary, poczciwy klucz nie pasuje już do starego, poczciwego zamka. Zadzwoiłem -

brak odpowiedzi. Więc usiadłem na klatce, plecami oparty o drzwi, i myślałem o wielu sprawach przez nie wiem jak długi czas.

O Donie, oczywiście. Biedak, nie mogłem go winić, że wybrał zmianę klimatu. Z całym tym dowcipem i inteligencją do czegoś dojdzie. Gdzieś i jakoś wszystkie elementy wskoczą na miejsce i wydarzy się coś dobrego. Chciałbym tylko, żeby czasem się odezwał. Fakt, że tego nie robił, uznałem za zły znak.

Pomyślałem o Arniem Felsenie, który w końcu został powołany i napisał do mnie z Korei, gdzie był w policji wojskowej, tego tylko brakowało, mały Arnie Felsen w policji wojskowej. Najwyraźniej kontynuował pisanie, bo przysłał mi szereg różnych wycinków z rozmaitych wojskowych gazet, artykułiki, które napisał. W końcu był publikowanym autorem. Nieustępliwy sukinsyn, zdałem sobie sprawę, że on też we właściwym czasie po cichutku przepchnie się w zamierzonym kierunku.

Duży Al Epstein - zrobił żonie dziecko za późno, żeby zakwalifikować się do odroczenia, więc armia go zgarnęła. Ale wszystko poszło dobrze, skończył w oddziałach łączności i stacjonował w Fort Monmouth, na New Jersey, gdzie siedział po uszy w produkcji filmów szkoleniowych. Dużemu Alowi się poszczęściło. Zawsze tak było i miało być.

Pomyślałem o Bobie Steinmanie, ale nie za długo, bo nie potrafiłem się z tym uporać. Więc po prostu przesunąłem to do sekcji „rzeczy, o których się myśli w dołku i po pijaku”.

Pomyślałem o Tonym i to mnie naprawdę dziabnęło. Tony Wesso, martwy w wieku dwudziestu trzech lat, stracił głowę i został zabity. Także o tym nie potrafiłem myśleć za długo, przede wszystkim dlatego, że za nim tęskniłem, ale też dlatego, że przez tego drania McArdle'a uwierzyłem w swoją większą niż niewielka odpowiedzialność za śmierć Tony'ego. Nie chciałem w to wierzyć, lecz ile razy przyszedł mi na myśl Tony, zaczynałem wspominać McArdle'a i wpływała kwestia mojej winy. Cała sprawa wymagała trochę czasu.

Pomyślałem o Johnnym Munezie i to było dobre posunięcie. Johnny ocalał, dzieciak z ulicy; potrafił o siebie zadbać, choćby sytuacja była nie wiadomo jak ciężka. Johnny'emu nic nie będzie. Wróci. Mogę się założyć.

Pomyślałem o Pat Jarvas, bo to ją będę znów widywał. Należała do panienek na jeden szybki i z rozmysłem do niej nie pisałem, bo nijak się

miała do dziewczyny moich marzeń. Ale teraz, kiedy wróciłem, niespodziewana myśl o niej wydała mi się bardzo podniecająca i rozgrzała mnie świadomość, że będzie tam, kiedy znów trafię do biura. Nie była taka zła, a skoro Maggie zniknęła z mojego życia...

Maggie. Pomyślałem o Maggie, bo zawsze już miałem myśleć o Maggie, szczególnie o jej łzach podczas naszego ostatniego pocałunku. Najlepsza, jaką miałem mieć w łóżku - mimo to przez całą drogę do domu prześladowała mnie świadomość, że udawała postrzeleńca, choć miała tragiczny posmak zatracenia, dążyła do samozniszczenia, śmiejąc się przy tym w głos. A jednak, jeżeli rzeczywiście już nigdy nie miałbym jej zobaczyć, wiedziałem, że nie zapomnę tej wyrafinowanej damy - ponieważ obdarowała mnie, zapoznając z takim rodzajem seksu, który, mimo że w podtekście miał wulgarne pierdolenie, był jednocześnie witalny, radosny i dziwnie czuły.

Maggie, tak otwarta, tak łatwa w swojej sztuce miłosnej, taka ładna, tak bardzo „w średnim wieku”, tak bardzo „tam, w Bostonie”, że aż mnie skreśliło z tęsknoty za nią. Ta twarz, to przechylenie głowy, kiedy mówiła najgłupsze rzeczy, wybierając najbardziej obsceniczne zwroty i wygłaszając je, jakby ich autorstwo związane było z Elizabeth Barrett Browning. „Jakże cię kocham? Niech no policzę sposoby. Z dołu, z góry, dupą w ustach”. I oto była. Szła po schodach. Podświetlona od tyłu światłem z klatki schodowej. Jej sylwetka, jej krok, z całą pewnością Maggie - o mało nie zawołałem jej po imieniu. Ale to nie była Maggie.

To była Ginnie. Ginnie, moja współlokatorka, niezła laska, upuszczająca wszystkie zakupy i rzucająca się na mnie z impetem piłki lekarskiej. Tuliła mnie i witała i w kółko mówiła do mnie „Jezus”, aż prawie uwierzyłem, że nim jestem.

Weszliśmy i pokazała mi mieszkanie. Pokazała też ciało, jakie człowiek widuje wyłącznie w erotycznych snach. Nogi, po samą szyję, sprawiały, że wyglądała, jakby miała dziesięć stóp wzrostu. A jej tyłek - cóż - jej tyłek to był szczyt wszystkiego.

Dopiero kiedy doszedłem do siebie po tych nogach i tyłku, zdałem sobie sprawę, że to nie koniec, jest tego więcej. Miała piersi, ciasno upakowane w stroju do ćwiczeń, powiedziałbym trójeczka z plusem. I biodra, wymodelowane na wzór Venus de Medici albo vice versa. I miała głowę. I, niech mnie cholera, to była prawdziwa piękność. Oczy - niebieskie i

wilgotne, jakby dopiero co płakała. Nos - orli, patrycjuszowski. Leciutko zakrzywiony koniuszek, ale nie aż tak, żeby rzucało się to w oczy. Usta - przede wszystkim dolna warga, lekko nadaśana, kąciki uniesione, żeby szybciej się uśmiechać. Zęby - lśniaco białe, z odrobiną nieregularności w górnej szczęce, akurat taką, żeby były nienachalnie interesujące. Podbródek - nieco wystający, stanowczy, lecz delikatny. Policzki - Garland. Szczęki - Dietrich. Uszy - Allyson. Szyja - Lamarr. Wszystko to okolone blond czupryną, naturalną, ale rozjaśnioną, ściągniętą do tyłu i zebraną w koński ogon, najokazalszy od czasów Seabiscuita*⁸³.

Wciąż w stroju do ćwiczeń, raczej płynęła, niż szła, przechodząc z pokoju do pokoju równie naturalnie i płynnie jak pokazany w zwolnionym tempie kot. I gdyby nie fakt, że byłam tak kompletnie ogłupiała od tego wszystkiego, chwyciłbym ją i kochał się z nią, pytania zostawiając na potem.

Mieszkanie wyglądało całkiem miło, trochę po dziewczyn- sku, ale nie w takim stopniu, żeby to komentować. W moim pokoju wszystko zostało bez zmian, tyle że ubrania były porządnie poukładane, jakby opiekował się nimi lokaj. Ucieliśmy sobie pogawędkę, podczas której ujawniła żywą inteligencję i nieporadny wdzięk. Przypominała burzę wsadzoną w cadillaca i posmarowaną dżemem. I była moją współlokatorką. Żołnierzu, strzeż się.

Najpierw ja wziąłem prysznic, potem ona się wykąpała. Wyszła ze swojego pokoju w czymś w rodzaju kostiumu kłowna, więc należycie się obsmiałem. Uznałem ten strój, z piórami, paciorkami i powiewającymi bananami, za kolejny dowód jej pikantnego wyczucia absurdu. Do kolacji ubrała się w coś, co bardziej by pasowało na grubasa, który przegrał w wyborach, niż na młodą dziewczynę, której trafił się pierwszorzędny współlokator. Nie byłem pewien, czy powinienem komentować ten dziwaczny ubiór, i zdecydowałem się nic nie mówić.

Wracając do mieszkania, postanowiłem trochę się powyglupiać, bo do tej pory ona załatwiała całą rozrywkę. No i udając młodą dziewczynę wracającą do domu po pierwszej randce, zostawiłem ją stojącą na schodach, a sam powiedziałem dobranoc i zamknąłem drzwi od środka. I znów ujawniło się jej olśniewające poczucie humoru, kiedy szybko we-

⁸³ Seabiscuit - koń wyścigowy.

szła w rolę rozwścieczonego konkurenta, waląc w drzwi, dopóki ich nie otworzyłem.

Od słowa do słowa siłą rzeczy utożsamiła się z odgrywaną postacią, wysuwając wojowniczo podbródek i domagając się, jako zapłaty za wieczór, „małego pieprzonka”. Nie spodziewając się ze strony mojej słodkiej Ginnie czegoś tak konsternującego, zacząłem pękać ze śmiechu i osunąłem się na podłogę, dosłownie zrywałem boki z niestosowności tak szczerego żądania w stylu klasy średniej.

Ona też się śmiała i podobnie opadła na ziemię. I nagle splątały się nasze ramiona i nogi. I na moim ramieniu leżał koński ogon, a u boku miałem kobietę. I nie byliśmy parą ludzi, którzy właśnie się poznali, lecz dawnymi kochankami, zaznajomionymi z ciałem partnera jak z własnym.

Ale jak to było możliwe? Skąd mogłem znać ją tak dobrze, że ta skomplikowana układanka „jak kobieta reaguje w łóżku” została tak szybko ułożona? Czy niejasne listy i sensne telefony mogły sprawić, że zniknęła tradycyjna niezgrabność? Czy mogły zmienić niezdarną grę wstępną w perfekcyjną ekstazę, a pierwsze miłosne zbliżenie w serię bezbłędnych strzałów w środek tarczy? A może Ben i Ginnie byli tak umiejętnymi kochankami, że nie popełniali żadnych błędów, nie potrzebowali wymówek i nie brali jeńców?

Podczas naszej miłosnej sesji wypłynęły i opadły na dno pytania, żadne nie doczekało się odpowiedzi, więc wszystkie uniósł prąd. Oczywiście spotkaliśmy się wcześniej gdzieś, gdzie perfekcja jest normą, a miłość rządzi światem. Nazwijcie to miejsce Casablanką i będziemy mieli problem z głowy. Powiedźcie Bogey widzi Bergman i Bergman widzi Bogeya i z samego tylko sposobu, w jaki na siebie patrzą, wiemy, że kiedyś się kochali. Gdzie i kiedy wyjaśni się później, jeśli będziemy cierpliwi, jeśli będziemy chcieli i naprawdę uwierzmy, że „westchnienie to tylko westchnienie”.

Po wszystkim- wciąż ciasno objęci, leżeliśmy oboje na zimnej, twardej podłodze, owinięci sobą jak węgorz, który połyka własny ogon, i niech mnie diabli, jeżeli nie uniosłem wyimaginowanego kieliszka i nie powiedziałem do niej „W twoje ręce, mała”. I niech mnie diabli, jeżeli się nie popłakała.

Ginnie - pięć wypełnionych nią dni i sześć nocy. Nigdy nie wiedzieliśmy, która godzina, dzień i datę też ocenialiśmy jedynie na oko. Jedli-

śmy, kiedy się nam przypomniało, spaliśmy, kiedy uszła z nas para, i nie rozstawaliśmy się, z wyjątkiem momentów, kiedy natura upominała się o swoje prawa. Włączyliśmy telewizor i zaraz go zignorowaliśmy, nasz własny program bardziej nam odpowiadał. Gazety zostały obłożone klątwą, pogoda wypadła ze sfery naszych zainteresowań, świat poza domem stał się miejscem, z którego należało uciec, a telefon przedmiotem zdjętym z widełek. Życie stało się horyzontalne, wyglądało na to, że nasza para pada, gdy tylko się dotknie. Nasze łóżka, nieścielone, zostały skotłowane. Najpierw moje, potem jej, potem moje. Rozkojarzeni jak nowożeńcy, nie potrafiliśmy się zdecydować - Beautyrest czy Simmons*⁸⁴? Kanapa, krzesło, podłoga, dywan. Pod prysznicem było z dreszczykiem, w wannie o mało nie utonęliśmy.

Kiedy znudziły się pozycje horyzontalne, przerzuciliśmy się na wertykalne - ściana, drzwi, garderoba, lodówka. Szafa była zaciszna, okno ryzykowne (trzeba pamiętać o opuszczaniu żaluzji). Przyciągaliśmy się jak magnesy i rzucaliśmy się na siebie jak jastrzębie na łup, rozdzielając się tylko na czas prób, bo *Joey Magnuson Show* zbliżał się szybkim krokiem.

Poszedłem tam z nią. Wielka przestrzeń, prawdziwa stodoła, i zimna. Poznałem Florrie, która dziwnie na mnie patrzyła, jakbym dopiero co przyleciał z Tybetu na kurczaku. Richie Pickering był uprzejmy, ale nerwowy, bardziej przejęty swoimi ćwiczeniami niż poznaniem faceta Ginnie. Nie było tam nikogo więcej. Przygotowywali się do nagrania i pracę z kamerą mieli jeszcze przed sobą.

Obserwowałem ich i wydawało mi się, że są bardzo dobrzy. Tak naprawdę nie umiałem tego ocenić, bo, po pierwsze, kompletnie nie znałem się na tańcu. A po drugie, miałem w oczach tylko Ginnie. Cokolwiek robili Florrie i Richie, równie dobrze mogłoby dziać się w Pittsburghu, tyle z tego widziałem. Mogliby podskoczyć i pieprzyć się na suficie i niczego bym nie zauważył; patrzyłem wyłącznie na Ginnie. A było co oglądać, jej stopy zdawały się nie dotykać podłogi, a kiedy podskakiwała, mogłaby zostać w powietrzu, jedynym powodem, dla którego opadała na ziemię, był fakt, że chodziło o taniec, nie o szybownictwo.

⁸⁴ Beautyrest, Simmons - hotele.

Ćwiczyli przez godzinę, robili przerwę, ćwiczyli kolejną godzinę, robili kolejną przerwę (na lunch, którego nikt nie jadł), ćwiczyli przez trzecią godzinę i kończyli. Nie znałem sportowca, który wytrzymałby coś podobnego, nie narażając się na zawał.

Ginnie była kompletnie mokra i obawiała się przeziębici. Pakowałem ją do taksówki i jechaliśmy do domu. Prowadziłem ją pod prysznic, najpierw upewniając się, że woda nie jest za zimna. A, tak - ja też byłem pod prysznicem.

Nie było tak, że robiliśmy tylko to. Zajmowaliśmy się też innymi rzeczami. Chodziliśmy na spacer i zaliczyliśmy parę filmów, a także przeprowadziliśmy rozpoznanie, co nowego w Muzeum Sztuki Współczesnej. Ale wszystko stało się konkursem pod nazwą: „Jak długo możemy wytrzymać bez seksu?”. I aż nazbyt często okazywało się, że gnamy do domu, bo wiedzieliśmy, że ludzie krzywo patrzą, kiedy ktoś robi to na ulicy (z wyjątkiem psów). A nawet gdyby było inaczej, myśl

o tym, że ktoś przychodzi i oblewa nas wiadrem zimnej wody, nie wydawała się szczególnie inspirująca.

Pewnego razu, wybiegając z koncertu Fritza Kreislera, który zawiódł Ginnie na niezmiernie do tej pory wyżyny zmysłowości, niezupełnie zdołaliśmy dotrzeć do mieszkania i zaczęliśmy się kochać, kiedy tylko wpadliśmy z ulicy. To znaczy w przedsionku na dole i całą drogę na górę, rozdzielając się

1 ponownie wpadając sobie w objęcia, walcząc z tym i poddając się - podest trzeciego piętra okazał się szczególnie krytyczny, ponieważ zdjęliśmy już większą część odzieży, a poręcz tam nie należała do stabilnych, co z pewnością sprawdziliśmy dokładnie jak cholera.

Wyszliśmy z tej próby zwycięsko, opuszczając trzecie piętro, i znajdowaliśmy się w połowie drogi na czwarte, kiedy ze swego mieszkania na czwartym piętrze wyszła pani Harkaday, ocieężała pięćdziesięciolatka, i stanęła, gapiąc się na nas z niedowierzaniem.

Chwila wymagała błyskotliwej reakcji, bo chociaż ja miałem na sobie spodnie, Ginnie była rozebrana do stanika i majtek.

- Szybko - powiedziałem do naszej damy - niech pani ściąga ciuchy i biegnie na dół!

- Co? - zapytała głosem, który zdawał się wydobywać z łoskotem spomiędzy jej wydętych cyców.

- Otworzyli hydranty przeciwpożarowe i wszystkie dzieci bawią się w wodzie! - oznajmiłem. - Ja-cie, ale frajda!

- Właśnie - odezwała się Ginnie, szybko podchwytując pomysł - założyli końcówkę rozpryskową! Coś niesamowitego!

Pani Harkaday stała, blokując nam drogę, najwyraźniej prze-myśliwała sprawę, wreszcie zbyła rzecz wzruszeniem ramion.

- Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż prysznic na ulicy - i poszła w dół. Przycisnęliśmy się do ściany, schodząc jej z drogi, bo ruszyła z impetem.

- Naprawdę, pani Harkaday - powiedziała Ginnie, chwyając oddech, kiedy parowiec szczęśliwie nas minął - jest świetnie. Proszę wziąć kawałek mydła i upiecze pani dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Doprawdy. Doprawdy, doprawdy - powtarzała sąsiadka, jakby miało to wielkie znaczenie dla istoty sprawy. Doprawdowała się na sam dół i wyszła z budynku. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że gdyby kiedykolwiek pani Harkaday i stara, dobra Jessica miały wkroczyć na te schody jednocześnie, budynek w mgnieniu oka zmieniłby się w parking podziemny.

Kiedy spojrzałem w górę, Ginnie w wyścigowym tempie brała już zakręt na podeście czwartego piętra, zmierzając w stronę ostatniego biegu schodów.

- Chodź! Chodź Ben, bo dłużej nie wytrzymam! -1 ściągała stanik, wyslizgując się z niego i pokonując schody, przez co wyglądała jak połączenie striptizerki z Harrym Houdinim.

W połowie ostatniego biegu przystanąła, żeby zdjąć majtki, a ja chwyciłem ją i przycisnąłem do schodów.

- Mam cię!

- Zwariowałaś! Na schodach?

- Na schodach.

- Ben, nie!

- Tak, moja dumna piękności.

- Ben, ja się nie zginam w tym kierunku!

- Spróbuj.

- Ben!

- Przynajmniej spróbuj.

- Ben... ale... zobacz, cztery, pięć stopni i już jesteśmy! Jesteśmy prawie na górze!
- „Prawie” jest tu równie dobre jak mila.
- Co? Ben, ktoś może wyjść z mieszkania i nas zobaczyć!
- Krzykniesz „gwałt” i jesteś zwolniona z odpowiedzialności.
- Ben, nie!... Ben?
- Te stopnie, czwarty, piąty i szósty od góry, będą uświęcone. Niniejszym uświęcam je chlubnym pieprzeniem.
- O Jezu, nie możesz. Musisz być...
- Błogosławione niech będą te stopnie. Odtąd, kiedy tylko ludzie wstępować będą na te stopnie, niech wiedzą, że...
- Ben...
- ...że spoczywała na nich kiedyś miłość. Spoczęła? Spoczywa.
- Ben...
- Zamknij się. Tylko...
- Oj oj oj.
- Uff.
- Ależ ja cię kocham, Ben.
- To ja cię kocham.
- Ja to pierwsza powiedziałam.
- Ale ja bardziej cię kocham.

W niedzielę w nocy spaliśmy w łóżku Ginnie, bo tam akurat byliśmy. Ustawiłem budzik na piątą rano, żebyśmy mieli mnóstwo czasu na pożegnanie, ponieważ nie musiałem się pokazywać w biurze do dziewiątej.

Zjawiłem się w 20th trochę przed dziewiątą, nie spodziewając się wielkiego przyjęcia powitalnego, i nie przeżyłem rozczarowania. Pierwszą osobą, z którą poszedłem się zobaczyć, był Josh, ale przy jego biurku siedział ten jakiś facet około sześćdziesiątki, siwowłosy, starannie ubrany, chudy i niski. Miał na sobie dwurzędowy szary garnitur w prążki, z czerwonym kwiatkiem w dziurce od guzika. Oszalał też niebieskim krawatem, który tak się mienił, że przy pierwszym spojrzeniu pomyślałem, że faceta ogarnął błękitny płomień.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, pięćdziesiąt osiem olśniewających sztucznych zębów zabarwiło się blaskiem krawata i nadało mu wygląd kota, który właśnie zjadł kałamarnicę.

-Jesteś Ben Webber, zgadza się?

-Zgadza.

Kiedy wstał, okazał się niższy niż na siedząco; a gdy do mnie podszedł z ręką wyciągniętą w powitalnym geście, zauważyłem poduszkę na jego krześle. Facet miał nie więcej niż pięć stóp dwa cale. Potrafiłem sobie wyobrazić, że daje radę z anonsami do krótkometrażówek, ale pełen metraż?

-Jestem Alan Morse. Wchodź. Siadaj.

-Dziękuję.

-Nie było cię jak długo?

-Półtora roku.

-Zabiłeś jakichś Japońców?

-To była ta poprzednia wojna.

-Chciałem powiedzieć Koreańczyków.

-Zabiłem pięciu Japońców. - Ostrożnie, Ben. Uważaj. Hamuj swoje kłótniwe usposobienie. To nie armia. Kiedy stąd odsyłają cię do domu, to jesteś bezrobotny, kotku.

Alan Morse uśmiechnął się. W ogóle dużo się uśmiechał. Miałem przeczucie, że z tymi nowymi zębami odbija sobie wszystkie lata, kiedy się nie uśmiechał z powodu starych zębów. I wyobraziłem sobie jego stare zęby, wetknięte w kieszeń na piersi jego starego garnituru, wiszącego w jego starej szafie - razem z jego starą inteligencją.

-Joshua nie ma i teraz ja tu rządzę.

Napełnił fajkę tytoniem, który wyjął z pojemnika dokładnie w stylu Abercrombiego. Reszta biura została urządzona z równie traperskim zacięciem - wczesny Klub dla Mężczyzn. Na tablicy informacyjnej żadnych ogłoszeń ani schematów, żadnego wrażenia pośpiechu, jakie tam panowało, kiedy Josh zawiadował całą imprezą. Zamiast tego ślicznie oprawione zdjęcia kaczek. Kaczki w locie; kaczki na stawie. A to, co nie było kaczką, było gęsią. A jak nie jednym ani drugim, to bażantem. Albo czapłą. Albo może dziobakiem. Gównu mnie to obchodziło. Facet był dżentelmenem-sportsmenem, pewnie polował na ptaszki z pokładu *Mayflower*. Dokładnie ten typ człowieka, który sprzedał Ameryce depresję...

- A więc, ponieważ weterani dostają z powrotem swoje stare posady, nie będzie z tym problemów. Twoja stara posada czeka. Do wzięcia. — Uśmiechnął się niebiesko.

- Odniosłem wrażenie, że ktoś inny dostał moje zajęcie.
- O nie, nie, nie. To było tylko rozwiązanie czasowe, do twojego powrotu.

- Został zwolniony?

- Niezupełnie. Przesunięty na stanowisko Jessupa. Roland Jessup nas opuścił, rozumiesz. Gdzieś tam radośnie wspiera czarnuchów zajmujących się rozrywką. Reprezentuje interesy całej bandy tancerzy. Jest obecnie impresariem. Sami będziemy teraz szukać dwóch czy trzech smołuchów na własne potrzeby, żeby nie wciągnęli firmy na czarną listę. - Roześmiał się, najwyraźniej to, co powiedział, było bardzo śmieszne. - W każdym razie awansowaliśmy Sama Gaynora na copywritera, więc twoja stara posada należy do ciebie.

- Posada pomocnika biurowego.

- Tak. Oczywiście tymczasowo. Kiedy tylko zwolni się jakieś miejsce...

- Zanim poszedłem do wojska, pisywałem teksty reklamowe. Miałem wrażenie, że... Josh dał mi do zrozumienia, że...

- Meyerberga już tu nie ma. A w chwili kiedy Jessup złożył wypowiedzenie, ciebie też nie było. Sam Gaynor był. Sam Gaynor dostał tę robotę. Proste? - Rękawiczki zostały zdjęte. Nie zamierzał wysłuchiwać żadnego więcej pieprzenia. Musiałem popracować nad trzymaniem w garści swoich emocji.

- Nie uważam, żeby to było w porządku.

- Cóż, może nie jest. Ale Sam jest dobry i tylko tylu copywriterów mogę utrzymać. Przecież nie zdegraduję go z powrotem na pomocnika biurowego.

- Czemu nie?

Pyknął ze swojej pierdolonej myśliwskiej fajki na kaczki.

- Wygląda na to, że nie wróciłeś jako bohater, koleżko. Gdybyś wrócił jako bohater, dostałbyś moją posadę. Ale nie wróciłeś. Wszystko, czego dokonałeś, to zabiłeś pięciu Japońców i to, jeśli się nie mylę, na tej poprzedniej wojnie.

Własne cwaniactwo wróciło do mnie jak bumerang. Punkt dla generała McArdle'a i majora Hochmana. A jednak wiedziałem, że gdybym nawet wszedł i zaczął czołgać się u jego odzianych w czarną, lśniącą skórę

stóp, Sam Gaynor i tak zachowałby tę posadę. Kryło się za tym coś więcej niż moje zachowanie.

- Może powinienem przedstawić tę sprawę związkowi.

- Masz to za sobą. Twój przyjaciel Mickey to prawdziwy agitator, co? Zagroził nam akcją związkową, ale najwyraźniej wasz związek się nie palił do tego, żeby wszczynać z twojego powodu wojnę. - Ponownie włączył swój niebieski uśmiech, jednak nie w wyrazie tryumfu, raczej w swoistym geście pojednania. - Musisz wytrzymać, Ben. Coś się zwolni i kiedy to nastąpi, dostaniesz swoją szansę. Obiecuję.

- Czy mam przynosić swoje teksty?

- Naturalnie. Ale teraz mam pusty kałamarz, a ekipa sprzątająca z jakiegoś powodu nie opróżniła w piątek mojego kosza na śmieci... czy mógłbyś się tym zająć, Ben? Byłbym wdzięczny.

Napełniłem mu kałamarz i opróżniłem kosz na śmieci do wielkiego pojemnika w korytarzu. Kiedy to robiłem, przeszedł Mickey Green. Zobaczył mnie, chociaż nie chciał, nie w ten sposób, z głową w pojemniku na śmieci. Ale jednak mnie zauważył i musiał się zatrzymać, żeby się przywitać i powiedzieć, jak się cieszy, że mnie widzi. Kiwnął, żebym poszedł za nim do zagrody copywriterów.

Stało tam moje stare biurko z kilkoma listami na wierzchu - jakieś pocztówki. Biurko Mickeya jak zwykle przypominało kupę śmieci. Na biurku Dory stał ten sam wazon z tymi samymi kwiatami i to samo pudełko kleenexów. Biurko Rolanda jednak wyglądało inaczej, ponieważ nie należało już do Rolanda, tylko do Sama.

Zaś na biurku Sama znajdowały się wszelkiego rodzaju pamiątki. Na przykład wysoki na stopę mikrofon radiowy z litego mosiądzu. I jakieś pokryte brązem płyty gramofonowe, wciśnięte w oddzielne mahoniowe przegródki. A na ścianie - rząderek oprawionych w srebrne ramki fotografii nieśmiertelnego Skipa Gaynora, słowika fal radiowych, z ustami otwartymi w śpiewie, podczas gdy cztery podbródki, które miały go w końcu zadusić, ułożyły się w fałdach ponad muszką niby ręka Boga.

Mickey usiadł przy swoim biurku, przyglądając się, jak chłonę to wszystko, po czym spokojnie powiedział:

- Człowiek ma się ochotę zesrać, co?

- Coś w tym rodzaju.

- Próbowaliśmy, Ben. Ja i Dora, i kilka innych osób. Ale nie byłeś specjalnie popularny w związku. Próbowaliśmy ich przekonać, żeby nie myśleli o tym w kategoriach osobistych, lecz potraktowali jako sprawę związkową. Ben, oni się cieszą, że sami jeszcze zachowali posady. Wszyscy się cieszymy. Wszystko się przenosi do Kalifornii. Walczyliby o Hermana Temple'a, o Joego Angrisaniego... bosą stopą weszliby między węże dla Danny'ego San Filippa i Lou Shanfielda. Dla ciebie jednak nie chcieli nawet wstać od stołu.

- Co takiego zrobiłem?

- Nie wiem. Spróbuj. Poszukaj czegoś innego. Zabij się. Nie wiem, co ci poradzić.

- A co ty byś zrobił?

- Byłbym grzecznym członkiem związku.

- Na to już chyba trochę za późno, co?

- Może nie.

- A może jednocześnie się zabiję i poszukam nowej roboty?

- Może to zadziała. Nie wiem.

Weszła Dora i mocno mnie uściskała, a potem pobięła po swojego kleenexa i zatrafiła w niego kilka razy, wyrażając w ten sposób nostalgię. Mickey streścił jej dotychczasową dyskusję i nie miała do dodania niczego, czego by już nie powiedział.

- Kim jest Alan Morse? - zapytałem.

Mickey wzruszył ramionami.

- Staroświecki facet z reklamy. Pracował w czasach filmu niemego. Ma sto osiem lat i stawiam, że zmarł w wieku stu jeden.

- Nadaje się do czegoś?

- Nie do końca. Ale nie jest też najgorszy. Uważam, że to zagrywka taktyczna.

- Co masz na myśli?

- No cóż, pełni funkcję zapchajdziury, najwyżej. Uważamy, że wymienią go na kogoś innego, kiedy tylko ustalą na kogo. A na razie na tronie siedzi stara Niebieska Gęba.

- Myślałem, że te zęby nabrały koloru od krawata.

- Może i tak. Nosi wyłącznie niebieskie krawaty. Kiedy zaczniesz nosić zielone, ja odchodzę.

- Okej. Kim jest Sam Gaynor i czemu nie w wojsku?

-Sam Gaynor to egomaniak z przepukliną, ma cztery F. Nie potrafi pi-
sać i nie stara się być miły.

- Nie lubisz go.
- Każdy, kto lubi Sama Gaynora, musi być do gruntu zły.
- Kiedy przychodzi do pracy?
- Kiedy mu się przypomni.

Tego dnia Sam Gaynor przypomniał sobie o przyjsciu do pracy o
dziesiątej piętnaście. Usłyszeliśmy szuranie jego szpotawych stóp i po-
czuliśmy nieregularny, ciężki krok, zanim jeszcze dotarł do boksu. A kie-
dy otworzył drzwi i wszedł, walnęły o ścianę, jakby wpadła załoga G. I
zrozumiałem, jak musieli się poczuć Lilipuci, kiedy Guliwer wylądował
na ich plaży. Wielki wół podszedł prosto do mnie i łaskawie podał łap-
sko. Gigantyczne, moja ręka zniknęła w nim bez śladu.

- Ben. Jesteś Ben, zgadza się?
- Zgadza się.

-Fanie cie wizieć. - Powiedział to głosem Phila Silversa*⁸⁵. Facet miał
jakieś pięć stóp sześć cali i wydawał się równie szeroki jak długi. A ra-
miona, sięgające prawie do kolan, nadawały mu sylwetkę orangutana -
ich jedyną ludzką cechą były złote spinki do mankietów, przedmiot nie-
często widywany w buszu. Twarz, idealny księżyc w pełni z zaczątkiem
podwójnego podbródka, wydawała się tak okrągła i szeroka, że bardziej
przypominała kopułę obserwacyjną Latającej Fortecy niż ludzkie oblicze.

Usta - o, tak, jego usta - i zęby, które szły z nimi w parze, te nigdy nie
przerywały pracy, wyrzucając nieprzerwany strumień słownych rzygo-
win, który płynęły jak na papierowej taśmie z telegrafu. Miałem wizję
jego jąder, odrywających się i przeciąganych przez wnętrzości, przez
gardło, a potem wysnuwających się z pieczary ust - tysiące i tysiące jar-
dów pochodzących z jąder włókienek, po kawałeczku oddzierających się
od warg, tętniących życiem nieopanowanego słowotoku, chlustających
jak woda z gęby gargulca, obryzgujących przypadkowych widzów Niaga-
rą samouwiełbienia, a wszystko to podlane kiepską imitacją kowbojskie-
go stylu, oczywiście niewidzialne, nie do uchwycenia nawet najszybszą
migawką. Ale słyszalne - o tak, cholera, doskonale słyszalne. Jeszcze te-
raz to słyszę.

⁸⁵ P. Silvers (1912-1985) - aktor komediowy.

- Szowieku, właśnie skończyłem mój film i wszystkim z wrażenia gacie pospadają. Jesz normanie taki nawiedzony, będę ściał, żebyś go zobaczył, Ben, bo cenię twoje zdanie. Ma tytuł *Kolor szerwony* i jesz o szerwieni w naszym sodziennym żysiu... szerwone skarpetki, szerwone swetry, szerwone balony, szerwone rowery... wplotłem nawet kawałek o operacji odbytnicy, gdzie szerwona kref normanie po prostu sika s dupy! Szerwone ramię adaptera, które się przesuwam tam i powrotem, bo gra płyta, szerwone paznoksie na koktajlowej szklance, falliczne jak cholera, nalewanie pomidorowego soku, nalewanie szerwonej farby. Wszystko ma tytuł *Kolor szerwony*, caloś bez żwiewku, ale podłożę jakąś stosowną muzykę, kiedy go będę pokazywał. Będę miał prywatny pokaz, na który wszysy jeseście zaproszeni, wszysy na niego przychodzicie. Cholera, lepiej zamówię salę. - Podniósł słuchawkę i wybrał numer, wciąż mówiąc. - Take sprawy trzeba załatwiać z wyprzedzeniem, zanim jakiś dupek się wepchnie i... Deon? Tu Sam Gaynor. Chszę zamówić małą salę projekcyjną na jutro po połuniu, około czwatej. Kto? Cholera, Deon, po prostu przelóż go na piątą i niczym się nie przejmuj. Powiesz mu, żeby ze mną pogadał i normanie sam to wyjaśnię. Zrób to, Deon, a ja o ciebie zadbam, kiedy przyjdzie włoskie Boże Narodzenie. - I rozłączył się.

Sam Gaynor miał miażdżącą siłę kupy gówna i albo zeszło mu się z drogi, albo człowieka rozdeptał. Był sympatyczny jak bakteria gnilna i równie narcystyczny jak paw w chlewie. Skoro odkryto lekarstwo na gruźlicę, dyfteryt i ospę, na pewno ktoś wymyśli coś na Sama Gaynora, zanim wszyscy umrzemy dotknięci jego plagą. Wszedł z boksu, nawet nie siadając, z dudnieniem jadącej z góry ciężarówki, i dopiero kiedy naprawdę zniknął, powietrze znów nadawało się do oddychania.

Zorientowałem się, że łapczywie chwytam oddech, i spojrzałem na Mickeya.

- Nie dam rady, Mickey. Nie będę w stanie tego przeżyć.

Mickey nic nie powiedział, bo nie było nic do powiedzenia, żadnego banału, który pasowałby do takiej chwili. Dora pozostała równie milcząca. W litościwej ciszy otworzyłem koperty na biurku. Jedna od Ginnie: „Gratulacje z powodu otrzymania Nagrody Akademii za efekty specjalne na podeście schodów. Kocham cię - Ginnie”.

Kolejna od Pat Jarvas. „Witaj z powrotem. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Całusy - Pat”.

A trzecia od W. Charlesa Grubera. „Wpadnij do mnie”.

Uznałem, że załatwię te dwie ostatnie za jednym zamachem. Pat Jarvas siedziała przy swoim biurku i wyglądała tak dobrze, jak to tylko było możliwe przy jej chudości, najwyraźniej włożyła w sprawę sporo wysiłku. Podniosła na mnie wzrok, udając, że jest w złym humorze.

- Paskudnik. Ani razu nie odpowiedziałeś na moje listy.
- Byłem bardzo zajęty.

Zmieszała się, a potem uśmiechnęła.

- W porządku, wybaczam ci. Możemy się niedługo spotkać? Wciąż cię lubię.

- Najpierw muszę się zobaczyć z nim. Jest?
- Taa. Przegląda pocztę.
- Jak długo to potrwa?

Zamiast odpowiedzi nacisnęła guzik interkomu.

- Ben Webber chciałby się z panem widzieć.
- Przyślij go - odpowiedział Gruber.

Wszedłem, a on wstał zza biurka, żeby wymienić uścisk dłoni. To był mój pierwszy raz, nigdy wcześniej nie miałem z facetem kontaktu fizycznego, i, pamiętając, co powiedziała mi o nim Maggie, zwróciłem szczególną uwagę na dotyk jego dłoni, spodziewając się, że będzie miękka i pulchna. Nic podobnego. Była twarda i sucha i dało się zauważyć, że mimo swojej puciołowatości stary Charlie Gruber nie był niczym ciepłym chłopcem. Przynajmniej nie w dotyku.

- Witaj z powrotem, Ben. Proszę, siadaj. Mów. Opowiedz mi coś o armii.

Usiadłem.

- Armia składa się z głupców, idiotów i pedałów. - To ostatnie było badaniem gruntu.

Nawet nie mrugnął okiem.

- Opisujesz każdą armię, a nie tylko Armię Stanów Zjednoczonych. Jak to się stało, że nigdy nie przysłałeś mi kartki czy czegoś w tym rodzaju? W końcu jestem Wielkim Szefem.

- Uznałem, że mogłoby to wypaść trochę arogancko. Nie chciałem, żeby pan myślał, że... wchodzę panu w dupę. - Znowu to zrobiłem.

- Mogłeś przynajmniej podziękować za przesłanie ci pożegnalnego prezenciku tej nocy przed twoim wyjazdem.

- Dziękuję. Czemu pan to zrobił?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, uznałem, że na tym skorzystasz. A po drugie, uznałem, że zachowasz to w tajemnicy.

- Miał pan rację w obu punktach.

- Jaka była?

- Pełna entuzjazmu.

- Zajął się tobą?

- Znakomicie.

- Świetnie. - Szybko zerknął na zegarek. — Okej, widzę, że coś ci leży na sercu. Wyrzuć to z siebie.

- Na sercu leżą mi nawet dwie rzeczy. Sam Gaynor i Alan Morse.

- Co z nimi?

- Jeden dostał moją robotę, a drugi mu ją dał.

- Będziesz musiał odpuścić to sobie na jakiś czas.

- Dlaczego?

- To zbyt skomplikowane. Będziesz musiał mi zaufać.

- Zaufałem Joshowi i zniknął.

Roześmiał się.

- Ja tu chwilę pobędę.

- Jaką mogę mieć pewność?

- Nie pozwolę, żebyś wymuszał na mnie jakieś obietnice. Ty i ja w pewien sposób darzymy się szacunkiem. Uważam, że jesteś dobry i daleko zajdziesz. Nie z powodu jakichś wyjątkowych talentów... bo takich się nie dopatrzyłem... ale z powodu twojej postawy.

- Ostatnio powiedziano mi, że nie jest zbyt właściwa.

- Może nie dla armii, ale dla ciebie owszem. Chcesz czegoś, sięgasz po to, a przy tym udaje ci się zachować indywidualność. Jesteś w tej firmie jedynym człowiekiem, którego kierownictwo nie darzy zaufaniem, a jest znienawidzony przez własny związek. To nie byle co, i to dobre. Wszyscy wiemy, że tu jesteś. Albo szybko pójdiesz w górę, jak śmietanka, albo powoli opadniesz na dno, jak gówno. Ale nigdy nie zawiśniesz pośrodku jak prawie cała reszta, dopychając się do podwyżek, kurczowo trzymając się posady do emerytury. W związku z czym pomogę ci, jeśli zdołam. Teraz jednak nic nie mogę poradzić na Gaynora i Morse'a.

- Obaj to idioci. Patentowani. Jeden już nie rośnie, a drugi nie przestanie.

Spojrzał na mnie przymrużonymi oczyma.

- Nie masz żadnego problemu, Ben. Sam Gaynor nie stanowi problemu, bo jest przeznaczony do większych i donioślejszych spraw, a im szybciej, tym lepiej. Będziesz musiał po prostu go znieść. A Alan Morse to mój problem... i to wszystko, co mam ci w tej sprawie do powiedzenia. Więc spadaj.

Uśmiechnął się i to podniosło mnie na duchu. W. Charles Gruber najwyraźniej wiedział więcej, niż chciał powiedzieć, i w oczywisty sposób postrzegał oba moje kłopoty jako łatwe do rozwiązania.

Zakończyłem poranek, witając się ze wszystkimi, i ze sposobu zachowania byłem w stanie ocenić, kto jest za mną, a kto przeciw mnie.

Od Alana Morse'a trzymałem się najdalej, jak to było możliwe, biegnąc na fikcyjne posyłki i nieustannie unikając jego sekretarki o końskiej urodzie. Willa Nichols i jej nowy nos zniknęli razem z Joshem Meyerbergiem i wszystko wydawało się przewrócone do góry nogami, bo ludzie poznikali z miejsc, na których ich zostawiłem. Poza Pat Jarvas, która zadzwoniła do mnie i słodko zaproponowała, że zrobi mi laską w godzinach między trzecią a czwartą, bo jest mi coś winna, a wtedy właśnie Gruber będzie na mieście grał w tenisa i ona będzie wolna. Powiedziałem jej, że jeśli nie zjawię się do trzeciej trzydzieści, powinna zaczynać beze mnie, ale nie doceniła dowcipu. Choć jako rozrywkowa dziewczyna na pewno próbowała.

Zjadłem lunch z Mickeyem, a potem poszliśmy do McGirra i pograliśmy w bilard. Mickey był najlepszym bilardzistą na świecie - nigdy nie przegrywał - i opowiedział, jak to pełnił funkcję kapitana amerykańskiej bilardowej drużyny olimpijskiej w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, a potem dodał, że jak tylko znajdzie nowego agenta, przechodzi na zawodowstwo. Uwielbiałem Mickeya Greena. Obaj wiedzieliśmy, że nie jest w stanie mi pomóc, i obaj udawaliśmy, że jednak pomoże.

Resztę popołudnia przesiedziałem przy swoim biurku, czytając skrypty. Mickey i Dora pracowali w ciszy. A Sam Gaynor dokądś wyszedł, pogadać albo nastraszyć kogoś śmiertelnie. Przeczytałem trzy scenariusze

filmów, które niedługo miały wejść na ekrany, i zacząłem mieć wrażenie, że nawet jaskiniowiec lepiej by się sprawił.

O trzeciej czterdzieści pięć Pat Jarvas zadzwoniła z przypomnieniem, że zostało mi jeszcze piętnaście minut, podczas których może mi obciągnąć. Podziękowałem jej za troskliwość, ale dokładnie o piątej poszedłem do domu, do Ginnie, ponieważ to Ginnie była tą, z którą chciałem być. Jeżeli nawet nie robiliśmy nic poza trzymaniem się za ręce i przytulaniem, moją miłością była Ginnie i potrzebowałem słodkiego bezpieczeństwa jej obecności - a kiedy poprzednio tak się przy kimś czułem?

TLR

Rozdział 16

Ginnie , "

1952

W poniedziałkowy wieczór Ben wrócił do domu po szóstej. Przeszedł całą drogę od 20th, żeby „uporządkować myśli”, i przyniósł ze sobą naręcz filmowych scenariuszy, co najmniej pięć. Był bardzo przybity, nawet w przybliżeniu nie przypominał rześkiego ogiera, który wychodził tego ranka do pracy. Opowiedział mi, dlaczego, i trudno mu się dziwić. Niezbyt budujący sposób na powrót do cywilnego życia. Nienawidziłam ich wszystkich.

Zaplanowałam romantyczną kolacyjkę - trochę chianti, delikatnie wymieszana sałata, wołowina po burgundzku, a na deser, uznałam, będziemy mieli siebie. Ale, jak to się często zdarza u myszy i u mnie, spieprzyłam wołowinę po burgundzku, nakruszyłam korka do chianti i zaniedbałam kwestię zakupu sosu do sałaty. Więc mieliśmy kanapki z szynką i ziemniaczane chipsy, jednakowoż deser (zgodnie z planem) był pyszny i oboje sięgnęliśmy po dokładkę.

Kochał się po wariacku, zapominając o delikatnym i subtelnym wcieleniu. Ale to też było w porządku, bo czułam się, jakbym poszła do łóżka z innym facetem (moim drugim). Przeprosił, że zachował się jak chami-dło, obiecując, że to się nigdy nie powtórzy, więc go zbeształam, aż obiecał, że to się będzie powtarzać - znów i znów.

Leżeliśmy w łóżku, rozmawiając, głównie o sprawach 20th. Wiedzia-łam, że Roland odchodzi, ale nie miałam pojęcia, że Sam Gaynor zajmie jego miejsce. Słyszałam o Samie od Dona, który też nie bardzo gościa lubił.

Dostatecznie fatalne, że facet jest egocentrycznym fiutem - stwierdził Ben - ale ten sukinsyn nie przestaje mówić. Gdyby słowotok uznano za przestępstwo, zostałby stracony, chyba że ktoś popełniłby błąd i zapytał, czy chce wygłosić ostatnie słowo, bo w takiej sytuacji nadszedłby koniec wieku, a ten dalej by gadał.

- A poza tym jak ci dzisiaj poszło?
- Ty... - i rzucił się na mnie.
- Nie! Ben! Chcę ci opowiedzieć o moim dniu!
- A ja chcę usłyszeć.
- Więc zabieraj tę rękę! Nie mogę mówić, kiedy mi to robisz i, na li-
tość boską, opiłuj paznokcie!
- Tak jest, proszę pani. A teraz mów. Jaki miałaś dzień?
- No więc, nasze numery są coraz lepsze. Prawie mi się wydaje, że
możemy je robić od tyłu. Mam tylko nadzieję, że kiedy przyjdzie pora na
występ, nie będziemy tak przetrenowani, żeby faktycznie zrobić je od ty-
łu.
- To ta sobota, tak?
- Tak.
- Czy wolno mi być w studiu?
- Przeszmugluję cię. Chcę, żebyś tam był na wypadek, gdybym skre-
ciła kostkę czy coś.
- Nie wiem, czy znam program dość dobrze, żeby cię zastąpić.
- Możesz spróbować, prawda?
- O tak, spróbuję wszystkiego.

I pokochaliśmy się jeszcze raz, a potem zasnęliśmy i to było cudowne, bo czułam się, jakbyśmy byli małżeństwem. Nie mam pojęcia, czemu wrażenie bycia mężatką tak mnie zachwyciło. Może zdejmowało z naszego postępowania trochę „zła”. Znów moje wychowanie - jakby małżeństwo było takie wspaniałe. Sądząc po mojej rodzinie, właśnie małżeństwo należało uznać za niewłaściwe zakończenie romansu.

Zasnęłam przytulona do niego i śniło mi się, że byłam kwiatkiem, który cudownym zrzędzeniem losu wyrósł na wielkiej skale. To był mój pokój i mój Ben. Mój czas, czas Ginnie. Miałam rytm. Miałam muzykę. Miałam swojego mężczyznę. Wiecie, jak to dalej idzie.

Głęboko w środku nocy obudził mnie Ben, a właściwie jego brak. Wstałam, cichutko przeszłam przez korytarz i zerknęłam na niego; siedział w salonie i ślęczał nad jednym z przyniesionych scenariuszy. Jakimś sposobem wiedziałam, że nie należy mu przeszkadzać, i wróciłam do łóżka. Ponownie zasnęłam, mocniej niż przedtem. Ciężko tego dnia pracowałam i moje stare kości, dobiegające dziewiętnastki, po prostu się poddały. Nie obudziłam się aż do jedenastej następnego ranka.

Tego dnia przeciwczyliśmy nasz układ osiem razy. Uznałam, że wszystko zaczyna być strasznie mechaniczne, ale Richie wydawał się zadowolony. Dokładnie tego chciał. Uważał, że ładunek emocjonalny dodamy później, kiedy zrobimy nasz numer z całą orkiestrą. Florrie i ja byłyśmy za bardzo zmachane, żeby z nim dyskutować. Miałyśmy nadzieję, że wiedział, co robi. Poza tym to było jego trio. Kiedy nadejdzie dzień, gdy nazwiemy się Florrie, Ginnie i Guy, wtedy podyskutujemy. A na razie, tańczymy.

Wróciłam do domu wcześniej, wykapałam się i zasnęłam, zanim nawet zdążyłam się ubrać. Obudził mnie ciężar mężczyzny, którego twarzy nie mogłam dojrzeć, bo leżałam na brzuchu. Kochał się ze mną w najpiękniejszy możliwy sposób, czule, delikatnie, wślizgując się we mnie powoli jak złodziejasek, wsuwający się ostrożnie, żeby nie uruchomić alarmu, a potem wymykający się ukradkiem, bo po co budzić psa. Później, jakby zdając sobie sprawę, że nie dość dokładnie przeszukał teren, znów potajemnie wchodzi i znów, i znów, ociąga się i wycofuje, a wszystko tak cudownie niespiesznie i wykonane z tak jubilerską precyzją że naprawdę nie potrafiłam powiedzieć: trwa włamanie czy walenie, okradanie czy obrabianie, przeszukanie czy pierdolenie.

Kolację zjedliśmy poza domem - w Delikatesach przy Szóstej Alei, bo miałam ochotę na omlet pastrami, a Ben stwierdził, że sama wyglądam jak omlet. Wymieniliśmy się informacjami na temat przebiegu dnia.

Jego drugi dzień był nie lepszy niż pierwszy. Może nawet gorszy. Alan Morse kazał mu przemeblować szafy z przyborami biurowymi, posłał do apteki z receptami i w ogóle postarał się, żeby Ben żałował decyzji o powrocie do pracy. O czwartej Ben wyszedł na pokaz filmu *Kolor czerwony* Sama Gaynora.

- I jak było? - zapytałam.

- Mniej więcej tak, jak się spodziewałem. Pokazał film z podkładem ze Strawinskiego. *Święto wiosny*. Muzyka wspaniała. Film ohydny.

- Zapytał cię o zdanie?

- Tak. Poradziłem, żeby spróbował z innym kolorem.

Śmialiśmy się całą drogę do domu, obliczając, że Sam miał jakieś trzy tysiące kolorów, które mógłby pewnego dnia przerobić na film. Ale on musiał zużyć czerwony. Czerwony był wykończony. Już nigdy nie będzie taki sam. Podobnie jak nastawienie Sama do Bena. Do

tej pory można je uznać za protekcyjnie tolerancyjne, ale po tym szczerym wystąpieniu mogło się tylko zmienić na gorsze. No i Alan Morse pewnie nie był zachwycony faktem, że Ben wyszedł bez jego pozwolenia.

Wyglądało na to, że Ben się tym nie przejmuje. Po prostu uznał rzecz za kolejny sprawdzian dla związku. Nie podobało mi się to nastawienie, bo podobne prezentował Don, zanim rzucił wszystko i uciekł za zachód. Ben nie robił na mnie wrażenia uciekiniera, lecz do chwili ucieczki nie robił go też Don. Dostrzegałam, że mimo nonszalancji Ben bardzo się martwił. Wiedziałam, że jeśli popadnie w depresję tego rodzaju na zbyt długo, będę musiała coś powiedzieć. Ale na to było za wcześnie i czułam się za bardzo przestraszona. Znałam Bena niespełna tydzień. Za wcześnie, za wcześnie. I za duży strach.

No i mój osąd sprawy był przedwczesny, co odkryłam po powrocie do mieszkania. Ponieważ Ben nie miał zamiaru się poddawać i pozwolić, żeby wszystko szło swoim trybem, podczas gdy on będzie tylko narzekał. Tak, był wkurzony i zraniony, a także rozczarowany, ale już nie w depresji. Teraz odnalazł motywację. Chodziło o scenariusz, który czytał. O wszystkie scenariusze.

- To gówno. Są takie beznadziejne, że nie rozumiem, jakim cudem zostały zrealizowane. Tak, są Mankiewicz i Nunnaly Johnson, Jean Negulesco* ⁸⁶ i paru innych, ale reszta? Rozpisują ustawienia kamery, „cięcia” i „przenikanie obrazów”. Wiedzą, jak wprowadzać akapit, zaczynać dialogi od myślnika i numerować sceny, lecz co to, do diabła, ma być? Tu nie ma ludzi, nie ma historii.

Wypowiedziałam te magiczne słowa.

- W takim razie czemu sam nie napiszesz scenariusza?

Nie cierpiało protekcyjnego tonu.

- Mówisz to tak, jakbym nie potrafił.

- Nie to miałam na myśli. Miało zabrzmieć „umiesz i powinienes”.

Rzucił skryptem o ścianę.

- To by dopiero była strata czasu.

- Dlaczego?

⁸⁶ N. Johnson (1897-1977), J. Negulesco (1900-1993) - reżyserzy i pisarze.

- Po pierwsze i przede wszystkim, nie kupują zbyt wielu oryginalnych scenariuszy. Wszystko to adaptacje. Książek albo sztuk. Jeżeli rzecz się gdzieś nie ukazała... drukiem, na scenie albo na ścianie męskiego kibla... po prostu nie zostaje kupiona przez filmowców. Po drugie i przede wszystkim, wszyscy scenarzyści siedzą w Kalifornii nad swoimi basenami. A po trzecie i przede wszystkim, gdyby nawet było inaczej, jakim cudem, na litość boską, miałbym dostać pracę przy adaptacjach? Nigdy w życiu nie zrobiłem żadnej adaptacji. Nigdy w życiu niczego nie napisałem.

- Może znajdziesz książkę, która ci się podoba, i zrobisz adaptację.

- Na własne ryzyko?

- Chyba tak.

- No tak, myślałem o tym. To znaczy, przyszło mi to do głowy, ale chyba jest coś bardziej sensownego.

- Co?

- Telewizja. Prawie wszystko w telewizji to twórczość oryginalna. Masa ludzi z Nowego Jorku się na to załapuje. Faceci, którzy nigdy wcześniej nie pisali ani nie reżyserowali. Bob Mulligan... Jezu, zaczynał od przynoszenia ludziom kawy. Sidney Lumet, masz następnego reżysera. Są dobrzy i niewiele starsi ode mnie. Ktoś zapytał: „Hej, ktoś wie, jak się reżyseruje program dla telewizji?”, a oni się zgłosili... i zostali reżyserami. Wypływa też masa pisarzy. To znaczy, oprócz Paddy'ego Chayefsky'ego, Reggiego Rose'a i Roda Serlinga. Masa prawdziwych talentów, faceci, których nie wygoniliby z Hollywood. Tad Mosel. N. Richard Nash. Robert Alan Arthur. Gore Vidal.

- Nie wiedziałam, że oglądałeś tyle telewizji.

-Ja też nie. Ale najwyraźniej tak, bo te wszystkie nazwiska same mi się narzuciły, i to z czasów przed pójściem do wojska. Muszę się wziąć do oglądania dramatów w telewizji. Zobaczyć, jak się dzielą na sceny. Przyjrzeć się, gdzie wchodzi reklamy. Prześledzić budowę przedstawień półgodzinnych, podobnie zresztą godzinnych. Nie muszę od razu uderzać do Studia Jeden albo Krafta, mogę robić coś dla Po ciemku albo W na-

pięciu*⁸⁷. Większość pomysłów tam pokazanych została skądś zaczerpnięta, jeśli nie wręcz ukradziona. W jednym tomie Edgara Alana Poeego jest prawdopodobnie dość materiału na sto telewizyjnych scenariuszy.

- Okej, to co cię powstrzymuje?
- Co mnie powstrzymuje? To, że nie mam pierdolonej maszyny do pisania!
- To się o jakąś postaraj.
- Od postarania się o maszynę powstrzymuje mnie fakt, że nie umiem na niej pisać!
- Naucz się. Idź na kurs.
- Uczyć się maszynopisania, kiedy się uczę pisania?
- Ja mogę pisać. Uczyłam się w szkole. Możesz mi dyktować.
- Ile piszesz słów na minutę?
- Trzy. Jeżeli są bardzo malutkie. Ile możesz podyktować w minutę?
- Dwa. Ale duże.
- Spróbujmy.
- Masz to u mnie.

Kupiliśmy Benowi używaną maszynę do pisania, należącą dawniej, jak przysięgał facet w sklepie, do znakomitego pisarza, którego nazwisko mu umknęło, bo pisarz zmarł w zapomnieniu. Morał: nigdy nie sprzedawaj tej maszyny, bo to przynosi pecha, a jeżeli jednak zechcesz sprzedać, przynieś ją z powrotem do sklepu „Maszyny do Pisania Handlemana” na East Side, gdzie za dopłatą wymienisz ją na coś takiego, że taśma ci z wrażenia spadnie.

Handleman dorzucił dla zachęty broszurkę zatytułowaną *Maszynopisanie, samokształcenie przez ekspertów*. Ben przerobił ją, jak mógł najdokładniej, ale między pracą w 20th a pisaniem scenariusza w domu czasu na naukę maszynopisania zostawało niezbyt wiele. No więc, po dwóch dniach prób pogodzenia tego wszystkiego, Ben porzucił kurs, wybierając odręczne bazgrolenie, które ja później starałam się odcyfrować i przepisać na maszynie.

⁸⁷ Cykle programowe NBC: Po ciemku (Lights Out - 1949-1952) i W napięciu (Suspense - 1949-1954)- kryminały, s.f., horrory; Studio Jeden (Studio One 1948-1958) i Kraft (Kraft Television Theatre 1947-1958) - ambitniejszy repertuar.

Daliśmy radę. Szło wolno, ale daliśmy radę. Ważne było wprowadzenie niezmiennego porządku. Równie ważne było to, żeby Ben wytrzymał w biurze, jeśli nawet miało to oznaczać znoszenie bezsensów. Potrzebowaliśmy jego pensji na wypadek, gdyby moja kariera spłynęła w kiblu. Wiadomo było, że to niełatwa sprawa, szczególnie dla takiego lekkoducha jak Ben, ale skoro mus, to mus.

Mnie też nie było łatwo, bo musiałam załatwiać wszystkie zakupy, gotowanie i sprzątanie, trzy rzeczy, które szły mi równie sprawnie jak czerpanie wody sitem. Lecz poradziłam sobie. Razem sobie poradziliśmy. Wraciał do domu wieczorem, kochaliśmy się po cichutku (miłość w porze koktajlowej, bardzo szykowna), jedliśmy kolację, po której szedł do swojego pokoju, a ja sprzątałam. Kończył około jedenastej i przychodził do łóżka, w którym akurat byłam. Kochaliśmy się (miłość o północy, mucho pikantna), mówiliśmy sobie różne miłe rzeczy i szliśmy spać.

On wstawał rano i szedł do pracy, po drodze wrzucając w siebie kawę i paczka. Ja wstawałam o dziesiątej, wpychałam w siebie jakieś śniadanie i przepisywałam to, co nabazgrolił poprzedniego wieczoru.

Pierwszy scenariusz uznałam za po prostu boski; historyjka z dreszczykiem o rzeźbiarce, która uwodziła w swojej pracowni mężczyzn, truła ich, a potem umieszczała zwłoki w rzeźbach i sprzedawała je dowolnym klientom. Ben miał takie samo podejście do sprawy. Mordował się przy pisaniu, żeby potem sprzedać gotową rzecz każdemu, kto zechciałby ją kupić. Sztuka nosiła tytuł *Wpadnij do mojej pracowni, powiedziała rzeźbiarka do Guya* i po należytych ukończeniu miała zostać wysłana jednocześnie do programów: *Po ciemku*, *Niebezpieczeństwa* i *W napięciu*.

Poszłam na próbę. Florrie wyglądała na bardzo zmartwioną.

- Wyglądasz parszywie.
- Naprawdę?
- Tak. Pieprząc go, rozpieprzysz nas.
- Oj, nie przypuszczam.
- A ja tak. Za dwa dni mamy występ. Richie raz cię podniesie i pizda ci wypadnie.
- Publiczność powinna oszaleć.
- A co byś zrobiła na bis? Rzuciła cycki do Baltimore? Słuchaj, mała, stawka jest zbyt wysoka. Za ciężko pracowaliśmy. Mamy szansę pokazania się, szansę, jaka się trafia może raz w życiu. Nie spieprz tego. Obciąż

gnij mu ręką, ile zechce. Zrób mu loda, ale, na litość boską, ciało zachowaj dla nas.

Pewnie Florrie miała rację, lecz byłam taka zakochana, że we własnym przekonaniu naprawdę tańczyłam lepiej niż kiedykolwiek przedtem. A jednak, tak na wszelki wypadek, opowiedziałam Benowi o lękach Florrie. Był bardzo dobry i ustaliliśmy, że ucinamy cały seks aż do czasu po występie Trio Pickeringa. Umowa przetrwała jedną noc i poszła w diabły, kiedy to, co zaczęliśmy jako przyjacielskie prace ręczne, zmieniło się w fellatio fantastico, po którym nastąpił stosunkus gigantus, zakończony dzwonkiem budzika. Zostaliśmy nałogowcami, którzy nie potrafili tak od ręki zerwać z narkotykiem. I jaki los nas czekał?

W piątek Ben wrócił do domu i okazało się, że jakimś cudem przeżył ten tydzień. Musiał przeprosić Alana Morse'a, że samowolnie oddalił się z posterunku, idąc na pokaz Sama Gaynora, a Morse upokorzył Bena, rugając go przy Mickeyu i Dorze jak dziecko, które zsiakało się w łóżko. Ale Ben to zniósł. Co do Sama Gaynora, ten sukinsyn naprawdę dawał Benowi popalić tylko z powodu tej szczerzej wypowiedzi o pieprzonym, amatorskim filmie. Lecz Ben się trzymał, mówiąc mi (och, jakie to romantyczne), że zjadanie tej żaby przychodzi mu z łatwością, skoro wie, że po przyjeździe do domu ma do zjedzenia mnie.

Nadeszła sobota, a wraz z nią list od Dona, ostemplowany w Los Angeles. Kompletnie niespodziewany i powitany radośnie mimo zawartości.

Do tego, kto aktualnie mieszka w moim mieszkaniu:

Zbiłem majątek, poddając się eksperymentom związanym z malarstwem podczas wakacji na Devil's Island. Ale teraz, kiedy moskity wróciły do Capistrano, brakuje mi krwi i kasy. A zatem, jeżeli możesz mi przesłać jedno lub drugie, może uratujemy przynajmniej dziecko. A poważnie, ludziska - pracuję w małym studiu telewizyjnym - jako telewizorowiec, ucząc się reżyserii. Do tej pory wyreżyserowałem dwa piętnastominutowe programy dla dzieci, które, mimo że litościwie zapomniane, zapewniły mi zaszczytne miejsce na liście płac - pokazanej „w telewizorze”! Mam nadzieję niedługo przejść do psów! A potem, przy odrobinie szczęścia, do rybek. A tymczasem, jak wspominałem powyżej - ratunku! Mieszkam w hotelu Montecito, gdzie kiblu-

ją wszyscy bezrobotni ludzie z branży, i zostaną tu do końca miesiąca. Potem obstawiam Schenectady - jeśli mnie tam zechcą.

Ginnie, jeżeli jeszcze tam jesteś, proszę, przyślij mi 100\$. W załączeniu przesyłam wekselek na tę kwotę, który może być honorowany w dowolnym terminie po lipcu 1980, na 8% w skali rocznej, sama przyznasz, że to niezła oferta. Jeżeli nie jesteś Ginnie ani nikim, kogo znam, przyślij *mi* 50\$ i bez urazy.

Gdzie jest Ben Webber? Świat chce wiedzieć. Pisałem do niego trzy razy z prośbą o pieniądze, ale nie dostałem odpowiedzi, być może dlatego, że nie miałem odwagi wysłać tych listów.

Jestem nieszczęśliwy, ponieważ musiałem napisać taki list, ale mam nóż na gardle, a ręka, która go trzyma, należy do mnie. Jeżeli będziesz hojny, zostaniesz tysiącrotnie nagrodzony. (Pamiętasz Jasia i łodygę fasoli?). Tylko proszę mi nie przysyłać nasion, kiedy tym, czego potrzebuję, jest forsa.

Wasz, w rozpaczliwej sytuacji,

dozgonnie wdzięczny

Don

Śmiałyśmy się i płakaliśmy nad listem Dona, ucieszeni wieściami od niego, ale smutni, że ledwie sobie radzi. Wszystko to było nieco dziwne, bo oboje, Ben i ja, znaliśmy Dona tak dobrze, a jednak nie znaliśmy się nawzajem, kiedy przebywaliśmy w jego towarzystwie. Posłaliśmy, oczywiście, pieniądze (mój czek) z listem wyjaśniającym, jak to teraz żyjemy razem w grzechu i radości, a wekselek Dona włożyliśmy do szuflady, nie po to, by pewnego dnia odebrać należność, ale żeby mieć kiedyś okazję do śmiechu.

Był czas na próbę i Ben poszedł ze mną - trener, który wystawia swojego zawodnika przeciw Gargantui. Na część drogi wzięliśmy taksówkę, a resztę odległości do Rockefeller Plaza i Studia NBC przeszliśmy.

W studiu mieliśmy próbę z fotografem, co chwila przerywając i zastygając w jakiejś pozie, żeby reżyser i dyrektor techniczny mogli pstryknąć swoje zdjęcia. Potem zatańczyliśmy z muzyką i to było coś zdumiewającego, cały ten dźwięk. Miałam wrażenie, że tańczymy we wnętrzu wielkiej trąby. Wszystko to było bardzo emocjonujące, show-biznesowe i tańczyłam dobrze, wrażliwa i silna, świetna w *Sing, sing, sing*, fantastyczna w *Sweet Georgia Brown*.

Przyszedł Monty, żeby podtrzymać na duchu Florrie, nagle tak nerwową i niespokojną, że czułam się przy niej jak Anna Pawłowa*⁸⁸. Monty wziął Bena na bok i zbeształ, że chodzi z żydowskimi dziewczynami (ze mną?).

- Benny - powiedział - Benny, mój chłopcze, powinieneś się postarać o miłą gojkę, bo gojki są dobre na to, co cię boli, jeśli nawet nic cię nie boli. Po co ty się prowadzasz z tą Ginnie Mazeltoj?

- Gotuje świetny rosół - stwierdził Ben, jak osioł próbując dotrzymać kroku mistrzowi.

- Czy to jest odpowiedź człowieka przy zdrowych zmysłach? Pieprzyłeś kiedyś rosół? Fu! Wszystkie te pióra, cały ten ryż. Jedyne, co się nadaje do pieprzenia lepiej niż gojka, to blin, ale jest pewien kruczek. Otóż kiedy raz zerzniesz blina, to zechce za ciebie wyjść. A gojka nie.

⁸⁸ A. Pawłowa (1882-1931) - rosyjska balerina.

Gojka będzie szczęśliwa, jeżeli dasz jej działkę na Palm Beach i będziesz trzymał gębę na kłódkę. Ale biada Żydkowi, który zrobi gojce brzuch, bo ojciec każdej gojki to farmer wzrostu dziewięć stóp osiem cali, który potrafi tak przyłożyć z byka, że do końca życia będziesz widział tylko mleko.

I tak dalej, a godziny upływały, występ się przybliżał i wszyscy robiliśmy się coraz bardziej napięci. Ben i ja usiedliśmy w kącie, trzymając się za ręce tak spocone, że co chwila się nam wyślizgiwały z uścisku. Mieliśmy przerwę na lunch, lecz nie byliśmy w stanie jeść, więc postanowiliśmy zostać i obserwować, jak obsługa szybko robi próbę pozostałej części programu. Joey Magnuson i jego damska pomocnica, Mara-Jayne, byli weseli, zgrani bez zarzutu, a ich skecze pewniackie.

- Na co im, do cholery, nędzny występ taneczny? - zwróciłam się do Bena. Nagle zapragnęłam być w Seattle i zmierzać dalej na zachód.

- Co za dużo, to niezdrowo. Muszą czymś przełamać materiał. Sobel to niezły spryciarz.

- Wyjaśnij.

- Mnóstwo z tego materiału to gadanie. Gwary Joeya, głupie żarciki, skecz o zagranicznym filmie. Wszystko to bardzo zabawne, ale dzieje się tak szybko i bez urozmaicenia, że ucho potrzebuje odpoczynku. Telewizja to wizualny środek przekazu. Jeżeli będziesz zarzucać widzów tylko słowami, to ich zmęczysz. Potrzebują czegoś dla oka, żeby się skoncentrować i dobrze bawić podczas półtoragodzinnego programu, bo inaczej uszy im odpadną.

- Skąd się tego dowiedziałeś?

- Nie dowiedziałem. Wymyśliłem.

- Brzmi sensownie.

- To najmiłsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedziałaś.

Ben miał rację. To dlatego potrzebowali w programie Trio Pickeringa. Żeby rozluźnić opaskę uciskową. Cała sztuczka polegała na tym, że musieliśmy być dobrzy. W innym wypadku ludzie zamiast się odprężyć, poszliby spać.

Jak zwykle Ben czytał w moich myślach.

- Nie martw się. Będziecie dobrzy.

Zaczynałam pojmować istotę Bena Webbera, której nawet on sam nie zdążył jeszcze zrozumieć. Byłam tylko dzieciakiem, ale zakochanym, a

miłość, ciągle w to wierzę, uruchamia instynkt i daje siłę przenikliwości. Ben miał zdolność, która miała sprawić, że stale będzie pełen entuzjazmu. Potrafił, i zawsze miał to umieć, dotrzeć do sedna na długo przedtem, nim zorientował się, że tego dokonał. I jak genialne dziecko, które musi dopiero zrozumieć dynamikę rozmowy, był tym onieśmielony i sfrustrowany, gorączkował się i wpadał we wściekłość, bo skoro on jeszcze nie rozumie, co rozumiał, jak może tolerować fakt, że inni nigdy nie rozumieją?

Miał teatralnego nosa. Nawet w łózkowych scenkach komicznych, które spontanicznie odgrywaliśmy, to Ben wymyślał postaci i sytuację, a Ginnie grała rolę Trilby*⁸⁹. Miał wrodzone wyczucie dramatyzmu, świadomość czasu, przecucie formy, jaką przybierze akcja, zanim jeszcze przyoblekła się w realne kształty. Inni mogli nabyć tej umiejętności, ale Ben już ją miał i, do cholery, zawsze będzie ją mieć. Wiedziałam, że to prawda, ponieważ go kochałam i wszystko to czułam. Nawet dopuszczając myśl, że miłość jest ślepa, czy nie może jednocześnie być pełna wyczucia? Jak inaczej miałaby przetrwać?

Siedział obok, trzymając moją dłoń w swoich, jakby powstrzymywał zranionego ptaka przed zbyt szybkim odlotem. I wyglądał tak idiotycznie młodo i naiwnie „wojskowo” z fryzurą najeża, bezlitośnie wystrzyżoną z tego, co kiedyś musiało być bujną czupryną złotobrazowych włosów. I skulona na zapleczu teatru, z kolanami podciągniętymi pod brodę, czując drżące uda, wykonałam skok w czasie do chwili, kiedy Ben odniesie sukces, kiedy wszystkie jego zalety w pełni się rozwiną, kiedy za kulisami będzie potężniejszy niż ci na scenie, i oni będą o tym wiedzieć. I jeżeli to nie opis dramatopisarza, to Szekspir, kurwa, nigdy nie pisał.

I pomyślałam z miłością, że może, tylko może, moje stukanie w tę potworną maszynę, wyławianie słów z tej jego wrzącej słownej zupy - może to uczyni mnie dla Bena równie ważną jak Boswella dla Johnsona*⁹⁰. To była dobra chwila i rozkoszowałam się nią przez całą próbę kostiumową i

⁸⁹ Trilby, tytułowa bohaterka powieści G. du Mauriera, podatna na hipnozę.

⁹⁰ James Boswell (1740-1795) - biograf Samuela Johnsona (1709-1784), znaczącej osobowości ang. literatury XVIII w.

aż do momentu, kiedy zostało dziesięć minut do wejścia na antenę, a wówczas, kto by się spodziewał, rozplakałam się.

Florrie mnie zobaczyła i dostała małego rozumu, rozsypała się nawet bardziej ode mnie, zaczęła się kręcić w kółko jak granat z wyciągniętą zawleczką, wrzeszcząc, że nie ma czasu na histerię i że powinnam zachować spokój. Monty musiał ją rozbroić i wyprowadzić. Biedulka, ciśnienie ją wykończyło.

Następnie próbował mnie pocieszyć Richie Pickering, przeciwstawiając hałaśliwej panice Florrie swoją logikę i doświadczenie, radząc mi, żebym zaufała swojemu ciału, ponieważ moje ciało wie, co robić, moje mięśnie mają pamięć i jeśli tylko wyjdę i zacznę, wszystko automatycznie pójdzie dobrze i zgodnie z planem. Słyszałam jego spokojne słowa, ale nie chciałam ich dopuścić do świadomości, bo brzmiał w moich uszach jak tatuś, kiedy uczył mnie chodzić, a w tamtych czasach strasznie często się przewracałam - za każdym razem, kiedy puścił moją rękę.

Wtedy przyszedł Noah Sobel i zajrzał mi w oczy, jak gdyby chciał zobaczyć przez nie moją duszę. Potem cofnął się o krok, westchnął i zaczął się rozglądać, jakby chciał powiedzieć: „Zawołaj Sullivana i zobacz, czy załatwi dla nas Psy Hogana”. Poddawałam się, czułam to wyraźnie, skomlały cień dziewczyny, którą dawniej byłam, rozplątywałam się na ich oczach - i to dopiero było przedstawienie, co?

To Ben przybył z odsieczą, wziął mnie za rękę i jak ślepego muła wepchnął do garderoby Mary-Jayne, którą dama ta litościwie opuściła, ponieważ widywała już wcześniej tego rodzaju sytuacje i wiedziała, że nie sposób stawić im odpór w obliczu tłumów. Ben zamknął drzwi, posadził mnie na krześle i rozpoczął bardzo nerwowe działania, chodząc w koło, patrząc w sufit i waląc w ścianę, okazując emocje bardziej zbliżone do pełnej przestrawności wojowniczości niż kipiącej złości.

- Wynośmy się stąd w cholerę!

- Co?

- Wymknijmy się stąd, weźmy taksówkę, chodźmy na piwo. To śmieszne! Harować przez miesiąc jak niewolnik tylko po to, żeby pokazać się przez ile... parszywe cztery minuty? Nie rób tego! To wariactwo! Zajmij się czymś innym! Zostań pielęgniarką, strażakiem, sprzedawaj obrusy u Macy'ego! Ale nie to! Ginnie, nie to!

- Co?

- Na co ci to potrzebne! Za sto lat kogo to będzie obchodzić? Nikt nie będzie o tym pamiętał, a już na pewno nie o tobie, bo zostaniesz pochowana gdzieś na brzegu szemrzącego strumienia... „Tu spoczywa Virginia Troppenheimer”. A na nagrobku będzie napis: „Nie zatańczę, nie zmusicie mnie”.

- Troppenheimer?

- Tak, Jeddediah Troppenheimer. Miły facet. Hodował świnie. Ożenił się z tą dziewczyną, zapomniałem, jak się nazywała... to było sto lat temu. Kogo to obchodzi.

- Ciebie nie obchodzi?

- Za sto lat od teraz? Żartujesz? Pierdolić to!

- Troppenheimer?

- Coś w tym rodzaju. Może i Doodlemunger... to było tak dawno. Ożenił się z tą gurlaską. Miła dziewczyna, ale nadawała się tylko do pracy w gospodarstwie. Miała dziewięcioro dzieci i cycki do ziemi. Karmienie piersią doprowadzi do czegoś takiego każdą krowę.

- Miałam zamiar odwalić ten występ. Chciałam tylko zrobić przerwę, żeby trochę popłakać.

- Okej, już ją miałaś. A teraz co chcesz zrobić? Chcesz to pociągnąć, czy chcesz wracać do domu?

- Pierdolę cię i tę twoją psychologię! Wiem, o co ci chodzi, ty gnoju! Doodlemunger?

- Może to było Schepplebinder.

- A na pewno nie Findleburger, ty sukinsynu?

- Nie. Findleburger hodował konie. A tamten gość świnie.

- Findleburger nie hodował świń?

- Rusz dupę, Jezioro Łabędzie, wchodzisz.

- Zatrzymaj tę taksówkę. Może się okazać, że wychodzimy w pośpiechu.

- Okej, ale za sto lat kogo to będzie obchodzić?

- Cycki do ziemi, ty znachorze?

- Rusz się, rusz się.

Wyszłam z garderoby Mary-Jayne odrodzona i w świetnej formie. Wszyscy na mnie patrzyli, czekając, żebym pękła, aleja ich przechytryłam. Yirginia Troppenheimer wkraczała do akcji.

Spojrzałam na Bena, żeby zobaczyć go ten jeden ostatni raz, na wypadek gdybym umarła na scenie i została pochowana nad szemrzącym strumieniem. Wywalił do mnie język, zrobił ośle uszy i „i-ha-ha” do kompletu, a całość zakończył zaprezentowaniem mi faka. Odparowałam, pokazując „jedzie mi tu czołg”, zginając ramię w starym geście „pierdol się” i wypinając na niego tyłek. Wszyscy musieli nas uznać za parę wulgarnych głuchoniemych, ale ja ruszałam do akcji. Musiałam tylko pamiętać, żeby się nie potknąć o te moje cycki.

Muzyka gra. Światła włączone. Lecą napisy. My wchodzimy na antenę, stajemy przed wielkim okiem na szybką prezentację, a niewidzialny spiker huczy: „I Trio Pickeringa, wyrafinowana grupa taneczna”. To prawie mnie załamało, bo jeżeli czegoś nie dało się o nas powiedzieć, to właśnie tego, że byliśmy wyrafinowani. Utrzymałam pozę odpowiednio długo, ze śmiechem, który przeszedł w kaszel, kiedy zesliśmy z wizji. Florrie nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, a Richiemu nie zostało nic do powiedzenia. No więc byłam sama, czekałam.

W dwudziestej drugiej minucie Trio Pickeringa weszło na antenę. *Sing, sing, sing*. Muzyka grzmiała, rytm był cholerny, a my tak napompowani adrenaliną, że nigdy nie sprawiliśmy się lepiej. Perkusja, którą Lucas Harrison wplótł w swoją aranżację, z pulsowaniem wysunęła się na czoło i pociągnęła numer jak lokomotywa pędząca nartostradą, aż do momentu gdy niejasno poczułam, że orkiestra z wysiłkiem próbuje dotrzymać nam kroku. Zebrana w studiu publiczność co nieco się rozszalała, kiedy śmigaliśmy w czerwono-żółtych workowatych swetrach, wyrzucając w powietrze swoje głupie dzokejki, skacząc w białych tenisówkach jak trzy króliczki ustawione na podgrzewaczu. Wszystko się udało. Śpiewajęco.

Doczekaliśmy się wielkich uśmiechów od ucha do ucha i pokicaliśmy do garderoby, bo mieliśmy ponad pół godziny na odpoczynek przed drugim numerem. Ben był na miejscu, uściskał mnie i ścisnął, kiedy Florrie oderwała nas od siebie, przypominając mi, że muszę zmienić kostium, co też zrobiłam, wbijając się w mój falbaniasty strój *Sweet Georgia Brown*. Z niewielką pomocą Bena. Boże, jego ręce na moim ciele - mogłabym przeskoczyć Niżyńskiego.

Florrie chciała się zdrzemnąć, Richie też. Krzyżyk na drogę, nie miałam nic przeciw temu. Ale ja wciąż byłam w stanie najwyższej euforii,

świeciłam jak pięćsetwatowa żarówka. No więc poszliśmy z Benem na spacer, na zewnątrz, gdzie pogoda bardziej przypominała czerwiec niż luty. Szliśmy bez słowa, trzymając się za ręce, ja w Sukni Girlaski, ponieważ nie zdażyłam jej jeszcze nikomu oddać, jak nakazywała tradycja. Włożyłam ją na kostium do *Sweet Georgia Brown*, ale naprawdę pozostawało kwestią otwartą, który strój był bardziej dziwaczny.

Spacerowaliście z kimś, kogo kochacie, tuż po tym, gdy wydarzyło się coś cudownego? Jeżeli nie, to żałujcie. Nie skosztowaliście życia. Bo wtedy wystarczy dotyk, on zastępuje wszystkie słowa; porozumienie staje się przepływem, oba ciała zasila jeden szalony układ krążenia, jedna myśl przemyka przez obie głowy. Nigdy nie byliśmy sobie bliżsi, Ben i ja. Nawet w trakcie najbardziej namiętnego szaleństwa nigdy nie staliśmy aż takiej jedności. Nigdy w życiu nie czułam się też bardziej świadoma samej siebie, mózg rozwijał przede mną i stawiał mi przed oczyma wszystko, co wiedziałam tak wyraziście, że prawie zdołałabym dotknąć całej wiedzy, wszystkich wspomnień i możliwości, wszystkich chęci i strachów - bo wiedziałam, że jestem w ciąży.

Zwaliło się to na mnie w jednej chwili jak objawienie świętego. Chciałam wspomnieć o tym Benowi, ale powstrzymałam się, uważając, że poznał prawdę dzięki samemu trzymaniu mnie za rękę. A jeżeli nie, po co psuć tę chwilę oskarżeniami o brak wrażliwości? Czułam pączkujące we mnie życie - chłopca. Najpiękniejszego, cudownego chłopczyka.

Szliśmy, aż podbiegł do nas dyżurny planu z paniką wypisaną na twarzy, spoconym czołem i nabiegłymi krwią oczyma.

— Zwariowałaś?! Wchodzisz za trzy minuty!

Biegiem, biegiem. Z powrotem do teatru. Ludzie schodzą nam z drogi. Głównie dlatego, że w mojej ukwieconej Sukni Girlaski przypominałam uskrzydłone szaleństwo. Omijaliśmy samochody, potracaliśmy pijaków, wymijaliśmy podstawy ulicznych latarni i dotarliśmy do drzwi na scenę, gdzie nieubłaganie jak kat czekało mnie pandemonium.

Florrie znowu wrzeszczała, wymachując rękami tak gwałtownie, że mały jej pióra nie urosły. Zaczynała być w tym dobra, wyćwiczyła rzecz na blachę. Richie, pierwszy raz odkąd go poznałam, był niespokojny i niedelikatny.

- Ty głupia cipo! Co się z tobą, do cholery, dzieje!

- Będę miała dziecko! - powiedziałam obronnym tonem, a Ben mało się nie przewrócił. - Będę! - powtórzyłam, odwracając się do niego, wciąż jeszcze próbując wyplątać się z Sukni Girlaski, która opierała się moim wysiłkom, strzelając iskrami wyładowań elektrycznych. - Ben, jestem! Jestem w ciąży! Popatrz tylko... elektryczność!

- To świetne na bis - stwierdził, delikatnie uwalniając mnie z sukni. - Ale najpierw zobaczymy, jak ci pójdzie *Sweet Georgia Brown*. - Chyba uznał, że znów mi odbija. Cóż, pomyślałam, za dziewięć miesięcy nie będzie tak uważał, gwarantuję.

Ktoś mnie wypchnął na scenę i tańczyłam, tylko później tego nie pamiętałam. Pamiętam jednak, że słyszałam muzykę, aranżację Lucasa, pulsującą rytmem, dżunglą i jazzem, one-step w rytmie wpół cza-czy, wpół dixie. Miałam parasolkę i pantalony, wysokie obcasy i kapelusz niczym lodowy tort z wysokim na trzy stopy piórem na czubku - wszystko białe oprócz piórka, które było szkarłatne. I wiedziałam, że dobrze sobie radzę, bo poruszałam się dzięki tej uprzedniej wiedzy, o której mówił Richie - pamięci mięśniowej tak gruntownie ukształtowanej przez bodźce wejściowe, że tańczyłam, jakbym narodziła się ze związku Terpsychory z komputerem.

Kiedy skończyliśmy, publiczność wpadła w szal, wstając z miejsc i bijąc brawo. Rzuciłam się w ramiona Florrie i uściskałam ją szaleńczo, tylko że ona nie oddała mi uścisku. Po prostu mnie odepchnęła, wielkie łzy wisały w jej ogromnych oczach.

- Kompletnie cię popierdoliło! Trzymaj się ode mnie z daleka!

Odwróciłam się do Richiego, a on gapił się na mnie, jakbym powstała z martwych tuż po tym, gdy on zapłacił za pogrzeb.

- Tylko nigdzie nie znikaj, bo trzeba będzie wyjść i się uklonić, okej? Dasz radę?

Kiwnęłam twierdząco, a on odszedł, potrząsając głową. Sprawiał wrażenie autentycznie zmartwionego i zaczęłam się zastanawiać czemu.

Do czasu wyjścia przed kurtynę próbowałam wykombinować, czemu wszyscy zrobili się jacyś dziwni. Kiedy już wyszliśmy się uklonić, a publiczność w studiu klaskała tak, że mało jej ręce nie poodpadały, rozejrzałam się za Benem. Ben mi powie. Ben był moim przyjacielem.

Zobaczyłam go opierającego się o jakiś wspornik w pozie francuskiego marynarza, był taki miłutki, że mogłabym go schrupać na miejscu. Podeszłam i ukryłam się w jego ramionach.

- Proszę, powiedz mi, co się stało?
- Za sto lat nikt nie będzie pamiętał.
- Cycki mi wyleciały!
- Nie!

- Rozdarło mi się coś na tyłku!

- Nie.

- To co?

-Najzabawniejszy taniec od czasu, kiedy Salome wetknęła palec do kontaktu.

- Co?

- Chodź. Przejdźmy się.

Zdaniem Bena to było tak. Florrie i Richie wykonywali cały numer perfekcyjnie, ale nie ja. Ja się miotałam, próbując dotrzymać im kroku. Stary pomysł, równie stary jak wodewil, ale Ben zapewnił mnie, że nigdy nie został lepiej wykonany.

-Publiczność była zachwycona. Nie mogli się przestać śmiać. Odstawiłaś Nancy Walker i Marthę Raye*⁹¹ jednocześnie. Najlepszy numer komiczny od czasów Bustera Keatona.

To by było na tyle, jeśli chodzi o Richiego Pickeringa i jego pieprzoną „pamięć mięśniową”.

- Ben, chcę umrzeć.

-Żartujesz? Jesteś gwiazdą. Wypracowałaś nową jakość. Do tego stopnia, że myślałem, że Magnuson pęknie. Twój przyjaciel Monty posikał się w gacie. Zdaje się, że posikał się też w gacie Mary-Jayne. Kiedy zdecydowaliście się na taką zmianę klimatu?

Zaczęłam płakać.

Rozwaliłam wszystko, prawda? Rozwaliłam cały występ Richiego.

⁹¹ N. Walker (1922-1992), M. Raye (1916-1994) - aktorki komediowe.

-Gówno prawda. Uratowałam sprawę. Mowy nie ma, żebyście po *Sing* dali radę z *Georgia Brown* w klasycznym stylu. *Sing* było wykonane tak precyzyjnie, tak idealnie, tak tip-top, że wskutek porównania *Georgia Brown* wyglądałoby na obcyndalanie. Działałaś w natchnieniu.

- I nikt nie jest zły?

-Zdumiony, może. Oszołomiony. Ale nie zły. Problem tylko w tym, czy jesteś w stanie to powtórzyć?

- Nawet nie wiem, co zrobiłam!

- Tego się obawiałem. Cóż, jakoś sobie przypomnisz.

Z powrotem w mieszkaniu dotarłam do łóżka i zwałam się tam, patrząc na Bena z wyrazem twarzy, założę się, śmiertelnie rannej lalki. Zaczął mnie bardzo miło rozbierać.

- Ben, i co teraz będzie?

- Cóż, jeżeli zgodnie z planem oglądały to miliony ludzi, moim zdaniem dostaniesz więcej propozycji niż dziwka w koszarach.

- Miałam na myśli z dzieckiem?

- A tak, dziecko. Zapomniałem.

- Jak możesz nie wiedzieć? Mój Boże!

- Przede wszystkim, jeżeli jesteś w ciąży, to nie ze mną.

- Chyba nie chcesz mi tego zrobić!

- Znam cię dopiero dwa tygodnie. A kiedy cię poznałem, byłaś dziewicą, chyba że masz błonę dziewiczą, którą wkładasz albo wyjmujesz w zależności od tego, z kim to robisz...

-Więc nie mogę być w ciąży. Jest za wcześnie. Zgadza się? Zgadza?

- Nie wiem. Może to niepokalane poczęcie. Kiedy się siada w publicznych kiblach, można złapać masę dziwnych rzeczy.

- Ale w takim razie czemu miałabym czuć się jak w ciąży?

- Powodem, panno dziewiętnastowieczna, jest poczucie winy.

- Poczucie winy?

- Poszłaś do łóżka z mężczyzną i zaszłaś w ciążę. Przecież tak to działa?

-Rany. Tak szybko.

-Najszybsza zanotowana ciąża. Dziecko prawdopodobnie urodzi się za dwadzieścia minut. Lepiej postaram się o czyste prześcieradła i zagotuję trochę wody. Hej, mam świetne imię dla dziecka.

- Jakie?

- Speedy Gonzales. Speedy Gonzales Burglemeister.
- A co się stało z Troppenheimerem?
- To było tak dawno temu... kto by pamiętał?

TLR

Rozdział 17

Ben

1952

Po swoim wielkim występie w *Joey Magnuson Show* Ginnie spała całe wieki. Zaglądałem tam od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nie umarła albo nie próbuje wysiadywać materaca, jako że dopiero co przeszła dość traumatyczną urojoną ciążę. Mamrotała coś i ponownie zapadała w śpiączkę, ale wiedziałem, że jeszcze żyje, bo tacki z jedzeniem, które zostawiałem jej, wychodząc do pracy, były puste wieczorem, gdy wracałem, często z karteczką w rodzaju „Dzięki, tajemniczy kucharzu, ale gdzie peptobismol?”*⁹².

Naprawdę i autentycznie kochałem Ginnie Maitland. Z taką szybkością chwytala to, co miałem na myśli lub chciałem powiedzieć, że podejrzewałem ją o jakieś nadprzyrodzone moce. Co do naszego seksu, był tak naturalny, łatwy, pozbawiony wstydlivosti i zabawny, że nie dało się w nim już niczego ulepszyć, choć nieustannie próbowaliśmy, jako że nikt nie jest doskonały.

W biurze Pat Jarvas wciąż robiła mi awanse, ale za każdym razem z niniejszym zapalem; jej namiętność stopniowo słabła, z wolna i zdradziecko zastępowana przez chłód, który sprawiał, że białe mi końce palców. Pamiętam, co kiedyś napisała Dorothy Parker: „Uraź kochanka, a znajdziesz wroga”. Nie było tak, że kiedyś byliśmy z Pat kochankami, mieliśmy jedynie na swoim koncie najszybsze pieprzenie w mieście i pewnie liczyła na kolejną szansę poprawienia swojego czasu.

W 20th Century Fox wiodło mi się potwornie, ale potrafiłem sobie z tym poradzić, bo wiedziałem, że pewnego dnia męka się skończy. Sam Gaynor był oczywiście nie do zniesienia, udało mi się jednak rozwiązać ten problem, wypełniając wszystkie jego polecenia bez jęków i narzekania. Doprowadzało to sukinsyna do szału i któregoś razu chwycił mnie za klapy, przycisnął do ściany i zagroził formą śmierci zbyt nietaktowną,

⁹² Peptobismol - lek na niestrawność

żeby ją tu przywoływać. Spodobało mi się to. Oznaczało, że tak się biernie opieram, że jego aż nosi. Mimo wszystko postanowiłem nigdy nie zostawać z nim sam na sam, bo jeżeli rzeczywiście miał mnie uderzyć, chciałem mieć świadków - do sprawy sądowej i oskarżenia o zabójstwo.

Co do Alana Morse'a, jemu też stawiałem opór. Nie trzeba chyba nadmieniać, że nie pisałem już żadnych tekstów. Byłem wyłącznie pomocnikiem biurowym, a jako taki nie uzyskałem nawet pozwolenia na uczestniczenie w projekcjach. Mickey, który widział i wyczuwał wszystko, zwerbalizował swoją ciekawość, zadając pytanie: czemu trzymam się tej posady? Powiedziałem mu, że potrzebuję pieniędzy i że nie powinien się martwić, bo mam opracowany plan.

Mój plan był prosty. Miałem zamiar przebojem wejść do telewizji jako autor sztuk. Plan łatwiej było sformułować niż zrealizować, szczególnie że mój pierwszy scenariusz półgodzinnej sztuki zawodził na całej linii, wracając z niezawodnością bumerangu i zawsze z dołączoną identyczną wiadomością: „Dziękujemy za przesłanie *Wpadnij do mojej pracowni, powiedziała rzeźbiarka do Guya*, ale w chwili obecnej sztuka nie koresponduje z bla, bla, bla, itd., itd., mamy cię w dupie”.

Więc napisałem następną, o facecie, który miał aparat umożliwiający robienie zdjęć przyszłości. Dałem jej tytuł *Przypadkowe wywołanie*, Ginnie starannie ją przepisała i wysłaliśmy skrypt tylko po to, żeby wrócił z taką samą przekłętą odmową dołączoną do grzbietu.

Podobny los czekał *Martwych w chwili przyjazdu*, *Nie patrz* i *Szeptaj mi o krwi*. Co do tego ostatniego scenariusza, zapytałem Ginnie, czy nie nadawałby się czasem na musical. Nie roześmiała się, zasugerowała tylko, żebym przestał naśladować innych i spróbował odkryć samego siebie, co uznałbym za bardzo sensowną poradę, gdybym był Ameryką, ale skoro nie byłem, co, do cholery, miała na myśli? Nie wiedziała, lecz miała nadzieję, że ja będę wiedział - w przeciwnym razie nigdy by czegoś podobnego nie powiedziała. No i pocałowaliśmy się i pokochaliśmy, podczas gdy maszyna do pisania, rada z wakacji, przyglądała się nam, nic nie mówiąc.

A jednak sens tego, co próbowała mi przekazać, jakoś we mnie został. Zadaniem artysty jest być słyszany, a nie zostanie naprawdę usłyszany, dopóki włącza się w istniejący chór. Musi wystąpić z szeregu i zacząć hałasować na własny rachunek, solo. W tej sytuacji musiałem tylko wymy-

ślić, jakiego rodzaju hałas chciałem zrobić. Nie zajęło mi to dużo czasu. Mój hałas to miał być *Tony*.

Tamtego wieczoru wróciłem do domu przed Ginnie. Ćwiczyła dwa kolejne numery do następnego *Joey Magnuson Show*. Trio Pickeringa okazało się takim przebojem, że Noah Sobel szybko zarezerwował ich na jeszcze jeden występ w tym sezonie i wspominał coś o kolejnym.

Kiedy Ginnie zjawiała się w domu, wyskoczyłem ze swoim nowym pomysłem. Opowiedziałem jej o Tonym i myślałem, że jego historia mogłaby stać się punktem wyjścia mojej pierwszej oryginalnej sztuki, naprawdę do niej trafiła. Natychmiast zabrałem się do pracy, zapisując strony nieczytelnym odręcznym pismem, które tylko Ginnie potrafiła odczytać. Pracowałem nocami, oczywiście, ale też za dnia, urywając ze swojej dniówki posługaczki parę minut tu i tam, tylko tyle, żeby porobić notatki, utrwalić myśli, które mi wpadły. Dni mijały, strony spiętrzyły się w stos. Miał to być godzinny scenariusz odpowiedni dla Krafta, Studia Jeden, Teatru 60, Philco, i ważny, bo był ważny dla mnie; chciałem, żeby Tony znów ożył. Chciałem narobić hałasu, który byłby tak jego, jak i mój.

Nie wydaje mi się, żebym w ciągu pięciu dni spał więcej niż pięć godzin, a Ginnie była fantastyczna. Przy całym swoim zmęczeniu przepisywała moje strony, tak byśmy oboje mogli zobaczyć, co napisałem. Sytuacja tak się miała, że słowa wylewały się ze mnie w strasznym tempie, bo umysł był szybszy niż ręka, i moje odręczne pismo okazało się tak nieopanowane, że nie potrafiłem go odczytać. Ale Ginnie potrafiła. Sytuacja charakterystyczna dla tego, co się między nami działo. Umiała odczytać moje pismo, a ja wcześniej niż ona sama wiedziałem, że zbliża się jej okres.

To, że go dostała, oboje przyjęliśmy niemal z ulgą, bo chociaż kochał się kochać, istniały też inne sprawy, na których ludzie mogą zbudować związek. My tylko nie mieliśmy pojęcia jakie. Beztrosko szafowaliśmy zdrowiem i trwoniliśmy drogocenny sen, bo tyle mieliśmy do zrobienia. Zrobiliśmy sobie pięć dni przerwy.

Minęły kolejne tygodnie. Miesiąc. Dwa miesiące. Ja pisałem, ona przepisywała. W dalszym ciągu chodziła też na próby. Mieli się pojawić w ostatnim *Joey Magnuson Show* w sezonie i Sobel chciał, żeby program okazał się najlepszy. Więc ćwiczyli, jakby chodziło o ostatni występ w życiu.

Przyszedł wielki dzień, sobota, i poszedłem z Ginnie do studia. Nie miałem pojęcia, jakie przygotowali nowe numery. Zapytałem Ginnie, ale nie chciała zdradzić, powiedziała tylko, że pragnie mi zrobić niespodziankę. Ponownie zaangażowali Lucasa Harrisona, bo jego aranżacje były równie istotne dla powodzenia całego przedsięwzięcia jak choreografia Richiego. I to wszystko, co wiedziałem.

Obejrzałem próbę kostiumową. W pierwszym numerze trochę stepowali, lecz bez podkutych butów, Ginnie i Florrie w czarnych, kocich kostiumach, Richie ubrany jak Fred Astaire. Wyglądało to głupio, ale tańczyli z królewską gracją, snobistyczną rezerwą i błękitnokrwieście, co dało efekt kontrolowanego absurdu, wszystko do arystokratycznej interpretacji *My Blue Heaven*, jaką potrafił wyczarować tylko Lucas. Tak dobre, że niemal niesamowite. Monty Rivers siedział obok mnie i cały czas trzymał buzię na kłódkę. Dopiero przy końcu trącił mnie łokciem i powiedział:

— Mam dosyć kociaków, możesz mnie umówić z tym milu-sim kelnerem?

Drugi numer to był jazzowy balet do przeboju Lexa Baxtera *Jet*. I nie wiedziałem, co o tym myśleć. Florrie i Richie tańczyli, a Ginnie siedziała obok mnie i patrzyła. Przez całą próbę kostiumową i zdjęciową Ginnie tylko obserwowwała ten drugi układ, studiowała go, przyswajała, uczyła się każdego kroku, każdego ruchu, zaznajamiała się z nim, ale nie wyszła na scenę. Dlaczego? Miałem dopiero zobaczyć.

Nadszedł czas wejścia na antenę i w dwudziestej minucie Trio Pickeringa odstawiło Freda Astaire'a z kociakami do *My Blue Heaven* i poderwało wszystkich z miejsc. W czterdziestej minucie wykonali *Jet* - całą trójką. Najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

Florrie i Richie w baletowych strojach i z poważnym wyrazem twarzy wyszli i przez pierwszą minutę tańczyli strasznie serio, jak Rosjanie, którzy obawiają się, że zostaną rozstrzelani. Potem na scenę przypadkiem trafia Ginnie, niesamowita blondynka opięta czarnym trykotem, smukła, zablakana sierotka, która patrzy na tamtą tańczącą parę. Z początku nieśmiało ich naśladuje z boku, na próbę, bo nigdy czegoś takiego nie robiła. A wreszcie pewna, że ona też potrafi, przyłącza się do duetu i radośnie rozpieprza cały występ.

Rolą Richiego i Florrie było przetrwać najście intruza, wytrzymać w roli poważnych artystów, klasycznych członków ekipy baletowej, jak kto woli. Ginnie, kłown, który pragnie się do nich przyłączyć, wystąpiła jako kontrpunkt. Fantastyczna w swej niewinności, porywająca nonszalancją rodem z *I love Lucy**⁹³, Ginnie wchodziła im w paradę, a w końcu wpakowała się w sam środek przedstawienia, tak że Richie, nie wiedząc jak ani dlaczego, podnosił Ginnie i zostawiał Florrie na pastwę losu. A na górze, podniesiona na maksymalną wysokość, twarz Ginnie wyrażała takie przerażenie, że widownia pospadała z krzeseł. Moment kulminacyjny nastąpił na końcu, kiedy Ginnie usiłowała podnieść trzęsącą się Florrie, podczas gdy Richie, pokonany i ponury, opuścił scenę.

Ku wiekuiestej chwale Richiego Pickeringa trzeba stwierdzić, że miał świadomość wrodzonej, szaleńczej fantazji Ginnie i uwierzył w nią, przekonany, że jest w stanie wykonać to perfekcyjnie raz, ale gdyby miała próbować, cała spontaniczność, cała pikanteria i zaskoczenie, niezbędne przecież w działaniach komediowych, uleca, pozwalając, by występ załamał się pod ciężarem swojej ewidentnej niedorzeczności.

I tak narodziła się postać - długonoga blondynka, nieustraszony kłown, który po prostu musiał tańczyć, bez względu na to, w którą stronę kręcił się świat, pół kobieta, pół dziecko, które najwyraźniej nie wiedziało, czy powinno skakać przez skakankę, czy pójść w tango. To, co Ginnie zrobiła w *Sweet Georgia Brown*, było przypadkiem. To, co zrobił Richie Pickering, włączając ten przypadek w wykonanie *Jet*, było posunięciem genialnym. To proces powtarzający się bez końca dzięki ludziom, którzy mają dość rozumu, żeby zostawić miejsce przypadkowi i tym samym wykorzystać niespodziewane.

Sprawa Tria Pickeringa potoczyła się szybko i dobrze. Agenci wylegli tłumnie z Sardiego, jakby Toots Shor*⁹⁴ wrzasnął „pożar”! - cała masa Lennych i Bernich, kilku Shellich i Arniech, dwóch Kevinów i jeden Percy. Wszyscy przeczytali recenzje, oblizali się i przyszli do dzieciaków z

⁹³ *I love Lucy* (1951-1957) - serial komediowy, którego główna bohaterka, gospodyni domowa, chce zostać gwiazdą.

⁹⁴ Sardi's - od 1928 restauracja popularna wśród ludzi teatru; Bernard „Toots” Shor - w latach 1930-1940 właściciel konkurencyjnej restauracji odwiedzanej przez gwiazdy.

piórem w ręce, ale daremnie. Otóż Richie podpisał umowę z Barrym Nadlerem, sześćdziesięcioletnim facecikiem, który prowadził interesy z małego biura na Zachodniej Czterdziestej Szóstej Ulicy, mając do dyspozycji jedynie telefon, dzbanek do kawy i ciągnący się od stu pięćdziesięciu lat romans z show-biznesem.

W tamtych czasach telewizja miała miażdżącą siłę i Barry Nadler bez trudu załatwił dla Tria Pickeringa występy w dobrych klubach - i za nieźle pieniądze. Ginnie, oczywiście, była zachwycona. Lato miało przynieść zespołowi, skromnie licząc, piętnaście tysięcy dolarów, a Barry już rozważał propozycje z telewizji na jesień. Działka Richiego stanowiła pięćdziesiąt procent, Florrie i Ginnie dzieliły się pozostałymi pięćdziesięcioma, co było bardziej niż w porządku. Udział Ginnie pomniejszony o dziesięć procent dla Barry'ego Nadlera wynosił ponad trzy tysiące dolarów i powiedziała mi, żebym przerwał tę prywatkę-kopulatkę w 20th i zaczął pisać na etacie.

Bardzo to było kuszące, ale na razie niczego nie sprzedałem i obawiałem się, że mogę nigdy niczego nie sprzedać, więc czemu rezygnować z jedyne go źródła dochodów, jeśli nawet moja kuliska zarabiała więcej? Ginnie miała wrażenie, że przekonam się, czy potrafię pisać, jedynie wtedy, kiedy poświęcę się pisaniu bez reszty. Kompromisowym rozwiązaniem byłoby oczywiście rzucenie pracy po sprzedaniu pierwszego scenariusza, a na razie wytrzymać.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu na sześciotygodniowe tournée Ginnie przepisała *Tony'ego*, tak żeby nadawał się do zaprezentowania. A potem kochaliśmy się, jakbyśmy już nigdy nie mieli tego zrobić, trzymając się w ramionach, jakby ona była jedyną dziewczyną na świecie, a ja jedynym satyrem.

Wyjechała rano - pierwszy przystanek w Chicago - i nigdy w życiu nie byłem bardziej samotny. Tej nocy spałem w jej pokoju, gdzie zapach wody toaletowej był dość mocny, żebym mógł udawać, że ona jest ze mną. Dwie takie noce i nie mogłem dłużej tego znieść, więc przenieśliśmy się do własnego pokoju i abstynencji. Zadzwo niła trzeciej nocy, a może ranka - o trzeciej. Chicago wzięli szturmem. Rozmawialiśmy przez godzinę - dość długo, żebym prawie uwierzył, że rozmawiam z nią z Fort Devens.

Oryginał *Tony 'ego* wysłałem do Philco, a pierwszą kopię do Kraft Theatre, bo czułem, że największe szanse na sprzedaż tekstu mam w tych dwóch programach. Miałem jeszcze dwie kopie, ale nie dość czytelne, by narażać lektora. Przyszło mi na myśl, że postępuję podobnie jak Ginnie w swoim przedstawieniu. Stała i przyglądała się, a potem wskoczyła w sam środek, ja także. Całe życie byłem czytelnikiem, obserwatorem pisarzy - a teraz wskakuję w środek, z nadzieją, że sam zostanę pisarzem. Ginnie się to udało, może uda się również Benowi. Nigdzie nie jest napisane, że aby zostać pisarzem, człowiek musi się tym zajmować od urodzenia.

Na razie nie chciałem podpisywać umowy z żadnym agentem, przede wszystkim dlatego, żeby uniknąć czytania mojego scenariusza i wysłuchiwania, jaki jestem beznadziejny, dopóki czarno na białym nie zostanie wykazane, że faktycznie jestem beznadziejny. Barry zgodził się ze mną, ale chciał, żebym pokazał tekst takiej jednej agentce, kobiecie, dla której miał wiele szacunku. Lubilem Barry'ego i jego cygara i wyłącznie z tego powodu zaniósłem swój scenariusz Helen McInninny z agencji Morrisa.

Zadzwoiła trzy dni później, po przeczytaniu tekstu, i poprosiła, żebym wpadł się z nią zobaczyć. Nie mając wieści z Philco czy Kraft Theatre, wchodziłem od biura Helen McInninny ze świadomością, że będzie to pierwsza profesjonalna ocena mojego dzieła.

Była to dość miła osoba, trochę zaniedbana, trzydziestopięcioletnia. Z początku starała się być uprzejma w sposób, który przypominał mi zachowanie w obecności kogoś, kto najwyraźniej znajduje się w terminalnej fazie choroby. A jednak w trakcie pięciu minut, podczas których jej telefon zadzwonił jedenaście razy, zacząłem jasno i wyraźnie odbierać wiadomość, że nie miała dobrego zdania o mojej sztuce. W końcu nie chciała mnie już dłużej oszczędzać. Uśmiechnęła się po macierzyńsku i oznajmiła: „Żaden z ciebie Henry Denker”.

Muszę wyznać, że nie miałem bladego pojęcia, kto to taki Henry Denker, że był wówczas (i wciąż jest) jednym z najbardziej wszechstronnych pisarzy piszących na scenę; że pisał książki i sztuki, które, jeśli nawet nie zawsze stawały się przebojami kasowymi, nieodmiennie były wprawnie napisane i wysoko cenione. Nie miałem o tym wszystkim pojęcia i dlatego mam nadzieję, że zrozumiecie, czemu odpowiedziałem Helen McInninny następującym stwierdzeniem:

- Pierdolić Henry'ego Denkera!

- Nawet nie wiesz, kto to jest.

- Pierdolić go mimo wszystko!

Zobaczyłem, że się jeży, choć ton jej głosu tego nie potwierdzał.

- Henry Denker to pisarz, w którego ślady nigdy nie będziesz w stanie pójść, chyba żebyś chciał ponieść mu walizki.

- I takie jest pani zdanie o mnie?

- Tak.

- Że żaden ze mnie Henry Denker.

- Tak.

- I co mam zrobić, umieścić to na swoim nagrobku? „Tu leży Ben Webber - żaden z niego Henry Denker”. A co on umieści na swoim nagrobku, że żaden z niego William Saroyan?

- Ma większe szanse na zostanie Williamem Saroyanem niż ty Irvingiem Tannenbaumem.

-A kto to, kurwa, jest Irving Tannenbaum, ośmielę się zapytać?

-Irving Tannenbaum to najgorszy pisarz od czasów hieroglifów, tylko że o tym nie wie i nie odpuści, i będzie strasznie nieszczęśliwy, jeśli nie wróci do wyuczonego zawodu dentysty.

-I jest lepszym pisarzem ode mnie?

-Znacznie.

-A proszę mi łaskawie wyjaśnić, co znajdziemy na jego nagrobku?

-„Tu spoczywa Irving Tannenbaum, ortodonta, który zdobył nagrodę Pulitzera”. A teraz wynocha. Jesteś tak samo bezczelny jak mało zdolny i wolałabym raczej odebrać telefon z informacją, że mój dom się spalił, niż poświęcić kolejną minutę na rozmowę z tobą. - Odwróciła się i odebrała telefon. Nie czekałem, żeby sprawdzić, czy chodziło o jej dom, ale zabawiam się myślą, że tak.

Baba planowała oczywiście, że bez trudu utrzyma mi nosa, bo po cóż innego miałyby mnie zapraszać na przyjacielską pogawędkę o tym, jakie to ze mnie beztalencie. Po konfrontacji z moją przesadzoną reakcją sama zareagowała równie przesadnie, a że zajmowała się *tym* dużo dłużej niż ja, wypadła znacznie lepiej. Podarowałem sobie kolację, resztę wieczoru spędzając z Johnnym Walkerem.

W biurze sprawy miały się jak zwykle, ale bez Ginnie, do której mógłbym wrócić, stawało się to dla mnie coraz trudniejsze do zniesienia,

szczególnie z Samem Gaynorem, który stał mi nad karkiem. Nie byłem pewien, ile jeszcze wytrzymam. Miałem dość rozumu, żeby nie wdawać się z nim w bójkę na pięści, lecz może gdybym podszedł do niego od tyłu ze sztyletem, pistoletem i bombą...

Pat Jarvas też niezbyt korzystanie wpływała na moje morale, bo zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, nazywała mnie „pomocnikiem” i zmuszała do wykonywania poleceń, o których wiedziałem, że nie mogły wyjść od Grubera. Atmosfera stała się gęsta. Wyglądało na to, że mam więcej wrogów niż przyjaciół, choć nie mogłem zżymać się na brak uczucia ze strony swoich współpracowników, jako że zapracowałem na ich wrogość (choć nie celowo). Tym, co budziło moje wątpliwości, był brak równowagi w kontaktach międzyludzkich. Za przyjaciół miałem Mickeya Greena z Dorą Leindorf jako swego rodzaju niezaangażowaną. Gruber? Trudno stwierdzić. Z pewnością nie mogłem udać się do niego ze swoimi kłopotami. W sumie dawało to jednego przyjaciela, jedną osobę neutralną i jedną zagadkową.

Co do wrogów natomiast, istniało anatomiczne trio: Sam Gaynor, Pat Jarvas i Alan Morse - kutas, cipa i dupa. Reszta, jak powiedziałem, była mi obojętna. A na dokładkę jednego dnia zwrócono mi oba scenariusze.

Philco przysłało standardowy list z podziękowaniem za przesłanie swojego tekstu i nadzieją, że, być może, następny scenariusz, itd., itd. Kraft trochę bardziej osobisty: „Materiał ten nie odpowiada naszym gustom i prosimy, aby w przyszłości zwracał się pan do nas za pośrednictwem uznanego agenta literackiego...”.

Kto to jest „uznany agent literacki”? Czy ktoś tak naprawdę wie? Do dzisiejszego dnia nie mam pewności, co to wyrażenie ma oznaczać. Wówczas wyobrażałem sobie uznanego agenta literackiego jako czytelnego faceta, który ma dobrze dobrane skarpetki, pracuje na procent i któremu, gdy rozpozna się go na ulicy, można z przyjemnością powiedzieć dzień dobry i mieć miłe uczucie, że oto zetknął się człowiek z prawdziwą klasą. Dziś myślę inaczej. Dziś sędzę, że uznany agent literacki to koleś, który sprzedaje książki, a podczas policyjnego okazania wyróżnia się spośród zebranych i ochoczo zostaje rozpoznany jako złodziej damskich torebek.

Otarłem zwrócone scenariusze z kurzu i zanim zdążyły odetchnąć, znowu je wysłałem, do Studia Jeden i Teatru 60. Uznałem, że jeśli wrócą

w te pędy, zadzwonię do Irvinga Tannenbauma i może zejdziemy się, żeby razem opracować jakiś zab.

Następnego dnia czułem się złośliwy i niegodziwy. Ani słówka od Ginnie, nie licząc pocztówki z budynkiem Wrigleya, na której napisała: „Wyobraź sobie, że we wszystkich kioskach sprzedają tu tylko gumę do majtek”. Pół godziny zajęło mi zrozumienie tego żarciku, a i tak nie byłem pewien, czy jest śmieszny.

Poszedłem do biura z przeczuciem katastrofy. Nie było to dokładnie przeczucie, raczej wrażenie niepewności. I stwierdziłem, że jeśli rzeczywiście nadciąga katastrofa, nie chcę być jej sprawcą. A jeśli już muszę być sprawcą, to z nadzieją zachowania przy jej prowokowaniu dostatecznej powściągliwości, by pozwoliło mi to umknąć spod katowskiego topora.

Ponieważ wolałbym znaleźć się w Filadelfii, zdołałem przybyć do pracy z dziesięciominutowym spóźnieniem i natychmiast zostałem poinformowany, że „chce mnie widzieć”.

Wkroczyłem do biura Alana Morse'a i siedział tam na swoim nadętym krześle, przekręconym tak, że wyglądał przez okno, plecami do mnie. Parszywy kurdupel, który wciąż ucierał mi nosa, chociaż miał w ręku wszystkie atuty, a mnie zostało nie za wiele nosa zdatnego do ucierania.

- Chciał mnie pan widzieć?

Nie poruszył się i nie odezwał. Po prostu siedział tam z czubkiem głowy ledwie wystającym zza oparcia, gapiąc się przez swoje durne okno z widokiem na ceglany budynek pozbawiony okien, z których ktoś mógłby się pogapić na niego.

- Pańska sekretarka mówiła, że chciał się pan ze mną widzieć.

Brak odpowiedzi.

I wybuchnąłem. Ani jednego sprzedanego scenariusza, żadnych pieniędzy w banku, między mną a przytułkiem dla ubogich jedynie hojność mojej nieobecnej w mieście dziewczyny, a ja wybuchnąłem.

- Słuchaj, ty konusie... - Nawet mówiąc to, żałowałem, że to robię, żałowałem, że słyszę nie swoje myśli, ale głos. - ...pozwól, że coś ci powiem. Nie chcę tej pierdolonej pracy! Nie zgodziłbym się pracować dla ciebie nawet wtedy, gdybyś zapłacił mi tysiąc dolców za godzinę! To, co wiesz o filmowej reklamie, zmieściłoby się w tym kałamarzu i jeszcze zostałyby sporo miejsca! Więc możesz pan go sobie w dupę wsadzić, pa-

nie Morse! Weź pan gorący pogrzebacz i wsadź go sobie w dupę! - I zanim zdążył się odwrócić i choćby unieść brew, wymaszerowałem na zewnątrz, trzaskając drzwiami, przez co jego sekretarka podskoczyła trzy stopy w górę. Gdyby miała nad sobą jakiś element mocujący sufit, wbiła by się jak na pal. Pognałem korytarzem do naszego boksu, waląc drzwiami dość mocno, żeby wypadła z nich cała szyba i rozbiła się na podłodze. Dora krzyknęła, ale Mickey spojrzał na mnie z miniuśmiechem.

- Zrobiłeś to, prawda?

- Tak! I to daleko lepsze niż wszystko, co zrobiłem do tej pory. - Pakowałem swoje rzeczy, wrzucając je do kosza na śmieci, w którym zamierzałem ostatecznie wywlec wszystko na zewnątrz.

Sam Gaynor siedział przy swoim biurku i się śmiał.

- Ty gupie gówno. Dokładnie tego ściał. Sam się w to wpakowałeś. Normanie gupek ściebie, szowieku, wiesz? Ten si wresza naładowany pistolet, a ty sobie otszczeliwujesz jaja. Nie może cię zwonić spowodu pierdolonego związku, więc idziesz i sam się zwaniaasz... z hukiem! Webber, masz tyle rozumu, co świeże krowie gówno w słońsu Sahary. Jeseś równie gupi jak...

To wszystko, co zdążył powiedzieć, bo chwyciłem zszywacz i puściłem szybką piłkę w jego głowę. Pechowo dla szklanej przegrody, którą miał za sobą, wykonał skłon i poleciało więcej szkła. A Dora znów wrzasnęła. Mickey zaś wziął się do powstrzymywania Sama, bo ten gówniany King Kong ruszył na mnie, i nie po to, by życzyć mi szczęścia.

Nie wiedziałem, czy ratować się ucieczką, czy zaczekać na sukinsyna w pozycji umożliwiającej celny wykop jego jaj przez ścianę aż do domku babci - trzy punkty dla mnie w finałowym starciu, chociaż cały mecz przegrałbym o jakieś sto. Mickey nie zdołał powstrzymać Sama na dłużej niż pięć sekund, bo ważył mniej niż ramię tego gamonia, ale dokładnie w tym czasie dał się słyszeć kolejny krzyk z korytarza, z biura Alana Morse'a.

To była jego sekretarka w stanie hysterii.

- On nie żyje! O mój Boże, on nie żyje!

Okrzyk pchnął sprawę w zupełnie innym kierunku. Sam Gaynor stał i gapił się na mnie, a jego czerwonogęby gniew zmieniał się w otwarty tryumf. Mickey wpatrywał się we mnie, jakby nagle wyrosła mi druga

głowa. A Dora opadła na krzesło, trzymając się za serce i sięgając po zbawcze kleenexy.

Kroki. Drzwi otwierają się i zamykają. Inni zjawiają się, żeby zbadać sytuację. A Sam Gaynor pożądliwie łypie na mnie okiem.

- Mam nadzieję, że to zrobiłeś, Webber. Szowieku, ale mam nadzieję.
- I strząsa z siebie Mickeya, mija mnie majestatycznie, ciężkim krokiem ruszając korytarzem, żeby samemu to sprawdzić.

Później, już po przybyciu policji i karetki - owszem, Alan Morse nie żył, zmarł tuż przed moim wejściem - znalazłem się w biurze Grubera i to on wyjaśniał mi sytuację.

- Był w terminalnej fazie raka. Wiedział i my wiedzieliśmy. Kiedy nie mógł już wytrzymać, łyknął garść pigułek nasennych i zamknął sprawę. Był starym kumplem Skourasa. Dziwny facet z tego Spyrosa. Kiedy Josh tak niespodziewanie odszedł, kazał mi dać na to miejsce Morse'a, powiedział, że ten nie pożyje dłużej niż kilka miesięcy i że facet chce tylko umrzeć w siodle. Nie próbuj nigdy zrozumieć Skourasa, Ben. Znany jest z tego, że niszczy ludzi za sam sposób, w jaki na niego spojrzeli, a dla starego przyjaciela potrafi zdobyć się na gest, jakiego nie zrobiłby nikt inny na świecie. W każdym razie to tego właśnie nie mogłem ci powiedzieć i dlatego prosiłem, żebyś wytrzymał.

- Zdażyłem już rzucić pracę.

- Facet był martwy. Nawet nie usłyszał, że składałeś rezygnację, chociaż jego sekretarka owszem. Podobno istna perełka.

- Powiedziałem mu od serca. Przykro mi, że facet nie żyje, ale Skouras z tą swoją lojalnością nieźle zalażł mi za skórę. Gdyby ktoś mi powiedział...

- Przykro mi, mały, nikt niczego nie mówi pomocnikom biurowym.

- Czemu ten bękart tak się na mnie wziął?

- Byłeś pupilkiem Josha. Zgłosiłeś się do pracy cały wkurzony. Nie dałeś mu szansy na polubienie cię. W każdym razie z tym już koniec i uważam, że powinieneś zostać. Nie przejmuj się szkłem. I tak planowaliśmy odnowić te biura.

- Kto zajmuje kierowniczy stołek?

- Buddy Connors. To mój człowiek. Czeka od chwili odejścia Josha. Wie, że masz być przesunięty na stanowisko copywritera.

- A co się stanie z Gaynorem? Nie będziemy aby mieli o jednego copywritera za dużo?
- Sam przechodzi do Projektów Specjalnych.
- Co to takiego?
- Kto wie? Co tylko zechce. Najlepsze, co można zrobić z Samem, to pozbyć się go w cholere.
- Czy on też jest pupilkiem Skourasa?
- Jego ojciec jest. Obiecuję ci Ben, że będzie tak, jak chcesz, tak jak to powinno wyglądać.

Zostałem. Buddy Connors zjawił się tak szybko, że ledwie zdążyli wynieść Alana Morse'a. Zupełnie jakby czekał na dole w holu. Był to aspekt codziennego życia, o którym wiedziałem, że lepiej do niego przywyknąć, bo powtarza się ciągle, niemal cyklicznie. Przerabiałem to z moimi stewardesami i w wojsku; ludzi można wymieniać i zastępować. Odpadali jak liście z drzew i byli zastępowani przez innych, zanim zdążyli opaść na ziemię. Zawsze był za kulisami ktoś, kto czekał na swoje wejście. Chciałem wtedy tylko jednego, żeby przyszła moja kolej, jedna szansa, nim ja także spadnę na kupę kompostu.

Gruber powiedział mimochodem, że nie dałem Alanowi Morse'owi szansy na polubienie mnie. Ponownie padła sugestia, choć nie wprost, że z powodu swojego agresywnego usposobienia pogorszyłem kiepską sytuację, przyczyniłem do zmartwień umierającemu człowiekowi i okryłem swoje nazwisko hańbą. Cóż, zaczynałem być tym głównym nieco zmęczony. Starłem się trzymać swoją wojowniczość w ryzach przy każdym nowo poznanym człowieku, ale jakoś nigdy nie wychodziło mi to na dobre. I za te starania dostawało mi się jedynie swego rodzaju hebrajskie poczucie winy, które, jeśli bym nie zachował ostrożności, mogło spowodować, że moją drugą naturą stanie się negatywna osobowość, w szybkim tempie biorąca górę nad tą otrzymaną od Boga. A choć daleka od doskonałości, była to jednak osobowość pozytywna, pozwalająca się rozwijać i iść na przód bez wiecznych wahań, jakiego robaczka obraziłem albo jaką chmurę przesunąłem z miejsca przy zwykłej próbie ustalenia własnych skromnych praw terytorialnych.

Czemu miałbym dawać Alanowi Morse'owi szansę polubienia mnie? Co by się takiego straszego stało, gdyby to on dał mnie taką szansę? Czemu to zawsze ja miałem oddawać ziemie sudeckie, przynosić pierw-

szą gałązkę oliwną, piec pierwszy bochenek chleba? Czemu zawsze po mnie oczekiwano, że będę robił za Czerwoną Kurkę*⁹⁵? To nie ja zabiłem kogutka Robina. Nawet nie widziałem, kiedy umierał. Wróbel to zrobił. Sam się przyznał. Wróbel miał łuk i strzałę*⁹⁶. A ja? Nie miałem nawet nocnika, żeby do niego nasikać.

W moim umyśle klarowała się pewna konkluzja i nowa samoocena. Zaczęło do mnie mianowicie docierać, że być może agresja nie jest taką złą rzeczą, że może to nie agresja, lecz ambicja, i może nikt nie ma prawa wytykać palcem nikogo oprócz siebie. Jeżeli czyjeś „ja” uważało, że jest złe, to takie było. Ale jeżeli nie, to nie było. I jeśli czyjeś „ja” przestało się tym zajmować, nie musiało więcej czuć się winne. Podstawowe zobowiązanie „ja” to zobowiązanie wobec samego siebie. Wygrzebałem tę prawdę jak zwierzątko szukające pożywienia wygrzebuje w ziemi korzonki. Ja też szukałem i postanowiłem, że za cholere nie będę więcej czuł się winny. Mea culpa niech złazi mi z pleców!

W mieszkaniu znalazłem w skrzynce dwie rzeczy: scenariusz odesłany przez Studio Jeden ze zwykłym pismem odmownym i list od Dona z prośbą o kolejne sto dolarów.

Nie zwariowałem, żeby posyłać Donowi więcej pieniędzy, przede wszystkim dlatego, że nie miałem co posłać. Ale nawet gdybym miał, to bym nie wysłał. Kto wie, czy go jeszcze kiedyś zobaczę albo czy kiedykolwiek mi to spłaci? Czemu Czerwona Kurka miałaby wysyłać chleb, którego nikt nie pomógł jej upiec? Pieprzony kogutek Robin, zaczyna się z ciebie robić prawdziwy wrzód na dupie, a ja mam całe mile do przejścia, całe mile - i całą drogę na mieszanie metafor.

Myślałem o tym, żeby napisać do Dona z wyjaśnieniem, czemu nie mogę wysłać mu więcej pieniędzy, ale jakoś nie chciało mi się ani kłamać, ani dawać upustu melancholii. No więc po prostu podarłem jego wekselek, a list umieściłem w szufladzie.

Żadnego listu od Ginnie i to było przygnębiające, lecz zadzwoniła godzinę później i nakłamałem jej przez telefon, że wszystkie trzy odmowy

⁹⁵ Czerwona Kurka - pracowita bohaterka popularnego dziecięcego wierszyka.

⁹⁶ Kogutek Robin... Wróbel to zrobił... fragment nawiązuje do słów ang. dziecięcej piosenki („Kto zabił kogutka Robina?/Ja, stwierdził Wróbel/Łukiem i strzałą/Zabiłem go śmiało...”).

były pełne słów zachęty, że wszystkie trzy programy chciały dostać inne próbki mojej pracy i że posłałem *Tony'ego* do Teatru 60 i mam silne przeczucie, że tam go kupią, bo tak długo nie mogą się zdecydować.

Nie powiedziałem jej za to o śmierci Alana Morse'a i swoim dążeniu do zapomnienia o tym, że kiedykolwiek żył. Ona zasypała mnie informacjami o występach, które szły naprawdę świetnie. Dzwoniła z Cleveland i następny przystanek mieli w Pittsburghu, więc czy chcę, żeby zatelefonowała do moich starych? Powiedziałem, że tak, jeżeli będzie miała czas, i nie, nie ma mówić, że razem mieszkamy.

Przysięgliśmy sobie wieczną miłość, wierność i celibat oraz powstrzymywanie się od masturbacji dopóty, dopóki oboje będziemy w stanie wytrzymać. Kiedy odłożyłem słuchawkę, nie miałem pojęcia, co się ze mną działo. Wyjąłem list Dona z szuflady i uznałem, że co tam, do diabła, pošlę mu sto dolarów. Ale na koncie miałem tylko osiemdziesiąt trzy dolary i sześćdziesiąt centów, więc schowałem list z powrotem do szuflady, z myślą, że może sam powinienem poprosić go o pieniądze, bo jest możliwość, że uzna to za zabawne i tak będzie lepiej, niż w ogóle nie odpisać. Tak też zrobiłem.

Potem Johnnie Walker i ja poszliśmy do pokoju Ginnie, do jej szafy, dotykaliśmy wszystkich rzeczy i zastanawialiśmy się, co takiego zostało zawinięte w brązowy papier i oparte o ścianę. Ale naprawdę nie była to moja sprawa i potwornie zmęczony zapadłem w sen - w jej łóżku, w jej ramionach, w marzeniach.

Telefon brzęczał, dzwoniąc tak bardzo w środku nocy, że uznałem hałas za dochodzący ze środka mojej głowy, więc jak miałem odebrać? Potykając się, doszedłem do salonu i odebrałem. Ktoś z NBC wydzwaniał cały dzień. Czemu nie wpisałem przy scenariuszu numeru telefonu, pod którym można mnie zastać, kiedy jestem poza domem? Co? Kto mówi? Jerry Kapłan, NBC, Teatr 60. Biuro Franka Brokawa. Mamy pańską sztukę. Może pan wpaść to obgadać? Kto? Proszę zapisać ten numer i zadzwonić o dziesiątej rano. Jezu Chryste. Do widzenia.

Obudziłem się około siódmej, wiedząc, że w nocy rozmawiałem z kimś przez telefon, i zacząłem się zastanawiać, czy zdołałem zapisać cokolwiek sensownego. Na kawałku papieru na stole przy telefonie miałem dwa nazwiska i numer: „Julie Klimplin - Frankbroe Craw - Porszy 630-

999-256342-8808088808-8". Miało to mniej więcej tyle sensu, co kac w środku tygodnia.

Zrobiłem kawę i przestudiowałem świstek, pociągając ją po łyku. Tylko Ginnie potrafiła rozszyfrować to, co pisałem. Ubrałem się, wepchnąłem papier do kieszeni i autobusem udałem się do pracy.

Buddy Connors był dla mnie miły. Chciał, żebym zaakceptował nowego pomocnika biurowego, Arniego Felsena - kaprała Arniego Felsena powracającego z Korei, honorowo zwolnionego do cywila, bez wojennych ran; rwał się do pracy w dziale anonsów, gdyby tylko udało się załatwić przeniesienie.

Z radością powitałem Arniego, ponieważ dzięki okolicznościom, na które miałem minimalny wpływ, już przez sam fakt pojawienia się stał się moim najukochańszym i najbliższym przyjacielem. Natychmiast się na niego zgodziłem i nagle zrobiła się z nas miła grupka - Mickey, Dora, Arnie i ja - wszystko pod dobrotliwymi rządami Buddy'ego Connorsa, który nie był wielkim asem anonsów, ale cieszył się życzliwością Grubera i to oznaczało wymarzoną sytuację.

Alan Morse został pochowany gdzieś na północy stanu, a Sam Gaynor w biurze na innym piętrze, w innym świecie, skąd później tego samego dnia miał się zwrócić z prośbą o wypożyczenie Arniego, żeby załatwił mu kilka spraw, ale czekała go odmowa ze strony Buddy'ego, ponieważ Arnie miał zajęte wszystkie terminy aż do sierpnia siedemdziesiątego trzeciego roku. Buddy doczekał się owacji za swoje działania, po czym wszyscy udaliśmy się na projekcję filmu, którego nie pamiętam, jako że w dziesięć minut po jego rozpoczęciu pojałem, co oznaczają nazwiska oraz numery w mojej kieszeni, więc wybiegłem z sali projekcyjnej i zadzwoniłem do NBC.

Siedziałem naprzeciw Franka Brokawa w jego eleganckim, funkcjonalnym biurze, obwieszonym zdjęciami z wcześniejszych produkcji Teatru 60, kilkoma nagrodami Emmy i zarzuconym tysiącami pustych kubków po kawie. Facet musiał być najwyższym, najchudszym człowiekiem na świecie - o ile żył, czego nie byłem do końca pewien, ponieważ się nie poruszył ani nie odezwał i przez dziesięć minut idealnie naśladował Alana Morse'a z chwili, kiedy ostatnio gościa widziałem.

Rozmowę prowadził Jerry Kapłan, młody człowiek świeżo po trzydziestce, południowy typ, starannie ubrany. Kapłan opowiadał mi o problemach, które mają z moją sztuką - za długa, przygnębiająca, z za dużą liczbą elementów stanowiących oprawę dekoracyjną, no i z całą pewnością wyprowadzi z równowagi Armię Stanów Zjednoczonych, bo jest tak rażąco anty. Poza tym była w porządku.

Brokaw odezwał się chrapliwym głosem, jakby przepuszczonym przez ostrzałkę do ołówków.

- Czy uznaje pan słuszność naszych uwag i wprowadzi zmiany, bo w przeciwnym wypadku niepotrzebne nam takie zawracanie głowy z ostatnią sztuką w sezonie.

Był najwyraźniej wyprowadzony z równowagi koniecznością objaśnienia mi reguł, i na wpół oczekiwałem wypowiedzi w rodzaju „Nie bić za nisko, nie celować w kark i w razie nokautu przejść do neutralnego narożnika”.

- Wprowadzę zmiany.

- Nie palę się do tego, by wykończyć pański scenariusz, ale w swej obecnej formie absolutnie nie przejdzie przez wewnętrzną cenzurę. A nawet gdyby, sponsor by go utracił. Kemper Aluminium jest bardzo konserwatywne. Kto jest pańskim agentem?

- Barry Nadler. - Czemu, u licha, to powiedziałem?

- Kto?

- Barry Nadler. Zajmuje się głównie wykonawcami. Jestem jego pierwszym pisarzem. - I ostatnim.

- Proszę przekazać Jerry'emu, gdzie można go znaleźć. Płacimy dwa i pół tysiąca za pierwszy scenariusz. Potem, jeżeli jeszcze coś pan dla nas robi, stawka idzie w górę.

- Tak, proszę pana.

Brokaw podniósł się ze znużeniem.

- Dopracujcie to razem, dobrze? Muszę wracać na scenę czwartą. Paddy na mnie czeka i...

- Paddy Chayefsky? - zapytałem.

Brokaw uśmiechnął się do Kapłana i skierował w stronę drzwi.

- Załatw mu aspirynę i umowę.

- Kapłan usiadł na sofie, zapalił papierosa i odezwał się niespiesznie.

- Ben, gdybym umiał pisać jak ty, powiedziałbym im, gdzie mogą sobie wsadzić tę robotę. Niemniej jednak na innych sprawach się znam, okej?

- Okej.

- Przede wszystkim powinieneś, jak sądzę, wiedzieć, że byłem we Włoszech z Trzydziestą Piątą Dywizją, i chociaż podzielałem wiele z twoich opinii co o tego, że armia potrafi różne sprawy spierdolić, nie palę się, żeby im dosrać.

- Tak jest, sir.

- Nie mów do mnie sir, bo byłem tylko starszym szeregowym. Twój scenariusz jest za bardzo stronniczy. Sztuczka polega na tym, żeby zrobić to w sposób, który pozwoli widowni mieć własne zdanie. Jeśli nie, uzyska się efekt przeciwny do zamierzonego i skończy się na tym, że polubią wojsko i znienawidzą ciebie. W obecnej postaci tekst jest przeładowany. I, szczerze mówiąc, znaczna część jest dla mnie obraźliwa.

- W porządku. Jeszcze go przejrzę.

- Zastanawiałeś się, kto mógłby reżyserować twoją sztukę?

- Nie. Naprawdę nie.

- Ben, idź do domu. Przemyśl sprawy, o których ci wspomniałem. Spróbuj znaleźć sposób na to, żeby całość była bardziej bezstronna. Twój punkt widzenia i punkt widzenia armii. Tylko tak to może się udać. Zapisz też nazwiska aktorów, których widziałeś w poszczególnych rolach, a tymczasem powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Harry'ego Sadlera.

- Barry'ego Nadlera.

- Jesteś pewien, że to uznany agent literacki?

- Ja go uznaję.

Kapłan udał, że kopie mnie w tyłek, i opuściłem biuro, windę i budynek NBC z uczuciem, że jestem panem świata, z uczuciem, jakie miewali bohaterowie starych filmów, kmiotki stojące na pokładzie promu na Staten Island i wygrażające pięścią panoramie Nowego Jorku z okrzykiem: „Jeszcze ci dołożę, Nowy Jorku!”.

Wróciłem do mieszkania i zacząłem szukać planu występów Ginnie. Chciałem do niej zadzwonić, ale nie mogłem tego cholerstwa znaleźć. Nie umiałem tak od ręki stwierdzić, w jakim hotelu się zatrzymała albo gdzie występowała. Mogłem mieć tylko nadzieję, że to ona zadzwoni.

Żadnej kolacji. Tylko trzy jabłka i dzbanek chianti. I zabrałem się do pracy nad scenariuszem. Bez trudu dało się go przerobić na „mniej stronniczy”. Musiałem tylko przypomnieć sobie pewne rzeczy, którymi dołożył mi McArdle. Poza tym wystarczyło zmienić kilka kwestii, żeby nie były tak dosadne, usunąć jedną scenę, ponieważ zbyt wyraźnie zdradzała punkt widzenia autora, i gotowe. Potem zabrałem się do pracy nad obsadą i oto do czego doszedłem po ostatnim łyku chianti:

BEN.....Montgomery Clift .

TONY Charlton Heston

JOHNNY.....James Cagney

HOLDOFFER.....Jack Palance

W obsadzie byli także: Audie Murphy, Tony Curtis, Jeff Chandler, Billy De Wolfe, Bracia Mara i Bracia Chianti. Jako reżyserów miałem: Josepha Mankiewicza, Franka Caprę, Cecila B. DeMille'a, Billy'ego Wildera, Buza Berkeleyya, Elię Kazana i Emilia Chianti.

Wyrzuciłem to wszystko i śmiałem się i śmiałem, a potem wróciłem do pracy nad scenariuszem, dopracowując, polerując, dopieszczając. Miałem zamiar zrzucić na NBC troskę o obsadę, bo w swoich rojeniach w oczywisty sposób o niebo przekroczyłem budżet, choć, muszę przyznać, pomysł powierzenia Montgomery'emu Cliftowi roli, w której zagrałby mnie, wydawał się wręcz idealny.

Ginnie - niech ją Bóg błogosławi - zadzwoniła około wpół do dwunastej. Przyjechała do Pittsburgha i jej głos wydał mi się nieco odległy, jakby coś mogło być nie tak. Odpuściłem to sobie, bo nie miałem nastroju do tego rodzaju osądów. Stwierdziła, że wszystko dobrze idzie, że dzwoniła do moich starych i ma zamiar wpaść do nich się przywitać, a potem rozmowa zeszła na to, jak mi się wiedzie. Powiedziałem jej. I tak się rozemocjonowała, że autentycznie słyszałem, jak podskakuje na drugim końcu linii. Przekazaliśmy sobie pocałunki i wyrazy miłości i, zanim przypominałem sobie, żeby poprosić o jej plan występów, odłożyliśmy słuchawki. Mimo wszystko spałem tej nocy doskonale, a zdanko „Jeszcze

ci dołożę, Nowy Jorku!" krążyło mi po głowie jako piosenka śpiewana przez Johna Garfielda dla Ann Sheridan, podczas gdy Henry Armetta*⁹⁷ grał na akordeonie na oświetlonym księżycem górnym pokładzie, mama mia.

Następnego ranka wykonałem tryumfalne wejście do biura, zwołując zebranie personelu w biurze Buddy'ego i przekazując im wszystkim nowinę. Nie mogliby bardziej się cieszyć - nawet Arnie, który próbował sprzedać jakiś scenariusz, odkąd tylko go znałem. Zapytał, czy moglibyśmy zjeść razem lunch, podczas którego dałbym mu kilka wskazówek. Powiedziałem, że jasne.

Zadzwoił Barry Nadler.

- Ben, o co, do cholery, chodzi z NBC?
- Wariactwo i tyle.
- Sprzedałeś ten scenariusz?
- Nie bądź taki zaskoczony. W każdym razie chcą wprowadzić pewne zmiany.
- A na co ja ci jestem potrzebny?
- Nie wiem. Jesteś agentem, nie?
- A co ja wiem o scenariuszach?
- A co masz wiedzieć? Tylko sprawdź, czy wszystko jest legalne.
- Staram się. Przysłali umowę. Gdybyś był żonglerem albo komikiem, mógłbym ci pomóc. Ale to? Przeróbki? Redakcja? Korporacja Scenarzystów? To scenarzyści mają korporację? To jakiś rodzinny klub?
- Barry, po prostu postaraj się, jak możesz.
- Słuchaj... gratulacje. A tak w ogóle, to co ta głupia Helen McInninny wie o pisaniu? Do widzenia.

Dwa dni później zadzwonił Jerry Kapłan. Powiedział, że jest mały kłopot i jeśli chcę dobić targu, lepiej żebym w te pędy zapierdalał na posterunek Brokawa w biurze. Buddy dał mi pozwolenie na wyjście, więc odwołałem swoją randkę z Arniem na lunchu i taksówką pogałem do NBC.

⁹⁷J. Garfield (1913-1952), A. Sheridan (1915-1967) - aktorzy; H. Armetta (1888-1945) - aktor pochodzący z Sycylii, grywał włoskich imigrantów.

Kiedy tam dotarłem, w biurze Franka Brokawa były następujące osoby: Frank Brokaw, Jerry Kapłan, Harvey Epstein i Jason Kimbrough, dwaj ostatni przedstawieni mi w chwili, gdy wpadłem zziębnięty.

Harvey Epstein był niedużym, właściwie malutkim mężczyzną wyraźnie po trzydziestce. Ramiona miał niedostrzegalnej szerokości i nosił wkładany przez głowę sweter, w którym wyglądał, jakby zawalił się na niego namiot cyrkowy. Do tego okulary z grubymi szklami w ciężkich, czarnych oprawkach, stale zsuwające się z nosa. Włosy jak dywanik kąpielowy, który skurczył się w praniu, i para czarnych tenisówek, pewnie dawniej białych, chociaż o to bym się nie zakładał. Miał być moim reżyserem. Zrobił kilkanaście czy coś koło tego znakomicie odebranych spektakli i cieszył się poważaniem. Mnie przypominał kogoś, kogo nikt nie wybiera do drużyny w meczu podwórkowej koszykówki, chociaż absolutnie cudownie łapał swoje bryle, gdy już prawie spadały na podłogę.

Kiedy chcę powiedzieć, że Jason Kimbrough reprezentował klienta, nie chodzi mi o to, że zajmował się sprawami Kemper Aluminium dla agencji. Chcę powiedzieć, że sam był klientem. Pracował w Kemper Aluminium! Średniego wzrostu i budowy, wyglądał najwyżej na pięćdziesiątkę, chociaż włosy miał tak białe, że prawie blond. Z nieskazitelną męską urodą był tak cholernie amerykański, że gdyby przedstawiono mi go jako Jacka Armstronga*⁹⁸ ze szczęścia chyba bym się posrał w gacie. A gdybym kiedykolwiek został ponownie powołany do wojska, by bronić trawnika przed domem tego faceta, obronę tę poczytywałbym za swój obywatelski obowiązek.

Pogawędka stopniowo przeszła na temat mojej sztuki i chociaż nikt nie okazywał ani aprobaty, ani niechęci, zaczęły się tworzyć dwa obozy ustawione w mniej więcej następującym szyku:

Jason Kimbrough przedstawił poważne wątpliwości, czy Kemper Aluminium powinno mieć cokolwiek wspólnego z moją sztuką. Nie chciał w ten sposób dezaprobować mojego pisarstwa, które, jak nie omieszkał zaznaczyć, było naprawdę znakomite. Zasadniczo tak właśnie wyglądało jego stanowisko w sprawie: dobry scenariusz, ale zbyt śliski temat.

⁹⁸ Jack Armstrong, bohater filmu o tym samym tytule (1947), postać przypominająca Supermana.

Frank Brokaw w pewnym sensie popierał Kimbrougha, ale ciężko go było przygwoździć, trudno określić. Wyglądało na to, że jest skłonny pójść za głosem większości, lecz nie zamierza opowiadać się po żadnej ze stron sporu i nie da się z powodu mojej sztuki postawić pod ścianą, ponieważ, by odwołać się do jego słów z naszego pierwszego spotkania, „niepotrzebne nam takie zawracanie głowy”.

Sprzymierzeńców miałem w Kapłanie i Epsteinie i podczas całej dyskusji nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że faceci z takimi nazwiskami powinni raczej szyć mi garnitur, a nie bić się o mój scenariusz. Wolałbym, żeby na ich miejscu znaleźli się Salomon i Disraeli albo, bardziej realistycznie, Kaufman i Hart⁹⁹, ale nawet jako Kapłan i Epstein byli niezli.

Jerry Kapłan, w klapie plakietka „honorowo zwolniony”, tak zwana „kaczka z przepukliną”¹⁰⁰, wymowny w adwokackim stylu, logiczny i jasny, wskazywał na jakość tekstu, dojrzałość widowni i na konieczność nakazującą Ameryce stawić czoło własnym niedoskonałościom i uporać się z nimi. Uważał, że sztuka, po wprowadzeniu w scenariuszu odpowiednich zmian, umocniłaby obraz Kempera jako wiodącej krajowej korporacji kształtującej opinię publiczną. Był cholernie, kurwa, elokwentny.

Jason Kimbrough zaznaczył, że wszystko to świetnie i znakomicie, a jego jedyne pytanie brzmi: czy wzniecanie takiego sporu nie jest działaniem nieco przedwczesnym? Tak, armia powinna zostać poddana inspekcji jak każdy organ rządu, ale czy to konieczne, by Kemper Aluminium ponosiło ryzyko, które zawsze wiąże się z rolą pioniera? Kapłan odparował, że jeśli kiedyś ktoś przebiegnie milę w czasie krótszym niż cztery minuty, na pewno nikt nie zapamięta nazwiska człowieka, który zrobi to jako drugi.

Frank Brokaw zastanawiał się, czy porównanie Kapłana ma jakąś wartość, skoro ludzie od zawsze starają się pokonać milę w czasie krótszym niż cztery minuty, podczas gdy do tej pory nikt nie objawił specjalnego zainteresowania skalaniem reputacji Armii Stanów Zjednoczonych. Wy-

⁹⁹ Benjamin Disraeli (1804-1881) - brytyjski mąż stanu; George S. Kaufman (1889-1961), Moss Hart (1904-1961) - uznani autorzy dramatów i scenariuszy TV

¹⁰⁰ „Kaczka z przepukliną”, plakietka przyznawana przechodzącym w stan spoczynku żołnierzom, którzy brali udział w drugiej wojnie światowej.

glądało na to, że mówi rzeczy, które umacniały stanowisko Kimbrougha - mój pierwszy producent i z budyniem zamiast mózgu.

Kapłan z szacunkiem zgodził się, że jego sportowa analogia może nie przetrwać uważniejszego rozpatrzenia, lecz obstawał przy tym, że nadchodzą inne czasy i korporacyjne giganty w rodzaju Kempera muszą przyjąć na siebie pewne zobowiązania, bo jeśli nie one, to kto?

Kimbroug zapytał Kapłana, czy mógłby wyrazić się mniej ogólnikowo, i Kapłan właśnie był w trakcie spełniania jego prośby, gdy Harvey Epstein wstał z zajmowanego krzesła, zręcznym ruchem chwytając swoje okulary. Potem rozłożył ramiona jak Durante i zrobił zamieszanie w stylu Aimee Semple McPherson*¹⁰¹.

- Panowie, proszę! Pytam was... o czym wy, kurwa, mówicie?

To zastopowało dyskusję, uciszając wszystkich w mgnieniu oka i całkowicie dając pole Harveyowi Epsteinowi. I jego cudowny nowojorski akcent, na wpół uczuciowy, na wpół wulgarny, napełnił salę ewangeliczną gorliwością, od której niemal trzęsły się zdjęcia na ścianach.

- To znaczy - powtórzył - o czym wy, kurwa, mówicie? Nikt nie leci na księżyc ani nikogo nie wieszają. Mamy tu sztukę napisaną przez człowieka, który, na oko sądząc, wydaje się w miarę zdrowy na umyśle jak na kogoś, kto chce pisać dla telewizji. Panie Dramatopisarzu, to prawdziwa historia czy po prostu pan to zmyśliłeś, żeby załatwić parę zawałów?

- To wszystko prawda - odpowiedziałem, powstrzymując się przed dodaniem „wysoki sędzie”.

- Świetnie - stwierdzi Epstein. - Tak właśnie myśleliśmy. A jeśli nawet nie myśleliśmy, tak to słyhać. Brzmi prawdziwie. Dialog brzmi czysto. Postaci wiedzą, kim są. W godzinnej sztuce to wszystko musi być w porządku, zanim się zacznie, bo inaczej w połowie roboty ma człowiek w rękach trupa. Panie Kimbrough, teraz zwracam się do pana: czemu mi się pan wpierdala? To cholernie dobra sztuka. Dramaturgicznie wszystko gra. Podoba się panu to słowo? Okej, przejmuje się pan wymową polityczną, na co odpowiem, że ja też, bo jako weteran armii amerykańskiej, który dwukrotnie doznał poważnych przypadków trypra pierwszej klasy,

¹⁰¹ Jimmy Durante (1893-1980) - aktor komiczny; A. S. McPherson (1890-1944) - duchowna ewangelicka znana z płomiennych kazań i nietypowej oprawy nabożeństw.

nie chcę, żeby świat wierzył choć przez jedną minutę, że nasza jest jedyną armią na świecie, która regularnie daje dupy.

Kimbrough ryknął śmiechem. Brokaw się uśmiechnął. A Kapłan mrugnął do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Nie martw się, twój garnitur będzie gotowy na popołudnie”.

Harvey Epstein wystartował z padoku i wychodził na ostatnią prostą, mając przed oczyma tylko linię mety.

- Celem tego przedstawienia jest powstrzymać widownię przed zapadnięciem w sen. Taki jest cel wszystkich dramatów. Nie obudzić sumienie, uczynić politykę zabawną albo ukrywać istotne kwestie... nie, to są zadania komedii muzycznej.

Kimbrough znów ryknął śmiechem. Brokaw zapalił papierosa, przyjemnie rozluźniony. A Kapłan rozsiadł się, jakby miał w ręku cztery asy, z czego trzy właśnie dobrał.

Epstein przebiegł linię mety, przerzucając swoje okulary z ręki do ręki jak gorący kartofel.

- Ta sztuka nie jest idealna. Autor wciąż nad nią pracuje. Chcę mieć zmienione wszystkie nazwiska, bo jeszcze nie doszedłem... ani nie dojechałem... w życiu do tego, żeby ryzykować oskarżenie o zniesławienie. Pan mówi, że jest zatroskany, że pańską troską jest Kompania Kemper Aluminium. Cóż, proszę pozwolić, że pana zapewnię, iż ci z nas, którzy należą do Gównianej Kompanii Epsteina, są nie mniej zatroskani. Aluminium będzie zawsze. Nie zawsze będzie jakiś Epstein. I oznajmiam panu, panie Kimbrough, że jeśli podoba się panu sposób, w jaki ta sztuka „się czyta”, pokocha pan sposób, w jaki „się ją zagra”. Ale jeżeli obawia się pan i chce całość rozcieńczyć, daję panu słowo, że jeśli całość rozwodnić, zostanie z tego tylko „Muł Franio sika sobie na kopyto”. Proszę pana, tu nie ma co lać wody. Doprawić rzecz inteligencją do smaku, piec godzinę o dobrej porze i dostanie pan danie, którego nie powstydzą się nawet na królewskim stole.

Kimbrough wstał.

- Harvey, większość z tego, co mówisz, to takie gówno, że zachodzę w głowę, jakim cudem powietrze nie jest dokumentnie zasmrodzone po pięciu minutach od chwili, kiedy otwierasz usta. Ponieważ to samo dotyczy tego, co ja mówię, rób swoją sztukę. Proszę tylko, żebyś miał w pamięci moje zastrzeżenia i żebyś je uwzględnił. - Podszedł do mnie i uści-

snął mi dłoń. - Młody człowieku, dziękuję panu za pański świetny tekst. Wolalbym tylko, żeby pan go nie napisał. - A potem wyszedł, a za nim Frank Brokaw.

Jerry Kapłan pogratulował Epsteinowi, że świetnie skroił ten garnitur, po czym Epstein wziął się do mnie.

- Słuchaj dupku, przeglądałeś to ze swoim prawnikiem?
- Pod jakim kątem?
- Czy mogą cię postawić przed plutonem egzekucyjnym, mimo że nie jesteś w wojsku.

- Tak. Twierdzi, że mogą i postawią.
- No to masz cwanego prawnika. - Skierował się do wyjścia.
- Hej, nie chcesz zobaczyć moich poprawek?
- Jakich poprawek? Nie ma żadnych poprawek. Nie chcę żadnych zmian poza nazwiskami postaci. Oprócz Tony'ego. To zostaw. Facet nie żyje i nie może nas pozwać.

- Tak, ale...
- I skończ z tym „tak, ale”. Gadasz jak Jack Benny*¹⁰². - I znów ruszył w stronę drzwi, potykając się o rozwiązane sznurowadła tenisówek i łapiąc okulary w locie, dwie stopy przed sobą. - Jezu - mruknął - kto nawoskował ten dywan?

Kiedy Harvey Epstein wyszedł, zabierając ze sobą swoją logikę szaleńca, spojrzałem na Jerry'ego Kapłana, który leżał na sofie i uśmiechał się do mnie.

- I co myślisz, Ben? Właśnie obejrzałeś przedstawienie, które tu odgrywamy jakiegoś, powiedzmy, trzy razy w miesiącu. Masz otwarte usta. Łapiesz muchy czy chcesz coś powiedzieć?

- Nie rozumiem, o co chodzi z tymi poprawkami.
- Nie ma czego rozumieć. Nie ma poprawek. Zdarza się może raz na sto lat. - I usiadł prosto. - Całość zagra tylko tak, jak została napisana, wprost z bebeczów. Dowolna zmiana i jest ryzyko, że wszystko się posypie. A gdyby to się zdarzyło, Kimbrough dostałby szału. Więc żadnych zmian.

- Jesteś pewien, że Epstein ma rację?
- Epstein? A co on ma z tym wspólnego?

¹⁰² J. Benny (1894-1974) - niezwykle popularny komik.

- To on powiedział „żadnych zmian”.
- On powiedział to tobie. A jemu powiedział Frank Brokaw.
- Ale on...
- Właził w dupę Kimbroughowi?
- Tak. Dokładnie.
- Tak to twoim zdaniem wyglądało?
- Tak.

-Wzrok czasem zawodzi. Ben, Frank Brokaw ma dwie cechy. Po pierwsze, jest znakomitym aktorem. A po drugie, ma więcej odwagi niż jakikolwiek inny producent w branży. Walczyłby o twoją sztukę ostrzej niż ty sam. Sztuczka polegała na tym, żeby do tego nie dopuścić. Jezu Chryste, masz zamiar zemdleć?

- Już zemdlałem.

-Frank potrafi grać na uczuciach Kimbrougha jak na skrzypcach. Lecz powinieneś wiedzieć jeszcze jedną rzecz. Kimbrough o tym wie i na to pozwala.

- Więc to wszystko gra.

-Gra, dopóki będziemy produkować dobre przedstawienia. Kiedy przestaniemy, zabawa skończona.

- A Kimbrough zawsze ma czyste ręce.

-Właśnie. Zawsze ustawia się w pozycji tego, kto mówił, że jest przeciw czemuś, ale to myśmy nalegali. Bo i tak chodzi o naszą dupę, a nie jego... bo nasze są ciało i krew, a jego aluminium.

- Myślisz, że sztuka mu się podobała?
- Nie czytał. Posłaliśmy mu streszczenie.
- Jak, do cholery, ten facet funkcjonuje?
- Nikt nie wie.

Było wczesne popołudnie, kiedy skończyłem z NBC, a raczej powinienem powiedzieć: kiedy NBC skończyło ze mną, i po prostu nie miałem nastroju na powrót do biura. Kapłan kazał mi wyrwać się na casting i na próby, które powinny się zacząć już wkrótce. Stwierdziłem, że to może być trudne. Jego zdaniem casting mogłem sobie podarować, ale Epstein będzie nalegał na moją obecność na próbach. Oznajmiłem, że musiałbym rzucić pracę albo wziąć wolne. On na to, że jestem pisarzem w każdym calu i żebym przestał się wahać i zabrał się do pisania na dobre; był prawie pewien, że na przyszłość NBC zagwarantuje mi zakup co naj-

mniej trzech albo czterech scenariuszy na sezon jesienny, więc mógłbym zacząć pisać je latem. Zrobiło mi się przyjemnie.

Zadzwoiłem do Arniego Felsena z zaproszeniem do siebie do mieszkania po pracy, to mu zdam relację. Aż się zaślinił z radości. Kiedy się zjawił, był tak zafascynowany całą historią, że wymógł na mnie przeczytanie swojego scenariusza, którego nie widział jeszcze nikt na świecie.

Po wyjściu Arniego wpadłem w przygnębienie, ponieważ instynktownie czułem emanującą z faceta nieumiejętność pisania. Po prostu nie chciałem być tym, kto mu powie, że żaden z niego Henry Denker. Wypiłem drinka i już z lepszym samopoczuciem zadzwoniłem do Ruby Foo i kazałem sobie przysłać chińską kolację, która nawet Marca Polo przypawiłaby o zezę.

W godzinę po skonsumowaniu tej kolacji ponownie byłem w depresji. Trafił mi się taki sukces, pozytywne wibracje, i nie miałem się z kim tym podzielić, nie licząc Arniego Felsena - a z nim już rozmawiałem.

Pomyślałem o Ginnie. Powinna być w Pittsburghu. Może już nawet odwiedziła moich starych. Może powinienem do nich zadzwonić. Może ucieszyłyby ich wieści.

Zadzwoiłem i zastałem oboje w domu. Nowina ich zachwyciła. Byli też zaskoczeni, bo nie mieli pojęcia, że chciałem pisać. Tak, Ginnie wpadła - miła dziewczyna. Zrobiła miłe wrażenie. Kazałem im oglądać Teatr 60 w niedzielne wieczory, bo na zakończenie każdego przedstawienia zapowiadano sztukę na następny tydzień, a moja już niedługo się tam pojawi. Ojciec, który lubił oglądać Freda Waringa i jego Pensylwańczyków*¹⁰³, stwierdził, że obędzie się bez tej przyjemności, więc mu podziękowałem. Kazałem im wziąć pod uwagę godzinną różnicę czasu między Nowym Jorkiem a Pittsburghiem i mój ojciec, obrażony, zapytał, czy mam go za kretyna. Wszyscy zmęczyliśmy się rozmową, pożegnaliśmy i teraz naprawdę popadłem w depresję.

Wiedziałem, że muszę trzymać się z daleka od wody, bo odkąd Ginnie wyjechała z miasta, na zbyt wiele sobie pozwalałem. Byłem na nią wściekły, że nie ma jej gdzieś, gdzie mógłbym zadzwonić. Mogłem dostać jej numer od Barry'ego Nadlera, ale dopiero następnego dnia. Poza tym nie chciałem gadać z Barrym Nadlerem, chciałem pogadać z Ginnie.

¹⁰³ *Fred Waring Show* - program muzyczny, sam Waring (1900-1984) przewodniczył zespołowi.

Powlokłem się do jej pokoju i to doprowadziło mnie do szaleństwa. Chyba trochę się wstawiłem, bo poczułem łyzy na policzku, a beksą nie jestem. Znów dotykałem jej rzeczy w szafie, dzinsów i trykotów, śmiesznych bluzek, bielizny - jedwabnej i zniewalającej. I paru lepszych ciuchów z metkami Bloomingdale'a i Saks Fifth Avenue. Na jej nocnej szafce stało moje zdjęcie. W mundurze. Wydawało się, że to takie dawne dzieje i ten żołnierz był kimś obcym, boja byłem dramaturgiem. I jak ktoś, kto tak głupio wyglądał, mógł być dramaturgiem?

Dotykałem ubrań w jej szafie, rzeczy Ginnie bez Ginnie w środku. I znów zobaczyłem to coś wciśnięte z tyłu, owinięte w brązowy papier, obwiązane sznurkiem - jakiś obraz. W momencie gdy po niego sięgnąłem, zadzwonił telefon.

Pobiegłem odebrać, bo może to Ginnie, chwyciłem słuchawkę jak umierający butlę z tlenem.

- Halo?
- Ben?
- Ginnie?
- Kto?
- Kto mówi?
- Maggie.
- Maggie?
- Tak. Jestem w mieście. Wpadnij do mnie.
- Maggie?
- Tak! To ty, Ben?
- Tak.
- Właśnie przyleciałam. Proszę, wpadnij się ze mną zobaczyć. Myślałam o tobie przez całą drogę z Bostonu. Masz ołówek?
- Tak.
- To zapisz. Hotel Saint Regis. Wiesz, gdzie to jest?
- Tak.
- Pokój siedemset trzydzieści pięć. Zapisalesz?
- Siedemset trzydzieści pięć.
- Przyjdiesz?
- Cóż...

-Och, Ben, na litość boską, jestem w drodze do Europy i może zobaczę cię za rok. I zostanę w Nowym Jorku najwyżej dwa dni. Wpadasz, czy mam zadzwonić do Rocka Hudsona*¹⁰⁴?

- Maggie, spotykam się z kimś.

-Cudownie. Możesz mi wszystko opowiedzieć, kiedy przyjdiesz.

- Nie wiem, czy...

-Ben, ja też się z kimś spotykam. Przestań być takim pieprzonym burżujem. Tu Maggie. Przychodź i... pogadamy. Tylko pogadamy, okej?

- Okej.

Odłożyłem słuchawkę i z zaskoczeniem zorientowałem się, że drzę. Pomyślałem, żeby oddzwonić i powiedzieć jej, że nie dam rady. To znaczy, jak mógłbym pójść na spotkanie z Maggie po tym, jak złożyliśmy sobie z Ginnie śluby? Wziąłem się w garść. Oczywiście, że mogłem się z nią spotkać. Maggie i ja byliśmy przyjaciółmi. Porozmawialibyśmy, opowiedziałbym jej o mojej sztuce. Zupełnie nieszkodliwe. Ginnie nie ma pod ręką, a przy Maggie przynajmniej byłbym z kimś tej nocy, kiedy musiałem być z kimś. Nic się nie stanie, będę się pilnował. Tylko pogadamy. Wziąłem szybki prysznic, ubrałem się i taksówką pojechałem do Saint Regis.

Sam, w windzie, postanowiłem nie pozwolić, by nasze ponowne spotkanie wymknęło się spod kontroli. Mielśmy się spotkać jako starzy przyjaciele albo byli kochankowie - co na jedno wychodzi. Pośmiejemy się trochę, wychylimy kilka daiquiri. Zostanę może pół godziny i tyle. A następnym razem spotkamy się na meczu Red Sox na stadionie Yankee.

Wiedziałem jednak, że jeśli Maggie zechce, zostanę rozebrany i wypieprzony w trzydzieści sekund. Przynajmniej tak to wyglądało w starym scenariuszu, tym, na podstawie którego przeprowadzaliśmy próby do przedstawień przedpremierowych w Bostonie, przed Nowym Jorkiem. No więc przygotowałem sobie szereg wymówek. Nadwreżone plecy, migrenowe bóle głowy, niestrawność, bolesny artretyzm, skrzywiony fiut. Wszystkie razem i każda z osobna doprowadziłyby Maggie do tak historycznego śmiechu, że po prostu nie byłaby w stanie skoncentrować się na seksie. Więc idąc korytarzem siedemnastego piętra, wymyślałem

¹⁰⁴ R. Hudson (1925-1985) - aktor filmowy.

kolejne wymówki: rozwalona rzepka w kolanie, skrzywiona przegroda nosowa, kłopotliwy łupież, smutek łuszczycy, przesunięcie moszny...

Zapukałem do drzwi pokoju siedemset trzydzieści pięć, bliższy śmierci niż kiedykolwiek w życiu, trzęsący się starzec osłabiony cukrzycą, tchórzycą, cuchnącym oddechem, galopującą chorobą skóry, postępującą zgrzybiałością i erekcją tak porażających rozmiarów, że musiałem unieść nogę i nią potrząsnąć jak piesek przy hydrancie, żeby się uspokoić.

Maggie podeszła do drzwi i natychmiast zauważyła mój stan.

- Ależ, Ben, jak to miło, że przyniosłeś mi taki uroczy prezent. - I przytuliła mnie mocno do siebie, i było po zabawie.

Puściła mnie, odwróciła się i weszła do apartamentu. Była wspaniała. Czarna suknia pod szyję, tak dopasowana, że wyglądała niczym rysunek na ciele. Buty na wysokich obcasach, tak prowokacyjne, że nagle potrafiłem zrozumieć, czemu niektórzy faceci lubią być deptani przez kusząco obute damy.

- Ben, to katastrofa. Mam najwyżej dziesięć minut. Próbowałam się z tobą skontaktować, ale już wyszedłeś.

- O co chodzi? - zapytałem, nagle rozczarowany jak człowiek, który dowiedział się, że jego prześliczna, zamówiona w sprzedaży wysyłkowej narzeczona została odesłana z powodu niedostatecznej liczby znaczków.

- To ta feta dobroczynna. Nawet nie wiem jaka. Angela Corrigan mnie w to wciągnęła i muszę się spotkać z ich sponsorami, i to dokładnie o tej godzinie, mój Boże, naprawdę już jedenasta trzydzieści? A tak chciałam z tobą być. Pewnie nie miałbyś ochoty zaczekać tu, aż wrócę.

- A co, jeżeli wrócisz z marynarzem?

- Jeśli będę wiedziała, że tu jesteś, wrócę sama. - Stała przede mną, kokieteryjnie otoczyła mnie ramionami, jej perfumy przesączały się przez moją skórę, paraliżując naczynia włosowate. - I co ty na to, mój wielkoludzie? Ojej, naprawdę jesteś wielki. - Sięgnęła w dół, poszukujące palce w końcu mnie znalazły. - Urosłeś od czasu, kiedy ostatnio to... ssałam?

- Jezu Chryste, Maggie.

- Jezu Chryste, ty sam. - Wyglądała, jakby bez żadnej pomocy z mojej strony przeżyła orgazm. - Kiedy nadejdzie dzień, że nie zareaguję w ten sposób na twardego fiuta, tego dnia chcę umrzeć. - Używała obu rąk. - Wróciłeś do zamków błyskawicznych, prawda? W wojsku miałeś guziki. Zamki są szybsze, ale też bardziej niebezpieczne. Nie chcesz chyba,

żeby cię uszczypnął. A, proszę, jest mój mistrz. I do tego gotowy do strzału. Cóż, zobaczymy, co się da dla niego zrobić.

- Maggie, naprawdę nie myślę, żeby...
- Wiem, że nie. Dlatego całe myślenie zostaw mnie. Chodź. - Znów, jak dawniej, prowadziła mnie do łóżka, trzymając za fiuta.
- Maggie, przegapisz swoje spotkanie.
- I co z tego?
- To ważna akcja dobroczynna.
- Dobroczynność zaczyna się od najbliższych. Rozbierz się, kochanie, albo zedrę z ciebie ubranie, a bardzo bym nie chciała potraktować tak twojej ładnej sportowej marynarki. Gentree czy Tripler?
- Broadstreet.
- Stylowa, ale grzecznie zdejmujemy.

I zdjąłem marynarkę, a razem z nią wszystko, co miałem na sobie. Ona też się rozebrała i w parę sekund znaleźliśmy się w łóżku, waląc się jak walczący rycerze. Gdyby istniały zawody w pieprzeniu w stylu dowolnym, akrobacje, które wykonała Maggie, zapewniłyby Stanom Zjednoczonym olimpijski medal. Potrafiłaby uprawiać seks na poręczach, na drażku, koniu z łękami, wykonać rzut młotem, skok w dal, a zwłaszcza skok o tyczce. Cudowne było to, że we wszystkim, co robiła, pozostała zgrabna i urocza. W pozycjach, w których zwyczajna kobieta wyglądałaby jak zdzira, Maggie wypadła tak korzystnie, że przypominała leśne stworzonko owinięte w pajęczynę, unoszone zefirem. I cieszyła się każdą chwilą. Nawet bluźnierstwa, którymi kłuła moje uszy, wchodziły mi do głowy jako sonety, a wypływały penisem jako namiętność.

- Maggie, Maggie, jesteś pierdolonym cudem.
- Wiem.
- Jesteś za dobra.
- I za darmo.
- Nie będę w stanie chodzić przez tydzień.
- Chodzić każdy może.

Rozległo się pukanie do drzwi i Maggie podniosła na mnie wzrok.

- Kto to, do diabła?
- Żebym to ja wiedział. Jestem nowy w tej okolicy.
- Kto tam? - zawołała.
- Pokojówka!

- Proszę wrócić później, bo się pierdolę!
- Maggie! - jęknąłem.
- W porządku. Uwielbiają to. Zaraz są zadowolone.

Znów głos z korytarza, z lekkim francuskim akcentem.

- Ale phosz pani... mam świeże hęczniki.
- Później! Obciążam wielkiego fiuta!
- Jezu Chryste, Maggie! Wyrzucą cię z hotelu.
- W życiu. Dodaję mu klasy.

Znów pukanie i ten głos.

- Phosz pani... to zajmie tylko minutkę.

Maggie rzuciła mi spojrzenie.

- Idź otworzyć drzwi, skarbie. Zafunduj pani dreszczyk.
- Zemdleje.

- To Francuzka, kochanie. Pewnie będzie bić ci brawo.

Chwyciłem ręcznik i owinałem się nim w pasie.

- Maggie, któregoś dnia zamkną cię u czubków.
- W życiu. Nie istnieje więzienie zdolne mnie powstrzymać.

Podszedłem do drzwi, ostrożnie przykrywając ręcznikiem

intymne części ciała. Nie wiedziałem, że Maggie skrada się za mną.

Otworzyłem drzwi i kiedy to zrobiłem, Maggie ściągnęła ze mnie ręcznik, sięgnęła od tyłu, chwyciła mojego kutasa i zaczęła go obrabiać w tempie sto ruchów na minutę, krzycząc ponad moim ramieniem:

- Vive la France!

Stałem tam jak głupiec, patrząc w twarz pokojówki, i serce mi stanęło - a Maggie się zatrzymała. I całe życie, jakie do tej pory znałem, i wszystkie planety - stanęły.

To była Ginnie.

Zamarła na moment, jakby zawieszona w powietrzu, blond ptaszek zajęty po prostu własnymi miłymi sprawami. Potem odwróciła się i uciekła, znikając za zakrętem korytarza. Stałem tam chyba godzinami, mając nadzieję coś zrozumieć. Czy to naprawdę była Ginnie? Ginnie?

Zrobiłem zwrot, żeby spojrzeć na Maggie; siedziała na krześle i, drżąc, usiłowała zapalić papierosa, który nie dawał się zapalić.

- Nie uwierzysz w to, Ben... ale... to była moja córka.

Brakuje słów.

Rozdział 18

Ginnie

1952

W wieczór przed wyjazdem z grupą Trio Pickeringa przepisałam sztukę Bena, żeby miał ją na czysto, czytelną i gotową do sprzedaży. Była taka dobra. Tak uchwycił całą radość i ból życia i śmierci Tony'ego. Ben potrafił pisać jak cholera. Nie jestem specjalistką w sprawach samego pisania, ale wiedziałam, kiedy coś do mnie docierało, kiedy mnie poruszało. Wiedziałam, kiedy mam łzy w oczach i ściśnięte gardło. Nie musiałam być krytykiem ani producentem, żeby czuć takie emocje, a po wszystkim byłam jak wyżęta. Nie miałam najmniejszej wątpliwości; ktoś kupi *Tony 'ego*. Wszystko było kwestią cierpliwości Bena i tego, kiedy świat się ocknie. To pierwsze martwiło mnie bardziej niż drugie.

Tamtego wieczoru kochaliśmy się z zacięciem, to była kompletna, szalona, fizyczna miłość. Chyba nie odezwaliliśmy się ani słowem aż do finału. Gdyby Henry Ford poddał swoje pierwsze auta takim testom, jakie przeszły nasze łóżka, do tej pory jeździłyby po drogach. Przenosiliśmy się z sypialni do sypialni jak wędrowni trubadurzy i za każdym razem udawaliśmy parę innych ludzi. Tamtej nocy kochałam się z siedmioma różnymi mężczyznami - nie, ośmioma - nie wolno zapomnieć o graczu w polo z Grosse Pointe*¹⁰⁵, który zdobył trzy punkty w pierwszym podejściu.

Wyjechałam rano. Rozstanie było i wesołe, i smutne. Z rodzaju: „wyjeżdżam, kiedy znów mnie zobaczysz, będę gwiazdą”. Ale też: „do widzenia, kochanie, i jeśli już nigdy cię nie zobaczę, cóż to będzie za paskudny psikus losu”. W każdym razie wyruszyłam w drogę, na zachód, wio.

Pierwsze nasze rozstanie; kiedy wsiadałam do taksówki, mój brzuch wydawał się taki, jakbym wszystkie wnętrzności zostawiła na górze. Florrie czekała. Taksometr zdążył już wybić ponad dolara. Płakałam całą

¹⁰⁵ Grosse Pointe - eleganckie przedmieście Detroit

drogę na lotnisko. Płakałam w poczekalni. Płakałam, kiedy zjawił się wciąż jeszcze zaspany Barry Nadler. Płakałam, kiedy przyszedł Richie z siedmioma walizami i pięćdziesięcioprocentową szansą na przepuklinę. Płakałam, kiedy staruszka podeszła do mnie i powiedziała, żebym nie płakała. A kiedy mała dziewczynka dała mi dwa dropsy, żebym przestała płakać, praktycznie musieli wnieść mnie do samolotu.

Podczas lotu myślałam o Mary Ann i Walterze. Mieszkali w Chicago. Czy powinnam pójść się z nimi zobaczyć? Czy widzieli mnie w telewizji? Czy mieli dzieci? Czy byli szczęśliwi? Czy obchodzi mnie to? Nie. Czy do nich zadzwonię? Nigdy.

W Chicago zatrzymaliśmy się w hotelu Morrison - wygodnym, ale bez ostentacji, stosunkowo niedrogim, dogodnie usytuowanym w centrum i w odległości spaceru (trzy przecznice) od Palmer House, gdzie za dwa dni mieliśmy premierę w Sali Imperialnej. Nieźle. Gwiazdą była Janne Morgan*¹⁰⁶ Potem my, „sensacyjne tańczące trio z *Joey Magnuson Show*”. Oraz konferansjer, komik i Eddie O'Neal ze swoją orkiestrą. Barry'emu niezupełnie powiodło się załatwienie nam pokoi w Palmer House z powodu jakiejś konwencji zwołanej przez Krajowe Stowarzyszenie Dostawców Miękkiej Wody, dacie wiarę?

W każdym razie nie było tak źle. Florrie i ja miałyśmy do spółki przyjemny pokój, Richie mieszkał sam, a Palmer House płacił za wszystko. Zameldowaliśmy się i rozpakowaliśmy, a zanim poszliśmy do Palmer House obejrzeć scenę i zanieść orkiestrze rozpisę naszej aranżacji, Richie zabrał nas na kolację. Do Bostońskiego Domu Ostryg w Morrison.

Nad talerzem zupy z małży Richie wprowadził nas w sprawę, która go niepokoiła. Martwił się tym, że oprócz umiejętności wykonywania numerów „normalnie”, wyrobiliśmy sobie markę dzięki moim wiecznym spóźnieniom, nawalaniu i czemuś w rodzaju „prób wyjścia z sytuacji”, podejmowanych przez całą trójkę - i świetnie. Tylko że to nie telewizja, gdzie robisz numer raz i zapominasz o sprawie. To były nocne kluby, w których mieliśmy występować dwukrotnie w ciągu wieczoru przez sześć nocy w tygodniu, więc kwestia brzmi: czy mimo to potrafimy nadać wszystkiemu wyraz wesołej spontaniczności?

¹⁰⁶ J. Morgan (ur. 1920) - piosenkarka.

Richie naszkicował nam strategię. Mieliśmy cztery numery, dwa z nich wykonywaliśmy „normalnie”, dwa miałam „spieprzyć”. Będziemy zaczynać naszymi dwoma zwykłymi układami (*Sing, sing, sing* i *My Blue Heaven*). Problem polegał na tym, że zostawał czas tylko na jeden numer. Oznaczało to konieczność wyrzucenia albo *Sweet Georgia Brown*, albo *Jet*. Właściwie nie było kłopotu. Ponieważ miały być dwa występy każdego wieczoru, pierwszy zakończymy *Georgią Brown*, a drugi *Jetem*, prosta sprawa. W ten sposób nie będziemy improwizować żadnego z tych układów dwukrotnie jednego dnia. I przy odrobinie szczęścia możemy osiągnąć ten sam efekt co w telewizji. Być może uda się nam wypaść zupełnie spontanicznie w naszym finałowym, szaleńczym numerze.

Na scenie w Sali Imperialnej mieliśmy więcej miejsca do pracy niż w telewizji, i to był plus. A orkiestra znajdowała się dosłownie tuż za nami, drugi plus, bo mogliśmy czuć wibracje perkusji wprost przez podłogę. Plusem było też to, że nie musieliśmy grać do kamery, bo dzięki temu mieliśmy kolejną rzecz z głowy. Komik, Ricky Davis, nie był plusem. Stanowił podwójny minus, bo latał za mną jak wściekły.

Zdażyłam się już nauczyć akceptować tego rodzaju sprawy, do pewnych granic, jako specyfikę zawodu. Dawniej zmiażdżyłabym faceta siłą swojej wymowy, teraz pozwoliłam, żeby Ricky sam się zniechęcił. W ten sposób nikt nie był zły ani urażony. Atakował mnie tylko przez dwa wieczory, potem skończył mu się czas na uprawianie tego sportu, ponieważ trzeciego wieczoru zjawiała się jego żona z LA. Sally Davis, ekskgirlaska o wiśniowych włosach i z trzema podbródkami, nie należała do osób, z którymi da się pożartować, więc chociaż Ricky'emu stał na baczność, dał sobie na spocznij, gdy ta dama zjechała do miasta.

Prawdziwy niepokój wywoływał we mnie Johnny Farrar, a zasadniczą część rozterki brała się stąd, że niezwykle przypominał Bena, tyle że był jakieś dziesięć lat starszy, nieco wyższy i nie taki cholernie impulsywny. Johnny miał pieniądze. Stare pieniądze. Rodzinne pieniądze z dawnych czasów. Podczas drugiej wojny światowej został bohaterem, a kiedy wyszedł z marynarki, to z pękiem odznaczeń i zapewnionym miejscem w radzie dyrektorów firmy Tatusia, zajmującej się elektroniką i milionami dolarów, które produkowała.

Johnny miał styl. Zasługiwał na zaufanie, był inteligentny, roztaczał dyskretny urok i kiedy przyszedł do mnie po naszej pierwszej próbie, aż

się zachnęłam, ponieważ wyglądał jak Ben, tylko bez wewnętrznego ognia.

- Podskoczyłaś, a ja nie chciałem cię przestraszyć - odezwał się. - Nie miałem zamiaru cię ugryźć. Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś urocza... i fantastycznie tańczysz... i że jeśli masz czas, chciałbym postawić ci kanapkę.

Kanapka okazała się czymś płonącym w restauracji. Byłam podatna na urok Johnny'ego i wiedziałam o tym, więc natychmiast poinformowałam go o Benie, opisując go jako dramaturga i mojego narzeczonego. Johnny uśmiechnął się i stwierdził, iż pochlebia mu, że tak się go obawiam. Próbowałam zaprzeczyć jego spostrzeżeniu, ale właściwie dobrze mi to zrobiło, ponieważ oboje wiedzieliśmy, że miał rację. No więc roześmiałam się, potwierdziłam i rozkoszowałam się kolacją.

Przespacerowaliśmy się z powrotem do Morrisona i zostawił mnie przy windzie, ze świadomością, że powinnam uważać, bo widzę mistrza słodkich słówek w akcji. Zapytał, czy mógłby wpaść nazajutrz na próbę; jego biuro mieściło się w pobliżu i często zachodził do Palmer House, bo jeden z jego przyjaciół miał coś wspólnego z tamtejszym zarządem, a ja odparłam, że świetnie, o ile znów mi powie, że jestem urocza i fantastycznie tańczę.

Następnego dnia zrobił dokładnie to samo. Kolacja w sali, gdzie poznawaliśmy się, opowiadając sobie o sobie i czerpiąc wielką przyjemność ze swojego towarzystwa. Powalające, do jakiego stopnia Johnny był rozwinięciem Bena - bez tych wszystkich ostrych krawędzi. Ben ze stylem i dojrzałością. I cały Johnny Farrar w zestawie okazał się nieodparcie fascynujący.

W trakcie naszej szczerzej rozmowy powiedział mi, że jest żonaty, lecz niezbyt szczęśliwie, i chociaż ma nadzieję na uzyskanie rozwodu, obecnie wszystko się pogmatwało i zapaskudziło. Okazjonalnie flirtował, ale nigdy na taką skalę, żeby uważać się za łobuza. Utknął w beznadziejnym małżeństwie, miał jednak pewne możliwości zaspokajania pewnych popędów - i tak właśnie przeżywał swoje życie.

- W jakimś sensie robisz wszystko po swojemu - stwierdziłam.
- Do pewnego stopnia. Tak, chyba tak.
- Chcesz pójść ze mną do łóżka.
- Czyż nie tego chcą wszyscy?

- Niektórzy. Ale nie są tacy... podstępni.
- Czy ja jestem podstępny? Myślałem, że raczej bezpośredni.
- W tym właśnie kryje się podstęp, bo nikt nie jest bezpośredni.
- Zawrę z tobą układ.
- Nie rób tego.
- Układ jest taki. Jeżeli i kiedy zdecydujesz, że powinniśmy pójść do łóżka, po prostu mnie zawiadomisz. Jeśli zaś nie, dalej się nie posuniemy.
- To właśnie rozumiem jako przejaw podstępności.
- Więc niech to będzie podstępne, ale oferta pozostaje aktualna.
- A do tej pory będziesz po prostu zabierał mnie na kolację i żegnał przy windzie.
- Dopóki mnie nie zaprosisz na górę.
- Ależ to chytre. Chcesz powiedzieć, że nawet nie zapytasz, czy zaproszę cię do pokoju?
- Nie. Sama musisz mnie zaprosić. Aczkolwiek...
- O-o.
- Żadne o-o. „Aczkolwiek” dotyczy kwestii, którą musisz od tej pory rozumieć: zalecałem się do ciebie, okej? Zaloty się odbyły i nie zostaną powtórzone. Następny ruch, jeśli do niego dojdzie, będzie musiał wyjść od ciebie.
- Ile mam czasu, zanim twoja oferta przestanie być aktualna?
- Wieczność.
- Dobry układ.
- Tak myślisz?
- Taa. Ile świetnych restauracji jest w tym mieście?
- Niech się zastanowię. Jest Sala Balowa w Blackstone, Sala Kame-
liowa w Drake'u, Spacer po Plaży w Edgewater. Mój pokój w LaSalle.
- Chytre.
- Jest La Boeuf, L'Aiglon, Cameo, U Citra, U Henriciego. - Wygląda-
ło na to, że Johnny Farrar jakoś zniesie okres wyczekiwania.

Następnego wieczoru mieliśmy premierę w Sali Imperialnej. Jane Morgan była po prostu wspaniała - wielka śpiewaczka, wielka dama. I nie miała łatwego życia: najpierw jako Amerykanka musiała pojechać do Paryża zostać gwiazdą a potem wrócić do Ameryki jako francuski przebój Broadwayu. Podczas prób bardzo nas wspierała. Zauważyła, jak się de-

nerwujemy, i zrobiła, co mogła, żeby zmniejszyć nasz niepokój. Marty Kerman, konferansjer, przedstawił ją i występ się zaczął.

Jane śpiewała po francusku i po angielsku. Następnie Ricky Davis uraczył widownię dowcipami z brodą do pasa, a potem przyszła kolej na Trio Pickeringa.

I byliśmy cholernie dobrzy. Eddie O'Neal nadał *Sing, sing, sing* taki szwung, że publiczność ledwie mogła wytrzymać, żeby nie wskoczyć na scenę i zatańczyć z nami. Po *Sing* przyszła kolej na *Blue Heaven* z Richiem stepującym jak Astaire, rozluźnionym, o płynnych ruchach, oraz ze mną i Florrie w roli dwóch najseksowniejszych kociaków, jakie kiedykolwiek przekradały się pod płótnem. I zakończyliśmy *Georgią Brown*, ze mną wchodzącą w środku występu i widownią spadającą z krzesel. Lepiej nie mogło wypaść. Brawa grzmiały jak kanonada i trwały nawet po pięciu salwach. Jeszcze w garderobie słyszeliśmy aplauz i skończył się dopiero, gdy Jane wyszła ze swoim finałowym numerem, ponieważ zacna ta dama oznajmiła widowni, że to nasz pierwszy występ w nocnym klubie i jeśli nie przestaną, będzie musiała wrócić do Paryża i postarać się o jakiś nowy materiał.

Były kwiaty od Johnny'ego - tuzin czerwonych róż - i czułam spojrzenie Florrie na karku. Chociaż nie darzyła Bena specjalnymi względami, uważała go za mojego faceta, a mnie za jego dziewczynę. Denerwowała ją myśl, że może trochę sobie pozwalam, szczególnie że, odkąd ją znałam, mimo niewyparzonej gęby zawsze była wierna Monty'emu. Florrie wierzyła w związki jeden na jeden, ale zamiast wygłosić któryś z będących jej znakiem firmowym zjadliwych komentarzy, po prostu poszła spać na kozetce w garderobie i spała do drugiego przedstawienia. Liścik przy różach Johnny'ego informował:

„Le Petit Gourmet, Imperial, U Fritzela, Sala Cape

Cod i mój pokój w LaSalle”.

Dobry występ –

Johnny ,'

Kazałam jednemu z chłopców wstawić róże do wody i wepchnęłam list od Johnny'ego do torby, bo w jakiś sposób wydawał się obciążający. I nagle wybuchło we mnie wspomnienie: teraz mam Florrie, która myśli o

mnie same najgorsze rzeczy jak dawniej mój ojciec, siostra i nauczyciele, a przecież zjadłam jedynie kolację z mężczyzną, którego awanse odrzucałam na każdym kroku. Więc skąd ta Szkarłatna Litera, kochani? Czemu wymowne milczenie? W każdym razie absolutnie nie chciałam tego omawiać, a już szczególnie nie z Florrie, która zresztą z miejsca zasnęła.

Drugi występ był tak samo dobry, *Jet* zadziałał równie pięknie jak *Georgia Brown*. A kiedy wróciłam do garderoby, zastałam tam kolejny tuzin róż od Johnny'ego, tym razem żółtych. I tym razem Florrie poczuła się zmuszona do komentarza.

- W następnej kolejności zerznij właściciela kopalni diamentów, a nie kwiaciarza, to będziemy mogli rzucić show-biznes i otworzyć Tiffany'ego.

- To nie to, o czym myślisz.

- Wiem, że nie. Mieszkamy w jednym pokoju, pamiętasz? Wiem, gdzie jesteś w każdej minucie pierdolonego dnia.

- To nie bądź taka wredna. Nic się nie dzieje.

- Coś się dzieje. Tylko zdaje się, że ty o tym nie wiesz. Do połowy zsunął ci gacie. Nie czujesz świeżego powiewu?

-Jestem zakochana w Benie.

-Taa? To podciągnij pantalonek, mała, bo w Chicago można złapać zapalenie płuc.

Wszedł Richie, przepelniony podziwem, z gratulacjami. Nasze dwa finałowe numery okazały się opłacalne na wiele sposobów. Prasa, na przykład, była zafascynowana sposobem konstrukcji występu, wymienne zakończenia wydawały się im tak oryginalne, że warte całego papieru gazetowego, jaki tylko udało się im zdobyć.

Richie wyszedł i pojawił się Johnny, pukając do otwartych drzwi i proponując nam podwiezienie do hotelu. Florrie odrzuciła ofertę, oznajmiając, że raczej się przejdzie, bo dziewczyna w taksówce łatwo może dostać zapalenie płuc, jeżeli nie będzie trzymała razem kolan. Potem nas zostawiła.

- Nie lubi mnie - stwierdził Johnny.

- Mogłeś i jej wysłać róże.

- Wysłałem. Są w waszym pokoju, adresowane do niej.

- Jezus, ależ ty jesteś cholernie podstępny.

- Głodna? Chcesz coś zjeść?

- Nie. Chcę się przespać. I chcę też zadzwonić do Bena.
- A dlaczego mi o tym mówisz?
- Chciałam, żebyś wiedział, tylko tyle.
- Że kochasz Bena?
- Tak.
- Wiem, że tak. Ale co to ma wspólnego z ceną towaru?
- Nie jestem towarem.
- Przepraszam. Niewłaściwy dobór słów.
- Freudowska pomyłka.
- Bzdury. Chodź, taksówka czeka.

Podróż taksówką z Palmer House do hotelu Morrison kończy się, zanim się zacznie. I zostawia bardzo niewiele czasu na pogaduszki. Świadom tego, Johnny natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Jutro wyjeżdżam. Do San Francisco.
- Och?
- Powinienem wyjechać wczoraj, ale chciałem zobaczyć twoją premierę. Byłaś znakomita.
- Warta tego, żeby zostać?
- Zdecydowanie. Nie wiem jednak, kiedy znów cię zobaczę... jeśli w ogóle.
- Chytre.
- Torbę mam w bagażniku tej taksówki i kiedy już cię podrzucę, ruszam na lotnisko. Samolot odlatuje za niespełną godzinę.
- Och.
- Więc mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowana. Albo może „czujesz ulgę” byłoby lepszym sformułowaniem?
- Rozczarowana byłoby najlepszym.
- Kto wie, może wpadniemy na siebie w Syjamie.
- Nie gramy tam aż do przyszłego roku. Birma, Malaje, Syjam... wszystkie duże wschodnie miasta.
- Będę za tobą tęsknił, w porządku?
- Tak, to w porządku.
- Została zawarta wstępna ugoda rozwodowa. Nic nie mów, nie ma takiej potrzeby. Tylko miej świadomość, że następnym razem, kiedy się spotkamy, będę to miał za sobą. - Przyciągnął mnie i pocałował tak nagle, że nie wiem co. Nie powiedzieliśmy sobie do widzenia, ale w końcu nig-

dy też nie powiedzieliśmy „cześć”. Cała sprawa miała środek. Żadnego początku, żadnego końca, tylko ten śródeczek. Johnny Farrar, który przetrzymał piłkę na moją połowę boiska i tam ją zostawił, odszedł. I co zrobię z piłką? Odrzucę z powrotem, kopiąc ją w locie.

Taksówka odjechała, a ja czułam się głupio i miałam poczucie straty, tak jakbym prawie znalazła odpowiedź na ważne pytanie, lecz nie podniosła ręki, żeby się zgłosić.

Florrie jeszcze nie doszła do Morrisona, więc na górze, w pokoju, zadzwoniłam do Bena. Była druga trzydzieści nad ranem czasu Chicago - co oznaczało trzecią trzydzieści w Nowym Jorku. Pieprzyć to. Obudź się, Ben, bo mam ci sporo do powiedzenia.

Gadaliśmy całą wieczność. Musiało to kosztować majątek, ale było warto. Rozmawiałam z Benem i moja miłość do niego została odnowiona i potwierdzona na wieki. Johnny Farrar, choć miły i prowokujący, nie był już elementem mojego życia, a tylko przelotnym powiewem, który przemknął w pobliżu, pochlebił mi i zagarnął ze sobą fundując mojemu ego miłą przejażdżkę. A kiedy weszła Florrie, oznajmiłam jej, że nie ma się czym dłużej przejmować, bo kocham Bena Webbera i zawsze będę go kochać i zapytałam, co ona o tym myśli.

Nic o tym nie myślała, ponieważ była w stanie patrzeć jedynie na dwa tuziny czerwonych i żółtych róż od Johnny'ego, zaadresowane do niej, z załączoną odpowiednio satysfakcjonującą kartką:

Brawa wyrażają, Na Florencję czekają.

Całusy, Johnny

- Mam na imię Flora, nie Florencja - sarknęła.
- Florrie! - Osłupiałam na widok jej niewrażliwości.
- Poszedł na łatwiznę. Z „Flora” potrafiłby zrymować tylko „potwora”.
- Florrie, nie podobają ci się róże?
- Co zrobiłaś, przyniosłaś je ze sobą z garderoby i wetknęłaś nową kartkę?
- Ty tępą pało! Są dla ciebie!
- Od Johnny'ego?
- Tak!
- Dlaczego?

- Bo chciał, żebyś je miała. Bo wiedział, że nie ma tu żadnego z naszych facetów i że...

- Pudło. Bo wciąż ściąga ci pantalony.

- Och, na litość boską!

- Kiedy ty, kurwa, zmądrzejesz?

- Dziś wieczorem wyjechał, ty głupia. Więcej go nie zobaczę.

- O, zobaczysz.

- Taa?

- Taa. Ten, kto już więcej cię nie zobaczy, nie przysyła czterech tuzinów róż... chyba że powodem, dla którego cię więcej nie zobaczy, jest to, że umarłaś... a w takim wypadku przysyła lilie.

- Jesteś cholernie cyniczna, wiesz?

- Ta, mała, co racja, to racja. Facet naznacza cię swoim zapachem, zaznacza przy tobie granicę jak przy własnej złotonośnej działce i to ja jestem cyniczna. A wiesz, kim ty jesteś?

- Nie, ale coś mi się zdaje, że zaraz usłyszę.

- Stawką w grze, mała.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że zaczął się sezon polowań na twoją cipę, a to dopiero Chicago. Przed nami jeszcze Cleveland, Pittsburgh i Saint Louis. Do czasu kiedy skończy się to tournee, będziesz miała dwudziestu trzech Johnnych Farrarów, czternastu Irvingów Friedmansów, jedenastu Terrych O'Rourke'ów i sześciu czy siedmiu Nicków Pasquale'ów. Będą się do ciebie zlatywać jak muchy do miodu, mała, bo w miasto poszła wieść, że rozkładasz nogi!

- Mój Boże, Floro, jak ty się wyrażasz. Tsk-tsk-tsk.

- Tsk-tsk-tsk moją dupę, mała. Nie, tsk-tsk-tsk swoją dupę.

Czyjakołwiek dupa, miała dostać tsk-tsk-tsk, Florrie niewiele się pomyliła. Występowaliśmy w Chicago przez tydzień, podczas którego trzech mężczyzn okazywało mi różnego rodzaju awanse, co żadnego z nich nie zaprowadziło poza windę. Nie mogłam wydzwaniać do Bena, bo to cholernie dużo kosztowało. Chcę powiedzieć, że skoro Johnny wyjechał, a ja odrzucałam zaproszenia na kolacje, musiałam być bardziej oszczędna, żeby nie mieć długów zamiast oszczędności. Wysłałam Benowi durną kartkę z budynku należącego do Wrigleya, a potem na poważnie potraktowałam rolę zawodowej tancerki. I kiedy wyjechaliśmy z

Chicago, wszyscy byliśmy całkiem zadowoleni z tego, jak się sprawy mają.

Cleveland było takie jak Chicago, tylko o innej nazwie i nie takie ładne. Znaleźliśmy się w programie w Landmark z Joe E. Lewisem („Ukochany komik Ameryki”) i Sophie Tucker*¹⁰⁷ („Ostatnia Ognista Mamuska”). On, głównie pijany, ale zawsze zabawny, śpiewał: „Pokaż mi dom, gdzie ryczy bizon, a ja ci pokażę zasrany dom”. Ona nie śpiewała już tak dobrze, jak przekonywano mnie, że potrafiła. Kiedy jednak wydobywała z siebie *Some Of These Days*, czułam tę magię, która przyniosła jej sławę.

Występowaliśmy w Cleveland tylko trzy dni, podczas których uderzali do mnie: pewien producent obuwia, okulista, gracz na trąbce (z orkiestry) oraz potomek Daniela Boone'a*¹⁰⁸, który nie nosił już kapelusza z ogonem szopa, ale uparł się wziąć na celownik mój tyłek, chwytając mnie zań czymś, co robiło wrażenie sześciu niedźwiedzych łap z pazurami. Richie musiał wezwać gliny, żeby pozbyć się go z garderoby. Przyglądająca się temu Florrie pohukiwała jak stara mądra sowa, więc kazałam jej się pieprzyć, ponieważ moja dupa była bardzo tsk-tsk-tskana i niepotrzebne mi gdakanie do kompletu.

Zadzwoiłam do Bena z Cleveland, a ponieważ następny przystanek mieliśmy w Pittsburghu, zapytałam, czy powinnam zajrzeć do jego rodziny. Stwierdził, że tak, ale nie chciał, żebym wdawała się w szczegóły na temat naszego związku. Ben powiedział mi o trzykrotnym odrzuceniu *Tony'ego*, ale miał przecucie, że może uda mu się sprzedać go do programu Teatr 60, bo tak długo trzymali u siebie scenariusz. Wyczułam, że wcale nie był tego taki pewien i naprawdę nie chciał o tym rozmawiać, więc zamiast złościć go nieszczerymi pocieszeniami, pozwoliłam, żeby rozmowa szybko zeszła na to, jak bardzo się kochamy.

Zanim się rozłączyliśmy, pożartowaliśmy na temat uciekania się do masturbacji, gdyby ciśnienie związane z rozłąką zrobiło się za duże. Przez telefon zapewniliśmy się wzajemnie, że jeszcze do tego nie doszło, ale miałam nadzieję, że Ben kłamał, bo wiedziałam, że sama kłamię. Zrobiłam to dwa razy w Chicago i dwa razy w Cleveland i zdaje mi się,

¹⁰⁷ J. E. Lewis (1902-1971) - aktor komiczny; S. Tucker (1884-1966) - piosenkarka wodewilowa rosyjskiego pochodzenia, znana z solidnej postury.

¹⁰⁸ D. Boone (1734-1820) - pionier i traper, bohater z okresu kolonizacji Ameryki.

że Florrie też to robiła, bo nie dało się inaczej pozostać tak całkiem wier-
ną i jeszcze zasnąć. Zawsze mi mówiono, że masturbacja jest chora, zła i
prowadzi do fizycznego wyniszczenia. Ale mówiono mi też, że dzieci
kupuje się w domu towarowym i że Święty Mikołaj jest prawdziwy -
więc co mogła zrobić biedna dziewczyna? Cóż, zrobiłam to, co zrobił
Święty Mikołaj, kiedy był poza miastem w zimną zimową noc, i co zrobi-
li wszyscy ci sprzedawcy z domów towarowych, kiedy zapotrzebowanie
na dzieci spadło i musieli jakoś zagospodarować nadmiar czasu - sięgnę-
łam w dół i odnalazłam samą siebie, zajęłam się sobą i poszłam spać. I
dlatego właśnie po dziś dzień wierzę w Świętego Mikołaja i mam otwarte
rachunki w domach towarowych. Bajeczki i paluszki, nikt na tym nie
ucierpi.

Zmieniliśmy Cleveland na Pittsburgh - Joego E. Lewisa na Jackiego
Milesa a Sophie Tucker na Beatrice Kaye. Nazwiska i twarze zaczęły się
mieszać. Orkiestrę prowadził albo Barry Brown, albo Wally Green i na-
wet nie jestem pewna, czy któryś z nich o tym wiedział. Klub, w którym
występowaliśmy, to była albo Arena, albo Sala Premierowa. Wiedziałam
tylko, że konferansjer nazywał się Hayden Shepherd i że szturmował jak
oddział marynarki - ale nie mnie, tylko Florrie.

Hayden Shepherd należał do tych tłustych, jowialnych typków, co to
dociągnęły do pięćdziesiątki piątki i, zaskoczone, że jeszcze się trzymają
po latach pustki, zaczynają zapijać tę resztę życia, która im pozostała.
Siwe włosy, brzoskwiniowe policzki i krążył za kulisami jak hipopotam
w basenie. Ściskając czyjaś dłoń, zawsze jednocześnie walił człowieka po
plecach, jakby próbował sprawdzić, czy ten nie ma broni lub nie chce się
posiłować na rękę. I cały czas się śmiał; rześistym śmiechem, który prze-
chodził w mokry kaszel. Śmiał się, kiedy mówił „dzień dobry”. Śmiał się,
kiedy odbierał telefon i rzucał „halo”. Ścisnął Florrie za cycuszek, stwier-
dził „Ooo, milutki” i roześmiał się. A kiedy mu powiedziała, gdzie może
sobie wsadzić swojego siurka, zakładając, że jeszcze działa, wybuchnął
śmiechem. Problem polegał tylko na tym, że nie był śmieszny. Przynajm-
niej nie dla nas, a już z pewnością nie dla Florrie.

Mnie jednak bawił cały ten spektakl zasapanych zalotów do Florrie,
bo dawał okazję, żeby na nią trochę pogdakać i potsk- -tsk-tskać. Abso-
lutnie nie uważałam Haydena za kogoś, kim Florrie powinna się przeje-
mować albo na kogo powinna uważać. I szczerze mówiąc, ona też nie.

Prawda była taka, że żałowała po prostu, że pierwszy facet, który do niej wystartował, jest takim nieświeżym, starym piardem. Wolałaby w tej roli raczej jakiegoś wielkiego ogiera. Nie dlatego, że coś sobie po tym obiecywała, ale dlatego, że wówczas miałyby wrażenie, że jest odpowiednio doceniona. Jak to ujęła: „Czuję się przez niego taka kurewsko »ostatnia«, jakby dostał kosza od Sophie Tucker i miał wybór: ja - własna ręka”.

Rozpoczęliśmy próby w dniu przyjazdu do Pittsburgha i wszystko zaczynało wyglądać strasznie rutyniarsko, więc Richie ostrzegł nas, żebyśmy sobie nie odpuszczali, nie traciły ożywienia i spontaniczności. Miał rację, oczywiście, i zmusiliśmy się do ciężkiej harówki. Scena okazała się mniejsza niż dwie poprzednie, na których pracowaliśmy, więc nie mieliśmy za wiele miejsca, żeby sobie poskakać. Zdawało mi się też, że klimatyzacja jest w niej za dobrej formie i być może w trakcie naszego występu trzeba będzie pogasić trochę reflektorów.

Kiedy Richie i Florrie ćwiczyli *Georgię Brown* i *Jet*, podczas prób, w których nigdy nie brałam udziału, wymknęłam się do budki telefonicznej poszukać rodziny Bena.

Zastałam oboje w domu, bo ojciec Bena złapał jakiegoś wirusa i nie chodził do pracy. Telefon odebrała matka Bena, mówiąc, że każdy jego przyjaciel będzie bardziej niż mile widziany i czy mogłabym zostać na kolacji? Podziękowałam jej i stwierdziłam, że w żaden sposób, ponieważ mam tak napięty rozkład zajęć, ale herbata, owszem, byłaby miła, jeśli to dla niej nie kłopot. Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, wiedziałam, że wkroczę w samo serce moralności klasy średniej i powinnam uważać na dobór słów, rowek między piersiami i sposób, w jaki kręcę tyłkiem.

Później, po wspaniałej gorącej kąpieli, zadzwoniłam do Bena. Z początku zachowywał rezerwę, jakoś się ociągał, cały czas kierując rozmowę na moje sprawy. Co porabiałam? Jak szły występy? Czy dzwoniłam do jego starych? A potem, kiedy zapytałam go w końcu prosto z mostu, czemu, do diabła, jest taki cholernie milusi, powiedział mi, że Teatr 60 kupił *Tony'ego* i tak się podnieciłam, że zaczęłam podskakiwać, jakby Ameryka wygrała kolejną wojnę. Wrzeszczałam do niego, że byłam tego pewna i że go kocham i nie mogę się doczekać, kiedy znów go zobaczę, i że teraz będę się masturbować, gdzie popadnie. Gadaliśmy i gadaliśmy, aż w końcu oboje doszliśmy do wniosku, że zaczyna to przypominać

rozmowę pary kretynów i sto razy mówiliśmy sobie „do widzenia”, ozdabiając nasze pożegnania pocałunkami, okraszając je bezwstydnymi frazami w rodzaju „do tego czasu”, „tylko ty” oraz „do zobaczenia w moich snach - i lepiej, żebyś się tam zjawił”.

Odłożyłam słuchawkę dokładnie w chwili wejścia Florrie z deprecyjnym jej po piętach Haydenem Shepherdem, roześmianym, rozkaszlanym i radośnie bezpardonowo ładującym swoje tłuste cielsko do pokoju, ponieważ nie przyjął do wiadomości odmowy. No więc musiałam stanąć w jednym szeregu z Florrie, prezentując głupkowi wspólny front, co i tak go nie powstrzymało.

- Dajcie spokój, dziewczyny - śmiał się. - Mógłbym być waszym tatusem, was obu. Nic się nie wydarzy. Chcę tylko odrobiny uczucia na stare lata.

Mając mnie u boku, Florrie nabrała odwagi.

- Słuchaj, ty zaśliniona cipo, gdybym naprawdę cię przeleciała, padłbyś trupem w dziesięć minut, i jak, do cholery, miałabym się pozbyć z łóżka twojego padła przed przyjazdem policji?

- Wypróbuj mnie - śmiał się.

Trąciłam Florrie łokciem.

- Powiedz mu, że masz trypra.

Hyden roześmiał się, jego tłusty brzuch zafalował.

- Powiedz mu, że złapałaś syfilisa - zaproponowałam.

Hayden znów się zaśmiał i zakaszłał. Florrie odwróciła się do mnie.

- Słuchaj, wcale mi nie pomagasz!

- O, tsk-tsk - stwierdziłam. - I ko-ko.

Hayden wystartował do Florrie z łapami, więc uderzyła go w brzuch. Nie było to mocne uderzenie i zorientowałam się, że Florrie jest w walce gównie warta, więc sama mu przyłożyłam, też w brzuch, ale ze znacznie większym znawstwem, czując, jak moja pięść prawie do nadgarstka wchodzi w sadło. Przypominało to boksowanie poduszki - a on tylko się śmiał.

Próbowałyśmy wypchnąć faceta z pokoju, lecz ani drgnął. Znów chwycił Florrie rękoma za cycki i nie chciał puścić; stał przed nią, jakby regulował telewizor. Mrugał i łzawił, a oddech cuchnął mu wódą i Florrie

po prostu zamarła w miejscu, pozwalając gnojowi kręcić swoimi cyckami.

Ja? Ja wskoczyłam mu na plecy, zastosowałam nelsona i zaczęłam dusić ze wszystkich sił. W końcu zacharczał i zachwiał się na nogach. Wtedy, niedorzecznie, przeskakując dziesięć lat wstecz do czasów, kiedy potrafiłam skopać dupę swojej siostrze Mary Ann, wygłosiłam Haydenowi do ucha tryumfalną komendę:

- Poddaj się. Powiedz, że się poddajesz.

Nie miał zamiaru się poddawać. Zamiast tego biegiem ruszył do tyłu i walnął mną o ścianę. Oboje upadliśmy jakoś tak bokiem, ale go nie puszczałam.

-Poddaj się! - wrzeszczałam. - Poddaj się, sukinsynu! - I wszystkie moje siły włożyłam w miażdżenie jego szyi. Florrie całą tę akcję przeleżała na swoim łóżku, przyglądając się nam, jakbyśmy mogli okazać się wytworami jej wyobraźni.

- Poddaję się - wydusił. Ledwie, bo niewiele mu zostało oddechu. Puściłam go, stoczyłam się na bok i poderwałam na nogi jak zapaśnik. W jednej ręce miałam popielniczkę, w drugiej większą popielniczkę.

Rozcierał kark.

- Niezły masz chwyt.

- Ćwiczyłam przeciąganie liny w Szkole dla Dziewcząt Stokely - powiedziałam, groźnie wymachując moimi popielniczkami.

- Wierzę - odparł. Potem się odwrócił do Florrie i uśmiechnął. - Wybac, mała... wypilem parę drinków i...

- Możesz się stąd po prostu wynieść? - zapytała, podciągając się na łokciu i masując sobie piersi, głównie po to, żeby sprawdzić, czy ma je na miejscu.

- Niezła z was parka cipek - roześmiał się. - Zakład, żeście w życiu nie widziały prawdziwego fiuta.

- Właśnie na jednego patrzymy - stwierdziła Florrie i Hayden opuścił pokój, uchachany, utykający i kaszlący.

Zamknęłam drzwi, przekręciłam klucz i spojrzałam na Florrie.

- W porządku?

- Taa. Mam tylko nadzieję, że lewy cycek wciągnie mi się z powrotem. Cholernie bym nie chciała, żeby został pięć cali niżej niż prawy. Nie

da się nosić stanika. Musiałabym zrobić podpórkę pod cycki z procy. - Zaczęła chichotać. - Możesz w to uwierzyć?

- Mnie już nic nie zdziwi.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Florrie namoczyła sobie cycki w gorzkiej soli, a ja umyłam włosy. Pod prysznicem mogłam myśleć tylko o Benie. To była długa kąpiel i miałam nadzieję, że on robi to samo i cieszy się swoim mydłem tak jak ja swoim.

Następnego ranka przed próbą wzięłam taksówkę, żeby odwiedzić starych Bena, zastanawiając się jednocześnie, co mnie podkusiło, żeby w ogóle coś takiego zaproponować. Zachowanie godne przyszłej obowiązkowej synowej, zwyczajna głupota. Łatwe do rozszyfrowania i z pewnością krępujące. Było oczywiste, że Ben miał ze swoją rodziną nie więcej wspólnego niż ja ze swoją. Oboje zerwaliśmy z poprzednim życiem, więc co, do cholery, wyprawiałam, wtykając nos w jego przeszłość?

Był to miły dom w niezbyt miłej okolicy i zanim wysiadłam z taksówki, dołożyłam wszelkich starań, żeby nie zrobić wrażenia tandetnej tancereczki z rewii. Żadnego makijażu, nie licząc odrobiny ołówka do brwi, bo bez tego w ogóle nie miałam brwi wartych wspomnienia, a na pewno nie chciałam wyglądać tak, jakbym je sobie spaliła, piekąc porcję ciasteczek. Włosy związałam apaszką, włożyłam nieciekawą sweter, nieciekawą spódnicę i buty na płaskim obcasie - wyglądałam bardziej na chorwacką gosposię, która idzie na spotkanie w sprawie pracy, niż na uroczą dziewczuszkę-świntuszkę, która sypia z ich jedynym synem.

Byli bardzo mili, bardzo kordialni i dało się zauważyć, że Ben wdał się w nich oboje, zbudowany jak ojciec, ale z twarzy podobny do matki. Kompletnie nie wiedzieli, co ze mną począć poza dolewaniem herbaty, podsuwaniem ciastek i zadawaniem zwyczajowych wymuszonych pytań o rodzinę. Matka Bena okazała się wygadana, z wrodzoną inteligencją. Ojciec milczący i pełen rezerwy. Sprawiali wrażenie niedobrych, ale może dlatego, że byłam przy nich taka sztywna.

Ben dzwonił poprzedniego wieczoru i powiedział im o sprzedaży swojej sztuki. Byli uradowani, oczywiście, lecz przede wszystkim zaskoczeni. Zapytali, gdzie poznałam Bena, więc opowiedziałam im o mieszkaniu i jak to wprowadziłam się tam, kiedy Ben poszedł do wojska, dodając, że wyprowadziłam się po jego powrocie, ale w środku mojego

oświadczenia znalazła się wynikająca z poczucia winy pauza, której pan Webber kompletnie nie wychwycił, za to pani Webber owszem. Nie piśnieła ani słówka, nawet jej powieka nie drgnęła, wiedziałam jednak, że wie.

Pokazali mi pokój Bena, lecz oszczędzili prezentacji zdjęć z dzieciństwa i, oceniając wizytę całościowo, choć trudno mówić o wstrząsającym wrażeniu, była to przyjemna odmiana. Ojciec Bena pożegnał się, ale nie wyszedł przed dom z powodu swojego wirusa. Pewnie nie chciał, żeby ten mu zwiął. Matka Bena odprowadziła mnie kawałek do miejsca, gdzie łatwiej złapać taksówkę, i żadna z nas nie odezwała się przez niemal pół kwartału.

- Ile masz lat, Ginnie? - zapytała raczej macierzyńskim tonem.

- Dwadzieścia dwa.
- Ben ma dwadzieścia cztery.
- Tak. Wiem.
- Mówiłaś, że jak długo go znasz?
- Niezbyt długo.
- Sypiasz z nim?
- Tak.
- Mogłaś zaprzeczyć.

- Wiedziałyby pani. I nie mam też dwudziestu dwóch lat. Skończę dziewiętnaście.

- Rozumiem, czemu cię lubi.
- Dziękuję.

Przeszłyśmy jeszcze kawałek i wyglądało, że solidnie się namyśliła, zanim przeszła do tego, co naprawdę leżało jej na sercu. Obserwowałam jej twarz. Była tak upiornie podobna do Bena.

- Musisz uważać, Ginnie.
- Na co?
- Wiesz.
- Na ciążę?

- Tak. Czasami młodzi ludzie pozwalają, żeby to stało się powodem ślubu, chociaż tak naprawdę nie pasują do siebie, ale zdają sobie z tego sprawę znacznie później.

Zaryzykowałam w ciemno.

- Jak pani i pan Webber.

- Jesteś bardzo bezpośrednia, prawda?
- Cóż, nie jestem taka pierwsza naiwna.

Szłyśmy dalej ulicą z czasów dzieciństwa Bena - Ginnie Maitland i jego matka. Ponownie się odezwała.

- Jego ojciec i ja, żadne z nas nigdy nie rozumiało Bena. Ale to dobry chłopak. Trafiają się gorsi. Powinnaś jednak starać się mieć pewność, że wychodzisz za męża, bo chcesz, a nie dlatego, że musisz. Nie chodzi mi tylko o Bena. Mówię o dowolnym mężczyźnie.

- Ben jest pierwszy, z którym poszłam do łóżka.

Jej słowom towarzyszył niezwykle znaczący uśmiech.

- Jego ojciec był pierwszym mężczyzną, z którym poszłam do łóżka.
- Pocałowała mnie w policzek. - Do widzenia, Ginnie. Dziękuję, że wstałaś. - I odwróciła się i ruszyła z powrotem do swojego domu w niezbyt miłej okolicy.

Siedząc w taksówce, zdałam sobie sprawę, że matka Bena to prawdziwa dama. Nie osoba w typie „mój syn jest idealny”, czego trochę się spodziewałam, ale wrażliwa i myśląca kobieta, która własnymi słowami próbowała mi przekazać, że miłość nie zamieszkuje wyłącznie genitaliów i że tym, którzy tak właśnie uważają życie zasądza dożywanie ponoszenie konsekwencji, a wszystko z powodu paru szybkich numerków po ciemku.

Myślałam o Benie i o tym, czy rzeczywiście go kocham. W końcu naprawdę byliśmy ze sobą bardzo krótko, i to w najbardziej romantycznych okolicznościach - powracający żołnierz zmienia się w początkującego dramaturga, chórzystka przeistacza się w gwiazdę pierwszej wielkości. No, może nie „pierwszej wielkości” i może nie „gwiazdę”, ale robi cholernie wielki krok w tym kierunku.

Czy kochałam Bena? Tak, kochałam go. Ale czy nie powinnam wnioskować o tym z innych rzeczy niż tylko wielkość jego penisa, długość trwania orgazmu i czas potrzebny mu na ponowne załadowanie broni? Czy w moich myślach o nim nie powinno być czegoś więcej poza sposobem, w jaki poruszał się nago, i słowami, które mówił do mnie przed kopulacją, w jej trakcie i zaraz po niej? Czy nasz związek nie powinien się składać z czegoś więcej niż tylko z macania, obmacywania, pożądania, uprawiania seksu i pierdolenia na schodach oraz lizania w wannach? Nie, niczego takiego nie mogłam wymyślić.

Nie w tamtym czasie. Może kiedy do niego wrócę, porozmawiamy o filozofii, polityce i cenie rabarbaru w Saskatchewan, zmiennym kierunku Prądu Zatokowego i Ostatnim Mohikaninie, ale teraz nic z tego, wszystko było bez znaczenia, nic nie mogło wyprzeć jego penisa z mojej waginalnej osobowości. Nic kompletnie.

Więc precz z moich oczu, pani Webber, ze wszystkimi ostrzeżeniami i mądrością. Jeżeli pani mąż pieprzył się wówczas tak dobrze, jak jego syn teraz, nie ma pani prawa narzekać. W chwili zakupu towar był dobry; działał, kiedy go pani zabierała do domu. A że nie ma możliwości wymiany ani zwrotów, to nie mój problem, bo, proszę sobie wyobrazić, pani Webber, jutro skończę dziewiętnaście lat. Dziewiętnaście i podoba mi się to, co widzę, kiedy to w tę, to w tę wykręcam się przed lustrem, kiedy puszczam oko, wypinam biust i kręcę tyłkiem na użytek świata. Niech mi pani nie zawraca głowy swoimi przestrogi, pani Webber, kiedy tym, czego chcę słuchać, są miłosne piosenki.

Tego wieczoru mieliśmy premierę. Pierwszy występ udał się bardzo dobrze. Zakończyliśmy *Georgią Brown* i nigdy nie byliśmy lepsi. Drugi występ szedł równie świetnie. Mieliśmy zakończyć go *Jetem* - przynajmniej według planu. Ale Hayden Shepherd, ten roześmiany osioł, przekazał orkiestrze, że zostajemy przy *Georgii Brown*, jak poprzednio, i to mają zagrać.

Oczywiście chciał w ten sposób wyrównać rachunki, postawić nas w kłopotliwej sytuacji i zrobić nam złą prasę. Scena jednak była niewielka i trochę zbyt wysoka, więc kiedy Richie i Florrie wyszli w kostiumach do *Jet* tylko po to, żeby usłyszeć orkiestrę wykonującą *Sweet Georgia Brown*, Florrie się przeraziła, zmyliła krok, przeszła w złą stronę i spadła ze sceny. I złamała nogę w kostce. I to był koniec. Trio Pickeringa wypadło z branży.

Siedzieliśmy całą trójką w garderobie, wgapiając się w gips na nodze Florrie, jakby zaraz coś miało się z niego wykluć, czyniąc z naszej trójki szczęśliwą matkę. Niewiele było do powiedzenia, powiedzieliśmy już, co się dało. Richie miał zamiar pozwać hotel, ale wiedzieliśmy, że to zaprowadzi nas donikąd. Co do Haydena Shepherd, stwierdził, że to wszystko nieporozumienie, niefortunny zbieg okoliczności. Pomylił nasze podkłady muzyczne. Kropka. Trudno to uznać za przestępcze działanie. Tak, mieliśmy ubezpieczenie, ale na kwotę kompletnie niewystarczającą,

szczególnie gdy się weźmie pod uwagę, że więcej zyskiwaliśmy nawet pracując za darmo i zdobywając doświadczenie, niż siedząc w domu i zgarniając miliony z ubezpieczenia, miliony, których zresztą nie było. Wszystko zamknęło się w kwocie pięciuset dolarów.

Monty przyleciał natychmiast, gdy tylko do niego zadzwoniłam. Hotel miał zapewnić Florrie wygodny pokój do czasu, gdy lekarz uzna jej stan za dość dobry, żeby mogła wrócić do Nowego Jorku, jego zdaniem za jakiś tydzień. Jeżeli chodzi o Richiego i o mnie, nie mieliśmy wyjścia, jak tylko odwołać resztę występów. Trio Pickeringa minus jeden miało równie wiele sensu jak Larry, Curley i.... albo Patty, Maxine*¹⁰⁹ i... czy czerwony, biały i...

Pogodnie pożegnaliśmy Florrie, mówiąc jej, że musi zachować zimną krew i tym podobne bzdury, żartowaliśmy też z Monty'ego, żeby nie kochał się z nią, dopóki gips solidnie nie stwardnieje. A potem wpakowaliśmy się do taksówki i wyruszyliśmy na lotnisko.

W samolocie do Nowego Jorku Richie wyznał mi, co powiedział mu lekarz; że złamanie kostki Florrie jest bardzo poważne. Będzie się długo goić i nawet potem noga może nie być stuprocentowo sprawna. Pa, pa, sławetne podbicie. Pa, pa, kariero, droga Florrie. Miejmy nadzieję, że Monty się z tobą ożeni, bo inaczej pójdziesz pracować jako telefonistka.

Z zespołem w rozsypce i ranną w akcji Florrie, Richie nie miał czasu na sentymenty. Stwierdził, że natychmiast powinniśmy brać się do roboty i postarać o zastępstwo. Uznałam ten pomysł za wstrętny i zapytałam go, czemu po prostu nie zastrzelił Florrie na miejscu - miałyby problem z głową. Richie nie zgadzał się ze mną, twierdząc, że Florrie może jeszcze okazać się coś warta jako klacz rozplodowa i przy niewielkim wkładzie ze strony Monty'ego za jakieś dwadzieścia lat jej córka będzie mogła zająć miejsce matki. Wygarnęłam Richie- mu, że jest okrutnym sukinsynem, ale wiedziałam, jak to wygląda naprawdę. Richie był tylko trzydziestoletnim tancerzem, który całe życie czekał na swoją wielką szansę i miał dość rozumu w głowie, by nie rezygnować tylko z tego powodu, że jeden z jego dwóch koni roztrzaskał sobie przednią nogę. Położyłam mu głowę na ramieniu i płakałam całą drogę do lotniska LaGuardia.

¹⁰⁹ Larry, Curly i Moe - komediowe trio znane jako Trzy Ofermy; Patty, Maxine i Laverne - piosenkarskie trio sióstr Andrews.

Słodki Barry Nadler wyszedł tam po nas, zasypując słowami pociechy, w większości niecenzuralnymi, lecz miał najlepsze zamiary. Załadowaliśmy się do taksówki i pojechaliśmy z powrotem do miasta, Richie i Barry z tyłu, zajęci planowaniem strategii, ja z przodu, zajęta wyłącznie myślami o Benie. Był jedynym, co mi w życiu zostało, i niedługo miałam go zobaczyć.

Tak bardzo chciałam z nim być w tej chwili, w najczarniejszej godzinie. Tak bardzo go potrzebowałam. Wszystko w środku prawie mnie bolało na samą myśl o nim. Ben sprawi, że poczuję się lepiej. Machnie swoją czarodziejską różdżką i cały ból zmieni się w namiętność. Utuli mnie i pozwoli płakać, jak długo będę chciała. Będzie moim tatusiem i moim kumplem, otrze mi oczy i kupi loda, i powie, że jestem śliczna. A potem będzie moim kochankiem, reszta świata się rozpadnie, a my dotrzemy do jądra ziemi, stworzymy lawę i wywołamy wstrząsy, budząc Australię dwunastostopowymi falami, następstwem naszego kosmicznego przyciągania.

Wysadzili mnie przy mieszkaniu, mrugając po ojcowsku i przykazując, żebym się solidnie wyspała. Pognałam na górę, moja głupia torba waliła o wszystkie kolejne szczeble poręczy, wyciągając z domów ludzi chcących zobaczyć, co to za łomot. Jedyne, co byłam w stanie wymyślić, to okrzyk „Nadchodzą Brytyjczycy! Nadchodzą Brytyjczycy!”, po którym wszyscy zatrzaskiwali drzwi, szczęśliwi, że mają na schodach Brytyjczyków, a nie rozpędzoną lokomotywę.

Dotarłam do naszych drzwi i zaczęłam grzebać w poszukiwaniu klucza. Było późno - prawie północ - i jeżeli Ben spał, chciałam go obudzić po swojemu, nie pukaniem.

Znalazłam klucz, otworzyłam i wślizgnęłam się do środka w swoich tenisówkach. Ciemno, tylko jedno zapalone światło. Odłożyłam torbę ostrożnie, jakby wypełniały ją materiały wybuchowe, i, roztrzepując włosy oraz poprawiając sobie cycki, weszłam do pokoju Bena. Ciemniej niż w przedpokoju. Wymacałam drogę do łóżka i zaskoczyła mnie pustka. Zapaliłam światło - ani śladu Bena, tylko nieposłane łóżko, które wyglądało na nieścielone od roku.

Poszłam do swojej sypialni, może tam jest. Nie było go. Też włączyłam światło - ani śladu Bena. Tylko moje nieposłane łóżko, wyglądające na nieścielone od dwóch lat. Zapaliłam wszystkie światła. Ani śladu Be-

na, w łazience, w salonie, w kuchni - nawet w lodówce. Czułam się zakłopotana, niepewna, zdradzona, upokorzona, zła. Co, do cholery, robił poza domem o takiej porze? Z kim był? Czy wróciła któraś z tych stewardes? Czy Ben się złamał? Czy mógłby coś takiego zrobić? Ben? Mój Ben?

Natychmiast poczułam przestrasz. Zadzwoić na policję, do szpitali, do kostnicy. Czy mogłabym przyjechać i go zidentyfikować, mieli dziewięć ciał odpowiadających opisowi.

Coś na stoliku przy telefonie. Skrawek papieru. Zapisany. Hotel Saint Regis. Pokój 735. Dręczące. Kto był w pokoju 735. Mieli tam jakieś spotkanie w sprawie sztuki Bena? Jak długo ten paperek tu leży? Tydzień? Od dziś? Od wieczora?

Zadzwoiłam do informacji i dostałam numer do hotelu Saint Regis. Zatelefonowałam i zapytałam o nazwisko osoby zameldowanej w pokoju 735. Pani Barringer. Rozłączyłam się. Pani Barringer? Kto to taki pani Barringer? Zaczęłam się trząść. Czy powinnam zadzwonić do tego pokoju i zapytać o Bena? Jeżeli Ben był tam z panią Barringer, mała szansa na to, żeby odebrał. Ani ona nie poda mu słuchawki, jeżeli poproszę. Panna Barringer mogłaby, ale pani Barringer? Mało prawdopodobne. Wyszłam z mieszkania.

Portier przytrzymał drzwi taksówki. Nie miałam drobnych, więc posłałam mu swój uśmiech za milion dolarów. Nie protestował. Do windy, skronie tętnią, pot u nasady włosów. Siódme piętro. Wzdłuż wyłożonego chodnikiem korytarza. Pokój 735. Stałam przed nim, chcąc uciec, ale zaszałam tak daleko. Z Pittsburgha z miłością, do Saint Regis z drżączką. Zapukałam do drzwi.

Kobiecy głos.

- Kto tam?

– Pokojówka! — odpowiedziałam, decydując się na swój francuski akcent, nieużywany od czasów pracy w Chipsie.

Znów kobieta.

- Proszę wrócić później, bo się pierdolę!

Nie do wiary, ciągnęłam jednak tę scenę.

- Ale phosz pani... mam świeże hęczniki.

- Później! Obciążam wielkiego fiuta!

Znów zapukałam, poddając się biegowi wydarzeń, bezmyślnej inercji. Naleganie bezkostnej ameby.

- Phosz pani... to zajmie tylko minutkę.

W środku cisza. Ani piśnięcia. Tylko dudnienie w mojej głowie i palący ucisk w piersiach. Potem drzwi się otwierają - Ben. Nagi. Kobieta za nim, wali go, jej roześmiane usta krzyczą: „Vive la France!”.

Mamusia? Moja mamusia? Koszmar senny w drzwiach. Fantasmagoria - czy w ogóle kiedykolwiek istniało takie słowo? Stałam tam i patrzyłam - jeszcze i jeszcze, wciąż i wciąż - żeby się upewnić. Wiedziałam, że to oni, bo oni wiedzieli, że to ja. Wszyscy znali wszystkich i niczego nie trzeba było mówić.

Uciekaj, Ginnie, uciekaj. Stopy, róbcie, co do was należy. Windo, na dół. Holu, daj się przejść. Drzwi, obróćcie się. Taksówka?

Taksówka zawiozła mnie na róg Czterdziestej Dziewiątej i Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Nigdy tam nie byłam, ale wiedziałam, gdzie mieszkał. Nacisnęłam brzęczyk pod jego nazwiskiem i brzęczyk zabrzączał w odpowiedzi. Otworzyłam i weszłam po schodach. Richie stał w drzwiach w piżamie, patrząc, jak wspinam się w jego stronę.

- Ginnie?

- Chyba tak.

- Co się stało?

-Ja... - chwyciłam go i rozplakałam się, a on wprowadził mnie do środka. Chciał mi zaparzyć kawy, ale nie puszczałam go, bo nie mogłam. Zabrał mnie do swojego łóżka i tam ułożył. Na moim czole umieścił mokry ręcznik.

- Chcesz mi powiedzieć, co się stało? - zapytał.

- Nie.

- Jesteś na skraju hysterii. Lepiej to z siebie wyrzucić.

- Nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Nie mogę. - Chciałam mówić, ale słowa utknęły mi w gardle jak kawał drewna. Wielkie kęsy słów. Kawały. Wszystkie zbite w kule, dławiące. Kule gumy do żucia i pestki brzoskwiń.

- Ginnie, musisz mówić.

Nie mogłam.

- To Ben?

Kiwnęłam głową.

- Pokłóciliście się?

Przecząco potrząsnęłam głową.

- Zastałaś go z kimś. .

Kiwnęłam głową.

- Z kim?

-Z moją matką. - I kocioł wybuchł. A słowa wylały się spienione jak z otwartego słoja, pod nimi płynęła rwąca rzeka łez i osad łkań. I gdyby Richie mnie nie trzymał, eksplodowałabym.

- Twoja matka?

- Tak.

- I Ben?

- Tak.

- Jezu Chryste!

- Mamusia umarła.

- Co?

- Moja mamusia umarła.

- Ginie? Ty ją... zabiłaś?

- Teraz ją zabijam. Ona nie żyje. Mamusia nie żyje.

W środku nocy wszystko się uspokoilo. Łóżko było duże i Richie leżał obok, nie dotykając mnie. Próbowałam ułożyć to sobie w głowie. Czy naprawdę widziałam tych dwoje razem? Widziałam. Czy będę w stanie znieść realność tego i nie ześwirować? Być może. Dwa pytania. Pierwsze, czy Ben wiedział, że ona była moją matką? Drugie, czy Maggie wiedziała, że byłam dziewczyną Bena? W razie dwóch odpowiedzi twierdzących oboje byliby źli do szpiku kości i będą się smażyć w piekle. Ale jeżeli to wszystko zbieg okoliczności? Z pewnością zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Nie, dziwniejsze się nie zdarzały. Nie mnie. Nie mnie.

Dotknęłam ramienia Richiego, a on podparł się i uniósł.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Mam urodziny.

- Wszystkiego najlepszego.

- Mam dziewiętnaście lat.

- Każdemu się zdarza. To minie.
- Richie?
- Taa?
- Pokochasz się ze mną? Mam urodziny i... potrzebny mi prezent.
- Wiesz, że zawsze tego chciałem. Kochać się z tobą.
- To masz swoją szansę.
- Nie sądzę.
- Nie?
- Do dupy moment, Ginnie. W tej chwili jesteś zbyt...
- Naprawdę potrzebny mi prezent, Richie. - Znalazłam go w ciemności, sztywnego zanim jeszcze dotknęłam.
- Jezu.
- Richie?
- Jestem tylko człowiekiem, Ginnie.
- Wiem. I tobie też przyda się prezent. To były strasznie parszywe dwadzieścia cztery godziny. Wymieńmy się prezentami, Richie. Bez zobowiązań. Bądźmy tylko dwójką bardzo miłych, bardzo zranionych ludzi, którym potrzebny jest prezencik. Proszę, Richie. Proszę?
- Wszystkiego najlepszego, Ginnie.

Rozdział 19

Ben

1952

Zabrakło słów. Przynajmniej mnie. Co takiego powiedziała? Ginnie była jej córką? Jej córką?

Maggie nie przestawała mówić, tak wytrącona z równowagi, że musiała odłożyć papierosa.

- Skąd się tu wzięła, do cholery, żeby pukać do moich drzwi w środku nocy... myślałam, że jest w jakiejś szkole dla dziewcząt, gdzieś w Nowej Anglii. Co to były za bzdury z pokojówką i ręcznikami? Skąd wiedziała, że tu jestem?

- Nie wiedziała, że tu jesteś. Wiedziała, że ja tu jestem. - Spojrzała na mnie, co zrozumiałe, zbita z tropu. - Musiałem zapisać numer hotelowego pokoju na jakimś bloczku i go znalazła. Tylko że powinna być w Pittsburghu. O cholera, Maggie... Ginnie i ja mieszkamy razem.

Moje oświadczenie powinno zamknąć jej usta. Nie zamknęło. Wyglądało na to, że dodatkowo się nakręciła.

- Mówiłam ci, że mam dzieci. Ginnie jest najmłodsza. Musi teraz mieć osiemnaście... nie, dziewiętnaście. Nie uważasz, że jest śliczna? Takie z niej było chudzieńkie maleństwo. Właściwie mogliśmy ją wozić w samochodowym schowku na rękawiczki. Moja córka i twoja dziewczyna... jedna i ta sama. Barokowy przepych.

Zacząłem zbierać swoje rzeczy, zdecydowany nie tracić głowy, bo dokądkolwiek poszła Ginnie, z całą pewnością ona głowę straciła.

- Lepiej za nią pójść. Spróbuję wyjaśnić.

-Matka wali konia jej chłopakowi... na jej oczach. Vive la France. Jak masz zamiar coś takiego wyjaśnić?

-Cóż, chyba zacznę od prawdy i będę kontynuował. Teraz mam tylko nadzieję, że wszystko z nią w porządku. - Zerknąłem na Maggie i wskoczyłem w spodnie. Wyglądało na to, że zaczyna dochodzić do siebie, odzyskiwać panowanie nad sobą. - W ogóle się tym nie przejmujesz?

-Nie mam zamiaru do tego dopuścić. Podjęłam decyzję... wykonałam swój ruch... kilka lat temu, świetnie wiedząc, że...

-To twoja córka wybiegła stąd w środku nocy! Nie martwisz się o nią?

-Owszem. Tak, martwię się, ale okropna prawda jest taka, że to twoje zmartwienie, nie moje. Ja nic na to nie poradzę. Ty możesz. Innymi słowy, mój przyjacielu, mój obraz w jej oczach, jeśli nawet kiedykolwiek był dobry, teraz został na zawsze wypierdzielony. Co do twojego, to wciąż masz szansę. Jak długo z nią mieszkasz? Czy jest dobra w łóżku? Jej matka, jak słyszę, posuwa wszystko, co się rusza. A jej ojciec to pedał, tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Kiedy się dowie, wszystko może się zdarzyć.

- Ależ z ciebie zimny typ, Maggie.

Przez chwilę wydawało się, że mogłaby chcieć zaprotestować przeciw takiemu określeniu. Ale odpuściła.

-Pewnie nie będziesz chciał więcej się ze mną spotykać. - Jej dłoń pofrunęła w górę, jakby zatrzymywała ruch uliczny. - Nic nie mów. Po prostu... tak to zostawmy.

- Daj spokój, Maggie. Nigdy nic dla ciebie nie znaczyłem.

- Już czas przeszły.

Teraz na nią wrzeszczałem:

-Czemu się w taki sposób upadlasz? Czemu się pieprzysz, z kim popadnie?

- Opowiedz mi o Ginnie. Czym się zajmuje?

- Jest cholernie błyskotliwą tancerką!

-A. Oczywiście. Z Brzydkiego Kaczątka w Umierającego Łabędzia. Powinnam była wiedzieć.

- Muszę iść. Twoja córka może leży gdzieś tam pod kołami.

- Tak. Będzie cię potrzebować.

- Może potrzebuje swojej matki.

- Nigdy jej nie miała. - Ujęła mnie pod ramię i odprowadziła do drzwi, jakbyśmy brali udział w wielkanocnej paradzie, tylko że moje ubranie było zmiętolone, a jej na podłodze.

Otworzyła drzwi i ucałowała mnie w policzek.

- Zaopiekuj się moją dziewczynką, Ben. Cieszy mnie, że ma taki dobry gust. A teraz wynoś się stąd.

I stałem na korytarzu, patrząc na zamknięte drzwi, skonfundowany bardziej niż kiedykolwiek do tej pory w całym moim krótkim i idiotycznym życiu.

Natychmiast pojechałem taksówką do mieszkania. Taksówki to czerwone krwinki nowojorskiego krwiobiegu. Przenoszą energię z jednej części miasta do drugiej. Bez nich miasto umiera. Z nimi się zatyka. Wybierz swoją truciznę. Nie spodziewałem się zastać Ginnie w mieszkaniu, ale to było jedyne miejsce, jakie umiałem wymyślić. Znalazłem jej torbę w swoim pokoju, tam gdzie ją zostawiła, wciąż zamkniętą, z lotniczą naklejką na wierzchu.

Na stoliku obok telefonu zobaczyłem swoje bazgrały: „Hotel Saint Regis. Pokój 735”. W popielniczce obok trzy wypalone papierosy - marka Ginnie, na brzegach szminka Ginnie. Pożałowałem, że nie wypaliła całego kartonu, zanim zapukała do drzwi tego hotelowego pokoju. Nabierałem wprawy jako detektyw. Musiałem jeszcze tylko wymyślić, dokąd poszła o wpół do pierwszej i gdzie była teraz, dobrze po pierwszej.

Nie śmiałem wydzwaniać do ludzi o takiej porze, więc po prostu się położyłem i próbowałem to wszystko przemyśleć. Jeżeli Ginnie wróciła z Pittsburgha, tak samo wrócili Florrie i Richie. I wybiegając z Saint Regis w takim stanie, Ginnie mogła pójść tylko do Florrie, oczywiście o ile Florrie nie pojechała wcześniej prosto do Monty'ego. A jeśli Florrie pojechałaby do Monty'ego, czy przyłapałaby go ze swoją matką? W końcu skoro Edyp spał z Jokastą, czy Betty Boop* ¹¹⁰ i papież Pius mogli zostać za nimi w tyle?

Nie miałem co zrobić z resztą nocy, mogłem tylko być nieszczęśliwy i twardo postanowiłem zrobić to bez uciekania się do pomocy butelki. Leżałem na łóżku na wpół śpiąc, na wpół myśląc, i marząc. Maggie i Ginnie, matka i córka. Maggie miała rację, to był barokowy przepych. A gdyby Maggie nie zadzwoniła tego właśnie wieczoru? Gdyby w ogóle nigdy nie zadzwoniła, nigdy więcej? Czy Ginnie i ja dowiedzielibyśmy się kiedykolwiek, że spałem z jej matką? Czy pewnego dnia, w naszą dziesiątą rocznicę, powiedziałbym jej o tej kobiecie,

o tej „Maggie”? I czy wtedy sami domyślilibyśmy się reszty?

¹¹⁰ Betty Boop - seksowna postać filmów animowanych.

1 jak byśmy zareagowali na taką wiadomość tyle lat po fakcie? Pośmialibyśmy się i uznali, że takie jest życie? Czy oboje bylibyśmy wstrząśnięci, poruszeni, zdruzgotani i pokłócilibyśmy się przy dzieciach?

Następne, co przyszło mi do głowy, to podobieństwo tych dwu kobiet. Teraz, kiedy wiedziałem o ich pokrewieństwie, podobieństwa były wyraźne, aż kłuły w oczy. Ich prawdziwe oblicze przysłoniło te dwadzieścia lat czy coś koło tego. I nagle dostrzegłem, jak łatwo Ginnie, starsza, i Maggie, młodsza, mogłyby uchodzić za siostry. Uśmiech. Osadzenie głowy na delikatnej szyi. Giętkość ruchów. Kolosalna inteligencja. I sposób, w jaki uprawiały seks - totalna namiętność połączona z niekonwencjonalnym poczuciem humoru. Ileż to słyszałem opowieści o młodych ludziach, którzy poszli do łóżka z matką i z córką historyjek lubieżnych, przesadzonych i zwykłych kłamstw. No i proszę, właśnie mnie to spotkało, tylko że ja się nie śmiałem i nie miałem ochoty na przechwałki. Byłem wyłącznie ogłuszony, wstrząśnięty i martwiłem się o Ginnie, gdziekolwiek była w tej ciemności.

I jeśli ja byłem zaszokowany, widząc ją, wyobraźcie sobie jej zaskoczenie na widok mój i Maggie, pary jak ze sprośnych obrazów Cranacha, brykającej w ciemnym zaułku. Nawet gdybym odnalazł Ginnie, to jak się wyjaśnia coś nie do wyjaśnienia albo przeprosza za niewybaczalne? Łatwiej uciec na księżyc. Lepiej wyskoczyć przez okno.

Przyszedł ranek. Obserwowałem, jak zbliża się cal za cal. Czy to będzie dobry dzień? Czy przyniesie mi odpowiedzi i pomoże odnaleźć moją miłość? Minęła piąta i nie opłacało się dłużej próbować przymusić do snu w czasie, który został do świtu. Nie tknąłem jeszcze torby Ginnie, zostawiłem ją tam, gdzie stała, jakby mogła się nagle otworzyć i ukazać Ginnie, która wyszłaby stamtąd tanecznym krokiem, śpiewając *Oh, You Beautiful Doli* i zasypując mnie kulami z pistoletu maszynowego Thompson. Obchodziłem torbę dookoła z szacunkiem, świadom, że nie mam prawa jej dotknąć. Nie miałem prawa dotykać żadnej z rzeczy Ginnie, a jeszcze bardziej nie miałem prawa dotykać ich właścicielki.

Mój stary przyjaciel, poczucie winy, zjechał do miasta i byłem pierwszym, do którego zadzwonił. Chciał się tylko przywitać, ale chociaż powtarzałem, że wyjeżdżam na weekend z miasta, sukinsyn rozgościł się w mojej głowie jak u siebie, położył nogi na moim sumieniu i palił moje najlepsze cygara.

- Nieznajomość prawa nie jest żadnym usprawiedliwieniem - stwierdził dyktatorskim tonem. - Fakt, że nie wiedziałeś, iż Margaret pozostaje matką Virginii, a Virginia córką rzeczonyj, nie zmienia kwalifikacji popełnionego czynu, to jest: pieprzyłeś je obie, co stanowi podwójny grzech nieczystości z półobrotem, za co musisz zawisnąć na fiucie i wisieć aż do śmierci, i niech Pan ulituje się nad twoją apelacją.

Wszedłem pod prysznic i tam się porzygałem, nie mogłem utrzymać w żołądku nawet kawy, a płyn do płukania ust był równie skuteczny jak kropla śliny w oceanie. Chodziłem tam i z powrotem, siedziałem, paliłem, zaklinałem los, cały czas śledząc wskazówki zegara. I o siódmej trzydzięci zadzwoniłem do Barry'ego Nadlera do domu.

Poinformował mnie, co się stało w Pittsburghu, że Florrie wciąż tam jest, ale Ginnie powinna być ze mną, bo tam ją z Richiem wysadzili. Zmartwiony, dał mi numer telefonu Richiego.

Richie opowiedział mi mniej więcej to samo. Również przejęty, obiecał, że zadzwoni do mnie, jeżeli Ginnie pokaże się albo do niego zadzwoń.

Zadzwoniłem do Margaret w Saint Regis. Niespodzianka. Wymeldowała się prawie natychmiast po moim wyjściu - o drugiej nad ranem. No to cześć, Maggie, nie ciągnij drewnianych fiutów.

Nie miałem już do kogo zadzwonić.

Uczucie bezradności było druzgoczące, pogrzebało mnie żywcem. Wtedy pomyślałem o telefonach do różnych schronisk YWCA111. Ginnie Maitland? Nie, nie mieli nikogo o takim nazwisku. Podobnie w Barbizon*¹¹² i trzynastu wybranych na chybił trafił hotelach. Miejsce pobytu Ginnie pozostawało mi nieznane. Mogłem tylko mieć nadzieję, że była cała i zdrowa. Jeżeli przebywała w Nowym Jorku, znajdę ją. Jeżeli wyjechała z Nowego Jorku - nie śmiałem zmierzyć się z tą alternatywą.

Poszedłem piechotą do pracy. Trwało to prawie półtorej godziny. Ginnie, najistotniejsza sprawa w moim życiu. Gdybym miał określić priorytety, Ginnie byłaby pierwsza, moja sztuka druga, praca na odległym trzecim miejscu, a oddychanie na pozycji czwartej majaczyłoby daleko na horyzoncie.

111 YWCA - Stowarzyszenie Młodych Chrześcijańek.

¹¹² Barbizon - hotel popularny w latach 50. wśród gwiazd.

Spóźniłem się do biura i od razu poszedłem zobaczyć się z Buddym Connorem. Uśmiechnął się do mnie i poczułem zaniepokojenie, jak taki bęćwał, choć oczywiście sympatyczny, mógł dostać tego rodzaju posadę i nie martwić się, że któregoś dnia dosięgnie go ręka sprawiedliwości. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że Buddy ożenił się z bratanicą Skourasa, przeszedł na wyznanie greckokatolickie i do końca swoich dni nie musiał się bać pracy w mozole. Grzeczny chłopiec. Jeżeli brak ci talentu, załatw sprawę fiutem. I czy to nie Napoleon powiedział, że najlepsza droga do żołądka szefa prowadzi przez pochwę jego bratanicy? A może to był Norman Thomas*¹¹³.

Wyjaśniłem Buddy'emu, że moja sztuka wchodzi w fazę prób i chciałbym wziąć kilka tygodni wolnego - oczywiście niepłatnych. Albo, jeżeli dałoby się to załatwić, chciałbym wziąć jakiś najbliższy należny urlop, zwolnienie czy cokolwiek.

Buddy stwierdził, że nie ma sprawy, zajmie się tym. Klepnął mnie w plecy i życzył powodzenia. Lubiłem Buddy'ego Connorsa. Wiedział, czego się trzymać. W przeciwieństwie do innych, którzy pożenili się z bogactwem i władzą tylko po to, żeby stać się konkursowymi kutafonami, Buddy po prostu ujawnił luzacką naturę, obsługiwał żonę i został przyjacielem całego rodzaju ludzkiego. Buddy - przyjaciel nie od parady. Dobre imię do rymowania.

Zapowiedziałem Mickeyowi i Dorze, że znikam na dwa tygodnie. Mickey życzył mi powodzenia, a Dora wydmuchała nos, co znaczyło to samo, tylko głośniej.

Poszedłem powiedzieć Gruberowi, ale był w Londynie, więc poprosiłem Pat Jarvas, żeby mu to przekazała. Trochę odtajała i życzyła mi szczęścia, przesuwając językiem po wargach i oblizując je, jakby właśnie zjadła coś przepysznego. Jedno trzeba przyznać Pat Jarvas, jasno stawiała sprawę. W moim wypadku stawiała to, co kryło się za kłamrą paska. Wystarczyło, żebym ją pociągnął za uszko, i znalazłbym się w siódmym niebie.

Skierowałem się do klubu Fraternal przy Zachodniej Czterdziestej Ósmej Ulicy, gdzie odbywało się czytanie *Tony 'ego* - w sali Brandeis - od jedenastej do szóstej po południu. Jako autorowi przysłano mi odbity

¹¹³ N. Thomas (1884-1968) - przywódca amerykańskich socjalistów.

na kopiarce harmonogram, chociaż osobiście nie zostałem zaproszony. Jeżeli Harvey Epstein nalegał na moją obecność, to z pewnością nie w mojej obecności. I tak tam poszedłem, z przeczuciem, że nawet zjawiając się bez zapowiedzi, nie zostanę wykopany.

Nie znałem nikogo poza Harveyem Epsteinem, jego rozciągniętym swetrem i poślizgowymi okularami. Najwyraźniej mnie nie poznawał, więc nie zwracałem sobie głowy podchodzeniem i witaniem się. Poza tym wydawał się bardzo zajęty, a nie znałem zasad obowiązującej etykiety. I jako kompletnie nieświadomy w tej kwestii, miałem dość rozumu, żeby nie przerywać reżyserowi czymś w rodzaju „Cześć Harvey, złotko, jak leci, mały, co powiesz?”.

Nie skonsultowano ze mną obsady, ale w sumie dobrze, bo nigdy nie zgodziłbym się na żadnego z tych aktorów, jeśli nawet miałyby to oznaczać, że sztuka nie zostanie wystawiona. Do roli Tony'ego wybrali chudego, ciemnego gościa, a taki był z niego sportowiec jak z Margaret O'Brien*¹¹⁴. Rolę Johnny'ego dali ociążałemu piegowatemu rudzielcowi. Mnie grał przystojny Aryjczyk i dałbym się zabić, żeby tak wyglądać - ale nie w mojej sztuce. Holdofferem został jakiś zabijaka o pokiereszowanej twarzy, który miał nos w uchu. I tak dalej, i tak dalej, wszyscy wyglądali zupełnie inaczej, niż ich opisałem. I nikt nie mówił swoich kwestii tak, jak słyszałem je w głowie, kiedy przelewałem to wszystko na papier. Rolę Deya grał pulchny, czterdziestoletni, łysiejący homoseksualista, który seplenił. Kuypera dwudziestolatek z kręconymi włosami, sepleniący jeszcze bardziej sepleniąco. Wszystkie nazwiska, z wyjątkiem Tony'ego, zostały zmienione i odniosłem wrażenie, że, logicznie rzecz biorąc, powinienem pójść krok dalej i zmienić nazwisko dramaturga.

Zbliżająca się śmierć mojej sztuki, która deptała po piętach zniknięciu Ginnie, wzbudziła we mnie szal frustracji tak wielki, że podczas pierwszej przerwy właściwie rzuciłem się na Epsteina i zapędziłem jego mikro ciałko do kąta.

- To nie jest moja sztuka - powiedziałem.
- Bomba - stwierdził - ale kim jesteś?
- Pieprzonym autorem!

¹¹⁴ M. O'Brien (ur. 1937) - w latach 40. popularna aktorka dziecięca.

-O! - Z miejsca się połapał i zabrał mnie do innego pomieszczenia, mniejszego, z pisuarami. - Słuchaj, mały, rozumiem, że dla ciebie to musi wyglądać i brzmieć okropnie, ale...

- Wygląda i brzmi katastrofalnie!
- To dopiero pierwsze czytanie.
- Ta obsada jest śmieszna! Wszystko jest źle!

Zesztywniał, plecy wygięły mu się w łuk.

- Może tak być. Lecz to ja jestem reżyserem i tak ich widzę.
- Każda postać została starannie i jasno opisana...

-Słuchaj, chcesz zostać na próbie? Świetnie. Ale trzymaj się, kurwa, z daleka, jasne? Mam dziesięć dni, żeby ruszyć z twoim arcydziełem i nie mam czasu na schlebianie twojemu ego.

- Wycofam tę sztukę.

-Nie możesz. Należy do Kempera i NBC. A teraz albo siadasz i się zachowujesz, albo się tu nie pokazujesz. I bez tłumaczenia się przed pisarzami mam dość kłopotów z aktorami.

-Masz dwóch facetów, którzy wyglądają jak cioty... żadnej subtelności! Gdzie jakaś delikatność? Mówią piskliwymi głosikami! Obaj! Puścisz ich za blisko kamery i będzie wyglądało, jakbyśmy kręcili to wszystko pod wodą!

-W taki sposób to widzą i tak chcą to przeczytać. We właściwym czasie sprowadzę ich na ziemię.

- Czym, torpedą? Mają wady wymowy!

Przepchnął się obok mnie, łapiąc zjeżdżające z nosa okulary.

- Nie mam czasu na takie gówno. Jeżeli będziesz zakłócał spokój, każę cię wyrzucić. Przepraszam.

Epstein ponownie doszedł do stołu pingpongowego; jego serw. Przywołał obsadę do porządku i wrócili do czytania, jeszcze gorzej niż przedtem. I przez cały czas ani razu nie powiedział jednego słowa, niczego nie zasugerował ani nie dał żadnej wskazówki. Wiedziałem, że wpadłem po uszy i mam poważny kłopot, ale nic nie mogę na to poradzić. Wszedłem niezauważony, tak jak wszedłem. Może rzeczywiście mógłbym zmienić swoje nazwisko. Jeszcze lepiej, może mógłbym wpaść pod samochód - błysk i uderzenie. Nic rozstrzygającego, wystarczy, żeby spowodować całkowitą amnezję.

Poszedłem do drogerii i zadzwoniłem do Barry'ego Nadlera. Jeżeli Richie pracował nad znalezieniem zastępstwa za Florrie, Barry będzie o tym wiedział. I będzie wiedział, gdzie znaleźć Ginnie.

Wiedział, lecz nie chciał powiedzieć.

-Słuchaj, Barry, bez względu na to, co słyszałeś, naprawdę chcę wiedzieć, gdzie jest Ginnie.

-Niczego nie słyszałem poza tym, że ona nie chce, żebyś wiedział, gdzie jest. Więc co mogę poradzić?

- Wszystko z nią w porządku?

-Tak. Chociaż mam wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby to ona złamała nogę, a Florrie wróciła do domu.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Jest w Nowym Jorku, tak?

-Gdzieś tutaj. Tak. Szukają innej dziewczyny. Im szybciej kogoś znajdą, tym szybciej wrócą do pracy.

-Barry, jeżeli wiesz, gdzie ona mieszka, musisz mi powiedzieć. Muszę się z nią zobaczyć.

- Nie wiem, gdzie mieszka. Mnie też nie mówią.

-Barry, proszę. Czy Richie wie, gdzie się zatrzymała? Musi wiedzieć, do cholery! Musi wiedzieć, dokąd ma dzwonić!

- Więc go zapytaj. Nie prowadzę biura informacji.

- Okej, zapytam.

- Słuchaj, zanim się rozłączysz, jak idzie ze sztuką?

- Do dupy!

Zadzwoniłem do Richiego. Bez efektu. Zadzwoniłem do własnego mieszkania, licząc, że może Ginnie wróciła. Bez efektu. Poszedłem obejrzeć film. W połowie doznałem olśnienia: jeżeli Richie i Ginnie przesłuchują dziewczyny, muszą pracować w jakiejś sali prób. Nie znałem wszystkich sal, ale większość tych, z których korzystali.

Variety Arts, Showcase, Dance Players, Carnegie Hall, Steinway Hall - sprawdziłem wszystkie sale w każdym z tych miejsc, bez powodzenia. Najwyraźniej oboje wpadli na to, że mogą ich szukać, i bez wątplenia zorganizowali przesłuchania w miejscu tak odległym, że sami nie trafiliby tam bez przewodnika.

Kiedy wróciłem do domu, było po siódmej. Na dole czekała na mnie paczka. Scenariusz Arniego Felsena. Podrzucił go z liścikiem, w którym prosił o przeczytanie, gdybym miał ochotę. Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę.

Ponownie zadzwoniłem do Richiego. Bez efektu. Znów zadzwoniłem do Barry'ego. Nic nowego. Przeczytałem sztukę Arniego. Beztalencie. Zjadłem kanapkę i wypilem piwo. Dwa piwa. Kolejny raz zadzwoniłem do Richiego. Bez efektu. Dzwoniłem do Richiego co piętnaście minut. O dziewiątej czterdzieści pięć odebrał; zmęczyłem go. Wiedział, że to ja i dlatego dzwonię, więc od razu przeszedłem do rzeczy.

- Okej, Richie, dość pierdzielenia. Czy Ginnie jest z tobą?
- Na niej trzyma się cały występ, Ben. Jest ważniejsza nawet ode mnie. Siebie mogę kimś zastąpić. Jej zastąpić nie mogę.
- Pytałem, czy jest z tobą.
- Nie.
- Ale wiesz, gdzie jest.
- Naturalnie.
- I naturalnie nie masz mi zamiaru powiedzieć.
- Jest jakieś pół kroku od tego, żeby ześwirować. Żaden z nas nie może zaryzykować. No więc musisz trzymać się od niej z daleka. Musisz... niech minie trochę czasu.
- Jeżeli minie trochę czasu, cała sprawa przyschnie i nigdy nie uda mi się tego wyjaśnić.
- Chcesz powiedzieć, że potrafisz to wyjaśnić?
- Powiedziała ci.
- Praktycznie musiałem to z niej wywlec. Coś w rodzaju rozbijania bomby.
- Nic jej nie jest?
- Funkcjonuje.
- A co to, do cholery, znaczy?
- Jeżeli zostawisz ją w spokoju, może dojdzie do siebie.
- Czy taka jest pańska diagnoza, Herr Doktor?
- Gadasz jak kretyn.
- Richie, muszę się z nią zobaczyć. Mogę wyjaśnić...
- Nie.

-A co, jeżeli się mylisz? A co, jeżeli trzymając ją z dala ode mnie, zrobisz więcej szkody niż pożytku?

-Nie sędzę. Jakiegokolwiek by było twoje wyjaśnienie... Jest w parszywej formie, Ben, jasne? Zafundowałeś jej cholerną niespodziankę. To jeszcze dzieciak. Ty i jej matka? Cud, że z miejsca nie ześwirowała. Czemu nie możesz przyjąć do wiadomości, że stąpa teraz po cienkim lodzie i jestem jedyną osobą, która może ją przez to przeprowadzić... przynajmniej w tej chwili. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny.

- Mówiłem ci, boję się czekać.

-A ja się boję nie czekać. Mamy równowagę. Sytuacja tak wygląda, że ja zyskuję na każdym remisie. Jesteś jeszcze?

- Tak.

-Ona mówi, że się nie rozpakowała i zostawiła tam torbę. Czy możesz ją odnieść do biura Barry'ego?

- Tak.

- Odbiorę ją stamtąd i dostarczę Ginnie.

- Okej.

-Będziesz musiał trzymać się od niej z daleka, Ben. Ona nie jest gotowa.

- A kto zdecyduje, kiedy będzie?

- Miejmy nadzieję, że ona sama.

- Wygląda na to, że nie mam specjalnego wyboru, prawda?

- Obawiam się, że nie.

- Przyniosę tę torbę z rana.

Rozłączył się, ale ja trzymałem słuchawkę jeszcze przez kilka chwil, bojąc się ją odłożyć, bojąc się, że kiedy to zrobię, na dobre zerwę swoje połączenie z Ginnie. Ostatecznie odłożyłem. I, kompletnie wyczerpany, zasnąłem.

Obudziłem się, ponieważ w pokoju było słońce. Zajrzałem do planu prób. Dziesiąta rano do piątej po południu. W Nicholas Arena przy Zachodniej Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy. Miałem prawie dwie godziny.

Ubrałem się i zniosłem na dół torbę Ginnie. W taksówce ustawiłem ją na siedzeniu obok siebie i objąłem ramieniem. Tak jakby Ginnie była w środku, martwa. Gorzej, czułem, jakbym sam ją zabił. Zaniósłem bagaż

do biura Barry'ego. Był tam, wyglądał na zakłopotanego. Richie do niego dzwonił, więc się mnie spodziewał. Wyszedłem z uczuciem, że ktoś wysłał mi wnętrzności za pomocą odkurzacza. Rozpocząłem oczekiwanie w sklepie z cygarami na rogu, bo dysponował idealnym widokiem na wejście do budynku Barry'ego. Miałem zamiar śledzić Richiego, kiedy się pokaże. Nie pokazał się. Godzina wyczekiwania i poszedłem na próbę. Nie byłem Samem Spade'em*¹¹⁵.

W budynku cuchnęło, co licowało ze stanem mojej sztuki. Ochraniające genitalia, pachy i olejek z ostrokrzewu - zapach ringu, mitycznego kwadratowego kręgu w całej jego gnijącej chwale. Kiedy trenowałem boks w liceum, uważałem, że sala gimnastyczna ohydnie cuchnie. Ale w porównaniu z Saint Nicholas Arena moja stara sala gimnastyczna pachniała jak bal maturalny Królowny Śnieżki. To był zaduch rozkopanego grobu, stęchły, drażniący i omszały, zapach czegoś, co uległo mumifikacji i lepiej byłoby to spalić jak ubrania po zarazie. To był zapach klęski. Zwycięzcy pachnieli Aqua-Velva i cząstkami pomarańczy. Przegrani nieśli woń Saint Nicholas Arena. Żadna sztuka, do której próby odbyły się w tym budynku, nie miała szans na przetrwanie trzech rund.

Wszedłem na górę i zastałem ich w trakcie roboty, mojego reżysera i moją obsadę. Nie udało mi się zauważyć śladu poprawy, tylko tyle że zaczęli zapamiętywać moje kwestie - kwestie, o których ja chciałem zapomnieć, kwestie brzmiące tak, jakby wyszły spod pióra szympansa Czita, pisane podczas upadku z drzewa.

Harvey Epstein ignorował mnie do pierwszej pięciominutowej przerwy. Wtedy przedstawił mnie obsadzie i wszyscy powiedzieli, jak to sztuka się im podoba. Jeśli byli w swoich rolach równie przekonujący jak w pochwałach, miałem na koncie pierwszą sztukę na świecie, która zrobi klapę przed premierą.

Wyszedłem o czwartej i pomaszerowałem przez park, przeskakując nad psimi gównami, mijając zakochanych. Był weekend i próby miały się ponownie zacząć dopiero w poniedziałek. Podczas tego weekendu nie zrobiłem nic poza sześćsetkrotnym wybraniem numeru Richiego. Przemknęło mi przez myśl, że Ginnie najprawdopodobniej zatrzymała się u niego, szczególnie że jej psychika była tak wrażliwa, a Richie tak za-

¹¹⁵ Sam Spade - prywatny detektyw, bohater *Sokoła maltańskiego* Dashiella Hammetta.

troskany. Właściwie to najlepsze i najbardziej logiczne miejsce do zamieszkania. Byłaby z kimś żywotnie zainteresowanym zapewnieniem jej dostatku życzliwości, choćby z tej przyczyny, że od tego zależał dostatek jego samego. Czy ze sobą spali? Mało prawdopodobne. Jak większość tancerzy, Richie był pewnie gejem. A jeśli nie, rozsądek by mu nie pozwolił komplikować spraw wszczynaniem seksualnej relacji z dziewczyną, którą zatrudniał, zwłaszcza z dziewczyną wytraconą z równowagi.

Postanowiłem nie naciskać Richiego zbyt mocno, decydując się w zamian na telefony cykliczne i pozbawione emocji, po prostu żeby mieć coś w rodzaju raportu o stanie Ginnie. Z pewnością Richie powie jej, że dzwoniłem, i będzie wiedziała, jak się martwię. Nie chciałem tylko, by za szybko znaleźli nową dziewczynę, bo mogliby ponownie ruszyć w trasę, zanim będę miał szansę zobaczenia się z Ginnie. W tej kwestii Barry informował mnie na bieżąco. Nie, jeszcze nie znaleźli nowej tancerki, lecz dwie dobrze się zapowiadały - szczególnie jedna, ale chciała mieć za duży udział w zyskach. Negocjowali.

Zadzwoił Arnie Felsen i powiedziałem mu, że jeszcze nie przeczytałem jego sztuki, bo taki byłem zajęty własną. Pełen wyrozumiałości poprosił, żebym przy pierwszej okazji do niego przekreślił. Obiecałem mu to.

W niedzielę zatelefonował Richie. Czy mógłby wpaść po resztę rzeczy Ginnie? Zgodziłem się. Do tej pory zdążyłem już podjąć decyzję o bezwarunkowej współpracy z nim, żeby zademonstrować zarówno jemu, jak i Ginnie swoją chęć zrobienia wszystkiego, co mogłoby pomóc w postawieniu jej na nogi - po czym, miejmy nadzieję, przyznałaby mi prawo do obrony.

Zacząłem przybierać postawę pasywną i to mnie martwiło. Chociaż logika podpowiadała, żeby pozwolić sytuacji dojrzeć, jakiś głosik mówił mi, że im dłużej czekam, tym mniejsze mam szanse.

Richie zjawił się po południu z dwiema pustymi walizkami. Podczas pakowania jej rzeczy (wszystkiego oprócz Sukni Girlaski, którą przed przyjściem Richiego włożyłem do swojej szafy, a przenieśliśmy do szafy Ginnie po jego wyjściu) zachowywaliśmy się obaj bardzo uprzejmie i rzeczowo. Zapytałem, czy znaleźli już zastępstwo, i opowiedział mi dokładnie to samo co Barry; uznałem to za dobry znak. Richie był ze mną

szczerzy. Stwierdził, że Ginnie pracuje szczególnie ciężko, ale z każdym dniem zyskuje większą kontrolę nad sytuacją. W dalszym ciągu jednak nie chce mnie widzieć ani rozmawiać ze mną przez telefon. Richie obiecał przypomnieć jej, że moja sztuka wejdzie na antenę wieczorem w przyszłą niedzielę.

Obiecał też, że jeśli i kiedy znajdą nową dziewczynę, nie wyjedzie z miasta, nie mówiąc mi, gdzie można ich złapać. W zaistniałych okolicznościach na nic więcej nie mogłem liczyć.

Wyszedł z obiema walizami. Ginnie w pakunkach. Miłość poćwiartowana i wyniesiona. Zabójca-dramatopisarz wciąż na wolności, gdzieś w Nowym Jorku. Rasy kaukaskiej, po dwudziestce, głęboka blizna na sercu. Niebezpieczny, kiedy go zaczepi, głupi, kiedy zakochany.

Przyglądałem się wychodzącemu Richiemu i jakoś wyglądał bardziej na heteroseksualnego niż na geja. Z oczywistych powodów wolałbym, żeby miał rozjaśnione włosy, kolczyki z imitacją diamentów i orzech włoski w pępku. A to, że sprawa pozostawała całkowicie poza moim zasięgiem, wcale nie poprawiało widoków na przyszłość, bo nigdy nie radziłem sobie dobrze w sytuacji, w której na nic nie miałem wpływu. Obgryzłem paznokcie aż do mięsa. Jedno za drugim paliłem cygara. I przyglądałem się w lustrze widocznemu tam rozpustnemu facetowi, zastanawiając się, gdzie, ach, gdzie, podział się ten mały chłopiec?

Tydzień przyniósł mi trochę wytchnienia, ustalił się pewien schemat mojego postępowania. Rano kontaktowałem się z Barrym, szedłem na próbę, kontaktowałem się z Barrym po południu, kończyłem próbę, wracałem do domu i jadłem kolację, dzwoniłem od Richiego o ósmej i starałem się złapać trochę snu.

W piątek otrzymałem list od Dona. Dołączony był do niego czek na sto dolarów.

Drogi Benie

W dzień po otrzymaniu Twojego listu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Więc zwracam Ci twoją parszywą setkę dolców, bo komu to potrzebne? W każdym razie dziękuję. Pomogły mi przetrwać parę ciężkich momentów. Reżyseruję w LA dla KTLA-TV. Takie dramatyczne warsztaciki. Zawodowcy bez pracy i amatorzy, którzy nie mają wyboru. Ale jestem na liście płac jako ktoś w rodzaju reżysera

rezydenta. Nie za bardzo wiem, co robię, ale tak samo jest z całą resztą, więc czym tu się martwić? Mieszkam z bardzo wspaniałą dziewczyną, ma trzydziestkę, jest piękna, nie ma kasy i nie ma cycków. Ani chybi miłość.

Trzymaj się. Jeżeli mnie coś mogło się trafić, Tobie też się trafi.

Ucałowania dla Ginnie,

Don

Czułem się jak dupa. Nawet nie pamiętałem, co takiego napisałem do Dona, że tak szybko zwrócił mi pieniądze. Chyba musiało mi wyjść prawdziwe, donośne wołanie o pomoc. W każdym razie wieści o tym, że mu się poszczęściło, były wspaniałe, i zdałem sobie sprawę, jak mi tego durnego gnojka brakowało. Nie widziałem go, odkąd poszedłem do wojska, i, jak dla faceta, był to okres zbyt długi, żeby obchodzić się bez najlepszego przyjaciela — jedyne przyjaciela.

W sobotę, zgodnie z moją rozpiską, próby miały trwać od dziesiątej do drugiej i od trzeciej do piątej, studio 8G w budynku RCA*¹¹⁶. Dotarłem tam wcześniej i po raz pierwszy zobaczyłem sześć zestawów dekoracji, które mieliśmy użyć. Wyglądały realistycznie. Baraki, polowe stanowisko dowodzenia, magazyny, nawet poligon wyglądał prawdziwie. Drut kolczasty, błądźce i ten cholerny, cholerny karabin maszynowy. Mieli kręcić z trzech kamer, każda na wózku pchanym i ciągniętym przez asystenta, zgodnie z jakimiś niewidzialnymi znakami na podłodze studia. Wszystko razem przypomniało mi, jak byłem chłopcem i z dwoma kuzynami - każdy z nas z metalową, zabawkową ciężarówką - puszczailiśmy auta na siebie, w nadziei na jednoczesne, trójsamochodowe zderzenie czołowe. Te trzy kamery wyglądały tak, jakby miało im się to udać. Bo Bóg jeden wie, że nam nigdy się nie udało.

Oprócz tego były tam mile kabli elektrycznych, wijących się po podłodze jak węże bez początku, i ogromne reflektory, tablice elektryczne, wtyczki, wyłączniki - pajęczyna sprzętów, przecinająca podłogę, sufity, ściany, upodabniająca całe studio do dolnej strony szpatułki Jacksona

¹¹⁶ RCA, Radio Corporation of America.

Pollocka*¹¹⁷. Byłem pod wrażeniem, zdjęty podziwem, przerażony. To wszystko narodziło się z mojej sztuczki, jak żaba ze skrzeku. Żeby tylko okazała się tego warta.

Harvey Epstein ponownie kierował całą maszyną. Ani pewny siebie, ani zdenerwowany, zaledwie celowy. Jakimś cudem to wszystko miało dla niego sens. Jakimś cudem potrafił w tym znaleźć drogę wejścia i wyjścia, jak chirurg albo włamywacz, który był na miejscu raz czy dwa. I doznałem przelotnego uczucia pewności. Zniknęło, kiedy okulary Epsteina zsunęły mu się z nosa i, ponieważ nie zdążył ich chwycić, roztrzaskały się na podłodze. Ktoś przyniósł mu drugą parę właściwie w chwili, kiedy pierwsza ulegała zniszczeniu, wszystko idealnie zgrane niczym przekazanie pałeczki w biegu sztafetowym.

Ile par okularów ześlizgnęło się z Epsteinowego nosa w czasie trwania jego kariery? I jakiego rodzaju omen stanowił fakt, że nie zdołał ich złapać? Czy połamane okulary oznaczały niepowodzenie? A jeżeli złapał je trzy razy pod rząd, czy to znaczyło, że będziemy mieli przebój? A jeżeli pękło tylko jedno szkło, a drugie przetrwało? A jeżeli lewe się rozbiło, natomiast prawe miało tylko cienkie jak włos pęknięcie? Jak potoczyłaby się kariera Epsteina, gdyby przerzucił się na monokl i zaczął reżyserować jak von Stroheim*¹¹⁸? Jaka wyrocznia delficka potrafiłaby wyjaśnić znaczenie poślizgowych okularów Epsteina i zachować legitymację członkowską swojego związku zawodowego?

Obsada знаła swoje kwestie, ale przedstawienie okazało się o osiem minut za długie. Harvey Epstein chwycił scenariusz, wykonał pięć cięć na pięciu różnych stronach i - voila - przedstawienie miało przepisowe czterdzieści osiem minut. Czy się ze mną skonsultowano? Nie. Czy się zdenerwowałem? Nie. Ja wyciąłbym całość, a potem zrobił przejście do studia, na muzykę organową. Studio 8G nie cuchnęło jak Saint Nicholas Arena, ale jednak coś tu śmierdziało i mogła to być jedynie moja sztuka. O, gdybym nigdy jej nie napisał i gdyby Tony nigdy nie umarł. Perfidny

¹¹⁷ J. Pollock, malarz amerykański, opracował technikę malarską, polegającą na skapywaniu farby z umieszczonych nad płótnem szpatulek lub łopatek.

¹¹⁸ Erich von Stroheim (1885-1957) - reżyser lubujący się w monumentalnych przedsięwzięciach.

przyjacielu, gdybyś stał dziesięć cali w drugą stronę, ja nie byłbym w eterze, a ty w ziemi.

Gdzieś po drodze zdarzyła się jakaś kolacja, lecz i tak niezauważalnie dla mnie sobota zmieniła się w niedzielę. Po próbie chodziłem po mieście przez całą noc i trafiłem do łóżka dobrze po trzeciej. Obraz Ginnie wciąż wisiał nade mną, kładąc się cieniem na moim sumieniu, ale odpuszczał akurat na tyle, żebym zdołał ciągnąć ten interes zwany życiem.

Od pierwszej do drugiej trzydzieści niedzielnego popołudnia złożyli wszystko do kupy i przelecieli całość. Od drugiej trzydzieści do trzeciej piętnaście Harvey Epstein dawał im wskazówki. Część obsady wydawała się zainteresowana, ale dwójka dyskretnie spała. Gdyby przydzielono ich do 42., zostaliby Poborowymi Tygodnia.

Od trzeciej piętnaście do czwartej trzydzieści mieli koordynowaną próbę na sucho - kamera i obsada. Od czwartej trzydzieści do szóstej dwadzieścia pięć trwała kolacja i charakteryzacja; nie brałem udziału w żadnej z nich.

Barry wpadł do studia zobaczyć, jak się trzymam. Przyniósł mi torebkę solonych orzeszków, które zjadłem po jednym, łykając je jak tabletki arszeniku i żałując, że nimi nie są, chcąc umrzeć i zawodząc nawet w tej kwestii. Barry uścisnął mi dłoń i poszedł do domu. Miał zamiar oglądać z żoną i wiedział, że wszystko pójdzie wspaniale. Ale nawet mówiąc to, wzruszał ramionami we własnym, semickim stylu, jakby chciał stwierdzić: „A jak nie, pieprzyć ich, napiszesz następną. Co oni wiedzą o dramatopisarstwie?”

Ogród oliwny przybliżał się coraz bardziej, niedługo miałem tam zwisnąć na krzyżu. Poprawiłem swoją koronę cierniową, żeby dobrze wypaść przed kamerami, i obserwowałem próbę kostiumową od szóstej dwadzieścia pięć do siódmej dwadzieścia pięć. Oglądałem z prywatnej sali, tylko ja i sprzątaczką. Jej jedynym komentarzem było głębokie i znaczące beknięcie, napełniające powietrze aromatem czosnku, po którym machnęła szczotką i wyszła.

Próba kostiumowa była kompletną katastrofą, która, jak mi powiedziano, dobrze wróżyła właściwemu przedstawieniu, tylko nie dopatrzyłem się w jaki sposób. Naliczyłem dwadzieścia osiem rzeczy, które poszły na opak, po czym przestałem liczyć. Opuszczone kwestie. Kamery zapełniające ekran obrazami pomocników na planie, grzebiących

sobie w gaciach i dłubiących w uszach. Spadające rekwizyty. „Holdoffer” zaczepił stopą o drut i runął jak długi. „Generał McArdle” w scenie, gdzie mnie beszta, zapomniał tej najważniejszej przemowy i zapełnił czas „Chłopcem, który na płonącym stał pokładzie”^{*119}, co uznałem za najodpowiedniejszy tekst.

A w wielkiej scenie, finałowej, scenie, w której w sztuce dochodzi do konkluzji, kto jest winien śmierci Tony'ego - armia czy ja - wysiadły dwa reflektory i wózek z kamerą wyrwał wtyczkę od mikrofonu, więc wysiadł cały dźwięk i nikt nie wiedział, co kto powiedział, co zresztą najwyraźniej gównem wszystkich obchodziło.

Od siódmej dwadzieścia pięć do dziewiętej wieczorem (czas emisji) Harvey Epstein i jego galopujące gogle przeglądali notatki. Miał ich mniej ode mnie. Najwyraźniej jego okulary próbowały dać nogę i przeoczył cały drugi akt. Z dwóch aktorów, którzy wcześniej zasnęli, jeden ponownie zapadł w sen, za co Horrendalny Harvey nieźle mu nagał: „Maxwell, ponieważ to ostatnie w twoim życiu pieprzone przedstawienie, które dla mnie robisz, sugeruję, żebyś dla własnego dobra nie zasypiał. Cztery razy spóźniłeś się ze swoimi kwestiami, dwa razy odwracałeś się w złą stronę. Jeżeli zrobisz to na wizji, następne przedstawienie nagrasz dla radia - w Finlandii. Reszta - w porządku; to się trzyma kupy. Pamiętajcie tylko, żeby utrzymać tempo. Żadnych przestojów. Jeżeli będzie szło za szybko, uprzedzę was w przerwie na reklamy”.

Nie mogłem uwierzyć, że Epstein naprawdę uważał, że przedstawienie trzyma się kupy. Dla mnie wyglądało tak, jakby się rozpadało na kawałki. Pewnie powiedział to, chcąc dodać tym biednym gnojkom odwagi, żeby ruszyli z miejsca - najlepiej w stronę Akron, gdzie sztukę mógłby wystawić lokalny Lions Club, bo lwiatka rozszarpały wszystkie egzemplarze *Philadelphia Story* i do wyboru mieli albo mój tekst, albo *Captain Jinx of the Horse Marines*^{*120}.

Ponownie przeszedłem do sali dla publiczności. Była ósma czterdzieści pięć wieczorem. Nie chciałem z nikim rozmawiać, nikogo widzieć, z nikim być. Chciałem to zrobić całkiem sam, niczym stary kot,

¹¹⁹ Incipit wiersza Felicii Hemans *Casablanca*.

¹²⁰ *Philadelphia Story* - dramat P. Barry'ego; *Captain Jinx of the Horse Marines* - musical C. Fitcha i T. Maclaglena.

który wczolguje się do kąta, żeby zdechnąć. Wiedziałem, że do dziesiątej piętnaście wieści się rozniosą i zostanę ukamienowany, dokądkolwiek się udam, poddani chłopci i biedni wieśniacy pojawią się na progach swych chałup z okrzykiem: „Niech pisze kartki z pozdrowieniami!”.

Pięć minut przed dziewiątą drzwi do sali się otworzyły i weszli: Frank Brokaw, Jerry Kapłan, Jason Kimbrough i jego zabójcza żona oraz cztery pary w średnim wieku, niosące ze sobą taką woń bogactwa, że mogli to być jedynie członkowie rodziny Kempera. Zostałem przedstawiony i wszyscy lśnili uśmiechem jak słońce odbite od aluminium. I wtedy, w najgłupszym momencie, moja sztuka weszła na antenę.

Prezenter zapowiadał podczas czołówki. „Dziś wieczorem Theatre 60 z dumą przedstawia dzieło prowokacyjnego nowego pisarza Benjamin Webbera”. Potem litościwie wszystko się zatarło. Wiedziałem, że moje przedstawienie trwa, widziałem je, słyszałem. Tylko nie potrafiłem zrozumieć jego miejsca w świecie, czemu trwa, co chciałem przez to powiedzieć i kogo to, kurwa, obchodzi.

Godzina dobiegła końca, włączyły się światła w sali, a wszyscy siedzieli i rozmawiali o czymś innym. Potem otworzyły się drzwi i wszedł Harvey Epstein, poprzedzany przez swoje fruujące okulary. Nie wstając, powiedzieli mu, że przedstawienie było świetne, tylko że mówili to z takim samym ładunkiem emocji, jaki włożyliby w zamówienie przez telefon puszek sardynek.

Harvey podszedł do mnie i zapytał, co sądzę o przedstawieniu. Odparłem, że sądzę, że było to świetne przedstawienie. Fotograf zrobił kilka zdjęć aparatem z fleszem, kiedy tak staliśmy i paplaliśmy w sanskrycie. Sala opustoszała, pozostaliśmy w niej tylko Jerry Kapłan i ja. Usiadł koło mnie, obaj zapatrzyliśmy się w milczące monitory.

- Martwiłem się - stwierdził Jerry.
- Ja również.
- Kiedy próba kostiumowa tak dobrze poszła, uznałem, że na pewno zawalimy sprawę podczas emisji.
- Próba kostiumowa dobrze poszła?
- Nie oglądałeś?
- Za późno przyszedłem. Jadłem kolację z przyjaciółmi.
- Poszła znakomicie. Ale kiedy obsada daje z siebie wszystko na próbie, zwykle siada przed kamerą.

- Taa. Trzeba na to uważać.
- Harvey świetnie się spisał.
- Rzeczywiście, prawda?
- Mam być z tobą szczerzy?
- Jasne.

-Był lepszy niż twój scenariusz. Zaproponowaliśmy go pięciu innym reżyserom. Nawet nie chcieli tknąć.

- Za gorący temat?

- Nie. Po prostu im się nie podobał. Harvey uznał, że uda mu się coś z tego zrobić. Mówię to, żebyś sodówka nie poszła ci do głowy, kiedy powiem, że Brokaw chce podpisać z tobą umowę na trzy kolejne oryginalne sztuki na przyszłą jesień. Napiszesz?

- Okej.

- Za każdy następny scenariusz dostaniesz trochę więcej. Tak czy owak, na twoim miejscu postarałbym się nie zapomnieć podziękować Harveyowi. I najpierw jemu dałbym się przymierzyć do twojego następnego tekstu. Pasujecie do siebie, nie uważasz?

- O tak. Pełna komitywa.

- Zadzwoń do twojego agenta. Ustalimy spotkanie. Obgadamy tematy, które mogą cię zainteresować. Moim zdaniem powinniśmy zacząć od razu. Zajmie ci to całe lato.

- Stoi.

Kapłan poszedł i zostałem sam w sali, zastanawiając się, gdzie się podziła moja sztuka i jak to możliwe, że nie widziałem, kiedy wychodziła. Siedziałem tak, dopóki nie wszedł ktoś, kto oznajmił, że zamykają studio. Opuściłem budynek RCA cały roztrzęsiony. Przedstawienie chyba dobrze poszło. Nie skakali jak szaleni, wrzeszcząc „Emmy!”, ale dotarło do mnie, że byli zadowoleni. No i chcieli, żebyśmy napisali coś jeszcze. Fantastycznie.

Piechotą pokonałem milion mil do mieszkania, zastanawiając się, ilu z mijanych ludzi widziało moją sztukę, walcząc z chęcią zapytania: „Proszę pana? Proszę pani? Piesku? Widzieliście moją sztukę? Była o moim przyjacielu Tonym i o tym, jak został zabity. Niektórzy uważają, że to ja go zabiłem, tak jak uważają, że zabiłem swoją dziewczynę. Miała na imię Ginnie. Tańczyła niczym kot. Ruszała się jak marzenie. A ja piszę jeszcze trzy sztuki dla NBC. Myślicie, że ujdzie mi to płazem?”

Mieszkanie zastałem opustoszałe. Przeżyłem przedstawienie, czy przeżyję noc? Wątpliwości wlatywały każdym oknem, wściekle stworzenia wysysające moją pewność siebie. Prowokacyjny dramaturg siedział w domu, zabawiając swoich przyjaciół, którzy cichcem się wynieśli, wznosząc za nich toast *in absentia*. Szklaneczka za Dona Cooka w Kalifornii, następna za Jessicę w locie. Literatka za Alice, naparstek za Susan i butelka za Maggie z Bostonu. A za słodką Ginnie kwaterka pocałunków i skrzynka tego, co być mogło. Bo Wielki Kierujący Ruchem Niebieskim rozpieprzył nasze gwiazdy, zderzając je z kometą, którą była jej matka, i firmament już nigdy nie będzie wyglądał tak samo.

W połowie drogi między schlitzem a dewarsem*¹²¹ zadzwonił telefon. Wymacałem drogę do słuchawki, ale spadła na stół, w końcu jednak chwyciłem cholerstwo za gardło.

- Taa?

- Ben?

- Taa?

- Świetne przedstawienie. Arlene i ja byliśmy zachwyceni. Zaczynasz karierę. - To był Barry.

- Naprawdę ci się podobało?

- Podobało? Nawet zrozumiałem, o co chodzi. Było świetne, bez kitu.

- Chcą, żebym napisał jeszcze trzy.

- Żartujesz!

- Nie. Jerry Kapłan będzie do ciebie dzwonił.

- Mój pierwszy pisarz i okazuje się, że od razu George Bernard Shore. Mam nosa.

- Nie wiesz przypadkiem, czy Ginnie oglądała przedstawienie?

- Cóż... nie sądzę.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, tak?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nie sądzę. Wyjechali dziś do Saint Louis. Nie wiem o której.

- Obiecałeś, że mi powiesz.

¹²¹ Schlitz - piwo; dewars - szkocka whisky.

-Mnie samego uprzedzili dopiero późnym wieczorem. Znaleźli dziewczynę na miejsce Florrie, a hotel Bryant nie odwołał jeszcze ich występów, więc...

-Richie obiecał, że mi powie, kiedy będą wyjeżdżali. Ten sukinsyn mnie okłamał, Barry! Czemu mnie okłamał?

- Nie wiem. Może uważał, że to nieodpowiednia pora.

-Coś ma masę do uważania, kiedy chodzi o Ginnie. Barry, co tu się, do cholery, dzieje?

-Dzieje się, do cholery, życie. Nie dotrzymuję kroku wam, młodym. Sam mi powiedz, co się dzieje, okej?

- Jesteś pewien, że wyjechali?

- Tak. Całkowicie.

- Okej.

-Nie popadaj w depresję. Powinieneś skakać z radości. Nie pozwól, żeby sprzeczulka z dziewczyną zrujnowała ci wieczór. Ben? Słuchaj, Ben! Ben?

Rozłączyłem się i zanurkowałem na samo dno świata. Ginnie nie tylko mnie rzuciła, ale nawet nie widziała mojej sztuki. To ona ją przepisała. Była jej częścią w takim samym stopniu jak ja. Asystowała przy jej narodzinach jak położna i pielęgnowała ją, a teraz odeszła. Wymazana. Koniec, kropka i Richie. Chryste, jak ja nienawidziłem tego gnoja. Moje pierwsze przeczucie okazało się słuszne: Richie martwił się tylko o Richiego, nie o Ginnie, a już z pewnością głównie go obchodził Ben.

Wypiłem jeszcze więcej, beztrąsko mieszając alkohole.

Wszystko, co w butelce albo puszcze, mogło się stać celem mojej rozpacz. Włączyłem radio, znajdując stację równie ponurą jak ja sam. De-lius, *Dwa utwory na małą orkiestrę*. Potem Mahler, druga część symfonii numer siedem - *Lied Der Nacht*. Po niej *Skowronek* Vaughna Williamsa, należycie wzbijający się w niebo, czego jednak nie widziałem, ponieważ byłem w pokoju Ginnie, obnosząc się z moim cierpieniem, nurzając się w jej nieobecności i chyba trochę płacząc, jak mogłaby płakać ona, gdyby sytuacja uległa odwróceniu.

Cholera, ależ ja chciałem mieć ją przy sobie. I, cholera, ależ ja nienawidziłem Maggie za nieodparty urok jej cipy i niepojęty fakt, że była matką Ginnie. Jej matką! Jezu, czy kiedykolwiek w splocie tragikomicznej historii miłosnej zdarzyła się mająca mniejsze pozory

prawdopodobieństwa zagrywka? Czemu Maggie nie mogła być kuzynką Ginnie albo nawet jej ciotką, starą panną? A może paskudną przyrodnią siostrą, wychodzącą na bal, podczas gdy Ginnie musiała zostać w domu i czyścić palenisko? Ale matką?

Stałem pośrodku tego pokoju, który został opróżniony ze wszystkiego, nie licząc zasłon. Bezmyślnie pozwoliłem Richiemu wywieźć wszystkie rzeczy Ginnie. Nie miałem nic, co do niej należało. Nic poza numerem do wydzwaniania w Saint Louis, numerem, którego też nie miałem, bo Barry mógłby mi go dać nazajutrz, zakładając, że Bóg wybrał opcję popieraną przeze mnie i pozwoliłby mi na jakieś nazajutrz, bo mimo udreki nie pragnąłem śmierci. Nie żałowałem, że nie zostałem nienarodzony i nieznanym, a co za tym idzie, niezauważonym. Chciałem wytrzymać, wybić się i sięgnąć gwiazd - pokazać wszystkim, z jakiej jestem gliny, i że mam talent, i wyrobić sobie pozycję i mieć nazwisko.

Pieprzyć ich. Pierdolić wszystkich. Pieprzyć nieosiągalnych i niedościgłych. Pieprzyć Elizabeth Satterly w lśniącej żółci, na zawsze uniesionej przez moją niespełnioną młodość. Pierdolić niewidzialną Alice, wążącą w dłoni moje jądra przed odebraniem mi niewinności. I tłustawą Jessicę, większą niż Oklahoma, właścicielkę największej pizdy, jaka kiedykolwiek ugościła Dziecię Pittsburgha. I Susan, wyciskaczkę pomarańcz, która potrafiła w godzinę wycisnąć z mężczyzny więcej soków niż największy wyciskacz łez. I pierdolić Pat Jarvas, brooklyńskie bara-bara, najszybszą niewydymkę na wschodzie. Pieprzyć ją, chociaż zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, jaka moja sztuka jest cudowna, chociaż zdarłem brązowy papier z tego „czegoś” w szafie Ginnie i odkryłem Maggie Barringer śmiejącą mi się prosto w twarz.

- Halo? Ben? Mówi Pat, okej? Wiem, że to niewiele dla ciebie znaczy, ale twoja sztuka była cudowna, okej?

- Pat?

- Tak.

- Rusz się i przywieź tu swoją pizdę.

- Przepraszam?

- Przyjedź tu... proszę.

- Pragnę cię, Ben.

- Taa?

- Pamiętaj, obiecałam, że następnym razem zafunduję ci francuza?

- Bla, bla, bla. Jezu Chryste, Pat, kiedy wreszcie się zjawisz?

- Jadę.

Przyjechała w mniej niż pół godziny. Właściwie zanim jeszcze zdążyła złapać oddech po tych wszystkich schodach, ściągnąłem z niej ciuchy i rozłożyłem na kościstych plecach. I, udając, że to Ginnie, zabrałem się do niej, jakbym był ostatnim wybijającym i strzelał tak, żeby zapewnić sobie miejsce w pamięci potomnych.

Jej słowa, z niezwykle brooklyńskim akcentem, wydobywały się urywanie - żadnych zdań, nawet żadnych zwrotów, tylko świństwa i zarządzenia, nakazy i wrażenia, opisy tego, co czuła, czego chciała i jak chciała to mieć zrobione.

Pieprzyliśmy się z góry na dół, waliliśmy przy ścianie, zjadaliśmy się na kuchennym stole, wydzieraliśmy się w korytarzu. Wulgarne odzywki i zwierzęce ryki, ostre zwanie w centrum ringu. Bum, bum, bum, wymiana ciosów. Wargi sromowe większe grzmocące, wargi sromowe mniejsze zaciskające się jak pięść, z której cieknie mleko. Penis wwiercający się w złożę, pośladki uderzające z regularnością młota. Zacząłem, pieprząc Ginnie, ale skończyłem, ładując Richiego, i Pat krwawiła i liczyła sińce, bo używałem pięści na równi z penisem.

A kiedy było po wszystkim, kiedy spakowany i zapięty na ostatni guzik szykowałem się do snu, bo ciągnąć to dalej oznaczałoby ją zabić, żadne z nas nie wiedziało, która jest godzina, i nie miało pojęcia, kim jest to drugie. Łóżko przesiąkło i pochyliło się na bok, bo jedna z nóg nie wytrzymała naporu. Pat miała za sobą tyle tak potężnych orgazmów, że nie mogła już ścierpieć mojego dotyku. Celowo skrzywiłem na Pat swoją lancę, uderzając nią nieprzerwanie w chude boki i szpiczaste kości, z nadzieją, że wyszczerbię ją nieodwracalnie, roztrzaskam tak, że nie będzie czego naprawiać. Już jej nie chciałem i marzyłem, żeby się cholerstwa pozbyć.

Zadzwonił telefon, ale zdążyłem zasnąć kamiennym snem, więc Pat odebrała. Ktokolwiek to był, rozłączył się. Piętnaście minut później zdarzyło się to samo, z takim samym finałem. W którymś momencie - rano, któż to wie, kiedy - zaczęła się idiotyczna pogawędka. Specyficznie kobieca, obligatoryjnie męska - zmierzaliśmy się w werbalnej potyczce, ponieważ Pat poczuła się kochana, a ja byłem zbyt dobrze wychowany, by jej uświadomić, że została tylko zerżnięta.

A kiedy sobie poszła, wepchnięta przez niżej podpisanego do taksówki, jak worek z praniem, ponownie obejrzałem portret Maggie. Ginnie przywiozła swoją mamusię do Nowego Jorku i dla uczczenia tej okazji ułożyłem kartkę okolicznościową:

Mamcia w szafie,

Córcia w wyrze;

Zerzniesz obie -

Mózg ci wyżre.

Najlepsze życzenia z okazji załamania nerwowego - Ben.

A teraz obie zniknęły z mojego życia. Maggie dymająca się w hotelowych pokojach, kwintesencja całościowej obsługi hotelowej, a mała Ginnie - *Gdzieś w Saint Louis,*

Tańczy jak marzenie;

Śmieje się dziko,

Mruga oczkiem na scenie.

Gratulacje z powodu tryumfalnego powrotu na środkowy zachód - Ben.

Następnego dnia rano szukałem recenzji swojej sztuki. Nie było żadnej. Kanał Piąty w telewizji WABD, lokalny kanał nowojorski, jako kontrpropozycję wobec Theatre 60 przedstawił wręczenie pożądanых nagród Antoinette Perry*¹²² „za kreatywną doskonałość w teatrze”, więc jeśli chodzi o Nowy Jork, moja sztuka w ogóle nie wystartowała w rankingach.

O tak, widzieli ją w Dayton, Toledo i Dubucjue; może nawet zobaczyły ją pojedyncze osoby w Nowym Jorku, ale ani jeden krytyk. Krytycy zgodnie oglądali Kanał Piąty i potwierdzały to ich kolumny. Wspiąłem się na najwyższy szczyt, lecz nikt nie widział, kiedy zatknąłem tam flagę. Nikt nie widział także Leifa Ericsona, Abnera Singledaya ani

¹²² Prestiżowa nagroda teatralna, nazwana na cześć A. Perry (1888-1946), aktorki i reżysera.

braci Left czy Mae East*¹²³. Jedyne, co zostało z mojej sztuki w porannych gazetach, to zdjęcie „dramatopisarza Benjamina Webbera i pani Jasonowej Kimbrough” - świetna rzecz do obejrzenia dla Ginnie, gdyby była w Nowym Jorku, i niemiła niespodzianka dla Jasona Kimbrougha, którego jakiś gorliwy gazetowy składacz starannie wyciął ze zdjęcia.

NBC i Kemper Aluminium nie zwlekali z zawarciem umowy z Barrym Nadlerem. Przyszło mi na myśl, że mogło to oznaczać wyłącznie powodzenie mojej sztuki i powinienem się targować o więcej. Byłem jednak przeszczeniwy, że nie wyrzucili mnie na bruk, więc przyjąłem ich ofertę w czasie krótszym niż potrzebny na zapalenie papierosa. Trzy tysiące dolarów za pierwszy z trzech scenariuszy. Trzy i pół za drugi.

I cztery siedemset pięćdziesiąt za trzeci. Jedenaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt dolarów za całość, prawie tyle, ile zarobiłbym w 20th przez trzy lata. Tak więc, nie nadając sprawie rozgłosu, zadzwoniłem do Buddy'ego Connorsa, żeby złożyć wymówienie, i wszyscy, z wielu różnych przyczyn, byli tym zachwyceni.

Spotkałem się z Brokawem i Kapłanem, żeby przedyskutować tematy, które mogłyby zainteresować klienta. A potem zacząłem z furją pracować. Jednym z moich celów było, najdłużej, jak się da, unikać telefonów do Ginnie, w nadziei, że zanim w ogóle do tego dojdzie, to ona zadzwoni do mnie. Z pewnością wiedziała, że próbowałem się z nią skontaktować. Jeżeli Richie jej nie powiedział, na pewno zrobił to Barry. I jeśli postanowiła nie reagować na moje usiłowania, musiała być bardzo cierpiąca i po prostu zrobić tego nie mogła lub, zwyczajnie i po prostu, nie chciała. W każdym wypadku jakiegokolwiek dalsze ruchy z mojej strony mogłyby jedynie osłabić moją pozycję i pograżyć mnie we własnych oczach. A niespecjalnie zależało mi na pograżaniu się we własnych oczach, bo jeśli faktycznie miałem zostać telewizyjnym dramatopisarzem numer jeden, potrzebowałem takiej pewności siebie, jaką byłem w stanie zebrać.

Zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia moje życie podlegało przypadkowi i w jak niewielkim stopniu byłem na nie przygotowany. Kilka miesięcy wcześniej pisanie było dla mnie czymś równie egzotycznym jak

¹²³ L. Ericson - legendarny odkrywca Ameryki Pn. (ok. r. 1000), pozostałe nazwiska to antonimy; chodzi o Abnera Doubledaya, wg tradycji wynalazcę bejsbolu, braci Wright i Mae West.

Pago Pago, a Ginnie Maitland zajmowała moje myśli w takim samym stopniu jak Vasco da Gama. Idziesz ulicą, skręcasz w lewo zamiast w prawo i jesteś dentystą, a nie drwalem. Gdybym nie pracował w sklepie tytoniowym Pattersona w Pittsburghu i nie ukradł tam stu dobrych cygar, nie szedł pewną nowojorską ulicą, paląc jeden z tych ukradzionych skrętów, Don Cook nigdy by do mnie nie podszedł, żeby odgadnąć markę cygara, i nic, co spotkało mnie od tamtego momentu, w ogóle by się nie wydarzyło.

Życie nie było z góry rozstrzygnięte. Nie zostało rozpisane na role i obsadzone z wyprzedzeniem, nie uzyskało zgody na wystawienie na podstawie przewidywalnych recenzji. Au contraire, było cholernie ryzykownym zagranem w ciemno, a kości rzucono całe lata wcześniej, na Kubie, gdzie rósł tytoń Maughama, krupierem zaś został mężczyzna o kurdybanowej skórze, w słomianym kapeluszu i wyplatanych łapciach, mieszkający w chacie ze swoją żoną Marią i siedmiorgiem dzieciaków, zrywający liście dla Alfreda Dunhilla, który, sam od dawna martwy, nie miał pojęcia o moim istnieniu.

Brokaw, Kapłan i ja ustaliliśmy trzy tematy dla moich trzech sztuk. Pierwsza - *Magiczny rożek* - miała być jazzową bajką, w której główne role zagrają muzycy jazzowi, ze stale obecnym jazzem w tle. Druga, *Jasnowłosy chłopak*, o morderczej polityce w dziale reklamy pewnej fikcyjnej wytwórni filmowej. A trzecia, *Samotne spojrzenie*, o romansie młodego pisarza i tancerki.

Zacząłem pracę nad pierwszą, ustalając pewien schemat; rano pisanie odręczne, od dwunastej trzydzieści do drugiej trzydzieści przepisywanie na maszynie (zostałem samoukiem) i z powrotem pisanie przez resztę dnia — albo dopóki nie wyczerpały mi się pomysły, dialogi i zapał.

Zadzwoniłem do Arniego Felsena, żeby powiedzieć mu, że jego scenariusz jest dobry. Dziwny był z niego facecik i tak mu zależało na pochwale, że nie mogłem go zawieść. Jeżeli Bóg widział to i słyszał, po prostu musiał przyznać mi ładne parę punktów za paskudne kłamstwa przekazane Arniemu.

Pat Jarvas weszła mi w zwyczaj. Była niesamowicie łapczywą kochanką, przyjeżdżała, ilekroć po nią zadzwoniłem, bez względu na porę, która niezmiennie wypadła po północy. Kochaliśmy się. Utulała mnie do snu. I znikwała - nigdy nie pytałem gdzie.

Zacząłem wykorzystywać udrękę z powodu Ginnie jako negatywny napęd, pragnienie ukarania jej za to, że zostawiła mnie bez konfrontacji, narastało do punktu, w którym zapanowało nade mną. Prowadziło mnie do pracy wcześniej, niż zaplanowałem, i trzymało przy niej dłużej niż zwykle. „Ja jej pokażę”, stało się moim hasłem na sztandary. Nie „W Bogu pokładamy ufność” czy „Nie opuszczaj statku!”, ale „Ja jej pokażę”. Jestem całkowicie przekonany, że takie negatywne napędy są potężniejsze niż tak zwane pozytywne, że ludzie działający pod wpływem odrzucenia, zemsty i niesprawiedliwości zajdą dalej i osiągną więcej niż ci motywowani takimi impulsami ogólnymi, jak sukces, sława i szczęście. Wszystkie dziewczyny, które możesz pieprzyć jutro, nie są tak silnym bodźcem jak dziewczyna, która ci przypieprzyła wczoraj. Nie znajdziesz tego zdania w księdze przysłów, ale mimo to ma swoją wartość, jeśli masz w sobie dość szaleństwa, żeby wyszarpać tryumf z rozpacz i zmienić gnój w melodię.

Praca posuwała się dobrze. Wypracowałem właściwy reżim idący w parze z moją pasją. Sytuacje, w których dyskutowałem o Ginnie z Barrym, stały się rzadsze i zwykle dyskusja przybierała ton profesjonalny, o Trio Pickeringa, a nie o Ginnie i Benie. Było wyraźnie widać, że Barry nie przepada za tym tematem, a jednak przy pewnej okazji zapytałem go wprost, czy w jej życiu jest inny mężczyzna. Po długim namyśle powiedział: „Tak”. I już wiedziałem, że ją straciłem i będę wykorzystywał Ginnie jako ujemne paliwo do napędzania mojej rakiety. Potrafiłem zrozumieć, co czuła - zawsze potrafiłem. Mój problem polegał na tym, że nigdy nie stanęła ze mną twarzą w twarz, co w moim ówczesnym stanie tłumaczyło się jako „nigdy mnie nie kochała”, a dalej „i ja nigdy jej nie kochałem”.

Sam opracowałem swój program. Nie było obok mnie nikogo, kto strzelałby z bata albo wskazywał na przesypany się piasek w klepsydrze. Brokaw i Kapłan wyjechali na lato gdzieś na Long Island. Od czasu do czasu jeden z nich dzwonił, właściwie nigdy nie zapraszając mnie na weekend, tylko sugerując, że gdybym kiedyś zabłądził na wyspę, powinienem wpaść. Wpaść w co - ocean czy ich życie? Nie miało znaczenia, bo nie trafiłem na Long Island, a co za tym idzie, nie musiałem zmierzyć się z zagadką sfinksa.

Zostałem pustelnikiem z Manhattanu, opuszczałem moją jaskinię tylko w poszukiwaniu pożywienia, napoju, ruchu i gazety. Rzadko włączałem telewizor i rzadko wyłączałem wentylator. Pracowałem nad trzema scenariuszami kolejno, tworząc wszystkie w zarysie, zanim któryś zyska wyrazistszy kształt. *Magiczny rożek* był zabawny, dixielandowy i południowy, z dialogiem brzmiącym (przynajmniej dla mnie) jak Tennessee Williams niesiony przez nowoorleański zefir. *Jasnowłosego chłopaka*, intrygujący tekst, zaludniały postaci wyprowadzone z ludzi, z którymi pracowałem w 20th. Znaleźli się tam: Pat Jarvas, Bob Steinman i ja sam, oczywiście. Ale tym, kogo najbardziej chciałem opisać, pozostał Sam Gaynor, ponieważ był większy niż życie i dziesięć razy trudniejszy do zniesienia. *Samotne spojrzenie*, o mnie i Ginnie, wrywałem sobie z bebeczów, i bolało jak cholera. A jednak przy zamianie tego zaprzepaszczonego romansu w coś tak pełnego życia jak nowo narodzona sztuka ból z wolna ustępował, rozpraszany przez dialog, którym wyrzuty sumienia przekształcałem w esencję miłości. Kłamstwa, wszystko to oczywiście kłamstwa, ale co za sposób, żeby pozbyć się smutku i wyprzątnąć złe sny!

Z każdym słowem zostawiałem Ginnie dalej i wciąż dalej za sobą. I jeśli nie zdołałaby dokonać tego jedna sztuka o niej, druga dałaby radę. Pisałbym o niej wiecznie, jeśli tyle czasu potrzeba, żeby zapomnieć. A jeśli miałoby to potrwać dłużej, brzdąkałbym o niej na harfie albo brzdąkał na widłach, bo stałem się człowiekiem-orkiestrą, wygrywającym na jedną nutę - Ginnie o poranku, Ginnie o północy i w południe - niekończąca się aria da capo, dopóki nie ustawię tego jak należy.

Podczas jednego z wieczorów z *Samotnym spojrzeniem* wszystko zrobiło się potwornie przytłaczające i musiałem przerwać. Musiałem wyjść, przejść się, pokopać puszkę, uciec z klatki. Właśnie miałem to zrobić, kiedy zadzwonił telefon. Pat. Przykro jej, że mi przeszkadza, ale czy zechciałbym wpaść do niej na późną kolację? Nigdy nie przygotowywała dla mnie kolacji i zrobiłaby to z rozkoszą, bo jest znakomitą kucharką i weszła w posiadanie kaczki czy czegoś, co jej brat ustrzelił w takiej liczbie, że podrzucił jej jedną sztukę; odparłem, że z przyjemnością.

Idąc spacerem do mieszkania Pat, czułem się jak człowiek, który wie, że wchodzi w pułapkę, ale nie potrafi zawrócić. Biedna Pat szykowała

kolację dla swojego chłopaka. Tam, skąd pochodziłem, oznaczało to dźwięk kościelnych dzwonów i natychmiastowe szycie ślubnej sukni. Nigdy by do tego nie doszło, oczywiście, lecz Pat o tym nie wiedziała. Rozważyłem wyjaśnienie tej sprawy, a pytanie brzmiało: przed seksem czy po seksie? Dżentelmen powiedziałby przed. Ja zamierzałem powiedzieć po, ponieważ doszedłem w życiu do takiego punktu, że własne dobre samopoczucie stawiałem ponad dobrym samopoczuciem innych. Zwykłe prawo dżungli, w istocie drapieżne, z tym wyjątkiem, że niezupełnie byłem zjadliwym mięsożercą, a zaledwie liściożemym łajdakiem, który jeśli w ogóle zabił, to tylko po to, by utrzymać się przy życiu. Brałem od Pat, ale również dawałem. I jeśli dotarłem do punktu, kiedy dawałem więcej, niż dostawałem, wynosiłem się na inne pastwisko, zostawiając ją szakalom. Oczywiście wiedziałem, że będę się czuł podle, ponieważ dość lubiłem tę dziewczynę i jej obsceniczną niewinność, ale dobre zwierzę w czasie potopu ciągnie na wzgórze, a podczas suszy nad rzekę.

Światło świec, muzyka pseudoklasyczna i kaczka nie miały żadnych szans. Pomyślałem, żeby zabrać butelkę wina, i zdążyła zniknąć po kilku dźwięczących, kłamliwych toastach. Na wieczór Pat ubrała się niezwykle starannie, coś z dzianiny zapiętej pod szyję. Było to przemile, prawie wzruszające, i popatrywaliśmy na siebie przez stół znad świecy, którą umieściła tak idealnie pośrodku, że wyglądała, jakby stała na czubku jej nosa.

Pogawędka była niemożliwa i nieznośna, o wszystkim i o niczym. Zacząłem się zastanawiać, czy ewentualny seks był wart ceny tej banalnej preambuły. Wiedziałem, że kutas ze mnie, bo przynajmniej w ten jeden wieczór Pat z pewnością zasługiwała na coś lepszego niż niechętna cierpliwość.

Na deser coś puszystego i kawa, nieco espresso z pływającą na wierzchu cytryną. Pat sprzątnęła talerze, śpiewając *America the Beautiful*, a ja położyłem nogi na stole i paliłem dobre cygaro. Wyszła z kuchni tylko w butach na wysokim obcasie i pasku do pończoch, przekonana, że to mnie rozkręci. Miała rację. Interesujące, że moim głównym zmartwieniem podczas całego seksu nie było utrzymanie kapucyna na baczność, ale podtrzymanie żaru w cygarze. Obie rzeczy udały mi się nadzwyczajnie,

podczas gdy Pat przeklinała i jęczała na swój zwykły sposób, stękała, wrzeszczała i dochodziła, zawsze w tej kolejności.

Na główną atrakcję wieczoru wybrała swój specjalny rodzaj fellatio albo „francuza”, jak to uroczo określała.

- Ben, zrobię ci francuza, jakiego jeszcze nie miałeś.

- Ależ proszę.

- Ty tylko połóż się na plecach, a ja... tak jest, ułóż się wygodnie. O Jezu, ależ jesteś piękny. To jak... muszę tylko... - Nagle przestała.

- O co chodzi? - zapytałem, leżąc na plecach jak basza.

- Chcę zgasić wszystkie światła. Chcę, żeby było tak ciemno, że... - i wyłączyła wszystkie światła. - Nie ruszaj się, kochanie.

- Nigdzie się nie wybieram, skarbie.

- Zaraz wracam. Nie ruszaj się... Po prostu tak zostań, Ben.

Zostałem, na ten moment nie miałem innych planów. Jedynym światłem w pokoju była pomarańczowa kropka mojego gasnącego cygara i leżałem na plecach, kreśląc nim w powietrzu pomarańczowe koła, zabijając czas do powrotu mojej dziewczyny, Francii Marseilles. Usłyszałem ją w drzwiach.

- Pat? - Nie odpowiedziała. - Co ty kombinujesz?

- Ćśśśś.

- Sama bądź cicho. Gdzie jesteś?

- Ćśś.

- Pat? - Słyszałem, jak podchodzi bliżej, i poczułem jej ciężar na łóżku. Jezu, pomyślałem, mała, chudziutka Pat tyle zjadła na kolację?

Poczułem jej rękę przesuwającą się po mojej nodze, po kolanie, po udzie. Sprawiała wrażenie nieco szorstkiej, chropowatej.

- Pat? - zapytałem. Ręka znalazła mojego penisa i chwyciła go. To nie była Pat. To był mężczyzna... i nurkował w poszukiwaniu mojego fiuta. Moja prawa ręka gwałtownie opadła w dół, wymacała łysą głowę i już wiedziałem, kto to taki. Wyrznąłem go obiema pięściami, ale nie puszczał. Czulem jego głowę, twarz, usta, usiłujące mnie wciągnąć. - Ty sukinsynu! - wrzasnąłem, cały czas go młócąc, próbowałem wydłubać mu oczy, wpychając w nie palce, jakby głowa była kulą do kręgli. W końcu głowa odchyliła się do tyłu, a palce puściły, łóżko przekrzywiło się pod jego cielskiem. - Niech cię cholera, Pat! - wrzasnąłem. - Jesteś gdzieś tam! Zapal światło!

Światło zapłonęło i ujawniło na scenie następujące osoby w następujących pozach: Pat stała przy kontakcie, jedną dłonią zakrywając twarz. Łkała, przerażona, na granicy szoku. Miała na sobie zwykły szlafrok i już nie była kościstą ślicznotką. Wyglądała jak słaniająca się na nogach kurwa w ostatnim stadium gruźlicy.

W. Charles Gruber był nagi od głów do tłuscistych stóp, obwisły brzuch Mikołaja wisiał mu nad genitaliami, więc wyglądał, jakby ich nie miał. Siedział na brzegu łóżka z zakrwawioną twarzą, bo uderzyłem go co najmniej pięćdziesiąt razy. Opuchnięty, bez formy. Żałosny.

Ja siedziałem przy oparciu, z nogami rozrzuconymi na boki jak u dziwki w trakcie pracy, z obolałymi pięściami, gorączkowo przeszukując prześcieradła - ponieważ zgubiłem cygaro, a niepotrzebny był mi pożar na dokładkę.

- Ben - Pat z trudem łapała powietrze, walcząc o oddech. - On mnie zmusił. Przysięgam. Proszę. O Jezu.

- Zamknij się, Patricio - powiedział Gruber, zaskakująco spokojny mimo swojego krwawego stanu. - Nie płaszcz się. - Spojrzał na mnie i spróbował się uśmiechnąć. - Myślałem, że będziesz człowiekiem bardziej światowym, Ben.

- Nieprawda - stwierdziłem, wstając i zgarniając swoje ubranie. - Gdybyś tak myślał, złożyłbyś mi propozycję wprost, zamiast podkradać się w ciemnościach, wykorzystując ją na wabia.

- Proszę, Ben... musiałam to zrobić. - Pat była mizerna, wyprana z seksualnego uroku żałości i bezpowrotnie, i wiedziała o tym.

- Ależ z ciebie pierdolony śmieć - powiedziałem do niej. - Żeby mnie wystawiać temu upiornemu drutociągowi.

- Nie ma potrzeby tak mówić - oświadczył Gruber, znajdując ręcznik do otarcia twarzy.

Zaatakowałem go.

- A ty co robisz, używasz jej jako przynęty do wykurzania ciot?

- Byłbyś zdumiony, jak wielu z radością się ujawnia. Ona rozgrzewa dla mnie publiczność, podnosi ich podatność.

- Myślałeś, że ja będę podatny?

- Cóż, miałem nadzieję. Nie ma ryzyka i tak dalej. Sądzę, że mogłeś mi złamać nos.

Pat kipiała gniewem.

- Nie będę więcej tego robić, Charlie! Koniec! Nigdy więcej, ty zasrańcu! Nigdy więcej tego nie zrobię!

- Ależ zrobisz. - Przeniósł spojrzenie na mnie. - Dostaje trzy setki tygodniowo, pod stołem, do tego pensję. I masę fiutów. Wszystko, czego pragnie.

- Bez nadgodzin?

Gruber roześmiał się.

- Ben, mam nadzieję, że jesteś odpowiednio dojrzały, żeby zachować to dla siebie.

- Prawdę mówiąc, myślałem, żeby dać ogłoszenie. Przyniosę je panu do zaakceptowania.

Znów się zaśmiał.

- Cholerna szkoda, że jesteś taki... prowincjonalny. Nikt nie musi wiedzieć... a ja potrafię się odwdzięczyć.

- Nie potrzebuję. Już dla pana nie pracuję. Oszczędłem.

- Pewnego dnia możesz potrzebować poparcia dla sztuki albo wsparcia przy montowaniu filmu. Jesteś dobrym pisarzem, ale i tak może ci to zająć lata. Czemu nie chcesz uznać mnie za drogę na skróty?

- Naprawdę nie chciałbym mówić, za co jestem skłonny pana uznać.

Zachnął się, zirytowany.

- Odmowa to jedna sprawa, obraza to coś całkiem innego. Nie obnoś się tak ostentacyjnie ze swoją heteroseksualnością. To sugeruje, że może się trochę obawiasz.

- Nie obawiam się. Jestem zde gustowany.

- Co do Patricii, nie bądź dla niej zbyt surowy. To tylko biedna pracująca dziewczyna. Chyba przyznasz, że pieprzyła cię po królewsku. I pozwól mi zaznaczyć, że ja robię to lepiej.

- Czy to ma mnie skusić?

- Nie oczekuję od ciebie niczego poza tym, żebyś leżał na plecach i pozwolił, żeby to się stało. Nic wielkiego. Czego się obawiasz?

- Że zrobię panu dziecko i będziemy musieli wziąć ślub.

Nie roześmiał się.

- Lepsi od ciebie pozwolili, żeby do tego doszło, i zgarnęli nagrodę bez uczucia, że narażają się na szwank, zostali splugawieni czy ktoś im grozi.

- Taa? Wymień pięciu.

- Mogę wymienić pięćdziesięciu.
 - W Twentieth?
 - W Twentieth. W NBC. U Kempera. Nie wszyscy są tacy ograniczeni jak ty.
 - Czemu nie pójdzie pan na całość i nie spróbuje z Rockym Marcianem*¹²⁴?
 - Był najlepszym, jakiego miałem.
- Zdażyłem się już całkiem ubrać i Pat spojrzała na mnie ze smutkiem.
- Kocham cię. Nigdy więcej tego nie zrobię. Jeśli nawet już nigdy do mnie nie zadzwonisz, nigdy więcej tego nie zrobię. Będę cię kochać do śmierci, Ben. Przysięgam. - Wyciągnęła rękę, żeby mnie dotknąć.
- Odepchnąłem ją, bez złości, po prostu stała na drodze.
- To by było na tyle, ludziska - stwierdziłem. Wyszedłem i piechotą dotarłem do domu. Nic nie było mnie już w stanie zaskoczyć. Nawet popołudniówka z następnego dnia, która mówiła wszystko.

POTENTAT FILMOWY ŚMIERTELNIE PCHNIĘTY NOŻEM W MIŁOSNYM GNIAZDKU Z SEKRETARKĄ

Żona w szoku i rozpacz. Poszukiwany nieznany napastnik.

W. Charles Gruber, wiceprezydent wytwórni 20th Century Fox, został znaleziony nagi, z ranami od noża, w apartamencie swojej sekretarki Patricii Jarvas, lat 20, na East Side. Był bity w twarz i głowę, miał też złamany nos. Panna Jarvas utrzymuje, że kiedy byli razem, przez okno przy wyjściu przeciwpożarowym wszedł mężczyzna, którego opisuje jako czarnoskórego, w wieku 40-45 lat. Gruber próbował z nim walczyć, ale najwyraźniej nie był dość silny. Według panny Jarvas mężczyzna pchnął Grubera nożem, zabrał jego portfel i zbiegł zejściem przeciwpożarowym. Policja znalazła portfel na podwórzu pod oknem. Zawierał ponad 200\$. Znalaziono również odciski palców panny Jarvas na rękojeści noża. Młoda kobieta utrzymuje, że próbowała wyciągnąć nóż... itd., itd.

¹²⁴ Rocco F. Marciano „Rocky” (1924-1969) - bokser, siedmiokrotny mistrz świata wagi ciężkiej.

Kochana, słodka, brooklyńska Pat Jarvas, rozpaczliwie próbująca ratować skórę, nie wplątała mnie w to w żaden sposób. Zresztą nie mogła, bo wtedy cała sprawa wyglądałaby tak, jakby sama Pat zamordowała Grubera, co bez wątpienia miało miejsce. Dla świata wszystko skończyło się jako jeszcze jedna kolacja rozpustnego starucha z sekretarką - kolacyjka, jakich prawdopodobnie odbyli wiele - tylko tym razem przerwana przez włamywacza. Policję niepokoiło, że włamywacz upuścił pieniądze i uciekł, nie cofając się po nie. Mimo to byli skłonni uwierzyć w historię Pat, ponieważ, co oczywiste, wyłącznie mężczyzna był w stanie zaaplikować Gruberowi takie lanie. A nawet gdyby kobieta mogła to zrobić, gładkie ręce Pat stawiały ją poza wszelkim podejrzeniem. Koroner stwierdził także, że pobicie nastąpiło przed ciosem noża, że ofiara nie była pijana ani nie została otruta, i policja uznała, że Pat jest bez winy.

Trzymałem się od tego z daleka, co oczywiste, bo zarówno dla Pat, jak i dla mnie zostawienie sprawy własnemu biegowi było korzystne. Nie przedstawiono żadnych zarzutów, chociaż w mieście musiał być legion facetów, którzy wiedzieli, że kolacja przy świecach z dziewczyną to coś kompletnie nie w stylu Grubera. W każdym razie on był martwy i z tego powodu został swego rodzaju splamionym bohaterem. Bo chociaż zdradzał żonę, próbował walczyć ze znacznie większym napastnikiem. Tego czarnego nigdy nie zatrzymano. Gdzieś w tym wszystkim tkwił materiał na sztukę - kiedy tylko znajdę na to czas.

Rozdział 20

Ginnie

1952

Przebudzenie było okropne i odwlekałam je, jak długo się dało, rzucając się na łóżku Richiego w ostatnim rozpaczliwym wysiłku, żeby pozostać w świecie snu. Dopóki potrafiłam przekonać samą siebie, że jeszcze śpię, mogłam udawać, że wszystko, co się stało, było snem. Ale prześcieradła zmieniły się w węże, a słońce nie miało dla mnie szacunku i ponure nietoperze w mojej głowie trzepotały już skrzydłami, chcąc się wydostać. Nie umiałam ich zatrzymać i odleciały, ścigane światłem poranka, lecz niedaleko. Nie zniknęły, jak powinno się dziać z koszmarami sennymi, usiadły tylko na słupku łóżka, przeżyły swoje żyłkowane skrzydła i skrzeczały do mnie: „Prawda, prawda, prawda”. W ten sposób człowiek dowiaduje się, że ma kłopoty - kiedy nietoperze nie odlatują. Wszystkie pierzchły, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Richie, nie umknęły jednak przez okno ani do szafy, ale z powrotem do mojej głowy, gdzie miały swoje grotty i gdzie okres najmu zawsze wynosił dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Richie miał dla mnie filiżankę kawy i był bardzo delikatny.

- Dzień dobry, ślicznotko.

Usiadłam i wzięłam kawę.

- Dzięki. Który mamy rok?

- Trudno powiedzieć. Tak długo spałaś. Wiem tylko, że jest trzecia po południu.

- Jakiego dnia?

- Stawiam na czwartek.

- Kochaliśmy się w nocy, prawda?

- Tak raczej bym tego nie nazwał.

- Czy byłam okropna?

- Tylko troszkę szalona.

- Taa? Szczęściarz.

- Nie w tym znaczeniu. Uważam, że to się nie powinno liczyć. Nie powinnaś tego wciągać do akt.

-Jeżeli naprawdę jesteś moim przyjacielem, powiesz mi, że to wszystko wymyśliłam. Wszystko, co się stało. Jesteś moim przyjacielem?

-Tak. I właśnie dlatego muszę ci powiedzieć, że tego nie wymyśliłaś.

- Skąd wiesz, że nie?

-Ponieważ dzwonił Ben. I dzwonił Barry. I wszystko, co mówili, potwierdza to, co opowiedziałas mi wczoraj w nocy.

- A co ci opowiedziałam?

- Że znalazłaś Bena ze swoją matką.

- Co mam zrobić, żeby mnie to nie dręczyło?

-Zaakceptować. Zaakceptuj to jako coś realnego, co się stało, i zrób z tego punkt wyjścia. Masz dziewiętnaście lat. Masę już przeżyłaś. Musisz teraz wykorzystać te dziewiętnaście lat, żeby uporać się z pozostałymi dziewięćdziesięcioma.

-Chcesz powiedzieć, że muszę umrzeć w wieku stu dziewięciu lat? Drzewa żyją dłużej... i żółwie.

- Ale za cholere nie umieją tańczyć.

- Mądrze pomyślane.

-Mam plan. Chcę, żebyśmy natychmiast wzięli się do roboty. Chcę, żebyśmy znaleźli zastępstwo za Florrie, a potem zabrali dupę w troki i ruszali z powrotem w trasę. Ben wydzwania.

- Nie chcę z nim rozmawiać.

- Mówi, że potrafi to wyjaśnić.

- Nie chcę tego słyszeć.

- A co z twoją matką?

- Umarła.

- Ginnie... daj spokój.

-Niech mnie cholera, umarła, serio. To znaczy, mogłaby się tu pojawić i stać na twoim miejscu i w dalszym ciągu byłaby martwa. Tylko by marnowała czas.

- Gdzieś musi być jakieś wyjaśnienie, nie uważasz?

- - Nic nie uważam. Nic. Zero. Chodźmy potańczyć.

Zajęliśmy się przesłuchiwaniami dziewczyn, co uznałam za przerażające. Florrie leżała cierpiąca w Pittsburghu, a my w Nowym Jorku już się szykowaliśmy, żeby ją spisać na straty. Znaleźliśmy salę prób

na uboczu, żeby Ben nie mógł nas odnaleźć - zakładając, że naprawdę nas szukał - Meridian Hall, daleko na West Side, z parkietem tak pochyłym, że czułam się, jakbym tańczyła na pokładzie tonącego okrętu. Z pierwszego rzutu dziewczyn żadna nie była wystarczająco dobra - więc ponownie doceniliśmy Florrie - lecz nie rezygnowaliśmy. Może trafi się nam Ruby Keeler albo Carol Haney*¹²⁵, skośnooka, egzotyczna i z grzywką, chochlikowata, dla większego kontrastu z moim wariactwem...

Wynioskowałam, że Ben dzwonił, a Richie go spławiał. Chociaż tak strasznie chciałam się z nim zobaczyć, nie potrafiłam się zmusić nawet do zwykłej rozmowy. Wiedziałam, że dostałabym takiego szału, że byłoby zero szans na pojednanie. Koncepcję miałam taką, że powoli mi przejdzie i kiedy obiema nogami stanę mocno na ziemi, a szok i ból choć odrobinczkę zelżeją, łatwiej mi będzie wysłuchać jego wyjaśnień. Bo, naturalnie, istniało jakieś wytłumaczenie. Musiało istnieć. I choć byłam w stanie uwierzyć we wszystko, jeśli chodzi o Maggie, nie potrafiłam pomyśleć jeden złej rzeczy o Benie. Tak, pogadam z nim, oczywiście, że pogadam. Tak, zobaczę się z nim, możecie się założyć, że to zrobię. I tak, będzie to musiało nastąpić niedługo, ponieważ bez niego sobie nie radziłam. Przespanie się z Richiem oznaczało tylko tyle, że miałam się kogo przytrzymać, kiedy świat się walił, i po tym jednym razie spałam sama. Claudette Colbert kontra Clark Gable w wykonaniu Richiego.

Tak naprawdę to nawet nie wiedziałam, jaki jest dzień. Wiedziałam jedynie, że w niedzielę wieczorem na antenę wejdzie sztuka Bena i że to będzie początek jego kariery, bo był skazany na sukces. Nie mogłam się doczekać, żeby obejrzeć tę sztukę, rozpaczliwie chciałam być wtedy przy nim, ale wiedziałam, że to nie wchodzi w grę.

Miałam taki plan, żeby zadzwonić do niego zaraz po przedstawieniu, powiedzieć, że było genialne, i zapewnić, że jeśli nawet już nigdy się nie zobaczymy, miło mi, że jest na dobrej drodze do uwielbienia i dobrobytu (sława i bogactwo wydawały się zbyt oklepane). Podobał mi się ten plan. Cholernie melo- dramatyczny, prosto z filmu, który mogłaby pociągnąć tylko śmiałość Katherine Hepburn, ale miał w sobie zimną godność i snobistyczny styl. I przede, przede wszystkim, mógł oznaczać wznowienie stosunków dyplomatycznych, pokazując Benowi, że mam otwarty

¹²⁵ R. Keeler (1910-1993), C. Haney (1924-1964) - aktorki i tancerki.

umysł i wolę wysłuchania jego wersji historii z Saint Regis, po czym moglibyśmy się spotkać na neutralnym terenie, by dojrzałe przedyskutować ten bolesny wrzód na dupie naszego romansu. Prawda była taka - okej? - prawda była taka, że byłam gotowa przebaczyć mu wszystko, bo życie bez niego oznaczało groźbę popadnięcia w szaleństwo, a jeszcze nie zwariowałam, żeby coś takiego ryzykować.

Tego popołudnia Richie pojawił się z walizką, którą przywiozłam z Pittsburgha i zostawiłam u Bena. Powiedział, że Ben podrzucił ją do Barry'ego, co uznałam za niezwykle miłe z jego strony. Ale Richie zachowywał się dziwnie i nie za bardzo chciał o tym rozmawiać, więc zostawiłam temat.

Rozpakowałam się, a ponieważ większości moich ciuchów potrzebne było pranie, tym właśnie się zajęłam. Do tej pory nie potrzebowałam strojów do ćwiczeń, bo to Richie zajmował się przesłuchaniami, a ja notowałam, jak sobie która dziewczyna radziła. Okazało się jednak, że guzik z tego mieliśmy, i Richie stwierdził, że on i ja powinniśmy wykonywać nasze numery razem, żeby lepiej pokazać dziewczynom, jak to według nas ma wyglądać. Co do reszty moich ubrań, wszystkie były u Bena i zachodziły tam w głowę, co się ze mną stało i dlaczego zostały tak okrutnie opuszczone.

Myśl, że Ben ma moje rzeczy, raczej mi się podobała. Stwarzała kolejną okazję, żeby do niego zadzwonić, jeśli telefon w sprawie sztuki by nie zadziałał. Bóg jeden wie, chciałam każdej sposobności do kontaktu z nim i nie miałabym nic przeciw, żeby wpaść do niego i odczytać stan licznika elektrycznego albo wyłożyć trutkę przeciw termitom. Zaczynało mi wyglądać, że jestem beznadziejna w żywieniu urazy i jeśli głupi wietrzyk dmuchnąłby mi w nos dymem z jego cygara, popędziłabym rzucić mu się w ramiona, błagając o przebaczenie i licząc na to, że przyjmie mnie z powrotem.

Świat i wszelkie nadzieje skończyły się, kiedy Richie wrócił ze wszystkimi moimi rzeczami. Zapytałam, jak do tego doszło, a on ociągał się z odpowiedzią. Więc zapytałam ponownie:

- Richie, jak do tego doszło?

-Zadzwonił i powiedział, że bym po nie przyjechał. Przykro mi, Ginie, ale ten facet to kutas. Łapiesz go na gorącym uczynku, a on nawet

nie czuje się zakłopotany. Nie rozumiem, jak w ogóle mogłaś go kochać. Na litość boską, nie widziałaś tego?

- Nie.

- No to teraz widzisz. Poszedłem tam i... cholera!

- Co?

- Ginnie. Miał tam następną dziewczynę!

- Stewardesę? Bo jeśli tak, wszystko w porządku.

- Nie wiem, kim była. Ben ją przedstawił, ale ta dziwka kręciła się półnaga.

- Miała na imię Alice, Susan albo Jessica?

- Nie. Marjorie. Marjorie jakaś tam.

- I nie była stewardesą?

- Jeżeli, to chyba we własnych liniach lotniczych. Miała pierścionek, od którego można było oślepnąć. I naszyjnik... była za stara na stewardesę, Ginnie.

- Może to była moja matka.

- Czy twoja matka ma platynowe włosy i cycki do kolan?

- Moja matka ma brązowe włosy i w ogóle nie ma cycków.

- W takim razie to nie była twoja matka.

- Czy Ben coś powiedział? To znaczy, czy przekazał ci dla mnie jakąś wiadomość?

- Tak.

- Jaką? Richie? Co powiedział?

- Kazał ci przekazać, że przykro mu z powodu twojej matki i że chociaż mógłby to wyjaśnić, właściwie dobrze, że tak wyszło, bo...

- Bo co?

- Bo... tymczasem, jeżeli nie masz nic przeciw, chciałby zostawić sprawy, jak są. I że może innym razem... Mam ciągnąć to gównno?

- Nie.

- To dobrze.

- Bo ja w nie nie wierzę. Na pewno wszystko zmyśla.

- Marjorie nie zmyślił. Widziałem ją.

- To stewardesa. Wpadają tam jak śliwki w kompot.

- Na litość boską, obudzisz się i spojrzysz prawdzie w oczy? Facet to kutas. Ma teraz swoje pięć minut. Nie chce się już pokazywać z gurlaską. A co do Marjorie... masz jej zdjęcie we wczorajszej gazecie. „Pani Jaso-

nowa Kimbrough, dawniej Marjorie Robertson, przybyła do Nowego Jorku na niedzielne przedstawienie Theatre 60 w sieci NBC o dziewiątej wieczorem". Ginnie, to żona klienta. Twój ukochany Ben nie tylko pieprzył twoją matkę, teraz pieprzy żonę klienta! I jeżeli nie dociera do ciebie, w jakim świetle to go stawia, zasługujesz na wszystko, co cię spotyka!

- Ojej.

- Teraz musisz być twarda. Uznaj, że czegoś się nauczyłaś, i zacznij życie od nowa.

- Urocza dama, nieprawdaż?
- Jeżeli się lubi ten typ. Do kogo dzwonisz?
- Do Barry'ego.
- Po co?
- Sprawdzić, czy coś o tym wie.
- Nie wierzysz mi.
- Chcę tylko sprawdzić, co wie Barry.
- Barry wie wszystko. Był ze mną.
- Barry poszedł z tobą zabrać dwie małe torby?
- Ginnie. Zadzwoń do niego.

Zadzwołam do Barry'ego, z Richiem stojącym tuż obok, i spytałam, czy to, co mi opowiedział, było prawdą. Barry bardzo zwlekał, ale ostatecznie oznajmił, że to prawda, poszedł z Richiem i widział tę kobietę, Marjorie, jest mu przykro, a Ben tak go rozczerował jako człowiek, że ma zamiar zrezygnować z niego jako klienta. Zdecydowanie stwierdziłam, że nie będzie to konieczne i powinien zarabiać pieniądze, na czym się da, że byłoby głupotą zrezygnować z Bena z mojego powodu. Barry powiedział, że mnie kocha, i odłożył słuchawkę.

Potem przeprosiłam Richiego, a on utulił mnie w swoich ramionach i płakałam... ponieważ to tak strasznie bolało, ból rozrywał mi kiszki tak paskudnie, że gdyby nie Richie, który mnie trzymał, wpęzłabym do kanału i umarła.

Zdołałam przetrwać następny dzień - ledwo. Coś mnie gryzło. Wszystko, co opowiedział Richie i potwierdził Barry - wszystko to nie wyglądało mi na Bena. Ale nie spodziewałam się również Bena, którego znałam, w ręce mojej matki w hotelowym korytarzu. Więc jedno zносиło drugie.

Co do motywu kłamstwa Richiego, miał jeden - utrzymanie własnego dzieła, przetrwanie Tria Pickeringa. Gdyby Richie uznał, że moje pojednanie z Benem mogłoby zniszczyć lub choćby opóźnić szanse powrotu grupy w trasę, tak, Richie potrafiłby skłamać, pewnie by to zrobił. Bez trudu mógł natknąć się na zdjęcie Marjorie Kimbrough w gazecie i zmyślić całą tę historię, by utrzymać Bena i mnie na dystans, być może obawiając się, że jeśli się zejdziemy, zrezygnuję z występów. Ale w takim razie jakim sposobem zdobył mój bagaż? A Barry? Czy Barry Nadler zgodziłby się współuczestniczyć w takim kłamstwie, wiedząc, jak głęboko mnie to zrani? Nie przypuszczałam. Barry przypominał mi Sy Feina, a Sy Fein nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nigdy.

A jednak wątpliwości nie mijały. Wiedziałam, że istnieje tylko jeden sposób na sprawdzenie, co było prawdą - zadzwonić do Bena. I tak zrobiłam. Dzwoniłam do niego, sama nie wiem ile razy w piątek i sobotę, w weekend poprzedzający wystawienie jego sztuki, używając tej samej dziesięciocentówki, z tego samego automatu przy damskiej toalecie w Meridian Hall. Żadnej odpowiedzi. Cały czas go nie było. Pewnie chodził na próby. Musiałam to ciągnąć.

I dzwoniłabym tak w nieskończoność, ale Los wściubił swój paskudny nochal i w sobotę znaleźliśmy właściwą dziewczynę - fantastyczną tancerkę nazwiskiem Sheila Sawyer. Mniej więcej dwudziestopięcioletnia, miała ten towarzyski szlif, który tak ładnie mógł przysłużyć się przedstawieniu. I szybko się uczyła. Tak naprawdę była znacznie lepszą tancerką niż ja. Jeśli w jej tańcu czegoś brakowało, to humoru. I to idealnie pasowało do naszej koncepcji występu. Ona miała być konwencją, ja smaczkiem.

Richie zakończył negocjacje z nią w mgnieniu oka. Potem zadzwonił do Saint Louis, do hotelu Bryant, i oznajmił, że jesteśmy w drodze i możemy zrobić premierę w środę, tak jak pierwotnie planowaliśmy. O dziesiątej rano w niedzielę siedzieliśmy w samolocie.

Dotarliśmy do hotelu po południu, przed trzecią trzydzieści. Prawie nie znałam Sheili i zapytałam Richiego, czy byłoby w porządku, gdybym przynajmniej w Saint Louis miała własny pokój - bez niego i bez Sheili. Richie uznał, że może tak być, ale gdybym chciała ciągnąć to przez resztę trasy, musiałabym płacić z własnej kieszeni. Był dla mnie twardy, wiedziałam dlaczego i szanowałam go za to.

Zrobiłam sobie spacer po Saint Louis, a potem znów próbowałam dodzwonić się do Bena, doskonale wiedząc, że będzie na próbach. Zadzwoiłam do Florrie w Pittsburghu, sprawdzić, jak się miewa, opowiedziałam, że znaleźliśmy możliwe zastępstwo za nią na tymczasem i nie opowiedziałam o mnie i o Benie, przypomniałam tylko, żeby oglądała sztukę, co zamierzała zrobić. Podczas rozmowy odkryłam, że Monty musiał wrócić do Nowego Jorku, a Richie jeszcze do niej nie dzwonił. Minus dla Richiego. Zaczynał mnie denerwować.

O siódmej wieczorem siedziałam w pokoju hotelowym przed tym strasznie małym telewizorkiem, tak małym, jakby był w stanie wytrzymać tylko piętnastominutowe przedstawienia. Telewizja nie była jeszcze w Saint Louis specjalnie popularna i miałam szczęście, że w ogóle trafił mi się jakiś odbiornik, choćby mały.

Obraz był nie najlepszy - piana i od czasu do czasu fale - ale dźwięk w porządku. Nerwowo kręciłam gałkami od siódmej do dziewiątej czasu nowojorskiego, kiedy to prezenter stwierdził, że zaczyna się *Tony* autorstwa Benamina Webbera, i oniemiałam.

Grali sztukę Bena i oglądałam ją w Saint Louis. Wszystko poszło źle i czułam się nierealna i unieruchomiona. Była dobra. Bardzo dobra. Z początku miałam kłopot z niektórymi osobami z obsady, bo aktorzy wyglądali inaczej, niż Ben pierwotnie ich naszkicował. Ale kwestie szły jak należy, dokładnie tak samo przepisałam je na maszynie, kiedy wreszcie rozszyfrowałam paleolityczne bazgroły Bena. Okazało się, że znałam każdą linię dialogu każdej postaci. I kiedy aktor się plątał albo tracił pewność siebie, podrzucałam mu kwestię... z Saint Louis. I działało.

Wszystko tam było. Cała sztuka. Cała koncepcja *Tony 'ego* - tragedia i pytania o winę, i wątpliwości, komedia i rozpacz. Ben umiał pisać dramatycznie i w samym środku umieścić coś najśmieszniejszego. Nie znałam zbyt wielu pisarzy, którzy potrafili coś takiego zrobić, nie odwracając sensu. Wszystko to płynęło z telewizora, rozlewało się po moim pokoiku w Saint Louis. Dokonaliśmy tego razem, Ben i ja, nasza para. Wypociliśmy to, wysłaliśmy i oto było, widoczne dla całego świata. Świetna sztuka, zwięzła i komiczna, ale jednocześnie przyprawiająca o nerwowe drżenie, bo śmierć cały czas krążyła w pobliżu.

Kiedy się zakończyła, wyłączyłam telewizor i siedziałam, gapiąc się w pusto-szary odbiornik. Przez jedną godzinę Ben Webber rozkazywał

falom powietrza. Mój Ben. Nieważne, że nie byliśmy już ze sobą. Wtedy byliśmy razem, podczas formowania się tej sztuki. Jeśli nawet już nigdy nie mieliśmy być razem, ta jedna godzina z historii świata na zawsze należała do nas. Od dziewiątej do dziesiątej wieczorem jedenastego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego - czas Bena i Ginnie. Nasz czas.

W moim pokoju zrobiło się tak cicho, że nie wiedziałam, co z tym począć. Więc wstałam i biłam brawo, łzy płynęły mi po twarzy, jakby Caruso śpiewał *Pagliacci* dla mnie i tylko dla mnie. Oklaskiwałam talent Bena i krótki czas, który spędziliśmy razem. I biłam brawo dla swojej decyzji, żeby skończyć z tym gównem i zadzwonić do niego i mieć to z głowy, sprawdzić, czy moglibyśmy znowu być razem.

Trochę po jedenastej czasu nowojorskiego zadzwoniłam do mieszkania Bena, cholernie świadoma, że nie mógł jeszcze dotrzeć do domu. Chciałam tylko utrwalić w swoim mózgu zdolność do wybierania tego numeru. Brak odpowiedzi. Zadzwoniłam ponownie gdzieś około pierwszej nad ranem. Odebrała kobieta i odłożyłam słuchawkę. Upewniłam się, że nie wybrałam złego numeru, odczekałam piętnaście minut i zadzwoniłam jeszcze raz. Ta kobieta znów odebrała. Marjorie Kimbrough, bez dwóch zdań, pieprzyła swojego młodego dramaturga w domowych pieleszach. I to był koniec po końcu, który powinien być końcem. C'est fini, cheri. Vive la France i pierdol się.

A w głowie słyszałam łoskot ciężarówek od przeprowadzki, wywożących całą uroczą scenografię mojego krótkotrwałego romansu, wpakowaną następnie do magazynu bez klucza, do którego nie prowadziła żadna droga. Wszystkie śmiechy z naszej krótkometrażówki zostały wepchnięte na ciężarówki i wytlumione, wszystkie radosne nadzieje i namiętne przemowy wydarte ze scenariusza, tak że pozostały tylko nazwiska postaci i krótkie akapity opisujące, gdzie ta pradawna historia się wydarzyła.

I jeśli mogłam mieć jakieś wątpliwości, czy nasz romans rzeczywiście jest zakończony, zniknęły wraz z pojawieniem się następnego ranka nowojorskich gazet. Nie było w nich żadnych recenzji sztuki Bena. Zamiast tego zdawały relację z wręczenia nagrody Antoinette Perry. Ale w „Daily News” znalazło się zdjęcie - „Pani Marjorie Kimbrough i dramaturg Benjamin Webber” - znakomicie wymierzony kopniak w głowę i celny cios w moje dziewiętnastoletnie ego, które, ślubowałam, nie zostawi mnie

tak ufnej jak milion lat wcześniej, kiedy miałam osiemnaście lat i cały świat leżał mi u stóp.

Zawsze jest następny poranek. Zawsze przychodzi. Jeśli nawet noc ciągnie się bez końca, zegar ani drgnie i pastylki nie skutkują, następny poranek zawsze nastaje. Niekoniecznie zmiata wszystkie brudy, ale w ten czy inny sposób tasuje karty do następnego rozdania z zupełnie inną stawką.

Nie jestem silną osobą, nigdy nie byłam. Być może udawało mi się nabierać ludzi, żeby tak myśleli, szczególnie z powodu mojego szokującego słownictwa, być może udawało mi się nawet nabierać samą siebie, ale konstrukcję zawsze miałam chybotliwą, mimo że z wierzchu wyglądała solidnie. W ten właśnie sposób zawsze patrzyłam na swój statek. Od linii wody w górę - pancernik i lepiej zrób mu miejsce, kiedy mijają twoją szalupę. Ale poniżej linii wody poszycie jest słabe, sworznie zużyte, balast się przesuwają i rozkołysane dno wciąż wali mnie w tyłek.

A jednak, dopóki kapitan stoi prosto i steruje jak należy, jest w stanie manewrować świetnym statkiem Lizaczkiem*¹²⁶ i przeprowadzić go przez sztorm. Byłam tego rodzaju kapitanem - wciąż jestem. I nie chodziło tylko o to, że sama się okłamuję. Znaczna część z tego polegała na pragmatycznej świadomości, że jeśli statek straci równowagę, załoga wyskoczy za burtę, a kapitan zostanie sam na mostku, salutując, wyprężony jak strzała, podczas gdy Lizaczek tonie w morskiej wodzie. I to coś, co wypełnia płuca, to nie rum ani nektar, to sól i gówno. A piosenka, którą grają, to nie walczyk, tylko *Bliżej mój Boże do Ciebie*.

Więc okej, wzięłam się w garść na resztę podróży. Jeżeli nawet Ben Webber okazał się rozczarowaniem, nie pozwolę, żeby zatopił mój statek. To, w jaki sposób on i moja matka znaleźli się w tym pokoju, ze mną pod drzwiami, nie stanowiło dłużej istotnej kwestii. Podobnie Marjorie Kimbrough i wszystkie jego kobiety przede mną i po mnie. Istotną kwestią byłam ja. I pytanie, jedyne pytanie dotyczyło kwestii, ile świeżego żagla mogę rozwinać, żeby wyprowadzić swoją dupę z tego obszaru morskiej ciszy?

¹²⁶ Świetny statek Lizaczek - nawiązanie do piosenki *Good Ship Lollipop* z filmu *Bright Eyes* z Shirley Tempie (1934).

I rzeczywiście nastąpiła cisza na morzu, poczynając od chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że Sheila nie ma własnego pokoju jak ja, ale gnieździ się z Richiem. Odkryłam to, podnosząc słuchawkę i prosząc z Sheilą Sawyer, bo zdawało mi się, że powinniśmy poznać się lepiej, a jaki moment mógłby być lepszy niż śniadanie. Centrala stwierdziła, że nie mają zameldowanej Sheili Sawyer, ale być może to ona jest panią Pickering. Byłam zaskoczona, ale na pewno nie zszokowana, ponieważ wyglądało na to, że właśnie tak pracował Richie. Kochał się ze mną, raz, żebym się nie załamała i dla ratowania występu. Z podobnych powodów będzie kochał się z Sheilą i przy okazji zaoszczędzi na pokoju.

Ciekawy człowiek ten Richie Pickering, rekin, lecz niepo- zbawiony talentu - i moje morskie przeciwieństwo. Kiedy płynął, nad powierzchnią sterczała tylko płetwa grzbietowa, przecinając wodę bez widocznego pośpiechu. Wybierał trasę radośnie okrężną, ulegle i niespiesznie. Ale pod powierzchnią kryły się same zęby, chciwy zabójca bez sumienia i wyprany z żalu, niezachwianie podążający przez ławice mniejszych rybek, z motywem przewodnim: „Proszę kolację dla jednej osoby, James” i zawołaniem: „Wypierdalać mi z drogi”.

W porządku, rozumiałam to. Nie różnił się tak bardzo od Bena, jeśli nie liczyć trochę, być może, większej otwartości i, bez wątpienia, większej zachłanności. Zdaje mi się, że Ben nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić, natomiast Richiego kompletnie to nie obchodziło. Co do tego, który byłby bardziej niebezpieczny dla Śledziowej Sally, należałoby wskazać na Bena, bo jeśli zbliżał się Richie, dało się zauważyć, natomiast Ben pozostawał niewidoczny, dopóki nie było po wszystkim.

Miałam silne postanowienie wykazać się dojrzałością. W końcu Richie był wolnym człowiekiem, a Sheila stuprocentową pizdą. Nawet nie byłam zazdrosna. Ten jeden raz, kiedy kochaliśmy się z Richiem, miał dla mnie zaledwie znaczenie lecznicze. Piękne ciało Richiego zapewniało dziewczynie wszystko, czego mogła chcieć, ale wszystko to było trochę zbyt starannie obmyślane, jak jego łatwa do przewidzenia choreografia, podczas gdy moją najmocniejszą stroną pozostawała spontaniczność i namiętność.

Do Sheili jakoś nie potrafiłam się przekonać, szczególnie odkąd się okazało, że była mężatką. Jej mąż, aktor, przyleciał z Nowego Jorku na premierę w Saint Louis i wówczas - na jedną noc - miała własny pokój.

Przedstawienie poszło znakomicie. I jeśli nawet Sheila nie tańczyła z rzetelnością Florrie, to z królewską wyniosłością, która pięknie zadziałała, gdy ja, kłown, zjawiłam się, żeby popsuć występ.

Mężczyźni nagabywali mnie nieustannie. Potrzebowałam tego, ale nic z tym nie robiłam. Wiedziałam, że powinnam, i czasem nawet chciałam, ale jakoś miałam świadomość, że od tego zaczęłoby się kurestwo, a nie czułam się gotowa zapuścić w ten teren. Saint Louis było w związku z tym ponure. Podobnie Cincinnati i Minneapolis oraz Dayton i Louisville. Do tego czasu Florrie wróciła już do Nowego Jorku, gdzie specjalista kazał jej zainteresować się tkactwem. Nie doszło do tego, ponieważ po-
brali się z Montym. I jeśli nawet kuśtykała kościelną nawą, nie widziałam tego, bo nie mogłam pojawić się na ślubie.

Kochali się, Florrie i Monty. Była z nich para autentycznych świrów, ale się kochali. A mnie dobrze robiła świadomość, że to możliwe, bo da-
wało mi to cień nadziei w świecie, który zaczęłam uważać za całkowicie
wypełniony obłęsnością.

W Louisville, pewnej deszczowej niedzieli, Richie ogródkami zapytał, czy chciałabym się przyłączyć do niego i Sheili w popołudniowym *me-
nage a trois*. Stwierdził, że byłoby zabawnie i że Sheila, chociaż nie les-
ba, miała na mnie chętkę. Podziękowałam mu za uprzejme zaproszenie,
lecz wyjaśniłam, że przez jakiś czas zamierzam trzymać nogi razem. Ri-
chie roześmiał się, i padało jak cholera.

Lato trwało. Wlokło się, ale trwało. Jedyne wieści na temat kariery
Bena, jakie do mnie dotarły, pochodziły z krajowej kolumny w „Cincin-
nati Enquirer”, gdzie wspomniano, że NBC podpisało z nim umowę na
trzy kolejne oryginalne dramaty. Czyli wystartował.

Każdego mijającego dnia było mi nieco łatwiej przetrwać z dala od
niego. A jednak nigdy całkiem nie opuszczał moich myśli. Wiedziałam,
że wszystko to wymaga czasu i byłoby łatwiej, gdybym znalazła sobie
innego kochanka. Ale jakoś nie mogłam. Żaden mężczyzna, którego
spotkałam podczas tournée, nie chciał intelektualnego, towarzyskiego czy
choćby wesołego wieczoru, chcieli tylko pójść do łóżka, i jak to możliwe,
że nie potrafiłam ich zrozumieć? Oto czym się kończy noszenie kusych
kostiumów i żółtego końskiego ogona. Taki osprzęt zdecydowanie źle
świadczy o charakterze dziewczyny.

Mojego wojowniczego nastawienia nie złagodził fakt, że kiedy wróciłam do Nowego Jorku, poszłam prosto do Barry'ego Nadlera, który trzymał kasę, i tam się dowiedziałam rzeczy następujących: Po pierwsze, Sheila dostała więcej pieniędzy niż ja. Po drugie, z mojego wynagrodzenia potrącano należność za pokój, podczas gdy Sheila, która mieszkała z Richiem, nie miała żadnych potrąceń.

Wydarłam się na Barry'ego, podnosząc głos jak przekupa. Powiedziałam mu, co wszyscy mogą sobie zrobić z Triem Pickeringa. Stwierdził, że to jawna, skandaliczna niesprawiedliwość i że poruszy tę sprawę z Richiem. Wskazał mi również, najmilej jak potrafił, że mieliśmy zakontraktowane kolejne występy - i to nieźle płatne - i zamiast składać wymówienie, lepiej bym zrobiła, gdybym zaczęła się rozglądać za mieszkaniem. I tym mnie zażył.

Nie miałam się gdzie podziąć. Jasne, mogłam się z powrotem wprowadzić do Richiego. W końcu Sheila musiała przecież wrócić do swojego głupiego męża, więc łóżko, wikt i opierunek u Richiego były znów do wzięcia. Naszła mnie smakowita myśl - zadzwonić do Marty'ego Sawyera i powiedzieć mu

o jego pięknej żonie i Richiem Pickeringu - ale wiecie co? Nie potrafiłam tego zrobić. Coś w rodzaju tradycji, nie pytajcie jakiej. Mogłabym zabić Sheilę, mogłabym wlać jej kwas do cipy i sprzedać efekty dźwiękowe do jakiegoś horroru, ale nie mogłam powiedzieć jej mężowi, że się puszcza. To było jedyne tabu, jedyna rzecz, której nie wolno mi było zrobić. Głupie jak stosowanie zasad markiza Queensbury*¹²⁷ do grupowego seksu, ale tak wyglądało niepisane prawo i przeklęta niech będzie girlaska, która je złamie.

Zapytałam Barry'ego, czy mogłabym zostać u niego w biurze, bo miał pokój na zapleczu, z kozetką, na której często ucinał sobie drzemki. Zapewniłam go, że to tylko do czasu, kiedy znajdę sobie nowe mieszkanie. Stwierdził, że w porządku,

1 o szóstej trzydzieści poszedł do domu, mówiąc mi dobranoc i kręcąc pirueciki jak żydowski Jimmy Durante.

No i proszę, moja pierwsza noc w Nowym Jorku i byłam równie samotna jak w noc wielkiego pożaru w moim ślicznym mieszkanku w

¹²⁷ Markiz Queensbury - brytyjski arystokrata, który w 1867 sformułował zasady współczesnego boksu.

Greenwich Village. Natychmiast pomyślałam o Rolandzie Jessupie i zadzwoniłam do niego. Telefon odebrał jakiś niezwykle elegancki pedał i powiedział, że Roland wyjechał z miasta... do Xanadu czy coś w tym rodzaju. Zastanowiłam się, do kogo jeszcze mogłabym zatelefonować, bo zaczynało się ściemniać, Barry'ego nie było już od dwóch godzin i naprawdę nie chciałam zostać sama z telefonem na resztę nocy.

Do kogo jeszcze mogłam zadzwonić? Do Florrie? Wyjechała na miesiąc miodowy - na Wyspy Dziewicze. Do Rolanda już próbowałam. Do Alana Bradena? Pewnie nie doszedł do siebie po tamtej jednonocnej przygodzie z Ginnie Złotą Rączką. Do przyjaciółek? Nie miałam żadnej. Żałosna sprawa.

A co z Benem Webberem? Kiedyś był z niego miły facet. Może on chciałby ze mną pogadać. Drżąc, wybrałam jego numer. Dwa sygnały i potem odebrał. A ja natychmiast odłożyłam słuchawkę, przerażona. Usłyszałam jego głos. To było jak słuchanie Boga. Wciąż go kochałam. Przekleństwo. Nienawidziłam się za ten telefon, ale spodobała mi się myśl, że kiedy tylko zechcę, mogę wybrać numer i usłyszeć jego głos. Fajnie. W ten sposób sukinsyn zawsze będzie w pobliżu. Kiedy przestanę się tak zachowywać? Kiedy będę dość dorosła, by pogodzić się z faktem, że kochałam i przegrałam, i zostałam wykorzystana, i poszłam w odstawkę, zostałam wymieniona na coś o większej wartości?

Usłyszałam przekręcanie gałki w zewnętrznych drzwiach. Co za głupota, zapomniałam je zamknąć. Stałam bez ruchu, kiedy ten mężczyzna wchodził do środka i już widziałam gazetowe nagłówki następnego dnia - „Głupia tancerka okaleczona i zamęczona na śmierć, ciało znaleziono w biurze agenta. Policja podejrzewa spisek”.

To był Richie, i uśmiechnął się do mnie w obleśnie ojcowski sposób.

- Barry stwierdził, że tu będziesz.
- Byłam, ale wyszłam.
- Twierdzi, że jesteś ze mnie niezadowolona.
- A nie powinnam?
- Mam twoje pieniądze. Jestem zaskoczony, że Barry ci nie powiedział.
- Wyjaśnij mi to, proszę.

- Pieniądże potrącone za pokój. Plus pieniądze, żeby podwyższyć twoją płacę powyżej pensji Sheili. Proszę. Wychodzi ponad trzysta dolarów. Musiałem tak to załatwić, Ginnie. Sheila nalegała.

- Dlaczego?

- Bo to dziwka. Nie lubiła cię. Autentycznie musiała zobaczyć zmiany we wszystkich kontraktach, takie jak chciała, bo inaczej zostawiłaby nas zaraz po przyjeździe do Saint Louis. A bez niej nie byłoby występu.

- I z miejsca się do ciebie wprowadziła.

- To też był jej pomysł.

- Poprosiłaś, żebym się do was przyłączyła w tamtą deszczową niedzielę.

- Tak samo jej pomysł. Między innymi lubi podglądać. Uznała, że milutko byłoby popatrzeć, jak się zabawiamy.

- A teraz, kiedy wróciła do męża, ja mam przejąć pałeczkę.

- Niezupełnie. Chcę, żebyś miała gdzie mieszkać. Jeżeli nie chcesz iść ze mną do łóżka, w porządku. Po prostu nie mogę patrzeć, jak śpiesz w tym parszywym biurze.

- A kiedy znów pojedziemy w trasę? Co wtedy? Ona się wprowadza, a ja wyprowadzam?

- Ona wypada. Wypada z występów.

- Dlaczego?

- Bo jej mąż się dowiedział i skopał jej dupę. Ma rozwaloną twarz. Żaden makijaż tego nie przykryje. Ma też kilka zgruchotanych żeber. Zadzwoiła do mnie niespełna godzinę temu, w ustach miała tyle gazy, że ledwie mogłem ją zrozumieć.

- Kto powiedział Marty'emu?

- Żartujesz? Myślałem, że ty.

- Piękne dzięki.

- Słuchaj, Ginnie, myśl o mnie, co chcesz, jestem jednak realistą. Sheilę mogę wymienić, ale ciebie nie. Mamy prawie miesiąc, żeby kogoś znaleźć. Noah Sobel chce nas mieć w dwóch przedstawieniach na jesieni, a Barry załatwił nam Rivierę na trzy tygodnie, razem z Howardem i Birchchem. Wziąłem Sheilę z całym jej świrem, bo z tych dziewczyn, które widzieliśmy, tylko ona nie miała dwóch lewych nóg, sama wiesz. Teraz, kiedy zrobimy przesłuchanie, poszukamy nie tylko dobrej tancerki, ale takiej, która nie ma pierdolca.

- Nie chcę się do ciebie wprowadzać, Richie. Na wszystko masz odpowiedź. Jestem przez ciebie nieszczęśliwa.

- Okej. Rozumiem. Ale zostać tutaj to głupota. Pomieszkaż u mnie, dopóki nie znajdziesz innego mieszkania, zgoda? Utrzymam politykę „ręce z daleka”. Okej? No, chodź.

Chwycił moją torbę i poszedł za nią do windy, gdzie stał przyciśnięty do ściany, uśmiechnięty, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, jak daleko od ciebie się trzymam?”.

W taksówce siedział właściwie na podnóżku, którego w tym aucie nie było. I zaniósł moją torbę do mieszkania w taki właśnie sposób, jakby zajmował się tym zawodowo. A kiedy weszliśmy, próbował się ze mną kochać, lecz się nie zgodziłam. Był zirytowany, potem machnął ręką, uznając, że mnie dorwie, gdy będę w bardziej rozrywkowym nastroju. Ale się pomylił. Nigdy więcej nie uprawiałam z nim seksu. Nigdy. W życiu.

Zawsze przeglądałam gazety w poszukiwaniu czegoś o sztukach Bena. Jedną znalazłam w programie - *Magiczny rożek*. Jazzowa bajka. Sal Mineo grał głuchoniemego dzieciaka, któremu dostała się taka czarodziejska trąbka, co to zagra tylko wtedy, gdy on w to uwierzy. Ralph Meeker¹²⁸ był jego starszym kumplem, pianistą. A wszystkie pozostałe role odgrywali jazzowi muzycy, tacy jak: Vic Dickenson, Milt Hinton, Ernie Caceres, Pee Wee Russell i Jimmy McPartland¹²⁹, wspaniały kornecista, jako czarny charakter. Coś pięknego, naprawdę wzruszającego. Recenzje generalnie były dobre, ale tylko Bob Salmaggi, krytyk muzyczny „New York World Telegram and Sun” naprawdę zrozumiał, o co chodziło, pisząc, że pierwszoplanową rolę przyznano muzyce, a aktorzy zostali na drugim planie. Zadzwoiłam do mieszkania Bena, żeby usłyszeć jego głos - i odłożyłam słuchawkę. Znów miałam odjazdy i musiałam wiedzieć, że jest gdzieś blisko.

Znaleźliśmy kolejną dziewczynę, Dolores Murphy. Idealną. Błada cera, ciemne włosy, niebieskie oczy - irlandzka i niezbyt lotna. Miała olśniewającą osobowość winogrona. Ale kiedy tańczyła, to było zupełnie

¹²⁸ S. Mineo (1939-1976) - aktor, R. Meeker (1920-1988) - aktor.

¹²⁹ Muzycy jazzowi: M. Hinton (1910-2000) - kontrabasista; E. Caceres (1911-1971) - saksofonista; P. W. Russell (1906-1969) - klarncista; J. McPartland (1907-1991) - kornecista; B. Salmaggi - krytyk teatralny.

coś innego. Niesamowite nogi, ciało z gumy i taka prezencja na scenie, że jeśli ktoś się z tym nie urodził, potrzebuje dziesięciu lat, żeby do czegoś podobnego dojść.

Dolores szybko się wpasowała. Jedyne problem był taki, że Noah Sobel martwił się, czy telewizyjna publiczność się zorientuje, że od czasu ostatniego występu Tria Pickeringa w *Joey Magnuson Show* jedna z dziewczyn została wymieniona. No więc kiedy tylko Florrie wróciła z miodowego miesiąca, poproszono ją, żeby wpadła, bo ludzie od charakteryzacji chcieli spróbować upodobnić do niej Dolores.

Musieliśmy oczywiście opracować nowe numery, ale i tak trzeba było to zrobić, bo do tego czasu nasze stare przestały wyglądać na improwizację, a ja po prostu nie byłam dość dobrą aktorką, żeby wyjść na scenę i sprawiać wrażenie tańczącej po raz pierwszy. No a na występy w Rivierze, z Howardem i Birchem, po prostu musieliśmy wyglądać jak spod igły, świeżo i kwitnąco. W sumie Richie tak się obawiał premiery tam, z numerami wykonywanymi wcześniej w telewizji, że opracowaliśmy dodatkowe specjalnie dla Rivier.

Wystąpiliśmy w pierwszym z zaplanowanych *Joey Magnuson Show*. Dwa numery, jak wcześniej. Poszło gładko, nowość materiału ułatwiła mi sprawę, kiedy wyszłam zrobić swoje. Pierwszy numer był oczywiście normalny, ale drugi opierał się na moich zdolnościach do robienia zamieszania. No to zrobiłam zamieszanie. Nawet orkiestra ryczała ze śmiechu, a reżyser miał dość refleksu, żeby skierować kamerę na Joeya i Marę- -Jayne, którzy pokładali się za kulisami. Każdy, kto oglądał telewizję, musiał się zorientować, że całość była spontaniczna, improwizowana i strasznie śmieszna.

Pojawiła się następna sztuka Bena, zaledwie trzy tygodnie po *Magicznym rożku*. Zaczynał być sławną osobistością i w gazetach znalazło się mnóstwo materiału na temat sztuki, zanim jeszcze weszła na antenę. Nosila tytuł *Jasnowłosy chłopak* i Jackie Cooper grał w niej Bena; coś w rodzaju zakulisowego dramatu w dziale reklamy wytwórni filmowej. Recenzje były pełne podziwu, jeśli nie wręcz niesamowicie entuzjastyczne. I wszyscy krytycy zgodnie twierdzili, że Ben jest pisarzem wartym uwagi. A jednak pewna osoba musiała być niezłe wkurzona z powodu przedstawienia, a mianowicie Sam Gaynor, którego Ben przemianował na Rona Garnera i uczynił w sztuce czarnym charakterem.

Oczywiście znów zadzwoniłam do Bena, po przedstawieniu, i rozłączyłam się, kiedy odebrał. A później płakałam i poczułam się lepiej, a potem gorzej, chciałam umrzeć, ale dość już wiedziałam o życiu, żeby jednak wytrwać. Pewnego dnia, pomyślałam, i to niedługo, będę musiała się odezwać, kiedy on powie: „Halo”. Pewnego dnia. Bardzo niedługo. Może po jego następnej sztuce. Może nie, ale może tak.

Zaczęliśmy próby naszych numerów do występów w Rivierze i byliśmy bardzo zajęci, bo za kilka tygodni mieliśmy jeszcze do zrobienia kolejny *Joey Magnuson Show*. Praca, praca, praca.

Wyszło na to, że kiedy tylko skończyliśmy ostatni *Joey Magnuson Show*, przenieśliśmy się prosto do Fort Lee w New Jersey, gdzie znajdowała się Riviera, i tam, na ich obszernej scenie, zaczęliśmy próby. Noah Sobel chciał podpisać z nami umowę na kolejny występ, może dwa, lecz Richie rozgrywał sprawę na zimno, bez pośpiechu i z namysłem.

Trzeba przyznać, że Normie Birch był kompletnie stuknięty. Komik, rzucał na scenie talerzami, tańczył na wykrzywionych na zewnątrz kostkach, robił miny i rozśmieszyłby nawet skazańca. Gary Howard, druga połowa z pary, zasadniczo był romantycznym piosenkarzem, ale z domieszką czystego szaleństwa. Próby miały w karnawałowej atmosferze, bo wyglądało na to, że poza Richiem nikt niczego nie bierze na poważnie, a po jakimś czasie nawet on przystosował się do takiego rytmu.

Pojawiła się trzecia w sezonie sztuka Bena i dosłownie zwała mnie z nóg. Romans - *Samotne spojrzenie* — i najwyraźniej o Benie i o mnie; Jack Lord grał Bena i Janice Rule*¹³⁰ mnie. Jediną różnicą było to, że sztuka miała happy end, dramaturg zenił się z tancerką i cały świat tonął w różach.

Zanim zadzwoniłam do niego po przedstawieniu, zdecydowałam, że powiem mu, kim jestem, wlewając w siebie dwie szkockie dla kurażu. Ale zgłosiła się centrala i powiedzieli mi, że pod tym adresem nie mają już zarejestrowanego Benjamin Webbera. W ogóle nie mieli zarejestrowanego Benjamin Webbera poza Benjaminem J. Webberem z Bronxu, hydraulikiem, i Benem T. Webberem, szewcem z Queensu.

¹³⁰ J. Lord (1920-1998) - aktor; J. Rule (ur. 1931) - aktorka.

Tak więc moja skromna próba zjednoczenia wyszła na opak. Za skromna, zbyt późno. Ben zmienił numer telefonu i być może nawet się przeprowadził. To zabawne mieszkanie, to miłosne gniazdko - być może już go tam nie było. Jeśli tak, musiałam o nim myśleć, jakby stamtąd zniknęło. W ten sposób mniej bolało. Wszystkie mosty prowadzące do Bena płonęły, a ja nawet nie zapaliłam zapalki. Samozapłon albo niepowstrzymany upływ czasu - cokolwiek to było, przeszłość traciła barwy, a moje durne serce pękało na kawałki. O, gdzież jest ta dziewczynka, która w niedzielę jeździła na kucykach i siadywała na kolanach tatusia?

Recenzje *Samotnego spojrzenia* były fantastyczne, a Ben został obwołany pisarzem, który zna się na wszystkim - komedii, dramacie, romansie, bajce, fantazji - całym asortymencie. I dwóch krytyków zastanawiało się, kiedy telewizja straci go na izecz Hollywood. Podejrzewali, że wkrótce.

Mieliśmy premierę w Rivierze i - nuda, nuda - staliśmy się przebojem. I to naprawdę. Zaczęło się w porządku. Weszliśmy po Tancerzach Dona Ardena*¹³¹, którzy otwierali show. Pierwszy numer wykonaliśmy normalnie, dostaliśmy brawa i zeszliśmy. A potem wróciliśmy. To znaczy wrócili Richie i Dolores. Ja tkwiłam za kulisami, czekając na swoje wejście z improwizacją. Ale zanim zdążyłam coś zrobić, zjawił się szalony Normie Birch w baletowej spódniczce, z wahaniem przyglądał się Richiemu i Dolores (jak miałam to zrobić ja), a potem się przyłączył, porwał Richiego i go obtańcowywał, wrywając ze sceny i wciągając między stoliki widowni. Richie miał dość rozumu, żeby się nie opierać i dać się prowadzić Normiemu, bo co innego mógł zrobić? Dolores zaś, pozostawiona na scenie, dostała ze śmiechu histerycznej czkawkę, o mało co nie zmoczyła podłogi, opadła na kolana i tylko starała się trzymać nogi mocno zaciśnięte.

A ja? Stałam, oślica, za kulisami, bo na co im teraz byłam potrzebna? Lecz oto zjawia się Gary Howard ubrany jak hawajski wojownik czy raczej duży kurczak. Chwyta mnie za rękę, wyciąga na scenę i próbuje podnieść, tylko nie daje rady. W tej chwili Dolores już leży na scenie w pozycji płodowej i śmieje się, ledwie dysząc, jakby odbywała bardzo ciężki poród. Richie i Normie walczą po całym klubie, a orkiestra, która szybko chwyciła absurd sytuacji, zaczyna grać Straussowskiego walca.

¹³¹ Grupa założona przez D. Ardena (1917-1994), choreografa i producenta rewiewego.

Następnie Gary wlecze mnie do mikrofonu na scenie, gdzie zaczyna bombardować jednozdaniowymi dowcipami, a ja rozpaczliwie usiłuję na nie odpowiedzieć. Chyba byłam dobra, bo Gary pękał ze śmiechu. Z początku myślałam, że pękł mi kostium (wspomnienie po *Guys and Dolls*), ale nie, tylko stałam tam z Garym i przerzucaliśmy się zaimprovizowanymi tekstami. I zadziało, wszystko co do joty. I kiedy wyglądało na to, że zbliżamy się do końca, zaczęłam stepować, kątem oka obserwując Dolores, której kompletnie odbiło, gdy sturlała się ze sceny, wylądowała na jednym z otaczających ją stołów i leżała wyciągnięta jak długa na obrusie, gdzie wystrojeni jak na noworoczną paradę w Filadelfii goście mogli ją zjeść (jeden naprawdę próbował - łyżką).

Dostały się nam najgłośniejsze brawa, jakie w życiu słyszałam, i wszyscy zginaliśmy się w ukłonie za ukłonem. A gdy wreszcie opadła kurtyna, leżeliśmy na podłodze, powaleni atakiem śmiechu, podczas gdy orkiestra grała *Naprzód, żołnierze Chrystusa*. Udało się nam wyczołgać ze sceny, ale przez pół godziny nie mogliśmy ustać na nogach.

Kiedy rozwalałam się w garderobie, kelner przyniósł mi zaplamioną notkę, pospiesznie nakreśloną piórem na bibułkowej serwetce. Głosiła „Wspaniale”. Nie została podpisana, więc Dolores upierała się, że to od Sola Huroka*¹³² i że jesteśmy gwiazdami. Gary i Normie wpadli sprawdzić, czy z nami wszystko w porządku. Przeprosili za zrujnowanie nam występu, a potem zapytali, czy nie moglibyśmy grać w ten sposób do końca kontraktu. Richie uznał to za świetny pomysł, jeśli przynajmniej pierwszy numer moglibyśmy wykonać normalnie. Potem pasował mu każdy rozwój sytuacji.

Mnie przypadło najcięższe zadanie. Nie miałam pojęcia, o czym będzie mówił Gary, bo on sam tego nie wiedział; wszystko było improwizowane. W efekcie chodziło o to, że głupia tancerka, którą do tej pory grałam, pojawia się jako tło dla Gary'ego Howarda. I byłam niezła. Bardziej wymowna, niż sądziłam, że potrafię, szybko chwytająca, o co chodzi, i błyskotliwie twórcza (tak słyszałam). No i z Garym łatwo się pracowało, a kiedy się zatkałam, po prostu stepowałam, dopóki mnie nie powstrzymał.

¹³² S. Hurok (1888-1974) - najślynniejszy impresario swoich czasów.

Niesamowite, ale chociaż co wieczór robiliśmy ten sam numer, Dolores za każdym razem autentycznie pękała ze śmiechu. Richie i Normie stali się niezwykle pomysłowi w swoim tańcu wokół klubu, któregoś wieczoru wyjechali z damskiej toalety na wrotkach, rozrzucając papier toaletowy, podczas gdy orkiestra grała *Rule Britannia*.

Cała zabawa nabrała rozgłosu. Magazyn „Life” poświęcił nam rozkładówkę - „Rozrabiaki z Rivieri” - w której napisali, że Richie i ja jesteśmy „parą” i pobieramy się na wiosnę. Nie przejęłam się tym, bo wyszło zabawnie, Richie też się uśmieł.

Pojawiłam się nawet w *Stan Arlen Show*, występując w roli jego adwersarza, jak z Garym, jako głupia blondynka, która jednak nie była taka całkiem głupia. A kiedy skończył się nasz kontrakt z Rivierą, Stan Arlen zapytał, czy rozważyłabym regularne występy w jego wieczornym telewizyjnym show. Powiedziałam, że mogłabym to zrobić, zakładając, że nie nastąpi kolizja ze zobowiązaniami Tria Pickeringa, i na tym stanęło.

Richie nie był zadowolony i wziął mnie na stronę, żeby się na ten temat wypowiedzieć, przypominając, że jesteśmy grupą taneczną i jestem mu winna jakąś lojalność i chociaż w klubie to było w porządku, podczas pracy z Howardem i Birchem, za dużo bym sobie wyobrażała, gdybym widziała się w roli komika estradowego. Zapewniłam go, że nie mam takiego obrazu własnej osoby, jednocześnie dając mu wyraźnie do zrozumienia, że jestem kobietą wolną i mogę robić, co mi się, do cholery, spodoba.

Nie miałam zamiaru wywoływać w ten sposób kłótni, ale tym właśnie się skończyło, do tego stopnia, że Richie zwyzywał mnie od cip, a ja potwierdziłam swoje dane od Boga prawo wolnego wyboru. No i znów byłam tu, w biurze Barry'ego Nadlera, a przede mną kolejna samotna noc na kozetce.

Barry, przekonany, że Richie i ja jesteśmy kochankami, nie kwapił się, żeby wziąć czyjąś stronę, miał tylko nadzieję, że jakoś z tego wybrniemy. Wyszedł około szóstej po południu, pozwalając mi spać na tej swojej parszywej kozetce. Zaprosiłby mnie do siebie, lecz przyjechali jego brat z żoną z Albany i nie miał już miejsca. Kazałam mu się nie martwić, powiedziałam, że będzie mi całkiem wygodnie i wolę być sama.

Usiadłam przy biurku Barry'ego, zastanawiając się, czy Ben widział mnie w telewizji albo czy natknął się na rozkładówkę w „Life”.

Odebrałam zwyczajowe telefony od kilku różnych zdenerwowanych klientów. Poinformowałam ich, że Barry będzie rano i że właśnie wtedy powinni dzwonić.

Jedną z dzwoniących osób okazała się jednak Sheila Sawyer. Przedstawiłam się jej i była bardzo przyjemna, miło jej było ze mną rozmawiać i czytała, jak niesamowite są nasze występy i tak dalej. Robiła wrażenie bardzo szczerzej i zupełnie nie pasowała do opinii, jaką sobie o niej wyrobiłam, więc podjęłam pewną próbę.

- Sheila? Dobrze się już czujesz?
- Jasne. A czemu miałabym się źle czuć?
- No... te szramy i żebra?
- O czym ty mówisz?
- No wiesz.

-Słuchaj, Ginnie. Zadzwoiłam do Barry'ego po informacje w sprawie podatków. Potrzebne mi formularze W-2 albo 1040. Właściwie to, kurwa, sama nie wiem, czego potrzebuję.

- Marty cię nie zbił?
- Co? Czemu Marty miałby mnie bić?
- Richie powiedział, że Marty cię stłukł.

-Taa? Cóż, skoro chcesz wierzyć temu sukinsynowi. O tobie też mi powiedział parę rzeczy.

- Na przykład?

-Na przykład, że jesteś lesbą i chciałaś urządzić seansik ze mną i z nim. Nie uwierzyłam, ale tak mi powiedział.

- Nie sypiałaś z nim?

-Żartujesz? Jestem zameźną kobietą. Spałam na pierdolonej sofie. Stwierdził, że jeśli chcę mieć własny pokój, będę musiała za niego zapłacić, a ja, mała, potrzebowałam tych pieniędzy i w dalszym ciągu potrzebuję. Marty nie pracuje od sześciu miesięcy. Wiem, że niedobrze to wyglądało, i jasne, że Richie próbował, ale jak zaczniesz sypiać z szefem, kotku, nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Dostawałaś więcej pieniędzy ode mnie.

-Zgadza się. I co z tego? Richie miał nóż na gardle i ja z tego skorzystałam. A nie jestem złą tancerką. Byłam cholernie dobra.

- To czemu zrezygnowałaś?
- Zrezygnowałam, drogi kotku, ponieważ będę miała dziecko.

- Co?

- Byłam w trzecim miesiącu, kiedy podpisałam z wami umowę. Nie chciałam tego mówić Richiemu i nie chciałam przeciągać sprawy dłużej niż do czwartego miesiąca, bo miałam już dwa poronienia. Jezu, mała, co on ci o mnie naopowiadał, do cholery?

- Nic dobrego.

- Taa? Cóż, jeżeli ci powie, że to robiliśmy, to mu nie wierz. Nie robiliśmy. A cała reszta jego gadania gównu mnie obchodzi.

- Okej.

- Czy mogłabyś poprosić Barry'ego, żeby do mnie zadzwonił w sprawie tych pierdolonych formularzy podatkowych? Nie chcę rodzić w więzieniu.

- Przekażę mu.

- Cześć, mała. Uważaj na siebie.

- Ty też... i na dziecko.

Odłożyłam słuchawkę, naszły mnie myśli, które wcale mi się nie podobały. Okej, więc Richie skłamał. Wiedziałam, że potrafi kłamać. Często widziałam, jak kłamał. Często też okłamywał mnie, najwyraźniej tak było w sprawie z Sheilą. Ale wielkie pytanie, nerwowe pytanie, brzmiało: Czy okłamał mnie w sprawie Bena? Jeśli tak, jeśli skłamał, mówiąc o Benie i o tym, że Ben nie chciał mnie widzieć i że jest z Maijorie Kimbrough, w takim razie spierdolił mi życie i zasługiwał na śmierć. Mogłabym go zabić i uszłoby mi to na sucho, bo żadna ława przysięgłych by mnie nie skazała. Twierdziłabym, że zrobiłam to dla dobra ogółu, i dałoby mi medal zamiast wyroku więzienia.

Współwinnym w tej sprawie, jeśli Richie powiedział kłamstwa na temat Bena, musiałby być Barry Nadler. Barry potwierdził wszystko, co Richie powiedział mi o Benie. Nie było jeszcze ósmej. Barry nie zjawił się przed dziewiątą rano następnego dnia. Chociaż nie czułam głodu, zeszłam na dół po hamburgera i kawę i wróciłam z jakimiś czasopismami, bo w biurze nie było telewizora, który pomógłby mi zająć czymś myśli. Zanosilo się na długie oczekiwanie.

Wiadomo, jak w nocy wszystko się wyolbrzymia, bardziej dokucza ząb i rośnie gorączka. Podobnie wątpliwości. Narastają i stają się dokuczliwsze. Zanim nadszedł świt, moje wątpliwości całkowicie pograżyły mnie w udreće, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Zebrały się w

głowie, dźgały duszę i sformowały grecki chór tak głośny, że tylko cudem sąsiedzi nie przyszli ze skargą. Do północy wątpliwości znikły, zastąpione przez fakty, okropne prawdy tak oczywiste, że znienawidziłam swoje głupie ja, które wcześniej ich nie zauważyło. Oczywiście, że Ben próbował się ze mną skontaktować. Oczywiście, że chciał przynajmniej spróbować wyjaśnić tę scenę z Maggie. Oczywiście, że Richie skłamał dla własnych celów. Oczywiście, oczywiście, oczywiście. Głupia, głupia, głupia. Tuman, tuman, tuman.

Chodziłam w kółko jak w pikiecie, co pięć minut latając do kibla, bo czułam przemożną potrzebę siusiania. Wyglądałam oknem i liczyłam samochody. Liczyłam ludzi wyprowadzających psy, dzieląc ich na mężczyzn i kobiety oraz na podgrupy z dużymi psami i małymi psami. Kolory stały się widoczne o czwartej rano. Śmieciarki z ciężarówkami dowożącymi prasę pojawiły się o piątej. Menele w bramach dali się zauważyć o szóstej. Bułki i ciastka dostarczono do restauracji o siódmej. Dzieciaki w wieku szkolnym pokazały się o ósmej. Barry Nadler zjawił się o dziewiątej, taszcząc dwa kubki z kawą i dwa maślane rogalce, wielkie jak podkowy. Noc minęła. Śledztwo miało się zacząć - chociaż niezupełnie.

Przez szerokość biurka popchnął do mnie moją część śniadania.

- Wyglądasz okropnie. Nie spałaś. Ja też nie. Więc mamy remis. - Próbował się wygodnie usadowić, ale nie do końca mu się to udało. - Chcę ci opowiedzieć pewną historię. Chciałabyś usłyszeć opowieść? Zresztą mniejsza o to, i tak usłyszysz. O człowieku, który nagle się zestarzał. Nieźle sobie radził. Nie skończył sześćdziesiątki i czuł się na jakieś czterdzieści pięć. Ale nagle, w mgnieniu oka, dobiegł siedemdziesiątki. W każdym razie dawno, dawno temu, tak zaczyna się ta historia, ten człowiek zajmował się własnymi sprawami, nic wielkiego, był agentem, wiązał koniec z końcem z grupą klientów, których trudno by uznać za gwiazdy. W każdym razie trafiły mu się niesamowite oferty, prawdziwy sukces, kopalnie złota, można powiedzieć. Jedna to zespół taneczny, a druga to pisarz, i teraz wiesz już chyba, o kim mówię, a jak nie, to jesteś tępak, tak?

- Tak.

- Jak się okazuje, jedna z tancerek jest zakochana w pisarzu, ale patrzcie tylko, zdarza się wariactwo i wszyscy są zdenerwowani. Tan-

cerze ledwie tańczą, pisarz ledwie pisze i kopalnia złota zaczyna się oddalać. A ponieważ agent jest albo człowiekiem słabym, albo podlecem, pozwala, żeby Richie Pickering wciągnął go w historię, przy której nos Pinokia urósłby do rozmiarów trąby słonia Dumbo. Nadażasz za mną?

- Richie skłamał, a ty go poparłeś.

- Zgadza się. I znów bym to zrobił, bo miałem w banku dziewięć dolarów, a czemu wymieniać złoto na gówno, żeby połączyć kochanków, którzy nie odróżniają gówna od salami?

- Czy poszedłeś z Richiem do mieszkania Bena po moje rzeczy?

- Nie.

- Richie poszedł sam.

- Tak.

- A czy była tam Marjorie Kimbrough?

- Marjorie Kimbrough to było zdjęcie w gazecie. Richie wyszykował z tego całą historię. Tobie opowiedział jedno, Benowi drugie... i oboje daliście się nabrać. Jak frajerzy.

- Czy w ogóle rozmawiałeś z Benem?

- Cały czas. I kłamałem jak najęty.

- Chciał się ze mną zobaczyć, prawda?

- Oczywiście. Powiedziałem mu, że ty nie chciałaś.

- Wiedziałaś, że to nieprawda.

- Prawda-srawda, i co z tego? Byłem to winny Richiemu. Dał mi Trio Pickeringa i dał mi Bena Webbera. Pierwszy raz od trzech lat miałem głowę nad wodą i jeszcze mi nie odbiło, żeby gryźć rękę, która mi tę głowę podtrzymuje.

- Więc czemu ją gryziesz teraz?

- Bo mnie dorwałaś, mała. Ponieważ zostałem przyłapany. Myślisz, że nagle jestem taki szlachetny? Że widzę niewłaściwość swojego postępowania? Znowu udowadniasz, co z ciebie za niedorajda. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Sheila, do mojego mieszkania, łamiąc zasadę kardynalną i rujnując moją przykrywkę. No więc teraz się przyznaję, bo co innego mi pozostaje, szczególnie że Arlene jest gotowa mnie rzucić. I nawet nie chodzi o to, że ją Kocham... tylko te dziewięć dolarów jest na jej nazwisko. Naprawdę jestem okropnym człowiekiem. Tak okropnym, że gotów jestem stwierdzić, od ręki, że jeśli zostawisz Richie-

go, nie tylko to zrozumieć, ale poprowadzę twoje sprawy. I co powiesz na taką kwestię finalną?

-Richie ma talent. Zostań przy nim.

-Tancerze się skończyli. Ja to wiem. Byłem tu za czasów Tony'ego i Sally DeMarco oraz Grace i Paula Hartmanów*¹³³. Z nimi koniec. Ale dla ciebie to początek. Nie mówiłem ci, ale... codziennie mam z pięć telefonów z propozycjami dla ciebie. Stan Arlen dzwoni tak często, że zaczynam go podejrzewać o przynależność do UJA. Więc nabierz rozumu... oboje każmy Richiemu spadać i weźmy się do poważniejszych spraw. Za moje trudy zostanie mi przynajmniej jedna kopalnia złota.

- Masz Bena.

-Ben podpisał umowę z Williamem Morrisem. Wiedziałem, że pewnego dnia to zrobi.

- Boże, po prostu w to nie wierzę.

-Skoro mowa o Bogu, to coś ci powiem. Gdyby Bóg powrócił, a z nim Mojżesz... i ten drugi facet też, ten gruby... Budda? Podpisałbym umowy z nimi wszystkimi, reklamował na plakatach jako Trzy Ofermy i załatwił im tournée po Afryce. Z takim właśnie człowiekiem rozmawiasz. Mam w spiżarni takie pustki, że podpisałbym umowę z Hitlerem. No więc, jeśli przestałaś już histeryzować, dokończ kawę i wynoś się stąd. Spodziewam się telefonu od Kuby Rozpruwacza i mam zamiar posłać mu Dolores. Sprawa na jedną noc, ale cóż, do licha, dolar to dolar.

- Do widzenia, Barry.

- Masz zamiar poszukać Bena, tak?

- Tak.

- Co mam powiedzieć Stanowi Arlenowi?

- Powiedz mu, że jestem do wzięcia.

- Będziesz pracować za stawkę kontraktową?

- Tak.

- Mogę zjeść twojego rogała?

- Tak.

¹³³ T. i S. DeMarco; G. i P. Hartmanowie, pary taneczne popularne w latach 50.

- Zarobię dla ciebie majątek.
- Jezu Chryste, Barry...
- Dla niego też.

W taksówce po drodze do mieszkania Bena nawet nie próbowałam poprawiać swojego wyglądu. Po bezsennej nocy twarz miałam spuchniętą jak wyrośnięty suflet. Ale miałam przy sobie ciemne okulary i jeśli postawię kołnierz, może Ben nie zauważy. Może nawet nie zauważy, że to ja. Może ja jego nie zauważę, bo już tam nie mieszka. Na pewno miał inny numer telefonu; może mieszkał teraz gdzieś przy Sutton Place.

Kiedy taksówka się zatrzymała i zobaczyłam ten kochany dom, prawie się rozplakałam. Mój dom. Moje mieszkanie. Mój Ben, do cholery. Zerknęłam na nazwiska na spisie. „Cook/ Webber”. A poniżej, tam gdzie to piórem wypisałam, „Mait-land”. Może. Może, może.

Wspięłam się na schody, z nadzieją, że nie dam rady, zastanawiając się, co powiem, jeśli jednak dam radę. Co mogłam powiedzieć? „Przepraszam, ale wszyscy mnie okłamali?”. „Przepraszam, że ty i moja matka przyłapaliście mnie w tym korytarzu?”. Sytuacja była niemożliwa i zastanawiałam się, czy nie obrócić się na pięcie, nie zejść na dół i nie posłać mu kartki z Peru podpisanej „Inca-Dinka-doo”.

Cholera. Szłam. Pięć piętér. I stanęłam przed starymi drzwiami. Sezamie, otwórz się... i zmień moje życie w namiętny, kurwa, cud. Córa marnotrawna wróciła, z sercem w gardle i na języku, z papierosem drżącym w ustach. Puk, puk.

Drzwi się otworzyły i stała w nich dziewczyna. Ładna, w ładnym szlafroku. Dziesiąta rano, a dziewczyna była ładna i miała na sobie szlafrok - czy potrzebowałam czegoś więcej?

- Przepraszam - odezwałam się. - Chyba pomyliłam mieszkania.
- Nie, nie pomyliłaś - powiedziała, lekko wzdychając z rezygnacją. - To tutaj. Trafiłaś. - I przytrzymała dla mnie drzwi, jakbym była gliniarzem i miała nakaz.
- Szukam pani Prendegast. Dolly Prendegast.
- Och, przestań i wchodź.

Weszłam, kompletnie oszołomiona, nie wiedząc, co mówić ani czego się spodziewać. W środku usłyszałam, że leje się woda pod prysznicem. Rozpaczliwie chciałam uciec.

- Hej - odezwała się - wszystko w porządku. Z jakich jesteś linii?

- Co?
- Jakimi liniami latasz?
- O. Peruwiańskimi.
- Skąd przyleciałaś?
- San Francisco. Tylko na jeden dzień.
- Mamy pokój, nie martw się.
- Nie martwię się. Nie chcę tylko narażać was na niewygody.
- Daj spokój. To żaden kłopot. Znasz którąś z dziewczyn, czy to twój pierwszy raz?

- Parę znam.
- Jak się nazywasz, mała?
- Debra Dubonnet.
- Ja jestem Candy Carson.
- Żartujesz. To lepsze niż Debra Dubonnet.
- Nie masz torby ani nic. Dlaczego?
- No bo po pierwsze, nie jestem stewardesą. A po drugie, nie zostaję.
- Co?

-Przepraszam. Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że... wpadnę innym razem. Albo jeszcze lepiej, jeżeli mi dasz numer, to zadzwonię. Jesteś bardzo miła. Powiedz mu tylko, że wpadła Ginnie.

- Ty jesteś Ginnie?
- Taa. Cześć.
- Hej! Zaczekaj!

-Nie, raczej nie. — Wyleciałam jak z procy i pędziłam po schodach. Czy przez całe życie będę uciekać?

Wołała za mną.

- Ginnie! Nie odchodź! Wszystko w porządku! Poważnie!

Nie odpowiedziałam. Chciałam tylko wyjść. I chciałam, żeby nie była taka miła. Biegiem wypadłam na ulicę. Żadnej taksówki, więc po prostu szłam szybkim krokiem. Doganiał mnie, wyglądał w swoim szlafroku jak ekshibicjonista, wybiegł za mną na ulicę, wreszcie mnie dopędził, chwycił za ramię, szarpnięciem zatrzymał i odwrócił w swoją stronę.

- Ginnie! Co ty, do cholery, wyprawiasz?
- Co?
- Dokąd uciekasz?

- Don? Och, Don!

Ściskaliśmy się i całowaliśmy na Wschodniej Trzydziestej Ósmej Ulicy, przyciągając tłumek złożony głównie z dzieciaków, zboczeniec w szlafroku, blondynka w ciemnych okularach. A potem, ramię w ramię, wróciliśmy do domu.

Candy była dziewczyną Dona. Mieszkała z nim w Los Angeles i razem z nim wróciła do Nowego Jorku. Ben dzielił z nimi mieszkanie, ale tylko przez jakiś czas, a potem się przeprowadził - nie na Sutton Place, lecz do Hollywood. I zwrócił mieszkanie Donowi, od którego kiedyś, na początku, je podnajął. Ponieważ nie miałam się gdzie podziać (moja normalna sytuacja), zostało postanowione, że odzyskam swój stary pokój w gospodzie. Zadzwoiłam do Barry'ego i zapytałam, czy mógłby zabrać z mieszkania Richiego moje rzeczy. Odpowiedział, że nie, bo gdy Richie zadzwonił i usłyszał, dokąd poszłam, wrzucił wszystkie moje szmatki do pieca centralnego ogrzewania, przysięgając, że kiedy mnie zobaczy, to zabije albo przynajmniej połamie mi obie nogi i rozkwasi głupią gębę.

Tak więc, podobnie jak w noc wielkiego pożaru, raz jeszcze zostałam pozbawiona wszystkiego oprócz Sukni Girlaski, którą Ben zostawił w mojej szafie. A, tak - zostawił też portret Maggie. Ależ ze mnie szczęściara. Mamusia nigdy mnie nie opuści.

Czas się cofał, lecz jednocześnie gnał naprzód. Znalazłam się w mieszkaniu Bena, ale Ben był daleko, dalej niż kiedykolwiek przedtem. I chociaż mogłam dotykać jego łóżka i spać w nim, kiedy tylko zapragnęłam, dzieliły nas całe lata świetlne. On był Merkurym na telewizyjnej fali. Ja - Wenus w dołku.

Rozdział 21

Ben

1952

Pracowałem nad moimi trzema sztukami dla Franka Brokawa jak cholera. I z każdą stroną uczyłem się trochę więcej o sobie jako pisarzu, o tym, co mi wychodzi całkiem nieźle, i o tym, z czym mam zasadnicze kłopoty. Nie zrezygnowałem z symultanicznego pisania wszystkich tekstów, przerzucając się między jednym a drugim, więc za każdym razem, kiedy wracałem do któregoś z nich, był w moim umyśle świeżutki. Dobrze mi się tak pracowało. Pachniało to trochę masową produkcją, ale sztuki tak się od siebie różniły, że określenie to nie do końca pasowało. Do tej pory już całkiem nieźle opanowałem pisanie na maszynie. Wciąż robiłem błędy, ale dało się odczytać tekst. Nie dopuszczałem do siebie związanych z tym wątpliwości, ponieważ NBC miało później wszystko przekopiować.

Co do Ginnie Maitland, zaczynałem się godzić z myślą, że nasz romans należał do tych intensywnych, lecz krótkotrwałych jak fajerwerk w puszcze - głośny, szybki i nikt nie odnosi obrażeń. Było to dość dziwne, Maggie i Ginnie, ale należało podejść do sprawy na spokojnie. Przedłużać ją poza naturalne zakończenie byłoby przesadą. Przeciąganie szalonej minuty w godzinę nie zwielokrotni szaleństwa, a jedynie podzielił przez milion. Wszystkie rzeczy mają swój początek i koniec, jeśli nawet ich konfiguracja nie jest natychmiast widoczna.

Kochałem moje trzy stewardesy oraz Maggie i Pat i potrafiłem dostrzec wszystkie te zakończenia równie wyraźnie, jakbym sam je napisał. Kochałem Ginnie i chociaż walczyłem z zakończeniem tego związku kopniakami i wrzaskiem, koniec i tak nadszedł. Cała koncepcja polegała więc na tym, by w finale romansu nie być zgorzkniałym, ale wdzięcznym, że w ogóle się zdarzył. Nie należy również szukać winy ani starać się od niej uwolnić, kiedy wszystko się rozlatuje i robi bum. Należy odejść, gdy przychodzi na to czas. Trzeba dotknąć kapelusza i podziękować damie za jej czas i łzy, wiedząc jednocześnie, że wszystko,

co się wznosi, musi opaść - zasada ta stosuje się do nastrojów, giełdy i wind, balonów i namiętności, lotników oraz erekcji.

A jednak stale pytałem Barry'ego o Ginnie. Chociaż niechętnie uaktualniał moje wiadomości, poinformował mnie jednak o zbliżających się jej występach w *Joey Magnuson Show*. Cieszyłem się z powodu Ginnie, szczerze się cieszyłem, że stanęła na nogi i wyszła z tego tanecznym krokiem. W pewien sposób cieszyło mnie także, że oszczędzono mi konieczności wyjaśnienia tej nocy w Saint Regis. Nie byłoby to łatwe.

A gdybyśmy, Ginnie i ja, kiedykolwiek jeszcze się spotkali, mógłbym być zirytowany na nią za uniemożliwienie mi wyjaśnienia, tak samo jak ona za to, że ów incydent w ogóle miał miejsce. Rachunki zaczynały się wyrównywać. Czas robił swoje. Dla pewności potrzeba było więcej czasu, ale ta dziewczyna zaczynała blednąć. Pewnego dnia miała stać się tłem mojego życia, pojawiającym się i powracającym w określonych i jasno zdefiniowanych odstępach, częścią całościowego wzoru, z którym nauczę się żyć, ponieważ w ostatecznym rozrachunku sam go dla siebie wybrałem.

Dostarczyłem wszystkie trzy moje skrypty Brokawowi za jedną wyprawą, kończąc miesiące klasztornego życia i wychodząc na świat tylko po to, by zdać sobie sprawę, że lato i znaczna część jesieni prześliznęły się obok mnie i że jest koniec października. A zatem, jak dawny pielgrzym, ponownie odwiedziłem Muzeum Sztuki Współczesnej, znów przypatrując się tamtejszym dziewczętom i zastanawiając się, która z nich mogłaby się we mnie zakochać, gdybym ją o to poprosił.

Wybrałem się do Saksa i kupiłem trochę koszul, a w Dunhillu wybrałem trzy pudełka monte christosów i kolejne trzy uppman-sów. Pa-liłem jedno z nich, idąc w dół Szóstej Alei, na wpół spodziewając się, że wyczaruję Dona Cooka i jego magiczny nos. Poszedłem do domu i czekałem na telefon od Jeny'ego Kapłana - dwa dni.

Zadzwoił w końcu i był zachwycony moimi sztukami, podobnie Brokaw, i miał pewność, że Jason Kimbrough także się nimi zachwyci. Nie byłbym zaskoczony, gdyby Kimbrough nie chciał żadnej z nich, jako że, choć całkowicie niewinnie, wywołałem w rodzinie Kimbroughów sprzeczkę z powodu mojego zdjęcia w gazecie z „panią”. Kimbrough nie był tym zachwycony, najwyraźniej w czasie kiedy fotografia ukazała się w druku, on i żona usiłowali utrzymać w równowadze zagrożone

małżeństwo. Wszystko bez trudu dało się wyjaśnić, ale od tej pory patrzył na mnie spod oka, tak samo jego żona, choć ona, jak podejrzewam, z innej przyczyny. Ja jednak wiedziałem, że muszę omijać ją szerokim łukiem - płynąc na Madagaskar przez Przylądek Dobrej Nadziei - bo dość już miałem kobiet wyraźnie po trzydziestce. Niepotrzebna mi była kolejna Maggie, szczególnie gdyby się okazało, że Kimbrou-ghowie mają córkę taką jak Ginnie.

Ginnie. Myślałem o Ginnie. Pośrednio, przypadkowo, lecz jednak o Ginnie. Była - słabo, lekko, wciąż za moimi plecami, wciąż w moich myślach, ale jako sylwetka, nie postać. I bardziej oddalona. Za każdym razem bardziej oddalona.

Rozkreśliły się próby do *Magicznego rożka*, reżyserował Norman Felton. Z Sala Minea był miły dzieciak, bardzo młody i zapalony kulturysta, porządny i chętny do nauki. Ralph Meeker usiłował docierać na próby o czasie. Zawsze wchodził z kartonem mleka i wyglądał, jakby przespał się na nim niedźwiedź, ale dobrze się spisał, podobnie reszta obsady, sami muzycy jazzowi. Trafiło mi się trochę miłych recenzji i kolejne telefony od ludzi, którzy odwieszali słuchawkę, kiedy odbierałem. Jeny Kapłan powiedział, że takie rzeczy przychodzą wraz z rozgłosem i powinienem postarać się o zastrzeżony numer. Aleja nie byłem na to jeszcze gotowy, ponieważ, kto wie, może mógł do mnie zadzwonić ktoś z przeszłości, ktoś, z kim mógłbym chcieć porozmawiać.

NBC, poprzez Brokawa i Kapłana, zaczęła wspominać o długoterminowym kontrakcie, czemu bardzo chętnie ucho dawał Barry, lecz jak na razie nikt nie prosił mnie o podpis. W pobliżu zaczął się kręcić kolejny agent. Od Williama Morrisa; wysoki, w granatowym garniturze, siwiejący na skroniach i o wyglądzie prezydenta. Podczas kilku pogawędek poradził mi, żebym nie podpisywał pochopnie żadnych umów. Nazywał się Vernon Stacey i zrobił na mnie wrażenie. Chociaż podejrzewałem, że stara się zwrócić moją uwagę, robił to dyskretnie, często nie byłem świadom jego obecności, dopóki nie wyszedł.

Oglądałem w telewizji Trio Pickeringa. W pierwszym numerze byli dość dobrzy, ale w drugim fantastyczni. Szczególnie wysoka blondynka, naiwnie seksowna, tak doskonale wiedziała, jaki efekt chce osiągnąć, że nawet Joey Magnuson i Mara-Jayne mało się nie popłakali ze śmiechu. To była Ginnie, poznałem po końskim ogonie, ale stary telewizor

pamiętał lepsze czasy i jego siedmiocalowy ekran szarzał przy brzegach, a całość była zimna i dwuwymiarowa, podczas gdy dziewczyna, którą ja znałem, zdecydowanie istniała w trzech wymiarach. Kiedy występ się skończył, zacząłem podejrzewać, że już jej nie znam. A kiedy wyłączyłem telewizor, musiałem się zastanowić, czy w ogóle kiedykolwiek ją znałem.

Na antenę wszedł *Jasnowłosy chłopak*, sprawnie wyreżyserowany przez Davida Greene'a, Kanadyjczyka. Mnie zagrał Jackie Cooper, a aktorem najbliższym rozmiarowi Sama Gaynora okazał się pół wiking, pół małpa nazwiskiem Ulf Redmond. Jeśli przed sztuką Sam Gaynor był moim niezbyt zaciętym przeciwnikiem, po niej musiał stać się śmiertelnym wrogiem. Umieściłem go w tekście z całą tą jego nudną ostentacją i ustawiłem jego trzy najdłuższe monologi w taki sposób, że zostały przerwane reklamami - i trwały po ich zakończeniu. Efekt okazał się zdumiewający, dzięki niemu postać sprawiała wrażenie kogoś, kto nigdy nie przestaje mówić, co stanowiło istotę Sama Gaynora, i dzięki czemu wątpiłem, by wysłuchał przedstawienia, nie wspominając już o obejrzeniu.

Kiedy tej nocy wróciłem do mieszkania po krótkiej pogawędce z Vernonem Staceyem (który szykował się, by wykonać ruch), odebrałem kolejny z tych dowcipasnych telefonów. Zburzyło to mój spokój, bo wiedziałem, kogo chciałbym widzieć jako ich autora. W każdym razie następnego dnia załatwiłem zmianę na zastrzeżony numer. Tak zakończyła się pewna era, definitywnie i dzięki mojej decyzji.

Recenzje były dobre i Brokaw z Kapłanem oraz dwoma wiceprezesami NBC przyszli do mnie z wizjami chwały i niebotycznymi ofertami. Stacey poradził mi jednak nie deklarować się wiążąco, więc, najdelikatniej jak potrafiłem, odmówiłem.

Trio Pickeringa wystąpiło w kolejnym *Joey Magnuson Show* i raz jeszcze wypadli wspaniale zabawnie. Niestety, ktoś w reżyserce postanowił wycelować kamerę w blond koński ogon, nakładając jej twarz na pełny plan z całą trójką tancerzy. Genialne posunięcie, bo twarz Końskiego Ogona stanowiła idealne odbicie tańca całego tria, pokazując niewinność, potem zainteresowanie, później pewność, wreszcie żywiołową radość. I nawet kiedy cały numer rozlaźł się w szwach, Koński Ogon nie odkryła, że to ona była tego powodem. Dzięki pracy

kamery choreografia kojarzyła się z Chaplinem, Mary Pickford i Pearl White. I niech mnie cholera, jeżeli ta długonoga blondynka nie była wcielona Lombard*¹³⁴

Moją trzecią i ostatnią sztuką z kontraktu dla NBC było *Samotne spojrzenie*, wyreżyserowane przez Harveya „Zsuwkę” Espteina. Nie mogło pójść lepiej. Chociaż Janice Rule niezbyt przypominała Ginnie, miała tę grację tancerki i nieziemski spokój, a to sprawiło, że wypadła w swej roli cudownie. A jeżeli chodzi o Jacka Lorda, który grał mnie, to była przesada. Przystojniejszy, inteligentniejszy i nie taki uprzykrzony. Ponieważ jednak był przy tym cholernie dobrym aktorem, jako pisarz nie mogłem się sprzeciwić włączeniu go do obsady. Nadał postaci sympatyczne cechy, które, z czego nie zdawałem sobie sprawy, stanowiły warunek wstępny, by sztuka zaskoczyła. I z przyjemnością zobaczyłem, jaki to właściwie miły ze mnie gość pod powierzchnią całej tej burzy i naporu. Poczynałem sobie w sztuce dość swobodnie. Nie byliśmy to dokładnie Ginny i ja. No i następowało szczęśliwe zakończenie, ponieważ w latach pięćdziesiątych czasami było wymagane. I na swój sposób zadziało to lepiej niż którakolwiek z moich poprzednich sztuk.

Odbyliśmy swoje spotkanie w Sali Dębowej w hotelu Plaża, Vernon Stacey i ja. Pierwszy raz naprawdę rozmawialiśmy. Wcześniej zaledwie mijaliśmy się w przelocie i zaczynaliśmy wstępne rozmowy. Tego wieczoru nie owijał w bawełnę. Jeszcze zanim pojawiły się pierwsze drinki, Vernon Stacey zdążył przejść do sedna naszego spotkania.

- Barry Nadler to miły człowiek - powiedział. - A NBC to miła stacja. Kemper zaś to miły producent aluminium... Ale pan zdążył przerosnąć ich wszystkich. I obarczać się nimi oznaczałoby zahamować rozwój pańskiej kariery, zanim miała szansę na należyte rozpoczęcie.

- Barry był dla mnie dobry.
- Naprawdę? Zrzekł się prowizji?
- Nie.
- W takim razie wcale nie był taki dobry.
- A agencja Morrisa zrzeknie się prowizji?

¹³⁴ P. White (1889-1938) - aktorka; Carol Lombard (1908-1942) - aktorka komiczna.

- Nie. Nie dlatego, że nie jesteśmy mili, lecz z powodu wielkości kwoty. Gdyby pan zaczynał, a my byśmy w pana wierzyli i nasza prowizja wynosiła pięćdziesiąt dolarów, zrezygnowalibyśmy z niej na pańską prośbę. Ale pan nie zaczyna, pan idzie w górę. I jest pan wart znacznie więcej, niż proponuje NBC.

- Wie pan, ile oferują?

- Nie muszę. Bez względu na to, ile proponują, byłoby błędem, gdyby pan się zgodził. To oznacza przywiązanie, zatrzymanie pana w zagrodzie, podczas gdy powinien pan mieć możliwość swobodnie wędrować. Jednym kontraktem na film mogę załatwić panu więcej, niż są w stanie zapłacić za te pięć sztuk.

- Skąd pan wie, że chodzi o pięć?

- Zgadłem. Ben, NBC jest związane tygodniowym budżetem. Jeżeli chcesz ograniczać się do telewizji, zostań przy Barrym Nadlerze i Brokawie i bądź szczęśliwy. Ale studio filmowe ma inny budżet dla każdego filmu, a zawsze spory. I scenarzyści dostają z tego spory kęs. Z Warner Brothers dzwonili już do Barry'ego Nadlera. Dwa razy. Spławił ich.

- Skąd pan wie?

- Wiem.

- Czemu Barry miałby ich spławiać?

- Ponieważ wie, że kiedy wyjedzie pan z Nowego Jorku, porzuci go pan. Nie ma możliwości kierowania stąd pańską karierą. To tylko kwestia czasu, kiedy jakaś duża agencja autorska przekona pana, żeby się z nimi związał. Agencja Morrisa uważa, że teraz jest na to właściwy moment. Chcemy pana mieć, Ben. Uważamy, że jesteśmy w stanie pomóc pańskiej karierze i przy okazji zarobić spore pieniądze dla siebie.

- Czy Helen McInninny w dalszym ciągu dla was pracuje?

- Tak. Zna ją pan?

- Tak.

- Jest bardzo dobra. Chciałby pan, żeby się panem zajmowała?

- Nie wiem. Żaden ze mnie Henry Denker.

- Nie zrozumiał mnie pan.

- Nie. Nie chciałbym, żeby Helen McInninny się mną zajmowała.

- Barry Nadler prowadzi komików, akrobatów, zonglerów i grupy tańeczne. Po prostu żydowski cyrk. Jak pana nakłonił, żeby podpisał pan z nim umowę... Czy ma pan umowę?

- Nie. To ustne ustalenia.
- I ma pan przekonanie, że musi te ustalenia honorować.
- Do pewna stopnia tak.
- Zaryzykuję teraz stwierdzenie, że jeśli w tym roku będzie pana reprezentował Barry Nadler, a nie my, będzie to pana kosztować pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Proszę mu dać pięć tysięcy i uznać, że to wyrównuje rachunki.

- A skąd wezmę pięć tysięcy dolarów?
- Z pierwszego kontraktu na film.
- Jeszcze go nie mam.
- Będzie pan miał w chwili podpisania z nami umowy. Czy mamy to ustalone, Ben?

- Mogę się nad tym zastanawiać przez parę dni?
- Dowolnie długo. Proszę tylko nie podpisywać niczego bez zawiadomienia mnie, co pan podpisuje. Jeżeli nawet nie zawrzemy tej umowy, pomogę panu w negocjacjach z nimi.

- Czemu miałyby pan chcieć mi pomóc?
- Żeby zrobić wrażenie. Żeby następnym razem, kiedy wrócimy do pana z propozycją umowy, myślał pan o nas ciepło i pamiętał, jakim był kiedyś osłem, i wtedy pan podpisze.

- Chciałbym to przemyśleć.

Przemyślałem. W trakcie myślenia odebrałem międzymiastową od Dona. Powiedział, że wraca na wschód, i pytał, czy jest miejsce w starej chacie - dla dwójki. Stwierdziłem, że owszem, ale lepiej niech się pospieszy, bo może wybiorę się na zachód. Obiecał się pospieszyć.

Jerry Kapłan bardzo się o mnie troszczył. Zapytał, czy chciałbym przyłączyć się do niego i żony na premierze nowego show w Rivierze Billa Millera. Powiedział, że mogę przyprowadzić dziewczynę, ale kompletnie nie umiałem nikogo wymyślić, więc poszliśmy w trójkącie. Karen Kapłan okazała się wystrzałową dziewczyną, która jakoś nie mogła się zmusić, żeby łączyć się do mnie jak jej mąż, i za to ją polubiłem. Nasz stolik nie należał do najlepszych, mieścił się w środku sali, ale stał w centrum kilkunastu usytuowanych na wysokim na stopę podwyższeniu, zapewniając tym samym znakomity, choć nieco odległy widok na scenę.

Kolacja była znośna. Dziewczyny Dona Ardena wykonały przyjemny numer na otwarcie, paradując po scenie w ukwieconym szeregu do skła-

danki z *Lady in the Dark**¹³⁵. A potem - wielka niespodzianka dla mnie, bo nawet nie rzuciłem okiem na plakaty - wyszło Trio Pickeringa i kilka chwil trwało, zanim zaakceptowałem fakt, że to się dzieje naprawdę. Swój pierwszy numer wykonali normalnie, zastępczyni Florrie radziła sobie zupełnie nieźle. Ale to blond koński ogon przykuł mój wzrok, jak zawsze było i zawsze będzie.

Skrupulatnie zsynchronizowani, tańczyli coś w rodzaju współczesnej wersji *In a Country Garden*. Precyzyjnie, stylowo i inteligentnie, więc publiczność to łyknęła. A drugi numer w ogóle się nie rozpoczął, przynajmniej nie w sposób, w jaki, jak sędzę, planowali. Bo oto na scenie pojawił się Normie Birch na pointach (bardziej właściwie byłoby stwierdzić: na kostkach) w jakimś falbaniastym baletowym stroju - i zapanował chaos. Wszyscy wiedzieli, że rzecz jest zaimprovizowana, bo publiczność była wyrobiona i zdawała sobie sprawę, czego się można spodziewać po premierze z Howardem i Birchem. Ale nie sędzę, by spodziewali się czegoś tak zabawnego, jak ta długonoga blondynka stojąca przy mikrofonie z Garym Howardem, rzucająca dowcipne powiedzonka i często podbierająca mu puentę. Pod koniec występu jakiś facet ściągał tę drugą tancerkę ze stolika tuż przy scenie, gdzie któryś pijak zaczął się już do niej dobierać łyżką. Cała reszta gładko przeszła w istne pandemonium, jakiego świat nie widział od czasów ostatniej produkcji *Hellzapopin* Olsena i Johnsona.

Obejrzałem się na Kapłanów i byli tak samo nieprzytomnie ubawieni jak wszyscy inni. Nagryzmołem pospiesznie notkę na serwetce koktajlowej i dałem kelnerowi pięć dolców, żeby mieć pewność, że blond tancerka ją dostanie. Niestety dałem mu piątaka, zanim zdążyłem napisać swoje nazwisko, a ten osioł wystartował do biegu, praktycznie wydzierając serwetkę spod moich składających autograf palców.

Kapłanowie podrzucili mnie pod dom. Podziękowałem im, a potem zacząłem zabijać czas podczas kilku następnych dni, unikając wszystkich i gromadząc odwagę, by powiedzieć NBC i Barry'emu, że zaczynam się umawiać z agencją Morrisa. Barry przyjął to bardzo dobrze. Przyjął też pięć tysięcy dolarów, które zaoferowałem mu za zerwanie naszej

¹³⁵ *Lady in the Dark* - musical Weilla i Gershwina z 1941.

nieistniejącej umowy. Jerry Kapłan westchnął i wyraził nadzieję, że jestem gotowy.

Don zadzwonił ponownie. On i jego dziewczyna przylatywali naza jutrz. Na okładkę magazynu „Life” trafił artykuł zatytułowany *Rozrabiaki z Riviery*. Zdjęcie na okładce przedstawiało Gary'ego Howarda, Normiego Bircha i Trio Pickeringa. A w środku znalazła się fotografia samej Ginnie; wyglądała tak dobrze, że prawie zjadłem tę stronę. W tekście przelotnie nadmieniono, że „Panna Maitland i pan Pickering, od dawna para, pobierają się na wiosnę”.

Zadzwoniłem do Pat Jarvas, ale nie mieszkała już pod tym numerem. Spojrzałem prawdzie w oczy, skonsumowałem litr szkockiej i zasnąłem w łóżku Ginnie. Bez snów. Na sny nie wystarczyło mi odwagi.

TLR

Rozdział 22

Ginnie

1952

I znów kupiłam tyle ciuchów, żeby wystarczyło i żeby pasowały do jedynej rzeczy, która mi została, nie licząc tego, co miałam na grzbiecie - Sukni Grlaski. Jakoś nie potrafiłam poczuć się swobodnie, mieszkając z Donem i Candy. Byli wspaniali, naprawdę, ale mieszkanie straszło mnie tyloma wspomnieniami o Benie, że nawet kiedy byłam sama, nie byłam sama. No i miałam w szafie Maggie. Często myślałam, żeby pociachać ten jej portret albo go spalić i w ten sposób pozbyć się Klątwy Maitlandów. Nigdy jednak nie miałam odwagi tego zrobić, lękając się, że zostałyby to zinterpretowane jako akt matkobójstwa i otworzyłyby się niebiosa, a ręka Boga sięgnęłaby w dół i jednym prztyczkiem strąciła mnie z Ziemi.

Don nie miał dla mnie żadnych wiadomości o tym, jak Ben przyjął nasze zerwanie. Najwyraźniej Ben po prostu powiedział mu, że nam nie wyszło i lepiej zostawić sprawę bez dyskusji. Nie muszę chyba mówić, ale niezbyt mi zależało, żeby wiedzieli

o moim beznadziejnym zadurzeniu w Benie, więc wszyscy zapomnieliśmy o sprawie. Postąpiłam w tej kwestii bardzo dojrzałe, co wystarczyło Donowi, jako że wołał nie brać niczyjej strony. Ale Candy, będąc dziewczyną - i to wrażliwą - wiedziała, że coś się za tym kryje. Ponieważ nie dopuściłam jej do sekretu, więc ostatecznie przestała dociekać.

Candy była w Los Angeles modelką, lecz nie odniosła wielkiego sukcesu. Około trzydziestki, miała wspaniałą twarz

1 ciało równie kanciaste jak labirynt. Ale to nie wystarczyło i nigdy się jej nie udało dostać na sam szczyt. A także - co dziwne - wyznawała dość katolickie zasady i nie potrafiła się zmusić do robienia tego, co wiele dziewczyn robić musiało, żeby odnieść sukces w słonecznej Kalifornii. Jakim sposobem mogła żyć z Donem w stanie pozamałżeńskim i zasuwać

w niedzielę do kościoła, to oczywiście nie był mój interes. Zdaje mi się, że było jej łatwiej, bo planowali pobrać się z Donem, kiedy tylko jego sprawy należycie się ułożą. Na razie nie mieli wyboru, jak tylko trochę naciągnąć tekst Pisma Świętego.

Don wrócił do Nowego Jorku z nadzieją, że wkreci się do telewizji jako reżyser dramatyczny z prawdziwego zdarzenia. Bo właśnie w Nowym Jorku była telewizja i chociaż Don wiedział, że w końcu wszystko przeniesie się na zachód, wiedział też, że dla niego najlepszym sposobem na podbicie zachodu było najpierw wygrać na wschodzie.

Ben mieszkał z Donem i Candy tylko przez krótki czas, zanim sam wyjechał za zachód. W ten sposób wszyscy mieli szansę na wzajemne poznanie - Ben i Don ponownie. Barry Nadler został agentem Dona. Niezły był numer z tego Barry'ego. Jeżeli potrafiłeś oddychać, miałeś umowę z nim w kieszeni. Ja oczywiście nigdy nie wspomniałam o jego udziale w zerwaniu moim i Bena. Zrozumiałam po prostu, że zareagował odruchowo i nic nie mógł na to poradzić. Ale i tak miałam na niego oko, na wypadek gdyby próbował naciągnąć Dona. Chociaż jakoś czułam, że nie będzie tego robił.

W tym czasie Candy udało się dostać zajęcie przy prezentowaniu bielizny, bo żadna z modelek, które rzeczywiście odniosły sukces, za nic w świecie nie chciała się pokazać w reklamie pasa czy staników. Stewardesy i tym podobne zjawiały się u nas regularnie, ale żadna z nich nie należała do starej ferajny, było to całkiem nowe pokolenie dzieciaków, które Don i Candy czuli się zobowiązani gdzieś umieścić, kiedy już wpadły.

Barry załatwił mi umowę na *Stan Arlen Show*. Zupełnie niezłą. Negocjował z pozycji siły, bo Stanowi Arlenowi naprawdę na mnie zależało.

Dla Tria Pickeringa od razu nastały ciężkie czasy. Richie próbował mnie kimś zastąpić i, według Barry'ego, rzeczywiście znalazł jakąś dziewczynę. Ale cały pomysł już się opatrzył i zużył. A że do tego oryginalny blond pomyleniec został stałym gościem w *Stan Arlen Show*, Richie nie miał szans na to, żeby się wykaraskać. Ja też jestem zdania, że tancerze już się skończyli. Tak jak nocne kluby, z wolna poszły w zapomnienie za sprawą telewizji.

Było mi żal Richiego, naprawdę. Miałam pełne prawo złościć się na niego za celowe rozdzielenie mnie i Bena, ale jednocześnie go rozumiałam. Był po prostu kolejnym rozbitkiem, który usiłował przeżyć, kolejnym grającym na tamburynie, w nadziei, że ktoś może go zobaczyć i rzucić mu dolara za jego taniec. W końcu zaczął stopniowo znikać ze sceny, zrobił choreografię do kilku kiepskich przedstawień, wyreżyserował parę imprez dla przemysłu i ostatecznie słuch o nim zaginął.

No i proszę, trafiłam do sieci telewizyjnej. I to był cholernie dobry program. Głosowałam na Stana Arlena w konkursie na najbardziej błyskotliwy umysł na ziemi. Reagował z taką szybkością, że czasem nie mogłam uwierzyć, że robił to bez próby. Riposty i repliki wylewały się z niego w takim tempie, jakby facet nie był człowiekiem. Nigdy nie robił przerwy, żeby pomyśleć. Nigdy nie szukał słów ani nie prosił o powtórzenie, żeby mieć czas na ułożenie sobie odpowiedzi. Wyrzucał je z siebie, jeszcze zanim ten, z kim rozmawiał, skończył mówić, i prawie zawsze osiągał wstrząsający efekt.

Moim zadaniem było co wieczór siedzieć na widowni, a Stan miał mnie zauważyć, poznać, przywitać się ze mną (nazywałam się Ginger) i zaprosić na scenę, żebym się do niego przyłączyła na pogawędkę. Miałam ubierać się w coś bardzo kuszącego, ale nieodslaniającego zbyt wiele - żadnych głęboko wyciętych ciuchów w stylu Faye Emerson*¹³⁶ - a po wejściu na scenę wykonać porcję stepowania, zanim usiądę obok Stana. (Zawsze stepowałam przed zajęciem miejsca. To był mój znak firmowy, do tego milutki, więc wszyscy to uwielbiali). Potem następowała rozmowa; ani Stan, ani ja nie wiedzieliśmy wcześniej, o czym będziemy mówić, i na tym polegała cała zabawa. On zaczynał dowolną kwestią, która mu wpadła do głowy, a ja starałam się dotrzymać mu kroku. Nie zawsze to wychodziło, i ilekroć się zatkałam, zamiast siedzieć z otwartymi ustami, wstawałam i zaczynałam stepować. Po jakimś czasie ten gest zyskał wielką popularność. Komicy w innych programach, kiedy zdarzyło im się coś skopać, naśladowali moje stepowanie. W ten sposób zaczęła się w show-biznesie tworzyć nowa tradycja.

¹³⁶ F. Emerson (1917-1983) - aktorka.

Dzięki temu wszystkiemu stałam się dosyć znana. Nie mogłam przejść ulicą, żeby ktoś nie powiedział: „Cześć, Ginger”. Poznawali mnie w sklepach i restauracjach, zewsząd dostawałam pocztę. W większości nic ciekawego, chociaż sporo się trafiało świństw i propozycji, do tego jedno czy dwa zdjęcia. I zawsze garstka widzów chciała wiedzieć, czy jestem Ginger Rogers i jaki jest sekret mojej urody, że wciąż wyglądam tak młodo, podczas gdy Fred Astaire robi się coraz starszy i starszy.

Mieszkałam z Donem i Candy, bo dzięki nim udawało mi się zachować zdrowe zmysły. Dotrzymywali mi też towarzystwa, bo jakoś nie potrafiłam serio przyłożyć się do randkowania. Poza tym miałam tak szalone godziny pracy, że najwyraźniej pociągałam tylko szaleńców. No więc kiedy już kończyłam, w trójkącie szliśmy dokądś na obiad, gdzie ja radośnie chwytalam rachunek, bo Donowi kończyły się pieniądze, a kochałam ich oboje. Prawdę mówiąc, wszyscy na tym dobrze wychodziliśmy, ponieważ nasze nazwiska pojawiały się w rubrykach towarzyskich bez żadnych starań z naszej strony.

Ginnie Maitland, „Ginger” z programu Stana Arlena, próbowała ostatniego wieczoru steków w Kotleciarni Manny'ego Wolfe'a. Jak zwykle byli z nią reżyser telewizyjny Don Cook i modelka Candy Carson. Najpiękniejszy trójkącik, co, Don, ty szczęściarzu?

Tak się szczęśliwie złożyło, że ten rozgłos pomógł Candy ruszyć z miejsca nowojorską karierę. Jedną z większych agencji modelek, Plaża Five, zadzwoniła do niej i podpisali umowę, ustalając cenę Candy na siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę.

Rozgłos nie zaszkodził też Donowi, bo Barry Nadler potrafił wykorzystać jego zyskaną rykoszetem złą sławę, żeby wejść w układ z CBS. Don miał reżyserować dramat dla Studio Jeden. Okruchy mojego powodzenia posypały się na moich przyjaciół i uważałam, że to bombowo. Więc czemuż, ach czemuż nie byłam szczęśliwa?

Nie byłam szczęśliwa, bo dobry Bóg nie zaplanował dla mnie życia bez faceta. Nie musiał to być Ben Webber - te czasy minęły - ale ktoś musiał, i to szybko. Zmagałam się z problemem ukończenia dwudziestu lat i samotnością w tłumie. W samym środku Nowego Jorku, sława i bogactwo w kieszeni, twarz i figura bez zarzutu, a byłam, jak to ujął Barry,

„równie samotna jak Arab w górach Catskills" i czytałam więcej książek niż Clifton Fadiman*¹³⁷, gdyby go zamknąć w British Museum.

Czułam się kompletnie zagubiona i tak samo niepokodzona ze światem, jak w dniu, kiedy wylądowałam na Grand Central po ucieczce z Connecticut. I zyskanie popularności jako najgłupsza dziewczyna w telewizji też niezbyt pomagało w ułożeniu sobie życia. No więc postanowiłam wykorzystać trochę czasu, którym dysponowałam, i dowiedzieć się, czy potrafię grać.

Zapytałam Barry'ego, kto ze znanych mu ludzi mógłby mi pomóc. Znał Helgę Nathan. Czy zechciałaby się ze mną spotkać? Tak, ale może się zdarzyć, że mnie nie zauważy. Mając to w pamięci jako jedyną wytyczną, poszłam się z nią zobaczyć.

Studio Helgi Nathan mieściło się tuż nad salonem pogrzebowym i dlatego nigdy nie zasłynęła w komedii. Była to wielka sala, pusta i kiepsko oświetlona słabymi lampami pod sufitem. Przez chwilę myślałam, że pomyliłam piętra. Rozejrzałam się, żeby złożyć uszanowanie rodzinie zmarłego, i zdałam sobie sprawę, że osoby w sali są całkiem żywe i jedna nich to Helga Nathan.

- Selma - odezwała się do myszowatej sekretarki - czy mogłabyś mi przynieść herbatę?

Helga Nathan miała około sześćdziesiątki, dostojna w swej fizyczności i sposobie bycia, tęga i matriarchalna, była też królewska i majestatyczna, gdy tak siedziała w rzeźbionym fotelu, pokrytym spleśniałym czerwonym welwetem, fotelu, który trzymał ją w objęciach niby tron. Wszystkie pozostałe krzesła były drewniane, tego rodzaju, jaki widuje się podczas kościelnych ceremonii - składane, łatwe do przechowywania i niewygodne. Scena wznosiła się dwie stopy nad podłogą i miała jedną żarówkę wiszącą na cienkim paśmie drutu. Lampa wyglądała jak tłusty pająk, który zasnął podczas próby uprzedzenia elektrycznego kabla.

Helga Nathan nieustannie rozgarniała włosy rękoma jak grabiami. Robiła długie przerwy w wypowiedziach i manipulowała przy guzikach bluzki, tak że czasem mijało parę minut, zanim coś rzeczywiście powiedziała, bo choć jej usta się poruszały, formując słowa, nie

¹³⁷ C. P. Fadiman (ur. 1904) - amerykański pisarz i wydawca rozlicznych antologii.

wydobywał się z nich żaden dźwięk. Nagle, podczas zabawy guzikami, z jej bluzki jak kukulka z zegara wystrzeliła pierś, jakby chciała się rozejrzeć i zapytać: „Hej, która to godzina?”. Pewnie się na nią gapiłam, bo Helga Nathan spojrzała na mnie, a potem na pierś i, wpychając ją z powrotem tam, gdzie było jej miejsce, delikatnie mnie upomniała:

- To cycek, kochanie. Ty też je masz, prawda?

Skinieniem głową potwierdziłam prawdziwość tego zdania, a ona zapytała mnie, co robiłam, żeby przeżyć. Jakoś nie potrafiłam się zmusić do wyznania, że jestem komikiem w nocnym talk show. Ale nie musiałam - wiedziała.

- Czemu to zrobiłaś, Virginio?

- No cóż, muszę jakoś zarabiać na życie.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Kradnij, kochanie. Zostań włamywaczką. Albo kieszonkowcem. Rób to, co będzie konieczne, żeby większość czasu zachować dla siebie.

- Och.

- A kiedy już będziesz miała czas, ofiaruj go. Każdą chwilę. Ofiaruj ją aktorstwu. Czy możesz to zrobić, dziecko?

- Tak.

- Poświęć się słowom niebędącym twoim własnym tworem, ale słowom, które tak lśnią że wymówienie ich schlebia twojej krtani bardziej niż rechot całego świata. Tak?

- Tak.

- Masz tu sztukę. Eugene O'Neill. *Zmierzch długiego dnia*, tak?

- Tak. Dziękuję.

- Strona osiemdziesiąta ósma. Kwestia Mary. Czy jest ci znana?

- Tak. Nie.

- Środek strony. Tam gdzie mówi: „To kłamstwo. Nie chciałam go”.

- Tak.

- Przeczytaj to z wściekłością, Virginio. Z wściekłością.

- Tak. -I przeczytałam z wściekłością, wpadając na scenę, nagle pełna emocji jak rosyjski car i rwąca jak Wołga. Nie mogłam w to uwierzyć: kiedy mi się przyglądała, cycek znów wyskoczył, jakby chciał posłuchać.

I znów nie zdawała sobie z tego sprawy. Aleja nie byłam w stanie mówić dalej, nie z tym cholernym cyckiem, który gapił mi się prosto w twarz.

- Czy coś się stało, dziecko? Czemu przerwałaś?

-- No bo...

- Ponownie chodzi o mój cycek?

- Cóż... tak.

- Ale dlaczego na mnie patrzysz?

- No bo...

-Doskonale. No więc wypadł mi cycek. Komuś z twojej widowni wyskoczył cycek i się nim bawi, a to bardzo rozpraszające. Widownia bawi się wieloma rzeczami podczas przedstawienia, Virginio. W jakim innym celu mężczyźni noszą kapelusze? Co robisz, kiedy coś takiego się stanie?

- No... - Wiedziałałam, że chce usłyszeć, jak to ignoruję cycek i ciągnę czytanie. Ale instynktownie bym tego nie zrobiła. Wiedziałałam też, że chciała ode mnie szczerości i przede wszystkim dlatego wystawiała tę pierś, żeby sprawdzić, czy będę w stanie kontynuować.

- Co byś zrobiła, Virginio?

- Ja? Co bym zrobiła?

- Tak.

-Zaczęłabym stepować. - I to właśnie zrobiłam. A Helga Nathan była po prostu zachwycona. I biła brawo, wołała o więcej i wybijała stopami rytm. No więc na zakończenie zmieniłam krok i zeszłam za kulisy, kiwając niewidzialnym kapeluszem. I tam zostałam, w ukryciu, czekając, że teraz nastąpi koniec świata.

- Virginio?

Wystawiłam głowę, żeby ją widzieć.

- Tak, panno Nathan?

- Wróć, proszę.

-Tak, panno Nathan. - I weszłam z powrotem na scenę, wciąż ściskając scenariusz. Mokry i pomięty od ciepła mojego ciała. No i znużony wielkim występem, bo posłużył mi jako ten niewidzialny kapelusz.

- To było bardzo dobre.

- Naprawdę?

- O rany, tak.

- Uważa mnie pani za aktorkę?
- Nie. Uważam cię za wariatkę.
- Ale nie aktorkę.
- Nie. Lecz to wstępny warunek, żeby aktorką zostać. Żeby być aktorką, trzeba najpierw zwariować.
- Och. W takim razie... czy mogę u pani studiować?
- Nie. Ale chciałabym, żebyś mnie nauczyła, jak robić to, co właśnie zrobiłaś.
- Nie rozumiem.
- Sylogizmy. Wszyscy aktorzy są szaleni. Lecz nie wszyscy szaleńcy są aktorami. Niektórzy to tancerze.
- Beztalencie, co?
- Gorzej. Poczucie humoru. Wysoce destrukcyjne na scenie. Dość przydatne poza sceną, ale na scenie destrukcyjne. Zaczęłabyś się śmiać z byle czego. Z głupoty tego, co robisz. Myślałabyś, cóż to za absurd stać na scenie, podczas gdy ludzie na ciebie patrzą, i śmiałabyś się z tego. Śmiałabyś się z *Króla Leara*, nieprawdaż?
- Nie wiem, ale... tak. Uważam, że to lepsze niż lirycznie płakać z *Króla Smiecha*. - A co mi tam, pomyślałam, równie dobrze mogę zapłacić głową za Boba Hope'a jak za Henny'ego Youngmana*¹³⁸.
- Uśmiechała się - po macierzyńsku, lecz z satysfakcją pochodzącą z wiedzy, że miało się rację.
- Rozśmieszyć ludzi jest znacznie trudniej, niż skłonić ich do płaczu, nie uważasz?
- W rozdrażnieniu zaczęłam postukiwać stopą. Miała rację, niech ją szlag.
- Ale ja nie chcę rozśmieszać!
- Więc czemu to robisz?
- Nie wiem!
- Moja kochana, robisz to, żeby samą siebie powstrzymać od płaczu, co stanowi istotę komedii. Wróć do mnie, kiedy nie będziesz smutna. Teraz jesteś zbyt smutna i będziesz wszystkich rozśmieszać. A ja prowadzę

¹³⁸ B. Hope (ur. 1903) - aktor komiczny; H. Youngman (1906-1998) - komik estradowy, nazywany „królem jednozdaniowych ripost”.

zajęcia z dramatu. Czy zaproponowałam ci herbatę? O, Selma? Czy możemy prosić o jeszcze jedną herbatę dla Virginii? Dziękuję, kochanie.

Helga Nathan miała mnie jak na dłoni. Przejrzała mnie na wylot. Wiedziała, jak i ja zawsze wiedziałam, że ilekroć jestem zabawna, to dlatego, że jestem smutna. Jako Ginger w *Stan Arlen Show* byłam tak zabawna, jak smutna byłam jako Ginnie w *Ginnie Maitland Show*. Zaiste, Yoricku - a ja sądziłam, że dobrze ją znałam.

Wróciłam do mieszkania kompletnie załamana. A jednak, kiedy tego wieczoru pojawiłam się w *Stan Arlen Show*, wypadłam zabawniej niż kiedykolwiek. Gdzieś po drodze zmieniałam się w Pajaca*¹³⁹, tylko ładniejszego, lepiej opłacanego i z lepszymi nogami. Ale nie umiałam śpiewać, nie pozwolono mi grać i nie potrafiłam się rozplakać pod koniec arii, więc brawa brzmiały nieszczerze, widownia pustoszała, a przystojni tenorzy nigdy nie chcieli ze mną śpiewać.

Don zaczął próby swojego pierwszego programu dla CBS i po jego zachowaniu co wieczór przy kolacji mogłam stwierdzić, że całkowicie panował nad sytuacją. Candy też to widziała i byli razem tak radośnie pewni siebie, że czasem mnie od tego mdliło. No i mieli teraz pieniądze, więc w kwestii jedzenia i wydatków nie musieli dłużej polegać na mojej hojności. Zaczęli wychodzić we dwójkę, zapraszali mnie, oczywiście, ale wolałam zostawać w domu i być nieszczęśliwa, a potem jako wesola Ginger bawić do łez Amerykę, by wracać do domu i płakać. A-ha-ha-ha-ha (to Pajac).

Przedstawienie Dona pokazano w poniedziałek wieczorem, w zwykłym czasie Studia Jeden, i wyszło naprawdę nieźle. Scenariusz od początku był dobry i reżyseria Dona tylko mu pomogła. CBS wyraziło zadowolenie, a Westinghouse, sponsor, był zachwycony. Wszyscy rzucili się na Dona z kolejnymi ofertami. Był jednym z tych inteligentnych młodych reżyserów. Zapracował na to i teraz cieszył się zasłużenie.

Don z rozkoszą popracowałby nad jakimś scenariuszem Bena Webbera, ale Ben Webber trafił do Hollywood - i co tam robił, naprawdę nie mieliśmy pojęcia. Wielki w Nowym Jorku, ważny i poczytny młody pisarz, tam, w Kalifornii, podejmował ryzyko zostania po prostu kolejnym ciałem w basenie. Barry bronił Bena, twierdząc, że zrobił to, co musiał

¹³⁹ Bohater opery *Pajace* R. Leoncavalla, wykonawca arii *Śmiej się, pajacu, gdy serce pęka z bólu*.

zrobić. No ale zdaje się, że Ben dał Barry'emu pięć tysięcy dolarów za wycofanie się z umowy, która nigdy nie istniała, przynajmniej nie na papierze. Prawda natomiast wyglądała tak, że nikt z nas nie miał prawa krytykować Bena, a już najmniej ja, która, chociaż nabrana przez Richiego, powinnam wiedzieć lepiej i udzielić biednemu grzesznikowi audiencji przed wysłaniem go do Czyścica. Gdybym to zrobiła, być może mogłoby to zmienić życie nas obojga. Nie, to by zmieniło nasze życie.

Często zjawiał się Arnie Felsen ze swoim scenariuszem pod pachą. Pracował nad nim i wypracował pewnie z dziesięć różnych wersji. Za każdym razem, kiedy wchodził, wyglądał jak dostawca niedzielного „Timesa”. Poprosił Dona, żeby zerknął na jego dzieło, i Don, mimo wszystkich zajęć znalazł czas, żeby razem z Arniem nad nim popracować.

Ja w pojedynkę pracowałam nad swoim rozdwojeniem, smutna w ciągu dnia, odcinałam się od mojej pełnej uwielbienia publiczności, a potem w nocy, przez pięć dni w tygodniu, zjawiałam się na ekranie, żeby uczynić narodowe forum miejscem bardziej wartym śmiechu. Często jednak po powrocie do domu o drugiej czy trzeciej nad ranem musiałam się wyrzygać z czystej rozpacz, wmawiając Candy, że to grypa, grzybica stóp albo urojona ciąża. Ale ona wiedziała swoje.

Aż pewnego dnia, głęboko pogrążona w mojej codziennej południowej rozpacz, odebrałam telefon od Johnny'ego Farrara. Chicagowski Johnny Farrar telefonował do mnie ze swojego apartamentu w Delmonico. Był w mieście, w drodze do Paryża, i dostał mój telefon od Barry'ego, który, tak się szczęśliwie złożyło, złamał mój zakaz niepodawania nikomu tego numeru. Była niedziela; czy moglibyśmy zjeść razem kolację? „Cholera, jasne, że tak!”, pomyślałam, chociaż głośno powiedziałam tylko:

- Jaki Johnny?

Przyjechał po mnie o ósmej, równie piękny jak go zapamiętałam. I szarmancki, uważający oraz pozbawiony skrupułów niczym tygrys. Wyjeżdżał o północy, Paryż albo bankructwo, i nieśmiało zapytywał, czy rozważyłabym wyjazd razem z nim. Jeśli tak, dopilnowałby, abym wróciła do Nowego Jorku na czas, żeby zdążyć na poniedziałkowy program. No i tak jak obiecał, był rozwiedziony.

Zjedliśmy kolację. Jego samochód czekał na nas przed restauracją i pojechaliśmy prosto na Idlewild. Poleciliśmy pierwszą klasą do Paryża i zameldowaliśmy się w Ritzu, bo tam zawsze się zatrzymywał podczas pobytów w tym mieście. Nie miałam pojęcia, która godzina, jaki dzień, rok czy wiek. Paryż był napojem orzeźwiającym, a Johnny Farrar znawcą, który go dawkował. No i nie miałam żadnych ubrań, tylko to, co włożyłam na kolację w poprzednim stuleciu. Mój zwykły numer - uciec z taborem i nigdy nie oglądać się za siebie. Byłam Cyganką, ciałem i duszą z tamburynekami i złotymi kolczykami.

Kochaliśmy się na jedwabnych prześcieradłach, namiętnie, choć delikatnie (tak, to możliwe), i to kilka razy, z przerwami na kolację i buszowanie po Polach Elizejskich. I zaopatrzyłam się w najmodniejsze paryskie ciuchy w sklepach, które mimo niedzieli Johnny zdołał jakoś nakłonić do otwarcia.

A w poniedziałek siedziałam w samolocie do Nowego Jorku, w samą porę, żeby zdążyć na program, i w tak cudownym nastroju, że wcale nie byłam zabawna. Ale w poniedziałki nikt nie bywa naprawdę zabawny, więc przeszło to niezauważone i bez echa.

Złatwiłam tygodniowe programy, z każdym kolejnym wypadałam coraz mniej śmiesznie. Po piątkowym występie znów wsiadałam w paryski ekspres. Johnny żył po królewsku, pieniądze na każdym kroku, najwyraźniej elektronika - cokolwiek to było - oznaczała coś, do czego warto się podłączyć. Jeśli nawet intensywnie pracował przez cały tydzień, równie intensywnie bawiliśmy się w weekendy i moje dwudzieste urodziny świętowaliśmy, jakbym była umierającym dzieckiem, któremu z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem urządzi się ostatnie Boże Narodzenie.

Zaczęłam kompletować paryską garderobę, upychając ją w Ritzu. Amerykańska garderoba znajdowała się w moim mieszkaniu w Nowym Jorku. Miałam ciuchy po obu stronach Atlantyku - w takiej ilości, że mogłabym konkurować ze wszystkimi siostrami Gabor*¹⁴⁰. Dzięki dwóm tak znakomicie zaopatrzonym szafom mogłam podróżować tam i z powrotem bez bagażu, stuknięty dzieciak w dżinsach i ciemnych okularach, latający pierwszą klasą, a co. Uważnie przyglądałam się stewardesom, zastanawiając się, czy któreś z nich zatrzymywały się w naszym mieszkaniu, ale

¹⁴⁰ Magda, Zsa Zsa, Eva - aktorki, znane z upodobania do wystawnego życia.

Francuzki z takim uroczym akcentem i rozkosznymi tyłeczkami mogły się zatrzymywać najwyżej w mieszkaniu Howarda Hughesa*¹⁴¹.

W tygodniu Johnny podróżował po kontynencie, lecz na nasze weekendy zawsze wracał do Paryża. Zwiedzaliśmy okolice, tereny winnic, trzygwiazdkowe restauracje. Próbowaliśmy się uczyć francuskiego, ale naprawdę nie byłam w stanie. Wymawiałam jakieś zdanie, potem wybuchałam śmiechem, a miejscowym wcale to nie przeszkadzało. Podczas któregoś weekendu spotkaliśmy się w Rzymie, gdzie kupiliśmy jeszcze więcej ciuchów i zatrzymaliśmy się w Hasslerze. Potem zaliczyliśmy Wenecję, później Wiedeń, wreszcie Londyn, a wszystkie te odzieżowe zakupy przesyłano do mojego mieszkania w Nowym Jorku, gdzie Don i Candy musieli się zastanawiać, czy aby nie otwieram własnego sklepu — „Europejska Ginnie - przybywajcie tłumnie”.

Szaleństwo bez końca, nierealne i namiętne. Wiedziałam, że to się musi skończyć, ale mimo wszystko postanowiłam nie poświęcać temu zagadnieniu ani skrawka myśli. Skoro Europa jest pokarmem miłości, korzystaj z niego, o Kolumbie, pozostań w swej Genui. To, że Ferdynand i Izabela cię wysłali, może oznaczać tylko tyle, że sami bawili się za dobrze, by jechać.

W Nowym Jorku Stan Arlen zabrał mnie na drinka i nasza rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

- Ginnie, nie jesteś taka zabawna jak dawniej.
- Wiem.
- Co się stało?
- Jestem szczęśliwa.
- Rozumiem. A kiedy jesteś szczęśliwa, nie jesteś zabawna, zgadza się?
- Zgadza.
- Jesteś zabawna tylko wtedy, kiedy jesteś smutna.
- Zgadza się.
- Okej - zwalniam cię. Czy to cię smuci?
- Tak.
- Dobra. I tego się trzymaj. Za godzinę mamy program do zrobienia.
- Za godzinę znowu będę szczęśliwa.

¹⁴¹ H. Hughes (1905-1976) - multimilioner, właściciel kompanii lotniczej.

- Tak szybko mija?
- Obawiam się, że tak.
- Zakochałaś się.
- Tak.
- To wcale nie jest zabawne.
- Wiem, ale rozkoszne.
- Bardzo nieprofesjonalne, żeby kłown był szczęśliwy. Żle ci wpływa na refleks.
- Wiem. To właśnie powiedziała mi Helga Nathan.
- To jest zabawne.
- Co powinnam zrobić?
- Weź parę tygodni wolnego. Wyjedź, baw się fatalnie i pozbądź się z organizmu całego tego szczęścia. Nie wracaj do pracy, dopóki nie będziesz blada, słaba, w depresji... i zabawna. Nic mnie nie obchodzi, czy musisz się w tym celu postarać o śmiertelną chorobę. Ja chcę tylko paru dowcipów. Zrobiłam sobie dwutygodniowe wakacje od *Stan Arlen Show* i nigdy tam nie wróciłam.

Rozdział 23

Ben

1953

Poleciałem do Hollywood z masą forsy w kieszeni. Oprócz tego, co zostało z moich telewizyjnych zarobków, dostałem dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, czyli połowę należności za nowelkę, którą zobowiązałem się adaptować dla Warner Brothers. Pozostałe dwadzieścia pięć tysięcy miałem dostawać etapami, w trakcie wprowadzania poprawek i aż do chwili rozpoczęcia okresu zdjęciowego. Po potrąceniu dziesięciu procent prowizji dla agencji Morrisa szykowało się dla mnie, w ciągu ośmiu tygodni, coś około czterdziestu ośmiu tysięcy dolarów w żywej gotówce.

Leciałem sam, cały mój stan posiadania został wepchnięty w dwie torby, a maszyna do pisania schowana pod siedzenie. Ktoś nazwiskiem Steiner miał się ze mną spotkać na Lotnisku Międzynarodowym Los Angeles i od tej pory sprawować nade mną pieczę. Lot trwał niemal osiem godzin i zabijałem czas szkocką z wodą sodową oraz myślami o tym, gdzie byłem i dokąd zmierzam.

Z Pittsburgha do Nowego Jorku i do Los Angeles - wszystko zdarzyło się stosunkowo szybko. Cztery lata, wliczając zmarnowane półtora roku w wojsku. Nieźle. Od sprzedaży kartek z pozdrowieniami do pisania scenariuszy - wcale nieźle. Dziwne prace, ładne dziewczyny, parę kopniaków w dupę, parę klepnięć w plecy... i w wieku dwudziestu czterech lat, chwilę przed dwudziestkąpiątką, udało mi się wybić. A dzięki szkockiej nawet wyżej niż samolot.

Chociaż lekturę czy choćby poznanie tytułu noweli, o której adaptację poprosił mnie Warner, miałem jeszcze przed sobą, zrozumiałem, że akcja była w porządku, ale tekst zaludniały sztywniackie postaci. Uznano, że jako dramaturg będę wiedział, jak uczynić te postaci bardziej przykuwającymi uwagę i mniej statycznymi. Z powodu sukcesu moich telewizyjnych sztuk uważano mnie za dobrego autora dialogów. Miałem

więc tylko wykorzystać moją tak zwaną biegłość i - voila - wszystko zbierze się do kupy jak magnes i żyletki, po czym wychynie z tego film.

Wiedziałem, że nie powinienem być przesadnie pewny siebie, żeby nie stać się stereotypowym młodym pisarzem-zapaleńcem, który dla starych zawodowców ma tylko pogardę. Film był w końcu medium wymagającym w równym stopniu wiedzy technicznej jak wyczucia sceny i nosa do akcji, i zdawałem sobie z tego sprawę - przed wylotem przeczytałem nawet kilka odpowiednich książek. Dodatkowe poczucie bezpieczeństwa zapewniała mi świadomość, że znalazłem się w rękach Vernona Stacey'a, który już czekał w Los Angeles, bo wyruszył dzień przede mną żeby najpierw zająć się innymi sprawami.

Hollywood było przedmiotem marzeń i ja też miałem kilka marzeń, które chciałem oblec w scenariusz, nakręcić, zmontować i rozpowszechnić - a potem stanąć z boku i cieszyć się, że świat uznaje je za najwspanialsze marzenia, jakie kiedykolwiek zostały wysnute, a mnie za największego marzyciela i najmilszą osobę, najlepszego sportowca i gospodarza klasy, i najbardziej lubianego, najbardziej kochanego, najbardziej szacownego, powtórnie przychodzącego w chwale, żeby zająć pierwsze miejsce w sercach współobywateli. Taki właśnie byłem pijany w chwili, gdy pilot okrążył Wielki Kanion, żebyśmy my, wieśniaczki, mogli na niego zerknąć i zdać sobie sprawę, jak bardzo, kurwa, jesteśmy w sumie nieważni.

Zanim wylądowaliśmy w LA, nie wiedziałem już, czy nazwisko człowieka, który miał się tam ze mną spotkać, brzmi Steiner, Stoner, Steber czy McGillicuddy. Na szczęście on wiedział, jak ja się nazywam, i odnalazł mnie w sekcji bagażowej.

Słońce żywym ogniem paliło moją biedną główkę, a mózg próbował się zwinąć w kłębek w uszach, żeby uniknąć upieczenia. Steiner (nigdy nie poznałem jego imienia) miał około czterdziestki, wpadnięte oczy szkieletu i sylwetkę wydłużonego Raya Bolgera*¹⁴². Do tego włosy we wszystkich kolorach tęczy, fruujące na wszystkie strony, kiedy jechał otwartym MG przez autostradę Santa Monica.

Raczej nie oczekiwałem limuzyny i japońskiego szofera, ale też nie spodziewałem się, że odbierze mnie przedwojenne MG i kierowca-

¹⁴² R. Bolger (1904-1987) - aktor znany z roli Stracha na Wróble w *Czarnoksiężniku z Oz*.

suchotnik. Na moje ucho zarówno pojazd, jak i kierowca cierpieli na gruźlicę, z tym że samochód miał większe szanse dotarcia do hotelu niż charczący typ za kierownicą.

Steiner podjechał, zatrzymał się przy wejściu do Hollywood Roosevelt i gapił się, kiedy targąłem swoje torby na chodnik. Boy hotelowy podszedł mi pomóc. Wyglądał równie chorowicie jak Steiner, ale i tak pozwoliłem mu zabrać bagaże, bo zdawało się, że to strasznie dla niego ważne.

- Masz być w studiu o dziewiątej trzydzieści rano - oznajmił Steiner, przygazowując silnikiem, czy może odchrząkując.

- Do kogo mam się zgłosić?
- Ktoś do ciebie zadzwoni. Bez obaw.
- Dzięki za podrzucenie, Schreiber.
- Nie ma za co, Werber.

Czegoś takiego jak ten pokój w życiu nie widziałem. Całą jedną ścianę tworzyły szklane drzwi, wychodzące na basen. A ponieważ mieszkałem na parterze, mogłem popływać, przechodząc po prostu przez ścianę. Znakomity pomysł, tyle że nie miałem kąpielówek. Ale ponieważ miałem parę majtek w szkocką kratkę i tak zanurkowałem do basenu.

Wróciłem do pokoju dokładnie w chwili, gdy zaczął dzwonić telefon. Najpierw zgłosił się Vern Stacey: Czy wszystko u mnie w porządku? Jak minął lot? Czy pokój w porządku? Czy chcę pójść z nim na kolację? Moje odpowiedzi brzmiały: „Tak”, „Dobrze”, „Tak” i „Nie”. Obiecałem zadzwonić do niego następnego dnia ze studia i zdać relację.

Następny telefon był z biura Mike'a Abła, dzwoniła jego sekretarka. Chciała tylko wiedzieć, czy bezpiecznie dotarłem i czy jest mi wygodnie, i poinformowała, że oczekują imie następnego dnia rano, o dziewiątej trzydzieści. Na co oopowiedziałem: „Tak”, „Tak” i „Będę tam”. Po czym odłożyłem słuchawkę, zastanawiając się, kim, do cholery, był Mike Abel.

Kolejny telefon z recepcji. Mój samochód będzie na miejscu o ósmej czterdzieści pięć. Dobrze. Następny od kierownika hotelu - ponieważ każdy przyjaciel Warner Brothers był jego przyjacielem, powinienem bez wahania dzwonić w dowolnej sprawie. Aby dowieść szczerości swoich uczuć, przesłał do mojego pokoju kosz owoców, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie naraża to na szwank mojej męskości. I jeszcze jeden

od Joego Blyera z Warner Brothers. Czy mógłbym znaleźć czas na jutro, żeby wstąpić do jego biura w celach reklamowych? Postaram się.

Byłem zachwycony. Zachwycony tym wszystkim. Naprawdę. Wszystko, co kiedykolwiek słyszałem na temat Hollywood, okazało się prawdą. Palmy strzelały w niebo między pędzącymi samochodami. Telefony dzwoniły bez ustanku. Prosto z łóżka można wpaść do basenu. A ludzi z Nowego Jorku traktowano, jakby znali jakiś niesamowity sekret.

Nie zakosztowałem jeszcze smogu, jazdy po autostradzie, jazdy po bezdrożach, sal projekcyjnych, konferencji na temat scenariuszy, gwiazdek filmowych i weekendów w Meksyku, Palm Springs oraz na południu. I klapiąc na łóżko, zastanawiałem się głośno: „Gdzie ja się podziewałem całe życie?”.

Dzięki cudowi obsługi do pokoju dostarczono mi filet mignon, butelkę czerwonego kalifornijskiego wina, a potem zapadłem w znakomity całonocny sen. Kiedy się obudziłem, była dziesiąta trzydzieści rano.

Pognałem pod prysznic, po chwili z dygotem spod niego wyskoczyłem, nie zdążywszy się doczekać na ciepłą wodę. Ubrałem się i w dwadzieścia minut zszedłem do holu.

Przy kontuarze zapytałem o mój samochód. Gdzie kierowca? Pracownik recepcji dał mi jakiś bilet i polecił oddać go portierowi. Portier przekazał bilet pracownikowi parkingu i przyprowadzono mój samochód - białego buicka z otwieranym dachem i czerwoną skórzaną tapicerką.

Siadłem za kierownicą i zapytałem, jak się dostać do Warner Brothers. Parkingowy nie był pewien. No więc dałem mu dolara, którego pragnął od dziecka, wszystko mi powiedział i gładko ruszyłem w drogę.

To była prawie kompletna katastrofa. Dostałem się na autostradę dojazdem z lewej, który natychmiast posłał mnie na pas szybkiego ruchu. Pochylając się nad kierownicą i zezując na znaki, zdołałem się zorientować, że następny zjazd będzie tym pożądanym. I że znajduje się po prawej. Musiałem tylko przedostać się na prawo, mając do dyspozycji ćwierć mili, a przed sobą sześć pasów, duży ruch i średnią prędkość siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. I wszyscy podjudzali, że bym tylko spróbował.

Zdołałem zjechać i skierować się do studia, mijając cmentarz Forest Lawn. Natchniony wybór lokalizacji, bardzo strategiczny. Dogodne

położenie między holywoodzką autostradą a studiem Warner Brothers; w obu tych miejscach codziennie mordowały się tysiące ludzi.

Dotarłem do głównej bramy o jedenastej piętnaście czasu wschodniego. Czas Los Angeles, jak zauważył strażnik przy bramie, ratując mi życie, wskazywał ósmą piętnaście.

- Niech się pan nie martwi - zaśmiał się - wszyscy to robią.

Mój samochód znalazł wolne miejsce i ogłupiały zaparkowałem. Miałem godzinę i piętnaście minut do zabicia. I zegarek, który najchętniej bym zamordował za to, że tak mnie wprowadził w błąd.

Siedziałem w swoim białym buicku i zanim nadeszła dziewiąta trzydzieści, wypaliłem sześć papierosów. Chciałem się wybić w Hollywood i chciałem być miłym facetem. Czemu te dwa cele wydawały mi się tak nieprzystające? A gdyby wolno mi było wybrać tylko jeden z nich, na który bym się zdecydował? Wiadomo. Najpierw wybrałbym sukces, a dopiero potem, gdyby się dało zmienić front, zostałbym miłym facetem. Jakimś sposobem wiedziałem, że załatwianie tego w odwrotnej kolejności było błędem, że pisarze tej klasy, na którą w życiu nie mogłem liczyć, kończyli niezauważeni i w skrajnej nędzy, i przeciwnie, gorszym udawało się wykroić miłutkie kariery dość wcześnie, by mogli przeżyć swoją reputację i znieść ochłodzenia, których ofiarą padają najgorętsze talenty.

Znudziła mnie ta autoanaliza. Ciężko pracowałem, zapracowałem na swój sukces i należało mi się trochę luksusu w chwili tryumfu. A gdybym jeszcze nie był przekonany, wystarczyło spojrzeć nie dalej niż na ostatnie dwadzieścia cztery godziny z mojego życia - podczas których przyleciałem do LA na koszt studia i zająłem miejsce parkingowe przeznaczone dla Joego Mankiewicza, autora i reżysera *Wszystko o Ewie*, mojego najbardziej ulubionego filmu. Więc zostańcie sobie z Bogiem Skromności, Pokoro, Wrażliwości i Uroku. Zapraszam do siebie Arogancję, Egoizm, Agresywność i Tupet - czterech jeźdźców tej metropolii i codzienne menu wielkich, podczas gdy wszyscy mili faceci żyli samą nadzieją. Innymi słowy, ani przez chwilę nie wierzyłem, żebym potrafił napisać coś oprócz kartki z pozdrowieniami, i miałem przekonanie, że wszyscy w Warner Brothers wkrótce się o tym dowiedzą, po raz kolejny dowodząc, że fanfaronada jest ostatnią bronią przerażonego.

Chłopak na rowerze powiedział mi, gdzie mieściło się biuro Mike'a Abła, i poszedłem się z nim spotkać. O dziewiątej czterdzieści pięć. Byłem spóźniony, ale nie na tyle, żeby samorzutnie wyskoczyć z przeprosinami.

Mike Abel miał imponujące biuro i imponującą opaleniznę, chociaż łuszcząca się skóra na nosie przypominała resztki posiłku piranii.

- Ben! Wchodź! Wchodź! Dobry Boże, nie mogliśmy się ciebie doczekać! Nancy, sprawdź, czy pan Webber napiłby się kawy.

- Nie, dzięki - odparłem. - Nic mi nie trzeba.

- Siadaj! Siadaj! - Mike Abel wszystko powtarzał. Miało się z tego powodu wrażenie, że w pokoju jest echo.

- Dzięki. Dzięki - powiedziałem, zajmując miejsce i zastanawiając się, czy będę się grzecznie zachowywał.

Rzucił mi małą książeczkę.

- To jest ta książka. To jest ta książka!

Spojrzałem. Była bardzo cienka. Nieco ponad dwieście stron. Tytuł brzmiał: *Spróbuj znów z Jenny*.

- Ładny tytuł - stwierdziłem, wielki znawca w tej dziedzinie.

- Też tak uważam. Wszyscy tak uważamy. Ale brakuje mu nieco Be-na Webbera do smaku. Postaci muszą być jak żywe. Muszą tańczyć!

- A... to musical.

Roześmiał się. Potem śmiertelnie spoważniał.

- Ben, jeżeli zrobimy z tego jak należy dramat, nie ma przeszkód, żeby za cztery lata nie był z tego musical. Nie ma przeszkód. Spójrz tylko na *Annę i króla Syjamu*. Najpiei książka. Potem zwykły dramat... z Irene Dunne i Rexem Harrisonem. A potem musical na Broadwayu... z Yulem Brynnere i Gertrude Lawrence.

Zorientowałem się, że ktoś za mną stoi, i odwróciłem się. Duży Al Epstein. Zerwałem się na równe nogi i uściskał go, co nie było łatwe, bo był grubszy niż do tej pory.

Mike Abel nie przestawał mówić.

- To z powodu Ala tu jesteś, Ben. Jest twoim największym entuzjastą. Największym. Co my tu, do cholery, wiemy o tele wizji? Dla nas to druga liga. A jednak to stamtąd pierwsza liga powinna brać uzupełnienia. Dzięki Alowi awansujesz, Ben. Niektórzy z naszych ludzi są zdania, że jeszcze nie jesteś gotowy... ale ja tak. Ja tak.

- Dzięki. Dzięki. - Poczulem, że Duży Al drgnął przy moich podwójnych podziękowaniach.

Lecz Mike'a Abla nie dało się powstrzymać.

- Chcę, żebyś przeczytał tę książkę, Ben. Zajmie ci najwyżej kilka godzin. Przeczytaj, porób notatki... i podyskutujemy. Jesli tu dla ciebie biuro. Telefon, kibel. Idź tam, zdejmij słuchawkę z widełek, wysraj się i przeczytaj tę książkę. Pogadamy o tym przy lunchu.

- O sraniu czy książce?

- Jasna cholera, Ben, właśnie takiego błyskotliwego dialogu nam brakuje. Dokładnie. Al, pokaż mu biuro. Wpadnijcie po mnie o pierwszej. Nancy załatwi nam stolik w stołówce dla kierownictwa.

Duży Al zaprowadził mnie do mojego biura. Kiedy obaj znaleźliśmy się w środku, zamknął drzwi i cicho poinstruował:

- Oni o tym nie wiedzą, ale nikt tu nie ma poczucia humoru, Ben. Rób tak dalej i w mgnieniu oka znajdziesz się w samolocie z powrotem do Nowego Jorku. Gorzej, twój samolot zostanie zestrzelony, zanim doleci do Nevady. Więc lepiej uważaj.

- Taa. Pewnie racja.

- Mówię poważnie. To nie Korporacja Autorów Reklamowych. Moja dupa zależy od tego filmu, a mam całkiem sporą dupę. Namówiłem Warnera, żeby to kupił, i Mike'a, żeby to kręcił. I namówiłem ich, żeby kupili ciebie.

- Vern Stacey nie miał z tym nic wspólnego?

- Vern Stacey, akurat. Nie wiedzieliśmy, kto jest twoim agentem, więc w ciemno zadzwoniliśmy do agencji Morrisa w Nowym Jorku. Trafił się Stacey. Powiedział, że jest twoim agentem. Jest?

- Teraz jest.

- Rozumiesz jak to działa Ben? Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Ale wszystko okej. Stacey załatwił ci dobrą umowę. Pięćdziesiąt kawałków. Trochę więcej, niż dostawałeś w dziale pocztowym, co?

- Al? Widziałeś w ogóle którąś z moich sztuk?

- Nie. Ale Laura widziała. Wszystkie. Była zachwycona.

- I wybrałaś mnie, opierając się na opinii żony?

- Ona nigdy się nie myli.

- Zwariowałaś, wiesz o tym?

-Wszyscy powariowali. Mamy tu ze trzystu facetów, którzy mogą zrobić adaptację tej książki. Ale pierdzielone studia zawsze domagają się nowych pisarzy. No więc? Jesteś nowym pisarzem, zgadza się? Muszę ci coś powiedzieć, Ben. Gdybym mógł nakręcić ten film z doświadczonym zawodowcem, to bym tak zrobił. Komu potrzebne to ryzyko? Chcę powiedzieć, że ryzyko to ty. Nigdy w życiu nie robiłeś filmu. Ale nie, studio szuka zastrzyku z młodych talentów. Laura zaproponowała ciebie. To nie był mój pomysł. Ja bym w życiu o tym nie pomyślał.

- Cóż... jesteś szczery.

- A ty bądź rzetelny i okaż się świetnym pisarzem. Bo jeśli się sprawdzisz, mogę przeciągnąć moje odkrywanie ciebie na pięć kolejnych filmów. Może do tego czasu Laura odkryje Williama Inge'a*¹⁴³.

- Zaparkowałem na miejscu Joego Mankiewicza.

- Parkuj za jego maszyną do pisania, to lepiej się poczuje.

- Czemu nie weźmiesz jego?

- Bo w tym tygodniu tworzy świat, a w niedzielę odpoczywa. Słuchaj, Ben, zrób mi wielką grzeczność... siedź tu i czytaj tę książkę. Jest naprawdę dobra i będzie z niej świetny film. Chcę teraz powiedzieć, żebyś bardzo się postarał ją polubić. Bo tak czy owak musisz z niej zrobić scenariusz. Jeśli nie, to ty musisz oddać pieniądze, a ja mam z głowy pierwszy film, do którego się wzięłem.

- Chwyciłem.

- Do zobaczenia na lunchu.

- Racja.

Przeczytałem książkę i okazała się dobra. Tak jak się spodziewałem, niektóre postaci stały w miejscu, wzywając na pomoc milczące niebiosa, podczas gdy to one same powinny wziąć się do roboty. Ale umiałem to poprawić. Wiedziałem, co robić i jak to zrobić, i wszystko miało być stosunkowo proste.

Zjedliśmy lunch, podczas którego Mike Abel wziął na siebie cały ciężar rozmowy - w ogóle nie zaczął jeść. Zabrali jego talerz nietknięty, a on dwukrotnie podziękował kelnerce, bo wszystko było takie pyszne. Zdumiewające, że facet dorobił się takiej tuszy - prawie jak Duży Al.

¹⁴³ W. Inge (1913-1973) - dramaturg, autor hitów z Broadwayu, laureat nagrody Pulitzera (1953).

Siedzenie między nimi, mimo że miałem miejsce po obu stronach, przypominało miażdżenie między tramwajem a walcem parowym.

Uzgodniliśmy terminy. Pierwszą wersję scenariusza miałem dostarczyć za sześć tygodni. Mogłem to zrobić w trzy tygodnie, ale bałem się im powiedzieć, żeby nie pomyśleli, że coś robię po łebkach. Ustaliliśmy główne punkty, które musiał obejmować scenariusz. Reszta - wykonanie - zależała wyłącznie ode mnie.

Przed opuszczeniem studia wpadłem do Joego Blyera, faceta z reklamy. Krótko pogadaliśmy, wypełniłem kwestionariusze i pozwoliłem im na wsadzenie w mój biogram stwierdzenia, że byłem „bokserem wagi średniej, który teraz stanie na ringu z maszyną do pisania”. Dobrze brzmiało, nawet w moich uszach, i przez pięć minut z czasu potrzebnego na dojazd do hotelu naprawdę w to uwierzyłem i przy Barham Boulevard przegrałem z Rayem Robinsonem* ¹⁴⁴przez techniczny nokaut.

Kolację zjadłem z Vernem Staceyem i drugim facetem, Jackiem Rushem. I zostałem poinformowany, że moją karierą będzie się zajmował Rush, ponieważ Stacey musi wracać do Nowego Jorku, swojej głównej bazy. Byłem w nieco kiepskim humorze i odegrałem rolę zranionego młodego pisarza, ale szybko mi przeszło, bo wiedziałem, że to bez znaczenia, dopóki robiłem, czego się po mnie spodziewano.

Następny dzień spędziłem z Jackiem Rushem na kupowaniu sobie czerwonego porsche i szukaniu jakiegoś lokum na Hollywood Hills. Mieszkanie „w dolinie” było poza dyskusją, zbyt „plebejskie”. Słowa Jacka, nie moje.

Jack Rush był w porządku, miły facet, jeśli nawet trochę amorficzny. Przysadzisty, protekcyjny, znał wystarczająco wiele osób, żeby obsługiwać klientów jak należy, jeśli nawet nie bez zarzutu. Umówił spotkania z agentami od nieruchomości ze sporym wyprzedzeniem, żeby nie marnować mojego czasu pracy. Był skuteczny, przyjemny, do tego erudyta i porządny. Ale otaczał go pewien smrodek strachu, bez końca wycierał spocone ręce o spodnie - a już zwłaszcza przed wymianą uścisków dłoni. Miałem nadzieję z czasem się go pozbyć. W przeciwnym razie musiałbym nosić rękawiczki.

¹⁴⁴ R. Robinson (1921-1989) - bokser, sześciokrotny mistrz świata.

Znaleźliśmy dom. Na Outpost Drive, w pobliżu Mulholland -- Mulholland biegła praktycznie przez całą grań tych jakichś gór, które oddzielały Hollywood od doliny San Fernando. Dom - sekwojowe drewno, szkło i świadomość własnej kalifornijskości - właśnie dlatego mi się spodobał, bo taki był. Otwarty, z masą skradającej się zieloności, która nie pozwalała mu odpaść od stromego zbocza wzgórza. Dawniej własność jakiegoś producenta, który nigdy tak do końca się nie wybił, obecnie był tylko wynajęty, z zaznaczeniem, że najemca musi się wyprowadzić, kiedy tylko znajdzie się ktoś zainteresowany zakupem. Wyglądał dobrze. Trzydzieści tysięcy za całość, z umeblowaniem. Cztery tysiące przy podpisaniu umowy i należał do mnie. Bez basenu, ale nie można mieć wszystkiego.

Jack uważał, że to dobre posunięcie - łatwy do zbycia, gdyby mi się powiodło, łatwy do utrzymania, gdyby sukces się ociągał. Podpisałem jakieś papiery i agencja Morrisa zajęła się resztą. Muszę stwierdzić, że byli wspaniali. Nie zwlekałem z przeprowadzką i wzięciem się do pracy.

Zakupy załatwiłem w dolinie, bo co, do licha, tak było taniej, a droga taka sama jak do Hollywood. Załadowałem zamrażalnik porcją steków, wystarczającą na rok, zaopatrzyłem się w piwo i wino, kupiłem ryży papieru, kilkanaście taśm do maszyny... i całą energię skierowałem na *Spróbuj znów z Jenny*.

To była samotna egzystencja, ale tak chciałem. No i do tego przywykłem. Chcesz być pisarzem, lepiej żebyś polubił własne towarzystwo, bo inaczej nic nie zostanie zrobione. Czasem dzwoniли Duży Al i Tłusty Mike, by z nieodmiennym zadowoleniem przyjąć do wiadomości, że pracuję nad ich projektem. Przypominali mi Jerry'ego Kapłana i Franka Brokawa dzwoniących z Long Island, żeby sprawdzić, czy jestem przykuty do maszyny do pisania. Jack Rush sumiennie telefonował od czasu do czasu, dając mi ostrogę opowieściami, jak to inni producenci ustawiają się w kolejce po moje usługi i im prędzej skończę pracę dla Warnera, tym prędzej mogą ruszać na podbój reszty świata.

Wiedziałem jednak, że nie ma co się spieszyć. Moje pierwsze filmowe zlecenie było ważne, a pierwsza wersja scenariusza kluczowa. Chciałem, żeby spodobała się moim dwóm tłuszciochom. Chciałem, żeby się rozeszło, że jestem dobry. Żeby osiągnąć te wszystkie cele, byłem oddany mojej maszynie tak jak pięknej kochance. Rzadko zwracałem uwagę

na porę dnia. Zakupy robiłem tylko wtedy, gdy lodówka i zamrażalnik mi to nakazały. Pranie wywoziłem wyłącznie wtedy, kiedy wysypywało się z kosza. Spałem nie więcej niż dwie, trzy godziny z rzędu, ale za to dwa lub trzy razy w ciągu dnia.

A scenariusz powstawał. Naprawdę go przybywało - wszystkie postaci nabierały kształtów i życia, ustawiając się na moich kartkach w porządku, jaki im narzucałem. Dobrze się to zapowiadało.

Pewnego wieczoru przyjąłem pierwszego gościa: irlandzkiego setera, wymachującego ogonem prawie zbyt dużym jak na mój dom. Wabił się Redwood, tak stwierdzała przywieszka. I kiedy głaskałem go po głowie, pojawił się przede mną jego właściciel - i nie była to piękna dziewczyna, którą wpisałbym w tę konkretną sytuację.

Fred Horner był pięćdziesięcioletnim pijakiem, niewykształconym, prostodusznym, dużym i miękkim. Żadne z wymówionych przez niego słów nie miało spółgłosek. I kiedy się odezwał, zastanowiłem się, czy to może pies jest brzuchomówcą, do tego kiepskim. Uraczył mnie stekiem bzdur i serdecznym powitaniem, uprzedzając, że jeden fałszywy krok, a znajdę się na jego dachu, bo miał dom za zakrętem i tuż poniżej mojego. Sprzedawał motocykle i pił dżin; otaczająca go, wyraźnie wyczuwalna aura pachniała mieszanką jednego i drugiego. Usiadł, rzucając swój but przez szerokość tarasu, żeby Redwood mógł go zaaportować. To był popisowy numer Redwooda. Fred Homer spojrzał na moją maszynę do pisania i zadał błyskotliwe pytanie:

- Piszesz coś?
- Pamiętniki.
- Nie jesteś odpowiednio stary.
- Będę, kiedy skończę.
- Robię w motorach.
- Słuchaj... mam masę pracy.
- Niech cię nie powstrzymuje moja obecność.

- Nie powstrzymuje. - I wyprowadziłem go na ulicę. Rzucił but milę przed siebie i Redwood zniknął w pogoni za nim. A Fred Horner, utykając, oddalał się ode mnie, kiwając mi i bekając. Miałem sąsiada. Powinienem chyba postawić płot. Pod prądem.

Duży Al zaprosił mnie na kolację. Miał miły dom w elżbietańskim stylu w gorszej części Beverly Hills, na południowy wschód od hotelu

Beverly Wilshire. Do domu przynależała dwójka dzieciaków. Jednym z nich był chłopiec. Drugi dzieciak był do wzięcia. Miło było zobaczyć Laure i podziękowałem jej, że szepnęła za mną słówko. Odparła „Proszę bardzo”. Spędziłem naprawdę uroczy wieczór.

Pojechałem do domu pogrążony w niezłej depresji. Z miejsca się zorientowałem, że Duży Al przerósł swoją małżonkę. Jest takie stare przysłowie: „Pospieszny ożenek - żal w Beverly Hills”.

Wszystkie swoje emocje wtłoczyłem w scenariusz. Tego, co mi zostało, nie opłacało się wynosić z domu, a już zwłaszcza wozić w porsche. Przeżywałem namiętności zółwia. Nie jadłem, nie mogłem znieść telefonu - a jeżeli ten dumny pies jeszcze raz się pojawi, to nasikam na niego, tak jak on sikał na sztuczne rośliny w mojej namiastce ogrodu.

Redwood znów się pojawił, piąty raz, i rzuciłem w niego dużym kamieniem, z nadzieją, że nie trafię, ale go nastraszę. Trafiłem i wstąpił w moje progi dopiero po tygodniu.

- Nie powinien pan tego robić. - Żona Freda Homera.
- Wciąż tu wpada i założę mu opaskę uciskową na fiuta.
- To tylko pies.
- Mówiłem o pani mężu. Bo jest pani panią Horner, tak?
- Tak. - Harriet Homer, była ślicznotka-tancerka w różowym spodniem z satyny, wyglądała, jakby została na scenie i gniła tam od finałowego przedstawienia *George White 's Scandals**¹⁴⁵ w wersji z tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego. Pięćdziesiątka, która starała się udawać dwudziestkę - więc wyglądała na dziewięćdziesiątkę. Wysoka i brzuchata, przypominała ściśnięty balon. Miała marchewkowe włosy, rzęsy takiej długości, że podczas deszczu nigdy nie napadało jej na nos, i rubinowe wargi tak tłuste, że była zmuszona rzucić palenie, bo papieros by się wyslizgiwał i wpadał jej za dekolt, gdzie nie miałyby z niego pożytku. Całość stała na plastikowych platformach takiej wysokości, że musiała jej pójść krew z nosa, kiedy się na nie wspięła. - Przyszłam zabrać Redwooda. - Jej głos stanowił amalgamat Betty Boop i Zasu Pitts*¹⁴⁶ i sprawiała wrażenie idealnej żony dla tego jej pełnego gorzały

¹⁴⁵ Musical R. Hendersona i L. Browna popularny w latach 30.

¹⁴⁶ Z. Pitts (1898-1963) - aktorka znana z ról postrzelonych kobiet.

męża. Nie szła... chybotła się i przelewała. Miało to być seksowne, ale mnie przypominała raczej kolejkę w wesołym miasteczku.

Ponieważ i tak się już wybiłem z rytmu i całe lata nie byłem w cyrku, zachowałem się nietypowo uprzejmie.

- Czego miałyby się pani ochotę napić? Mam sok pomarańczowy i piwo.

- To wystarczy.

Może i była zabawna, lecz ja tak nie uważałem. W każdym razie nie miało to żadnego znaczenia. Chciałem tylko zobaczyć, czy wypije. Wypiła. Sok pomarańczowy z piwem. W duchu ochrzciłem napój mianem „durniokręta”.

- A gdzież to stary Fred?

- W San Diego.

- Tak daleko potrafi rzucić butem?

- Pojechał w interesach.

– Czy miałyby pani ochotę na jeszcze jednego drinka, pani Homer?

– Nie, dzięki. I mam na imię Harriet.

– A ja Ben.

Spojrzała na maszynę do pisania.

– Jesteś pisarzem?

– Lubię tak o sobie myśleć.

– Co piszesz?

– List pożegnalny.

– Robisz jakieś przerwy?

– Jasne. O której?

– Muszę załatwić parę spraw. Ale powinnam wrócić o czwartej.

– Gdzie cię znajdę?

– Wszystko jedno. U ciebie czy u mnie?

– Niech będzie u ciebie. Ja mam bałagan.

– Szósta. Chciałabym się odświeżyć. - Odwróciła się, zdjęła jedną ze swoich platform... i rzuciła. - Aport, Redwood! - Redwood pobiegł zaaportować, a ona pokuśtykała z powrotem, tęcza w stadium rozkładu.

Nie wiem, dlaczego umówiłem się na to spotkanie. Z pewnością nie paliłem się, żeby przelecieć balon zaporowy. Zdaje się, że po okresie zamknięcia, jaki miałem za sobą, prawie miesięcznego, pragnąłem jakiegokolwiek odmiany. Zapowiadało się to interesująco. Coś jak pieprzenie

dotatkowej atrakcji programu. Właściwie jak pierdolenie różowej kana-
py. W miarę upływu dnia ta koncepcja stawała się coraz bardziej fascynu-
jąca i nie mogłem pracować. Rany, ludziska, randka z Harriet Horner. I
przed wyjściem z mojego domeczku ściałem w ogrodzie trochę kwiatów,
żeby zanieść je Harriet, dziewczynie moich koszmarów.

Zszedłem krętą drogą, pogwizdując *Płynie parostatek*. Wiedziałem,
który to dom, bo rzeczywiście znajdował się dokładnie pod moim, ale
poznałem go też dzięki pięciu motocyklom spiętym łańcuchem przy fron-
towym wejściu. Redwood też został przypięty przy frontowym wejściu,
więc najwyraźniej Harriet miała poważne zamiary - nie chciało jej się
rzucić psu platformy w trakcie seksualnego aktu z dżentelmenem przyby-
łym z krótką wizytą.

Wszedłem do środka. Było jeszcze jasno, ale słońce kończyło
dniówkę, już po stronie wzgórza należącej do doliny. Sprzęt hi-fi grał coś
nastrojowego - „Muzyką do posuwania Harriet”. Dom był mały, podobny
do mojego, ale urządzony na zielonożółto i fiołkoworóżowo. Dobrze, że
słońce zachodziło, bardzo mądrze z jego strony.

Drzwi sypialni zastałem otwarte i zobaczyłem ją wyciągniętą na łóżku
wielkości boiska do bejsbolu. Całą pomarańczową i różową w żółtej noc-
nej koszuli. Narzuta zielona, włochaty dywan fioletowy. Ta kobieta albo
była daltonistką, albo zwariowała. Paliła papierosa, a kiedy mnie
zobaczyła, spokojnie zdusiła go w najbliższej popielniczce i dźwignęła
swoje cielsko. Łóżko zatrzeszczało, jakby w przewidywaniu, że teraz
nadchodzą ciężkie chwile.

Odłożyłem na obok moje kwiaty, zaznaczając, że to dla niej, a ona
zatrzepotała rzęsami jak gejsza. Kiedy zdejmowałem ubranie, przyglądała
się, jak gdyby kołysząc się przy tym z boku na bok, odsłaniając mięsiste
udo, poruszając palcem o wypolerowanym paznokciu. Po głowie
chodziło mi tylko jedno zdanie: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy
tu wchodzicie”. Ale jednak wszedłem - poniżenie, choć nie najgorsze.

Jeżeli facet zamknął oczy, jeżeli nie patrzył i nie myślał, tylko
poddawał się biegowi wydarzeń, Harriet Chętnobiodra Horner musiała
być najlepszą okazją w mieście. Przerzucała mnie z jednej strony na
drugą niby dziecko bezmyślnie bawiące się piłką, podbijając mnie udami,
które tańczyły w tempie osiemdziesięciu ośmiu uderzeń na minutę. Potem
łydki zadziały jak bramka u podstawy elektrycznego bilardu, zagarnęła

mnie i wystrzeliła z całej siły, umieszczając w swojej wielkiej głębi. Odbiłem się od miękkiego, wilgotnego brzucha, trącony gąbczastym tyłkiem - wszystko to przypominało wznoszenie się i opadanie na trampolinie z ciasta na pizzę. Pode mną była jak trzęsienie ziemi, na mnie jak wulkan. Na boku niczym fala przyływu, od tyłu - tryskające źródło. Monsunowała mnie, tajfunowała, cyklonowała i tornadowała. A kiedy została ze mnie tylko mżawka, kiedy wszystkie spazmy ustały, kiedy wszechświat przestał drżeć w posadach i leżałem tam jako jedyny rozbiitek, Crusoe, poklepała mnie po plecach i wyszeptała:

- Okej, mały, teraz możesz iść do domu. Nie wejdź w psie gówno.

Później, leżąc we własnym łóżku i obmacując się dla sprawdzenia, czy żebra się nie poprzesuwały, zdałem sobie sprawę, że ten stary pijak Fred Horner wszystkiego, co wiedział o koniach mechanicznych, nauczył się od swojej podobnej do perszerona żony. Miałem zamiar jeszcze dobrać się do tej klaczy, kiedy tylko wydobrzeję wystarczająco, by opuścić stajnię. Niezbyt się sobie podobałem, a w gruncie rzeczy ledwie mogłem się poznać. Po prostu nie potrafiłem się oprzeć.

Pierwsza wersja scenariusza była ukończona i osobiście podrzuciłem ją do biura Mike'a Abla, gdzie Duży Al porwał ją i przycisnął do piersi. Zamierzał przeczytać to tego samego wieczoru, podobnie jak Mike Abel. Jeżeli przyjdę następnego dnia wcześniej rano, wszyscy będziemy mogli „zabrać się do poprawek”.

Niezbyt spodobała mi się ta uwaga, ale nic nie powiedziałem. Teraz każdy musi dowieść racji swojego istnienia, pomyślałem. Skąd pisarz bierze odwagę, żeby przedstawić swój debiutancki scenopis? Przypomniało mi to stare dzieje w 20th, kiedy chowaliśmy nasze pierwsze pomysły i wyciągaliśmy je na samym końcu, i pokazywaliśmy Gruberowi dopiero w ostatniej chwili, gdy nie miał wyboru, musiał je zaakceptować. W. Charles Gruber, zamordowany przez nieznanego czarnego napastnika nazwiskiem Pat Jarvas. A gdzie się podziała Pat Jarvas? Co się z nią stało, kiedy rzuciła pracę w 20th? Jak Lizzie Borden*¹⁴⁷ zadała swojej

¹⁴⁷ Borden, oskarżona i uwolniona od zarzutu zamordowania siekierą rodziców (1892).

oferze czterdzieści ciosów - i nie wiedział o tym nikt oprócz mnie. Cóż, byłem dobrą osobą do przechowania tej wiedzy. Twój sekret jest u mnie bezpieczny, Słodka Patrycjo, ale naprawdę tęsknię za twoim kościstym ciałkiem i słodkim, zwierzęcym sposobem uprawiania seksu.

Wybrałem się na przejażdżkę. Przez Sunset na plażę w Santa Monica, bo nigdy jej nie widziałem, a podobno było na co popatrzeć. Z początku dzień był szary, lecz mięśniaki i tak wyległy na plażę - pompowali swoje natarte olejkami ciała, pracując nad uzyskaniem olśniewających proporcji bicepsów, tricepsów i mięśni naramiennych, żeby w chwili owego zapowiadanego trzęsienia ziemi cała trzystuosobowa grupa tlenionych blondynów mogła chwycić Kalifornię i zapobiec jej osunięciu się do morza, podczas gdy Cecil B. DeMille *¹⁴⁸ będzie kręcił wszystkie potrzebne ujęcia.

Zaliczyłem Farmers Market, Hollywood Bowl*¹⁴⁹ i pojeździłem po górach - przez kaniony Laurel, Coldwater i Benedicta - aż w końcu nawet po bezpiecznym wstawieniu samochodu do garażu nie mogłem chodzić prosto bez obawy, że walnę w dom.

Kolację zjadłem samotnie, słuchając Sinatry, konsumując stek, sącząc piwo i czując w kolanach miękkość dojrzalego cheddara. Wiedziałem, że mój scenariusz był dobry, ale obawiałem się, że może się im nie spodobać. Dowiem się następnego dnia rano, o dziesiątej.

Zaparkowałem na miejscu oznaczonym „B. Webber”. Niepokojące, bo moje nazwisko wymalowano na jakimś innym. Ile razy zmieniano nazwiska na moim miejscu parkingowym? Kto był tam przede mną i już go nie ma? T. Edison, D. W. Griffith, T. Mix*¹⁵⁰, F. S. Fitzgerald, W. Faulkner? A kto będzie po mnie? M. Mouse, D. Duck, H. Doody, J. Stalin?

Mike i Duży Al aż kipieli, obaj dotarli na miejsce przede mną. Zaliczyliśmy kawę z pączkami i kilka minut pogadaliśmy o niczym, za nim Mike wstał i zaczął imprezę.

¹⁴⁸ C. B. DeMille (1881-1959) - amerykański aktor, reżyser i producent, głównie filmów o tematyce biblijnej i mitologicznej.

¹⁴⁹ Farmers Market - targowisko na wolnym powietrzu; Hollywood Bowl - amfiteatr.

¹⁵⁰ D. W. Griffith (1875-1948) - amerykański aktor, reżyser i producent; opracował szereg współczesnych technik filmowych, m.in. ujęcia z ruchomej kamery; Tom Mix (1880-1940) - aktor kina niemego.

- Ben... to jest dobre. Strasznie dobre. Nie żebyśmy byli zaskoczeni. Wiedzieliśmy, że tak będzie. Al i ja przedyskutowaliśmy rzecz wczoraj wieczorem przez telefon i ponownie dzisiaj rano. Chcieliśmy uzgodnić nasze reakcje, żeby nie wprowadzać cię w zmieszanie.

I włączył się Duży Al.

- Podoba się nam, Ben. Zrozum, proszę, że nam się podoba, ale... to nie jest scenopis.

- A co jest z nim nie tak? - zapytałem.

Przyszła kolej Mike'a. Tak to rozgrywali. Najpierw jeden, potem drugi, aż czułem się jak piłeczka tenisowa.

- Jest trochę zbyt statyczny, Ben. Dialog jest wspaniały, w całości, naprawdę wspaniały. Ale może jest go trochę za dużo. To tylko kwestia cięcia. Nic wielkiego. Zupełnie nic wielkiego.

- Cięcia czego? - zapytałem, kierując pytanie do Dużego Ala, bo teraz była jego kolej.

- Całej masy rzeczy - odparł Duży Al.

- Ile to jest ta masa? - zapytałem Mike'a.

- Większość - stwierdził, wzdychając, i ostatecznie dopusz- . czając do głosu swoje rozczarowanie.

- Ile to jest ta większość? - zwróciłem się do Dużego Ala.

- Wszystko - powiedział.

A ja zapytałem:

- Co?

- Słownictwo jest niewłaściwe - stwierdził Mike. Rękawiczki zostały zdjęte i ujawnił pobielające kostki. - Ci ludzie by tak nie mówili.

- Myśleliby w ten sposób - stwierdził Duży Al - ale by tak nie mówili.

- Słuchajcie - powiedziałem - głowa mi się odkręci. Skończcie z tym dzielonym dialogiem i niech mówi tylko jeden, dobra?

W roli singla postanowił wystąpić Mike Abel.

- To prości ludzie. Dobrze myślą, lecz zasadniczo są prości. A u ciebie mówią, jakby się starali o przyjęcie do Princeton. Uważamy, że powinieneś osłabić ten efekt i bardziej oprzeć się na książce.

- W książce była sama akcja i żadnego gadania - powiedziałem. - Może zrobicie z tego niemy film?

Mike silił się na cierpliwość.

-Ben, kupiliśmy tę książkę nie dlatego, że była świetna, ale dlatego, że uznaliśmy, że będzie z niej świetny film. Potrzebowaliśmy pisarza, który wypełni szkielet odpowiednim dialogiem. Postaci to ludzie ze wsi. Hodują kapustę i przerzucają gnój. To nie są intelektualiści. To nie są intelektualiści.

-A skąd przekonanie, że farmerzy to tępaki? - podjąłem wyzwanie. - Farmerzy rozmawiają. Mówią coś więcej oprócz „podaj wiadro, Maw... wygląda, że Jodie Lee znowu będzie miała cielaka”.

Duży Al osunął się na najdalej stojące krzesło, zostawiając na polu walki Mike'a i mnie. Prawie czułem, jak uchodzi z niego cała para. Pierzyć go, co mnie to obchodzi.

Mike mówił.

-Ben, ignorujesz kamerę. Czasami kamera może powiedzieć więcej niż dialog. Napisałeś pierdolone słuchowisko radiowe! A to miał być film!

- W filmach się mówi. Jolson*¹⁵¹ tego dowiódł.

- A gdzie masz teraz swojego Jolsona?

-No, pięknie. - Zacząłem tracić panowanie nad sobą. Czułem to. Chciałem spróbować to powstrzymać, ale...

-Ben. Ben. Na litość boską, posłuchaj tego, co mówię. Jeżeli pokażę ten scenariusz w studiu, zrezygnują z całego projektu.

- Mów dokładnie. Gdzie jest za dużo dialogów?

- Wszędzie! Jezus, czy ty mnie nie słuchasz?

- To by było trudne.

-Chcesz wiedzieć gdzie? Okej, powiem ci gdzie. Od strony pierwszej do końca... i co ty na to? Kazałeś tym ludziom tyle gadać, że nie mieliby czasu na sadzenie chwastów!

-Okej - ponieważ on krzyczał, ja starałem się tego nie robić. - Co chcesz, żebym zrobił?

-Zrób jeszcze jedno podejście. Masz jeszcze ponad dwa tygodnie. Niech będą cztery. Nie ma pośpiechu.

- Nie interesuje mnie robienie z tego pracy na całe życie.

- Cztery tygodnie to jeszcze nie całe życie.

¹⁵¹ Al Jolson (1886-1950) - zagrał w pierwszym dźwiękowym filmie fabularnym *The Jazz Singer* (1927).

-Nie chodzi ci o poprawki. Mówisz o kompletnie nowym scenariuszu!
- Mój głos się podnosił.

-Nie chcę nowego scenariusza. Chcę ten stary, którego nigdy nie napisałeś.

-No to wiesz, co możesz zrobić.... - Byłem pewien, że właśnie to powiem, od chwili gdy przekroczyłem próg. Głupi chłopak. Przestraszony królik.

Zniżył głos.

-Nie mogę przedstawić tego scenariusza. To wykończy projekt. Jedy-ny powód, dla którego studio w ogóle się go podjęło, to fakt, że ty miałeś być pisarzem. Jeżeli nie potrafisz tego zrobić...

- Zrobiłem, ty idioto!

Puścił to mimo uszu i ciągnął miękko:

-Jeżeli nie potrafisz tego zrobić, nawet nie spróbują z innym pisarzem. Utną wszystko na pniu.

-Powiedziałem, że to zrobiłem! Jeżeli jesteś takim dupkiem, że...

- Nic z tego, mały. Tego mi nie potrzeba.

-Taa? Ale tylko to masz. Nie wierzę, że studio jest takie głupie, jak to przedstawiasz.

-Nie pokażę im tego gówna! - Rzucił skryptem przez cały pokój. Uderzył w przeciwległą ścianę jak zraniony ptak. - Jest do dupy! Pręde-zej im powiem, że miesiąc temu wpadłeś pod ciężarówkę i dopiero teraz się dowiedzieliśmy!

-Powiedz im, co ci się żywnie podoba, cholera. Ja mam dosyć.

Mike Abel prawie się uśmiechał.

-Nie wiesz, do jakiego stopnia masz rację. Jeżeli wyjdiesz... jeżeli wyjdiesz, kotku... równie dobrze możesz maszerować, aż dotrzesz na Hawaje.

-A jeżeli krajowcy są tam równie głupi jak tu, zatrzymam się dopiero w Japonii!

-Okej. Okej, cwaniaku. Tam są drzwi. Możesz ruszać. Bierz kanoe i spływaj. I zapakuj sporo limonek, słodki, bo zejdzie ci tam sporo czasu.

- Wariactwo. Odkryję Australię. - I wyszedłem.

Duży Al załapał mnie, kiedy wsiadałem do samochodu. Był bardzo rzeczowy.

-Nie będę cię prosił, żebyś to jeszcze rozważył, bo wiem, że tego nie zrobisz... bo jesteś tym samym pewnym siebie sukinsynem, którego pamiętam z czasów, kiedy darłeś koty ze związkim. Chcę ci tylko powiedzieć, że Mike Abel przeżyje, a ja mam zamiar przeżyć razem z nim. To ty będziesz przegrany, Ben, bo sam się o to prosisz. To do ciebie pasuje. Masz w sobie jakieś pierdolone pragnienie autodestrukcji i wierz mi, to jest miejsce, w którym pragnienia się spełniają. Dalej... wynoś się stąd. Zabieraj swoje pierdolone ego, swoje pierdolone porsche i zjeżdżaj. Nie ty pierwszy i nie ostatni. Dalej. Zalicz ostry skręt w prawo przy Forest Lawn. Uprzedzę ich telefonicznie, żeby zarezerwowali dla ciebie miejsce w sekcji pisarzy. Dostaniesz dwie linijki w „Variety”, a my nową książkę.

Walnął w maskę obiema rękoma, a ja wrzuciłem wsteczny, tyłem opuszczając swoje miejsce parkingowe. Przerzuciłem na jazdę w przód i wcisnąłem gaz - zatrzymując się tak blisko, że prawie go uderzyłem. Nawet nie drgnął. Tylko spojrział na mnie z ukosa.

- Jeżeli zmienisz zdanie, daj mi znać. Wciąż mamy trochę czasu.

Gdyby Duży Al Epstein nie wygłosił tej ostatniej kwestii, pewnie zadzwoniłbym do niego za jakąś godzinę i wrócił, żeby ponownie rzecz przedyskutować. Ale mówiąc to, co powiedział, wtedy, kiedy powiedział, wykonując ten nieznaczny zapraszający gest, zostawiając uchylone drzwiczki, pozwolił mi się zorientować, że tak samo jak ja nie miał pewności co do całej tej cholernej katastrofy. I dlatego odjechałem, posyłając go do diabła - sekcja producentów, trzeci cadillac z lewej.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Jacka Rusha i opowiedziałem mu, co się stało. Żałował, że wycofałem się w pół drogi, bo postępując w ten sposób, umoczyłem następne dwadzieścia pięć kawałków. Zapytał, czy powinien do nich zadzwonić, bo przecież na pewno zrozumieją i zechcą załagodzić sprawę. W końcu przecież tak ciężko pracowałem i tak dalej. Powiedziałem mu, że jeżeli do nich zadzwoni, wsiadam w następny samolot do Nowego Jorku. A on milczał chwilę, zanim mnie poinformował, że jest coś dla mnie w MGM.

Zadzwoniłem do Harriet Horner i zapytałem, czy mogę wpaść. Zgodziła się, owszem, i w piętnaście minut byłem w jej łóżku. Wygrzmociła mnie należycie, jak kazał doktor, ale nie mogłem się skupić. Myślałem tylko o tym, co wyrzygał z siebie Duży Al. Jeżeli to

była prawda, miałem poważne kłopoty i sam je, choć nieświadomie, zaplanowałem. Lecz to nie była prawda, bo nie mogła być. I udowodnię to na przypadku MGM.

Życzyliśmy sobie z Harriet Homer dobrej nocy, usilnie starając się przypomnieć sobie, jak to drugie ma na imię. Odsyłała mnie do domu, bo stary, pijany Fred mógł w każdej chwili wtoczyć się za próg. Leżąc na swoim patio, sącząc piwo i przyjmując do wiadomości, że są moje dwudzieste piąte urodziny, usłyszałem, kiedy zajechał jego motor. Redwood szczerknął na widok swojego pana. Fred Horner nie będzie miał pojęcia, że przerznąłem jego żonę. Ani też, że tego pięknego kalifornijskiego dnia przerznąłem również sam siebie.

THUR

Rozdział 24

Ginnie

1953

Johnny'emu Farrarowi nie należało wierzyć. Był przystojny, inteligentny, uważający i kochany. I zabierał mnie wszędzie, dokąd jechał - a jeździł w masę miejsc - na przykład do Hiszpanii. Ole. Hiszpania zbijała z nóg. Pod rządami Franco i wszystkich tych gości miejscami była ponura. Ludzie ubierali się na czarno i nie potrafili uśmiechać, wszystkie kobiety miały po sto pięć lat i, przykucnięte, hodowały kurczaki, ani razu nie widziałam żadnych dzieci, nawet jednego. I nigdy nie słyszałam tam śmiechu.

A mimo to przeważnie, co należy złożyć na karb mojej młodości, czułam się jak Ava Gardner. Czułam się karmazynowa, pomarańczowa, flamenco i cygańska - nie jak Cyganka z Broadwayu, ale kastyljska - wilgotne, rozchylone wargi, kastaniety i diademy z szylkretu. Czułam się burzliwa, rzymskokatolicka i uwodzicielska. I chciałam zamieszkać w jaskini, nie kąpać się, pozwolić, żeby na nogach wyrosły mi włosy, wróżyć z herbacianych fusów i obrabiać marynarzy. Jedynym powodem, dla którego nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, było to, że zatrzymaliśmy się w Pałace Hotel w Madrycie, w apartamencie Velasquez, i jeśli kierownictwo by mnie nie wyrzuciło, zrobiłby to Johnny, więc kąpałam się, goliłam, skrapiałam perfumami i pachniałam jak turystka, obejrzałam Prado i walki byków, kupiłam u Loewego bagaż tak bardzo „skórzany”, że muczał. Jadaliśmy w takich miejscach, jak Jockey Club czy Las Lanzas, i pojechaliśmy samochodem do Toledo (nie w stanie Ohio), gdzie obejrzelśmy ruiny tego czegoś, co kiedyś tam było. Zatrzymaliśmy limuzynę marki Mercedes i zaliczyliśmy Kordobę, Kadyks i alkazar w Sewilli. Ach, Sewilla. Podwójne ole dla Sewilli.

Zakochałam się w Johnnym Farrarze w Sewilli, w hotelu Alfonso XIII. Kochałam się z nim w całej Europie, ale zakochałam się w Sewilli, na Costa del Sol. Na Costa del Sol zakochałabym się nawet w Quasimo-

do. Zakochałabym się nawet w Haydenie Shepherdzie. (Pamiętacie gościa? Z Pitts- burgha?).

A w Marbelli, w hotelu klubowym Marbella, gdzie byliśmy jedynymi Amerykanami, zrozumiałam, że jeśli moje życie skończy się tu i teraz, widziałam już dość niebiańskich rozkoszy, żeby umieć się tam znaleźć, jeżeli w ogóle do nieba dotrę. Marbella to było po prostu coś niesamowitego. Potrójne ole dla Marbelli - dwoje uszu i ogon.

Chociaż nieletnia i bez paszportu czy świadectwa urodzenia, podróżowałam, bo Johnny zawsze smarował, komu trzeba. Kręciło się od tego w głowie. Nie miałam tożsamości i żadnych obowiązków. Byłam balonem, konfetti, błyskotką. I nigdy w życiu nie czułam się szczęśliwsza.

Podróżowaliśmy z jakimiś angielskimi partnerami biznesowymi John-ny'ego. Mieli tak wspaniałe kobiety, że prawo powinno tego zabraniać, ale, zdaje się, żadna z par nie była małżeństwem. Jedna z dziewczyn była Francuzką druga Szwajcarką i starały się mieć ze sobą jak najmniej do czynienia. Zupełnie jakby zawsze pojawiały się w tych samych miejscach - w oddzielnych samochodach. Byłam ładniejsza, lecz one bardziej imponujące. I w porządku. Pewnego dnia ja też miałam być imponująca. Może nawet zaraz.

Hotel klubowy Marbella prowadził hrabia Rudy, ktoś w rodzaju austriackiego księcia, który gdzieś po drodze dostał w dupę i zgubił tytuł. Ten potomek Franza Josefa i całej masy Habsburgów był uroczym człowiekiem - kordialnym kosmopolitą, i znał wszystkie języki, bo musiał, ponieważ w jego hotelu zatrzymywali się ludzie wszelkich narodowości. Niemcy, zawsze pierwsi na plaży, żeby na pewno dostać leżaki albo z powodu randek z jakimiś U-Bootami. Francuzi, zawsze pierwsi w jadalni, głównie dlatego, że wcale jej nie opuszczali. Brytyjczycy, wimbledończycy, grywali w tenisa na wyłożonym mozaiką korcie i mówili „uroczo”, „raczej” oraz „cholera”. A Skandynawowie zabierali nad Morze Śródziemne termometry i nie wchodzili do wody, jeżeli nie była dość zimna.

Od strony lądu, za hotelem, znajdowała się Monte Blanca - „biała góra” - i pewnego dnia wspięliśmy się na nią z Johnnym dość wysoko, a kiedy się zatrzymaliśmy, żeby wytchnąć, i podnieśliśmy wzrok, zdołaliśmy dostrzec Gibraltar, północną Afrykę i resztę naszego życia.

- Ginnie, czy wiesz, ile mam lat?
- Siedem i pół.
- Blisko. Czterdzieści. Dwa razy tyle co ty.
- Nie zawsze będziesz dwa razy starszy.
- Nie, ale to zawsze będzie dwadzieścia lat.
- Nie wykorzystam tego przeciw tobie.
- Nigdy się z tobą nie ożenię.
- A kto cię prosi?
- Ty. Ostatniej nocy.
- Ja?
- W łóżku.
- Nie słuchaj tego, co mówię w łóżku. Nie mogę odpowiadać za...
- Mimo wszystko...
- A czemu miałabym chcieć za ciebie wyjść? Jesteś ode mnie dwa razy starszy.
- To nie *Stan Arlen Show*, więc nie musisz być zabawna.
- Oops. Przepraszam.
- Chciałbym, żebyś ze mną została, podróżowała ze mną... jak długo sama zechcesz. Czy rozumiesz, co mówię, Ginnie?
- Taa. Chcesz, żebym była twoją kochanką.
- W aktualnej terminologii tak.
- Czy już nią nie jestem?
- Nie.
- Jak się dostaje tę posadę?
- Całkowicie rezygnujesz z pracy. To oznacza koniec *Stan Arlen Show*. Żadnej telewizji czy nocnych klubów. Nic z tych rzeczy.
- Okej, i tak zawałam *Stan Arlen Show*. Wyjechałam na prawie trzy miesiące. Gdyby w ogóle przyjęli mnie z powrotem, to byłby pierwszy taki przypadek.
- Mówię poważnie, więc uważaj.
- Tak jest.
- Sporo moich interesów wiąże się z Europą. Znaczna część moich sukcesów to wynik manewrów na polu towarzyskim... pokazywanie się we właściwych miejscach z właściwymi ludźmi.
- Z kochanką?

- Tak. Mogę sobie pozwolić na kochankę... dopóki jest piękna i czarująca. Ale...
- Aha!
- Musi należeć wyłącznie do mnie. Nie do Stana Arlena czy Richiego Pickeringa. I musi mieć styl. Musi mieć klasę.
- Cholera, uważam, że mam całą kupę klasy.
- Ja też tak uważam. Trochę dziwną, ale jednak klasę... swego rodzaju.
- Więc pieprzyć to gówno z byciem kochanką, pobierzmy się.
- Jestem żonaty.
- Powiedziałeś, że rozwiedziony.
- Musiałem to zrobić. Kiedy spotkaliśmy się w Chicago, powiedziałem ci, że staram się o rozwód. Wiedziałem, że gdybym wówczas w Nowym Jorku zadzwonił do ciebie, nie chciałabyś mieć ze mną nic wspólnego, słysząc, że nic z tego nie wyszło.
- Skłamałeś. Świat jest pełen kłamców. Jasna cholera.
- Ginnie, jeżeli to ci przeszkadza, musisz się stąd zabierać. Nie jestem specjalnie dobry w trzymaniu białych niewolników czy oszukiwaniu. Mam żonę. Oto twoja szansa ucieczki.
- Sprawiasz, że ucieczka jest niemożliwa, i wiesz o tym, ty sukiny-
nu!
- Ginnie, mnie też to uniemożliwiła właśnie ona. Nie mogę uciec. Nawet gdybyś była prawnikiem i tak miałabyś kłopot, żeby to zrozumieć. Mogłem pozwolić, żebyś dalej uważała mnie za rozwiedzionego. Ale, cholera, za bardzo cię kocham, żeby ci coś takiego robić.
- O rany, to mamy kłopotliwą sytuację, co?
- Nie podejmuj żadnych decyzji od razu. Przemyśl to. Porozmawiamy ponownie za parę dni. Jesteś piękną kobietą i...
- O, jasne.
- I w tym też twój urok, w fakcie, że o tym nie wiesz.
- Więc mi to powtarzaj.
- Powtarzam ci, że możesz robić w życiu prawie wszystko, co zechcesz. I mówię, że jeżeli nie chcesz ze mną zostać, pomogę ci. Kupię ci *Stan Arlen Show*.
- Ta? Kup mi NBC.

- Muszę wracać do Nowego Jorku. Na parę dni. Pojedziesz ze mną. A kiedy wyjadę, chcę, żebyś została w moim apartamencie w Delomónico i przemyślała wszystko, co powiedziałem.

- Mam mieszkanie... i przyjaciół.

- Nie. Musisz się zatrzymać u mnie.

- Świat ma zobaczyć, że mnie utrzymujesz?

- I nie możesz brać udziału w żadnych występach. Nie możesz pracować. Będziesz na wezwanie, okej? To musi wyglądać właśnie w ten sposób.

- Dłaczego?

- Bo ja tak chcę.

- Czy muszę sypiać z twoimi przyjaciółmi?

- Co? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Sama nie wiem. Wydawało mi się, że to będzie następna rzecz, którą powiesz.

- Nie musisz sypiać z żadnymi moimi przyjaciółmi. Ale nie wolno ci też sypiać z twoimi.

- Skąd miałbyś o tym wiedzieć?

- Ty byś wiedziała, więc i ja bym wiedział.

- Rany. Nagle jesteśmy tak pierdzielenie europejscy. To jest klasa, czy to jest klasa?

- Przykro mi, ale tak musi być. Jeżeli chcesz to zakończyć...

- Jesteś nie w porządku, kiedy to powtarzasz. Więc po prostu przestań. Jezu, jakbyś dał mi zabawkę i potem ją zabrał.

- Chodź. Wracamy do klubu. Ściemnia się.

- Kiedy wracamy do Nowego Jorku?

- Jutro.

- I jak długo zostajemy?

- Ja może ze trzy dni. Ty... dopóki po ciebie nie poślę.

- Czy będę przykuta do kaloryfera?

- Tak.

Johnny Farrar dokonał czegoś, czego nie potrafił żaden znany mi mężczyzna. Sprawił, że czułam się jak mała dziewczynka. Nie sądzę, żeby o to mu chodziło - po prostu to ze mnie wydobyl. To znaczy, ja zawsze byłam małą dziewczynką, ale nauczyłam się, jak nabierać ludzi, żeby uważali inaczej. Ludzi nabiera się za pomocą takich rzeczy jak

cycki. Małe dziewczynki nie mają cycków. Nabiera się wiedzą, jak się kochać. I „wiedza” nie oznacza wprawy - przeważnie wystarczy rzucać się w oczy, mówić „ooooch” i palić papierosa, nie odbierając telefonu.

Wydawało się jednak, że Johnny Farrar jakimś sposobem nie dał się wprowadzić w błąd. I nie byłabym zaskoczona, gdyby w środku nocy, po niespodziewanym zapaleniu światła... ani trochę nie byłabym zaskoczona odkryciem, że tym, co przytulałam, był pluszowy miś, a tym, co lizałam - lizak.

W każdym razie robiłam, co mi Johnny kazał, bo zawsze robiłam to, co mi kazał Johnny. Bo jak nie, nie dostałabym kieszonkowego, nie mogłabym korzystać z telefonu albo siedzieć do późna czy nosić sportowego stanika, więc...

Znalazłam się z powrotem w Nowym Jorku - na trzy dni z Johnnym. Potem wyjechał dokądś, dokąd nie mógł mnie zabrać, bo chodziło o Alaskę, i polował tam na łosie z prezydentem General Motors, albo o Afrykę, gdzie on i szef nowojorskiej giełdy odbywali safari, albo, czy dacie wiarę, o Rosję, ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych wysłał go tam w sprawie tak poufnej, że nawet sam Eisenhower nie wiedział, o co chodzi.

Gdy Johnny wyjechał do Moskwy, zostawił mi karty kredytowe, dwa konta w banku i dość gotówki, żebym mogła wykupić całe Indie. Zostałam sama, ale mogłam kupić Nowy Jork.

Podczas tych trzech dni z Johnnym nie zadzwoniłam do Dona i Candy, bo zdałam sobie sprawę, że będzie na to masa czasu po jego wyjeździe. Zadzwoniłam jednak do biura Stana Arlena, chcąc wyrazić ubolewanie, że nie przesłałam im oficjalnego zawiadomienia. Telefon odebrała nowa dziewczyna i nawet nie wiedziała, kim jestem. Sic transit Ginnie.

Kolejna, rzecz, którą robiłam, to zmieniałam fryzurę, z nadzieją, że może dzięki temu poczuję się bardziej dorosła, kiedy następnym razem spotkam się z Johnnym. Nie mieszałam nic z kolorem, ale pozbyłam się końskiego ogona, zamieniając go na coś, co biegło dookoła głowy z jednej strony i kończyło się z drugiej. Wyglądało bardzo po grecku. Uznałam, że zdecydowanie po grecku. Przypominało też nauszniaki, bo kompletnie zakrywało mi prawe ucho. I stanowiło prawdziwy wrzód na dupie, bo wymagało tyle czasu i uwagi. Co drugi dzień musiałam spędzać

godzinę u fryzjera, pana Calvina. Nigdy nie odzywał się do mnie - tylko do moich włosów. Bardzo dziwne. Za każdym razem po wyjściu z salonu trwało z godzinę, zanim udawało mi przekonać samą siebie, że nie mam we włosach, pod nausznikami, karła szepczącego jakieś głupstewka.

Czwartego dnia, a pierwszego bez Johnny'ego, zadzwoniłam do Candy, która nakrzyczała na mnie, że nie pisałam, a potem zaprosiła na obiad. Spaghetti Ypsilanti czy coś w tym rodzaju, jej specjalność, którą wypróbowała pierwszy raz i potrzebowała, jak to szowinistycznie ujęła, królika doświadczalnego.

Dobrze było znów zobaczyć Dona i Candy. Byli tacy zakochani. Lepiej - pobrali się. To, że Candy była starsza o parę lat, nie miało żadnego znaczenia, bo nigdy nie widziałam ludzi, którzy lepiej by się dobrali. Ob- oje nieźle zarabiali, a Don wyrobił sobie niesamowitą reputację jako telewizyjny reżyser. Nie skorzystał z kilku wstępnych ofert z Hollywood, bo chciał mieć pewność, że jest gotowy. Bardzo dojrzałe i, na oko, sprytniej niż w przypadku Bena.

Nie, nie słyszeli nic o Benie, nie mieli też od niego wiadomości. Mogło się wydawać, że Hollywood go połknęło, chociaż Barry słyszał, że Ben zachowuje się trochę kapryśnie i nie radzi sobie tak dobrze, jak wskazywałyby na to jego talent. W każdym razie dopiero startował w grze i nikt z nas nie wątpił, że Ben dojdzie na sam szczyt.

Candy zachwyciła się moimi włosami i natychmiast zadzwoniła do pana Calvina, żeby się skonsultować, czy mógłby wyczarować coś równie szalonego dla niej. Don uważał, że obie zgłupiałyśmy, bo wyrafinowane, arystokratyczne kobiety nie potrzebują całej tej przesady. Kazałyśmy mu pilnować własnych zasranych spraw i wetknąć nos w spaghetti.

O mnie i Johnnym wyrażali się ostrożnie, ale zrozumiałam, że nie do końca to akceptują. Zresztą nie spodziewałam się niczego innego. Ja też tego nie akceptowałam. Po prostu kochałam Johnny'ego, był dla mnie dobry i nie kryło się w tym żadne szaleństwo. Gdzieś w głębi serca wiedziałam, że pewnego dnia się pobierzemy. Wszystko było tylko kwestią tego, kiedy jego żona dokona żywota. Kwestia czasu, a czasu miałam całe mnóstwo. Niepracująca dwudziestolatka. Mogłam przeczekiwać to wszystko, nie popadając w histerię, że poświęcam najlepsze lata życia. Candy była ode mnie przynajmniej dziesięć lat starsza i

jej się udało. O niemoralności tego wszystkiego nie chciałam za wiele myśleć. Orkiestra grała *Błękitne niebo*. Kim byłam, żeby śpiewać *Burzowe chmury*?

Wpadł Amie Felsen i porządnie go wyściskałam. Uznał, że wyglądam cholernie cudownie - kiepski dobór słów, ale płynący z głębi serca. O - wpadł ze swoją narzeczoną, Marilyn, bardzo miłą dziewczyną, ale to mniej więcej tyle, jeśli chodzi o pozytywne wrażenia na jej temat. Poza tym intelektualistka i trochę upiorna, bo chodziła za nim jak cień, zgadzając się ze wszystkim i przypochlebiając się. Można by pomyśleć, że Arnie świeżo dostał wielki spadek, tak się w niego wgapiała. Chociaż jemu było miło. Cieszył się tym. Swego czasu uznałam go za nieudacznika - a tu proszę, znalazł wielbicielekę.

Dużo się mówiło o jego sztuce. Zrozumiałam, że włożyli w nią z Donem sporo pracy i jakiś producent naprawdę się zapalił, żeby ją wystawić. Don zrobił na mnie wrażenie. Miał talent oraz cierpliwość i wyglądało, że świetnie wie, dokąd zmierza. Chyba próbuję powiedzieć, że byłam zazdrosna o niego i Candy. Nie kochałam Dona. Nie chciałam się zamienić z Candy. Chodziło o to, że robili razem różne rzeczy - zabawne, twórcze rzeczy, które rosły i nabierały kształtów. Podczas gdy ja, przy wszystkich tych ciuchach i pieniądzach do dyspozycji, byłam pasożytem - damą Johnny'ego Farrara (nie potrafiłam myśleć „kochanką”), wysztafiowaną markietanką, kolejną osobą towarzyszącą w otaczającej go masie. Oczywiście, jak powiedziałam, nie było pośpiechu ani potrzeby panikować na myśl, że wosk tężeje i zawsze będę tym, kim jestem. Wszystko jeszcze czekało, żeby tego doświadczyć i się tym cieszyć. Jeżeli życie straci smak, zorientuję się i zakończę sprawę. I przeciwnie, jeżeli będzie słodko i coraz słodziej, pobierzemy się i szczęśliwie spędzimy resztę życia.

Miły wieczór się skończył, więc załadowaliśmy wszystkie moje ciuchy do taksówki, co wyglądało, jakby Armia Zbawienia opuszczała posiadłość Rockefellera. W Delmonico potrzeba było dwóch chłopców hotelowych, żeby wnieść wszystko na górę, do mojego apartamentu. A apartament robił wrażenie. Pięć pokoi i dwie łazienki. Ale bez Johnny'ego, więc przypominało to samotne życie w świecie bajki.

Próbowałam obejść Manhattan, niczego nie kupując, i wymagało to trochę starania. Wolałabym mój stary koński ogon, tenisówki i dzinsy, ale coś takiego źle by wpłynęło na mój obraz, więc paradowałam cała odstawiona, a ludzie mi się przyglądali, bo pewne jak cholera, że zwracałam uwagę. Tylko nikt nie wiedział, kim jestem, nie to co w starych czasach *Stan Arlen Show* - i tego mi brakowało.

Któregoś dnia skończyły mi się papierosy i wstąpiłam do sklepiku na Lexington Avenue, w którym było wszystko to, co w drogerii, poza farmaceutą. Mężczyzna za ladą - bum - kogoś mi przypominał. Bum. Łysy na czubku głowy, przez co wszystkie te rude włosy upodabniały go do lwa.

- Sy?
- Tak. Czym mogę służyć?
- Nie pamiętasz mnie.
- Blondyneczka?
- Pamiętasz.

Sy Fein wyszedł zza lady i zaserwował mi jeden ze swoich niepowtarzalnych łamiących żebra uścisków, odrywając moje obute w Gucciego stopy od podłogi.

- Blondyneczka! Oj, czy to blondyneczka? - Puścił mnie i cofnął się o krok, żeby zmierzyć mnie wzrokiem. - Niech no spojrzę. No, no, no, nieźle! Co ci się stało?

- Jak to „co mi się stało”?
- Co się stało z twoim uchem?
- Co?
- Jest całe zakryte. Pies cię pogryzł?
- Sy! To taka moda!
- Moda. I co tam masz, telefon?
- Och, Sy, wspaniale cię widzieć! Tak dobrze wyglądasz!
- Bo jestem dobry. Jak ci się podoba mój sklep? Czego ci potrzeba?

Batoniki Hersheya? Szminka? Tampony? Tylko powiedz i służyć.

- Jest cudowny.

-Siedzę tu prawie osiem miesięcy. To numer czternaście na mojej liście przebojów. Przy którym numerze byłem, kiedy ostatnio mnie widziałaś?

- Chyba siódmym.

-Siódmym. Hmmm. Cóż, od numeru siódmego upłynęło sporo wody. Także dwa bankructwa.

- Ale wszystko w porządku?

-Czy u mnie w porządku? Za niespełna dziewięćdziesiąt dziewięć lat to miejsce będzie należeć do mnie. Prosta sprawa. Jak Kanał Sueski. Ale spójrz na siebie. Za kogo wyszłaś, za sultana Swatu?

- Nie jestem mężatką.

-Och. Więc odkryłaś ropę. Niezłe masz szmatki. Nie jakieś byłe co od Kleina.

- To długa historia.

- Jak zwykle.

- Nie miej tyle potępienia w głosie.

-Ja? Potępienia? Dziewczyna, którą znałem w podartych tenisówkach, zjawia się w złotym nauszniku i miałbym mówić z potępieniem w głosie? To nie mój interes. Jesteś prostytutką na telefon? Nie odpowiadaj.

- Sy, nie jestem prostytutką.

-Pytam tylko dlatego, że to taka dzielnica. prostytutkowa Strefa. Można zrobić majątek. No i złapać syfilisa, jak się w coś takiego wejdzie. Można złapać masę rzeczy... poza mężem.

- Nie jestem prostytutką.

- Twoje słowo przeciw mojemu.

- Sy, zamknij się. Jesteś głuptas. A co u Iriego?

-Kto wie? Od tygodnia go nie widziałem. O ile mi wiadomo, znów bombarduje Pearl Harbor.

- Wszystko u niego dobrze?

-Sam chciałbym mieć tak dobrze. Otworzył następną restaurację. Tylko japońską.

- Nie jest koszerna?

- Co robi w księgowości, to jego prywatna sprawa. Ja wiem tylko, że pieniądze płyną jak złoto. To na West Side... pod dwudziestym którymś. Gotuje na oczach klientów. Nosi biały garnitur i wrzeszczy, kiedy ucina głowy krewetkom. Niezłe przedstawienie. Gdyby wiedział, że się z tobą widziałem, przekazałby pozdrowienia. Zabawny gość. Na pewno nie mogę ci podać jakiegoś drobiazgu? Długopis? Latarekę? A może chciałaś talię kart?

-Tak naprawdę wstąpiłam po papierosy.

-Powiedz jakie i już je masz.

-Rothmansy?

-Rothmansy? Co to ma być... żydowskie papierosy? Kiedy to się stało?

-Och, Sy, to angielskie papierosy.

-Fiu, fiu, angielskie papierosy. Cóż, właśnie mi wyszły. Taka jesteś ważna, że nie możesz palić lucky strike'ów? „

-Ależ z rozkoszą poproszę o paczkę lucky strike'ów.

-A co jest nie tak z old goldami?

-Sy, zapalę, co każesz.

-Masz. Lucky strike. I nie chcę więcej o tym słyszeć. Jak to się stało, że już nie jesteś w *Stan Arlen Showl* Nie potrafi się utrzymać posady, panno Ritzy Rothman?

-Sy, zabierzesz mnie na kolację?

-Tak. Ale co do wyboru miejsca, wykluczmy Maxima, okej?

-Jak tylko chcesz.

-Jestem zachwycony. Będę czekał na dole, żeby cię wsadzić do taksówki, kotku. Tylko najpierw ustalę to z moją żoną, bo ona ma w gruncie rzeczy naturę zabójcy.

-Mieszkam w Delmonico.

-Oczywiście, że tak. A gdzie miałybyś mieszkać? W mysiej dziurze?

-Apartament B.

-Nie sądziłem, żeby to miało być za bojlerem.

-Sy, przestań.

-Lepiej bądź gotowa o wpół do dziewiątej.

-Będę.

-I ubierz się jak człowiek, bo ja mam tylko sportową marynarkę z trzydziestego ósmego.

- Będę na ciebie czekać.

- Hej, blondyneczko?

- Tak?

- Sprawiałaś mi wielką frajdę. Zatrzymaj papierosy.

- Och... nie zapłaciłam ci!

- W porządku. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że ja się nie dam nabrać. No i świetnie znów cię widzieć, i to kiedy tak wyglądasz. Mam tylko nadzieję, że wszystko to uczciwa sprawa.

- Wszystko ci opowiem.
- A ja tobie.

Wiedziałam, że Sy nie pozwoliłby mi zapłacić za kolację, więc zgodziłam się, żeby sam wybrał restaurację. Zdecydował się na bardzo ciche miejsce daleko na Drugiej Alei, pod pięćdziesiątką - u Sendettiego. A ja uaktualniłam jego wiedzę o moim życiu, jak tylko mogłam bez wdawania się w niepotrzebne szczegóły, bo uważałam, że nie jest na to gotowy. Ale był bardzo dobry w uzupełnianiu nieświadomości i chociaż nie przesadzał z ojcowską troską, zrobił bezceremonialną uwagę, że Johnny Farrar to nie ktoś „z kim warto się trzymać”.

Zaprosiłam go na górę, do mieszkania, na jednego przed snem, ale obawiał się, że ludzie mogą gadać, bo miał klientelę, która często odwiedzała Delmonico, i nie chciał być widziany z blond panią, bo „nawet szczany mają uszy”.

Wpadałam do sklepu Sy prawie codziennie. I codziennie było tak samo. „Masz tu balonówkę”. „Potrzebujesz aspiryny?”. „Jakie wieści od tego playboya z zachodu?”. Jeżeli Johnny i ja kiedykolwiek mieliśmy wziąć ślub, chciałam, żeby to Sy Fein mnie wydawał za męża. Już go słyszałam: „Wydać cię? Może wydałbym resztę, ale ciebie? Nigdy!”.

Johnny zadzwonił z Lizbony. Będzie w Nowym Jorku następnego dnia wieczorem. Podróż była udana i wypracowali coś z Rosjanami - on i IBM. Uczymy to, kiedy przyjedzie. Może w Rosyjskiej Herbaciarni? - i roześmiałam się między- miastowo.

Tego wieczoru, kiedy zadzwonił, zaprosiłam Dona i Candy do siebie na kolację i wszystko przysłano nam z hotelowej kuchni. Przy kawie przekazali mi nowiny. Producent zdecydował się na sztukę Arniego, Don będzie reżyserował. Tym producentem był Daniel Van Sumner, stary zawodowiec, ostatnio bardzo aktywny, przygotował trzy nowe sztuki w trakcie poprzednich dwóch sezonów. Jedną z nich, *Wdowi materac*, okazała się prawdziwym hitem i w dalszym ciągu szła, czy raczej, jak to ujął Arnie, „podbijała widownię”.

Arnie przyszedł później, krok za nim szła jego Marilyn. Więc była nas cała piątka, kiedy wszedł Johnny. Ten drań zadzwonił z lotniska Idlewild już po powrocie z Lizbony. Chociaż bardzo uprzejmy, w oczywisty sposób nie był zachwycony widokiem czterech obcych osób, obzerających się w apartamencie jego kochanki. Nie trzeba mówić, że

wszyscy wynieśli się tak szybko, jak tylko pozwalała przyzwoitość, żeby nie wyjść na bardziej grubiańskich niż Johnny.

Ze mną omówił to zwięźle podczas rozpakowywania.

- Myślałem, że się zrozumieliśmy.
- Johnny, to są moi przyjaciele.
- Ale nie moi.,
- Mieliśmy coś do uczczenia. Sztuka Arniego zostanie wystawiona i...
- I znasz moje zdanie na temat show-biznesu.
- To oni się tym zajmują, nie ja.
- Nie chcę ich tu więcej widzieć. Czy to rozumiałe?
- Zrozumiałe, ale nie rozumiem.

-Jutro rano spotykam się z wicekonsulem rosyjskiej ambasady... wcześnie. Więc teraz nie chcę o tym dyskutować. Teraz jedynie mam ochotę wziąć prysznic i pójść spać.

-Czy to znaczy, że śpię dziś sama? W londyńskim Tower? A może na Devil's Island? Słyszałam, że o tej porze roku bardzo tam ładnie.

Odwrócił się uśmiechnięty i przyciągnął mnie do siebie.

- Nie umiem się na ciebie gniewać i wszystko ci uchodzi, co?
- Tak? Nie zauważyłam.
- Proszę tylko, żebyś mi okazała nieco litości.
- A to czemu? Jesteś nedorzeczny, śmieszny, głupi i uprzedzony.
- Ginnie...
- I nie zauważyłeś moich włosów. Równie dobrze moglibyśmy być małżeństwem.

- Zauważyłem, ale myślałem, że to wypadek.

- Co?

- Są piękne.

- Powinny. Dość za nie zapłaciłeś.

-I dobrze. Po co innego są pieniądze? - Poszedł pod prysznic i z łazienki kontynuował rozmowę. - W drodze powrotnej poznałem w Lizbonie ciekawych ludzi. Pomyślałem, że może zabawi cię spotkanie z nimi.

- Kogo?
- Barringerów. On siedzi w ropie. Po uszy.
- Powiedziałeś, że kogo?
- Kevina i Maggie Barringerów. Będziesz nimi zachwycona.

Rozdział 25

Ben

1953

W MGM okazali się równie tępi jak u Warnera i nie mogłem pojąć, jakim sposobem te firmy potrafiły nie wypaść z interesu i jeszcze przynosić zyski. Przypuszczałem, że w Columbii, Paramount, Universalu i United Artists - oraz starym, dobrym 20th Century Fox - było tak samo. Kierownicze stanowiska zajmowali wariaci i naciągacze. I tylko kreatywna księgowość potrafiła sprawić, że pod koniec roku podatkowego po stronie zysków dało się wykazać jakieś pieniądze.

Stałem się ponury. Minęły całe miesiące, a ja nie miałem przyjaciół oprócz Harriet Horner, a ona zaczynała mnie ścierać na proszek, jak stary kamień młyński. Kobieta miała intelekt miseczki płatków kukurydzianych, i opuszczając jej dom, dwukrotnie rzeczywiście wdepnąłem w psie gówno. A z powodu ówczesnego stanu mojego umysłu dama ta tak właśnie zaczęła mi pachnieć w trakcie naszych amorów.

Umowa z MGM była dość prosta - niewielkie poprawki scenariusza, nad którego kompletnym Zniszczeniem ciężko się napracowali dwaj poprzedni pisarze. Jedno spojrzenie na to, co zrobili, i z miejsca wiedziałem, na czym polegał problem - bohaterowi nigdy nic nie zagrażało. W efekcie, bez względu na to, w jakim się znalazł kłopotcie, wiedzieliśmy, że się z niego wykaraska. Brak dramatyzmu, którego nie można tolerować w scenariuszu. Poprawiłem całość w niespełna pięć tygodni - i myślicie, że te tępaki były w stanie zrozumieć, co zrobiłem?

Uważali, że się pospieszyłem, że tekstowi należało poświęcić więcej czasu, że „szybko” jest źle, a „wolno” dobrze i że to zółw zawsze wygrywa wyścig. Powiedzieli „co nagle, to po diable”, a ja „zaszyj dziurkę, póki mała”. Oni stwierdzili „wszystko, co masz robić, rób dobrze”. Co ja opatrzyłem komentarzem „pocałujcie się w dupę”, wsiadłem do swojego porsche i przez Sunset pojechałem nad Pacyfik.

Minął mnie jadący w przeciwną stronę mały, biały mercedes. Prowadziła blondynka. Tak bardzo przypominała Ginnie, że się

zorientowałem, że zawracam i jadę za nią. Wszyscy się wlekli, a ona jechała szybko, jakby chciała mnie zgubić. Trzymałem się tego mercedesa, dopóki dałem radę, przejechałem nawet kilka razy na czerwonych światłach, żeby zostać mu na ogonie. Ale pozbył się mnie za pomocą prostej sztuczki rozplynięcia się w powietrzu. Więc pojechałem z powrotem do Hollywood, do swojego domu, gdzie zadzwoniłem do Harriet. Poszedłem się z nią zobaczyć. Pogadaliśmy. Popieprzyliśmy się. I wróciłem do domu, niezbyt sobą zachwycony, lecz bez koncepcji, co mógłbym z tym zrobić.

Zadzwonił Jack Rush. Złajał mnie za spieprzenie zlecenia z MGM i chciał podjechać się ze mną zobaczyć. Powiedziałem, że nie za bardzo mam na to ochotę, ale stwierdził, że to ważne i już jedzie.

Słyszałem jego wóz zajeżdżający na mój króciutki podjazd. Podjazd dla porsche, nie dla cadillaca, i drzwi garażowe jęknęły, trącone przez należące do Jacka coupe de ville.

Wszedł, zobaczył, że rozpracowuję puszkę piwa, i z niewiadomych przyczyn rozpoczął frontalny atak.

- Rozpieprzasz piękną karierę. Leżenie i picie piwa do niczego nie prowadzi.

Poczułem się zaskoczony, a kiedykolwiek się to zdarzy, zmieniam się w przemądrzalca.

- Cóż... szampan właśnie mi wszedł.

- Staram się być pomocny.

- To nie przyjeżdżaj tu cadillakiem. Przyjedź studebakerem. Wy, chłopcy, nie potraficie się nawet podpisać, a pływacie łodziami, za które ja nawet bym nie zdołał zapłacić ubezpieczenia.

- Ben, proszę, wiem, że to denerwujące. Przyjeżdżasz tu i wszystko, co dostajesz za swoje starania, to agenci i producenci, którzy serwują ci banały i krytykują... i masz rację.

- Proszę tylko, żebyś przyjął do wiadomości fakt, że pewni ludzie tam mają wpływy, które wszystko napędzają, i jeśli nawet to imbecyle, nie możesz im tego mówić i spodziewać się, że dla nich popracujesz. Przykro mi, ale tak to wygląda.

- Nie, to mnie jest przykro, że tak to wygląda.

- Więc przyjmujesz mój punkt widzenia?

- Co to jest, do cholery, pieprzona debata? Nie, nie przyjmuję twojego punktu widzenia! Nie, jeśli to oznacza, że mam dostosować poziom mojego pisarstwa do poziomu tych, którzy rządzą! Nie mogę tego zrobić! Wszystko, co jestem w stanie przyjąć do wiadomości, to fakt, że im wyżej człowiek siedzi, tym jest głupszy. Wielki, wspaniały hollywoodzki aksjomat. „Prawo Zanucka”, „prawo Skourasa”, „prawo Warnera”... wszyscy tu pasują.

- Okej. Nazwij to prawem. Masz rację. To jest prawo. A teraz, jako obywatel filmowej społeczności, czy jesteś przygotowany, żeby mu się podporządkować? Bo jeśli nie, nie przetrwasz tu. Wpadniesz w bezdenną dziurę moralizatorstwa, z rozmachem... chlup... na razie i au revoir.

- Cholera. Chyba zwymiotuję.

- Już to zrobiłeś. Cały się obrzygałeś. Takie są smutne fakty. Podoba ci się mój cadillac? Wiesz, czemu go mam? Ponieważ stosuję się do zasad. Nie próbuję ich zmieniać. Nawet ich nie kwestionuję.

- Słuchaj, Jack, jesteś miłym gościem i masz dobre chęci, ale jak stąd nie wyjdiesz, będę cię musiał wyrzucić.

Długo trwało, zanim się odezwał, jakby deliberował nad losem skazańca - pętla czy garota. To czy to - rób swoje.

- Okej, wychodzę. Ale najpierw zdradzę ci prawdziwy cel mojej wizyty. Prawdziwym celem mojej wizyty jest przedstawienie ci rachunku. Wszystko wyszczególnione. Przeczytaj. W sumie wychodzi jedenaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dolarów i sześćdziesiąt dwa centy.

- Co to jest, do cholery?

- Przeczytaj.

- Jedno porsche... sześć tysięcy pięćset trzydzieści trzy dolary i trzydzieści dwa centy. Jedna płatność za dom... cztery tysiące. Gaz, prąd, instalacja telefonu... czterysta pięćdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści dziewięć centów. Różne, wyszczególnienie na życzenie... tysiąc dolarów. Co to, do cholery jest?

- Jedenaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dolarów i sześćdziesiąt dwa centy. Tyle jesteś winien agencji Morrisa. Gdybyś coś zarabiał, z radością rozłożylibyśmy płatność w czasie i potracali należność po trochu, bez procentu. Ale ty nie zarabiasz i nie wygląda, żebyś miał zacząć, więc agencja nie chce mieć z tym nic wspólnego. Potraciliśmy nasze zwyczajowe dziesięć procent od twoich dwudziestu

pięciu tysięcy z Warnera i piętnastu z MGM. To daje w sumie cztery tysiące i zostaje ci trzydzieści sześć tysięcy. Od tego potrącamy jedenaście tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dolarów i sześćdziesiąt dwa centy... plus to, co dostaje rząd i stan Kalifornia, plus ubezpieczenie społeczne, które pewnego dnia docenisz... co daje całkowitą sumę dwudziestu tysięcy dwustu dwudziestu sześciu dolarów i dziewięciu centów, wypisaną na tym czeku, który teraz ci wręczam. Co kończy nasz układ z tobą ponieważ nie możemy sobie pozwolić na marnowanie czasu dla klientów, którzy zawsze każą naszym zleceniodawcom iść się pieprzyć. I nie trudź się wyrzucaniem mnie, gdyż wychodzę.

- Vernon Stacey zapewnił mnie, że....

- Nie, Ben, nie zapewnił. A jeśli to zrobił, nie był do tego upoważniony. Naszym obowiązkiem było pomagać ci w każdy możliwy sposób. Nie jest naszym obowiązkiem opłacanie twojego dentysty czy twoich przybranych dzieci w Pakistanie. Jeżeli chcesz wziąć do tej sprawy prawnika, proszę bardzo. Możesz się też skonsultować z Korporacją Scenarzystów. Ale jako przyjaciel muszę ci powiedzieć, że nie masz się tu do czego przyczepić. Do widzenia, Ben. Wierz lub nie, lecz życzę ci szczęścia.

Hollywood zaczynało mnie przytłaczać. Zjednoczyli przeciw mnie swoje siły. Moi agenci mnie zwolnili. Ci przebiegłi zabójcy rezygnują z klienta wyłącznie wtedy, gdy wiedzą, że w życiu nie zarobią na nim ani dolca. Oczywiście mogli się mylić i byłem pewien, że już się mylili co do innych osób, ale to mnie nie pocieszało. To nie był dobry znak. Świat w ogóle nie był w porządku. Jak miałem znaleźć pracę bez nazwiska w czołówce i bez agenta? Kto będzie wiedział o moim istnieniu? A jednak nie zamierzałem się besztać. Ja tylko postępowałem konsekwentnie. Tak, byłem narwany. Tak, nieroztropnie strofowałem każdego i wszystkich, którzy nie zgadzali się z moją oceną własnego pisarstwa. Ale jeśli od razu na wstępie nie wypracowałbym indywidualności i niezależności, na pewno skończyłbym jako komercyjny pisarz z forszą w kieszeni, za to pozbawiony dumy.

Kolejnym denerwującym aspektem mojego starcia z Jackiem Rushem był fakt, że przyjechał do mojego domu już z tym cekiem w kieszeni. Taki był pewny mojej reakcji? A co by się stało, gdybym potulnie zgodził się z nim i obiecał, że będę grzecznym chłopcem? Czy i tak by ze mnie

zrezygnował? Czy zostałem podpuszczony przez Jacka Rusha, żeby agencja Morrisa mogła ze mnie zrezygnować, robiąc to tak, żeby wyglądało, że sam jestem winien? Czy do tego stopnia zwątpili we mnie jako pisarza, że chcieli się mnie pozbyć bez względu na sposób rozegrania tej sceny z ich wysłańcem?

Mała strata - jakby ojciec wyrzucił cię z domu, zanim zdążyłeś uciec. Nie zamierzałem tracić wiary we własne zdolności. Cokolwiek myśleli na mój temat, to moja opinia o mnie się liczyła. A ja miałem o sobie wysokie mniemanie. Cztery oryginalne dramaty telewizyjne dla sieci w zaledwie parę miesięcy. Może niemożność wybicia się w Hollywood to dowód uznania dla jakości mojego pisarstwa. I na tym poprzestałem - przynajmniej w tamtym momencie. Miałem dość pieniędzy, żeby nie popadać w histerię. Coś się wydarzy. Byli przecież inni agenci. Rozejdzie się, że nie jestem już związany z Williamem Morrisem, i ktoś zadzwoni. Wszyscy oni to takie same drapieżne ptaszyska, żerujące na tym samym terytorium. Jeżeli umknie jakaś wiewiórka, zobaczy ją inny jastrząb i puści się w pogoń. Ktoś zadzwoni, a ja przyjmę bardziej pojednawczą postawę. Trafi się kolejne zlecenie, a ja się postaram być lepszym Amerykaninem, bardziej uległą dziwką. Gra była w zbyt wczesnej fazie, żeby uznać kilka pomniejszych niepowodzeń za cokolwiek innego niż głupstwo. Pieprzyć ich - przetrwam wszystkich i przechytrzę.

Właściwie przepieprzałem czas. Całe miesiące. Leżenie na słońcu. Czytanie. Picie. Jazdy po okolicy. Kilka wypraw do Vegas. Boże Narodzenie w kinie. Samotny Nowy Rok. Marnotrawstwo. Zepsucie. Nic-się-nie-dzianie. Nikt nie dzwonił.

Kiedy szedłem spać, rzadko tam docierałem, dziwne rzeczy chodziły mi po głowie. Niejasne podejrzenia. Przeskoki myślowe. Znaki drogowe, kiedyś wyraźne, teraz blaknące. Kurki na dachu i rękawy wskazujące kierunek wiatru - nieruchome. Nieruchome powietrze nad tundrą. Popeye unieruchomiony. Achilles ujarzmiony.

W styczniu telefon nie zadzwonił ani razu. Podobnie dzwonek. Nawet Redwood Homer nie wpadł, żeby się u mnie wysrać. Nadeszły lutowe i marcowe noce, po cztery piwa każda, do tego po trzy szkockie o świcie, chorągiewki sygnalizacyjne wciąż jeszcze trzymałem uniesione, ale już nie elegancko wyprężone i dumnie powiewające, a oklapłe. A muzyka,

kiedyś wygrywana przez orkiestrę dętą została zastąpiona przez Souse. Małpka na patyku wywijająca danse macabre.

Kwiecień - trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy: na zachodzie nie działało się dobrze. To właśnie wtedy ospałość opuściła moje progi, bo u drzwi stanął niepokój. A chłopak, który kiedyś wygrywał hymny na swojej maszynie do pisania marki Smith-Corona, poczuł, że krew mu żywiej krąży, pobudzona wiosenną aurą.

Leżałem na swoim tarasie do opalania, z grubsza ustalając strategię. Pozwalając, by kolejne dni upływały bez jakiegoś ruchu z mojej strony, poddałbym się walkowerem. Może powinienem zadzwonić do Korporacji Scenarzystów i zapytać, czy wiedzą, gdzie mogę znaleźć zatrudnienie. I przyszło mi do głowy - czy korporacja działa jak pośredniak? Czy powinienem udać się tam z moją maszyną pod pachą, ustawić się i czekać, aż przedstawiciel związku wybierze mnie do odpracowania dniówki, jak w wypadku robotników portowych, czekających z hakami w dłoniach? Może powinienem zamieścić ogłoszenie:

Pisarz ze Wschodniego Wybrzeża w mieście.

Z prezencją i wszechstronny.

Scenariusze i inne dziwne prace.

Jest coś przerażającego w samotnym pobycie w mieście, w którym nie ma do kogo zadzwonić. To nic nowego. Zdarza się wielu ludziom. Ale dla pisarzy powinno być dobre. Wymuszona samotność. Nic nie przerywa pracy. Nikt się nie narzuca.

Cała sztuczka polega na tym, żeby mieć coś, nad czym się pracuje. List pożegnalny; list miłosny; telegram do Białego Domu, z żądaniem, by Alaska, Hawaje i Ventnor Avenue zostały przyjęte w poczet Stanów Zjednoczonych*¹⁵². Albo powieść. Bezrobotni pisarze zawsze pracują nad powieścią - tylko zapytajcie. Gadanie pod publiczność. Eufemistyczne określenie przymierania głodem.

Myślałem, żeby sobie sprawić psa. Potem papużkę. Myślałem o Tonym i Johnnym. A potem przestałem myśleć o tym, co skończone i załatwione, i zacząłem pisać scenariusz - oryginalny. Romans.

¹⁵² Alaska i Hawaje zostały uznane za stany USA w 1959.

Ze wszystkich moich sztuk to *Samotne spojrzenie* było najlepiej napisane i doczekało się najlepszego przyjęcia. Scenariusz miał być odpowiednio prosty, z należytą ilością kinowych gagów, by zadowolić tych, którzy są zdania, że film bez samochodu staczającego się z klifu, niewolników wzniesających bunt albo szarańczy pożerającej plony spaghetti nie jest filmem. Ale miał też przedstawiać dwójkę ludzi, z którymi widownia mogłaby się identyfikować, której dialogi byłyby nieco głębsze niż: „Uważaj, Rusty, facet ma kosę!” albo „Rano może pan zabrać złoto, Don Sebastian, ale dziś wieczorem przyłączy się pan do naszej fiesty”.

Zaopatrzyłem się w papier, taśmy do maszyny, piwo, wino i szkocką - i zabrałem się do pisania z zapalczywą gorliwością Toma Paine'a*¹⁵³. Siadając przy starej smith-coronie, zauważyłem wałeczek tłuszczu, który zwisał mi nad paskiem i zakrywał klamrę. Przejąłem się. Najpierw się roześmiałem, mówiąc sobie, że to z dostatku. Ale nie można się śmiać z tłuszczu ani przed nim ukryć, a już zwłaszcza nie wtedy, gdy się rozmnaża, grozi przeludnieniem i obniża poziom całej twojej brzusznej społeczności. Spojrzałem w lustro, żeby sprawdzić, co jeszcze zmieniło się w mojej anatomii, czego, zajęty, nie zauważyłem. Pod każdym okiem widniał nieduży banan, a w kącikach ślady jak po sępich pazurach. Dojrzałość czy hulaszczy tryb życia?

Włosy, zmaltretowane przez słońce i myte tym, co akurat stało pod prysznicem, miały wygląd wysuszonego żarnowca. Policzki miałem trochę nalane, pod szczęką wykwitło kilka podbródków jak skorupiaki w stadium embrionalnym. Gdybym wyhodował sobie brodę przypominającą dziko rosnący bluszcz i siedział przy maszynie do pisania w obszarpanym podkoszulku, szybko upodobniłbym się do hrabiego Monte Christo piszącego do sędziego Cratera, domagającego się zwolnienia z powodów czysto humanitarnych. Ponieważ dla wszystkich stałoby się oczywiste, że znajduję się w terminalnym stadium spróchnienia i nie przetrzymam kolejnego sześciopaka.

Ignorując moją podupadającą fizyczność, bo cóż jest ważniejszego niż sztuka, zagłębiłem się w scenariuszu. Nosił tytuł *Ni ech zapanuje miłość*

¹⁵³ Thomas Paine (1737-1809) - angielski filozof oświeceniowy i pisarz społ.-polit.; uczestnik rewolucji amerykańskiej i francuskiej, zwolennik niepodległości Ameryki.

i, skoro prosicie, to krótko nadmienię, opowiadał o młodym pisarzu, który stworzył dziewczynę, a potem uwierzył, że jest realna. Za każdym razem, kiedy się kłócili, wprowadzał zmiany w opisie postaci, mimo protestów z jej strony, że powinni spróbować przewyciężyć dzielące ich różnice, a nie po prostu wszystko wyrzucać. Wariat, oczywiście, i na końcu go zamykają. Ale dopóki miał swoją maszynę do pisania, dziewczyna była tam razem z nim - jednego dnia jako pielęgniarzka, innego jako kochanka, która przyszła z wizytą. W zaciszu swojego pokoju, z dala od brutalnej rzeczywistości, tworzy w końcu idealną historię miłosną, gdzie kochankowie pozostają wiecznie młodzi, i wreszcie umiera w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Grzebią go w grobie dla nędzarzy, ale jego opowieść zostaje wydana. Pół wieku później czyta ją młoda dziewczyna - i zgadnijcie, kim jest? Całość była o niekończącej się miłości, przekraczającej czas i przestrzeń i łączącej kochanków, mimo że on leży w grobie za domem wariatów, a ona w ogóle nigdy nie żyła.

Zjawiała się Harriet, żalosna, ale nie mogłem jej obsłużyć. Zezłościła się, chociaż próbowałem wyjaśnić, że muszę albo pracować, albo umrzeć. Bardzo mi było z tego powodu przykro, naprawdę, bo zacząłem na nią patrzeć jako na istotę w potrzebie, której odmawiam pomocy.

Miesiąc i było skończone. Zrobione. Sto dziewięć stron solidnego scenariusza. Uznałem, że trzeba to uczcić. Należało mi się. Broda sięgała mi spod nosa aż do obojczyków i większość musiałem ściąć nożyczkami, zanim brzytwa mogła zaryzykować tam jakiś ruch. Podczas pisania jadłem niezbyt wiele i niezbyt obficie, więc z zaskoczeniem odczytałem z wagi, że przybyło mi kolejne osiem funtów, znów w pasie. Piwo. Okazjonalne dwa tuziny puszek piwa dziennie załatwiają sprawę.

Przeglądałem swój scenariusz wciąż od nowa, czytając na głos wszystkie dialogi. Płynne. Trzymały się kupy. Zadzwoiłem do Harriet, bo chciałem jej to przeczytać, ale kazała mi się wypchać. Uznałem to za znak, że mój scenariusz nie jest dobry, i na trzy dni popadłem w depresję. Potrzebowałem całej nocy wypełnionej muzyką w wykonaniu Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej, żeby ożywić w sobie wiarę w to, co napisałem. I o trzeciej nad ranem tej nocy wiedziałem, że moje dzieło nie umrze w zarodku.

Następnego ranka zadzwoniłem do Jacka Rusha, do agencji Morrisa. Był bardzo przyjemny i zapytał, jak mi leci. Oznajmiłem mu, że

skończyłem oryginalny scenariusz - czy chciałby go zobaczyć? Odparł, że nie jest już moim agentem i nie może się w to angażować. Zazaczyłem, że scenariusz jest dobry, chodliwy i niskobudżetowy. Powiedział, że nie ma wątpliwości co do klasy scenariusza, ale na rynku jest masa dobrych scenariuszy i wszystkie zostały napisane przez ludzi milszych ode mnie. A zatem, dlaczego jakiegokolwiek studio miałyby chcieć się ze mną użerać? Wyjaśniłem mu, że zrozumiałem swoje błędy, że jestem odmieniony i mój scenariusz będzie mówił sam za siebie. Wyraził nadzieję, że mój scenariusz zdoła mówić sam za siebie, bo agencja Morrisa nie ma zamiaru występować w jego imieniu, a potem powiedział, że ma spotkanie, i odłożył słuchawkę.

Zadzwoiłem do Vernona Stacey'a w Nowym Jorku i wstawiłem mu dokładnie tę samą gadkę. Odpowiedział mi dokładnie taką samą reakcją, dodając, że naharowali się, żeby mi pomóc, i sam się załatwiłem swoją drażliwością i niedojrzałością. A jedynym sposobem na to, by skłonić jakieś studio do przeczytania mojego scenariusza, jest ukrycie się pod pseudonimem, bo nazwisko „Ben Webber” kompletnie się zużyło. Powiedział też, że nie może ze mną dłużej rozmawiać, bo ma spotkanie, i odłożył słuchawkę.

Byłem na czarnej liście. Bez żadnych komunistycznych powiązań, nic w życiu nie podpisywałem, nigdy nie pojawiłem się na żadnym spotkaniu, gdzie zbierano fundusze dla bolszewików, a jednak trafiłem na czarną listę za zachowanie niegodne pisarza. Ośmieliłem się im sprzeciwić i ukarano mnie wygnaniem. Rozbitek na hollywoodzkim morzu, pozbawiony nawet agenta, który odlałby dziesięć procent z mojego ostatniego wiadra słodkiej wody. Okej, pomyślałem, bardzo dobrze. Zrobię to, co tak złośliwie zasugerował Vernon Stacey. Wyślę swój scenariusz, kryjąc się pod pseudonimem.

Wysłałem jeden do Warnera, jeden do MGM i jeden do Paramount - wszystkie pod nazwiskiem Jackson Dowe (J.D. - „ja despota”). I wszystkie wróciły do domu. Nieotwarte. Każdemu towarzyszył mniej więcej taki sam list:

Bardzo nam przykro, ale dla własnego bezpieczeństwa nie czytamy materiałów, które nie zostały przekazane przez uznanego agenta literackiego...

Znów wdepnąłem w to gówno, od którego zaczynałem. Wkurzające. Byłem na straconej pozycji, ale, do cholery, jeszcze nie wypadłem z gry. Dałem ogłoszenia w „Variety” i „The Hollywood Reporter”:

Przepraszam za kłopoty, których przyczyniłem moim przyjaciołom z branży filmowej. I proszę o wybaczenie mi mojego zachowania. Niemniej ukończyłem oryginalny scenariusz i dowiedziałem się, że jestem persona non grata i z tego powodu nikt go nie przeczyta.

Sądzę, że jest wart przeczytania i doprawdy wart realizacji. Czy jest ktokolwiek skłonny zainwestować dwie godziny swojego czasu, żeby sprawdzić, czy dziwnym przypadkiem nie mam racji?

Ben Webber 639-9844

PS Dla mojego bezpieczeństwa scenariusz nie może być przekazany uznanemu agentowi literackiemu.

W dniu, w którym ukazało się ogłoszenie, pilnowałem telefonu, jakby był diamentem Hope'a*¹⁵⁴. Nawet kiedy szedłem się wysikać, ciągnąłem telefon ze sobą. Nie zadzwonił. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie zadzwonili nawet z Pomocy Meksykanom, a zwykle dzwoniли pięć razy w tygodniu. Życie w okresie maccartyzmu też mi się nie przysłużyło. Ludzie się bali - wszystkiego. Szczególnie ludzie filmu, bo ci naprawdę bywali na czarnej iście. Zacząłem się zastanawiać, czy może moje małe postscriptum nie było trochę za sprytnie - czy nie zrobiłbym lepiej, pozwalając agentowi - jakimukolwiek - obejrzeć scenariusz, żeby potem pod jego auspicjami przedstawić go producentom. Z upływem dnia wnioski stawały się coraz bardziej i bardziej oczywiste.

A jednak o wpół do dwunastej w nocy odebrałem telefon, który miał dramatycznie zmienić moje życie. Od Sama Gaynora.

- Ben, ty pierdolsu, to nazabawniesz ogłoszenie, jakie w życiu szytaem. Pewnie narobiło masę zamieszania.

- Tak myślisz? To czemu nikt nie zadzwonił?

- Jakim cudem? Uznały, że świrowałeś, że ci na dyńkę padło. Danie takiego ogłoszenia może i cię zabawi, chopcze, ale w życiu nie da żadnych rezultatów. Ci idioci to przeczytały i będą cię omijać szerokim

¹⁵⁴ Diament Hope'a - czterdziestopięciokaratowy, błękitny diament, jeden z klejnotów koronnych Ludwika XIV, obecnie własność Smithsonian Institute.

ukiem. Szowieku, to był pieprzony list samobójczy! To mówisz, że nikt nie zazwonił?

- Ani żywa dusza.

- W ogóle nikt?

- Ty zadzwoniłeś. Pierwszy i jedyny. A to większa niespodzianka, niż gdyby nikt nie zadzwonił. Po tym jak cię obsmarowałem w mojej sztuce?

- Żartujesz? Bya geniana! Zyskaem rozgłos. Ta się śmiaem, że prawie narobiem w sponie. A żeby mnie nazwaś Ron Garner? Cholera... to byo błyskotliwe. A so do tego, że dużo mówię... naprade dużo mówię. Lepiej tak niż dużo suchać, zwłaszcza kiedy te sksyny nie mają nic do pedzenia i potrzebują saego dnia, żeby tego dowieść. Wściekły na ciebie? Hej, nie jestem na ciebie wściekły. Uważam, że chorernie dobry ściebie pisarz. Uważam, że jesteś taky dobry, że nawet gdybym był wściekły, tobym się nie przyznał, bo znowu byś mi to zrobił w następnym scenariuszu. Mam rację?

- Mam takie dziwne wrażenie, że nie będzie następnego scenariusza.

- Naaaaa. Musisz się tyko przystosować. Tu działajo weduk innych zasad, mały. I każdego pod to podsiogają, w każdej sytuacji. Pieprzona banda przesraszonych sadomasochistów. Cłiorera, wiesz rónie dobrze jak ja, że stego miasta nie wychozi nic, soby miało jakąś wartoś. Jedyny kłopot, że oni tego nie wieją, aż do kedy film zostaje wypuszczony. W każdym razie zazwoniłem tyko, żeby spradziś, jak ci leci. Bo wiesz, syszałem o twoich kłoposikach z Warnerem i MGM, bo take rzeczy się roznoszą. I to zwykle przesazone.

- Cokolwiek słyszałeś, nie było przesadzone.

- I dobrze. Nawet baziej mi się to podoba. Nie wiem, szy masz jaja, szy ci odbiło, mały, ale nawet jak jesteś trupem, to przynamniej poległeś w walse, a to więcej niż mogą o sobie powiezieć inne zwłoki, które leżą obok. W każdym razie, jak mówiem, zazwoniłem, żeby ci wyrazić wuspuszusie, ze względu na stare czasy. Bo wiesz, mięłyśmy swoje różnise, ale jakby wyszłyśmy z tego samego miotu. Jeżeli nie masz nis do roboty, to wpanij do mojego biura, postawię ci kawę. Jestem w książce, tuż przy Beverly Boulevard. Kręse trochę z Columbia, parę filmików. Ale chętnie się z tobą zobaczę i dam ci skorzystać z mojego doświaczenia, bo sam się nieźle napieprzyłem i wiem, przez so przechozisz. Okej?

- Sam? Myślisz, że miałbyś może czas, żeby przeczytać mój scenariusz?

- Taa. Penie tak, ale nie tak zaras. Bo wiesz, nie, żebym cię sflawiał, mały, ale nie przynoś go ze sobą, jeśli chsesz, żebym z miejsca szytał, bo nie mogę. Bo wiesz, po prostu, kuwa, nie mogę. Zreszto nie wiem, po so ci moje zdanie. Wiesz, że jes dobry. Wiesz, że twój problem to nie brak talentu, tylko twoja pieprzona niewyparzona gęba. Gorsza od mojej, so, sksynu? Bo wiesz, pamiętam cię, chopsze, i jakoś mi nie pasuje, żeby sukces zmienił cię w guchoniemego.

- Sukces był i się zmył.

- No to się rusz i zrób to jesze raz. Suchaj, mały, muszę lesieś. Mam tu dziewczynę, wiesz? Hej, przynieś swój scenariusz, to go schęcią przeczytam. Serio. Tyko zazwoń, kiedy wpadasz, żebym na pewno był. Daj im popaliś, Ben. Jak byśmy się nie zobaszyli, to pieprzyś ich wszystkich.

Numer Sama Gaynora znalazłem w książce i zadzwoniłem do niego, pierwsza rzecz, z rana. Jego sekretarka powiedziała, że jest w Columbii i nie wiadomo, kiedy wróci. Jeździłem po okolicy, przestraszony, ale już nie wkurzony. Rozmowa z Samem jakimś cudem sprowadziła mnie na ziemię i uświadomiłem sobie, że walczyłem z wiatrakami, podczas gdy powinienem się zajmować naprawą popsutych układów. I pomyślałem, że jeśli facet z negatywną osobowością Sama Gaynora może mieć coś w trakcie realizacji, to albo ma siłę przyciągania większą niż biegun magnetyczny, albo naprawdę się nauczył - a łatwo mu to nie przyszło, bez dwóch zdań - jak trzymać swoją trującą osobowość w garści.

Nie byłem w stanie dopatrzeć się w Samie przyjaciela. Nigdy go nie lubiłem i pewnie nigdy nie polubię. Ale w jakiś dziwny sposób tu, w Mieście Marzeń, wszystko mogło w dowolnej chwili stanąć na głowie, przynosząc tak zdumiewające efekty, jak fakt, że Duży Al Epstein został moim przeciwnikiem, a krzykliwy Sam Gaynor sprzymierzeńcem.

Następnego ranka, trochę niepewny, bo może Sam naprawdę się przede mną ukrywał, ponownie do niego zadzwoniłem, pierwsza rzecz. Był i wylewnie kazał mi wpaść. Nie powiedział, żebym przyniósł scenariusz, a ja nie pytałem, czy powinienem to zrobić - po prostu go przyniosłem.

Biura miały przyjemne i pozbawione ostentacji. W małym, trzypiętrowym budynku w nowoczesnym hollywoodzkim stylu, gdzie zajmował większą część pierwszego piętra, znajdowały się obowiązkowe pamiątki po Skipie Gaynorze, umieszczone na ścianach i rozrzucone na blatach stołów, ale poza tym pomieszczenia były równie krzykliwe jak w dowolnych innych biurach, które można znaleźć na peryferiach Pompejów.

Recepcjonistka, która wyglądała, jakby przenocowała cały zespół Los Angeles Rams*¹⁵⁵, obsługiwała też centralkę. Zapowiedziała moje przybycie. Drzwi się otworzyły i Sam ruszył na mnie jak szarżujący byk. Wydawał się większy, niż go zapamiętałem, i autentycznie cofnąłem się o krok, co zaleca się zaatakowanym przez dzikie zwierzęta.

- Ben, ty pierdolsu! Powinienem cię obiś zdechłym szczurem za to, so mi zrobies w tej twojej pieprzonej sztuce! - Ale zamiast tego pompował moją ręką, jakby chciał napelnić zeppeliną.

- Powiedziałeś, że tego nie zrobisz.

- Ta, ta. Wchodź. O, to Althea. Nasza resepsjonistka. I, jak widzisz, wciąż dziewisa. Kawaek dalej mamy Glorię, moją osobistą pieprzoną sekretarkę. Powiedz cześć Benowi Webberowi, Gloria, i wrasaj do tego szmatławca, co go czytasz.

Gloria i ja wymieniliśmy powitania. Czytała Jamesa Joyce'a.

-A to moje biuro - ciągnął Sam - a obok mojego spółnika - otworzył drzwi do sąsiedniego biura i wskazał na siedzącego za biurkiem mężczyznę. - Randy Hampton, w rzeczywistości sknera i zapalony golfiarz. Randy, przywitaj się z Benem Webberem.

Randy Hampton podniósł się jak mangusta szykująca się do ataku. Chudy, pozbawiony ramion mężczyzna około trzydziestki, z głową tak nienormalnej wielkości, że na granicy makrocefalii.

- Dużo o tobie słyzałem, Ben. Nie wierz w to, co o mnie opowiada. Ja zarządzam pieniędzmi i gdybym nie miał na wszystko oka, z nim na głowie w ciągu tygodnia bylibyśmy bankrutami.

Sam ryknął.

¹⁵⁵ LA Rams - drużyna futbolowa

- Nie suchaj go, Ben. Bez wytchnienia do z kasy Columbię, więc nie ma czasu pilnować, so ja robię! Choś, choś. Dość spędzić czasu z tą kanalią.

Weszliśmy z Samem z powrotem do jego biura, gdzie zamknął drzwi i zabrzączał interkomem.

- Gloria, z kim jem lunch?
- Z Charliem Brackettem.
- Cholera. Nie mogę tego zawalić, co?
- Czemu nie? Wczoraj zawaliłeś.
- Ta, ta. Ben? Kawa i pączki?
- Nie, dzięki. Ja...

- Gloria, moje słokie sysuszki, załatw nam tuzin pączków. Różnych. Sztery albo pięć kaw. Dodatkowe mleko i cukier. - Wyłączył się, rozsiadł na krześle, zakładając ręce za głowę, i z uśmiechem zmierzył mnie wzrokiem. - Ta... naprawdę powinienem dać w ryj. Ron Garner. Chorera. Nie baeś się, że któregoś dnia cię dorwę?

- Nawet o tym nie pomyślałem.

- Nieustraszony pierdoles. Suchaj mały, skoro i tak nie robisz. - Otworzył drzwiczki i przerzucił zawartość szafki jak spychacz. - Mam tu parę scenariuszy i bybym wdzięczny, gdybyś do nich zajrzał. Chsiabym znać twoje zdanie na ich temat.

- Okej.

- Bo wiesz, oba potrzebują solinyh poprawek i jak jesteś naprawdę zainteresowany, to ci zapląsę. He dostajesz za poprawki?

- Nie wiem.

- Nie masz już agenta?

- Nie.

- Taa. O tym też syszaem. Lepiej ci będzie bez tych pierdol- sów w granatowych ganiturach. Dogadamy się. Dziesięć kawalków. Piętanaście. Dwaścia. Ile chsesz. Gównno mnie to obchodzi, to pieniądze Columbi. Przeczytasz to?

- Tak. Ale czy ty przeczytasz mój tekst?

- Przynioseś go ze sobą, jak widzę.

- Na wszelki wypadek.

- Okej. Jak tylko będę mógł. Ale nie dziś wieczorem. Nie wykręse się s tej kolacji, a wiem, że będzie trwała wieki.

- Nie musisz dzisiaj. Kiedy będziesz mógł.
- Umowa stoi.

Wymieniliśmy się skryptami. *Niech zapanuje miłość za Zawzięcie do zwycięstwa i Wybuchowych kierowców.* I natychmiast stało się dla mnie oczywiste, jaki Sam Gaynor ma w tym interes. Pojawiły się pączki i zagospodarował sześć. Ja dwa. Resztki dla reszty. Wypiliśmy kawę, pogadaliśmy o starych czasach. I wyszedł na swój umówiony lunch.

Ja pojechałem do siebie, wyszedłem na taras i przeczytałem oba scenariusze. Jeden gorszy od drugiego. Wybór należy do was. *Zawzięcie do zwycięstwa* był beznadziejny, coś w rodzaju westernu o wyścigu z Tucson do Phoenix, zwycięzca bierze wszystko, w tym także głupią córkę szeryfa. *Wybuchowi kierow*

TLR

cy o kierowcach ciężarówek, którzy ciągnęli się z dynamitem - w tym wypadku po górach w Birmie, z Japońcami strzelającymi do nich przez całą drogę. W obu scenariuszach wymieniono Sama Gaynora jako autora. Nie byłem zaskoczony.

Z tej parki, wiercie albo nie, wolałem *Zawzięcie do zwycięstwa*, bo chociaż wtórne, nie było tak bezczelnym plagiatem jak *Wybuchowi kierowcy*. (Widziałem to pod różnymi tytułami, w rodzaju: *Przez góry, Ryczące kierownice, Ciężarówka w stronę jutra* - w tym stylu). Porobiłem trochę notatek, jak można by przebudować i ożywić postaci. Chciałem mieć zajęcie, prosta sprawa. Nie dla pieniędzy, ale dla nazwiska w czołówce. Mieć szansę pokazania filmowej społeczności, że nie jestem niezrównoważonym narwańcem, jakim mnie odmalowywali w agencji Morrisa. A także, sądząc z tych dwóch scenariuszy, które właśnie przeczytałem, było mało prawdopodobne, że Sam Gaynor skwapliwie weźmie się do *Niech zapanuje miłość*. Jediną realną sprawą było to, co ja mogłem zrobić *dla niego*.

Zadzwoniłem następnego dnia i powiedziałem mu, że chyba mógłbym podjąć się poważnej przeróbki *Zawzięcie do zwycięstwa*. Był zachwycony. Kazał mi przyjść porozmawiać z Randym i wypracować jakąś umowę, a Korporacja Scenarzystów mogłaby mi pomóc w skonstruowaniu prawdziwego kontraktu.

Więc następnego ranka siedziałem naprzeciw Randy'ego Hamptona i opracowywaliśmy goły szkielec umowy. Facet ani na chwilę nie przestał się uśmiechać, ani razu nie zatrzymał się dla zastanowienia. Miał w sobie coś z mafiosa i zakonotowałem sobie w pamięci, żeby nigdy nie pozwolić mu pocałować się w usta.

Miałem dostać dziesięć kawałków na początek, pięć po naniesieniu poprawek, następne pięć po ostatecznym doszlifowaniu i jeszcze raz dziesięć w odroczonej płatnościach z pierwszych zysków. Miałem zagwarantowane dwadzieścia tysięcy, gdyby nawet film nie został zrobiony, i kolejne dziesięć, gdyby jednak powstał i koszty się zwróciły. Nie taka zła umowa, biorąc pod uwagę, że chodziło tylko o poprawki i było to pierwsze zlecenie - pod warunkiem że zdołam opanować swój temperament. Randy stwierdził, że ich prawnik sformułuje umowę, ale przed podpisaniem powinienem dać ją Korporacji do przejrzania. Uważał, że nie powinienem zaczynać pracy, dopóki wszystko nie zostanie dopięte.

Jego zdaniem mogło to potrwać nie dłużej niż pięć dni - najwyżej dziesięć - ponieważ sprawa była raczej standardowa.

I tak zacząłem pracować, głównie dlatego, że nie miałem nic innego do roboty i usilnie starałem się zachować zdrowe zmysły, ale też z prostego powodu: wiedziałem, że potrafię to zrobić. Sam nie miał jeszcze okazji zajrzeć do mojego scenariusza i pomyślałem, że dobrze, bo lektura mogła go jedynie przekonać o bezsensie wprowadzania przeze mnie poprawek do jego pisaniny. Zacząłem wręcz mieć nadzieję, że nigdy go nie przeczyta, i żałowałem, że w ogóle mu to zaniósłem.

Pracowałem bez przerwy, i to z radością, a głupi scenariusz Sama rzeczywiście zaczął przypominać coś, co może zadziałać. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że zacząłem pisanie i posuwa się należycie. Stwierdził, że wolałby, abym tego nie robił, bo nikt nie powinien pracować bez zabezpieczenia. Zaproponował, że zapłaci mi z miejsca, na rękę, pięć tysięcy jako znak dobrej woli, ale wyjaśniłem, że pieniądze nie są dla mnie problemem i tak się dobrze bawię przy scenariuszu, że sam powinienem mu dopłacać. Podziękował mi za nastawienie, które określił jako „zachwycająco profesjonalne”, i powiedział, że ma nadzieję zabrać się do mojego scenariusza następnego wieczoru. Obawiając się, że naprawdę mógłby to zrobić, kazałem mu się nie spieszyć, bo pewne rzeczy jeszcze są niedopracowane itd., itd.

Prowadziłem samotne życie, ale czułem się wspaniale. Nic mi nie stało na drodze. To był czas czystej kreatywności, totalnej i pochłaniającej. Jedzenie, sen, pisanie - to wszystko. Uciałem nawet picie, któremu, wiedziałem, niewiele brakowało, a wyrwałoby się spod kontroli. Scenariusz nigdy nie miał osiągnąć oscarowego poziomu, lecz mógł się stać punktem wyjścia porządnego, niskobudżetowego sukcesu. I nagle zacząłem dostrzegać, że przy całym swoim uprzykrzonym, prymitywnym zachowaniu, Sam Gaynor napisał scenariusz, w którym kryło się więcej dobrego, niż z początku się spodziewałem. Zacząłem się zastanawiać nad swoim nazwiskiem w czołówce. W końcu to był oryginalny scenariusz Sama. Lecz bez mojego udziału w ogóle nie było żadnego scenariusza. Czy Sam będzie przy tej okazji próbował mnie orznać?

Dziesięć dni było i minęło, a kontraktu ani śladu. Zaczęło mnie to martwić. Może ten sukinsyn mnie podszedł. Może Sam Gaynor, którego

pamiętałem i którym pogardzałem, wcale się nie zmienił, ale liczył, że odwałę całą robotę z pisaniem, bo taki byłem spragniony jakiegokolwiek zajęcia. W ten sposób dostałby do ręki to, co zrobiłem, przed złożeniem jakichś zobowiązań. To podejrzenie i rosnące przekonanie, że Sam nie ma dość sił intelektualnych, by zrozumieć, jaką dobrą robotę wykonałem, gdyby nawet od tego zależało jego życie, sprawiły - nietrudno pojąć - że zacząłem się czuć nieco zablokowany.

Aby mieć pewność, mogłem jedynie nie dostarczać scenariusza przed podpisaniem umowy i wypłaceniem stosownej zaliczki. W każdym razie moja stara paranoja zaczęła wystawiać głowę i czujnie się rozglądać. Musiałem się niezłe natrudzić, żeby pochlebstwem skłonić ją do powrotu do nory.

Sam zadzwonił tego samego wieczoru. Późno. Około dziesiątej. Siedział jeszcze w biurze i chciał wiedzieć, czy mógłbym podjechać i się z nim zobaczyć. Nie pytałem dlaczego, bo naleganie w jego głosie powiedziało mi, że to coś ważnego. Postanowiłem nie zabierać ze sobą poprawek *Zawzięcie do zwycięstwa*. Pierdolić go. Jak chce je dostać, musi najpierw podpisać umowę - po zaaprobowaniu tejże przez Korporację Scenarzystów. Jeżeli stanie okoniem, to napracowałem się na darmo. Ale on też zostanie z niczym. Nic rodzi nic lepiej niż nic.

Sam i Randy Hampton byli w biurze. Wystarczyło, że bym wszedł, i już wiedziałem, że sprawy nie wyglądają dobrze. Randy, jak zawsze uśmiechnięty, ale nie do mnie, po prostu wstał i wyszedł, w ogóle nie przyjmując mojego pojawienia się do wiadomości. Jakaś strategia wojenna? Usłyszałem, jak wchodzi do windy, a winda zjeżdża na dół. Chociaż miałbym większą pewność, że zszedł na dół, gdybym usłyszał jego kroki na schodach, a nie odgłosy z szybu windy.

Zostałem sam z Samem Gaynozem, niespecjalnie korzystne położenie. Lepiej już trafić do klatki szalonego lwa. Z szalonym lwem można przynajmniej podyskutować.

- Co mu się stało? - zapytałem, mając na myśli drogiego nieobecnego, Randy'ego Hamptona.

- Siadaj.

- Nie, dzięki. Lepiej zostanę przy drzwiach. Na wypadek pożaru.

- Siadaj, pierdolsu. Zara ci uaktualnię informacje.

- Okej. - Usiadłem, ale nie do końca, część ciężaru ciała opierając na piętach, tak żebym mógł szybko się zerwać, gdybym musiał... gdyby do tego doszło.

Przeszedł za mną, zamykając drzwi i przekręcając klucz. Potem zamknął drzwi prowadzące do biura Randy'ego. Miałem swobodę ruchów królika na różnie.

- Jak si leśi z moim scenariuszem, pierdolsu? - Głos pozbawiony pogody, humoru czy wesołości. W tym pokoju znajdował się zabójca i nie byłem nim ja.

- Powiem ci, jak zobaczę umowę. - Niezbyt sprytnie. Ale to żadna nowość.

- Nie wkurzaj pasieki, chopsze. Zadaem ci pytanie.

- A ja ci daem odpowiedź. - Jakże odważni są ci, którzy wiedzą, że tchórzostwo donikąd ich nie zaprowadzi. Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu broni, czegokolwiek. Zauważyłem mosiężny mikrofon na biurku Sama. Należycie uchwycony dziesięciofuntowy wytwór rzemiosła, związany ze Skipem Gaynorem, mógłby stanowić porządny hamulec dla zapędów jego syna. Obliczyłem odległość między nim a mną. W razie potrzeby zdołałbym go chwycić.

- Umowę? Hej, chopsze, zapomnij o tym. Nie ma żadnej umowy, okej?

- Okej. - Postanowiłem zaczekać i pozwolić, żeby wydusił, o co mu chodzi. Nie ma sensu dać się posiekać na kotlety, nie wiedząc dlaczego. Nawet w najgorszych filmach zabójca najpierw wyjaśnia ofierze dlaczego. Obowiązkowy element. Miałem do tego pełne prawo.

Nie rozczarował mnie.

- Te dwa scenariusze, które ci dałem, były do niszego. Wszawe.

- Powinieneś najlepiej wiedzieć. Sam je napisałeś.

- Nie.

- Jest na nich twoje nazwisko.

- Nie napisaem ich. Załyszyły swoją rundkę. Wszysy je odrzusiły. To są martwe scenariusze. Daem ci je, bo pomyślaem, że musisz poświszyć.

- Z *Zawzięcie* można coś zrobić.

- Ty możesz soś zrobiś, zgaza się?

- Zgadza.

-Z niszym nie możesz niszego zrobić, ty dupku! To twoje pisanie nie jest warte szszurzego pierdnięcia!

- A odkąd to z ciebie taki znawca?

Roześmiał się, częściowo z podziwem.

-Chorera. Zamknoem się tu z tobą... mam uwierzyć, że się nie boisz?

-To, w co wierzysz, obchodzi mnie mniej więcej tyle co słoniowe beknęcie.

Zaśmiał się.

- Chorera. Zdziorny fiutek.

-Jeżeli nie masz mi nic więcej do powiedzenia, to wychodzę.

- Chcesz, żebym przeszed do rzeczy, co?

-Jeżeli nie masz nic przeciw. - Trzymałem w ręku przycisk do papierów. I postarałem się, żeby zobaczyć, co trzymam i ważę w dłoni.

- Tatusiu, proszę, nie bij.

-Sam, masz jakieś dziesięć sekund, żeby otworzyć te drzwi albo wyśpiewam ci nowiny prosto w odbyt.

-Cóż, nie mam zamiaru otworzyć drzwi... jeszcze nie. Napierw coś sobie obejrzyś. - Przyniósł stos skryptów ze stołu i cisnął je na swoje biurko, przede mną. Oparł się o nie, mówiąc głosem, z którego kapał jad. Był o włos od ślepej furii. - Widzisz te senariusze? *Niech zapanuje miłość*, autor: Sam Gaynor. Bo wiesz, pomyślaem, że skoro ty to napisaes, pomyślaem, że to musi być dobre. Bo wiesz, masz reputację... inteligentny pisarz z Nowego Jorku, tak? Bo wiesz, nawet się nie trudziem, żeby to szytać. I do tej pory nie szytaem. Postaraem się tylko o formularz D i zabezpieczyem sobie na nim prawa autorskie na Stany. Zarejestrowane w Bibliotece Kongresu. *Niech zapanuje miłość*, autor Samuel J. Gaynor. Jedynie sztery dolse, pierdolsu. Powinieneś kędyś spróbowaś.

- Zgłosiłem swoje prawa autorskie już wcześniej, pocztą.

- Gówno prawda.

- Zgłosiłem. - Nie zgłosiłem.

- Ta, wiem. A te inne senariusze? Te, które ci dałem?

- Też są zgłoszone na moje nazwisko. Oba napisał jakiś kowboj, który nie umiał odróżnić swojego nosa od końskiej dupy. Randy wetknął mu tyśiaka i pierdoleś pojechał do domu szę- śływy, jakby odkrył ropę w swoim wychodku.

- Ze mną to nie zadziała.

- Taa? A jak udowodnisz, że to napisałeś? I nie wstawiaj mi tego gówna z prawem autorskim. Wsześniesz zgłoszenie, gówno prawda.

- Ludzie go czytali.

- Kto?

- Z agencji Morrisa.

- Ee, gówno. Lepiej sobie ze mną nie pogrywaj, Benny. Wiem wszystko o przstraszonych pisarzach. Nis mnie tak nie cieszy. W każdym razie to bez znaszenia. Bez znaszenia, i tu masz dowód. - Rzucał we mnie scenariuszami po jednym, jakby rozdawał karty do gry. - Wamer-syny, Twentieth Cen- tury-fiuty, United-arsydupki, Universal-cipa, Columbia, klejnot ze srasza, Metro-Goldwyn-mendy... Hej, Szekspirze, wszysy je zwrósiły! Nie ma znaczenia, szyje nazwisko jes na okładse, to są zwłoki! I ty też nie żyjesz! Chcesz zobaczyś lysty z odmowami? - Ciskał je we mnie jak papierowe samoloty, płynące na fali jego głosu. - Masz... „przyziemne”, „banalne”, „pospolite”, „przesłozone”... człowieku, wyseniły cię jako dno!

Powoli zaczynałem się gotować.

- Przedstawiłeś mój scenariusz pod swoim nazwiskiem?

- Taa! I żałuję! Teraz mam reputasję wszawego pisarza. Mam wystarszająco ciężko, żeby mnie nie mieszały z błotem za twój pierdolony, parszywy brak zdolności!

- Cały czas to robiłeś. Twoje dwa scenariusze...

- Zwykła zasłona dymna, chopsze. Tylko po to, żeby cię wyrolowaś. Ale muszę powiezieć, że myśl o tym, jak obrabiasz trupa, była cudowna. I pewnego dnia... może kiedy śnieg zasznie zamarzać w cipie... gdy ktoś zesce kupiś to gówno, dalej będę to miał na swoje nazwisko. *Niech zapamiętuje miłość*, autor Samuel J. Gaynor. - Zrobił pauzę, trochę odetchnął i wykrzywił się w uśmiechu. - A teraz przenieśmy naszą uwagę na pewną pierdoloną sztukę telewizyjną z postasią nazwiskiem Ron Garner, sztukę, po której poszułem zażenowanie...

- To był ten moment. Jako dramaturg potrafiłem rozpoznać sygnał do rozpoczęcia akcji, kiedy mnie mijał w locie. Dałem susa i walnąłem mikrofonem z brązu w jego złośliwie wyszczerzoną gębę. Usłyszałem trzask łamiącego się nosa i zobaczyłem, że Sam pada na plecy. Rozpłaszczył się na podłodze, wielkie łapska na oślepie sięgały do miejsca, gdzie kiedyś miał nos. Krew płynęła, jakby ktoś włożył ładunek wybuchowy w pomi-

dora. Stałem nad nim i wygłosiłem najlepszą kwestię, jaka mi przyszła na myśl, stosowną do sytuacji.

- Mam zamiar znaleźć tego kowboja, Sammy. Mam zamiar go znaleźć i przywlec tu jego dupę i razem, on i ja, tak ci wykręcimy fiuta, że sięgnie ci do dupy i tam przyrośnie. Potem podpalimy ci jedno jądro i rozżarzone wepchniemy do gęby, gębę zanitujemy i sprawdzimy, czy dasz radę zagwizdać dzingla Pepsi-Coli. Nos masz złamany, ty obsrańcu. Da się go złożyć... jeżeli go znajdziesz.

Wiedziałem, kim byłem, opuszczając jego biuro. Byłem Samem Spade'em i bardzo mi się to podobało. Ostrożnie upewniłem się, czy Randy Hampton nie czai się w którejś szafie, a potem zbiegłem na dół schodami, ponownie wzgardziwszy windą. Windy się zacinają - stopy nie. Kiedy wypadłem na ulicę, zauważyłem Randy'ego Hamptona siedzącego za kierownicą własnego modnego wozu. Nie uśmiechał się. Prawdę mówiąc, wyglądał na cholernie zaskoczonego, że widzi mnie w jednym kawałku. Podszedłem do niego i wyprodukowałem bogartowskie seplenienie.

- Twój partner jest w swoim biurze. Wpadł pod ciężarówkę i nie wygląda za dobrze. A co do ciebie... masz godzinę, żeby się wynieść z miasta, zanim pojawi się Tłuścioch i stwierdzi, że spieprzyłeś sprawę. Nazwisko Joela Cairra po prostu nie zadziałało. To tyle, jeśli chodzi o miejsce ukrycia ptaka^{*156}. - Walnąłem rękoma w maskę jego samochodu, jak klepie się konia, żeby przynaglić go do galopu. - Spływaj, koleżko. Koniec lekcji.

Randy'emu Hamptonowi oczy mało nie wyskoczyły z tej przerośniętej głowy i odjechał. Nigdy więcej go nie widziałem.

Wsiadłem do własnego samochodu, zapaliłem papierosa i pojechałem na północ, w stronę Beverly Hills.

Próbowałem poukładać sobie to wszystko w głowie, gdy wycieraczki z mlaśnięciem usuwały nagły deszcz. Niedługo to trwało. Sam Gaynor nie będzie leżał na dywanie przez całą noc. No i wiedział, gdzie mieszkam. Sprytnie byłoby zadzwonić do glin, zgłosić się, wszystko wyjaśnić i

¹⁵⁶ Tłuścioch, Joel Cairo - gangsterzy z *Sokola maltańskiego* D. Hammetta.

wynając najlepszego adwokata, jakiego można dostać za pieniądze Mary Astor*¹⁵⁷. Ale ja nie byłem specjalnie sprytny.

Znalazłem w swoim notesiku adres Jacka Rusha. Beverly Hills, naturalnie, i nie tak daleko. Przygazowałem porsche i wyrwało do przodu. W pięć minut znalazłem się przed domem Jacka. Było dziesięć minut po północy. Będzie spał. Co za przykrość.

Nacisnąłem dzwonek i zaszczekał pies. Pawłów byłby zachwycony. Jakiś orientalny typek badawczo przyjrzał mi się z okna. Szyderczo powiedziałem:

- Otwieraj, Moto! Powiedz swojemu szefowi, że to ważne. Raz-raz.

Żółtek zniknął, zastąpił do Jack Rush we wzorzystym szlafroku i purpurowych kapciach. Otworzył drzwi i mnie wpuścił. Minąłem go, wrzucając papierosa w jego krzaki róż.

- Nie przychodziłbym tu, gdyby to nie było ważne, więc nie stójmy na deszczu.

Wyglądał na zdumionego, być może dlatego, że było tak późno, albo dlatego, że nie padało. Poszedłem za nim do gabinetu. Agenci nieźle mieszkali, eleganciotko. Wyjaśniłem mu, co się stało. Z początku był zaszokowany. Potem tylko zaskoczony. W końcu - prawie znudzony.

- Wszyscy znają Sama Gaynora - stwierdził. - Jak, do cholery, mogłeś się dać tak podpuścić?

- Nikt mnie nie kochał.

- Co?

- Zaryzykowałem.

- To taki lokalny oszust. Gdyby mu dołożyć czerwony nos, byłby z niego kłown.

- Dołożyłem mu czerwony nos.

- Ben, ciężko mi za tobą nadążyć.

- Powiedz mi tylko jedno, czy miał jakieś interesy z Columbią?

- Jeżeli masz na myśli Kolumbię w Ameryce Południowej, to możliwe. Może ma tam plantację bananów. Ale Columbia Pictures? Powiedział ci coś takiego?

- Tak jest. Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział.

¹⁵⁷ M. Astor - aktorka, która w filmowej wersji *Sokola* zagrała Bridgid O'Shaugnessy.

-Wiesz, co się tu o nim mówi? Ze to, czego Samowi Gaynorowi nie dostaje, jeśli chodzi o talent, z nawiązką nadrabia nieuczciwością. Chce też reżyserować. Nie potrafiłby wyreżyserować kreskówki dla dzieci.

- Zaczynam rozumieć.

-A co do tego, że zarejestrował na siebie prawa autorskie twojego scenariusza... tym nie musisz się martwić.

- Nie muszę?

- Nie. Lektorka w Paramount, Gail Rosen... znasz ją?

-Długie włosy, grzywka na oczy, jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat?

- Nie.

- To znam.

-W każdym razie to moja przyjaciółka. Przeczytała twój scenariusz przed odesłaniem, bo spodobał się jej tytuł.

-Pocziwa, stara Gail. Wiedziałem, że jeśli zostawiłem jakiś ślad... ale mów dalej.

-Zorientowała się, że Jackson Dowe to pseudonim, bo nigdy wcześniej o gościu nie słyszała, a scenariusz był zbyt profesjonalny, żeby mógł go napisać amator.

- Sprytna dziewczynka.

-Odesłała ci tekst ze zwyczajowym listem, że nie są w stanie go przeczytać, ponieważ nie został dostarczony przez...

- Możemy to sobie darować i przejść dalej?

-Tak. Zauważyła, że adres zwrotny Jacksona Dowe'a to adres Bena Webbera. Sprawdziła to w firmie telefonicznej.

- Sprytna firma telefoniczna.

-Potem zadzwoniła do mnie, bo myślała, że wciąż jestem twoim agentem, i była ciekawa, czemu nie załatwiasz tego przeze mnie. Ben? Dobrze się czujesz? Chcesz kawy? Zabawnie wyglądasz. Może poproszę Wonga, żeby przygotował nam kawę?

- Wonga?

- Tak.

- Nie, dzięki.

- W każdym razie Gail Rosen jest twoim świadkiem. Ja chyba też, bo opowiedziała mi scenariusz przez telefon... a wszystko to zanim Sam

Gaynor mógł załatwić sprawę prawa autorskiego. Mogę to zaświadczyć pod przysięgą.

- Podobał ci się?

-Tak i nie. Podobał, bo był pogodny i nietuzinkowy. Nie podobał, ponieważ to fantasy, a fantasy po prostu się nie sprzedaje. Już nie. Ten scenariusz jest nie do sprzedania, Ben, i to nie ma nic wspólnego z poziomem literackim. Cokolwiek by powiedzieli, nie mogą powiedzieć, że jest dobry, bo się boją nawet pomyśleć, że jest dobry.

-Więc uważasz, że nie powinienem się przejmować tym, kto ma aktualnie prawo autorskie?

- Wręcz przeciwnie. Zrobiłbyś przysługę całej branży, przygważdżając Sama Gaynora.

- Och. Bezwzględnie chcę oddać branży przysługę.

-Załatw go z dowolnego oskarżenia. Piractwo, plagiat, cuchnący oddech... nie jestem prawnikiem, ale wiem, że możesz go dorwać. A jeśli chodzi o te jego sekretarki, o których wspominałeś... trzyma je, żeby ludziom się wydawało, że prowadzi kwitnący interesik. Sześć nocy w tygodniu pracują po prostu w barach przy Santa Monica.

- A co z tym jego partnerem, Uśmiechniętym Dupkiem?

- Hamptonem? Oślizgły typ. Nie byłbym zaskoczony informacją, że siedział. Plotka głosi, że tak, pod kilkoma nazwiskami.

- Gniazdo żmij.

- Najgorsze. Jak dawno temu ich opuściłeś?

- Pół godziny.

- Teraz są już pewnie w drodze do twojego domu.

- Nie Hampton. Jeśli się nie mylę, jest w połowie drogi do San Francisco.

- Mówię o Gaynorze.

- Załatwiłem go raz, załatwię i drugi.

- Na litość boską, Ben, gadasz jak wariat.

- W tym interesie to konieczne.

- Zostań tu na noc. Zadzwoń stąd na policję. Powiedz im, co się stało.

Niech oni się tym martwią.

- Nie. Żadnej policji.

- Ben? Czy on cię uderzył?

- Nie dałem mu szansy. Walnąłem go w nasadę nosa jego własnym ojcem.

-Pozwól, żebym kazał Wongowi przygotować dla ciebie pokój gościnny.

- Nie. Żadnych Japońców.

- To Chińczyk.

- Żadnych pokoi gościnnych.

- Ben, może powinienem wezwać lekarza.

- Źle się czujesz?

- Ben, poważnie. Dokąd idziesz?

- Do siebie.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Owszem. Zostawiłem włączony adapter. To moja jedyna płyta Dooleya Wilsona.

-Sam Gaynor to potencjalny zabójca. Twój dom to pierwsze miejsce, do którego pójdzie.

- Każdy musi umrzeć.

- Zadzwoń na policję, wyjaśnię im wszystko.

- Rób, co chcesz, Jack. Każdy martwi się o siebie. Jest stąd inne wyjście?

Pojechałem do domu, w głowie cały czas mi dzwoniło od ciosu, który Sam Gaynor prawie mi zadał. Była może dwunasta trzydzieści, czterdzieści pięć. W domu paliły się światła, ale wychodząc, zostawiłem je zapalone. Gdyby Sam Gaynor miał na mnie czekać, to z krwawiącym nosem. Byłem dziwnie pewien, że najpierw załata sobie nochał, a dopiero potem wpadnie na kakao. A to mi dawało czas potrzebny na przyszykowanie dla niego małego przyjęcia.

Podjechałem pod garaż i zgasiłem silnik. Cicho. Ale to nie znaczyło, że nikogo tam nie ma. Mógł zaparkować gdzieś indziej i wejść do środka, bo zostawiłem dom w zauważalny sposób otwarty.

Wszedłem tylnym wejściem, przez garaż, i wślizgnąłem się do komórki, gdzie znajdowała się skrzynka z bezpiecznikami. Otworzyłem ją i wyłączyłem wszystkie światła w całym domu.

Po jakichś pięciu minutach zdjąłem buty i w skarpetkach przemknąłem do sypialni, cicho jak myszka. Wzrok przyzwyczyił mi się już do

ciemności, lecz byłem ostrożny. Nasłuchiwałem uważnie, po indiańsku. Każdy najcichszy dźwięk miał swoje znaczenie, tyle że nie było żadnych dźwięków. Nic kompletnie. Nic. Żadnego zasilania jakichś urządzeń. Żadnej wibracji z lodówki. Żadnego szumu starej victrol¹⁵⁸. Żadnego pianina Dooleya Wilsona.

W domu nie było nikogo oprócz mnie. Wróciłem do skrzynki z bezpiecznikami i z emfazą pociągnąłem za dźwignię, jak wykonujący egzekucję. Udałem się do salonu, gdzie usiadłem, żeby przemyśleć sprawy. Nie było najmniejszej wątpliwości, że Sam Gaynor będzie chciał mnie dopaść. Pytanie tylko kiedy. Nie miałem żadnej broni oprócz widelców do sałaty. Użyłbym ich w razie potrzeby.

I kiedy tak siedziałem sam w atmosferze kalifornijskiego strachu, przyszła mi na myśl ona. Ginnie. Niewiarygodna Ginnie. Oto jestem, siedzę i czekam na pomstę Sama Gaynora, a mój umysł zaczyna błądzić w upiornej mgle w poszukiwaniu dalekiej dziewczyny. I z kłębiącej się mglistości wyłania się jej twarz. Jedna słodka buzia, jakby w odpowiedzi na wszystkie głupie pytania. Jedno światło na poddaszu. Jedna marchewka na kiju. Jeden różany pączek. Jeden Graal.

Kochałem ją. Boże, jak ja ją kochałem. Kochałem całkowicie. Kochałem ją kiedyś i kochałem teraz, i pozostanie tu, gdzie byłem, pogrążony w inercji, oznaczało zaakceptowanie konkluzji, że po opłaceniu tych wszystkich autostrad, odstaniu na każdym świetle i pod każdym szlabanem miałem skończyć z martwym skunksem na zderzaku.

Musiało być coś więcej. Nie zaczyna się życia kłapsem w pupę tylko po to, by je zakończyć kopniakiem w dupę. Ponownie wskoczyłem do mojego dzielnego wozu i skierowałem swoje życie na południe, na lotnisko.

¹⁵⁸ Victrola - firma produkująca gramofony.

Rozdział 26

Ginnie

1953

Kiedy Nowy Jork już ledwie dyszał po niezliczonych tygodniach bezwstydnie ekstrawaganckiego życia, Johnny zabrał mnie ze sobą - najpierw do San Francisco, a potem do LA. San Francisco było nie do opisanie. Rozjarzone światłami, drogie i zabawne. Spędziliśmy całe tygodnie tam i w okolicach - Big Sur, Carmel, Monterey. Johnny musiał od czasu do czasu wyjeżdżać, ale zawsze znajdowałam sobie jakieś zajęcie, bo San Francisco było fantastycznym miejscem. A zjazd drogą nr 1, prowadzącą wzdłuż Pacyfiku przez należące do Hearsta*¹⁵⁹ San Simeon, po prostu zapierały dech.

Pobyt w LA był jednak dziwny jak cholera, bo wiedziałam, że gdzieś tam jest Ben - w Hollywood, Beverly Hills albo Bel Air, gdzie my się zatrzymaliśmy - w hotelu Bel Air, w apartamencie, w którym można by kręcić scenę wyścigu rydwanów do *Ben Hura*. Johnny masę czasu spędzał na grze w golfa z ważniakami, których ja widywałam tylko w porze kolacji. Więc, żebym miała dobry nastrój, wynajął małego białego mercedesa z otwieranym dachem - tylko dla mnie. Szykowne, zupełnie jakby znowu mieć kucyka.

Pierwszego dnia, kiedy z niego korzystałam, szpanowałam całą drogę do Santa Monica, gdzie zatrzymałam się, żeby obejrzeć południowokalifornijski widok na Pacyfik. Byli tam jacyś szaleni surferzy, którzy próbowali się zabić, ale okazali się niezniszczalni, więc pojechałam z powrotem do Bel Air.

W czasie jazdy zauważyłam sportowy wóz, który z całą cholerną pewnością mnie śledził. Jaskrawoczerwony, w lusterku widziałam kierowcę, ale miał słońce za sobą, więc nie udało mi się przyjrzeć jego twarzy. Doszłam do wniosku, że to jakiś szukający wrażeń smarkacz, i

¹⁵⁹ W. R. Hearst (1863-1951) - magnat prasowy.

ponieważ kilka razy o mało na mnie nie wjechał, zdecydowanie postanowiłam się go pozbyć.

Wykonałam gwałtowny skręt w prawo na zatłoczoną stację benzynową i patrzyłam, jak czerwony idiota gładko mnie mija. Oczekałam chwilę, przeprosiłam ludzi, których o mało nie zabiłam, i pojechałam z powrotem do hotelu.

Chociaż umiałam *prowadzić*, nie byłam najlepszym kierowcą, bo ledwie zdążyłam się nauczyć podstaw, kiedy wysłano mnie do tych cholernych szkół. W każdym razie dotarłam do hotelu w jednym kawałku i przygotowałam się do kolacji. Zjedliśmy w Chasen's. Była tam Joan Crawford i ledwie się powstrzymałam, żeby nie podbiec do niej i nie narzucać się z prośbami o autograf, kosmyk włosów, ząbek czosnku z jej sałatki czy cokolwiek.

Z trudem udawało mi się śledzić upływ czasu. Wszystko było takie nieznaczące, takie powierzchowne. Brałam lekcje tenisa od jakiegoś zawodowca, ale tak naprawdę nie zwracał uwagi na moje uderzenie, tylko na mój tyłek. Nawet jako początkująca wiedziałam, że nie ma czegoś takiego jak „błąd tyłkiem”. Musiałam z tym od razu skończyć, boja nie uczyłam się grać w tenisa, a on mógł za chwilę zbekehendować moje cyki. No i taki był koniec moich lekcji - skarga zamiast numerka.

Dużo pływałam i się opalałam, ale chociaż wcale się nie starałam, zawsze przyciągałam na basenie tłumy, więc zwykle kończyło się to jazdą na plażę. I to daleko. Za Malibu. Cały kawał drogi do niewielkiego miejsca między skałami, gdzie ludzie zostawiali mnie w spokoju. Nazwałam je przyłądkiem Widok, tylko nie pytajcie dlaczego. To nie był przyładek i nie miał żadnego widoku. Po prostu brzmiało to jak nazwa usłyszana kiedyś w filmie. Bardzo romantycznie *i* z masą *mos-* kitów.

Jeździłam na przyładek Widok, czasami z książką, i pozwalałam, żeby moje myśli swobodnie błądziły. Dwudzieste pierwsze urodziny ukradkiem podchodziły coraz bliżej i zaczynałam czuć, że po nich znajdę się po drugiej stronie wzgórza i nie będę mogła więcej zajmować się marzeniami na jawie. Do tego czasu mimo wszystko pozostanę dzieckiem. W pewnym sensie. Kochanka milionera w bikini, na kocu na plaży, miliard lat od dzieciństwa, dokładne przeciwieństwo dziewicy.

Johnny po prostu nie obracał się w hollywoodzkich kręgach. Jego przyjaciele ubierali się w błękitne blezery, białe flanelowe spodnie i do

tego stopnia byli białymi protestantami anglosaskiego pochodzenia, że uważali pastrami za zawodnika na drugiej bazie w Chicago White Sox*¹⁶⁰. Więc nie miałam najmniejszych szans na to, żeby wpaść na Bena w żadnym z ich domów. A jednak myśl o tym, że Ben jest tak blisko, często nie pozwalała mi zasnąć w nocy i potrafiła spierdzielić dzień. Tęskniłam za nim. Nie jako kochankiem, nie sędzę, bo tamte czasy wydawały się zbyt odległe, żeby je ekshumować, ale jako przyjacielem i częścią mojego życia, kiedy byłam strasznie młoda, niepokojąco wrażliwa i, obawiam się, alarmująco głupia.

Wspomnienia mnie nie raniły. Półtora roku wygładziło im ostre krawędzie. Gdybym spotkała Bena ponownie, nie doszłoby do klasycznej kolizji dwóch ciał niebieskich. Nic w stylu Siegrfrieda wpadającego na Brunhildę podczas Mardi Gras w Nowym Orleanie. Raczej coś jak Donald O'Connor, który natyka się na Debbie Reynolds przy torze do jazdy na wrotkach w Yonkers *¹⁶¹. Powiedzielibyśmy sobie „Cześć” i ramię w ramię zrobilibyśmy dwa okrążenia wokół toru, organy grałyby coś słodkiego, a my zajadalibyśmy watę cukrową na patyku.

Ben Webber był moim pierwszym kochankiem. Oddałam mu moją tak zwaną niewinność. W jego ramionach straciłam dziewictwo. Co za archaiczne określenie - „stracić dziewictwo” - zupełnie jakbym trzymała je w brązowej papierowej torbie i zostawiła w miejskim autobusie. Od czasów Bena miałam tylko dwóch mężczyzn, przed nim nikogo – niezbyt imponujący wynik jak na niemoralną kobietę światową. Richie Pickering to był romans bez namiętności, port podczas sztormu i do tego niefortunnie wybrany, jeśli chodzi o ścisłość. Johnny Farrar, muszę przyznać, oznaczał romans wschodzący, związek oparty bardziej na potencjale niż na codziennej realizacji. Pozwalałam, żeby tak się działo. Dawałam mu czas i przestrzeń. Nie byłam w nim pogrążona, zanurzona z głową, zapatrzona bez pamięci. Rozgrywałam tę sprawę jak rybak dalekomorski walkę z marlinem. Popuszczałam tyle żyłki, ile trzeba, i jeśli się złapał - świetnie. Sfotografuję się z nim dla „Magazynu Sportowego”. Ale jeżeli się zerwie, hej, po prostu spróbuję się zaprzyjaźnić z następnym.

¹⁶⁰ Chicago White Sox - drużyna bejsbolowa.

¹⁶¹ D. O'Connor (ur. 1925), D. Reynolds (ur. 1932) - zagrali parę przyjaciół w *Deszczowej piosence* (1952); Yonkers, miasto w stanie NY.

Nie lubiłam w swojej egzystencji stałego wrażenia ciepłka. Ciepłko jest dobre do ogrzewania, ale wyklucza wrzenie. I zanim coś się zagrzeje, można się po prostu znudzić. Ciepłko to pozostawanie na kursie, a ja rozwijałam się dzięki akcjom ster-prawo-na-burt, dziewczyna za burta.

Trzy tygodnie w LA i okolicy (Palm Springs, Santa Barbara) i aż mnie nosiło. Johnny był w porządku, niezwykle przyjemny i uważający. Ale też nieco zaborczy, co prowadziło do uznawania mojej obecności za oczywistą coś, czego nie mogłam znieść już w czasach, kiedy byłam młodszą siostrzyczką. Jedyne moment, w którym rzeczywiście poświęcił mi uwagę, nastąpił wtedy, gdy w Delmonico trafił na moją „kolację dla pięciorga”. Wówczas tego nie wiedziałam, lecz podobało mi się, że był zdenerwowany. To znaczy, naprawdę mnie widział, kiedy na mnie patrzył. Miał w głosie więcej napięcia, zaciskał pięści i drżały mu szczęki. Do czego zmierzam? Wtedy czułam, że żyję. Wiedziałam, że żyję, bo bałam się, że mnie uderzy.

Boże Narodzenie w Palm Springs, Nowy Rok w Acapulco. Styczeń wysnuł z siebie luty, a kwiecień przynaglał marzec. Kolejne restauracje, kolejne przyjęcia, więcej leniwego bogactwa, niż potrafiłabym sobie wyobrazić. I więcej nudy, niż byłam skłonna tolerować. Johnny parę razy wyjeżdżał, do Denver, nigdy na dłużej niż trzy dni, ale i tak zostawiał mnie samą w Bel Air. Z marszu, bez trudu, poradziłam sobie z kilkoma natrętnymi podrywaczami. Nie mogłam sobie tylko poradzić z bezsensownością tego wszystkiego, z marnacją. To ja się marnowałam.

Czy przez te wszystkie lata doszłam jedynie do roli basenowej ozdoby? Czy to była miara mojej wartości, głębia mojego zaangażowania w rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty? Naprawdę byłam zakochana w Johnnym Farrarze, czy tylko chciałam być? I powinnam pobyć z nim, a potem odejść, jak sam mnie zachęcał, czy trzymać się go i trwać w nadziei, że zafascynowany będzie błagał mnie o rękę? I czy książki historyczne te właśnie pytania wskazają jako najistotniejsze dla Wieku Atomowego, w którym przyszło nam żyć?

Miałam ochotę pić, ale byłam dość rozgarnięta, żeby tego nie robić, przynajmniej nie w samotności. Miałam ochotę wrzeszczeć i to zrobiłam - sama na przylądku Widok, gdzie spędzałam większą część dnia. Dorobiłam się oczywiście niesamowitej opalenizny, ale wielkim kosztem, bo moja skóra zaczęła przypominać w dotyku garbowaną skórę i

zastanawiałam się, czym ją potraktować - kremem czy smarowidłem do czyszczenia siodeł.

Kiedy Johnny wkroczył do domu, wyglądałam tak wspaniale, że sama nie mogłam oderwać od siebie oczu. Intuicja podpowiedziała mi, że oto nadszedł moment, żebym wykonała swój ruch - ruszyła do ataku, że tak powiem. Bo nigdy już nie będę piękniejsza. Od tej chwili pójdzie z górki. Zmarszczki i obwisłe ciało, kurcze łapki i potrójny podbródek. Rozstępy, plamy wątrobowe i liftingi tak częste, że uniosą mi z ziemi stopy.

No więc przyszykowałam się jak jakaś ofiara dla bogów. Biała suknia - obcisła, głęboki dekolt, rozcięcie z jednej strony. Kwiaty we włosach - ukłon w stronę Ofelii. I boso stopy. Byłam, do cholery, boso w holu hotelu Bel Air, i to wyłącznie dlatego, że uznałam ten pomysł za zniewalający. I kiedy zobaczyłam wchodzącego Johnny'ego, podeszłam do niego jak senna zjawa, otoczyłam go ramionami i perfumami. Wsunęłam język do ucha i wyszeptałam: „Witaj w domu, mój Johnny. Myślę tylko o jednym”. Na co on odparł: „Ubieraj się. Jemy kolację z Barringerami. I, na litość boską, włóż buty!”.

To by było na tyle w kwestii bosych stóp i dobrych intencji. Co do kolacji z Barringerami, szykowałam się od jakiegoś czasu. I nie jako coś o wadze przelotnej wzmianki w wiadomościach o szóstej. Dotychczas sporo czasu poświęciłam na rozmyślania, w jaki sposób mogłabym się wykręcić z tego spotkania, gdy wreszcie na mnie ten dopust spadnie. Johnny wspomniął mi o nim w Nowym Jorku, a ponieważ zajmowały go wyłącznie sprawy realne, wiedziałam, że któregoś dnia dojdzie do konfrontacji. Żeby się z tego wykpić, wzięłam pod uwagę i odrzuciłam po rozważeniu: zapalenie wątroby, mononukleozę, skręconą kostkę, urojoną ciążę, niewyjaśnione wymioty, omdlenie, dezercję i samobójstwo. Nie było sposobu, żeby się z tego wykaraskać, nie stając się kimś niewidzialnym. Próbowałam. Wysoka, opalona blondynka nie ma szans zniknięcia, więc nie próbujcie.

- Masz wyglądać olśniewająco - stwierdził Johnny, wskakując pod prysznic. - Musisz się naprawdę *postarać*, jeżeli chcesz dobrze wyglądać przy Maggie.

- Och? Jest aż taka wyjątkowa?
- Nie wiem. Czy Kleopatra była wyjątkowa?
- Kleopatra miała szesnaście lat. Ile ma Maggie Barringer?

- No, może trzydzieści.

- Taka stara? - Mowy nie ma, Johnny. Ale gdyby ktoś był w stanie tego dokonać, to wyłącznie Maggie. Tyle że to by oznaczało urodzenie mnie w wiek *u dziewięciu lat, a Mary Ann pięciu*. Wyjątkowo przedwczesna dojrzałość... albo pierdolony cud.

O tak, wiedziałam, że to będzie traumatyczne. Nie dla niej - ona pewnie uzna ponowne spotkanie za uroczę - ale dla mnie, ponieważ z całą pewnością zacznę się jąkać i posikam w gacie. Jedyna przewaga, jaką miałam nad Maggie, to fakt, że z wyprzedzeniem wiedziałam o naszym spotkaniu na kolacji. Chyba że...

- Johnny?

- Taa?

- Czy pani Barringer wie coś o mnie?

- Nie. Nic.

- Nie zna nawet mojego imienia?

- Niczego jej nie mówiłem. Chciałem ją zaskoczyć.

Nie skomentowałam. Tak, Maggie z pewnością będzie cholernie zaskoczona, ale nie będzie zaszokowana. Nic nie było w stanie zaszokować Maggie, co do tego miałam pewność. Chyba... chyba żeby w chwili naszego spotkania Johnny był nagi, a ja musiałabym stać za nim i obciągać mu fiuta, mówiąc: „Zawsze niech będzie Anglia”. To mogłoby zadziałać.

Bałam się. Nie widziałam powodu, by samą siebie w tej kwestii okłamywać. Kimkolwiek był Kevin Barringer, był też moim ojczymem. Bogatym ojczymem, do cholery, co z miejsca awansowało mnie na Królową Śnieżkę. Kiedy Maggie ponownie wyszła za mąż? Musiało to nastąpić prawie dwa lata temu, przed klęską w Saint Regis, bo już wtedy występowała pod nazwiskiem Barringer. No i żeby ponownie wziąć ślub, musiała wiedzieć o śmierci tatusia. Na pogrzebie się nie zjawiała, więc ile czasu upłynęło po tych wydarzeniach, kiedy się dowiedziała? I czy rościła sobie jakieś prawa do majątku taty? Bo jeśli tak, i jeśli się jej powiodło, to najprawdopodobniej byłam spłukana. Moja część majątku, podobnie część Mary Ann, zniknęłaby w kuferku Maggie. Czy Kevin Barringer rzeczywiście siedział po uszy w ropie, czy żył z tego, co było kiedyś moim spadkiem? A mnie zaledwie tygodnie dzieli od wieku, w którym planowałam go przejąć. Sprawy w raju nie szły za dobrze, gdy

ubierałam się po same zęby na moje spotkanie z mamą. Rodzinne tajemnice dobijały się do drzwi i chciały wejść. Zapowiadała się zabawna noc.

Johnny - Boże, wyglądał pięknie. Był pięknym mężczyzną. Powinien zostać gwiazdorem filmowym. Może by mu się udało, gdyby jak ja próbował u Helgi Nathan i zdołał znieść jej wyskakujący cycek. Ubrał się w aksamit - wieczorowy aksamitny, niebieski smoking ze srebrnym obszyciem przy klapach i odpowiednie spodnie. Ja? Byłam tak wspaniała, moja uroda do tego stopnia zapierała dech w piersiach, że mogliby mnie koronować i Anglia by to łyknęła - w bladej, pudrowobłękitnej, satynowej wieczorowej sukni tak obcisłej, że gdyby miała cielisty kolor, zostałabym aresztowana za publiczne pokazywanie się nago. Dekolt na plecach aż do słodkiego tyłeczka, dekolci z przodu do pępka, a wszystko to przytrzymane parą uroczych cycuszków i solidnym węzłem na szyi. Diamentowy naszyjnik i diamentowe kolczyki. Także diamentowy pierścionek; ponieważ obgryzałam dwa paznokcie, postanowiłam nałożyć rękawiczki do łokcia. Więc pierścionka nikt nie widział.

Pojechaliśmy limuzyną, ale nie wiem dokąd. Było ciemno, a ja niezbyt się zastanawiałam nad tym, dokąd jedziemy, raczej nad tym, jak, do cholery, mam się zachować na miejscu.

Znaleźliśmy się gdzieś w Beverly Hills. Truesdale Estates czy coś takiego. Prywatna część i tak prywatnych Beverly Hills, wyobraźcie sobie. Oczywiście dom prywatny, nie restauracja. I nagle przerażająco gwałtowny ból przeszył tył mojej szyi, gdy zadałam sobie zabawne pytanie: „Czy Johnny i ja będziemy jedynymi gośćmi?”. Odpowiedź: Zdecydowanie tak, bo nasz samochód był na podjeździe jedyny, a już elegancko spóźniliśmy się o godzinę.

Dom okazał się nie do pojęcia niewiarygodny. Hiszpański. Biały, wszędzie wijące się elementy z kutego żelaza. Bramy i furtki wielkie i czarne. Powódź światła tryskającego ze ścian, jakbyśmy przybyli na światową premierę *Przeminęło z wiatrem*. Co do basenu, to bardziej przypominał lagunę. Nie, właściwie jezioro. I nie jakieś jezioro, ale jezioro Michigan, oświetlone podwodnymi lampami, które nadawały wszystkiemu akwamarynowy połysk. Najwyraźniej dom został zbudowany przez MGM jako pomnik dla Esther Williams, chociaż musiała już wtedy

być pod wodą, bo inaczej nigdy by na coś podobnego nie pozwoliła - bez orchidei, Van Johnsona i Lauritza Melchiora*¹⁶².

Johnny czytał w moich myślach.

- Nie przejmuj się. Jest wynajęty.
- Od kogo? Agi Khana?
- Faceta nazwiskiem Tyler. Diamenty.
- I jesteśmy jedynymi gośćmi na kolacji?
- Na to wygląda.
- Prawdziwa strata, napędzić to jezioro tylko dla nas.
- Co?
- Nie powinniśmy przynieść kostiumów kąpielowych?
- Z pewnością będą coś dla nas mieli.
- Taa, ale czy platyna pływa?
- Kochanie, sądzę, że dziś wieczór Maggie Barringer spotka równą sobie.
- Chcesz powiedzieć, że przyjdzie Greta Garbo?

Szofer w liberii ostrożnie zaparkował nasz okręt wojenny pod marmurowym portykiem i mężczyzna w białej marynarce rzucił się otwierać drzwi.

- Szybko! - powiedziałam do niego - bóle są już co trzydzieści sekund!

Johnny wymierzył mi delikatnego kuksańca łokciem w biust, żeby wyrazić swoje niezadowolenie z mojego dowcipnisiostwa.

Nasza limuzyna zniknęła, gdy lokaj w białej marynarce (tak sądzę, że lokaj, bo raczej nie sprzedawca warzyw) poprowadził nas schodami do drzwi godnych fortecy, które kolejny ubrany na biało mężczyzna (aptekarz?) dla nas przytrzymał. Widziałam tylko korytarz - setki mil korytarzy, z rozstawionymi co dziesięć jardów czarnymi kandelabrami, w których płonęły czerwone świece. Albo miałam zostać wprowadzona do jakiejś żeńskiej korporacji, albo trafiłam na zlot czarownic.

Moje serce wykonało szybki skok, kiedy gospodyni zaczęła majestycznie sunąć w naszą stronę z przeciwnego końca korytarza. Cholera,

¹⁶² E. Williams (ur. 1922) - aktorka, mistrzyni pływacka, nazywana Amerykańską Syreną z powodu rekordowych pobytów pod wodą; V. Johnson (ur. 1916) - jej filmowy partner; L. Melchior (1890-1973) - aktor i śpiewak operowy, tenor.

nieźle się ruszała. Cholera, ależ miała klasę w tej czarnej sukni falującej, jakby od tyłu popychał ją wentylator w tunelu aerodynamicznym. A kiedy podpłynęła bliżej, zobaczyłam, że - cholera - wciąż była piękna. Nie, pomyłka - była piękniejsza niż kiedykolwiek, jeszcze jedna z tych gibkich kobiet o królewskiej urodzie, których wieku nie sposób odgadnąć, bo czas nie ma na nie żadnego wpływu. I poczułam gwałtowny przyływ wielkiej dumy - moja mamusia była taka śliczna.

Zobaczyła mnie, ale jeśli poznała, nie zdradziła się z tym, i Johnny dokonał prezentacji.

- Maggie, pozwól, że przedstawię ci Ginnie Maitland.

Maggie wyciągnęła do mnie rękę.

- Ginnie, tak się cieszę, że mogłaś przyjść.

Na co odparłam: „Vive la France”. A Johnny uznał, że mi odbiło.

Maggie uśmiechnęła się, lecz nawet nie mrugnęła okiem. Wywaliłam do niej z mojej Grubej Berty, użyłam mojej broni ostatecznej zagłady, a salwa ją minęła i przez okno, ponad basenem, poszybowała nad Malaje, gdzie świt wstał z hukiem gromu. To była jedyna kwestia, którą przećwiczyłam. Zostałam zdana na siebie. W *Stan Arlen Show* nigdy się to nie zdarzyło.

Maggie wsunęła jedno ramię pod moją rękę, drugie pod ramię Johnny'ego i poprowadziła nas do baru. Wszyscy szliśmy równym krokiem, jak w scenie otwierającej *Jackie Gleason Show**¹⁶³

Kevin Barringer, białogrzywy i wysoki, wyglądał na miliardy dolarów, które podobno posiadał. Barman, kelnerka i nasza czwórka w pokoju wielkim niby wszechświat. Ogromne kuliste lampy jak przed wejściem do hotelu New York Plaza. I wszystko w tym bejcowanym na ciemno mahoni, który zawsze uważałam za znamionujący bogactwo. Na podłodze perski dywan, który spokojnie miał czterdzieści jardów, a na ścianach sięgające sufitu, podświetlone od tyłu witrażowe panele. A bar - ze trzydzieści stóp długi, wypolerowany do lustrzanego połysku i obrzeżony mosiężną poręczą. Stało przed nim kilkanaście okrytych skórą stołków, każdy mojego wzrostu.

Rozmowa była właściwie rozmówką - rozmóweczką, rozmóweczeńką— zasadniczo prowadzoną i podtrzymywaną przez John-

¹⁶³ *Jackie Gleason Show* (1952-1959) - cykliczny telewizyjny program rozrywkowy.

ny'ego i Kevina. Ledwie mogłam uwierzyć, że Johnny tak płynnie posługiwał się tym archaicznym językiem, ale jednak. Polo i regaty, i inne takie klimaty.

Maggie i ja zaczęłyśmy elegancką rozgrzewkę, szykując się na to, z czym, zdaniem każdej z nas, mogła wyskoczyć ta druga. Najcelniejszy strzał należał do Maggie, kiedy głośno powiedziała „Vive la France!”, gdy barman wystrzelił korkiem od szampana. Panowie nie wiedzieli, co to znaczy, ale ja owszem, więc się roześmiałam. I przemknęło mi przez myśl, że w innych okolicznościach mogłybyśmy zostać z Maggie fantastycznymi przyjaciółkami.

Mężczyźni przeszli do sali bilardowej albo wojennej czy też sali z trofeami, i pierwszy raz zostałyśmy z Maggie same - w samym centrum ringu, w blasku reflektorów. Uśmiechnęła się, wspaniały uśmiech na niewiarogodnej twarzy, i zapytała:

- Jakieś pytania?
- Taa. Całe masy.
- Strzelaj.
- Czy Kevin jest moim ojczymem?
- Nie. Jest facetem twojej matki.
- Używasz jego nazwiska.
- I jego kart kredytowych.
- Nie jesteście małżeństwem.
- Nie bardziej niż ty i Johnny.
- Wiesz, że tatuś nie żyje.
- Tak.
- Nie przyjechałaś na pogrzeb.
- Nie wiedziałam, że w ogóle się odbył. Dowiedziałam się znacznie później, kiedy zadzwoniłam do twojej siostry, żeby życzyć jej i Walterowi wesołych świąt i takie tam ple-ple. A to było długo po tym, gdy znalazłaś mnie z Benem. Czy o tym chcesz powiedzieć?
- Nie wiem. A ty?
- Tylko dlatego, że jestem ciekawa, co się stało dalej.
- Dalej stało się to, że go zostawiłam.
- Czy dałaś mu jakąkolwiek szansę na wyjaśnienie?
- Nie. A mógłby coś wyjaśnić?

- Był uroczym, inteligentnym chłopcem. I nie miał najbledszego pojęcia, że jednocześnie znalazł się w życiu nas obu. Co się z nim stało?
- Jest tutaj, pisze do filmu.
- Widujesz go?
- A ty?
- Nie, ale mogłabym mieć na to ochotę.
- Dam ci jego telefon.
- Proszę. Miło byłoby zatrzymać go w rodzinie.
- Jak się przedstawia sprawa majątku tatusia?
- Dokładnie tak, jak chciałam. Wcale.
- Nie wносиłaś roszczeń?
- A miałam prawo?
- Bardzo go skrzywdziłaś. Mnie też.
- Tak. Myślałam, że mogło się tak stać. Ale nie zdołałam już ciągnąć tej hipokryzji. Byłam parszywą matką i bardziej bym cię skrzywdziła, gdybym dalej próbowała odgrywać tę rolę. Miałam rację. Poradziłaś sobie. Stoisz na własnych nogach. Jesteś twarda. I wciąż jeszcze młoda.
- Nie wydaje mi się, że bym była taka znów młoda.
- Za parę tygodni skończysz dwadzieścia jeden lat. To nie starość.
- Jestem zaskoczona, że o tym pamiętasz.
- To nie bądź. Nie zakładaj, że nigdy nie oglądam się za siebie... i nie zastanawiam. I nie żałuję. Nie przeszkadza mi, że uważasz mnie za hedonistkę i dziwkę. Masz pełne prawo tak myśleć. Ale nie uważaj mnie za kompletnego wyrzutka. Popełniłabyś błąd.
- Okej.
- Dostaniesz do ręki bardzo dużo pieniędzy.
- Jeżeli Mary Ann jeszcze się do nich nie dorwała.
- Nie dorwała. Są w banku State National, w Stamfordie. Wszystkie na ciebie czekają.
- Masz na nie oko?
- O ile to możliwe przy moim napiętym planie zajęć.
- Lubisz życie, które prowadzisz?
- Tak. A ty?
- Jak by przyjęli wiadomość, że jesteśmy matką i córką?
- Sceptycznie, jak sędzę.

- Czy to by... nie odarło twojego obrazu z uroku?
- Zdecydowanie. Masz zamiar im powiedzieć?
- Zastanawiam się nad tym.
- Zastanawiasz się nad tym przez cały wieczór. Rób, jak chcesz. Jestem pewna, że nie masz przed Johnnym tajemnic.
- Johnny i ja się pobieramy.
- Czy on o tym wie?
- Tak sędzę.
- W takim razie gratulacje.
- Jak długo możesz ciągnąć takie życie?
- Prawdopodobnie do czasu, gdy Kevin się mną znudzi.
- Może nigdy się tobą nie znudzić. Jesteś naprawdę piękna.
- Sama też jesteś niezła.
- Czy Kevin daje ci pieniądze?
- O mój Boże, tak.
- Odkładasz coś z tego?
- O mój Boże, nie.
- Któregoś dnia możesz tego pożałować.
- Nie, moja droga. Zachowywanie dla siebie pieniędzy czyni z kobiety dziwkę. Wydawanie ich czyni ją... niebezpieczną.
- Postaram się zapamiętać.
- Czy zostaniemy przyjaciółkami, Ginnie?
- Nie widzę możliwości.
- Ja również. Chodź. Idziemy na kolację. Lubisz strigonia?
- Tak. Szczególnie jego Czwartą Symfonię.
- Zabawne.
- Spieprzyłaś mi życie, Maggie.
- Odstraszając twojego Bena?
- To także.
- Sekret. Zdradzę ci pewien sekret, dobrze?
- Proszę.
- Gdyby cię kochał, pobiegłby za tobą. Nigdy by nie pozwolił, żebyś mu umknęła, nie podnosząc rabanu.
- Próbował.
- W takim razie za słabo się starał... najwyraźniej.

- Cóż...

-Chodź, moja droga. Będą też młode gołębie. Nie możemy pozwolić, żeby wystygły. Bo jeszcze odlecą i nie wpadną nam do gąbki.

Kolację podano w sali jadalnej jak z czasów carskiej Rosji. Ciężkie mosiądze i grube kryształy. I draperie, które musiały zostać przeschumowane z pałacu Mikołaja, zanim Lenin wpa- rował, żeby powiedzieć „Przedstawienie skończone, ludziska”.

Jedzenie młodego gołębia przypomina wsuwanie wydrażonego grejpfruta. Większość to powietrze, a reszta to skóra. I sam widok tego małego, martwego ptaszka podanego w całości sprawił, że trochę zachciało mi się rzygać, bo identyfikowałam się z biedactwem. Znalazłam się tu wyłącznie dzięki strzale jakiegoś łucznika i proszę, oto ja, na oko ładna, ale pusta w środku, nogi uniesione, ułożona na plecach, gotowa do wzięcia, bo w tym jestem najlepsza. Widelce w górę, panowie. Przedstawienie skończone, Ginnie.

Wino, wino i wino. Różne butelki do różnych dań. Różni partnerzy dla różnych pań. Różne kubeczki do różnych spodków. Ten rym to będzie wychodków - czy raczej przodków?

- Ginnie? Dobrze się czujesz? - To Maggie patrzyła na mnie znad brzegu swojej koniakówki. Brandy z Peru. Z Pisco w Pasco. Cokolwiek to było, na pewno nie piwko.

- Wszystko w porządku. Uwielbiam gołębie.

- To było dwa dania temu.

- Stara miłość nie rdzewieje.

Mężczyźni się roześmieli. Miałam ochotę napsipsiać im do tego Pisco.

- Ginnie? - Maggie stała, udając leciutko wstawioną. - Chyba wypilałam trochę za dużo wina. Chciałabym zaczerpnąć powietrza. Wyjdiesz ze mną? Te typki i tak za dużo mówią o interesach. Czy panowie wybaczą nam?

Johnny i Kevin podskoczyli jak żołnierzyki-zabawki — okrągłe twarze, kwadratowe ramiona. A Maggie litościwie wyprowadziła mnie z pokoju.

- Czy ty ich czasem po prostu nie nienawidzisz? - zapytałam.

- Troszkę. Tak. Myślę, że to pożądane.

- Są tacy pełni pieczonych gołąbków. i

- Cały świat jest pełen pieczonych gołąbków.
- Dokąd idziemy?
- Nad basen. Tu jest chłodniej.
- Wrzucisz mnie tam, tak?
- Nie. Odplynęłabyś i nigdy więcej bym cię nie zobaczyła. Proszę, siadaj.
- Jak byś się czuła, gdybym zwymiotowała do twojego basenu?
- Nie za dobrze, ale ty poczułabyś się lepiej. Usiądź wygodnie. Odpręż się, na litość boską! Jezu, aż tak się mnie boisz?
- Tak.
- To dobrze. Bo ja też się troszkę boję.
- Ha-ha-ha.
- Naprawdę.
- Ho-ho-ho. Czemu się boisz?
- Nie jestem pewna.
- Boisz się, że im powiem, że jesteś moją matką.
- To twój przywilej. Twoja broń. Jeżeli jest naładowana, to rąbnij.
- Ja jestem narąbana.
- Wiem. Czasami jaśniej się myśli, kiedy człowiek jest narąbany. To pomaga odsłonić pozory. Prawda wyskakuje i mówi „Proszę bardzo!”. Nie sposób się temu oprzeć.
- To ty jesteś narąbana.
- Może. Troszkę.
- Nienawidzę cię, mamo.
- Świetnie. Lepiej się teraz czujesz?
- Zostawiłaś mnie i nigdy nie wróciłaś.
- Uciekałam, żeby ratować życie. To nie jest wymówka, tylko wyjaśnienie.
- I tak cię nienawidzę.
- Skoro i tak mnie nienawidzisz, może powinnam dać ci po temu trochę więcej powodów.
- Uciekłaś i nigdy nie wróciłaś. Odpowiedz na pytanie.
- Jakie pytanie?
- Jak to się stało, że robisz mi to, co mi robisz?
- Nie o to chodzi. Zapytałaś mnie, dlaczego się boję.
- Powiedziałaś, że nie jesteś pewna. To żadna odpowiedź.

- Chyba teraz jestem pewna. Chcesz usłyszeć?
- Nigdzie się nie wybieram.
- Wiem.
- He?
- Właśnie dlatego się boję. Nie o siebie, ale o ciebie. Kiedy ja uciekłam, to od życia, z którym nie mogłam sobie poradzić, małżeństwa, w którym się dusiłam, dzieci, które mnie wysysały do ostatniej kropli. Miałam od czego uciekać. Ty też uciekasz, ale nie od czegoś. Ja stchórzyłam. Ty jesteś tylko... szalona.
- Pieprzę cię, mammo.
- Mam przestać?
- Nie. To znaczy „kontynuuj”. Ile razy powiem „pieprzę cię, mammo”, to znak, że masz ciągnąć. Pieprzę cię, mammo.
- Ginnie, kiedy ja uciekłam, byłam piętnaście lat starsza niż ty teraz. Wiedziałam, co robię. Ty nie wiesz. Czy wiesz, co robisz? To znaczy, żyjąc z Johnnym Farrarem?
- Taa. Wiem, co robię.
- Więc mi powiedz, bo ja nie wiem.
- Żyję z mężczyzną, który mnie uszczęśliwia. Daje mi wszystko, czego zapragnę, zabiera mnie w różne miejsca. Mieszkałam w piwnicznych izbach, Maggie.
- Z piwnicznych izb ludzie się wydostają. Ze złotych klatek nie zawsze.
- Mogę przerwać życie z Johnnym, kiedy tylko zechcę.
- Kto tak twierdzi?
- On. Powiedział mi. Kiedy tylko zechcę, mogę odejść.
- Jest dla ciebie za sprytny.
- Pieprzę cię, mammo.
- Nie potrzebujesz go. W bardzo krótkim czasie będziesz miała własne pieniądze. Prawie pół miliona dolarów. Chryste, dwadzieścia jeden lat, dziewczeczka, ciało Wenus, twarz Mony Lisy... Czemu, do cholery, ograniczasz się do oszusta takiego jak Johnny Farrar?
- Johnny nie jest oszustem. To człowiek sukcesu. Zajmuje się elektroniką. Podróżuje po świecie. Spotyka się z konsulami. Robi interesy z Rosją! Skąd ty, do diabła, czerpiesz swoje informacje? Jeszcze parę miesięcy temu w ogóle go nie znałaś!

- Ginnie, poruszam się w pewnym układzie. Trzy, cztery setki osób, które wiedzą o sobie nawzajem więcej, niż wiedzą o samych sobie. Ty jeszcze w to nie weszłaś. Kiedy to się stanie, będziesz wiedziała wszystko... tyle, ile ja. Teraz staram się dopilnować, żebyś nigdy w to nie weszła.

- Co wiesz o Johnnym? Jezu Chryste, z nim też spałaś?

- Nie. Jeszcze nie.

- Rany! Niezły z ciebie numer! Jak to możliwe, że nie wpadłaś na niego przy drzwiach z tym starym okrzykiem „Vive la France”?

- Ginnie, dlaczego ty i Johnny nie jesteście małżeństwem?

- Bo on jeszcze nie jest rozwiedziony!

- Czy wiesz, dlaczego nie jest rozwiedziony?

- Bo jest żonaty!

- Powodem jest to, że nigdy nie był żonaty. A teraz, chcesz mieć minutę, żeby ci to zapadło w pamięć?

- Pieprzę cię, mamo.

- Johnny Farrar ma dziewczynę w Amsterdamie, młodszą od ciebie. Ona też czeka, żeby się rozwiódł. I jest dziewczyna w Denver. Instruktorka narciarska.

- Denver?

- Tak. Byliśmy tam z nimi, Kevin i ja. Właśnie wróciliśmy. Nie najpiękniejsza, ale ewidentnie wspaniała na stoku. Ginnie, nasze parszywe kółko ma coś w rodzaju kodeksu. Nie donosimy na siebie. Gdybyśmy to robili, nie byłoby kółka. A nam potrzebny jest ten układ, bo w przeciwnym razie nie mielibyśmy towarzystwa... tylko samych siebie, a to byłoby nieznośne. Przy całej mojej miłości do Kevina, myśl o przebywaniu w jego towarzystwie przez cały czas, w stu procentach, doprowadziłaby mnie do ucieczki z powrotem do Stamfordu. Donoszę na Johnny'ego, ponieważ pogrywa sobie z moją córką. Więc pieprzyć kodeks. Kiedy Johnny Farrar jedzie do Moskwy, to nie po to, by sprzedawać komputery czy elektronikę. To wszystko automatycznie załatwia rada dyrektorów. On jedzie wetknąć Oldze, Nataszy albo carycy Katarzynie... czy jakiej tam mówi „towarzyszko” i zabiera do łóżka na Kremlu. Johnny Farrar tylko się bawi i bzyka. Nie robi niczego więcej. Kiedy dojdzie do wieku Kevina, pewnie z tym skończy i skoncentruje się na jakiejś jednej. Ale ma przed sobą dwadzieścia lat, a z tych daję ci...

może... dwa. - Wrzuciła papierosa do wielkiego basenu i uśmiechnęła się.
- Miłość to ryzykowny interesik, Ginnie. Myślisz, że masz szyfon, a okazuje się, że to nylon. A powiem ci, że oto nadchodzi twój Johncio. Ja wprawiałam piłkę w ruch, teraz ty ją przejmujesz.

Johnny szedł w naszą stronę, niosąc drinka, i wyglądał jak kot, który właśnie zjadł gołąbka.

- O czym tak gawędzicie, dziewczyny? Siedzicie tu całe wieki.

Maggie uśmiechnęła się do Johnny'ego i odpaliła mu prosto z mostu.

- Ginnie jest moją córką i miałyśmy sporo do omówienia. - Potem odwróciła się i poszła z powrotem do domu, przecinając drogę Kevinowi, który szedł, żeby się do nas przyłączyć. Po prostu zawróciła go z trasy i zabrała do środka, zostawiając Johnny'ego i mnie samych.

- O co tu, do cholery, chodzi? - zapytał.

- Ta pani myśli, że jest moją matką.

- A jest?

- Pierwsze słyszę. Zdaje mi się, że twoja pani Barringer trochę się nabzdryngoliła.

- Przypuszczam. Ale jakoś nie wyglądało, żeby aż tyle piła.

- Zdaje mi się, że zaczęła, zanim przyszliśmy. Może zaczęła przy po-
budce dziś rano.

- Hmmmmmm.

- Johnny. Nie chcę tak skończyć.

- Chodź. Wracajmy.

- Wymknęło jej się. Nie jest żoną Kevina. Może od niej odejść, kiedy zechce.

- Może i tak. Ale to działa też w drugą stronę. Ona może odejść od niego.

- W jej wieku? Dokąd by poszła? A może Kevina to nie obchodzi.

- Nie wiem. Nie znam ich aż tak dobrze.

- Chyba rzeczywiście. Najwyraźniej nie wiedziała, że jesteś żonaty.

- Cóż, nie omawiam swojego prywatnego życia ze wszystkimi dookoła.
Chodź. Deser na stole. Lody Alaska płonące specjalnie dla nas.

- Niech jeszcze chwilę poskwierczą, okej? Johnny? Gdybyś był rozwiedziony, ożeniłbyś się ze mną? Z miejsca?

- W jednej chwili.

-Gdzie mieszka twoja żona? W Chicago? Może mogę się z nią spotkać, chwilę porozmawiać.

- Odkąd to stałaś się Bette Davis?

- Odkąd postanowiłam nie być dłużej June Allyson* ¹⁶⁴

-Upewnijmy się, że właściwie cię rozumiem. Chcesz się zobaczyć z moją żoną, porozmawiać z nią, poprosić, żeby... dała mi odejść, zgadza się?

- Tak. Coś w tym rodzaju.

-Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że nie sądzisz, żebym miał żonę.

- Przeszło mi to przez myśl.

- Myślisz, że kłamałem.

-Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, nieprawdaż? A jeśli się mylę, przepraszę.

-To zbyt łatwe. Jak mam się czuć, kiedy wiem, że mi nie ufasz?

-Może na przykład mile polectany. To dowodzi zainteresowania.

- Ginnie, tak bardzo mnie rozczarowałaś...

-Wiem. Ale gdzie mogę się z nią skontaktować? Podaj mi numer, Johnny. Jakikolwiek. Wymyśl jakiś. Hej, a może kolor włosów? Oczy? Jakieś znaki szczególne? Czy ona ma jakieś hobby?

- Nicnierobienie, Ginnie.

-Co w tłumaczeniu oznacza, że nie ma takiej osoby. Cóż... no to do zobaczyska.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie wiem. Do Denver, Amsterdamu, Moskwy. Gdzie oczy poniosą.

- Ginnie...

-Powiedziałeś, że mogę odejść, kiedy tylko zechcę. Cóż... chcę odejść teraz.

- Co ona ci powiedziała?

- Nie tyle, co ty przed chwilą, nie mówiąc mi nic.

- Ginnie...

- Miłość to ryzykowny interesik, Johnny. Myślisz, że masz szyfon, a okazuje się, że to gówno... coś w tym rodzaju.

¹⁶⁴ B. Davis (1908-1989) - aktorka, stworzyła filmowy obraz kobiety wyzwolonej; J. Allyson (ur. 1917) - grywała słodkie dziewczyny z sąsiedztwa.

Obeszłam basen dookoła i ani razu się nie obejrzałam. Księżyc był w basenie i zastanawiałam się, jak to się stało, że wspięłam się dość wysoko, by patrzeć na niego z góry - ale to mnie nie powstrzymało. Bette Davis odchodziła. Wiedziałam, że trochę naraziłam Maggie tymi bezpośrednimi aluzjami do Denver i Amsterdamu, ale uznałam, że uda jej się jakoś z tego wybrnąć. Zdałam też sobie sprawę, że robię to, czego ode mnie chciała. Jeżeli Johnny mnie pragnie, jeżeli naprawdę prawdziwie mnie kocha, pobiegnie za mną. Tylko jakoś nie sądziłam, żeby to zrobił. Ben nie zrobił. Johnny nie zrobi. Maggie tak powiedziała i Maggie miała rację. Bo kiedy przychodzi co do czego, matki wiedzą najlepiej. Nauczyłam się czegoś jeszcze. Nauczyłam się, że kobieta nigdy nie porzuca mężczyzny, który mówi, że może od niego odejść, kiedy tylko zechce. Porzuca tylko mężczyznę, który błaga, żeby została z nim na zawsze. Filozofia letniej nocy, gdy rzuca się bogatego chłopaka. Napisz to na tamponie i sobie wsadź.

Znalazłam naszą limuzynę i kierowcę przed garażem, za domem. Zerwał się na równe nogi, kiedy tylko mnie zobaczył, i pobiegł dookoła, żeby otworzyć mi drzwi.

- Do domu, panienko?

Wsiadłam.

- Nie mam domu.

Podbiegł na drugą stronę, siadł za kierownicą i zapalił silnik, przyglądając mi się we wstecznym lusterku, zdumiony jak cholera.

- Do hotelu, panienko?

- Na lotnisko.

- Lotnisko?

- Poproszę.

Poprowadził samochód w dół długiego podjazdu.

- Czy chce się pani zatrzymać przy hotelu i zabrać jakieś rzeczy, panienko?

- Nie.

-

Czy ktoś zachorował?

- Tak. Ja. Od całego tego pieprzonego cholerstwa.

- Tak, panienko.

Pojechaliśmy na lotnisko, gdzie wybrałam American Airlines, bo lubiłam ich reklamy. I w mojej przylegającej błękitnej sukni i

rękawiczkach do łokci poleciałam pierwszą klasą do Nowego Jorku, pożyczając najpierw dwadzieścia dolarów od kierowcy. To było wszystko, co miał, ale o dwadzieścia dolarów więcej, niż ja miałam. Potrzebowałam tego na kieszonkowe, taksówki i takie tam, kiedy dotrę do Nowego Jorku. Johnny zapłaci temu człowiekowi. Moim biletem obciążylam konto American Express i Johnny'ego. Cena doświadczenia.

Niektórzy pasażerowie podejrzliwie spoglądali na mnie spod oka, ale stewardesa wydawała się rozumieć, że chodzi o sercową aferę. Niech Bóg błogosławi wszystkie stewardesy, które zakochują się i odkochują równie często, jak często zmieniają strefy czasowe. W następnym życiu wrócę na ziemię jako stewardesa bez biustu w dopasowanym służbowym mundurku. Będę mieszkać w wielkim mieszkaniu z gościnnymi chłopakami i kochać się oparta o poręcz.

Ale wszystko w porządku. Maggie wyrównała rachunki. Byłyśmy kwita. Gdybyśmy nawet już nigdy nie miały się zobaczyć, wynagrodziła mi utratę Bena, uwalniając od Johnny'ego. I nie byłam już więcej sierotą i nie musiałam już płakać. Vive la Mama!

Nowy Jork sprawiał wrażenie zimnego. Szczególnie na osobach podróżujących w cieniutkich wieczorowych sukniach i sandałach bez palców. Złapałam taksówkę przed terminalem. Mogłabym złapać z tuzin taksówek, z powodu stroju - wszystkich tych śliniących się taksiarzy, którzy praktycznie przejeżdżali sobie po plecach, żeby spróbować podebrać „Błękitnego Węża”.

Jadąc na Manhattan, poczułam podniecenie, przepełniający mnie entuzjazm. Byłam ze Wschodniego Wybrzeża, zaliczałam się do nowojorczyków. I jeśli kiedykolwiek miałam dom, to na wschodzie. W Nowym Jorku. Byłam cykliczna i liściasta. Zrzucałam liście i stroiłam się w nowe kolory prawie równocześnie z porami roku. I wiedziałam, że gdybym to kiedykolwiek sprawdziła, odkryłabym, że ilekroć zmieniałam starą miłość na nową, zmiana następowała w dniu przesilenia.

Zjechaliśmy przy Delmonico, gdzie portier uśmiechnął się do mnie, ponieważ mnie znał. Nie przejął się, że pojawiłam się w wieczorowej sukni bez bagażu, bo widział, jak zjawiłam się w dzinsach i z taksówką pełną garderoby. Przyzwyczał się do Ginnie Dziwaczki. Dałam taksiarzowi dwadzieścia dolarów, nie dlatego że byłam taka hojna, ale tak bard-

zo chciałam wejść do apartamentu bez grosza przy duszy. Był w tym jakiś symbolizm, zresztą wszystko jedno.

I nie chodziło o to, żeby to czegoś dowodziło. Gdybym chciała pieniędzy, wystarczyło sięgnąć do szafy po dowolną rzecz; którąkolwiek bym chwyciła, była warta co najmniej pięćdziesiątka. Nalałam sobie taką porcję bourbona, że uszy mi stanęły na sztorc. Dwa razy. A może i trzeci raz - nie pamiętam. Oszołomiona snułam się po mieszkaniu, czując się jak włamywacz. Bo już nie należało do mnie. Odchodzisz od właściciela, dzieciaku, wychodzisz z mieszkania. Takie jest Prawo.

Byłam pijana i wiedziałam, że nie powinnam prowadzić, więc zajechałam do łóżka i położyłam się, sięgając do rozsuwanych drzwi szafy. Patrzyłam na wszystkie moje ciuchy, wiszące tam jak gotowe do występu tancerki z rewii. Także one nie były już moje. Ktokolwiek wprowadzi się tu po mnie, odziedziczy je, ale jeśli ta dziewczyna będzie miała choć trochę charakteru, spali całą tę kupę i zmusi Johnny'ego, żeby sprawił jej wszystko nowe.

Chciałam mieć tylko swój strój do ćwiczeń, tenisówki i dżinsy. W tym się tu pojawiłam i, jeśli wszystko ma być jak należy, w tym wyjdę. I kiedy tylko przyszła mi do głowy ta szlachetna myśl, zdałam sobie sprawę, że jestem frajerką nad frajerkami, bo jeśli spojrzeć na to z innej strony - z lepszej strony - zapracowałam na wszystko, co mi dał, gdyż żyłam z Johnnym i byłam jego kochanką, wszystkie te dobra stanowiły moją pełnoprawną i niemoralną własność. Nie chodziło o to, że byliśmy zaręczeni, a ponieważ zmieniłam zdanie, muszę mu zwrócić pierścionek. Zostałam okłamana i wykorzystana, wystrychnięta na dudka i wybzykana, a dorobiłam się na tym wyłącznie złej reputacji i bury od matki.

Więc, gdy już znalazłam swoje stare walizy i załadowałam do nich trochę tego i owego, stanęłam w drzwiach, kiwając się z lekka w tej uroczej niebieskiej sukni i zadając sobie jak najśluszniesze pytanie: „Dokąd się, kurwa, wybierasz?”.

Proces zadawania pytań przerwał mi telefon i, odstawiwszy bagaże, poszłam go odebrać. Dorwałam drania po piątym sygnale, bo cholernik cały czas mi się wymykał. Zgłosiła się hotelowa centrala, która poinformowała mnie, że pan Farrar dzwonił kilkakrotnie i że skoro się pojawiłam, mam oddzwonić do niego do Los Angeles. Powiedziałam telefonistce, że jeśli bym się pojawiła, rzeczywiście zadzwonię do pana Far-

rara w Los Angeles, ale skoro się nie pojawiłam, czy mogłaby przekazać panu Farrarowi, że wyskoczyłam przez okno i nie można się ze mną skontaktować. Na co odparła, żebym sama mu to powiedziała, bo znów ma go na linii.

- Ginnie?

- Nie. Betsy Ross. Jak śmiesz do mnie dzwonić po tym, co zaszło w Concord*¹⁶⁵?

- Ginnie, nie mogę uwierzyć, że tak wyjechałaś. Kiedy Hawkins mi powiedział, że zawiózł cię na lotnisko...

- Pieprzyć Hawkinsa. Pragnę tylko wiedzieć, ile chcesz mieć gwiazdek na swojej pieprzonej fladze, George? To znaczy Massachusetts wchodzi czy wypada? Muszą się zdecydować. Gdyby to zależało ode mnie, powiedziałabym, że niech wypada, bo trzynastka to tak czy owak pechowa liczba*¹⁶⁶.

- Kocham cię. Chcę, żebyś wróciła.

- A co mam zrobić z tym układem w sprawie Bożego Narodzenia? Chłopcy odmrażają sobie jaja pod Trenton *¹⁶⁷, a ty pływasz w basenie Barringerów w pieprzonym fotelu dmuchanym!

- Chcę, żebyś mnie uważnie posłuchała, okej? Chcę, żebyś na małą chwilę zamknęła swoją niewyparzoną buzię i pozwoliła mi mówić. Możesz to zrobić?

- Zawsze to ty mówisz. Ty i ten twój krzykacz Patrick Henry *¹⁶⁸. Gdyby nie wasza pieprzona dwójka, wciąż mielibyśmy tu starą pocziwą Anglię... a ja nie musiałabym robić na drutach tej pieprzonej flagi! I jak się pisze „Nie nastąp na mnie*¹⁶⁹?

- Ginnie, zróbmy to tak. Będę w Nowym Jorku w środę. To za cztery dni. Porozmawiamy o ślubie.

¹⁶⁵ Ross (1752-1836) na zlecenie G. Washingtona w 1776 uszyła pierwszą amerykańską flagę; Concord, miasto w Massachusetts, jedna z pierwszych bitew rewolucji amerykańskiej (1775), Brytyjczycy zniszczyli tam zapasy Amerykanów.

¹⁶⁶ Dot. rewolucji amerykańskiej (1775-1783), kiedy trzynaście brytyjskich kolonii stworzyło USA.

¹⁶⁷ Trenton - w czasie walk o niepodległość 26.12.1776 wojska George'a Washingtona pokonały tam Niemców sprzymierzonych z Wielką Brytanią.

¹⁶⁸ P. Henry (1736-1799) - jeden z przywódców rewolucji amerykańskiej, mówca.

¹⁶⁹ *Nie nastąp na mnie* - napis na tzw. fladze z grzechotnikiem, jednej ze słynnych flag sprzed powstania USA

- Pięknie. A co masz zamiar powiedzieć Marcie?
- Komu?
- Twojej żonie. Martha, ta od lodów*¹⁷⁰.
- Jesteś pijana. Czy jesteś pijana, Ginnie?
- Bo masz żonę, prawda, kofku?
- Nie. Ale będę miał.
- Kogoś, kogo znam, kofku?
- Taka jedna, nazywa się Betsy Ross.
- W życiu nie słyszałam. A co wskazuje, że ona w to wchodzi, kofku?
- Ginnie, będę tam w środę. Znajdziesz sobie do środy coś do roboty?
- Tak. Zastanawiam się nad inwazją na Meksyk. Meksyk albo Kanadę. Jedno z dwojga. Mają ochotę się wtrącić, rozumiesz.
- Nie ruszaj się z miejsca. Posiłki są w drodze. Kocham cię. Pa.
- Pa, George.

Rozłączyliśmy się. Biegł za mną. „Biegnie za mną, Maggie. Słyszałaś to? Będzie tu za cztery dni. I jak oceniasz taki czas? Czy to dostatecznie szybko? A czego się spodziewałaś, że wskoczy w najbliższy samolot? Naprawdę, Maggie, masz dość wygórowane oczekiwania. I nie, nie sądzę, żeby miał się po drodze zatrzymać w Denver! Co? Tak. Tak, do cholery. Pewnie masz rację, kofku. To kolejny szwindel. Oczywiście, że tak. Próbuje mnie podejść przymilną gadką. Myśli, że może mnie odłożyć na bok i zaczekać, aż ochłonę... No to ci powiem, mamó, że nie mam zamiaru czekać tu czterech dni, aż Johnny wkroczy do domu z pieśnią na ustach. Wynoszę się stąd, bo wszyscy tu są pijani!”

Był dla mnie list. Na stoliku Ludwik XIV. Od Candy. Sprzed dwóch tygodni. Otworzyłam go. Wariactwo. Pojechali z Donem do New Heaven, gdzie Don będzie reżyserował sztukę Arniego Felsena. Życzyłam im wszystkim powodzenia, a potem sobie popłakałam jak za dawnych czasów - bo nie miałam gdzie się podziąć ani do kogo otworzyć ust, ani numeru telefonu, pod który mogłabym zadzwonić i się nie odezwać, tylko żeby mieć pewność, że tam jest.

Ben. Wślizgiwał się ukradkiem. Sukinsyn. Całkiem nieźle udawało mi się upchnąć go gdzieś w kącie, całkiem nieźle. Ale odkąd przeszłość i

¹⁷⁰ Amerykańska legenda uznaje Marthę Washington, żonę George'a Washingtona, za wynalazczynię lodów.

teraźniejszość zjednoczyły przeciw mnie siły, a przyszłość miałam zaplanowaną mniej więcej tak, jak konsekwencje wybuchu, zaczął się wymykać. I teraz wylazł w całej okazałości, chłopak, który doprowadził mnie do łez.

Tyle w nim było mnie. I tyle z niego było we mnie, że nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie przebiega linia podziału, gdzie jest zapięcie i czy widać szwy. Byliśmy jak wskazówki zegara, żadne z nas nie wiedziało, która właściwie godzina, jeśli drugie nie stało obok. A ile razy jego słowa brzmiały, jakby wyjął mi je z ust?

Kiedy się kochaliśmy, gdy wszystko układało się jak trzeba, orgazm łączył nas w jedną osobę tak idealnie ciasno, że zdołalibyśmy się razem prześlizgnąć przez szparę pod drzwiami. Och, ileż to razy wprawialiśmy w zdumienie matematyków, nieustannie dowodząc, że jeden plus jeden równa się jeden.

A kiedy się rozstaliśmy, odgłos darcia brzmiał jak chiński gong. I tak naprawdę ja nigdy nie odeszłam; tylko udawałam. Wykonałam numer z pożegnaniem, owszem, ale tylko na użytek publiczności, żebym nie musiała wyjść na durnia.

Byłam w stanie wyśledzić, przynajmniej przez jakiś czas, wszystkie jego ruchy, jakby oznaczał je szpilkami na wojskowej mapie. „Ben jest tu, przesunął się stąd”. „A teraz zmierza tam, w tamto miejsce”. Nie było żadnej wymiany kartek na Boże Narodzenie ani urodzinowych prezentów przychodzących na czas. Nic z tych rzeczy, bo szczelina zrobiła się zbyt duża. Ale to nie miało znaczenia. Byliśmy razem jak rozdzielone jednojajowe bliźnięta. Jak korsykańscy bracia. Zrań go, a ja to poczuję. Zrań mnie, a założę się, że będzie o tym wiedział.

Trafiliśmy do takiej miłej historii - dwójka dzieciaków w wielkim mieście i cała reszta. Lecz ktoś wsunął do scenariusza niewłaściwe strony i cała ta miłość poszła na zmarnowanie.

Powinny tam być czterowersze i wiolonczele zamiast milczenia i dysonansów. Powinny być proporce na wysokich wieżach i ludzie składający dary. I powinny być zamki, jestem o tym zupełnie przekonana.

Wyszłam z hotelu w stroju do ćwiczeń, tenisówkach i džinsach, zostawiając całą resztę. Śmieci do śmieci, a bawidełka do śmietnika — tak tu przyszłam i tak odchodziłam.

Rozdział 27

Ben

1954

Przylatując z powrotem do Nowego Jorku, miałem nieodparte wrażenie, że spieprzyłem sprawę z LA, że moje zachowanie tam raczej nie mogłoby się doczekać słów aprobaty jako wzorowe. Słyszałem, że Faulkner i Fitzgerald zachowali się równie irytująco, ale to byli Faulkner i Fitzgerald. A ja nie pisałem nawet dla Hammachera i Schlemmera *¹⁷¹.

Starałem się zdusić żal, topiąc go w alkoholu, otaczała mnie jednak aura „ostatniej szansy”, a to zbijało z tropu. Wsiadła ze mną do samolotu i klóciła się o miejsce przy oknie. I chociaż przepchnąłem się tam, gdzie chciałem, i tak rozbiła obóz na miejscu obok, za przejściem. (Było tyle pustych miejsc, że mogłaby usiąść gdziekolwiek, nawet w pierwszej klasie albo z przodu, z pilotami, więc czemu ja?).

„Czemu ja” było dość proste. Sam ją zaprosiłem. Od dnia przyjazdu do Kalifornii, od chwili, gdy Kaszlący Steiner podrzucił mnie do Hollywood Roosevelt, zachowywałem się tak wyniośle arogancko, że „ostatnia szansa” nieomylnie wyczuła mój zapach i jak cień szła śladem moich błędów z zabójczą precyzją leoparda, który tropi, atakuje i dopada królika.

W swoich układach z wytwórcami postąpiłem jak głupiec, i jak dureń, gdy zaufałem Samowi Gaynorowi. Odsunąłem się od przyjaciół, wkurzałem agentów i poniżałem kobiety. Każdym ruchem umniejszałem swoje człowieczeństwo i w ten sposób przekształciłem kiełkującą skłonność do samozagłady w dzieło sztuki godne pokoleń lemingów.

Samolot usiadł na Idlewild około południa. Ponieważ nie miałem bagażu, bez trudu jako pierwszy złapałem taksówkę. Powiedziałem kierowcy „Manhattan”, a na Manhattanie „Wschodnia Osiemdziesiąta Trze-

¹⁷¹ Hammacher Schlemmer - od 1848 firma handlowa, najdłużej w USA wydająca katalogi ze swoimi towarami.

cia". Na Wschodniej Osiemdziesiątej Trzeciej powiedziałem: „Tutaj." I kiedy wysiadłem, stałem przed starym budynkiem.

Pięć piętér. Uznałem, że zastanę Candy. Albo Dona, albo oboje. Nie zastałem nikogo, a mieszkanie było zamknięte. Nagle wydało mi się, że to takie stare dzieje. Już przedtem odegrałem tę scenę, wracając z innej beznadziei, by zastać zamek podobnie zamknięty.

Usiadłem na najwyższym stopniu, który uświęciłem kiedyś miłością, i wydmuchiwałem dym z cygara przez tralki balustrady. To też już kiedyś robiłem i jej obraz przypląnął do mnie z tamtych dawnych czasów.

Roześmiany koński ogon, współmieszkanca najbardziej idealnego czasu mojej młodości, zastygła w mojej pamięci z powodu bolesnej nagłości naszego rozstania. Przez prawie dwa lata pomieszkiwała tam mimo wszystkich moich wysiłków, żeby ją wykwaterować. Została, bezkompromisowy najemca, niezmienna i niezniechęcona zdarzeniem, które tak ją dotknęło. Ginnie w mojej głowie, nieugięte opierająca się eksmisji i erozji.

Byłem zmęczony. Sekundy od zaśnięcia - ogarniał mnie sen, pouczając jednocześnie, że każda, nawet idealna chwila może trwać tylko dopóty, dopóki da się wstrzymać następną chwilę, że obrazy występujące w sekwencjach działają na siebie destrukcyjnie, bo każdy kolejny osłabia wrażenie wywołane przez ten pierwszy.

Dziewczyna na schodach, płynąca w górę jak na kubistycznym obrazie, wyobrażenie na kolejnym wyobrażeniu. Twarz jak fotografia w wywoływaczu, powoli przechodząca od niewyraźnej nicości do ostrych konturów. Każdy krok w moją stronę dodawał postaci kontrastu, większej wyrazistości, wyostrzał kontury.

Dziewczyna. Blondynka. Śliczna. Ginnie.

Rozdział 28

Ginnie

1954

Bezcelowy spacer z Delmonico w stronę Park Avenue, zmiana kierunku na wschód na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, niezbyt daleko od Wschodniej Osiemdziesiątej Trzeciej, więc tam poszłam jak jakiś głupi powracający do domu gołąb.

Cztery piętra w górę, zakręt na podejście czwartego piętra i wtedy go zobaczyłam, siedzącego tam, na naszym stopniu, otoczonego dymem z cygara, który wydmuchiwał w moją stronę.

Weszłam na trzy stopnie. Cztery. Powoli. Pięć, sześć - jak dziecko przyłapano z ręką w słoju z ciasteczkami, za bardzo winne, żeby dowodzić swojej niewinności, ale zatrzymujące się w pół ruchu, żeby przynajmniej jakoś pogodzić się z tym, że zostało złapane. Siedem, osiem - Boże, czy to możliwe? - Ben?

- Ginnie?

Odwagi, dziewczyno. Równowaga. Doświadczenie życiowe.

- Chryste!

Wstał.

- Już wcześniej to przećwiczyliśmy.

- Chyba tak. - Kolejny schodek w górę. Chciałam biec, chwycić i pożerać. Ale powoli, dziewczyno. Z wyczuciem. Z sensem.

- Wyszedłeś z wojska?

- Ginnie, byłem niedobry.

- Ja też.

- Wszystko spieprzyłem. Wszystko. Na całej linii. Od góry do dołu.

- Od a do z.

- Nie mam nic. Żadnych ubrań. Nawet szczoteczki do zębów.

- Ja też nie.

- Nawet maszyny do pisania.

- I co z tego? I tak nie potrafisz pisać na maszynie.

- Może mnie ścigać pewien człowiek, chce mnie zabić.

- Mnie też. Chce mnie poślubić. - Kolejny krok w górę. Co tu zrobić, żeby się na niego nie rzucić?

- Wspaniale wyglądasz.
- Mam inne włosy.
- Mieszkanie jest zamknięte. Masz klucz?
- Przecież zawsze go mam.
- Tak.

Następny krok w górę. Wydaje się taki zmęczony, taki zagubiony.

- Wiesz co? Za dwa tygodnie odziedziczę spadek.
- Za dwa tygodnie ja będę hydraulikiem.

Stoję obok niego. Czy czuje, że bije ode mnie żar? Grzebię w poszukiwaniu klucza, który zawsze ze sobą noszę, w każdej torbie, w każdej torebce.

- To ja dzwoniłam i odkładałam słuchawkę.
- Wiem.
- To było dziecinne. - Kluczu, wejdź do zamka, proszę. On bierze klucz.

- Czy powinniśmy o tym porozmawiać?
- O czym? Otwierając drzwi.
- O Maggie.
- Okej. Ale kogo to będzie obchodzić za sto lat?
- Nas.

Drzwi są otwarte i wchodzę do środka. O, słodki Jezu.

- Kocham cię, Ginnie.
- Okej.
- Zawsze cię kochałem. I jestem szczerze przekonany, że jeśli dwoje ludzi, dwoje inteligentnych ludzi...

- Ben?
- Tak?
- Co powiesz na małe pieprzonko?

Drzwi się zamykają. Zaczyna się życie. Czy ktoś widział równie fartowną dziewczynę?